



**BARBARA WODD**



**PŁOMIEŃ DUSZY**

Przełożyła z angielskiego: Anna Maria Nowak

Książkę tę dedykuję Johnowi Makarewichowi — z wyrazami miłości.

Pragnę też podziękować kilku ważnym dla mnie osobom: mojej matce, która zawsze wierzyła pewnej cygańskiej wróżce, mojemu mężowi, George'owi, oraz memu ojcu, obaj wspierali mnie i dodawali odwagi, Betty Vasin, która już wiele lat temu wiedziała, że tak się musi stać, i zawsze we mnie wierzyła, a także Kate Medinie, najwspanialszemu wydawcy świata, i Harveyowi Klingerowi, najwspanialszemu agentowi świata.

A szczególnie serdecznie dziękuję Denisowi Keatingowi, który zawsze przychodził mi z odsieczą przy kłopotach z maszyną do pisania!

## OD AUTORKI

W starożytności wicie roślin i ziół, o których jest mowa w książce, miało swoje nazwy, jednak po dłuższym namyśle postanowiłam używać ich współczesnych określeń, by łatwiej je było identyfikować. Dlatego na przykład zamiast łacińskiego hyoseyamus używam nazwy „lulek czarny”.

Historyczna postać Luciusa Domitiusa Ahcnoarbusa pojawia się w książce pod imieniem Nerona, choć przyjął je on dopiero po objęciu tronu.

B.W.

## PROLOG

Dzień był tak pełen znaków, że mądra — nim jeszcze usłyszała późną nocą gwałtowne łomotanie do drzwi — wiedziała, że ta noc może na zawsze zmienić jej życie.

Złowróżbne znaki dostrzegała od wielu dni. Były zarówno jej własne sny z węzami, księżycem czerwonym od krwi, jak i sny przychodzących po radę: ciężarnych kobiet, którym śniło się, że rodzą gołębie, i młodych dziewic nękanym przez niepokojące wizje. A potem, w obozie Beduinów na południu miasta, przyszło na świat ciele z dwiema głowami. I jeszcze duch Andrachusa, którego widziano, jak krążył ulicami miasta, bez głowy, a mimo to wywołujący imiona swych zabójców. Tak wielu znaków nie można było ignorować. Co one mogą znaczyć? — niepokoił się mieszkańcy pustynnej Palmiry, rozglądając się z lękiem na boki.

One są przeznaczone dla mnie — myślała mądra, nie wiedząc, skąd ma tę pewność.

Więc kiedy pewnej ciemnej i wietrznej nocy, tuż po wschodzie księżyca usłyszała gwałtowne łomotanie do drzwi, pomyślała: Oto nadeszła zapowiedziana godzina.

Zarzuciła na szczupłe ramiona chustę i z lampą w ręku otworzyła drzwi, nie pytając nawet, kto za nimi stoi. Inni mieszkańcy Palmiry mogliby się obawiać wizyty obcych, ale nie Mera. Ludzie przychodzili do niej po leki, czary, zioła, które przynosiły im ulgę w cierpieniu i uciszały niepokoje, ale nikt nie przyszedłby po to, by zrobić jej krzywdę.

W progu stali mężczyzna i kobieta. Mężczyzna o srebrzystych włosach i szlachetnych rysach ubrany był w błękitny płaszcz ze złotą zapinką, kobieta — jeszcze niemal dziecko — miała na sobie targaną przez wiatr opończę, spod której widać było wydatny brzuch. Po otwarciu drzwi Mera dostrzegła najpierw dwoje przerażonych oczu w bladej twarzy mężczyzny. Twarz dziewczyny była ściągnięta grymasem bólu.

Mera cofnęła się, gdy wiatr wpychał przybyszy do środka. Chwilę zmagając się z drzwiami, blask lampy tańczy! po ścianach, a długie warkocze Mery fruwały wokół niej, kiedy udało się jej zaryglować drzwi, zobaczyła, że dziewczyna osuwa się na kolana.

— Nadszedł jej czas — niepotrzebnie powiedział mężczyzna, usiłując ją podtrzymać.

Odstawiając lampę, Mera ruchem głowy wskazała posłanie w rogu i pomogła położyć dziewczynę.

— W mieście powiedzieli, że możecie pomóc... — zaczął mówić mężczyzna.

— Imię — odparła Mera. — Muszę znać jej imię. W jego oczach pojawił się lęk.

— Czy to konieczne?

Mera odczuła strach mężczyzny niczym lodowaty deszcz. Podniosła wzrok na jego przerażoną twarz, położyła mu dłoń na ramieniu i mruknęła:

— Nieważne. Bogini je zna.

Więc tak — myślała, szybko zabierając się do pracy — to uciekinierzy. Uciekają przed kimś lub przed czymś. Bogaci, sądząc po ich pięknych szatach. I nietutejsi, przybyli do Palmiry z bardzo daleka.

— To moja żona — odezwał się mężczyzna, stojąc na środku pomieszczenia i nie wiedząc, co robić.

Przyglądał się mądrej. Idąc do tej chaty za miastem, spodziewał się jakiejś wiedzy. Ale ta kobieta była piękna, choć nie potrafił odgadnąć, ile miała lat. Wykonał bezradny gest ręką. Gładkie ręce — spostrzegła Mera w migotliwym blasku lampy. Smukłe, piękne dłonie, takie jak ich właściciel: wysoki, przystojny, niewątpliwie szlachetnie urodzony.

Rzymianin — uznała w końcu. — Bardzo ważny Rzymianin.

Żałowała, że nie może się przygotować, zajrzeć w gwiazdy, sprawdzić horoskopy, ale nie było na to czasu. Poród zaczynał się.

Mężczyzna obserwował mądrą, która prędko szykowała gorącą wodę i płótna. Właściciel gospody wyrażał się o niej z czcią.

— To prawdziwa czarodziejka — mówił. — Potężniejsza nawet od samej Isztar.

Dlaczego więc — zastanawiał się Rzymianin, wodząc wzrokiem po małej izdebce — mieszka w takim ubóstwie? Nie miała nawet niewolnika, który by nocą otwierał drzwi.

— Proszę ją trzymać za ręce — powiedziała Mera, klękając między nogami młodej kobiety. — Kto jest jej bogiem?

Zawahał się, nim odparł:

— Czcimy Hermesa.

Przybyli z Egiptu! — pomyślała Mera, z zadowoleniem kiwając głową. Sama była Egipcjanką i z Hermesem, bogiem-wybawcą, łączyła ją zażyłość. Pochyliła się więc nad rodzącą i wykonała krzyż Hermesa, dotykając jej czoła, piersi i ramion. Potem przykucnęła na piętach i sama się przeżegnała. Hermes to potężny bóg.

Poród był ciężki. Dziewczyna miała wąskie biodra, dużo krzyczała. Zatraskany mąż klęczał u wezglowia, ocierając jej pot z czoła, trzymając za ręce i szepcząc w dialekcie z doliny Nilu, którym dawno temu Mera sama się posługiwała. Brzmiał on teraz w jej uszach niczym słodka muzyka.

Tak dawno opuściłam tę ziemię — pomyślała, szykując się do przyjęcia dziecka. — Może Bogini pozwoli mi przed śmiercią jeszcze raz spojrzeć na mą zieloną rzekę...

— Chłopiec — oznajmiła wreszcie, delikatnie wycierając małeńki nosik i usteczka.

Rzymianin pochylił się nisko, jego cień nakrył dziecko niczym ciepły koc. Młoda żona, wyzwolona w końcu od bólu, westchnęła głęboko. Kiedy już Mera zawiązała i odcięła pępowinę, położyła chłopczyka na piersi matki i łagodnie powiedziała:

— Teraz musisz wypowiedzieć jego imiona. Osłoń go, mateczko, nim dżin pustyni spróbuje ci go odebrać.

Przycisnąwszy suche wargi do różanego uszka syna, młoda kobieta wyszeptła jego sekretne imię, które będzie znał tylko on i bogowie. Potem słabym głosem miękko wypowiedziała imię dla świata:

— Helios.

Zadowolona Mera z powrotem zajęła się matką. Teraz powinno się urodzić łożysko. Wiatr zawył ze zdwojoną siłą, drzwi i okiennice załomotały, a ona w słabym świetle dostrzegła coś niepokojącego. Z kanału rodzego wysunęła się małeńka sina rączka.

Bliźniak!

Mera ponownie naznaczyła rodzącą krzyżem Hermesa, dodając święty znak Izydy, i przygotowała się do odebrania drugiego dziecka. Modliła się, by młodej dziewczynie starczyło sił, żeby je urodzić.

Wydawało się, że dżiny rzeczywiście czają się przy drzwiach, próbując skraść dwa nowe życia — z taką furją wyła wichura za drzwiami. Nawet solidna ceglana chatka Mery trzęsła się i chwiała, jakby lada chwila miała się rozpaść. Wraz z rykiem wiatru rozległ się krzyk rodzącej. Jej policzki były purpurowe, włosy mokre od potu. Zdesperowana Mera zawiesiła na szyi dziewczyny amulet — jadeitową figurkę żaby poświęconej Hekate, patronce położnych.

Dziwne było, że chłopczyk, nadal przytulony do piersi matki, jeszcze nie wydał głosu.

Wreszcie Merze udało się wyjąć drugie dziecko z łona matki. Z ulgą stwierdziła, że żyje. Ale kiedy odcinała pępowinę, usłyszała wśród wiatru jakieś niepokojące odgłosy z zewnątrz.

Gwałtownie uniosła głowę i zobaczyła, że Rzymianin wpatruje się w drzwi.

— Konie — odezwał się. — Żołnierze. Załomotano do drzwi — nie tak, kiedy ktoś prosi, by go wpuszczono, lecz tak, jakby chciał je wyważyć.

— Znaleźli nas — powiedział Rzymianin. Mera natychmiast stanęła na nogi.

— Chodź! — syknęła i pobiegła do wąskich drzwiczek w głębi pomieszczenia.

Nie oglądała się, nie widziała, jak do chaty wpadają żołnierze w czerwonych płaszczach. Bez namysłu schroniła się do ciemnej przybudówki, która służyła jej za spichlerz. Tuląc do piersi mokrą nagą dziewczuszkę, schowała się w skrzyni, gdzie suszyła zboże, i skuliła w kłujących źdźbłach. Leżąc w mroku i wstrzymując oddech, Mera wsłuchiwała się w dudnienie sandałów na klepisku podłogi. Usłyszała kilka słów wypowiedzianych po grecku. Zadane ostrym tonem pytanie, odpowiedź, świst przecinającego powietrze metalu. Dwa przenikliwe krzyki, a potem cisza.

Mera nie mogła opanować dygotu. Dziecko drżało w jej ramionach. W izbie słyhać było ciężkie stapania, czyjeś kroki zmierzały do spichlerza. Przez szpary skrzyni dostrzegła światło: ktoś wszedł z lampą. Wtedy rozległ się zdławiony, zdyszany głos Rzymianina:

— Powiadam wam, nikogo tam nie ma. Nie zastaliśmy akuszerki. Byliśmy sami. Ja... ja sam odebrałem poród...

Ku przerażeniu Mery noworodek zaczął kwilić w jej ramionach. Szybko zakryła dłonią małą buzię i wyszeptała:

— Błogosławiona Matko, królowo nieba, nie pozwól, by zabili to dziecko.

Znowu wstrzymała oddech i nasłuchiwała. Teraz otaczała ją tylko ciemność, cisza i wyjący wiatr. Czekwała. Z przyciśniętym do piersi dzieckiem, z ręką na jego buzi, leżała skulona w skrzyni. Wydawało jej się, że minęły godziny. Bolało ją całe ciało, dziecko się wierciło. Ale Mera nie wychodziła z ukrycia. Wreszcie, po nieskończonej dłużej chwili, zdawało jej się, że poprzez ryk wiatru dobiegł ją czyjś głos.

— Kobieto...

Ostrożnie się podniosła. W słabym świetle brzasku Mera dostrzegła tylko skurczony kształt na środku izby. Usłyszała słaby głos Rzymianina:

— Kobieto, już poszli...

Od tak długiego siedzenia w skrzyni bolały ją wszystkie mięśnie i kości. Kulejąc zbliżyła się do mężczyzny. Był zalany krwią.

— Zabrali ją... — wycharczał. — Moją żonę i chłopca... Oniemiała Mera spojrzała na puste posłanie. Żeby wywlec z łóżka położnicę i noworodka!

Rzymianin wyciągnął drżącą rękę.

— Moja córka... Daj mi ją...

Przyszli zabić ojca — pomyślała Mera, schylając się i podając nagie dziecko konającemu ojcu — a jednak nie uśmiercili matki i dziecka, tylko zabrali ze sobą. Dlaczego?

— Imiona... — mówił z trudem. — Muszę nadać jej imiona, zanim...

Mera przyłożyła główkę dziewczynki do jego ust, które wypowiedziały sekretne imię, to imię tworzy duchową więź między dzieckiem a bogami, żaden śmiertelnik nie może go usłyszeć, taka kryje się w nim tajemna moc. A potem, już na głos, wypowiedział imię, pod którym dziewczynka będzie znana wśród ludzi:

— Selena. Nazywa się Selena...

— Opatrzę teraz wasze rany — powiedziała łagodnie Mera, ale powstrzymał ją ruchem głowy. Zaraz zrozumiała dlaczego. Leżał w dziwacznej pozycji.

— Zabierz ją stąd — szepnął. — Natychmiast! Jeszcze dziś! Nie mogą jej znaleźć! Ukryj ją. Opiekuj się nią. Pochodzi od bogów.

— Ale kim wy jesteście? Co mam jej powiedzieć o jej rodzicach, rodzinie? Z wysiłkiem przełknął ślinę.

— Ten pierścień. Daj go jej, gdy dorośnie. On powie jej... wszystko. Doprowadzi ją do jej przeznaczenia. Należy do bogów...

Rzymianin umarł, kiedy Mera zsuwała ciężki złoty pierścień z jego palca i w tej samej chwili mała Selena zaczęła płakać.

Mera spojrzała na nią i zaskoczona dostrzegła drobną wadę wrodzoną: nieprawidłowo ukształtowany język dziewczynki. Wtedy zrozumiała: to był znak, że bogowie wybrali to dziecko. Rzymianin powiedział prawdę: ta mała dziewczynka rzeczywiście pochodziła od bogów.

# KSIEGA PIERWSZA

Antiochia w Syrii

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Selena właśnie przechodziła przez rynek, gdy doszło do wypadku.

Znajdowała się w mniej sobie znanej części miasta, na jego północnych obrzeżach, gdzie rozciągały się szerokie aleje i stały wille bogaczy, a trafiła tu w ten upalny lipcowy dzień, gdyż szła do sklepu z rzadkimi ziołami leczniczymi. Matka potrzebowała lulka czarnego do sporządzenia nasennego wywaru. Mera wysyłała Selenę do Greka Paxisa po to, czego nie hodowała w swoim ogródku albo nie mogła dostać na dużym targowisku w dolnej części miasta. Selena znalazła się na rynku w tym samym momencie, gdy sprzedawca kobierców uległ wypadkowi.

Selena widziała, jak do tego doszło. Mężczyzna właśnie przywiązywał zrolowane dywany do grzbietu osła i schylił się, by podnieść koniec sznura, gdy zwierzę znieacka wierzgnęło, uderzając kopytem w głowę handlarza.

Dziewczyna patrzyła przez chwilę, potem podbiegła do nieprzytomnego, zapominając o koszyku z ceną zawartością. Klęknięła obok rannego i ułożyła sobie jego głowę na kolanach. Straszliwie krwawił, jego twarz niepokojąco zmieniała kolor. Paru przechodniów zatrzymało się, przypatrując scenie z lekkim zaciekawieniem, ale nikt nie ruszył palcem, by pomóc. Selena podniosła wzrok na otaczających ją ludzi.

— P-pomocy! — zawołała. - On cie-cie-cie-... — skrzywiła się, bezskutecznie próbując wyrzucić z siebie słowa.

Zgromadzeni tylko gapili się na nią. Wiedziała, co sobie myślą: nie umie mówić. Widać niedorozwinięta.

— On cie-cierpi — wykrztusiła w końcu. Ręce miała całe we krwi.

Przechodnie wodzili po sobie wzrokiem.

— Jemu już nic nie pomoże — stwierdził sprzedawca ubrań, który wybiegł ze swego kramu i teraz bacznie się przypatrywał drogim kobiercom, myśląc, jak by tu je sobie przywłaszczyć. — Władze miasta zajmą się pochówkiem.

— Ale on ż-żyje! — odparła Selena, zmagając się z opornym językiem.

Kiedy ludzie zaczęli się rozchodzić, tracąc zainteresowanie całą sprawą, zaczęła wołać, żeby pomogli, żeby coś zrobili. Przecież tak nie wolno, nie



można go tak po prostu zostawić. Cóż ona sama może zrobić? Nie ma nawet jeszcze szesnastu lat i jest sama w obcej dzielnicy.

— Co się dzieje? — rozległ się z tłumu głos.

Selena podniosła wzrok i zobaczyła, że jakiś mężczyzna przeciska się przez cizbę. Jego zachowanie cechowała pewność siebie, ubrany był w białą togę obywatela rzymskiego.

— O-osioł go k-kopnął. — Starła się mówić jak najwyraźniej. — W głowę.

Nieznajomy patrzył na dziewczynę. Głęboka bruzda między brwiami nadawała jego twarzy gniewny wyraz, ale oczy były łagodne. Przez chwilę bacznie się przypatrywał jej oczom, błagającym o pomoc, i ustom, zmagającym się z opornym językiem.

— No tak — odezwał się. Klęknął i szybko zbadał sprzedawcę dywanów. — Chodź ze mną. Może uda nam się go uratować.

Selena z ulgą patrzyła, jak nieznajomy daje znak towarzyszącemu mu roslemu smagłemu niewolnikowi, który przerzucił sobie przez ramię nieprzytomnego handlarza. Potem szybko ruszyli ulicą. Selena była wysoka i dotrzymywała im kroku. Zupełnie zapomniała o koszyku pozostawionym na rynku, a którym zajął się nie wierzący swemu szczęściu żebrak, nie pomyślała też o matce, czekającej w ubogiej dzielnicy

Antiochii na nasiona lulka czarnego, potrzebne do zabiegu usunięcia płodu, jaki miała wykonać dziś po południu.

Weszli do bramy w wysokim murze i Selena znalazła się na dróżce prowadzącej przez pełen kwiatów ogród. Nigdy przedtem nie widziała tak olbrzymiego domu, tak dużych, przestronnych pokoi. Jej sandały nigdy jeszcze nie stapały po tak cudownych podłogach, gładko wypolerowanych i pokrytych mozaikami. Nie wyobrażała sobie, że ściany mogą być tak pięknie wyłożone marmurem, a meble tak bogate i wytworne. Rozglądała się na wszystkie strony, podążając za mężczyzną i jego niewolnikiem przez atrium, w końcu zatrzymali się w komnacie większej niż jej dom, w której znajdowało się tylko łoże, krzesło i stoliki na złożonych nóżkach.

Kiedy nieprzytomny sprzedawca dywanów został ułożony na posłaniu, wsparty o poduszki, nieznajomy zdjął białą togę i zaczął badać ranę.

— Nazywam się Andreas — zwrócił się do Seleny. — Jestem lekarzem.

Niewolnik natychmiast zaczął otwierać szuflady, pudełka, nalewać wody do miski, wyjmować płótno i narzędzia. Selena z szeroko otwartymi oczami przyglądała się, jak lekarz zręcznie i wprawnie ogolił czaszkę mężczyzny, a potem obmył krwawiącą ranę winem i octem.

W tym czasie dokładniej przyjrzała się komnacie. Jak bardzo różniła się od pomieszczenia, w którym Mera leczyła swoich chorych! Do domu Seleny wiodła ścieżka wydeptana przez setki pacjentów szukających pomocy, jedyna izba pełna była przedmiotów niezbędnych jej matce w leczeniu chorych: na ścianach wisiały narzędzia, półki zastawione były słoikami, z niskiego sufitu zwieszały się pęki ziół i korzeni, miseczki piętrzyły się jedna na drugiej, we wszystkich kątach leżały bandaże i płótna. Tak wyglądało przytulne schronienie, znane chorym i rannym z ubogich dzielnic Antiochii, i tak wyglądał jedyny dom, jaki знаła Selena w ciągu blisko szesnastu lat swojego życia.

Ale ta komnata! Duża, przestronna, o lśniących posadzkach, pełna słońca, które wpada przez okno, na misternych stolikach ułożone starannie narzędzia i gąbki, ustawione w równych rzędach słoiczki. A w rogu — posąg Eskulapa, boga lekarzy. Tak wygląda pomieszczenie, w jakim greccy lekarze przyjmują pacjentów — uświadomiła sobie Selena. Słyszała już dawniej, jak nowoczesne i skuteczne są ich metody.

Widząc, jak Andreas wprawnie rozcina skórę na głowie rannego i rozchyła brzegi rany, Selena pozbyła się wszelkich wątpliwości. Ten człowiek pewnie uczył się medycyny w samej Aleksandrii!

Andreas przerwał na chwilę zabieg i zwrócił się do dziewczyny:

— Możesz poczekać w atrium. Mój niewolnik zawoła cię, gdy skończę.

Jednak Selena pokręciła przecząco głową i została na miejscu.

Rzucił na nią zdziwione spojrzenie i zaczął tłumaczyć, co robi:

— Najpierw musimy sprawdzić, czy kość nie pękła — mówił cicho po grecku, używając wyszukanych słów, jakie Selena rzadko słyszała w swojej dzielnicy. — Aby się o tym przekonać, musimy zastosować to...

Zafascynowana Selena przysunęła się bliżej i patrzyła, jak Andreas smaruje odsłoniętą czaszkę gęstą czarną pastą. Dostrzegła, że ręce lekarza są gładkie, a palce długie i smukłe. Po chwili Andreas zgarnął pastę.

— Spójrz — powiedział, wskazując czarną linię na czaszce. — Tutaj pękła kość. Widzisz wklęsnięcie? Widzisz, jak kość jest wciśnięta? Właśnie tutaj uciska mózg. Muszę ten ucisk zlikwidować, inaczej ten człowiek z całą pewnością umrze.

Selena jeszcze szerzej otworzyła oczy. Przez wszystkie te lata, kiedy pomagała matce, pracowała u boku Mery i uczyła się starożytnej sztuki leczenia, nie widziała otwierania czaszki. Andreas sięgnął po narzędzie, które wyglądało zupełnie jak świder, używany przez nią i matkę w kuchni.

— Malachusie — odezwał się do niewolnika. — Zechciej mi pomóc, proszę.

Oszołomiona Selena patrzyła na świder. Dłonie Andrea-sa poruszały nim rytmicznie i płynnie, a Malachus co chwila polewał ranę wodą. W końcu świder się zatrzymał, Andreas odłożył go na bok, mówiąc:

— Oto ono, jajko, które by go zabiło albo sparaliżowało na całe życie.

Selena zobaczyła je. Jajo demona, spoczywające między czaszką a mózgiem, skutek uderzenia oślim kopytem. Przypatrywała mu się z czcią i grozą. Kiedy do ich domu przynoszono rannego z urazem czaszki, matka robiła papkę z opium i chleba, przykładając ją na głowę ofiary, a potem odmawiała modlitwę, dawała pacjentowi magiczny amulet i odsyłała do domu. Mera nigdy nie używała noża ani nie otwierała czaszki, większość takich przypadków kończyła się śmiercią pacjenta. Selena z bijącym sercem zastanawiała się, czy nie jest świadkiem cudu.

Andreas wziął do ręki narzędzie wyglądające jak tępa łopatką, delikatnie wsunął je pod czaszkę i uniósł uciskający mózg odłamek kości. W tej samej chwili nieprzytomny mężczyzna jęknął, jego twarz zaczęła odzyskiwać normalny kolor, a oddech stał się głębszy.

Selena spojrzała na profil Andreasa. Skoncentrowany na swej pracy wyglądał surowo, brwi miał ściągnięte nisko nad ciemnymi szaroniebieskimi oczami. Duży orli nos podkreślał gniewny wyraz twarzy, zaciśnięte usta tworzyły wąską linię, a mocną kwadratową szczękę okalała ciemnobrązowa, schludnie przycięta broda. Zdaniem Seleny mógł sobie liczyć jakieś trzydzieści lat, pierwsze oznaki siwizny na skroniach świadczyły, że Andreas należy do mężczyzn, którzy już w wieku czterdziestu lat mają zupełnie siwe włosy.

Jajo zostało wydobyte w całości, ale jednocześnie niepokojąco obficie popłynęła z rany krew. Andreas spokojnie, bez słowa pracował dalej. Twarz miał ściągniętą — nie lękiem, lecz koncentracją. Jego oczy miały skupiony wyraz, oddech był płytki, ostrożny. Ręce płynnie kontynuowały pracę, choć Selena cały czas spodziewała się, że lekarz lada chwila rzuci narzędzia i krzyknie: „Tego się nie da zrobić!”

Mimo to Andreas nie ustępował. Oczami, rękami, całym sobą skupiony był na pacjencie, jakby cały świat wokół niego przestał istnieć. Ta zawziętość, wbrew wszelkim przeciwnościom, wzbudzała w Selenie podziw.

W końcu krwotok zaczął słabnąć. Andreas odłożył narzędzia, obmył ranę winem, wypełnił otwór ciepłym pszczelim woskiem i zeszył brzegi rany. Myjąc na koniec ręce, zwrócił się do Seleny:

— Jeśli w ciągu trzech dni odzyska przytomność — będzie żył, jeśli nie — umrze.

Spojrzenia Seleny i lekarza na chwilę się spotkały, ale dziewczyna odwróciła wzrok, żałując, że nie potrafi jasno sformułować tych wszystkich pytań, które kłębiły jej się w głowie.

Nagle mężczyzna na pościeli krzyknął przez sen i zaczął wymachiwać ramionami. Niewolnik Malachus, który właśnie bandażował mu głowę, odskoczył.

— Ma atak! — krzyknął Andreas, podbiegając do mężczyzny. Próbował złapać go za rękę, ale chory go odepchnął.

— Przynieś sznury, Malachusie! — zawołał lekarz.

— I przyprowadź Polibusa. Będziemy potrzebować pomocy. Selena patrzyła, jak sprzedawca kobierców, nadal nieprzytomny i błądzący jak ściana, szarpie się i miota po pościeli niczym opętany przez demony. Andreas próbował go powstrzymać, żeby nie spadł na podłogę, ale chory nie dopuszczał go do siebie, bez przerwy wymachując ramionami. Biedaczysko walił głową o pościel, na nowo otwierając ranę. Krew zaczęła przesiąkać przez bandaż. Z gardła rannego dobył się dziwaczny charkot, żyły na jego szyi nabrzmiały.

Malachus wrócił z potężnie zbudowanym niewolnikiem. Dopiero we trójkę udało im się przywiązać ręce i nogi chorego do pościeli. Ale atak nie ustępował, nieprzytomny mężczyzna nadal próbował się wyrwać. Słychać było takie odgłosy, jakby lada chwila miały popękać mu ścięgna i kości.

— Nic tu nie poradzimy — odezwał się w końcu Andreas.

— Sam się zabije.

Selena wpatrywała się w lekarza, na moment ich spojrzenia się spotkały. Potem dziewczyna popatrzyła na pacjenta. Była jedna szansa...

Bez słowa zbliżyła się do chorego. Zamknęła oczy i w duchu wywołała obraz — wizję płomienia, pojedynczego złocistego płomienia łagodnie wzbijającego się w górę. Wokół niego była tylko ciemność. Selena skupiła myśl na tym jednym palącym się równo płomieniu, póki nie poczuła jego ciepła i nie usłyszała cichego pomruku jego siły. Koncentrując się na płomieniu, ogniu, który palił się w głębi jej duszy, zwolniła oddech i świadomie rozluźniła wszystkie mięśnie. Miała wrażenie, że minęły całe godziny, choć zbieranie sił i koncentracja na owym „ogniu" trwały zaledwie parę chwil.

Patrzącemu na nią Andreasowi i jego dwóm niewolnikom wydawało się, że dziewczyna zapadła w rodzaj snu, jej twarz nie zdradzała ogromnego

skupienia umysłu, nie widać było również, jak z wolna budzi się w niej moc. Patrzyli ze zdumieniem, jak oddychająca równo i spokojnie dziewczyna wolno unosi ręce i wyciąga je nad wstrząsanym drgawkami chorym. Trzymała wyciągnięte dłonie tuż nad mężczyzną, nie dotykając go, a po chwili zaczęła nimi poruszać, zataczając najpierw małe kółka, potem coraz większe, aż objęły całe ciało chorego.

W świadomości Seleny został tylko płomień. Wszystko poza nim przestało istnieć. Podobnie jak Andreas bez reszty skupiał uwagę na otwartej czaszce, tak teraz ona wszystkie swe myśli i siły skierowała na wizję płomienia. A gdy go „dotknęła”, żar spłynął z jej umysłu wzdłuż ramion i dłoni, promieniując na uniesione do połowy ciało chorego.

Andreas z ciekawością patrzył na kołyszącą się, szczupłą postać dziewczyny. Obserwował jej twarz — wysokie kości policzkowe, pełne wargi, twarz, która jeszcze przed chwilą była buzią nieśmiałej, zakłopotanej dziewczyny, a teraz miała wyraz przedziwnego spokoju.

Dziewczyna trzymała wyciągnięte przed sobą ramiona i rozpostarte dłonie, aż wreszcie znękane ciało handlarza dywanami zaczęło się odprężać, chory szarpnął się jeszcze raz, obrócił na bok, w końcu zapadł w sen.

Selena otworzyła oczy i zamrugała jakby przebudzona ze snu. Andreas ściągnął brwi.

— Co to było?

Unikała jego spojrzenia, znów onieśmielona. Selena nie przywykła do rozmów z nieznanymi. Zawsze byli zdziwieni, słysząc z tak ślicznych warg z trudem wymawiane słowa, potem na ich twarzach pojawiała się zniecierpliwienie, a ich miny mówiły wyraźnie: „głuptaska”. Nieraz powtarzała sobie w duchu, że powinna się do tego przyzwyczaić po tylu latach dokuczania ze strony innych dzieci, ignorowania przez sprzedawców na rynku, gdy chciała coś kupić, ostrych słów: „Mówże wyraźniej!”, kiedy ludzie nie mogli jej zrozumieć. Matka mówiła jej, że przyrośnięty język, z którym się urodziła, to znak wyróżnienia przez bogów, że bogowie ją w ten szczególny sposób wybrali. Dlaczego zatem ludzie tak źle ją traktowali, mimo iż ta wrodzona wada została skorygowana?

Jednak ku zdumieniu Seleny przystojna twarz greckiego lekarza nie wyrażała żadnej z typowych reakcji. Zmusiła się do spojrzenia mu w twarz, popatrzyła w surowe, a zarazem łagodne ciemne oczy — i wydało jej się, że widzi w nich współczucie.

— P-pokazałam mu, jak zasnąć — odważyła się powiedzieć.

— Jak?

Selena mówiła najwolniej jak potrafiła. Trudno jej było wyraźnie wypowiadać słowa, potrzebowała na to czasu, więc ludzie zwykle kończyli za nią zdania.

— N-nauczyła mnie tego m-matka. Andreas uniósł brwi.

— Matka?

— Jest mądrą.

Andreas zamyślił się, a po chwili, przypomniawszy sobie handlarza kobiercami, podszedł do łóżka, zdjął zakrwawione bandaże i zaczął na nowo opatrywać ranę. Skończywszy, wziął zardzewiały grot włóczni i oskrobał go nożem nad raną.

— Ta rdza przyspieszy gojenie — wyjaśnił, widząc pytające spojrzenie Seleny. — Wiadomo, że wrzody niewolników goją się w kopalniach miedzi i żelaza wyjątkowo szybko, choć nikt nie wie dlaczego.

Założył świeży bandaż na ranę, delikatnie ułożył głowę handlarza na pościeli, po czym zwrócił się do Seleny:

— Opowiedz mi dokładniej, co zrobiłaś, żeby go uspokoić? Jak to uczyniłaś?

Zażenowana Selena wbiła wzrok w podłogę.

— N-nic t-takiego nie zrobiłam — odparła. — W-wypro-wadziłam j-jego e-e... — Zacisnęła dłonie w pięści. — Jego energię z chaosu.

— Czy to lekarstwo? Potrząsnęła głową.

— T-to nie leczy. J-jedynie p-pomaga.

— Zawsze tak działa?

— Nie.

— Ale jak? — naciskał. — Jak to uczyniłaś?

Selena zagryzła wargi, wpatrując się we wzór na marmurowej posadzce.

— To bardzo s-stary sposób. W-widzi się płomień. Andreas nie odrywał oczu od Seleny. Dziewczyna była piękna. Przywodziła mu na myśl pewien rzadki kwiat, który kiedyś widział, zwany hibiskusem. Miała śliczne rysy, zwłaszcza usta.

Cóż za ironia losu — pomyślał — żeby usta o tak doskonałej formie były tak niedoskonałe w pełnieniu swej funkcji.

Dziewczyna nie miała przyrośniętego języka, widział to, kiedy mówiła. Ale dlaczego w takim razie nie mogła mówić normalnie?

Gdy handlarz dywanami głośno zachrapał, Andreas uśmiechnął się i powiedział:

— Wygląda na to, że twój płomień czyni cuda.

Selena nieśmiało podniosła wzrok i zobaczyła, jak uśmiech odmienił twarz Andreasa. Kiedy ustąpił z niej groźny wyraz, od razu wyglądał młodziej. Ten męczyzna coraz bardziej ją intrygował.

Andreas też był coraz bardziej zaintrygowany dziewczyną. Wada wymowy była z pewnością skutkiem skorygowanej w dzieciństwie deformacji, ale zabieg musiał być wykonany dość późno, a potem zaniedbano ćwiczenia wymowy. Andreas domyślał się, jak owa ułomność musi zatruwać życie biedaczce i wpływać na jej zachowanie. Ta piękna dziewczyna była rozpaczliwie nieśmiała, spłoszona, o wystraszonej, lęklwym spojrzeniu. Dlaczego nikt jej nie pomógł?

Po twarzy Andreasa przebiegł cień, a między brwiami znowu zarysowała się bruzda. Tę przedwczesną zmarszczkę u zaledwie trzydziestoletniego mężczyzny wywołały długie lata gorzkich doświadczeń.

A co mnie to obchodzi? — spytał się w duchu. Przecież już dawno temu przestał się czymkolwiek przejmować.

Powiał wiatr, poruszając cienkie zasłony w oknie. Gorący oddech lata niósł zapach palącego się drewna, kwiatów w pełnym rozkwicie, zielonej rzeki, zmierzającej do morza. Podmuch wiatru, który przebiegł przez dom lekarza Andreasa, wyrwał go z zadumy.

— Sama sobie nie poradzisz ze swym przyjacielem — odezwał się, skinąwszy na Malachusa. — Mój niewolnik ci pomoże.

Zaskoczona Selena spojrzała na niego.

— Przypuszczam, że chcesz go zabrać do domu — rzekł Andreas.

— D-domu?

— No tak, tam powróci do zdrowia. A co zamierzałaś z nim zrobić?

Selena wyglądała na zmieszaną.

— N-nie wiem. N-nawet go n-nie znam. Na twarzy lekarza pojawiło się zdumienie.

— Jak to? Nie znasz tego człowieka?

— P-przechodziłam przez r-r... — Selena w przerażeniu podniosła ręce do ust. — Mój koszyk!

— Powiadasz więc, że nie znasz tego człowieka? To po co, u licha, wzywałaś pomocy?

— Mój koszyk! — wykrzyknęła znowu. — N-nasze ostatnie p-pieniądze... Ziola...

W głosie Andreasa zabrzmiało zniecierpliwienie.

— Skoro nie znasz tego człowieka i ja nie znam go z całą pewnością, to co tu robimy? I po co — ruchem dłoni wskazał posłanie — to robiłem?

Selena spojrzała na zabandażowaną głowę.

— B-był ranny.

— Był ranny — powtórzył z niedowierzaniem Andreas, zerkając na wyraźnie rozbawionego Malachusa. Ściągną! brwi.

— Całe popołudnie spędziłem nad obcym człowiekiem. I co ja mam teraz z nim począć?

Selena miała bezradną minę. Zniecierpliwienie Andreeasa przeszło w irytację.

— Spodziewałaś się, że go tu zatrzymam, tak? Nie trzymam pacjentów w domu. To nie należy do lekarza. Uratowałem go. Teraz niech rodzina zajmie się jego rekonwalescencją.

Na twarzy Seleny pojawiła się desperacja.

— Ale ja n-nie znam jego rodziny!

Andreas wpatrywał się w dziewczynę. Czy to dziecko naprawdę przejmowało się losem zupełnie obcego człowieka? Dlaczego? Nikogo na świecie to nie obchodzi. Kiedy ostatnio spotkał kogoś równie naiwnego? Przed laty, kiedy jeszcze mieszkał w Koryncie i patrzył w swoje odbicie w sadzawce, widząc żółtodzioba, gładkoliciego chłopca, który miał wkrótce zostać odarty ze złudzeń.

Andreas opanował gniew. Ta dziewczyna znajdowała się jeszcze po tamtej stronie, jeszcze nie przekroczyła tego nieuniknionego progu, była niewinna, nie zepsuta i choć nawet nie potrafiła dobrze mówić, zatrzymała się na rynku, by udzielić pomocy człowiekowi, którego nie знаła.

Selena widziała wyraz jego twarzy, powróciło dawne pytanie, dręczące jej umysł, odkąd pamiętała, ten stały i najwyraźniej nierozwiązywalny problem: jak postępować z ludźmi?

Niejeden raz Selena była świadkiem powtarzającej się sytuacji: obcy przychodzili do jej matki po pomoc, a potem nie mieli dokąd pójść, by w spokoju powracać do zdrowia. Ludzie samotni, wdowy bez przyjaciół, upośledzeni, żyjący w odosobnieniu, wszyscy, których Mera leczyła, a którymi potem nie miał się kto zająć. A na ulicach... Och, te ulice! Zwłaszcza w portowej dzielnicy nędzy, gdzie roilo się od dzieci, gdzie prostytutki rodziły w zaułkach, gdzie bezimiennych marynarzy nagle dosięgała choroba i śmierć na bruku. Ludzie leżeli tam, gdzie upadli, bo nikt się o nich nie troszczył, bo nie mieli gdzie pójść.

— P-proszę, p-panie, czy n-nie zechciałbyś się n-nim zająć...



Andreas przypatrywał jej się przez chwilę, w duchu przeklinając swój pośpiech — najgłupszy konował pamięta, by najpierw pytać, a dopiero potem działać! Wreszcie poczuł, że mięknie pod jej spojrzeniem.

— No dobrze — rzekł w końcu. — Poślę Malachusa, żeby popytał na rynku. Może ktoś zna tego człowieka. A na razie — zmarszczył brwi, sięgnął po białą togę i zarzucił ją na ramię — może wracać do zdrowia w pomieszczeniach moich niewolników.

Selena uśmiechnęła się z wdzięcznością.

Andreas popatrzył na nią dłużej. Dziewczyna miała w sobie jakiś magnetyzm, choć nie potrafił określić, na czym to polegało. Z pewnością nie pochodziła z zamożnej rodziny — wskazywało na to jej ubogie ubranie. Ileż mogła mieć lat? Z pewnością nie skończyła szesnastu, bo nadal nosiła dziewczęcą sukienkę do kolan. Podejrzewał jednak, że już niedługo nadejdzie chwila, gdy otrzyma swoją stolę i pallę — strój kobiety dorosłej. Zatrzymał ponownie wzrok na jej ustach, tak niewiarygodnie zmysłowych. Pełne wydatne wargi, które jeszcze raz przywiodły mu na myśl tropikalny kwiat hibiskusa w pełnym rozkwicie. To usta nadawały jej twarzy uwodzicielskie, egzotyczne piękno, prześladowające tego, kto tę twarz raz zobaczył. Andreas wątpił, czy dziewczyna zdaje sobie sprawę ze złośliwego żartu bogów, którzy obdarzyli ją ustami, nadającymi jej ten hipnotyczny urok, a zarazem stanowiącymi jej przekleństwo. Jakimż zaskoczeniem było dla niego — i zapewne dla każdego, kto pierwszy raz z nią rozmawiał — słyszeć, jak z tych pięknych warg z trudem dobywają się bełkotliwe słowa. To była jakby kpina z jej urody, pomyślał z nieoczekiwanym wzruszeniem.

— Co zgubiłaś na rynku? — pod wpływem impulsu spytał Andreas.

— L-lulek czarny — odparła i uniosła palce, by pokazać, ile tego było.

— Daj jej to, czego potrzebuje — zwrócił się Andreas do Malachusa. — I koszyk.

— Tak, panie — odparł zaskoczony niewolnik i podszedł do ustawionych w rzędzie słoików.

Twarcz lekarza znowu spochmurniała, przybierając ten ponury wyraz, który go postarzał, ale jego głos brzmiał łagodnie:

— Następnym razem zastanów się, nim ruszysz komuś z pomocą. Dom innego mężczyzny może nie okazać się tak bezpieczny jak mój.

Dziewczyna splonęła się po korzonki włosów, wzięła od Malachusa koszyk, wyjąkała słowa podziękowania dla Andreasa i wybiegła.

Andreas długo jeszcze stał, wsłuchany w echo jej kroków z korytarza. Pokręcił głową. Co za wyjątkowe popołudnie! Najpierw operował jakiegoś

obcego człowieka, który najprawdopodobniej nigdy mu nie zapłaci, a potem obdarował odpowiedzialną za to wszystko dziewczynę koszykiem najdroższych ziół leczniczych. W zamian nie otrzymał nic, nawet — uświadomił sobie nagle — nie poznał jej imienia!

## ROZDZIAŁ DRUGI

— Spójrz! Widzisz to, córko? — szepnęła Mera. Selena pochyliła się, patrząc w lusterko z brązu umieszczone w pochwie przy ujściu macicy.

— To szyjka — mówiła Mera. — Błogosławione wrota, przez które wszyscy wychodzimy na świat. Widzisz tę nić? Wiele miesięcy temu związałam nią szyjkę, gdy groziło, że otworzy się na długo przed czasem, kiedy dziecko powinno się urodzić. Przyglądaj się uważnie temu, co robię.

Selena nigdy nie przestawała zdumiewać wiedzą matki, Mera zdawała się wiedzieć wszystko o narodzinach i życiu. Znała zioła, które zwiększały płodność u kobiet pragnących mieć dzieci, znała maści zapobiegające poczęciu, gdy kobieta nie chciała zajść w ciążę, wiedziała, jakie fazy księżyca i dni sprzyjają poczęciu dziecka i jego narodzinom. Znała amulety najlepiej chroniące dziecko w łonie matki, potrafiła nawet bezpiecznie przerwać ciążę u kobiet, które z różnych powodów nie powinny rodzić dzieci. Jeszcze tego samego popołudnia Selena przyglądała się, jak Mera wsuwała bambusowy pręt do łona ciężarnej o tak wątłym zdrowiu, że poród z pewnością by ją zabił. Bambus — wytłumaczyła Mera — umieszczony w macicy powoli wchłonie wilgoć z ciała kobiety, napęcznieje i otworzy szyjkę, by wypuścić maleńki, jeszcze nieukształtowany zarodek.

Mera i Selena zajmowały się tego wieczora młodą kobietą, która trzykrotnie w ciągu ostatniego roku poroniła i zaczęła rozpaczać, że nigdy nie urodzi dziecka. Jej młody mąż, wytwórca namiotów, gorąco pragnął dziedziców, by im przekazać tajniki swego rzemiosła, jego bracia już zaczęli go namawiać, żeby rozwiódł się z żoną i poszukał innej małżonki.

Dlatego też ta kobieta, będąca w drugim miesiącu ciąży, w obawie, że i tym razem straci dziecko, przysłała do Mery — swej ostatniej deski ratunku. Mera postąpiła odwrotnie niż w wypadku kobiety pragnącej pozbyć się dziecka. Zamiast delikatnie zmusić szyjkę do rozwarcia i wypuszczenia dziecka, zamknęła ją, owijając wokół niej nić i zaciskając mocno. Następnie poleciła, by kobieta leżała w łóżku przez całą zimę i wiosnę.

Dziewięć miesięcy dobiegło końca, młoda położnica leżała na łożu, jej napęczniały brzuch pulsował zdrowymi skurczami porodu. Zdenerwowany małżonek klęczał u jej boku.

— Teraz musimy bardzo uważać — powiedziała cicho Mera. — Mocno trzymaj światło, córko. Przetnę nić.

Selena zapisywała w pamięci każde słowo, każdy ruch matki. Od kiedy skończyła trzy lata i potrafiła odróżnić bezpieczny liść mięty od trującego

liścia naparstnicy, pracowała z matką, ucząc się od niej. Tego wieczora, po przybyciu do domu położnicy, Selena pomogła Merze w przygotowaniach: roznieciła święty ogień Izydy, wypaliła miedziane narzędzia w płomieniach, by odpędzić złe duchy choroby, odśpiewała hymny do Hekate, bogini rodzących, prosząc ją o opiekę nad tą młodą matką, a w końcu rozłożyła prześcieradła i ręczniki, gotowe na przyjęcie dziecka.

Potem — najpierw obmywszy dłonie — położnicą zajęła się Mera. Jej orla twarz przypominała ciemnobrunatną rzeźbę.

Młoda kobieta jęczała, ściskając ręce męża, Mera zaś pewnym ruchem wprowadziła długie miedziane szczypce do pochwy i delikatnie uchwyciła nimi koniec nici. Potem sięgnęła po długi nóż, trzymała go teraz w dłoni z ogromnym skupieniem.

Macica nie leżała nieruchomo, lecz tętniła życiem. Każdy skurcz popychał główkę dziecka do związanego nicią otworu. W pewnym momencie nic uciekła i Mera znowu ją chwyciła szczypcami. Rodząca krzyknęła, próbując unieść biodra. Selena kilka razy musiała zmieniać położenie lampy. Przytrzymała lusterko. Tylko cienka i miękka ściana w ciele matki dzieliła ostrze noża od delikatnej główki dziecka.

— Trzymaj ją mocno — zwróciła się Mera do pobladłego męża kobiety. — Muszę teraz ciąć, dłużej nie mogę zwlekać.

Selena czuła, jak jej wali serce. Asystowała już przy wielu porodach i wiedziała, że każdy mógł przynieść niespodziankę. Każdy był inny, każdemu towarzyszył element ryzyka, cudu, niebezpieczeństwa. Temu dziecku — Selena o tym wiedziała — grozi uduszenie się w łonie matki, mogą je zabić skurcze lub wyczerpanie próbami wyjścia na świat.

Miasto za ścianami domu spało cicho w upalnym powietrzu nocy. Pół miliona mieszkańców Antiochii pogrążonych było we śnie — wielu leżało na dachach domów — podczas gdy Egipcjanka Mera po raz kolejny dokonywała cudu.

Oczy młodego męża były okrągłe ze strachu. Na czole kroplił się pot. Selena uśmiechnęła się, dotknęła jego ramienia, próbując go uspokoić i dodać mu otuchy. Mężczyźni czasem tak samo cierpieli podczas porodu jak ich żony, zagubieni i bezradni w obliczu tej niezgłębionej tajemnicy istnienia. Selena widziała mężczyzn, którzy mdleli przy łóżku położnicy, inni woleli czekać na zewnątrz, w towarzystwie przyjaciół. Ten młody człowiek był dobrym mężem. Choć było wyraźnie widać, że jest rozstrojony i chciałby znaleźć się gdzie indziej, trwał przy boku żony, próbując pomóc jej przejść tę ciężką próbę.

Selena ponownie położyła mu dłoń na ramieniu. Spojrzał na nią, przełknął ślinę i skinął głową.

Mera nie odrywała wzroku od kobiety. Siedziała sztywno wyprostowana, wstrzymując oddech. Wystarczy jeden zły ruch noża, a wszystko będzie stracone.

Nagle skurcze na chwilę ustały i Mera zobaczyła, że główka dziecka cofnęła się. Uniosła długi nóż i szybko, zręcznie przecięła nić. Położnica krzyknęła. Mera pospiesznie zabrała narzędzia, szykując się do odebrania dziecka. Selena przeszła na drugą stronę i uklękła przy rodzącej, przykładając jej wilgotną szmatkę do czoła. Poród był w pełnym toku. Skurcze następowały tak szybko po sobie, że prawie nie było między nimi przerwy. Mera mówiła kobiecie, kiedy ma przeć, a kiedy czekać. Młody małżonek, biały jak prześcieradła, na których leżała jego żona, gryzł wargi. Selena objęła dłońmi głowę kobiety, zamknęła oczy i przywołała płomień duszy. Nie potrafiła pocieszać słowami, gdyż nie miała daru gładkiej, uspokajającej wymowy. Ale jej ręce mówiły za nią, długie chłodne palce przynosiły spokój, pewność i siłę. Wreszcie położnica wydała ostatni krzyk i dziecko znalazło się w oczekujących rękach Mery.

Zdrowy mały chłopczyk natychmiast wrzasnął i wszyscy się roześmiali, a najgłośniej mąż. Uszczęśliwiony chwycił żonę w objęcia i zaczął szeptać jej do ucha czułe obietnice.

Nocne straże obeszyły już miasto po raz drugi, gdy Mera i Selena wróciły do domu. Mera podeszła do szafki, by napić się czegoś, a Selena zaczęła myć miedziane narzędzia porodowe i uzupełniła leki w torbie matki. Była zmęczona, lecz podniecona, nie myślała o sporyszu i ciemierniku — uniwersalnych ziołach akuszerki, ale powróciła pamięcią do willi w górnej części miasta, gdzie tego popołudnia Andreas lekarz dokonał cudu.

Przypominała sobie każdy szczegół tak, jakby mężczyzna stał teraz przed nią w blasku lampy: ciemnobrązowe kędziory, opadające na wysokie czoło, złotą lamówkę jego białej tuniki, a niżej — muskularne nogi, jego ręce, pracujące nad uszkodzoną czaszką, jakby to było dzieło sztuki. Znowu patrzyła w jego oczy: ciemnoniebieskie, o nieco opuszczonych kąciakach, ocienione gniewnymi brwiami. Po raz kolejny zadała sobie pytanie, co sprawiło, że Andreas stał się tak nieczuły.

Selena zerknęła na matkę, krzątającą się przy szafce w alkowie. Zastanawiała się, czy porozmawiać z nią o Andreasie. Tak wiele pragnęła się dowiedzieć. Nigdy jeszcze tak się nie czuła. Była oszołomiona. Nie rozumiała, dlaczego nie mogła się skoncentrować przy pracy — i po południu,

gdy usuwały ciężę pani Flawii, i w nocy, podczas narodzin syna tego młodego małżeństwa. Choć z całej siły zmuszała się do myślenia wyłącznie o tym, co powinna robić, miała ciągle przed oczami przystojną twarz greckiego medyka.

Selena niewiele miała do czynienia z mężczyznami. Pomagała czasem Merze, gdy jakiś marynarz miał kłopoty z zębami albo trzeba było nastawić złamaną nogę robotnikowi z doków. Poza tym nie miała żadnych kontaktów z chłopcami ani mężczyznami, a już na pewno nigdy nie przebywała z nimi sama na sam tak długo, jak z Andreasem. Chłopcy z sąsiedztwa, z tej zatłoczonej uliczki zamieszkaanej przez pospólstwo, nie zwracali uwagi na Selenę. Była ładna, ale brakowało im cierpliwości, by jej wysłuchać, gdy próbowała coś powiedzieć.

Dziewczyna przyglądała się, jak matka nalewa sobie jakiś płyn ze słoiczka i wypija. Mera wie wszystko — myślała. Nie było rzeczy, której jej matka by nie rozumiała, nie potrafiła wyjaśnić. A mimo to...

Selena nigdy nie słyszała, by matka mówiła o miłości, o mężczyznach, mężach i małżeństwie. Gdy dziewczynka była mała, opowiedziała jej, że jej ojciec był rybakim i utonął w morzu przed jej przyjściem na świat — ale poza tym nic więcej nie mówiła na ten temat. Choć mężczyźni czasem okazywali zainteresowanie Merą i Selena widziała, jak przychodzą do niej z podarunkami, matka uprzejmie, lecz zdecydowanie ich odprawiała.

Selena ponownie zajęła się myciem narzędzi.

Małżeństwo. Do tej pory nigdy właściwie się nad nim nie zastanawiała. Ilekroć myślała o przyszłości, wyobrażała sobie, że będzie żyła tak samo jak matka: skromnie, samotnie w małym domku, uprawiając zioła w ogródku, przyjmując na świat dzieci.

Czy Andreas ma żonę? — zastanawiała się, wycierając narzędzia, zawijając je w miękką szmatkę i odkładając na miejsce. — Czy też mieszka sam w tym olbrzymim domu? I dlaczego jego twarz miała tak gniewny wyraz, chociaż oczy świadczyły o współczującym sercu?

Jakże cierpliwie czekał, gdy Selena mówiła, nie kończąc za nią zdań ani nie ignorując jej, tak jak inni! Andreas! Cóż za piękne imię! Chciała wypowiedzieć je na głos, delektować się nim. Wiedziała, że dzisiejszej nocy nie zaśnie, tylko będzie leżała w ciemności, ponownie przeżywając każdą chwilę owego niezwykłego popołudnia.

Z mrocznej wnęki, w której szykowały posiłki, matka obserwowała Selenę i potajemnie piła miksturę. Otarłszy wierzchem dłoni usta, Mera odstawiła słoik i zamknęła oczy. Czuła, jak silny lek zaczyna krążyć w jej żyłach i choć jeszcze nie zaczął działać, wiedziała, że za chwilę przyniesie ulgę i znieczuli

ból w jej ciele. Mera miała nadzieję, że jeszcze na tę jedną noc się od niego uwolni.

Ale — pomyślała, chowając głęboko słoiczek — jak długo jeszcze? Wiedziała, że wkrótce będzie musiała zwiększyć dawkę. A wtedy już nie zdoła ukryć choroby przed Seleną.

Wiatr, świszczący na pustej ulicy, przypomniał Merze inną noc sprzed prawie szesnastu lat, kiedy taki sam wiatr przyniósł do jej drzwi dziwną przesyłkę. Coraz częściej powracało do niej wspomnienie tamtych dni i wiedziała dlaczego: bo znowu zaczęły ją nękać sny.

Te koszmarne sny nie dawały jej spokoju w pierwsze noce po ucieczce z Palmiry, śnili jej się wówczas żołnierze w czerwonych płaszczach, którzy wdierali się do domu, chwyтали Selenę i wywlekali ją w noc. Czasem w tych snach Mera widziała, jak zabijają dziewczynkę. Innym razem Selena znikła w atramentowych ciemnościach. Mera budziła się wówczas z łomotem serca, cała mokra od potu. Sny ustały wiele lat temu i już o nich zapomniała, teraz jednak wróciły i były tak realistyczne, że Mera bała się zasypiać.

Co mogły oznaczać? Dlaczego wróciły po tylu latach? Czy dlatego, że Selena wkrótce skończy szesnaście lat i zostanie uznana za dorosłą kobietę? Czy też bogowie ją w ten sposób ostrzegali? A jeśli tak, to przed czym?

Stojąc w ciemnej wnęce i czekając, aż lek stępi ból szarpiący jej ciałem, Mera myślała o sobie, o swoim życiu.

Wysoka i smukła, nadal pociągająca mimo swoich pięćdziesięciu jeden lat, wiodła kiedyś ciężkie życie, nigdzie nie zapuszczając korzeni, błakając się po świecie, wciąż przenosząc się do nowych, obcych miast, czasem tylko zaznając przygodnej miłości z jakimiś mężczyznami, których imion już nie pamiętała. Pięćdziesiąt jeden lat zastanawiania się, do jakiego celu dąży, czekania, aż Bogini objawi jej, czemu właśnie ona, Mera, została wybrana na uzdrowicielkę ciał i dusz.

A dlaczego dano jej to dziecko? Czy całe jej dawniejsze życie było tylko przygotowaniem do wychowania sieroty? Sama Selena stanowiła tajemnicę. Choć Mera wiedziała tak wiele i była tak mądra, nie potrafiła rozwikłać zagadki swej córki.

Niewielkie dziedzictwo, jakie wyniosła Mera z tamtego domku w Palmirze, miała przekazać dziecku, gdy Selena osiągnie dojrzałość. Był to pierścień, kosmyk włosów zmarłego Rzymianina, kawałek płótna, na które urodził się bliźniaczy brat Seleny. Te przedmioty posiadały ogromną moc i określały tożsamość Seleny. Co oznaczały — tego Mera nigdy nie zdołała zgłębić. Ale

zachowała je, by pewnego dnia przekazać je Selenie, dziewczyna sama będzie musiała dalej dochodzić prawdy.

Mera trzymała w małej szkatułce różę z kości słoniowej, którą przed laty w Byblos podarował jej wdzięczny pacjent. Róża miała wielkość śliwki, była wyrzeźbiona z najbielszej kości słoniowej, nieskazitelna i doskonała w każdym szczególe. Jej środek został wydrążony, by można tam było schować cenne pamiątki. Mera umieściła tam pierścień, kosmyk włosów i skrawek płótna, po czym skrytkę zalepiła. Przez wszystkie te lata nieraz wyjmowała różę ze szkatułki i pokazywała ją Selenie, nie mówiąc, co znajduje się w środku, ale dając jej do zrozumienia, że ta róża ma bezcenną wartość i znaczenie.

Gdy Selena pytała, co kryje się we wnętrzu róży, Mera odpowiadała dziewczynie, że musi ona poczekać do swych szesnastych urodzin. Wtedy, tak jak inne dziewczęta, Selena będzie poddana obrządkowi uznania za dojrzałą kobietę.

I co mam jej wtedy powiedzieć? — pytała się w duchu Mera, przyglądając się, jak Selena odstawia torbę z lekami. — Będę musiała wyznać prawdę: że nie jestem jej prawdziwą matką. Ale odbierając jej to poczucie bezpieczeństwa, nie będę mogła dać jej w zamian prawdziwych rodziców.

Lekarstwo wreszcie zaczęło działać, a Mera znów pomyślała o tamtej nocy sprzed blisko szesnastu lat. Jeszcze raz przypomniała sobie paniczną ucieczkę z chaty, która przez pięć lat była jej domem. Cały swój dobytek — zioła, leki, narzędzia i zwoje z zaklęciami — wrzuciła wówczas do skrzynki i z noworodkiem w koszyku przytroczonym do grzbietu starego osła ruszyła na północ. To była długa i ciężka podróż, w samotności i lęku. Mera kilkakrotnie zbaczala ze szlaku, by zmylić ewentualną pogoń, w miasteczkach i oazach zatrzymywała się tylko na krótki odpoczynek, a potem — znów w drogę. Przyłączała się do karawan zdążających na zachód, dzieliła wodą z Arabami na pustyni, modliła w świątyniach obcych bogów, póki wreszcie nie dotarła do zielonej Antiochii, miasta położonego na żyznym łonie doliny Orontesu. Właśnie na obrzeżach tej metropolii wyczytała nocą w gwiazdach, że jej wędrówka dobiegła końca. Gwiazdy i planety zapewniły, że dziecko będzie tu bezpieczne.

I tak się stało. Selena żyła tu bezpiecznie i szczęśliwie od prawie szesnastu lat, dorastając, ucząc się i wnosząc do samotnego życia Mery jedyną prawdziwą miłość. Teraz zaś to wszystko miało się skończyć. Zostało niewiele czasu i Mera coraz bardziej się niepokoiła. Za dwadzieścia dni odbędzie się pierwsza ceremonia, najważniejszy dzień w życiu dziewczyny,



kiedy oficjalnie zrzuca ona dziecinne szatki, a przywdziewa stołę, długą suknię dorosłej kobiety. Obetnie też jeden lok panięskich włosów i złoży go w ofierze bogom domowym.

U większości dziewcząt uroczystość przywdziania dorosłej szaty kończyła się wielką ucztą, na którą schodzili się przyjaciele i krewni. Selenę jednak czeka! jeszcze dodatkowy obrządek. Przy pierwszej pełni księżyca po jej urodzinach, za dwadzieścia osiem dni, Mera zabierze Selenę w pobliskie góry i tam odkryje przed nią głębsze Tajemnice.

Mera nauczyła Selenę wszystkiego, co wiedziała o sztuce leczenia, dzieląc się z nią wiedzą, którą od stuleci matki przekazywały córkom, a którą Mera niegdyś poznała dzięki swej matce. Teraz jednak musi nastąpić przekazanie ostatecznych Tajemnic podczas obrzędu, w jakim Mera przed laty sama uczestniczyła na pustyni w Egipcie. Nie wystarczy bowiem znać zioła i sposoby ich warzenia, mądrą musi również łączyć duchowa więź z Boginią, gdyż od Bogini pochodzi siła uzdrawiania.

Nic nie może stanąć na przeszkodzie w odprawieniu tego obrzędu — myślała Mera, patrząc, jak Selena szykuje się do snu. — Nawet moja śmierć.

Mera zamknęła oczy i próbowała wywołać obraz swego płomienia duszy, by przyspieszyć działanie opium na jej chore ciało, ale była zbyt napięta, a myśli za bardzo pochłonięte przyziemnymi troskami. Martwiła się o Selenę, o jej przyszłość. Mera była umierająca. Już wkrótce Selena zostanie zupełnie sama na świecie. Czy jest na to przygotowana? I jak sobie poradzi? Ona, która nadal boi się mówić, nie potrafi się porozumiewać z innymi?

Selena przyszła na świat z przyrośniętym językiem. Dziewczynka miała już siedem lat, gdy Merze udało się znaleźć chirurga na tyle zręcznego i doświadczonego, by zdołał uwolnić przyrośnięty język. Do tamtej pory Selena nie mówiła, ale nawet po operacji miała trudności z poprawną wymową. Ponieważ dzieci się z niej śmiały, a dorośli pokrzykiwali, żeby szybciej mówiła to, co ma do powiedzenia, wada wymowy zamiast ulec poprawie, pogłębiała się przez lata. Wskazówki, jakich mogła udzielić Mera, niewiele pomagały wobec braku wyrozumiałości ze strony otoczenia. Stąd też, zaledwie na dwadzieścia dni przed oficjalnym uroczystym wejściem w dojrzałość, Selena niosła brzemię chorobliwej nieśmiałości.

Błogosławiona Izydo — modliła się Mera — pozwól mi dożyć chwili, gdy włożę na nią dorosłą szatę. Daj mi czas na dokonanie tych obrzędów, na wprowadzenie jej w dorosłość i niezależność. Błagam cię też, błogosławiona Izydo, spraw, by moja córka zachowała czystość do dnia poznania Tajemnic...

Mera spochmurniała, przypominając sobie, jak podniecona wróciła dziś Selena z miasta.

Koszyk na jej ramieniu był inny niż ten, z którym rano wyszła z domu, znajdowało się w nim o wiele więcej lulka, niż było je na to stać. Selena bełkotała coś bez ładu i składu o jakimś mężczyźnie, którego kopnął osioł, o przystojnym Greku lekarzu i cudownym uleczeniu. Mera nigdy jeszcze nie słyszała u niej takiego potoku słów.

— N-najpierw w-wypalił narzędzia w o-ogniu — udało jej się powiedzieć.  
— I u-umył t-też ręce.

— Tak — odparła Mera. — Ale ogień musiał pochodzić ze świątyni, inaczej na nic by się to nie zdało. A kadzidła nie spalił? Jakie amulety wsunął pod bandażę? Jakie modlitwy odmawiał? Jacy bogowie byli w izbie?

Zdaniem Mery nawet najlepiej wyszkolony lekarz nie mógłby sobie poradzić bez pomocy bogów. I żeby używać noża! Owszem, do przecięcia czyraka czy nici zaciśniętej na szyjce macicy, ale żeby zagłębiać go w ciele człowieka! To świętokradztwo i pycha! Mera pokładała ufność w ziołach i czarach, chirurgia była dla szarlatanów i lekkomyślnych ryzykantów.

Wychodząc z alkowy i szykując się do snu, Mera znów przypomniała sobie, jak wyglądała twarz Seleny opowiadającej o greckim lekarzu. Nigdy przedtem nie widziała u córki takiego wyrazu twarzy i z tym większym niepokojem myślała o nadchodzących dniach. Selena musi dostąpić wtajemniczenia czysta duchem, sercem i ciałem. Nic nie może jej rozpraszać, żadne cielesne pragnienia. Dziewczynę czeka post, modlitwa i medytacja, które wzniosą jej świadomość ku bogom. Mera będzie musiała strzec córkę przez te ostatnie, bezcenne dwadzieścia osiem dni.

Mera wyciągnęła się na posłaniu i westchnęła ze znużeniem. Miała za sobą ciężki dzień. Rankiem nastawiała złamaną rękę żony rybaka — była to prawa ręka, tak jak to się zdarzało u większości kobiet. Niewiasta twierdziła, że spadła ze schodów, ale Mera знаła prawdę: ręka została złamana, gdy kobieta osłaniała się przed rozwścieczonym mężem. Przerażona kobieta zasłania prawą ręką twarz i to na tę rękę pada cios wymierzony w głowę. Przez te wszystkie lata Mera widziała podobne przypadki tysiące razy.

Po żonie rybaka musiała jeszcze przeciąć czyrak, oczyścić ropiejące ucho, musiała utrzyć zioła na proszek, a po południu usunąć ciężę pani Flawii. Większość tych zajęć Mera wykonała pod nieobecność córki, która znowu dała się wciągnąć w cudze kłopoty.

Selena najwyraźniej uważała za swój obowiązek pomagać wszystkim napotkanym nieszczęśnikom, niezależnie od tego, czy jej wysiłki miały

jakiegokolwiek szanse powodzenia. Jako dziecko zносиła do domu pokaleczone zwierzęta, które trzymała w skrzynkach, pielęgnowała, a gdy wracały do zdrowia, wypuszczała na wolność. Potem układała w łóžeczkach lalki, bandażując ich drewniane rączki i nóżki. Mera nie miała pojęcia, skąd Selenie przyszedł do głowy ten pomysł: koncepcja domu, w którym chorzy mogliby przebywać razem. Podejrzewała też, że gdyby tylko ta jej nieżyciowa córka miała możliwość, ściągałaby do domu i pielęgnowała każdą pokrzywdzoną istotę na świecie.

Mera zapatrzyła się w mrok i w tym mroku dojrzała swą najbliższą przyszłość — śmierć. Myślałam, że mam przed sobą jeszcze wiele lat życia, ale los zrządził inaczej.

Guz w jej ciele, którego jeszcze niedawno nie było, a który pojawił się nagle i szybko rósł, uświadomił Merze, jak krótki jest żywot śmiertelników. Bieg jej życia był równie przewidywalny jak bieg rzeki Orontes, teraz jednak przepelnił je gorączkowy pośpiech, a dni upływały zbyt szybko, jakby porywane rwącym nurtem.

Pójdę do świątyni, zapytam wyrocznię. Muszę wiedzieć, jaką przyszłość zgotowały Selenie gwiazdy.

Mera poczuła ostre ukłucie w boku i z rozpaczą zdała sobie sprawę, że lekarstwo jednak nie pomogło.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Znajdowali się w tawernie, w portowej dzielnicy Antiochii, gdzie prostytutki wieszały nad drzwiami czerwone latarnie, by przybyli marynarze wiedzieli, że interes się kręci.

Andreas i Naso, kapitan statku, siedzieli w spokojnym kącie, z dala od pijanego tłumu, leniwie przyglądając się dwóm nagim dziewczętom, kołyszącym się w rytm muzyki cymbałów i fletu. Choć na Andreasie, jako lekarzu, nagość kobiety nie robiła szczególnego wrażenia, nie pozostawał obojętny wobec uwodzicielskiego kołysania się piersi i brzuchów. W czasie swoich podróży Andreas poznał wiele tancerek. Ale dziś, choć bardzo starał się wprowadzić w wesoły nastrój, był rozdrażniony i nie mógł skupić myśli. Nie potrafił pozbyć się z pamięci tamtej dziewczyny, tej z rynku.

Gośćmi karczmy „Pod Apollinem” byli przeważnie marynarze, banda pijanych awanturników, którzy właśnie powrócili z morza lub urządzali ostatnią libację przed postawieniem żagli. Przybyli z całego świata do tętniącego życiem portu Antiochii, gdzie krzyżowały się drogi Imperium Rzymskiego i położonych dalej krain. Byli to ludzie, którzy snuli najdziwniejsze opowieści, ich skóra była stwardniała, oczy wyblakłe od blasku słońca na powierzchni rozkołysanych mórz, mieli ogromne apetyty, lecz ich potrzeby były nieliczne i proste. Jak na ironię, to właśnie z tymi posiwiiałymi bezdomnymi wyrzutkami społeczeństwa wykwintny Andreas czuł się za pan brat. Jednym z nich był sękaty, spalony słońcem Naso, który szczycił się posiadaniem największego nosa w Syrii, a zatem i na całym świecie. Już trzykrotnie Andreas i Naso zawierali między sobą ów osobliwy pakt, a dziś właśnie po raz czwarty przystępowali do ustalenia warunków.

Kapitan osuszył swój dzban i przywołał służącą, by przyniosła następny. Andreas jak zwykle ciągle jeszcze hołubił pierwszy dzban piwa, ledwie go napocząwszy. Mimo tylu lat znajomości i wspólnie przeżytych przygód, ten spokojny lekarz pozostawał dla kapitana zagadką. Naso nie miał pojęcia, co przyciąga tego człowieka do statków i portu w dziwnie regularnych odstępach czasu. Już trzykrotnie był świadkiem tej dziwacznej potrzeby, kiedy Andreas pływał z nim po morzach. Lekarz zamykał dom, odsyłał pacjentów do innych medyków i płacił za rejs w odległe strony. Na statku Andreas trzymał się na uboczu, zamknięty w sobie, a w jego oczach malował się dziwny głód. Spędzał całe tygodnie na pokładzie, zapatrzony w horyzont, trzymając się z dala od załogi, samotnie spożywając posiłki. I kiedy już Naso zaczynał się o niego obawiać i coraz częściej nachodziła go myśl: „Zaraz wyskoczy za

burtę", Andreas się ożywiał. Zaczynał się uśmiechać, rozmawiać z załogą, jadać posiłki w towarzystwie kapitana, a w końcu powracał do domu, jak człowiek oczyszczony.

Kapitan wiedział, że tego wieczora Andreasa znowu wzięło. Znał już ten wyraz twarzy z Aleksandrii, Byblos i Cezarei — z portów, w których dawniej mieszkał lekarz-podróżnik. Trucizna znowu płynęła w żyłach Andreasa. Kiedy w ubiegłym roku Naso usłyszał, że Andreas kupił dom w Antiochii, w jego serce wstąpiła nadzieja.

Już z nim lepiej — pomyślał wtedy kapitan. — Ustatkuje się. Ożeni.

A tymczasem Andreas, po kilku zaledwie miesiącach pobytu w pięknej willi, znowu szuka statku w porcie.

Co go tak raz po raz ciągnęło na morze? Naso nie wiedział i nigdy nie odważyłby się spytać. Słyszał powiedzenie: „Medyku, lecz się sam”, podejrzewał jednak, że na ranę w sercu Andreasa nie pomoże żadne lekarstwo.

— Wyruszamy o świcie, wraz z odpływem — odezwał się Naso, otrzymawszy nowy dzban piwa.

Wziął z talerza kielbaskę, owinął ją podpłomykiem i wkładając do ust, dodał:

— Tym razem płyniemy do słupów Heraklesa i dalej. Odpowiada ci to, Andreasie?

Andreas skinął głową. Nigdy go nie obchodziło, dokąd płynie statek, wystarczyło, że płynął. Niewolnik Malachus, przyzwyczajony do dziwacznych zachcianek swojego pana, miał zająć się domem podczas morskiej podróży Andreasa, choć mogła ona tym razem potrwać aż pół roku.

— Weźmiesz sobie dziś dziewczynę, synu? — spytał Naso, który już wybrał jedną dla siebie. — Upłynie wiele czasu, nim znowu zobaczysz kobietę.

Lecz Andreas pokręcił przecząco głową. Nie odczuwał teraz potrzeby kobiety, tego wieczoru prześladował go obraz tylko jednej. Tej dziewczyny z koszykiem, która miała tak osobliwą wymowę i która wpakowała mu handlarza kobiercami.

Andreas ściągnął brwi i przyglądał się tłumowi w tawernie, próbując przestać myśleć o dziewczynie.

Scytyjski handlarz oddawał mocz na ścianę w głębi sali, dwóch czarnych jak noc marynarzy z Mauretanii grzmociło się pięściami, na co nikt nie zwracał uwagi, ktoś posadził sobie na ramionach karła, który bazgrał coś na wolnym skrawku ściany.

Dlaczego? — pragnął wiedzieć Andreas. W czasie swoich podróży poznał wiele kobiet i dziewcząt, ale żadna nie wywarła na nim takiego wrażenia, jak ta. — Dlaczego ona?

Andreas zmarszczył się, bo gniewała go ta wewnętrzna walka z samym sobą.

Jest inna — mówiło serce.

Wcale nie — odpowiadał rozum.

Ostatecznie kobiety na całym świecie były takie same. Andreas wiedział o tym jako lekarz i jako mężczyzna.

— Wpadłeś w oko tamtej — odezwał się Naso, budząc Andreeasa z zadumy.

Lekarz obejrzał się i dostrzegł wśród tłumu młodą prostytutkę, która wyraźnie była nim zainteresowana. On również bacznie jej się przyjrzał. Była jak na kobietę wysoka, miała białą skórę i włosy czarne jak Hades. I krwistoczerwone usta. Przypominała mu...

— Nie odmawiaj sobie tej przyjemności, druhu — nalegał Naso, sięgając po kolejną kielbaskę.

Andreas opuścił głowę. Te hipnotyczne, pełne wargi, kryjące kaleki język, ciągle go prześladowały. Jak ona się nazywa? Jak ona się nazywa?

Podniósł wzrok i zobaczył, że prostytutka przepycha się ku niemu przez tłum, ze śmiechem oganiając się przed łakomymi dłońmi mężczyzn. Naso wcześniej niż Andreas zauważył w jej oczach błysk chciwości, niewątpliwie potrafiła dostrzec, że trafia jej się gratka. Tacy mężczyźni jak ten lekarz, o delikatnych dłoniach, w białej todze, byli rzadkimi gośćmi w tej części miasta. Naso nie mógł pojąć, czemu przyjaciel jeszcze się nie ożenił.

Andreas przyglądał się dziewczynie, a kiedy podeszła blisko, poczuł, jak ogarnia go smutek. Biel jej skóry nie była naturalna, gruba warstwa pudru ryżowego kryła plamy i wypryski, wąskie usta zaś pomalowane były szminką w ten sposób, by wydawały się pełne. Wystarczyło jedno spojrzenie lekarza, by odgadnąć, jakie było dotychczasowe, pełne ciężkich doświadczeń życie prostytutki, a także odgadnąć jej przyszłość. Choroba niszczyła szpik w jej kościach. Zastanawiał się, czy dziewczyna zdaje sobie sprawę, jak niewiele życia ma przed sobą, że jej przyszłość można liczyć w miesiącach, a nie latach.

Nim zdążyła unieść suknię i usiąść nagimi pośladkami na jego kolanach, Andreas gwałtownie wstał. Sztywno skłonił się kapitanowi, do ręki oszołomionej dziewczyny wsunął złotą monetę, jakiej jeszcze nigdy nie miała w dłoni.

— Będę na statku o świcie — powiedział.

Na dworze otoczyła go gorąca, parna noc. Było lato, wody Orontesu płynęły leniwie. Andreas rozejrzał się w prawo i w lewo. Na tej ulicy czerwonych latarni było jasno jak w dzień — światła płonęły przed domami, w oknach i nad drzwiami. Andreas zarzucił togę na ramię i ruszył wzdłuż nabrzeża, wiedząc z doświadczenia, że należy trzymać się oświetlonych i uczęszczanych ulic. Poznał już wiele portowych dzielnic Imperium Rzymskiego, a porty na całym świecie były do siebie podobne.

Szedł, pogrążony w myślach.

Tak, znowu odezwał się w nim ten niepokój. Tym razem nieco wcześniej niż zwykle. Dawniej Andreasowi udawało się wytrzymać dwa, trzy lata, zanim nie nabierało się tyle trucizny, że musiał uciekać na otwarte morze, by się z niej oczyścić. Tym razem wytrzymał tylko rok od ostatniej podróży z kapitanem Naso. Wszystko przez tę dziewczynę.

Kiedy już sobie poszła, a on przeniósł nieprzytomnego handlarza dywanami do izby niewolników, z bólem stwierdził, że nie może pozbyć się myśli o niej. Tego popołudnia, gdy stał i patrzył, jak śliczne usta dziewczyny zmagają się z oporną wymową, Andreama na krótko ogarnęło wzruszenie. Ale jego serce, uodpornione na cieplejsze uczucia, szybko się z tym uporało. Andreas nauczył się już, że twarde serce to serce bezpieczne, serca z kamienia nic nie zdoła zranić. Dlatego odesłał dziewczynę, a Malachusowi kazał się wywiedzieć, czy w porcie jest kapitan Naso. Gdyby się okazało, że go nie ma, Andreas poszukałby innego kapitana solidnego statku, który wyruszał w odległe strony. Na szczęście jednak Naso był w Antiochii i szykował się, by płynąć do Brytanii. Andreas O świcie znajdzie się na jego statku.

Z zamyślenia wyrwał go nagły krzyk, po nim usłyszał następne. Z pobliskiej uliczki wybiegł mężczyzna. Ręce miał zbroczone krwią.

— Pomocy! — zawołał, chwytając Andreama za ramię. — Mój przyjaciel jest ranny! Krwawi!

Andreas podejrzliwie spojrział w głąb cienistej uliczki i dostrzegł leżącego na ziemi człowieka, który trzymał się za krwawiące ucho.

— Co się stało? — spytał.

— Zostaliśmy napadnięci! Chcieliśmy skrócić sobie drogę i ktoś na nas wyskoczył! Mój kamrat jest poważnie ranny. Obcięli mu ucho!

Andreas popatrzył na szarą ze strachu twarz mężczyzny, a potem na człowieka, leżącego w kałuży krwi. Już miał się odwrócić, kiedy przed oczami zamajaczyła mu postać jękającej się dziewczyny, która błagała przechodniów, by pomogli rannemu nieznanemu.

— Jestem lekarzem. Mogę mu pomóc — powiedział odruchowo.

— Niech cię bogowie błogosławią! — wykrzyknął mężczyzna, biegnąc z powrotem alejką.

Kiedy Andreas dotarł do rannego i przyklęknął nad nim, natychmiast zauważył, że rana jest rzeczywiście poważna.

— Wszystko będzie dobrze, przyjacielu — powiedział. — Jestem lekarzem. Pomogę ci.

Na co drugi mężczyzna, który stał nad nim, odezwał się cicho:

— Dobra, teraz rób, co ci każe, a z tobą też wszystko będzie dobrze.

Andreas podniósł wzrok, dostrzegł zakrwawiony nóż i w jednej chwili pojął, że dał się nabrać na najstarszą sztuczkę świata, jaką nawet początkujący medyk potrafiłby przejrzeć. Człowiek leżący w kałuży krwi był pierwszą ofiarą, a potem stał się przynętą, na którą złapała się druga. Andreas poczuł, jak krew zastyga mu w żyłach.

— Możesz zabrać moje pieniądze — odezwał się, jak mógł najspokojniej.

W tej samej chwili zobaczył, jak ramię złodzieja wznosi się i opada, w ułamku sekundy, nim cios dosięgnął jego głowy, a gwiazdy i światła latarni zgasły, Andreas zdążył pomyśleć: Więc to w końcu nadeszło, po tylu latach...



## ROZDZIAŁ CZWARTY

Idąc ciemną ulicą za chłopcem niosącym latarnię, Mera złościła się w duchu, że dała się wyciągnąć z domu. Nie chciała dziś nigdzie wychodzić. Pochłaniały ją przygotowania do uroczystości przywdziania stoli i wtajemniczenia Seleny, które miało nastąpić za osiem dni. Czas uciekał, a ona usiłowała dotrzymać mu kroku. Kiedy jednak w drzwiach pojawiła się znajoma twarz drobnej chudziutkiej dziewczynki, którą ubiegłej zimy Mera wyleczyła z zapalenia płuc, błagającej, by mądra poszła do portu, bowiem Naso, kapitan statku, jej potrzebuje, kiedy zobaczyła te olbrzymie oczy i poczuła, jak tamta ciągnie ją za suknię, ustąpiła. W końcu przede wszystkim miała leczyć, złożyła święte śluby przed Boginią.

Prostytutka mieszkała nad rzeką, w jednej z tych stawianych naprędce insulae. Były to chwiejne przeludnione domostwa, które często zawały się wraz z lokatorami. Chłopiec z latarnią powiódł Merę po stromych kamiennych stopniach na drugie piętro, gdzie czekała dziewczyna. Za nią stał potężny mężczyzna o pobrużdżonej twarzy — zapewne kapitan statku, domyśliła się po jego stroju Mera.

— Dziękuję, że zechcieliście przyjść, matko — wyszeptała dziwka, nazywając ją tak dla okazania szacunku. — On leży tutaj.

Bystre przenikliwe spojrzenie Mery objęło naraz wszystko: nędzny pokój oświetlony cuchnącą lampą, w której płonęła najtańsza oliwa, ziemistą cerę dziewczyny, marynarski krok kapitana, a w końcu ciało mężczyzny na pościeli.

— Jutro miał wypłynąć ze mną w morze — odezwał się Naso, patrząc, jak Mera klęka przy jego druhu. — Wpadł w zasadzkę rabusiów.

— Żyje? — spytała drżącym głosem prostytutka, która, jak wkrótce dowiedziała się Mera, miała na imię Zoe.

Mera delikatnie dotknęła szyi nieprzytomnego mężczyzny i wyczuła słaby puls.

— Tak — odparła i skinęła na chłopca, by podał jej skrzynkę, którą dźwigał przez drogę.

Skrzynka była z cedru, wyrzeźbiono na niej święte i tajemne znaki. Tam Mera trzymała leki.

— Wracaj do domu, chłopcze, dziękuję, żeś przyszedł tu ze mną — powiedziała. — Idź, prześpij się i powiedz swemu ojcu, że jutro wyrwę mu za to ten bolący ząb.

Naso i Zoe w pełnym napięcia milczeniu patrzyli, jak szczupłe smagłe dłonie Mery rozsuwają tunikę na piersi Andreasa. Zobaczyli, że ręce nagle się zatrzymały. Mera uniosła łańcuch zawieszony na szyi rannego i przypatrywała mu się w świetle lampy. Wisiało na nim oko Horusa, symbol egipskiego boga lekarzy. Mera spojrzała na kapitana.

— Jest lekarzem?

— Tak. Jutro o świcie ma wypłynąć na moim statku. Mera pokręciła głową.

— Nie wypłynie z wami, kapitanie. Został uderzony w głowę.

— Niech to! — Naso splunął i przeklął pierwszego boga, jaki mu przyszedł na myśl. — W takim razie nic tu po mnie — stwierdził i odwrócił się do wyjścia.

— Poczekaj! — Zoe złapała go za ramię. — Nie możesz go tu zostawić!

Naso uwolnił ramię.

— Muszę zająć się statkiem, kobieto!

— Ale on nie może tu zostać! — zawołała dziewczyna.

— Sprowadzam tu klientów!

Kapitan spojrzał na Merę, która otwierała swoją skrzynkę.

— Możecie go zabrać, matko?

— Nie wolno go ruszać.

Naso ciężko przestępował z nogi na nogę. Nie miał pojęcia, gdzie Andreas mieszka, nie wiedział, po kogo posłać. Po chwili namysłu sięgnął za pas i wyciągnął małą skórzaną sakiewkę.

— Masz — powiedział, rzucając ją prostytutce. — To zapłata za zajęcie się nim. Dał mi te pieniądze, żebym go wziął na statek.

Zoe otworzyła mieszek i szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w jego zawartość. Popatrzyła na nieprzytomnego Andreasa, pewne ruchy dłoni Mery i szybko coś w duchu kalkulowała.

— No dobrze — oświadczyła wreszcie. — Może zostać. Mera poprosiła o nalanie wody do miski. Wyjmowała ze skrzynki leki i opatrunki, myśląc cały czas o niewykończonej stoli — długiej sukni, jaką Selena ma otrzymać w czasie uroczystości uznania za dorosłą, o róży z kości słoniowej, którą trzeba zanieść do złotnika, by zrobił do niej łańcuch, o zwoju tajemnych zaklęć spisywanych dla Seleny. Czy zdąży zrobić to wszystko na czas? Dwadzieścia dni to tak mało, a ból w jej ciele narastał.

Mera sprawnie opatrzyła Andreasa.

— Wyleczę go — zwróciła się do prostytutki i kapitana.

— Choć nie znam tego mężczyzny, jako lekarz jest moim bratem...

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Zoe siedziała na podłodze, po raz kolejny licząc monety. Nie po to, by ocenić ich wartość — tę już знаła od dwóch dni, odkąd przyniesiono jej nieznanego. Dziewczyna rozkładała powoli monety na podłodze — osobno srebrne, osobno miedziaki, widziała bowiem w nich swoje życie, a raczej, jakie to życie mogłoby być — tak odmienne od obecnego. Te pieniądze otwierały przed nią drogę, którą mogła uciec od przeklętego żywota, jaki teraz wiodła. One ją ocala.

Kłopot w tym, że nie należały do niej.

Naso zostawił je jako zapłatę za opiekę nad rannym Grekiem, ale nawet półgłówki zauważyłby, że zawartość mieszka znacznie przewyższała cenę czasu Zoe. Zaledwie jedna z tych monet równała się jej całorocznym zarobkom. Mieszek stanowił równowartość życia — życia pełnego bólu, upokorzeń, lęku i samotności. Zoe spoglądała w swą ponurą przyszłość i widziała mężczyzn — nieczułych i szorstkich, paru łagodnych, wielu okrutnych, chorobę, ubóstwo i rozpacz, a u kresu — samotną starą kobietę, dożywającą swych dni w porcie i żebrzącą o kubek piwa. Te monety, na których widniały wizerunki przypominające bogów i obce napisy, pokazywały jej inne życie — życie godne i przyjemne, w ciepłych stronach, może na Sycylii, gdzie zamieszkałaby w małym domku, doglądała ogródka, może nawet miałyby własne drzewko oliwne, a przy studni wymieniała ploteczki z sąsiadkami. Zaczęłyby od początku, pogrzebałaby Zoe dziwkę, a powołała do życia zupełnie inną osobę, może godną szacunku młodą wdowę, której mąż zginął na morzu. Żyłaby w słońcu, chodziła z wysoko uniesioną głową, a nocą spała spokojnie w swoim łóżku. Dech zapierała jej myśl, że ta cudowna wizja jest teraz w zasięgu ręki.

Zoe zerknęła na pogrążonego we śnie mężczyznę. Dzięki środkom uśmierzającym ból, które dała mu Mera, przespał te dwa dni. Cios w głowę odebrał mu pamięć — kiedy kilka razy obudził się, nie wiedział, kim jest ani co tu robi. Mera jednak powiedziała, że wkrótce zaćmienie umysłu ustąpi i mężczyzna odzyska pamięć. Wtedy będzie mógł wezwać rodzinę i zostanie zabrany do domu, gdzie będą go doglądać w jego własnym łóżku.

No i — pomyślała Zoe — zabierze pieniądze.

Przyglądała mu się zmrużonymi oczami. Zastanawiała się nad jego naszyjnikiem. Oko jakiegoś boga, jak powiedziała Mera, zrobione ze złota i lapis-lazuli — z pewnością warte dwa razy tyle co monety z sakiewki! Naszyjnik i sakiewka z pewnością by wystarczyły, by natychmiast, w jednej

chwili zerwać z tym życiem. Mogłaby uciec z tego nędznego pokoiku, zostawić za sobą ciężkie portowe życie i przyłączyć się do zdążającej na południe karawany jako młoda szacowna wdowa, która pragnie wygodnego spokojnego życia.

Znachorka mówiła, że już tu nie wróci. Zoe będzie musiała zostawić tego chorego i nieprzytomnego człowieka bez opieki. Czy to ma znaczenie? Z pewnością wkrótce się obudzi, wezwie pomocy, albo ktoś go później znajdzie. Jego zguba — to jej szczęście. Zoe uśmiechnęła się do siebie. Decyzja zapadła: jeszcze tej nocy wyrusza w drogę.

Zgarnawszy monety i wrzuciwszy je do mieszka, zaczęła krzątać się po pokoju, zbierając swój nędzny dobytek i zawiązując tobolek. Była już gotowa do wyjścia, pozostało tylko jedno: zdjąć złoty łańcuch z szyi nieznajomego. Obróciła się i ku swemu zdumieniu ujrzała, że mężczyzna nie śpi.

Usiadł. W blasku księżyca spoglądali na siebie: Zoe czujnie, ściskając swój tobolek, nieznajomy nieufnie, marszcząc brwi. Przez te dwa dni, które u niej przeleżał, dziewczyna właściwie mu się nie przyjrzała, dopiero teraz, gdy usiadł i patrzył na nią, zobaczyła, że jest zniewalająco przystojny.

— Gdzie jestem? — spytał.

Zoe nagle ogarnęło nowe, nieznane wcześniej uczucie, tak potężne, że przeszył ją dreszcz. Mężczyzna wydawał się taki... bezbronny.

— W moim domu — odparła.

— Kim jesteś?

— Nie pamiętasz?

Zoe ostrożnie podeszła do chorego i stanęła w blasku światła księżyca, wpadającego szeroką smugą przez okno.

— Czy ja cię znam? — spytał.

Przygryzła wargę. Czyżby stracił pamięć? Mądra ostrzegała ją, że to możliwe. A jeśli tak, to może zapomniał i o pieniądzach?

— Spotkaliśmy się przed dwoma dniami — powiedziała. Zmarszczył czoło w zakłopotaniu. Uniósł rękę i potarł nią głowę.

— Co się stało?

— Napadli cię rabusie. W uliczce koło portu.

Jeszcze mocniej zmarszczył brwi. Był oszołomiony. Ciemnoniebieskie oczy przyglądały się Zoe tak bacznie, że zacisnęła na piersiach pallę. A gdy tak stała, mierząc go wzrokiem, Andreasowi zaświtało, że skądś ją zna... Te czerwone usta...

— Rynek — powiedział z namysłem. — Handlarz kobiercami. Była tam dziewczyna...

Zoe wstrzymała oddech.

— Czy to byłaś ty?

Zawahała się. Nieraz już odgrywała rolę innej. Smutni, samotni, pijani mężczyźni przychodzili do niej, wyobrażając sobie, że znów są w ramionach Bythii, Debory czy Lotus, i szukając w chudym ciele Zoe czegoś więcej niż zwykłego zaspokojenia zmysłów. Pragnęli spełnienia marzeń, snów, odzyskania straconej nadziei. Ileż to nocy leżała na tym posłaniu nie jako Zoe dziwka, ale jako nie widziana od roku żona, ukochana z odległych lat młodości, czasem jako cudza małżonka, a nawet jako matka. Więc jeśli ten zagubiony człowiek chce w niej widzieć jakąś przypadkowo spotkaną dziewczynę z rynku, chyba nie stanie się nic złego, gdy będzie ją udawać? Skoro to ma go uszczęśliwić...

— Tak, ja nią jestem — odparła.

— Uciekłaś — mówił niewyraźnie. — Nawet mi nie powiedziałaś, jak się nazywasz.

Oszołomiony Andreas znowu potarł czoło. Jaki dziś dzień? Dlaczego tak strasznie boli go głowa? I skąd to dziwne, nękające uczucie, że jest coś jeszcze, coś ważnego, o czym powinien sobie przypomnieć? Naso... Wszystko było takie niejasne. Głowa pulsuje bólem, całe ciało boli. Popatrzył na dziewczynę, stojącą w księżycowej poświacie. Mlecznobiała skóra, włosy czarne jak ta noc. Czy to rzeczywiście ona, dziewczyna z rynku?

Andreas czuł się coraz bardziej zagubiony, przypominając sobie te sny, tyle snów, wirujących, pomieszanych tak, że nie sposób je było rozróżnić. Co znaczyły? Egipska znachorka o chłodnych delikatnych dłoniach, Naso i talerz z kiełbaskami, kosz lulka czarnego. Co to wszystko oznaczało?

Błada dziewczyna podeszła i przyklękła koło niego.

— Szukałeś mnie? — spytała melodyjnym tonem. Andreasowi wydawało się, że tak.

— Szukałem...

— Więc mnie odnalazłeś — powiedziała z uśmiechem. Andreas na chwilę ujął jej dłoń, a potem z westchnieniem opadł na poduszki. Nie, to nie tak. Coś tu się nie zgadza. Nie mógł zebrać myśli. Głowa go bolała i był tak niewiarygodnie słaby. Malachus. Gdzie się podział Malachus? I ta dziewczyna, która twierdzi, że jest tamtą. Teraz już widział wyraźnie, że to ktoś zupełnie inny. Powieki mu opadły, znowu westchnął i zapadł w kojący sen.

W godzinę później Zoe stała przy oknie, spoglądając na dachy i srebrną wstążkę rzeki za dokami. Rozmyślała nad tym, co się stało.

Kiedy mu powiedziała, że jest tą dziewczyną z rynku, nieznajomy patrzył na nią, błagając wzrokiem, by mówiła prawdę. Teraz spał, chyba spokojniej niż przedtem, a Zoe, czując chłód i pustkę, musiała samotnie z tym wszystkim się uporać.

Była nie mniej zagubiona niż on, oto bowiem znalazła się z mężczyzną, jakiego nigdy przedtem nie spotkała. Zoe uważała dawniej, że zna się na mężczyznach, że potrafi przeniknąć wszystkie ich myśli, tajniki i przywary. Ale Andreas nie pasował do żadnej z typowych kategorii, do jakich zaliczała spotkanych mężczyzn, odkąd skończyła dziesięć lat i zaczęła sprzedawać swe ciało. Najsilniejsze wrażenie sprawiała jego delikatność. Gdy ujął jej rękę, jej ciało odczuło to silniej, niż gdyby otrzymała cios pięścią. Czy to możliwe, że czułość jest mocniejsza od siły mięśni tych mężczyzn, których znała dotychczas? Przyzwyczajona, że nad nią panują, że jest zdana na ich łaskę i niełaskę, zdumiona patrzyła na słodką uległość i zaufanie, jakie okazał jej ten nieznajomy o łagodnym głosie. Gdy z powrotem kładł głowę na poduszkę, jego pełne bólu oczy przypatrywały jej się tak pytająco i wydawał się taki zagubiony, że Zoe musiała spuścić wzrok.

Odwróciła się od okna, jeszcze raz spojrzała na niego i wówczas załała ją fala ciepłych uczuć. Zapragnęła się nim opiekować i zajmować, matkować mu, równocześnie poczuła pożądanie. Pierwsze prawdziwe pożądanie mężczyzny po tylu latach nienawiści do tych zwierząt, które ją wykorzystywały. I nagle nie chciała już słonecznej Sycylii, domku ani drzewka oliwnego — chciała tego mężczyzny. Zniknęła wizja wolności i wygodnego życia, która tak niedawno się przed nią roztaczała, teraz Zoe widziała tylko tego czułego nieznajomego, okazującego jej wdzięczność, odpłacającego się miłością. Dziwka Zoe, która dopiero co nauczyła się marzyć, w swojej naiwności widziała teraz przed sobą długie wspólne życie z tym nieznajomym.

Wiedziała, co robi. Da mu nową pamięć. Powie mu, że nazywa się... Tytus. Tak, podobało jej się to imię. Tytus. To imię silnego mężczyzny. Powie mu, że byli zaręczeni, że zamierzali razem wyjechać.

Zoe zacisnęła dłonie i poprzysięgła sobie, że zatrzyma tego mężczyznę na zawsze.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Selena po raz kolejny wyjrzała z nadzieją na zalaną słońcem ulicę. Ale nadal nikt nie nadchodził.

Rozczarowana wróciła do domu i dalej pakowała swoją skrzynkę. Skrzynka wyglądała tak samo jak skrzynka jej matki, tyle że była nowa, wykonana z hebanu i ozdobiona mozaiką z kości słoniowej. Zawierała mnóstwo szufladek oraz przegródek na leki i potrzebne przedmioty, a mocny skórzany pasek pozwalał nosić ją na ramieniu. Skrzynka była prezentem, jaki Selena dostała od Mery na szesnaste urodziny.

Już niedługo odbędzie się ceremonia przywdziania przez nią stoli, starożytny obrządek datujący się jeszcze sprzed założenia Rzymu. Selena pożegna dzieciństwo, obetnie włosy, poświęcając je Izydzie, a potem wraz z matką zasiądą do uroczystej kolacji.

Selena oderwała wzrok od skrzynki i spojrzała na zastawiony stół.

Było w zwyczaju, że przy takiej okazji szykowano mnóstwo jadła i napojów dla przyjaciół i krewnych, którzy wstąpią z powinszowaniami. W ubiegłym miesiącu na przyjęciu u Estery zebrało się tyle gości, że stoły z jedzeniem trzeba było wynieść na dwór. Patrząc na ciasta, przygotowane przez matkę, na dwie pieczone kaczki, które właściwie były dla nich zbyt wielkim wydatkiem, Selena pomyślała, że strasznie tego dużo — może nawet za dużo. Ale Mera chciała, żeby dla nikogo nic zabrakło jedzenia.

Selena znowu zerknęła na drzwi w nadziei, że ktoś jednak przyjdzie, po czym westchnęła i ponownie zajęła się robotą.

Jej skrzynka stanowiła kopię skrzyni matki, mieściły się w niej bandaże, maści, nici i igły oraz hubka do krzesania ognia. Nie było tam narzędzi chirurgicznych, gdyż Mera nie uznawała krojenia. Nóż służył do przecinania czyraków, szcypce do przytrzymywania opatrunków, igły do zszywania ran. Nie umywały się do pięknych instrumentów, jakie Selena widziała w domu Andreasa lekarza. Były tam skalpele z brązu, narzędzia do uciskania naczyń krwionośnych, kleszcze do miażdżenia kamieni nerkowych i wiele innych, których przeznaczenia nawet się nie domyślała.

Jak cudownie byłoby mieć takie wspaniałe narzędzia! — myślała, napełniając słoik wywarem z naparstnicy i umieszczając go w skrzynce. — I mieć tak zręczne ręce! Znać tajemnice wnętrza ludzkiego ciała!

Od czasu swojej bytności w domu Andreasa lekarza przed trzema tygodniami Selena nie potrafiła myśleć o niczym innym. Ale rozmyślała nie tylko o narzędziach chirurgicznych. Twarz mężczyzny nie zniknęła jej sprzed

oczu i każdej nocy przed zaśnięciem po raz kolejny przeżywała to cudowne spotkanie.

Pewnego popołudnia, tydzień potem, Selena zebrała się na odwagę, by znów obejrzeć tamten dom. Ale nie zdołała go odnaleźć — wszystkie bramy w murze były takie same! A zabrakło jej śmiałości, by kogoś spytać.

Słyszając kroki u drzwi, Selena zerwała się i wyrzła na ulicę. Ale to był tylko jakiś przechodzień, który szedł dalej swoją drogą. Wróciła do środka i ponownie spojrzała na stół.

Mera musiała się zapożyczyć, by kupić tyle jedzenia. Pod ściereczką leżała sterta okrągłych podpłomyków, każdy mógł sobie na nie nałożyć, co tylko zechciał: oliwki, cebulę, kawałki jagnięcia, ryż. Był nawet miód, jeszcze w plastrze, oraz trzy duże sery, które Mera dostała od mleczarza za wyleczenie oka jego syna, była też amfora z winem, otrzymana w zamian za obietnicę leczenia rodziny handlarza winem przez cały nadchodzący rok. Oprócz tego były jeszcze figi, jabłka i kilka kosztownych pomarańczy — wszystko to starannie ułożone, osłonięte przed muchami i kurzem, ale wysychające w upale dnia.

Na pewno przyjdą — zapewniała się w duchu Selena.

— Jeszcze wcześniej.

Wróciła do swojej skrzynki. Była sama w domu. Mera pobiegła na ulicę Złotników po różę z kości słoniowej, która wreszcie była gotowa. Parę dni temu Mera zaniósła ją do złotnika, miał wywiercić otwór w najmocniejszym płatkku i zawiesić różę na łańcuszku, tak by można ją było nosić jako naszyjnik. Różę, wraz z jej szczególną zawartością, Mera zamierzała ofiarować Selenie wieczorem wraz z nową stolą. Rankiem złotnik dał znać, że naszyjnik jest gotowy. Mera zdjęła fartuch i pobiegła do rzemieślnika, polecając Selenie, by zajęła się gośćmi.

Goście? — pomyślała dziewczyna, znowu spoglądając na drzwi. Jeśli nikt nie przyjdzie, o zachodzie słońca będzie musiała sama odbyć ceremonię przywdziania stoli i nikt nie będzie świadkiem jej wejścia w dojrzałość.

Przypomniała sobie nową stolę, starannie złożoną i schowaną w skrzyni. Mera spędziła nad nią wiele nocy. Tkaninę — utkaną z najdelikatniejszej bawełny, farbowaną na kolor ciemnoniebieski — dał jej przewodnik karawany, którego wyleczyła z kaszlu. Mera pracowicie wyhaftowała błękitne kwiaty w dole i na rękawach sukni. To była pierwsza długa suknia Seleny, strój, który zaświadczy o jej dojrzałości. Włoży ją o zachodzie słońca i zarzuci na nią błękitną pallę — długi szal, jaki noszą kobiety.



Tradycja wymagała, by to ojciec oficjalnie wprowadzał córkę do rodziny jako dojrzałą kobietę, gdy zjawiała się w nowej szacie wśród zebranych. Do braci należało obcięcie symbolicznego pasma włosów, które składano w ofierze bóstwom domowym. Ponieważ Selena nie miała ojca ani braci, uczyni to wszystko Mera. Upnie jej też włosy na modłę dorosłych kobiet, co zwykle było zadaniem sióstr.

Selena z zazdrością wspominała uroczystość przywdziania stoli przez Esterę. Iluż tam gości się zebrało! Jakaż panowała wesołość! Sześć ciotek Estery, jej trzy siostry i cztery kuzynki poszły z nią do pokoju na górze, pomogły zdjąć dziewczęcą sukienkę i ubrały w żółtą jak kwiat słonecznika stolę. Kiedy Estera w końcu się pojawiła, wszyscy goście umilkli. Wtedy podszedł do niej ojciec, objął ją i przyjął do rodziny jako dojrzałą kobietę.

Te okrzyki radości! Bracia Estery tłoczyli się wokół niej, strasząc ją, że całkiem obetną jej włosy brzytwą. Estera chichotała i rumieniała się. Potem odbyła się uroczysta ceremonia złożenia pasma włosów na ołtarzu bogów domowych: włożono je do urny, w której znajdowały się już włosy jej starszych sióstr, matki i babki. Fryzura Estery została pięknie upięta, symbolizując jej wejście w dorosłość, po czym ceremonialnie schowano do skrzyni wszystkie jej lalki i krótkie sukienki.

Selena ze swojego kącika — sama, gdyż Merę wezwano wówczas do porodu — uśmiechała się i klaskała, choć szarpała nią zazdrość i tęsknota. Na uroczystości zjawił się bowiem narzeczony Estery: przystojny zielonooki młodzieniec, trzymający się prosto jak strzała.

Teraz Esterę traktowano jak dorosłą, brała udział we wszystkich kobiecych zajęciach domowych — przędła, tkala, doglądała ołtarzyka bóstw domowych. A kiedy godnie i z wdziękiem kroczyła ulicą w długiej sukni zakrywającej kostki, z głową skromnie nakrytą pallą, widać było, że zostawiła już za sobą dzieciństwo.

Stuknęły drzwi. Selena obejrzała się gwałtownie, ale to był tylko wiatr buszujący wśród ziół w ich małym ogródku.

Oczywiście Selena zdawała sobie sprawę, że w jej wypadku uroczystość przywdziania stoli będzie tylko tradycyjnym obyczajem, a nie istotną granicą między dwoma etapami jej życia. Mieszkając samotnie z matką, bez ojca i braci, Selena już od dawna robiła to, czym zajmują się dorosłe kobiety: przędła, tkala, doglądała ołtarzyka Izydy, a oprócz tego pracowała w ogrodzie, szykowała mikstury, pomagała matce w leczeniu chorych. O tak, Selena dawno temu porzuciła lalki, jej dzieciństwo trwało krótko, gdyż była

potrzebna matce. Tę część uroczystości sobie darują — nie ma lalek, które można by schować.

To zresztą wcale nie pomniejszało znaczenia uroczystości dla Seleny. Czekala na nią od lat, nawet już wtedy, gdy jako mała dziewczynka zaczęła chodzić na podobne przyjęcia, zapraszana nie dlatego, że dzieci z sąsiedztwa ją lubiły — przeciwnie, traktowały ją jak wyrzutka — ale dlatego, że była córką Mery, poważanej przez sąsiadów egipskiej znachorki. Selena w ciągu tych lat zawsze stała na uboczu i z żarliwą tęsknotą w sercu przyglądała się kolejnej młodej dziewczynie, otrzymującej dorosłą suknię i obejmowanej przez dumnego ojca.

— Selena, dziecino. Cóż za święto!

Obróciła się gwałtownie. Futrynę drzwi wypełniała pulchna postać małżonki piekarza.

— W-witajcie — odparła Selena, zatrzasnąwszy skrzynkę i podchodząc do gościa. — P-proszę się r-r-r...

Kobieta, rozgrzana upałem, weszła wachlując się i rozglądając po izbie, która stanowiła cały dom Seleny.

— Gdzie twoja matka?

— W-w...

— Wyszła? Dziewczyna potaknęła.

— W taki dzień? Dokąd poszła?

— P-po m-mój n-n...

— Naszyjnik? A więc jest już gotowy?

Selena ponownie skinęła głową i wskazała stojące obok stołu najlepsze krzesło w całym domu, na którym kobieta czym prędzej usiadła, biorąc ze stołu garść oliwek.

— A g-gdzie...?

— Mój mąż? Nie przyjdzie. Znowu bolą go nerki.

Selena poczuła lekkie rozczarowanie. Co prawda nie przepadała za piekarzem, ale przynajmniej byłoby o jednego gościa więcej.

— Kiedy matka wyszła?

— R-r...

— A, rano. To znaczy, że lada chwila wróci. Dochodzi południe.

Selenie nie trzeba było przypominać, która jest godzina. U Estery w południe goście już nie mieścili się w domu.

Zapadła cisza. Selena stała, jak nakazywało dobre wychowanie, podczas gdy żona piekarza ssała oliwki i przyglądała się zastawionemu stołowi. Selena coraz bardziej się niepokoiła. Co będzie, jeśli nikt więcej nie przyjdzie?

Powinno przyjść przynajmniej kilka osób, które matka od tylu lat leczyła. Ale rówieśnice Seleny zapewne się nie zjawiają.

Kiedy była mała, dzieci nie chciały się z nią bawić, bo z powodu powolnej wymowy uważały ją za niedorozwiniętą. Potem dziewczynki gardziły nią, albowiem — choć dzielnica była uboga i żadna rodzina nie mogła chwalić się szczególnym bogactwem — jękająca się Selena zawsze była ubrana nieco gorzej od nich. Każdy wiedział, że jej matka wydaje wszystkie pieniądze na leki, zamiast na stroje dla córki. Chichoczące, szepczące dziewczynki trzymały się w grupkach, mierząc wzrokiem znoszone sukienki Seleny i jej plecione z sitowia sandały, jakie nosiła wyłącznie wiejska biedota. Milkły, gdy się zbliżała, i prychały śmiechem, gdy próbowała mówić. A kiedy wreszcie wyrosły z tego okrutnego wieku i dojrzały na tyle, by przynajmniej okazywać Selenie wyrozumiałość, dzieląca je przepaść była już zbyt głęboka. „To dziwaczka” — szeptały między sobą dziewczęta. Widziano, jak zbierała zioła nocą w świetle księżyca, nigdy się nie odzywała. No i wszyscy byli świadkami, jak trzymała rękę nad starym żołnierzem Kiko, chorym na padaczkę: zamykała oczy i wyciągała rękę, atak wówczas ustępował.

Rzeczywistość wyglądała tak, że po szesnastu latach życia na tej zatłoczonej uliczce Selena była obcą wśród swoich. Jeśli sąsiedzi nie przyszli na jej uroczystość, to nie przez niechęć czy złośliwość, ale po prostu dlatego, że nie przyszło im to na myśl.

Jej matkę jednak szanowano, tak więc w drzwiach zjawiono się parę innych osób: młode małżeństwo z synkiem, którego przed trzema tygodniami odebrała Mera, wdowa cierpiąca na bóle stawów, kulawy folusznik, którego nogę Mera kiedyś próbowała uratować, a który teraz zebrał o kawałek chleba na rynku, i stary Kiko, chory na padaczkę żołnierz. Była to dziwaczna zbieranina, ale przynajmniej oni przyszli na przyjęcie Seleny.

Mimo to jedzenia nadal było o wiele za dużo. Czemu matka upierała się, by tyle tego naszykować? Taka ekstrawagancja wcale nie uświetniała przyjęcia, wręcz przeciwnie. Selena nie potrafiła oprzeć się wrażeniu, że jest coś smutnego w tak wystawnej uczcie dla garstki ludzi. Miała nadzieję, że gości uda się namówić, by zabrali nieco jadła do domu.

Właśnie częstowała obecnych szafranowymi ciasteczkami, kiedy ktoś stanął w drzwiach, przesłaniając sobą blask słońca. Wszyscy spojrzeli na przybysza, gwar ucichł. Wpatrywali się, wraz z nimi Selena, w przystojnego mężczyznę, który stał w progu.

Andreas.

Selena zamrugnęła powiekami, nie wierząc własnym oczom. Czyżby jej marzenia przywołały ducha? Ale wtedy duch odezwał się:

— Powiedziano mi, że mieszka tu Mera, mądra. Siedem par oczu nie odrywało od niego wzroku. W końcu Selena odstawiła talerz i podeszła do Andreasa.

— T-tak, m-mieszka tu — powiedziała. — W-witajcie. Teraz Andreas nie wierzył własnym oczom.

— To ty!

Przez chwilę patrzyli na siebie, nie mogąc dobyć z siebie słów. Czy on naprawdę tu stoi? Ten mężczyzna, o którym marzyła? A Andreas myślał: Znowu cię znalazłem, choć myślałem, że to się nigdy nie stanie.

Selena opanowała się i powiedziała:

— P-proszę, w-w... — bełkotała, przeklinając swój oporny język.

Andreas wszedł do izby i zobaczył sześć wpatrzonych w niego twarzy, z otwartymi ze zdumienia ustami.

— T-to moi p-przyjaciele — rzekła Selena, szukając najprostszych słów.

Nagle z całego serca zapragnęła mówić wyraźnie. Dla Andreasa. Ale im mocniej się starała, tym bardziej język jej się plątał.

— Nazywam się Andreas — przedstawił się gościom mężczyzna. Nie odrywali od niego wzroku. Każdy szukał w pamięci, kiedy to widziano tutaj tak wielkiego pana, po czym wszyscy zdali sobie sprawę, że nigdy.

Stary marynarz pierwszy zerwał się na nogi, ustępując miejsca tak godnemu gościowi. Lecz Andreas uprzejmie odmówił.

Miał na sobie szaty, jakie ci ludzie widywali tylko z rzadka, gdy jakiś rycerz przechodził przez rynek, albo w cyrku, gdzie szlachetnie urodzeni zasiadali w swych łóżach. Nawet poborca podatków nie nosi! się tak wykwintnie! Cała szóstka gości wpatrywała się w lawendową tunikę obszytą złotą taśmą, w białą, nieskazitelnie czystą togę, wiązane do kolan sandały ze skóry, starannie przystrzyżoną brodę i kędzierzawe włosy. Kim był ten wytworny pan, który dziś złożył wizytę Selenie?

— Szukam Mery. Czy to twoja matka? — zwrócił się do dziewczyny.

— T-tak.

Andreas skinął głową, nagle wszystko pojmując i zdumiewając się niepojętymi ścieżkami losu.

— Jak się nazywasz?

— S-selena. Uśmiechnął się.

— Teraz wiem, kim jesteś.

W dłoniach trzymał pięknie rzeźbiony alabastrowy flakonik, a kiedy po izbie rozszedł się charakterystyczny słodki zapach, wszyscy domyślili się, że flakonik zawiera mirrę, niezwykle kosztowną maść leczniczą. Andreas podał go Selenie, mówiąc cicho:

— Przyszedłem podarować go twojej matce. Przyszła mi z pomocą, gdy byłem ranny.

Kiedy nieśmiało brała od niego flakonik, ich palce spotkały się i Selene przeszył dreszcz. Odwróciła się szybko i postawiła flakonik na półce, by wszyscy go widzieli. W myśli zaświtała nadzieja: Może i on poczuł dreszcz?

Zwróciła się znów ku niemu i zapytała, wymawiając słowa jak najwolniej i jak najstaranniej:

— Byliście r-ranni?

— Tak, trzy tygodnie temu. Dostałem w porcie cios w głowę, a twoja matka opatrzyła mi ranę.

Selena pamiętała tę noc, jakiś kapitan wyciągnął wtedy matkę z łóżka.

Andreas podszedł do dziewczyny. Wyższy od niej o pół głowy, spojrzał na nią z góry ciemnoniebieskimi oczami i powiedział cicho:

— Ocknąłem się w obcym miejscu. W izbie była dziewczyna. Myślałem, że to ty.

Nie mogąc oderwać od niego oczu, jakby zahipnotyzowana jego wzrokiem, Selena nie widziała zdziwionych spojrzeń, jakie wymieniali między sobą jej goście. Andreas zwracał się tylko do niej, jakby byli sami w izbie.

— Potem odzyskałem pamięć, zobaczyłem, że to nie ty, i poczułem lęk, że nigdy cię nie odnajdę. — Umilkł, z napięciem patrząc jej w oczy. — Pamiętasz, gdzie się spotkaliśmy? Pamiętasz handlarza kobiercami?

Skinęła głową.

— Wydobrzeżał, wiesz? Wrócił do Damaszku. A kiedy dziękował mi za ocalenie życia, powiedziałem, że wdzięczność winien jest dziewczynie, której imienia nie znam.

Selena nie mogła dobyć z siebie głosu. Zatonęła w jego oczach.

Wreszcie zaskrzypiało krzesło, ktoś zakasłał. Andreas oderwał od niej wzrok, uniósł brwi, jakby dziwił się, co tu robi, i powiedział:

— Ależ ja wam przeszkadzam! Masz gości! — Zobaczył stół, uginający się od jadła. — Wrócę innym razem.

Ruszył w stronę drzwi

— Poczekaj — zawołała, chwytając go za ramię. — N-n-n...

Andreas spojrzał na jej dłoń na swoim ramieniu, na piękne usta, które próbowały wypowiedzieć jakieś słowa.

— N-nie o-o... — mówiła z bolesnym grymasem warg. Andreas czekał.

— N-nie o-o-od...

— Chce was prosić, żebyście nie odchodzili — odezwała się żona piekarza. Andreas spiorunował ją wzrokiem. Potem zwrócił się do Seleny:

— Co to za święto?

Selena gniewnie zmarszczyła brwi, czując się nieszczęśliwa i zła na bogów, którzy tak ją upośledzili. Chciała tyle powiedzieć! Ze to jej urodziny. Ze kończy dziś szesnaście lat. Ze dziś jest uroczystość przywdziania przez nią stoli. I wtedy, ku swemu zaskoczeniu, uświadomiła sobie, patrząc w twarz Andreasa, że on już domyślił się, co to za święto. Ale chciał, żeby to sama powiedziała.

— M-moje urodziny — wyjaśniła. — Uroczystość p-przy-wdziania...

Uśmiechnął się szeroko.

— Byłbym zaszczycony, gdybyś pozwoliła mi zostać. Pragnę też wyrazić wdzięczność twej matce.

Zapanowało małe zamieszanie, kiedy goście robili miejsce dla szlachetnego pana, podsuwając mu krzesło, częstując jedzeniem. Równocześnie na ulicy wynikło inne małe zamieszanie. Estera, ta młoda kobieta, której przyjęcie stało się przed miesiącem takim wydarzeniem, znajdowała się w swym ogródku przed domem, kiedy zauważyła Andreasa, zmierzającego w stronę domu Seleny. Estera przerwała robotę i przyglądała się, jak wytwornie odziany mężczyzna wchodzi do domu sąsiadki. Kiedy minęło kilka minut, a on nie wychodził, Estera dłużej nie wytrzymała. Rozsadzała ją ciekawość. Najpierw musiała przekazać wieść matce i siostrze:

— Bogacz, jakie goście nigdy nie widziały, wszedł tam i chyba niósł upominek!

Potem Estera pomknęła do swej najlepszej przyjaciółki, Almy, młodej mężatki oczekującej pierwszego dziecka.

— To jej uroczystość przywdziania stoli. — Almę ucieszyło to wyrwanie z nudy codziennego życia. — Pewnie to jej gość. Ciekawam, kto to!

— Nie wybierałam się...

— Ale ona była na naszych przyjęciach.

— Zróbmy to dla Seleny. Choć tyle możemy dla niej uczynić.

A kiedy Estera z Almą szły w stronę domu Seleny, wybiegła właśnie stamtąd żona piekarza i popędziła do domu, by obudzić męża z drzemki i kazać mu iść na przyjęcie, gdyż zaszczycił je swą obecnością jakiś wielki obcy pan.

Wieść szybko się rozniosła i gdy Mera, zmęczona długą drogą z ulicy Złotników i ledwie żywa z bólu, zbliżała się do swego małego domku, usłyszała gwar rozmów, wybuchy śmiechu.

Święto — pomyślała. — Ciekawe czyje.

Wówczas zobaczyła ludzi u progu swego domu i na podwórzu. Pełno znajomych, którzy w to gorące letnie popołudnie gawędzili, jedząc i pijąc. Stała jak wryta.

Co się stało? Czyżby wszyscy oni przyszli na uroczystość Seleny? Przecież zebrało się tu na pewno więcej ludzi niż na słynnym przyjęciu Estery, o którym rozprawiano tygodniami w okolicy!

Kiedy podeszła do furtki, została wylewnie powitana przez przyjaciół i sąsiadów, którzy hojnie raczyli się winem. A gdy wreszcie dotarła do drzwi i zobaczyła dom pełen roześmianych i rozgadanych gości, całkiem odjęło jej mowę ze zdumienia.

Jedzenie szybko znikало ze stołu, wiele półmisek już było pustych. Pojawił się dzban wina, którego Mera nigdy przedtem nie widziała. Wszyscy chcieli Merze powinszować. Oszłomiona, rozglądała się za córką. Zobaczyła ją: z płonącymi policzkami, z promiennymi oczami, otoczoną gośćmi. Stał obok niej wysoki szlachetny pan, którego Mera niejasno sobie przypomiwała.

Przedzierając się przez tłum, powtarzając: „Tak, to prawdziwe święto”, usiłowała znaleźć w pamięci, gdzie go spotkała. Wreszcie przypomniała sobie: to ten ranny z mieszkania prostytutki nad rzeką. Zapewne dowiedział się, jak się nazywa i gdzie mieszka kobieta, która go opatrywała. Teraz już Mera rozumiała, dlaczego dom był pełen ludzi.

Jeśli młody lekarz przyszedł podziękować za pomoc — pomyślała Mera — to ja winnam mu podwójną wdzięczność.

Swoim zjawieniem się wśród tych prostych ludzi młody nieznajomy mimowolnie przyczynił się do ogromnego sukcesu przyjęcia Seleny. Zauważywszy Merę, Andreas przerwał rozmowę w pół słowa, zwrócił się do niej i skłonił nisko.

— Nazywam się Andreas, matko — powiedział. — Przyszedłem podziękować wam za to, co dla mnie uczyniliście.

Oczy Mery zabłyśły, na chwilę zapomniała o strasliwym bólu w boku.

— To był dla mnie honor pomóc ci, Andreasie.

— M-matko! — zawołała Selena. — S-spójrz!

Zdjęła z półki alabastrowy flakonik i podała go matce. Zapach dotarł do Mery, nim jeszcze dotknęła flakonika. Mirra. Błogosławiony balsam, na który nigdy przedtem nie było jej stać, a który tak bardzo by jej się przydał.

Mera była wyczerpana.

Ale w chwilę później, słuchając bezładnej, zdyszanej paplaniny córki o tym, jak to spotkała Andreasa przed trzema tygodniami, jeszcze przed wypadkiem w porcie, i jaki to cudowny zbieg okoliczności, Mera dostrzegła rumieńce na policzkach dziewczyny oraz to, że Selena mówi, nie bacząc na swą kaleką wymowę. Przypomniała sobie również podniecenie Seleny tamtego popołudnia sprzed trzech tygodni, gdy poznała Andreasa lekarza. Jej krótkotrwała radość zmieniła się w lęk.

Selena się zakochała!

Ale goście zaraz odciągnęli Merę od córki i Andreasa, gdyż koniecznie chcieli jej powinszować. Zona piekarza ujęła ją pod jedno ramię, stara wdowa pod drugie, obie trąkotały na wyścigi, jaki to wspaniały dzień i jaka Mera musi być dumna. Z roztargnieniem potakiwała, dziękowała, patrząc, jak wśród otaczających ją gości Selena spogląda na lekarza. Nie, nie myliła się.

Nastrój był coraz bardziej ożywiony. Ludzie wychodzili, by donieść jadła, mężczyźni biegli do domów po wino. Zjawili się grajkowie, przygrywający na fletniach i harfach, ale rozmowy zagłuszały dźwięki muzyki. Każdy starał się znaleźć jak najbliżej wspaniałego gościa, Estera i Alma kokietowały go, w końcu, kiedy słońce zaczęło się chylić ku zachodowi, nadeszła pora, by zabrać Selenę z przyjęcia, przebrać ją i przyszykować do uroczystego przywdziania stoli.

Ponieważ w domu była tylko jedna izba, Mera zaprowadziła córkę na dach, gdzie latem gotowały i spały i gdzie krzew rozmarynu posłużył Selenie za parawan.

Matka i córka stały w złotym blasku zachodzącego słońca. Nad dachami unosiły się dymy palenisk, zasnuwając miasto delikatną mgiełką. Wynurzały się z niej kontury świątyń, nadając Antiochii mistyczny wygląd. Niebo płonęło przepięknymi odcieniami złota i czerwieni.

Selena nie mogła ustać spokojnie, kiedy matka ją ubierała.

— Cz-czyż on nie jest c-c-c... — próbowała powiedzieć, ściągając przez głowę swą wytartą sukienkę. — Czyż Andreas...

Umyła się w misce wody i włożyła czystą koszulę. Mera w milczeniu wyjęła ostrożnie ze skrzyni ciemnoniebieską stolę. Z dołu dobiegały odgłosy przyjęcia. Wszyscy czekali na wejście Seleny.

Merą miotały sprzeczne uczucia. Z jednej strony czuła wdzięczność, że przyjęcie Seleny tak wspaniale się udało, ale z drugiej strony przyczyna owego powodzenia, osoba Andreasa, stanowiła nowe zmartwienie.



Za osiem dni będzie pełnia. Tej nocy Mera wraz z Seleną znajdą się w pobliskich górach, gdzie w odosobnieniu będą pościć, modlić się i łączyć duchowo z Boginią. Tam, w tym odludnym dzikim miejscu, dokona się ostateczne wprowadzenie Seleny w tajniki leczenia. Wtedy też Mera wyzna dziewczynie prawdę o jej pochodzeniu, otworzy różę z kości słoniowej i Selena podejmie po matce poszukiwania swej tożsamości.

Wszystko szło zgodnie z planem do dzisiejszego wieczoru.

Owe dwadzieścia dni Mera spędziła udzielając córce ostatnich wskazówek. Spieszyła się, by przekazać jej całą swą wiedzę. Za osiem dni przeleje na nią także wiedzę duchową, a wtedy, tak przynajmniej Mera ufała, będzie mogła spokojnie umrzeć, dokonawszy dzieła. Ale teraz wszystko się okropnie skomplikowało. W tym szczególnym, tak ważnym dla niej momencie życia Selena się zakochała.

— Musisz dziś myśleć o innych rzeczach, Seleno — powiedziała Mera, pomagając córce ubrać się w stolę. — Myśl o tym, jakie znaczenie ma ta uroczystość. Oto przestajesz być dziewczynką, Seleno. Stajesz się kobietą. I to nie zwyczajną kobietą, lecz taką, która leczy i która nie może wieść zwyczajnego życia. Musisz myśleć o odpowiedzialności, jaka na ciebie spada, Seleno.

— N-nie chcę myśleć o n-niczym z w-wyjątkiem Andreasa!

Wargi Mery zacisnęły się w wąską linię. Przed dwudziestoma dniami błagała o posłuchanie u Wyroczni w świątyni. Musiała się dowiedzieć, co jest zapisane w gwiazdach jej córki. Musiała poznać przed śmiercią przyszłość Seleny. Kazano jej wrócić za dwadzieścia siedem dni. Błagała strażnika świątyni, ale na próżno. Nikt nie mógł narzucać Wyroczni, kiedy ma kogokolwiek przyjąć.

Ciałem Mery wstrząsnął nagły ból. Ale Selena tego nie zauważyła, nie wiedziała, że jej matka umiera.

Kiedy stola spłynęła jej przez głowę i miękko otuliła ciało, Selena umilkła. Jej skóry nigdy przedtem nie dotykała tak delikatna materia. Rąbek sukni z wyhaftowanymi błękitnymi kwiatami ledwo dotykał ziemi. Rękawy, luźne, powiewne, z pęknięciami wzdłuż szwu, czuła na ramionach jak lekkie muśnięcia wiatru. Matka zawiązała jej w talii długi ufarbowany na niebiesko sznur, krzyżując go na piersiach. W końcu Mera wyjęła różę.

Ciemny, głęboki kolor sukni dodatkowo podkreślał wyjątkową biel kości słoniowej. Widać było wyraźnie najmniejszy nawet szczegół tego niezwykłego kwiatu, każdy delikatnie wyrzeźbiony płatek. Róża grzechotała cicho na piersi dziewczyny, przypominając o tajemniczej zawartości. Skrytka

w róży dawno temu została zalepiona gliną. Można będzie ją otworzyć tylko raz. Selena wiedziała, że nastąpi to tej nocy, gdy wraz z matką udadzą się na szczyt góry Silpius, wznoszącej się nad miastem, teraz jednak potrafiła myśleć wyłącznie o Andreasie.

Wreszcie Mera rozczesała długie czarne włosy Seleny, dziś po raz ostatni rozpuszczone i spadające kaskadą wzdłuż pleców.

Cofnęła się, by przyjrzeć się córce, i poczuła ból. Ale to nie guz, który ją zabijał, dawał o sobie znać. Ten ból rodził się w duszy, nie w ciele.

Przyszłaś do mnie, samotnej i bezdziejnej — pomyślała Mera, a łzy wezbrały w jej oczach. — Krótki był nasz wspólnie przeżyty czas, najmilsza córeczko, ale nie żałuję ani jednej godziny, ani jednej sekundy tych szesnastu lat.

Nagle zobaczyła przed sobą twarz konającego Rzymianina tak jasno i wyraźnie, jakby stał przed nią.

„Pochodzi od bogów — powiedział. — Pierścień powie jej wszystko. On doprowadzi ją do jej przeznaczenia”.

Mera już wyciągała rękę, by zatrzymać wizję. „Kim jesteś?” — chciała zawołać. Ale twarz zniknęła w promieniach zachodzącego słońca.

Goście na dole umilkli, gdy Mera stanęła w drzwiach od podwórza. Wszystkie głowy obróciły się w oczekiwaniu na wejście Seleny. Każdy spodziewał się czegoś niezwykłego, bowiem zaiste był to dzień pełen niespodzianek. Któżby się spodziewał, że tak dostojny gość zaszczyści uroczystość Seleny? Któżby się spodziewał tak pysznego jadła i tak hojnego strumienia wina? Teraz zaś z pewnością w tych drzwiach nie zjawi się zwyczajna dziewczyna.

Tym oczekiwaniom stało się zadość.

Kiedy Selena stanęła w drzwiach, wielu zgromadzonych wydało westchnienie zachwyty. Stojące obok Andreea Estera i Alma wpatrywały się w przecudowną niebieską stolę. Gdzie matka Seleny zdobyła taki strój? Skąd wzięła na to pieniądze? I każda z nich pomyślała: Moja nie była haftowana w kwiaty...

Selena weszła nieśmiało, uśmiechając się wstydliwie i bojąc się spojrzeć na zdumionych gości. Mera patrzyła na ich twarze i w jej oczach znowu zabłysły łzy. Teraz zobaczyli jej córkę taką, jaka naprawdę była: piękną i czystą duchem. Ci wszyscy, którzy pohukiwali na Selenę za jej niewyraźną mowę, ci, którzy ostrzegali Merę, że córka nigdy nie wyjdzie dobrze za mąż i nigdy niczego nie osiągnie, ci wszyscy sąsiedzi, którzy od lat traktowali jej córkę jak powietrze — jakież mieli teraz miny!

Potem Mera popatrzyła na Andreasa i jej radość natychmiast się ulotniła. Znała wystarczająco wielu mężczyzn, by umieć odczytać wyraz jego oczu. Serce zaczęło bić jej szybciej ze strachu. Andreasowi nie wolno zażądać Seleny...

Przez chwilę wszyscy trwali w milczeniu, potem Mera podeszła do córki i objęła ją. Wśród zgromadzonych gości rozległy się okrzyki, wszyscy klaskali w dłonie i wykrzykiwali powinszowania. Zamknięta w mocnych ramionach matki Selena popatrzyła na Andreasa. Nie klaskał, nie krzyczał, w ogóle się nie odezwał. Nawet się nie poruszył. Wpatrywał się w Selenę z tym ogromnym napięciem, które zapamiętała i wielokrotnie na nowo przeżywała w swoich snach. Uśmiech zniknął z jego twarzy, oczy, schowane pod gęstymi brwiami, znowu pociemniały.

Mera wypuściła córkę z objęć, otarła łzy z policzków i sięgnęła na półkę po nóż, by obciąć nim jeden symboliczny lok Seleny. Kiedy jednak go uniosła i miała wymówić stosowne słowa, Andreas postąpił krok naprzód.

— Zwyczaj nakazuje, by bracia spełniali ten obowiązek — odezwał się, wyciągając rękę.

Zaskoczona Mera zamrugła powiekami, potem z wahaniem złożyła nóż w dłoni Andreasa. Mężczyzna podszedł do Seleny i powiedział cicho:

— W tym momencie myśl o mnie, jako o swoim bracie.

Kiedy dotknął jej włosów, zamknęła oczy. A wszyscy wpatrywali się w tę scenę, wiedząc, że długo jeszcze będzie się o niej mówić.

Patrząc, jak pasmo ciemnych włosów spada na dłoń lekarza, Mera myślała: Odbiera mi ją.

Lok znalazł się w rękach Seleny, potem wszyscy patrzyli, jak dziewczyna składa go na małym domowym ołtarzyku Izidy.

Znowu zagrała muzyka, popłynęło wino. Rozmowy i śmiechy rozbrzmiewały w ciszy upalnej sierpniowej nocy. Odwracając się od ołtarzyka, Selena bała się spojrzeć w oczy Andreasa. Miała wrażenie, że śni i lada chwila się przebudzi, a wtedy czeka ją tylko chłodny świt i gorzkie rozczarowanie.

Ale sen trwał dalej. Ktoś przyniósł jej krzesło i Selena zasiadła na nim z godnością. Matka przyniosła grzebień i szpilki, by dokonać ostatniego obrzędu: upięcia włosów Seleny na modłę dorosłej kobiety.

Estera i Alma, które koniecznie chciały zwrócić na siebie uwagę szlachetnego pana, podeszły bliżej, nalegając, by pozwolono im zastąpić siostry, gdyż do sióstr należało zwykle to zadanie. I znów Mera musiała

odsunąć się, podczas gdy obcy ludzie dotykali jej córki. Kątem oka ponownie obserwowała Andreasa.

Zabierze mi ją — myślała. — Oderwie ją od Bogini i od celu jej życia. Powierzono to dziecko mej opiece. Bogowie wybrali mnie, bym jej strzegła, a jej wyznaczyli zadanie — musi odnaleźć swoją tożsamość. I nikt ani nic nie powinno jej pokrzyżować tej drogi.

Za siedem dni, uspokajała się Mera, wyroczenia powie jej, co robić.

Kiedy Estera i Alma skończyły, wszyscy chwalili ich dzieło. Uczesanie było bardzo proste, ale wedle najnowszej mody, ponoć takie właśnie nosiły damy na dworze rzymskiego imperatora. Teraz, skoro już dokonano wszystkich obrządków, Selena została uznana przez sąsiadów za dorosłą. Ściskali jej dłoń i chwalili, posiano po więcej jedzenia, muzycy znowu uderzyli w struny, świętowanie rozpoczęło się na dobre.

Selena siedziała niczym królowa na tronie. Policzki jej płonęły, oczy lśniły. Miała wrażenie, jakby opuściła swe ciało i stała obok tej młodej kobiety w niebieskiej stoli, z białą, błyszczącą jak gwiazda różą na piersi, z upiętymi wysoko włosami. Czy to możliwe, że to rzeczywiście ona, Selena? Powiodła spojrzeniem po ludziach, którzy jedli, pili i wiwatowali na jej cześć. Zawirowało jej w głowie, jakby wspinała się do gwiazd.

Dotyk czyjejś dłoni przywołał ją do rzeczywistości.

— Teraz musisz coś powiedzieć, Seleno — odezwała się Mera — i życzyć wszystkim dobrej nocy.

Popatrzyła na matkę przerażona. Mówić coś? Wobec tych wszystkich ludzi?

— Kilka słów podziękowania wystarczy — perswadowała łagodnie Mera. — Jako błogosławieństwo.

— A-ale...

— Seleno — napomniała Mera spokojnie, ale zdecydowanie. — Wstań i po prostu powiedz: dziękuję.

W tej samej chwili u jej boku wyrósł Andreas.

— Potrzebuje świeżego powietrza — zwrócił się do Mery. — Musi na chwilę uciec od tego hałasu i rozgardiaszu.

Wyciągnął rękę i Selena, wzniosłszy ku niemu wzrok, wsunęła w nią swoją dłoń. Tylko parę osób widziało, jak wychodzą tylnymi drzwiami: Estera i Alma, które wymieniły znaczące, pełne zazdrości spojrzenia, i oniemiała Mera.

Selena i Andreas wspięli się na dach, oazę spokoju i ciszy pośród panującego wokół hałasu. Nad nimi świeciły gwiazdy, dookoła widać było lunę tysięcy światel płonących w mieście.

— Seleno — odwrócił się ku niej Andreas. — Nie bój się. Możesz do nich przemówić. Możesz powiedzieć, co trzeba.

— A-ależ j-ja n-n...

— Poczekaj — przerwał.

Popatrzył na nią, na pełne oczekiwania oczy, piękne usta, i ogarnęło go zadziwienie nad samym sobą. Tyle lat minęło, odkąd zależało mu na kimś lub na czymś. Potem jego serce stało się nieczułe. Przez dwanaście lat nikt nie zdołał go zmiękczyć, znaleźć w nim najwęższej szczeliny, próbowano tego, ale on uodpornił się na miłość, na uczucia, na wszystko, co mogłoby przynieść ból. Był lekarzem i zdawał sobie sprawę, że jego dusza, tak strasznie zraniona przed laty, nie wytrzyma nowego cierpienia. A mimo to stoi teraz na dachu biednego domku, ujmuje w dłonie nieśmiałą, wystraszoną twarz dziewczyny, której prawie nie zna, i mówi:

— Wiem, że potrafisz do nich przemówić, Seleno.

— J-jak?

— Potrafisz leczyć innych, teraz musisz uleczyć samą siebie. Handlarz kobiercami... Pamiętasz jego atak?

Skinęła głową.

— Skieruj tę moc na siebie, Seleno.

Szeroko otworzyła oczy. Nigdy nie przyszło jej na myśl, by sprawdzić tę metodę na sobie. Czy zdoła?

— N-naucz m-mnie jak — poprosiła.

— Ilekroć próbujesz mówić, skupiasz się na słowach. A ponieważ to robisz, potykasz się o nie. Za bardzo się starasz, jesteś zbyt napięta. Sekret leży w tym, byś nie myślała o tym, co mówisz, pomyśl o czymś innym, a wtedy twoje słowa same popłyną, wyraźnie. Patrz na swoich słuchaczy, ale staraj się ich nie widzieć. Spróbuj spojrzeć na siebie z boku. Co widziałas wtedy, nad handlarzem kobiercami? Płomień, tak? Więc wyobraź sobie ten płomień, skup się na nim, niech nic innego nie zakłóca twoich myśli. I wtedy mów.

Selena wpatrywała się w niego oszołomiona. Mówił jej to samo co Mera kilka lat temu, kiedy zaczynała ją uczyć tej starożytnej metody. Wywołać obraz płomienia i skupić na nim cały swój świat.

— Wyobraź go sobie teraz — powiedział cicho.

Podmuch wiatru powiał nad dachem, poruszając stołę Seleny. Rąbek sukni musnął gołą nogę Andreasa, a kraj jego togi zatrzepotał, owinał się wokół uda dziewczyny. Selena zamknęła oczy, znowu je otworzyła. Zobaczyła płomień, ogarnął ją spokój. Płomień palił się jaśniej i goręcej niż kiedykolwiek, jakby oczy Andreasa dodawały mu żaru. Potem Selena rozchyliła usta i powiedziała:

— Spróbuję, Andreasie. Spróbuję dla ciebie.

Goście tłoczyli się w izbie, czekając na zakończenie uroczystości. Stali tak cicho, że słyhać było wołanie herolda drugiej straży. Selena patrzyła im prosto w oczy i przemawiała bez zająknięcia, bez mrugnięcia powieką. Podziękowała im, wymieniając każdego po imieniu, a na koniec pobłogosławiła.

Kiedy skończyła, nikt się nie poruszył. Goście stali nieruchomo, jak skamieniali.

Wreszcie zaczęli się rozchodzić, poruszając się wolno, jakby się budzili ze snu. Mamrotali słowa pożegnania, zbierali swe płaszcze, sandały i jeden po drugim znikali w mroku nocy.

— Seleno, tkam właśnie nowy wzór, chciałabym zasięgnąć twojej opinii — powiedziała Estera.

— Będę mogła cię kiedyś odwiedzić, Seleno? — pytała Alma.

Kiedy żona piekarza żegnała się z gospodynią, miała dziwny wyraz twarzy, a przystojny młodzieniec, syn handlarza oliwą, nieśmiało spytał Selenę, czy będzie mógł ją zaprosić na przechadzkę.

Ostatni pożegnał się Andreas, jeszcze raz dziękując Merze za opatrzenie ran i ponownie składając Selenie życzenia z okazji jej święta. Wyszedł, myśląc o czekającej go długiej nocy, w czasie której — wiedział o tym — nie zazna snu.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

— Umierasz, córko — powiedziała Wyrocznia. Mera skłoniła głowę i odparła:

— Tak, matko.

— A dziecko o tym nie wie?

— Nie.

Wyrocznia popatrzyła na Merę oczami, w których kryła się głęboka, odwieczna mądrość.

— Dlaczego nie powiedziałaś dziecku, że umierasz?

— Chciałam, by jej dusza i umysł były wolne od troski i niepokoju. Szykuje się do ostatecznego wprowadzenia w tajemnice Bogini.

Wyrocznia skinęła głową i odwróciła się od gościa, wyglądając przez okno na dziedziniec świątyni.

Dzień był szary, pochmurny, typowa sierpniowa pogoda zapowiadała burzę. Na dziedzińcu pojawiło się kilkoro wiernych z ofiarami dla Bogini. Na środku stał święty kamień, odwieczny, wyrastający z ziemi monolit, którego — jak głosiła legenda — dotknęła kiedyś sama Bogini. Wiodła doń wydeptana ścieżka, gdyż matki przyprowadzały tu dzieci i uderzały ich głowami w głaz w nadziei, że wbiją im trochę rozumu.

Wyrocznia skierowała spojrzenie na Merę.

— Kiedy zostanie wprowadzona?

— Jutro. Wyruszymy w góry.

Wyrocznia z aprobatą skinęła głową. Ta kobieta była pobożną i oddaną córą Bogini. Wysoko, w czystym rozrzedzonym powietrzu gór okalających Antiochię wprowadzi swą córkę do zgromadzenia Wielkiej Matki.

— Czy jest już gotowa?

Mera uniosła głowę i spojrzała Wyroczni prosto w oczy.

Była to kobieta w podeszłym wieku, drobna i krucha, co dodatkowo podkreślały czarne szaty i czarny welon, osłaniający siwe włosy. W Merze osoba Wyroczni budziła cześć i pokorę, bowiem owe starsze kobiety, dogladające Domu Bogini, posiadały wyjątkową moc. Podobnie jak kapłanki Minerwy i Sofii, kobiety służące Izydzie musiały osiągnąć wiek, kiedy ustawał ich cykl księżycowy, dzięki czemu cała mądrość księżycy pozostawała w nich. Wszyscy poważali takie kobiety, uważając je za najmądrzejsze z mądrych.

— Nie wiem — szepnęła w odpowiedzi Mera. — Powinna być. Uczyłam ją, przygotowywałam ją. Ale...

Wyrocznia czekała.

— Ale teraz pojawił się mężczyzna.

— Wiesz, że twoja córka musi przystąpić do obrządku czysta i nietknięta.

— Zabroniłam jej się z nim spotykać!

— Czy jest posłuszna twemu nakazowi? Mera wyłamywała palce.

Nie — pomyślała. — Przez szesnaście lat życia Seleną była dobrą i posłuszną córką. Ale teraz wymyka się i biegnie do jego domu w drugiej części miasta.

— Czy zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa? — spytała Wyrocznia, jakby czytając w myślach Mery.

— Ostrzegałam ją. Siedem dni temu, w noc uroczystości przywdziania stoli, kiedy zostałyśmy same, pouczałam ją. Ale, matko, ona uważa, że się zakochała! Jej myśli uciekły od wszystkiego, czego ją uczyłam. Myśli tylko o nim, mówi tylko o nim...

Wyrocznia uniosła drobną brunatną dłoń z powykręcanyimi ze starości palcami.

— Twoja córka nie jest zwyczajnym dzieckiem — rzekła. — Musi dopełnić swego przeznaczenia. Powiedziałaś mi, że pochodzi od bogów i została oddana ci w opiekę. Nie lękaj się, córko, Bogini będzie jej strzegła. — Wyrocznia przerwała i bacznie przypatrzyła się Merze. — Jest jeszcze coś — powiedziała. — Ten mężczyzna cię przeraża. Dlaczego?

— Bowiem odciąga mą córkę od prawdziwej nauki. Matko, on jest chirurgiem! Jego sposoby leczenia budzą odrazę. I nie wzywa na pomoc Bogini, nie używa świętego ognia, nie modli się. Do tego uczy moją córkę tych grzesznych sposobów! Matko, on jest niebezpieczny. Zniszczy wszystko, co próbowałam jej wpoić. — Zniżyła głos. — Nie o dziewictwo jej ciała, lecz umysłu dziś się lękam.

Wyrocznia milczała.

— Co mam uczynić? — spytała Mera, pochylając się do kapłanki. — Czy możesz mi powiedzieć, co jest zapisane w jej gwiazdach?

— Jakie gwiazdy towarzyszyły jej narodzinom?

— Urodziła się pod Lwem, z Wenus wschodzącą w Pannie.

— A godzina?

— Nie... nie wiem, matko. Poród odbywał się w pośpiechu, jej rodzice byli uciekinierami.

— Wiesz, że musimy mieć prawdziwy ascendent, córko. Może być wiele planet w jej Pierwszym Domu, musimy być pewni, która jest najbliższa jej księżycowi.



Merze nie trzeba było tego mówić. Latami usiłowała odczytać gwiazdy Seleny, ale bez skutku. Było zbyt mało danych. Trzy planety otaczały Lwa: Mars, wschodzący Saturn i mający wześć Jupiter. Ale mogła to określić jedynie w przybliżeniu. Błąd mógł sięgać nawet godziny, co by zmieniło układ ascendentu.

— Jest jeszcze coś — odezwała się Wyrocznia. — Powiedz to, czego jeszcze nie powiedziałaś.

— Był jeszcze bliźniak, chłopiec, który urodził się tuż przed Seleną. Rodzice nadali mu imię Helios.

Kapłanka wysoko uniosła brwi.

— Helios i Selena? Słońce i Księżyc? — Zamyśliła się głęboko, w końcu oznajmiła: — Dziewczyna musi odnaleźć brata, gdyż on stanowi jej drugą połowę. Koniecznie musi się z nim połączyć. Czy wiesz, gdzie on jest?

Mera zaprzeczyła ruchem głowy.

— A teraz daj mi pasmo jej włosów.

Mera zabrała je z ołtarzyka Izydy — to samo, które Selenie uciał Andreas — i złożyła w dłoniach kapłanki.

Po długiej chwili, siedząca w mrocznej, wonnej od kadzidła komnacie, służebnica Izydy przemówiła:

— Szesnaście lat wychowywałaś to dziecko. Nadeszła pora, byś się odsunęła i pozwoliła jej iść własną drogą.

Mera czekała. W końcu, widząc, że Wyrocznia umilkła, pochyliła się ku niej i spytała z niepokojem:

— Matko, niedługo umrę, czy możesz mi powiedzieć, kim ona jest?

— Nie mogę. Dziewczyna sama będzie musiała to odkryć. To cel jej życia. Ale ścieżka jej poszukiwań nie zaczyna się tutaj, w Antiochii. Musisz ją zabrać z powrotem do miejsca, w którym przyszła na świat, a stamtąd Bogini ją poprowadzi.

Mera z niedowierzaniem wpatrywała się w Wyrocznię. Zabrać z powrotem? Do Palmiry?

— Ale, matko — odezwała się niepewnie — to bardzo długa podróż. Zbyt ciężka dla mnie.

— Tak musi być, córko. Nie dotrzesz żywa do Palmiry, ale musisz doprowadzić dziewczynę na tamtą pustynię, by znalazła się na samym początku drogi, która powiedzie ją do jej przeznaczenia. Wyruszyście już dzisiaj. To najbardziej korzystna pora, przy pełni księżyca. Od tej pory księżyc będzie was prowadził.

Merę nagle ogarnęła niemoc. Bez słowa patrzyła, jak Wyrocznia wolno wstaje z miejsca i zgarbiona pod brzemieniem lat podchodzi do schowka w ścianie. Wyjęła stamtąd jakiś przedmiot i położyła na stole przed Merą.

— Daj to córce — powiedziała. — Pewnego dnia ocali to jej życie.

Była to grudka siarki, znanej pod nazwą kamienia Brimo, palono ją w domu chorego, by odpędzić złe duchy. Czy to oznacza — zastanawiała się Mera — że Selenę czeka w przyszłości jakaś straszna choroba?

— To wszystko, co mogę dla ciebie uczynić, córko — rzekła Wyrocznia, siadając z wysiłkiem. — Czeka cię wiele pracy, jeśli zamierzasz posłuchać Bogini i dziś wieczorem opuścić Antiochię wraz z córką. Wyruszcie o wschodzie księżyca.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

— *Primum non nocere* — mówił łagodnie Andreas, wcierając w ucho pacjenta balsam uśmierzający ból. — Znaczy to, Seleno: po pierwsze — nie szkodzić. I stanowi podstawową zasadę lekarzy.

Pacjent leżał na sofie u Andreeasa, senny po wywarze, który podał mu lekarz. Głowę miał ułożoną bokiem, włosy wokół ucha ogolone. W świetle letniego słońca, wpadającego przez okno, Selena widziała zdeformowaną małżowinę.

Mężczyzna był wyzwolonym niewolnikiem. Przyniósł ze sobą akt wyzwolenia jako dowód, że ma prawo do operacji ucha.

Przekłute ucho stanowiło oznakę niewolnictwa. Przekłuwano je zazwyczaj szydłem na targu niewolników, kiedy delikwent był jeszcze młody. Zwykle po tym zabiegu zostawał brzydki, zniekształcony płatek, w którym wisiał kolczyk niewolnika. Andreas był jednym z niewielu lekarzy, którzy potrafili przywracać uchu właściwy kształt, usuwając wszelki ślad dawnej niewoli. Dzisiejszego ranka uczył tej sztuki Selenę.

Stała tuż obok niego, teraz wzięła skalpel i Andreas ułożył go w jej dłoni we właściwy sposób. Nagie ramię Seleny musnęło jego rękę.

— Najpierw natnij tu — powiedział, prowadząc jej dłoń. Cięcie rozdzieliło płatek ucha na pół. Andreas zatamował krwawienie rozpalonym prętem.

— Teraz pamiętaj, co ci mówiłem: brzegi rany muszą być świeżo otwarte i czyste, inaczej się nie zrosną.

Selena pewnym ruchem rozdzieliła płatek — pewnym, gdyż Andreas stał u jej boku, w każdej chwili gotów pomóc, a także dlatego, że w myślach wywoływała obraz płomienia duszy, który ją uspokajał.

Andreas przygląda! się, jak dziewczyna pracuje. Widział napięcie w jej oczach, pełne wargi zaciśnięte w skupieniu i po raz kolejny — jak w każdy z tych siedmiu dni od uroczystości w domu Seleny — czuł drżenie, które mogłoby poruszyć jego uparte serce. Co najdziwniejsze, wcale się tego nie obawiał. Po raz pierwszy od dwunastu lat, w czasie których traktował kobiety z cynizmem, stanowiącym obronny mur przed miłością, radośnie witał znów czułość, jaką Selena wniosła w jego życie.

Czy to możliwe, że minęło zaledwie siedem dni? Czy możliwe, by w ciągu jednego krótkiego tygodnia człowiek mógł się narodzić na nowo i poczuć, jak wzbiera w nim nowa mądrość i nagle odkrywa cel w życiu?

Widocznie tak — pomyślał — bowiem mnie właśnie to się przytrafiło.

— Naucz mnie wszystkiego, co potrafisz — prosiła go Selena.

Dwa zwykłe słowa: „Naucz mnie”, a nagle rygle puściły i drzwi rozwarły się szeroko.

— Teraz przyżegaj — powiedział Andreas, sięgając nad jej dłońmi, by wytrzeć krew. — A teraz zeszyj.

Jedwabna nić przywiązana była do końca wygiętej ości. Andreas prowadził dłoń Seleny przy zszywaniu rany.

— Brzegi muszą stykać się idealnie — tłumaczył — inaczej nie zrosną się równo. Nasz pacjent nie życzy sobie, by ktokolwiek poznał, że był niegdyś niewolnikiem, naszym obowiązkiem jest spełnić jego żądanie.

Selena poczuła, że jej podniecenie wzrasta, jak zwykle, kiedy zbliżali się do końca zabiegu. Na początku operacji była tylko oszołomiona, nie dostrzegała tego, co Andreas najwyraźniej widział w wyobraźni: nowego kształtu, nowej, doskonale zagojonej formy. A w czasie samego zabiegu była zbyt mocno skupiona na cięciu, tamowaniu krwi, by słuchać jego pouczeń. Ale pod koniec, modelując ciało (Andreas powiedział jej przedtem, że Grecy określali to mianem chirurgii plastycznej, gdyż słowo „plasticós” po grecku znaczyło „kształtować”), nadając mu właściwą formę i zszywając jak tkaninę, Selena w końcu zobaczyła to, co Andreas widział już wcześniej, i ogarnęło ją podniecenie, że może uczestniczyć w tym cudzie.

I ponieważ czuje na swojej dłoni dotyk ręki Andreeasa.

Kiedy następnego ranka po uroczystości uczył ją, jak trzymać skalpel, kiedy po raz pierwszy włożył jej do ręki nóż z brązu i objął palcami jej palce, Selena nagle poczuła się jak w domu. To było właśnie to: trzymać nóż, ciąć i leczyć chore ciało. Selena zrozumiała, że właśnie do tego została stworzona.

I nie miała najmniejszych wątpliwości, że owej wyjątkowej nocy siedem dni temu przekroczyła próg o wiele bardziej znaczący, niż przejście od dzieciństwa do dorosłości. Czuła się tak, jakby się na nowo narodziła. Andreas otworzył jej wrota na świat, którego wielkości nawet się nie domyślała, świat o bezkresnych horyzontach, cudowniejszych niż Mery sposobach leczenia, świat, gdzie nauczy się wszystkiego co możliwe i połączy z tym, o czym wiedziała do tej pory. Leczenie ziołami Mery i nowoczesna sztuka medyczna Andreeasa — tyle na nią czekało! Selena pragnęła ogarnąć to wszystko.

— Jeszcze rdza — powiedział Andreas, podając Selenie grot.

Bandażując ostrożnie głowę wyzwoleńca, słuchała słów Andreeasa:

— Niech jeszcze trochę pośpi, potem może wrócić do domu. Za dwa dni przyjdzie tu na zmianę bandażu, wtedy sprawdzisz, czy nie ma zakażenia. Po ośmiu dniach zdejmiesz szwy i pacjent będzie zdrowy.

Andreas odsunął się od sofy i obmył ręce w misce.

Praktykowanie medycyny już dawno przestało być dla niego czymś nadzwyczajnym. Leczył, bo znał się na tym. Ale nie robi! tego z wielkim zapałem. Każdy dzień, każda choroba były do siebie podobne. Kiedy jednak zastanawiał się, jak przekazać swą wiedzę Selenie, czuł, iż ogień zapala się w nim na nowo. Przekonał się, że jest dobrym nauczycielem. W te popołudnia, kiedy uczył Selenę, udzielał jej wskazówek i pokazywał nowe metody, w Andreeasa jak nigdy dotąd wstępowało nowe życie. Co rano budził się pełen zapału, pragnąc zobaczyć Selenę i uczyć ją, co więcej — może nawet uczyć innych.

Nie zdawał sobie sprawy, że się w nią wpatruje, póki nie podniosła nagle wzroku i nie uśmiechnęła się do niego.

I coś jeszcze przebudziło się w Andreeasie owej nocy przed tygodniem, coś, co zostało zabite w nim przed laty, ale teraz zmartwychwstało. Andreas zdawał sobie sprawę, że musi być wyjątkowo ostrożny, że nie może ulec swemu pożądaniu.

Andreas pragnął jak najszybciej wziąć Selenę w ramiona i kochać się z nią. Otworzył przed nią inne światy, teraz chciał stać się kluczem i do tego świata. Żądza czasem zmieniała się wręcz w fizyczne cierpienie. Zdarzały się chwile, gdy chciał zapomnieć o wszystkim i wziąć dziewczynę od razu. Wtedy jednak przypominał sobie ojej młodości, niewinności i o szczególnej więzi między nimi, która była tak zdumiewająco głęboka i trwała. Czasem miał wrażenie, że znają się od lat. Ale ta więź była jeszcze świeża i wymagała delikatnej pielęgnacji.

W końcu czego Selena chciała? Andreas był od niej o czternaście lat starszy — co właściwie nie stało na przeszkodzie małżeństwu, bowiem istniało wiele udanych związków między młodymi dziewczętami a dojrzałymi mężczyznami. Ale Andreas był od niej dużo starszy nie tylko wiekiem. Zwiedzi! świat. Wiele widział, poznał życie od każdej strony, Selena zaś nie zetknęła się jeszcze z jego bezwzględnością.

Co ona właściwie do niego czuje? Kiedy patrzyła nań z nieskrywanym afektem, Andreas zastanawiał się, czy jest to miłość uczennicy do nauczyciela, siostry do brata czy też, co gorsza, miłość córki do ojca. Co by to dało, gdyby wyjawiał jej swe uczucia? Przeraziłby ją tylko i zerwał świeżą, delikatną więź, jaka zrodziła się między nimi.

Z zadumy wyrwał Andreeasa hałas na ulicy. Podeszedł do okna i wyjrzał.

— Co się dzieje? — spytała Selena, podchodząc do niego.

Zza węgła wynurzył się tłum ludzi, którzy właśnie mijali dom Andreasa. Najwyraźniej coś świętowali: na szyjach mieli girlandy kwiatów, na głowach wieńce, muzykanci przygrywali na fletniach i bębnach. Ten wesoły tłum stawał się coraz liczniejszy, w miarę jak dołączali doń przechodnie.

Wtedy Andreas zauważył posąg człowieka naturalnej wielkości, niesiony na końcu procesji i powiedział:

— Świętują urodziny boga Augusta.

— A dokąd idą?

— Pewnie do Dafne. Zwykle tam odbywają się uroczystości ku czci bogów. Złożą hołd Augustowi.

— Ale August chyba nie żyje? — spytała, przypominając sobie niejasno, że w Rzymie władał inny cesarz, imieniem Tyberiusz.

— August umarł przed szesnastu laty.

— To dlaczego świętują jego urodziny?

— Bo jest bogiem.

Selena przyglądała się posagowi, myśląc, że jeśli rzeźba przypomina pierwowzór, to August musiał być bardzo przystojnym mężczyzną.

— Skoro był człowiekiem, to jak teraz może być bogiem?

— Ludzie go nim uczynili.

— Mają taką władzę?

— To lud włada Rzymem, Seleno. Może ustanawiać bogów, może też ich niszczyć. Ród julijsko-klaudyjski rządzi tylko dlatego, że motłoch im pozwala. Juliusza Cezara też uczynił bogiem. I wcale bym się nie zdziwił, gdyby obwołał żyjącym bogiem Tyberiusza.

Selena szeroko otworzyła oczy. Jacyż mogą być ci ludzie, którzy byli bogami i mieszkali w cesarskim pałacu w odległym Rzymie?

— Chciałabyś się wybrać na to święto? — spytał Andreas.

Selena zerknęła na zegar wodny. Która godzina? Mogła tu dziś przyjść tylko dlatego, że matki nie było w domu. Poszła do świątyni Izydy i teraz rozmawia z Wyrocznią. Mera zabroniła Selenie odwiedzać Andreasa. Ale jakże Selena mogła jej posłuchać?

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Zoe patrzyła, jak odchodzą. Stała w oknie. W jej oczach wezbrały łzy zazdrości i gniewu. Widziała, jak Andreas z dziewczyną przyłączają się do innych, i odprowadziła wzrokiem hałaśliwy tłum, który wkrótce zniknął za rogiem. Zapadła cisza. Zoe długo stała nieruchomo przy oknie. Po dwudziestu dwóch latach życia w ubóstwie — przeklinana, dotykana przez nieczułe ręce i zdradzana przez bezwzględne serca — po dniach samotności i nieszczęść, po nocach najczarniejszej rozpaczki dziś po raz pierwszy Zoe w pełni pojęta, jak niesprawiedliwy może być los.

To ona powinna iść z Andreasem na to święto. Wszak to ona oddała mu swe łóżko i przyjęła do siebie, kiedy był ranny, to ona posłała po mądrą i siedziała przy nim, póki nie odzyskał przytomności. I to ona, Zoe, snuła cudowne plany ich wspólnej przyszłości.

Prawie już go miała. Obudził się w jej pokoju i przez krótką chwilę patrzył na nią czułym, bezbronnym spojrzeniem, jej serce pierwszy raz w życiu zmiękło. Ale następnego dnia, po przebudzeniu, kazał przyprowadzić jakiegoś Malachusa, zabrali go, odszedł z jej życia, rujnując jej wspaniałe plany i pozostawiając tylko gorzki zdruzgotanych marzeń.

Jednak parę dni później Andreas wezwał ją do siebie! Kazał jej przyjść do swego domu i chciał ją wynagrodzić za to, że go przyjęła pod swój dach. Dawna Zoe sprzed miesiąca zażądałaby pieniędzy i popłynęła na Sycylię szukać swego domku z drzewkiem oliwnym. Ale nowa Zoe, głupio zakochana, spytała, czy nie mogłaby zostać w domu Andreeasa i mu służyć. Tak więc miała teraz własną izdebkę, była dobrze ubrana i dostawała zapłatę jako służąca. Zajęto się nią, stała się porządną kobietą. Ale to wszystko nie miało dla niej znaczenia. Chciała tylko być blisko Andreeasa.

I przez jakiś czas wszystko układało się cudownie. Przynosiła mu wino, układała kwiaty w pokojach, dbała, by niczego mu nie zabrakło. Ale wtedy zjawiała się ta dziewczyna i wszystko się popsuło.

Zoe nie była głupia. Wiedziała, co znaczy ten wyraz, który pojawiał się w oczach jej pana, gdy tamta dziewczyna znajdowała się w pobliżu. Ona, Zoe, tak samo patrzyła na Andreeasa, choć on tego nie dostrzegał.

Cóż, Zoe nie zamierzała się poddawać. Wreszcie znalazła mężczyznę, dla którego warto się poświęcić i o którego warto walczyć. Uczyni i jedno, i drugie, byle go zachować wyłącznie dla siebie. Poświęci resztkę swej młodości, zostając w jego domu jako wierna służka, a jeśli los tak zrządzi,

będzie służyć mu aż do starości. I będzie walczyć, jeśli będzie trzeba — z tą dziewczyną i z każdą inną, która by próbowała zawładnąć Andreasem.

Ale najpierw upora się z tą dziewczyną — postanowiła, kiedy umilkły odgłosy radosnej wrzawy.

Odwróciła się od okna, nawet nie wiedząc, że sama też była obserwowana przez Malachusa, który pochłaniał ją głodnym spojrzeniem.

Co za straszliwa ironia losu i przekleństwo, by dojrzały mężczyzna po raz pierwszy zakochał się w dziewczynie tak młodej i tak nieczulej, że ta miłość przynosiła mu więcej bólu niż radości.

Malachus wiedział, co Zoe o nim sądzi, powiedziała raz gospodyni, że jest on jak stary głupi niedźwiedź, który wszędzie łązi za panem. Cóż, Malachus nie mógł zaprzeczyć, że był masywny, niezręczny i nie posiadał daru gładkiej mowy. Ale miał też wielkie serce, był lojalny i wierny jak nikt. Nie wiedział, czy Zoe zna jego uczucia. Przypuszczał, że nie zna, i modlił się, by tak było, bo jeśli wie o jego miłości, to zaiste okrutnie się z nim obchodzi. W swej dziecięcej naiwności Malachus wierzył, że gdyby Zoe wiedziała, co on do niej czuje, traktowałaby go łagodniej. A może kiedyś nawet i odwzajemniłaby uczucie.

Ale nie teraz, gdy jestem niewolnikiem — myślał nieszczęśliwy Malachus, przyglądając się, jak dziewczyna znika w korytarzu. — Nie pokocha mnie, dopóki w moim uchu będzie tkwiło to kółko niewolnika.

Pierwszy raz w życiu — po tylu wędrówkach, po służbie u tylu panów — niewolnik Malachus przeklinał swój los. Doświadczając namiętnego uczucia, doświadczał również gorczy i rozpacz.

Pragnął wolności. Tylko w ten sposób zdobędzie Zoe. Wszystkie jego dary — figi, szal i tę kosztowną bransoletę — przyjmowała z chłodną obojętnością, która przeszywała jego serce niczym nóż. Kiedy jednak stanie się wolnym człowiekiem, prawdziwym mężczyzną i panem siebie, wtedy dziewczyna z pewnością dostrzeże jego wartość. Ale by to osiągnąć, będzie musiał wykupić się od Andreeasa, choć wcześniej wcale nie zamierzał go opuścić.

Dla niewolnika, który miał swoje lata, bardzo liczyła się służba u dobrego pana, a Malachusowi wyjątkowo dopisało szczęście. Andreas nie traktował źle swoich niewolników, był dla nich łagodny, hojny, a gdy się zestarzel — troszczył się, by mieli gdzie spać i co jeść, nawet leczył. Malachus dotychczas miał zamiar dokonać żywota w spokoju pod dachem Andreeasa. Ale już teraz nie. Musi się wyzwolić. Musi wykupić się z tego domu, który od dziesięciu lat stał się jego rodzinnym domem, i spróbuje wieść życie wolnego człowieka, choć nie miał pojęcia, na czym by to miało polegać.



Przede wszystkim poprosi Andreasa, by zaszył dziurę w jego uchu, tak by nic nie przypominało Zoe o dawnym niewolnictwie jej małżonka.

Malachus odwrócił się z westchnieniem.

Jedno stało na przeszkodzie w realizacji jego planu: Zoe najwyraźniej zakochała się w Andreasie. Oczywiście Malachus zdawał sobie sprawę, jak beznadziejne jest to uczucie, żadna kobieta nigdy nie zdoła skraść serca jego panu, a na pewno nie w ten sposób. Tylko Malachus, który poznał Andreasa w Aleksandrii, wiedział, że jest on równie nieosiągalny jak odległe gwiazdy, i tylko Malachus wiedział, dlaczego. A Zoe wbiła sobie Andreasa do głowy. Zatem choć próżne zdawały się jej nadzieje, Malachus miał świadomość, że póki Zoe marzy o Andreasie, nigdy nie dostrzeże, jak on sam jest jej oddany.

Pozostawała jedna szansa. Cztery dni temu Malachus dowiedział się, że Naso, kapitan statku, jest znów w Antiochii, z nieznanых przyczyn powróciwszy z podróży do Brytanii. Malachus był pewien, że Andreas nie oprze się pokusie spotkania z kapitanem, ciągnęły go morskie opowieści żeglarzy, tak jak innych ciągnie do trunku. Być może — marzy! Malachus — skoro Andreasowi nie udało się popłynąć z Naso przed trzema tygodniami, popłynie z nim teraz. A podobno tym razem Naso zamierzał udać się dalej niż kiedykolwiek — minąć południowy kraniec Indii i skierować się dalej na wschód, ku odległym Chinom.

Malachus był pełen nadziei, wiedział bowiem, że Andreas nie zdoła się oprzeć pokusie wzięcia udziału w takiej wyprawie.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Hałaśliwy tłum świętujących, idący ulicami Antiochii i coraz liczniejszy, wysypał się przez południową bramę miasta i ruszył drogą do Dafne.

Ta masywna brama stanowiła końcowy przystanek wielu karawan, a cały teren był jednym wielkim obozowiskiem: gdzie okiem sięgnąć namioty, wielbłądy, osły. Mera gorączkowo, bo czas gonił, szukała karawany, wyruszającej w drogę jeszcze tego wieczoru.

Nieco wcześniej, po wyjściu ze świątyni, Mera poszła prosto do domu i wcale nie była zdziwiona, gdy nie zastała tam córki. Znów z Andreasem! Zebrała kilka mających jakąś wartość przedmiotów: alabastrowy flakonik z mirrą, zapasowe skórzane sandały, szylkretowy grzebień. Jedyłą naprawdę cenną rzecz, jaką posiadała, oddała córce, Selena nie rozstawała się z różą z kości słoniowej, nosząc ją pod suknią, by nie kusiała oka złodziei. Zresztą Mera i tak by jej nie sprzedała. To co udało jej się zebrać, powinno wystarczyć na kupno miejsca dla nich obu w karawanie, zdążającej na wschód. Na pustynię, z powrotem do Palmiry.

Karawan było mnóstwo, niektóre właśnie przybyły, inne wyruszały w drogę. Otumaniona bólem Mera przedzierała się wśród bud i namiotów przez tłum podróżnych, handlarzy, żebraków i zwierząt, trzymając się za bok i wypytując. By wypełnić nakaz Wyroczeni, musi znaleźć karawanę ruszającą na wschód jeszcze tej nocy.

Nie zwracała więc uwagi na wesoły korowód świętujących, który minął ją, skręcając w biegnącą wśród drzew drogę. Nie zobaczyła córki i Andreeasa, trzymających się za ręce, idących w rozśpiewanym tłumie.

Miejsce to nazywano Grotą Dafne, gdyż to tu, wedle legendy, Dafne zmieniła się w drzewo laurowe, by uciec przed pożądlivym Apollinem. Każdy, kto tu trafił, szukał tego szczególnego drzewka, które było niegdyś boginią dziewicą. To samo robiła teraz Selena, nie wypuszczając dłoni Andreeasa. Trzymała jego rękę, kiedy unosił ich tłum, i zastanawiała się, dlaczego Dafne wolą stać się drzewem, niżli doświadczyć cielesnej miłości z Apollinem.

Tłum rozproszył się nieco, kiedy dotarli do Groty. Posąg Augusta ustawiono na pagórku, ludzie zaczęli wokół niego tańczyć. Jak spod ziemi pojawiło się jedzenie i wino, wyciągano kosze, rozkładano na ziemi płaszcze. Wesołkowie bez opamiętania brykali po trawie, brząkając tamburynami i nawołując się. Choć niebo pociemniało, a w powietrzu wisiała wilgoć, panował słoneczny, pogodny nastrój.

Selena miała wrażenie, jakby wraz z Andreasem znalazła się w zaczarowanym świecie. Było tu przepięknie — wokół grotty rosły wonne drzewa, słychać było szum wodospadu i pluskanie wody w strumieniu. Idąc ręką w rękę z Andreasem, zapomniawszy o obowiązkach, nie myśląc o lekach i chorobach ani o duchowym wprowadzeniu, które czekało ją następnej nocy w pobliskim, lecz odosobnionym miejscu,

Selena dumiała nad losem biednej Dafne przemienionej w drzewo, gdyż Apollo chciał się z nią kochać.

Dlaczego to zrobiła? — zastanawiała się Selena, czując ciepło dłoni Andreeasa. — Dlaczego uciekała przed namiętnością? Ja bym nie uciekała. Jeśli Andreas mnie zapragnie...

Zerknęła na niego kątem oka. Był taki piękny, taki silny. I kochała go tak bardzo, aż brakowało jej tchu.

Co on o niej myśli? Czy uważa, że jest zbyt dziecinna, by jej pożądać? Czy widzi w niej tylko uczennicę? „W tym momencie patrz na mnie jak na brata”, powiedział w czasie uroczystości przywdziania stoli. Czy tylko tym chciał być dla niej?

Pragnęła go aż do bólu. Chciała zatonać w jego uścisku, chciała mu wyznać, co czuje. Ilekroć jednak postanawiała zaryzykować i dać mu jakiś znak, ogarniał ją lęk i wycofywała się. Rodząca się między nimi więź była zbyt cenna, zbyt wątła. Nie chciała zrobić niczego, co mogłoby przerwać ten piękny sen.

Rozglądając się wokoło, patrząc na świętujący tłum, na obejmujące się pary, Selena znowu zaczęła szukać drzewa, w które została zamieniona Dafne.

Gdy spadły pierwsze ciepłe krople deszczu, Andreas i Selena popatrzyli na siebie zaskoczeni. W chwilę potem niebo się otworzyło i lunął deszcz. Ludzie chowali się, gdzie tylko mogli, w pośpiechu zabierając jadło i okrycia. Andreas chwycił ramię Seleny i pociągnął ją pod gęstą koronę drzewa.

Selena śmiała się, a deszcz padał coraz mocniej. Letnia pogoda nagle zmieniła się w nawałnicę, ale ludzie nadal radośnie nawoływali się spod drzew, kilku z nich nawet tańczyło w deszczu. Kiedy z gałęzi nad ich głowami zaczęły spadać krople, Andreas zdjął togię, narzucił ją na ramiona jak pelerynę i przyciągnął do siebie Selenę, by nie zmokła. Stali oparci o pień drzewa. Śmiech zamarł na ustach dziewczyny. Wpatrywała się w strugi wody, myśląc jedynie o ramieniu Andreeasa na swych barkach.

Andreas też umilkł, widząc po dłuższej chwili, że ulewa nie słabnie, pociągnął Selenę, by usiadła wraz z nim na ziemi.

Oparli się plecami o pień drzewa, podciągnięte kolana nakryli togą.

— Tak właśnie pada w Aleksandrii — odezwał się Andreas.

Ton jego głosu sprawił, że Selena odwróciła głowę i spojrzała na niego. Ich twarze dzieliły centymetry. Andreas patrzył przed siebie.

— Ten deszcz przywodzi mi na myśl pewnego chłopca, którego poznałem w Aleksandrii — mówi! cicho, ciągle zapatrzony w dal. —: Nie wiem, czemu pomyślałem o nim właśnie teraz, po tylu latach. Uczyliśmy się razem medycyny.

Selena poczuła, jak z piersi Andreasa dobywa się ciężkie westchnienie, a ręka, obejmująca jej ramiona, staje się cięższa.

— Kiedy go poznałem, miał dziewiętnaście lat. Pochodził z mego rodzinnego Koryntu, ale tam go jeszcze nie znałem. To był cichy, zamknięty w sobie chłopiec, ludzie nie wiedzieli, co o nim myśleć. Często budził się w nocy z krzykiem.

Selena obserwowała profil Andreasa. Pierwszy raz była tak blisko niego. Widziała żyłkę pulsującą na jego szyi tuż nad tuniką, w miejscu gdzie ciemna broda rzedniała.

— Opowiedz mi o nim — poprosiła.

Andreas zdawał się jej nie słyszeć. Wpatrywał się w deszcz, jakby czegoś szukał. W końcu rzeki:

— Pewnego dnia ten chłopiec opowiedział mi niezwykłą historię.

Mieszkał kiedyś wraz z rodzicami w Koryncie. Nie miał rodzeństwa. Ojciec był średnio utalentowanym lekarzem, matka jedną z tych pulchnych, ciepłych kobiet. Chłopiec od najmłodszych lat pomagał ojcu i wyobrażał sobie, że zostanie jak on zwykłym, przeciętnym lekarzem. I oto pewnego dnia poznał kobietę.

— Mówił, o ile dobrze pamiętam, że nazywała się Hestia. Opowiadał, że zakochał się w niej bez pamięci. Miał dopiero szesnaście lat i nie znalazł życia. Hestia była starsza i znała wielu mężczyzn. Chłopiec kręcił się wokół jej domu w nadziei, że ją zobaczy, przysyłał jej podarki — drobiazgi, bo na to tylko było go stać. Hestia ani go nie zachęcała, ani nie odrzucała, tolerowała jego młodzieńcze zadurzenie, traktując go jak wiernego psiaka. Któregoś wieczoru wdarł się do jej domu i wyznał jej dozgonną miłość. Hestia ani się na niego nie oburzyła, ani go nie wyśmiała, ale niestety, była dla niego miła.

— Jego krew rozgorzała mocniej — ciągnął! cicho Andreas — aż w końcu zupełnie oszalał na punkcie tej kobiety. Zaniedbywał obowiązki, dniami i nocami zastanawiał się, jak zdobyć serce Hestii. I pewnego dnia olśniło go. Zauważył, że na takich kobietach jak ona robi wrażenie bogactwo, że na

bogaczy zwracają większą uwagę niż na biedaków. Niedoświadczony chłopak wyobraził sobie więc, że jeśli stanie się bardzo bogaty, zdobędzie Hestię.

— Zdawał sobie sprawę, że pozycja wiejskiego lekarza jej nie zadowoli, a nie sądził, by chciała czekać, aż on zbije fortunę. Bogactwo było mu potrzebne natychmiast. I widział sposób, żeby je zdobyć.

Chłopiec słyszał o poszukiwaczach bursztynu, mężczyznach, którzy ryzykowali życie wyruszając na krańce świata w poszukiwaniu tego skarbu. Bursztyn, jak wiadomo, miał na świecie ogromną wartość. Mała bursztynowa figurka kosztowała tyle co sześciu niewolników. Dlatego chłopiec postanowił, że zaciągnie się na statek poszukiwaczy bursztynu, popracuje rok i wróci do Hestii jako bogacz. Tak to sobie ułożył w swej szesnastoletniej głowinie.

Andreas przerwał, a kiedy milczenie się przedłużało, Selena spojrzała na niego. Czoło Andreasa wygładziło się. Jego twarz była pozbawiona wyrazu, oczy nieobecne. Kiedy wreszcie podjął opowieść, jego głos brzmiał jakby z oddali. Opowiadał, jak chłopiec poszedł do Hestii i wyznał, co ma zamiar zrobić, i jak po raz pierwszy Hestia go zachęciła. Obiecała, że będzie na niego czekać, a jeśli rzeczywiście wróci z bursztynem, stanie się jego prawdziwą przyjaciółką. Chłopak ani słowem nie wspomniał rodzicom, co zamierza zrobić, tylko pewnej nocy wyszedł z domu i udał się do portu, gdzie, jak słyszał, pewien człowiek szykuje statek, by wyruszyć po bursztyn.

Chłopiec odszukał kapitana, a kiedy ten uznał go za zbyt młodego i niedoświadczonego, zaklął się na bogów, że będzie pracował ciężiej niż pozostali członkowie załogi. Kapitan ujrzał żar w oczach chłopca i zgodził się zabrać go na statek. Potem wyjaśnił mu zasady, na jakich przyjmuje się nowych poszukiwaczy bursztynu.

— Położenie miejsca, gdzie wydobywa się bursztyn — mówił Andreas — jest na świecie pilnie strzeżoną tajemnicą. Nieliczni kapitanowie, dowodzący statkami poszukiwaczy, pilnują jej zazdrośnie. Dlatego też, wiedząc, że marynarze lubią opowiadać o swych podróżach, kapitanowie ci znaleźli sposób, by zmusić załogę do milczenia i by nikt nie dowiedział się, gdzie znajdują się bursztynowe tereny. Każdy członek załogi musi podpisać kontrakt. Podaje w nim imiona najbliższych, których pozostawia w ojczyźnie. Każdy, kto podpisuje taki dokument, zdaje sobie sprawę, że stanowi on gwarancję zachowania milczenia. Jeśli marynarz puści parę z ust w jakiegokolwiek tawernie, w jakimkolwiek porcie świata, wyjdzie to na jaw. A zapłacą za to ci, których imiona znajdują się w kontrakcie. W ten sposób kapitan jest pewny uczciwości marynarza i położenie bursztynowego zagłębia pozostaje tajemnicą.

Chłopiec opowiedział, że w kontrakcie podał imiona rodziców i miejsce, gdzie znajduje się ich dom w Koryncie.

Opowieść ciągnęła się dalej. Chłopiec następnego dnia odpłynął, nawet nie pożegnawszy rodziców, tak mu było wstyd. Krew w nim krążyła żywiej, gdy myślał o Hestii i o swoim triumfalnym powrocie. Statek pod pełnymi żaglami zniknął we mgle za słupami Herkulesa i popłynął ku Gwieździe Północy. Podróż trwała dwa lata i w tym czasie chłopiec stał się mężczyzną.

Zapatrzona w cicho padający deszcz, zasłuchana w spokojny głos Andreasa, Selena miała przed oczami fale oceanu piętrzące się tak wysoko, jak góry, marynarzy, którzy ginęli w głębinach, wyobrażała sobie przerażające potwory morskie i zamglony ląd zamieszkały przez dzikusów o niebieskiej skórze. Czuła chorobę morską, która doprowadzała ludzi do szaleństwa, potworne pragnienie, gdy wyczerpały się zapasy wody, a wokół była sama woda, widziała ludzi umierających na chorobę dziąseł i walczących na śmierć i życie o ochłap zepsutego

mięsa. Słyszała śmiertelne nawoływanie pięknych syren na skalach, czuła przejmujące zimno lodowatych mórz i patrzyła, jak ludziom odpadają odmrożone palce, całą duszą przeżywała rozpacz i samotność chłopca, który znalazł się tak daleko od domu.

— Znaleźli bursztyn — mówi! dalej Andreas — załadowali statek aż po brzegi. I rozpoczęli długą podróż do domu — niedobitki załogi na uszkodzonym statku. Gdy w końcu dotarli z trudem do Koryntu, na ląd zeszli jako zupełnie obcy ludzie. Ale byli bogaci, nieopisanie bogaci, mieli zapewniony dostatek po kres swoich dni.

Chłopiec — wówczas osiemnastoletni, choć starszy z wyglądu, a dużo starszy duchem — poszedł prosto do domu Hestii. Przez te dwa długie koszarne lata, w te noce, gdy spał z nożem w rękę, kiedy gorzko szlochał, kiedy z głodu żołądek mu przyrastał do krzyża, tylko pamięć o Hestii trzymała go przy życiu. Toteż gdy okazało się, że jej dom zamieszkują zupełnie obcy ludzie, którzy go kupili przed blisko dwoma laty i nie mają pojęcia, dokąd udała się poprzednia właścicielka, w chłopcu coś pękło.

Szukał jej przez rok, ale na próżno. I pewnej nocy w portowej tawernie upił się do nieprzytomności. Wykrzyczał cały swój ból i rozpacz. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, opowiedział o bursztynowych plażach na brzegach Morza Północnego, gdzie wpadają doń zimne wody Renu. Kiedy oprzytomniał i uświadomił sobie, co uczynił, było już za późno.

Andreas głęboko zaczerpnął tchu. Przygarnął bliżej Selenę i trzymał ją mocno, wbijając palce w jej ramię.

— Oczywiście musiano dać przykład. Pewnej nocy splądrowano dom jego rodziców. Wszystkie rzeczy rozkradziono, domek został zniszczony. A następnego dnia po okolicy zaczęły krążyć plotki o skandalicznych praktykach pewnego miejscowego lekarza. Powiadano, że zmarła młoda dziewczyna po nieudolnym przerwaniu ciąży.

Andreasowi głos się załamał, gdy mówił dalej:

— Zdajesz sobie sprawę, Seleno, że lekarz może dzięki swym umiejętnościom nie tylko ocalić życie, ale także je odebrać. Gdy chłopiec wrócił do domu, zobaczył ciała swoich rodziców, nad którymi siedziała płaczka. Rodzice zostawili list. Chłopiec widocznie znał go na pamięć, gdy powtarzał mi go słowo w słowo: „Dowiedzieliśmy się o twoim nieszczęściu zbyt późno, by ci pomóc. Nie płacz po nas, synu, bowiem życie to marność i odchodzimy z ulgą. Zawsze pamiętaj, że kochaliśmy cię do ostatniej chwili”. Chłopiec udał się potem do Aleksandrii, zapisał do szkoły medycznej i tam go poznałem. Tam też opowiedział mi swoje dzieje.

Kiedy Andreas umilkł, Selena odwróciła się ku niemu i spytała:

— Co się z nim stało? Z tym chłopcem?

— Pokochał statki. Chodził do portu, godzinami tam siedział... i tylko patrzył. Aż pewnego dnia, wkrótce po złożeniu przysięgi Hipokratesa, widać znalazł właściwy statek. Wszedł na pokład, nawet się nie obejrzał i odpłynął, by nigdy już nie wrócić...

Selena nie odrywała wzroku od napiętych rysów Andreasa, pięknego orlego nosa i mocnej szczęki pod schludnym zarostem. Czowała bicie jego serca przez cienką tkaninę tuniki. Był lekko spocony, tak jak poci się śpiący człowiek. Pragnęła mu coś powiedzieć, ale nie miała pojęcia co.

— To bardzo smutna opowieść — odezwała się wreszcie. Zwrócił na nią spojrzenie szaroniebieskich oczu. Dostrzegła w nich swoje odbicie i coś jeszcze: głębie i prądy oceanu.

Andreas drgnął, jak ktoś wyrwany ze snu. Podniósł rękę i położył na policzku Seleny.

— Ty jesteś inna, prawda? — spytał. — Co uczyniłem, żem na ciebie zasłużył? Dlaczego bogowie uśmiechnęli się do mnie? Boję się.

Selena oparła się o niego, jego muskularne ciało budziło w niej dreszcz.

— Nie bój się, Andreasie — szepnęła, dotykając wargami jego szyi, potem brody.

Gdy ich usta się spotkały, był to delikatny, prawie niepewny pocałunek, jakby się obawiali, że jedno z nich nagle ucieknie niczym Dafne, ale gdy Selena otoczyła ramionami szyję Andreasa, pocałunek nabrał mocy. Andreas

położył dziewczynę na mokrej trawie, biała toga chroniła ich przed deszczem. Długo się całowali i wzajemnie pieścili, lecz gdy Selena wyprężyła się z jękiem, Andreas gwałtownie się odsunął.

— Nie teraz — powiedział przez ściśnięte gardło. Usiadła.

— Andreasie... Palcami dotknął jej ust.

— Mamy czas, Seleno. Dużo czasu. Przed nami cała przyszłość i cały świat.

— Kocham cię, Andreasie. Uśmiechnął się i pogładził ją po głowie.

— Przyszliśmy z bardzo daleka, Seleno. Przyszliśmy z dwóch miejsc, odleglejszych niż gwiazdy na niebie. Jesteśmy jak dwoje wędrowców po ziemi, którzy właśnie się narodzili, są razem, sami, ty i ja.

Wpatrywał się w nią z napięciem.

— Kocham cię, Seleno — powiedział. — Ale moja miłość to coś więcej niż pożądanie mężczyzny pragnącego kobiety, chociaż pragnę cię całym sercem. Weszłaś w moje życie i przebudziłaś mnie. Nie żyłem, Seleno, jedynie istniałem. Ale ty dałaś mojemu życiu cel. Chcę cię uczyć, Seleno. Najpierw ciebie. A potem chcę uczyć innych.

Mówił z żarem, oczy mu płonęły.

— Oto jesteśmy razem i już nigdy się nie rozstaniemy. Nigdy już nie wyruszę na morze. Te wszystkie podróże, to ciągłe szukanie! Nie wiem, czego szukałem, wiedziałem tylko, że surowość morza musi mnie jakoś ukarać. Teraz czuję, że to już skończone. Otrzymałem przebaczenie. Dostałem ciebie i jeszcze jedną szansę. Seleno, jesteś moim życiem, moją duszą.

Uniósł ręce, sięgając po swój łańcuch. Łańcuch był złoty, wisiało na nim złote oko Horusa, które otrzymał w dniu złożenia przysięgi Hipokratesa. Zdjął łańcuch i zawiesił go na szyi Seleny.

— To najcenniejsze, co posiadam. Tym łańcuchem wiąże się z tobą.

— A ja daję ci siebie, Andreasie — odparła Selena, sięgając pod suknię i zdejmując swój naszyjnik z różą z kości słoniowej. Zawiesiła mu go na piersi, mówiąc: — Matka powiedziała, że ta róża zawiera to, kim jestem. Dlatego też ofiarowuję ją tobie, Andreasie, jakbym ci ofiarowała siebie.

Znowu się pocałowali, potem przyciągnął ją do siebie i trzymał mocno w ramionach. I patrzyli na padający deszcz.



## ROZDZIAŁ JEDENASTY

— Palmira! Mamo, nie mówisz poważnie!

Mera nic nie odpowiedziała. Krzątała się po domu, wkładając cały ich dobytek do jedyne go kosza, który wolno im było zabrać w drogę.

— Odezwij się! — krzyknęła Selena.

Kiedy wróciła do domu, zastała matkę pakującą do dużego kosza ubrania, jedzenie, podręczne drobiazgi. W pierwszej chwili pomyślała, że zabiorą to nazajutrz na dwudniową wyprawę w góry, ale gdy zobaczyła zwoje z zielarskimi receptami, wełnianą zimową bieliznę oraz zapas chleba i sera co najmniej na tydzień — niepotrzebne przecież na tak krótką wyprawę — spytała matkę, co się stało.

— Wychodzimy zaraz — rzekła Mera. — Ruszamy z karawaną do Palmiry.

— Matko! — zawołała Selena, chwytając Merę za ramię. — Dlaczego jedziemy do Palmiry?

Mera na chwilę przerwała pakowanie.

— To rozkaz Bogini. Wyrocznia oznajmiła mi to dzisiejszego popołudnia.

— Ale dlaczego, matko? Dlaczego właśnie Palmira? Dzielą nas od niej setki mil! I pustynia! Nie będzie nas wiele tygodni!

Mnie nie będzie już za kilka dni — pomyślała Mera. — Ale ty, córko, znikniesz stąd na zawsze.

— Powiedziałam ci. Tego żąda Bogini.

Selena była oszołomiona. Odsunęła się od matki i powoli pokręciła głową.

— Nie. Nie pojedę.

— Nie masz wyboru.

— Poślubię Andreasa.

— Nie poślubisz Andreasa — odparła Mera z zawziętością, która zdumiała Selenę. Oczy jej płonęły, gdy powtórzyła: — Pojedziesz do Palmiry, tak jak ci nakazuje Bogini. Będziesz jej posłuszna.

— Ale... dlaczego? Dlaczego do Palmiry, matko? Mera znów zajęła się koszem. Zamknęła wieko i przywiązała je sznurem.

— Bo twoje przeznaczenie jest w Palmirze.

— Moim przeznaczeniem jest Andreas!

Mera odwróciła się gwałtownie i zmierzyła córkę piorunującym wzrokiem.

— Posłuchaj, Seleno — oznajmiła spokojnie. — Nie sądziłam, że chętnie pojedziesz. Mnie też ta podróż nie raduje. Ale nie mamy wyboru. Należysz do

bogów, Seleno. Pochodzisz od nich i do nich musisz wrócić. Musisz robić to, co ci rozkażą.

Selenie wydało się, że świat się zakołysał.

— Co... masz na myśli?

— Powiem ci, gdy przyjdzie czas. A teraz weź płaszcz i drugie sandały. Musimy natychmiast ruszać w drogę.

— Chcę zawiadomić Andreeasa.

— Nie ma czasu. — Mera boleśnie ścisnęła ramię dziewczyny. — Nie powiesz nic Andreasowi.

— Muszę!

— On nie jest twoim przeznaczeniem, Seleno. Musisz o nim zapomnieć.

Twarz Seleny wyrażała zdumienie i niedowierzanie. Czuła bolesny ucisk palców matki, widziała śmiertelną powagę w jej oczach i nagle wydało jej się, że świat wiruje wokół niej.

— Nie — powiedziała, próbując się wyrwać.

— Seleno! Winna jesteś posłuszeństwo mnie i Bogini!

— Nie pojedę, matko.

Zmierzyły się wzrokiem. Ale Mera była przygotowana. Przewidziała taką sytuację.

— Musisz pojechać — odezwała się cicho. — To moje ostatnie życzenie.

— Co to znaczy?

— Umieram, córko.

Mera puściła ramię Seleny i ujęła dłoń dziewczyny. Podniosła ją i położyła sobie na boku, gdzie pod cienkim materiałem sukni można było wyczuć twardy guz wielkości pomarańczy. Selena głośno wciągnęła powietrze.

— Nie mówiłam ci o tym, bo chciałam, by twój umysł był wolny od troski. Chciałam, żebyś się skupiła na akcie przystąpienia do zgromadzenia Bogini. Ale teraz nie mam już innego wyjścia. Bogini nakazała mi zabrać cię na pustynię w pobliżu Palmiry i tam dokonać ostatniego wtajemniczenia. — Patrzyła córce prosto w oczy. — Moje dni są policzone, Seleno. Moja misja dobiega końca, twoja się zaczyna. Przysięgam Bogini, że jeszcze dziś zabiorę cię do Palmiry. Zanim umrę.

W głowie Seleny kłębiły się myśli. Andreas. Musi o tym wiedzieć.

— Chodź, córko. Nie mamy czasu.

— Ale co będziemy robić w Palmirze?

— Bogini sama objawi swą wolę. Oto twój płaszcz, Seleno. Weź skrzynkę z lekami.

Selena czuła się jak otumaniona. Jej matka chyba postradała zmysły.

— Wrócę do Antiochii, matko — oznajmiła. — Wrócę do Andreasa.

— Jeśli to będzie twoim przeznaczeniem. Choć wątpię.

— Sama uczynię to swoim przeznaczeniem! Mera stała w otwartych drzwiach.

— Nie ty będziesz o tym decydować, Seleno. Chodźmy już, nie mamy wiele czasu.

Szły prędko ulicą w kierunku południowej dzielnicy miasta. Z prawej strony zachodzące słońce przedzierało się przez chmury. Nie oglądały się na dom, który opuszczały. Mera wiedziała, że przez jakiś czas będzie stał pusty, a potem władze miasta zajmą go i sprzedadzą. Dom spełnił swe zadanie. Mera była pewna, że ani ona, ani Seleno już nigdy go nie zobaczą.

W miejscu postoju karawan nadal panował chaos. Przybyło właśnie pięćset wielbłądów z Damaszku, jeszcze większa karawana zaraz wyruszy do Jerozolimy. Seleno szła za matką przez to pandemonium. Wszędzie rozkładano obozowiska. Namioty i ogniska wypełniały przestrzeń między klęczącymi wielbłądami i spętanymi osłami, ludzie wszelkich ras i narodowości żyjących w granicach Imperium Rzymskiego czynili nieopisany hałas. Słysząc było ich okrzyki, klótnie i głośną muzykę.

Przedzierając się przez tłum z przewieszoną przez ramię nową skrzynką lekarską, Seleno usiłowała zebrać myśli.

Co robić? Czy matka naprawdę umiera? Czy Mera mogłaby uciec się do takiego kłamstwa, byle zmusić ją do wyjazdu z Antiochii? I dlaczego mają jechać właśnie do Palmiry?

— Jesteśmy na miejscu — rzekła zdyszana Mera, stawiając ciężki kosz na ziemi. — Będziemy jechać na jednym osle.

Seleno powiodła wzrokiem po zasnutym dymem placu, wokół którego leżały wielbłądy. Widziała, jak stawiano i zwijano namioty. Ludzie kręcili się bezładnie, kupując zapasy żywności, napełniając wodą dzbany i bukłaki, objuczając wielbłądy. Seleno czuła się jak ogłuszona. Ona chyba śni. To musi być koszmarny sen. Andreas!

Patrzyła, jak matka prostuje się i chwyta za bok. „Umieram” — powiedziała.

— Mamo... — chciała ją objąć dziewczyna.

— Jeszcze jakiś czas wytrzymam, córeczko. Ale opium przestaje już pomagać.

Nagle Seleno przypomniała sobie, jak matka wstawiała w środku nocy i piła coś z dzbanka. A ona myślała, że Mera po prostu ma pragnienie!

— Mamo! — zawołała. — Jesteś zbyt chora, by jechać!

— Muszę. Poczekał tu chwilę, córko. Mam jeszcze coś do zrobienia.

Łzy wezbrały w oczach Seleny, kiedy przyglądała się, jak matka podchodzi do mężczyzny otoczonego ludźmi, którzy wymachiwali rękami i krzyczeli coś o prawie do wody w oazach. Widziała, jak matka kuleje, jak chwyta się za bok, i pojęła prawdę: Mera rzeczywiście umiera.

Selena jeszcze chwilę patrzyła, wreszcie podjęła decyzję. Obróciła się na pięcie i pobiegła przez tłum, przeskakując skrzynie, kury, omijając rzędy namiotów i ogniska. Andreas, Andreas — dudniło jej serce.

Kiedy zdesperowana, bez tchu dotarła do jego ulicy w górnej części miasta, niebo pociemniało, a nad dachami pojawiła się poświata wschodzącego księżyca.

Czy Mera pojedzie bez niej? Nie. Ale Selena wiedziała, że jeśli nie wróci na czas, karawana wyruszy, zostawiając Merę samą, w środku nocy, w obozowisku pełnym włóczęgów i złodziei. Mera z pewnością już zauważyła jej nieobecność.

Pomyśli, że uciekłam. Będzie przerażona. Musimy z Andreasem jak najprędzej do niej wrócić.

On już wytłumaczy Merze, że ta podróż to szaleństwo. A jeśli mu się nie uda, pojedzie z nimi do Palmiry. Andreas.

Selena z całej siły szarpnęła za sznur dzwonnka, a kiedy brama się uchyliła, musiała się oprzeć o ścianę, by złapać oddech.

— Muszę widzieć twojego pana! — wyrzuciła z siebie. — To sprawa ogromnej wagi!

Zoe zmierzyła Selenę chłodnym wzrokiem. Zauważyła jej podróżny płaszcz, piękną skrzynkę z hebanu i kości słoniowej, potargane włosy. I oznajmiła:

— Mojego pana nie ma.

— Jak to nie ma! Musi być!

W oczach Zoe pojawił się błysk.

— Wyszedł.

— Dokąd?

— Do portu. Miał się spotkać z kapitanem. Andreasie! — krzyczało serce Seleny.

Nie miała czasu go szukać. Karawana zaraz wyruszy. Selena ledwie zdążyła dobiec na czas.

Gwałtownie zdarła skrzynkę z ramienia, uklękła i otworzyła wieczko. Stojąca nad dziewczyną Zoe zobaczyła, jak Selena wyciąga glinianą tabliczkę,

taką, na jakich lekarze przepisywali leki. Splunęła na mieszaninę kleju i sadzy, zanurzyła w niej czubek rylca.

— Dasz to swojemu panu — powiedziała, pisząc. Napisała na tabliczce:

Wyruszamy do Palmiry. Jedziemy karawaną, która podróżuje pod chorągwią Marsa. Przybądź po nas. Matka umiera.

Zamyśliła się i dodała: Kocham cię.

Zatrzasnąwszy skrzynkę i zarzuciwszy jej ramię na ramię, wyprostowała się i podała służącej tabliczkę.

— Znasz mnie, prawda? Powiedz swojemu panu, że tu byłam. I daj mu to zaraz, gdy tylko wróci. To pilne!

Zoe wzięła tabliczkę.

— Gdy tylko wróci — powtórzyła i cofnęła się, by zamknąć bramę.

— I powiedz mu — dodała Seleną, ściskając ramię skrzynki, aż knykcie jej pobieleły — że jestem z matką w drodze do Palmiry. Powiedz, żeby po mnie przyjechał!

Zoe skinęła głową na znak, że przekaże wiadomość, i zamknęła bramę, słuchając odgłosu kroków Seleny na mokrej drodze. Kiedy dziewczyna już zniknęła, Zoe spojrzała na zabazgraną glinianą tabliczkę, rzuciła ją na ścieżkę, rozgniotła obcasem, po czym zmiotła okruchy.

\* \* \*

Andreas podniósł wzrok znad stołu i przez otwarte okno dostrzegł rąbek księżyca wschodzącego nad dachami. Wydawało mu się, że słyszał dzwonek. Czekał, trzymając w ręku pióro, pochylony nad czarnym blatem stołu. Jeśli ktoś przyszedł, zapewne jakiś pacjent, zaraz zostanie wprowadzony.

Nasłuchiwał. W domu panowała cisza. Nikt nie nadchodził. Uznawszy, że to zapewne ktoś pociągnął za dzwonek u sąsiada, Andreas ponownie całą uwagę skupił na zwoju.

Kupił go dziś po południu, kiedy wraz z Seleną wrócili z grotty Dafne. Był to jego pierwszy nabytek w nowym życiu. Ten biały, świeży zwój był zaiste jak nowe życie i czekał, aż się go zapełni pismem, znajdują się w nim notatki Andreeasa, załączek jego podręcznika medycyny. To jego przyszłość, jego i Seleny.

Andreas wiedział, że mając u boku Selenę — kochającą, dodającą mu odwagi i natchnienia — dokona wielkich rzeczy. Na samą myśl o tym ogarniało go drżenie. Był to tak wielki krok, że aż lękał się go uczynić. Z Seleną uczył się znów ufać sobie.

Przerwał i zamknął oczy. Ogarnęła go radość tak wielka, że trudna do pojęcia. Gdy otworzył oczy i zaczął pisać na czystym zwoju pierwsze słowa: De Medicina... nie usłyszał odgłosu sandałów na mokrej ulicy.

# KSIEGA DRUGA

Palmira

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Kazlah, nadworny lekarz pałacu w Magnie, miał w życiu tylko dwa pragnienia: zostać kochankiem królowej Lashy i żyć wiecznie. Ostatnio zaczął się zastanawiać, czy to drugie nie spełni się wcześniej niż pierwsze.

Jako osobisty lekarz władczyni, Kazlah był jedynym człowiekiem na dworze, który mógł patrzeć prosto w twarz Lashy, właśnie to czynił, mówiąc do niej, a równocześnie zastanawiając się, jak by się tu wśliznąć do łóżka królowej.

— Potrzebne nam dziewice — ostry głos Lashy przeciął ciszę nocy. — Dziewice. Tylko one uleczą niemoc króla.

Kazlah wątpił, by to cokolwiek dało. Nadwątlone siły seksualne króla Zabbaia wymagały czegoś więcej niż zwykłego pobudzenia. Co za pomysł: dziewice dla człowieka, który ma ponad sto żon! Ale lekarz nadworny nie ośmielił się sprzeciwić królowej. Wszak to nie królowa przemawiała, ale sama Bogini.

Boginię znano pod imionami Allat, Allah, Alla, Gwiazda Zaranna, ta, która pożera kochanków. Pochodziła z Szeby, z serca Arabii, ale przed wiekami przyprowadzili ją przez pustynię koczowniczą do położonej daleko na północy Magny. W tym egzotycznym mieście nad brzegami Eufratu bogini Allat wygłaszała swe rozkazy ustami Lashy, królowej Magny.

— Bogini życzy sobie — powtarzała właśnie królowa Lasha Kazlahowi — by król został odmłodzony. Jeszcze nie nadeszła pora jego śmierci.

Kazlah pogładzi! czarną trójkątną brodę i zapatrzył się na Boginię, będącą dziś w swym krwiożerczym wcieleniu, pochłaniającą niebo i gwiazdy, stojącą jej na drodze. Do Kazlaha, jako nadwornego lekarza, należało przede wszystkim utrzymywanie króla Zabbaia przy życiu, choć nie chodziło o takie ratowanie życia, jak to się zazwyczaj rozumie. Król, mimo iż miał już swoje lata, zachował zdrowie i energię. Jego przedwczesna śmierć nastąpiłaby nie z przyczyn naturalnych, lecz religijnych: król impotent musiał zostać zabity.

Obyczaj ten narodził się przed wiekami, kiedy kobiety władowały, a mężczyźni się pozbywano, gdy spełnili już swoją rolę. W wielu miejscach na całym świecie nadal wierzono, jak ongiś, iż po zmianie starego władcy

odradza się płodność i nieśmiertelność państwa oraz jego ludu. W starożytnym mieście Magna, sześćdziesiąt mil na wschód od Palmiry, król Zabbai, po życiu spędzonym na zaspokajaniu swych zachcianek, miał tuż przed sobą ów krytyczny punkt, a w pałacu szeptano o tym, że nadeszła pora, by zastąpił go ktoś inny.

Był jednak pewien problem. Nikt w pałacu, a już z całą pewnością król Zabbai, nie chciał, by korona przeszła teraz na młodszego mężczyznę. Albowiem dla nadwornego lekarza Kazłaha i innych dygnitarzy król Zabbai był marionetką i nie wtrącał się do ich licznych dworskich intryg, królowej zaś posiadanie tak uległego współmałżonka zapewniało dominującą rolę w tym związku. Dzielenie się władzą z jakimś ambitnym młodzieńcem byłoby dla niej nadzwyczaj niewygodne. Dlatego też wszyscy byli zgodni, że królowi Zabbai należy przywrócić potencję.

Nadworny lekarz oderwał wzrok od rozgwieżdżonego nieba i spojrzał na królową. Mimo bielma w jednym oku była piękna — surową, niemal budzącą lęk urodą. Taką samą, jak jego miłość do niej. Kazłah nie był przeciętnym mężczyzną, dlatego też jego żądza nie była zwykłą żądzą. Serce Kazłaha nie znało czułości i sentymentów, miłość oznaczała dlań posiadanie, była pierwotnym dążeniem do schwywania, podporządkowania sobie, a wreszcie zawładnięcia tym, co było z natury nieosiągalne: królową Lashą, ziemskim wcieleniem Bogini.

— Czy Bogini powiedziała, w jaki sposób to uczynić? — spytał.

Wzrok Lashy stał się zimny i twardy.

— To już twoje zmartwienie, medyku.

Kazłah, szczupły wysoki mężczyzna o wyrazistym profilu, przyglądał się przez chwilę królowej, potem odwrócił oczy. Musi być ostrożny. Wszystko to, co osiągnął dzięki swej pracy, intrygom, nawet morderstwom, zawisło na włosku. Po raz pierwszy od tylu lat królowa Lasha obdarzyła go zaufaniem, pokładając całą nadzieję właśnie w nim. Może teraz uda mu się wreszcie osiągnąć swój upragniony cel i przekroczyć próg jej sypialni.

Sandały Kazłaha wydawały cichy odgłos, gdy krążył w zadumie po gładkiej posadzce. Lasha z nienawiścią, ale i z podziwem przyglądała się lekarzowi, od którego — wbrew swej woli — stała się nazbyt zależna. Kazłah był ambitny, a ambitnym mężczyznom nie wolno ufać. Lasha pamiętała czasy, kiedy Kazłah — wówczas nowy na dworze — z lękiem i pokorą czołgał się u jej stóp i nie śmiał podnieść wzroku na jej oblicze, dla kogoś innego spojrzenie jej w twarz jeszcze do tej pory było wyrokiem śmierci. Ale tamte dni należały już do przeszłości, lata intryg i spiskowania wyniosły



Kazłaha, potomka koczowniczych Arabów, na niewyobrażalne wyżyny. Na swej drodze zgłębił bezcenną i tajemną sztukę leczenia, gromadząc wiedzę i strzegąc jej zazdrośnie. Wreszcie po latach udało mu się zająć tak niezachwianą pozycję na dworze, że królewska rodzina i dworacy byli od niego całkowicie uzależnieni. Czy to po życie, czy po śmierć — tylko do niego można się było zwrócić. I choć królowa Lasha nienawidziła Kazłaha, potrzebny był jej ten nadworny lekarz.

— Doskonale. Dziewice — odezwał się w końcu Kazłah, pochylając swą chudą postać ku królowej. — Może białe, o czystej, nieskazitelnej skórze. Może to wzbudzi zapał u króla.

Na gładkiej twarzy królowej pojawiła się zmarszczka. Gdzież w tej krainie ostrego słońca i pustynnych wiatrów znajdują się dziewczyny o mlecznej cerze?

— Poślij do Palmiry — przemówiła wreszcie. — Jest tam pewien człowiek, handlarz niewolnikami, który ma oko na drogi.

— Ależ, pani, dróg strzegą Rzymianie.

— Nie mogą być wszędzie naraz.

— A strażnicy pustynni z Palmiry? Ci handlarze z oaz pilnują swoich szlaków zazdrośniej niżli ojciec córek, jeśli nie będzie na nich bezpiecznie, Palmira przestanie słynąć jako skrzyżowanie dróg świata! Zostałyby po niej tylko skorpiony i piach. Prędzej oddadzą zapasy wody, niż narażą na niebezpieczeństwo tych, którzy tamtędy podróżują.

Lasha zmrużyła zdrowe oko i zmierzyła wzrokiem doradcę, który śmiał się jej sprzeciwiać.

— Słyszałam, że ów człowiek w Palmirze działa dyskretnie. Uderza szybko i rozplywa się niczym pustynny dżin. Co więcej, wie, którą ręką sięgać po złoto. Trzeba to załatwić, medyku.

Ton, jakim zostały wypowiedziane te słowa, ostatecznie zamknął usta Kazłahowi. Lasha nie była w nastroju, by z nim dyskutować, a Kazłah doskonale wiedział, dlaczego. Nie miało to żadnego związku z impotencją króla Zabbai. Królowa Lasha była wściekła, gdyż Kazłahowi nie udało się wyleczyć jej syna z letniej gorączki.

Bywały chwile, gdy Kazłah przeklinał stanowisko nadwornego lekarza. Uśmierzać liczne dolegliwości gnuśnych, przejeżdżonych dworaków, być wyciąganym z łóżka w środku nocy do prawdziwych i wyimaginowanych chorób, dokonywać oczekiwanych cudów, przenikać wzrokiem ludzkie ciało, odpowiadać natychmiast na każde pytanie, wiedzieć wszystko! I jak on teraz wygląda? Czarne włosy siwieją, w zapadniętych policzkach rysują się głębokie bruzdy, kąciki ust z roku na rok opadają coraz niżej.

Jedyny syn królowej Lashy już od trzech dni leżał powalony tajemniczą gorączką, do tej pory żaden z leków Kazłaha nie poskutkował. W pałacu wrzało od domysłów, jaki los czeka Kazłaha. Każdy był ciekaw, co stanie się z wszechwładnym nadwornym lekarzem, jeśli młody książę skona?

Kazłah zadrżał, choć sierpniowa noc była ciepła. Lepiej nie myśleć! Królowa Lasha nie znała litości ani współczucia. Kazłah nie wątpił, że kara byłaby wyjątkowo surowa.

— Dobrze, pani — ustąpił w końcu lekarz. — Jak się nazywa ten człowiek z Palmiry?

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

— No i? — spytał starszy wiekiem Rzymianin, zadowolony z siebie. — Co ty na to?

Selena wpatrywała się w płomień, który zabłysnął nagle, jakby cudem przeniesiony z ogniska. Ale nic nie powiedziała.

Ignacjusz wzruszył ramionami, patrząc na trzymany w dłoni przezroczysty kamień. Jego sztuczka z zapalaniem ognia robiła wrażenie na większości ludzi. Ale ta dziewczyna różniła się od jego zwykłej widowni. Po pierwsze musiała się troszczyć o konającą matkę, po drugie najwyraźniej wbiła sobie do głowy, że ktoś za nią jedzie. Od kiedy opuścili Antiochię — a było to już dwa tygodnie temu — często oglądała się, jakby wypatrując, czy ktoś za nimi nie podąża. Ignacjusz współczuł dziewczynie i pragnął jej coś podarować.

— Weź ten kamień, dziecko — powiedział łagodnie.

— Jest twój.

Selena przyjęła podarunek.

— Dziękuję — odparła i sięgnęła po hebanową skrzynkę, którą zawsze trzymała pod ręką. Uniosła wieczko, schowała kamień, po czym zamknęła skrzynię i dalej wpatrywała się w ogień wielkimi poważnymi oczami.

Ignacjusz zaprzyjaźnił się z dziewczyną i jej chorą matką w czasie, gdy karawana przemierzała góry Libanu, a gdy w tydzień po opuszczeniu Antiochii wyczerpały się ich skąpe zapasy chleba i sera, Ignacjusz, wysłużony rzymski jurysta, przenoszący się do syna i synowej („twardej jak niedogotowana kura”, jak określił ją Selenie), dzielił się z nimi jedzeniem i pomagał rozpalać ognisko. Co wieczór o zachodzie słońca, gdy karawana przystawała na nocleg, Ignacjusz wyjmował węgiel drzewny i rozpalał go za pomocą przezroczyстого kamienia, który — trzymany nad węglem pod odpowiednim kątem do słońca — w cudowny sposób wywoływał płomień.

W miarę jak słońce chyliło się ku zachodowi, na rozległym obozowisku liczącej tysiąc wielbłądów karawany zapalały się kolejne ogniska. Wokół podróźnych rozciągała się pusta niegościnna kraina. Po zejściu z zielonych gór, karawana przemierzała płaską, kamienistą, porośniętą kolczastymi krzakami ziemię, zamieszkiwaną przez koczownicze plemiona Beduinów. Palmira znajdowała się na wschodnim krańcu tej pustki, za oazą zaś, daleko na wschód i południe ku Arabii, rozciągała się płaska bezkresna Pustynia Syryjska. A za nią leżało prastare miasto Magna, którym władała królowa Lasha.

Tą samą drogą zmierzały inne karawany, roje ludzi z nieznanymi, najdalszych stron, przy płynęli oni statkami przez Zatokę Perską, Eufratem docierali do Magny i stamtąd ruszali pustynią na zachód. Były to karawany z Chin, wiozące jedwab, jadeit i korzenie, karawany znad Morza Śródziemnego, przewożące farbowaną wełnę i syryjskie szkło, a także arabskie karawany, które zdążały tym ruchliwym szlakiem z południa, z Mekki, gdzie boginię Allat symbolizował sierp księżyca i gdzie kobiety nosiły czarne szaty, odsłaniające jedynie oczy.

— Kupiłem dla nas trochę ryb — odezwał się Ignacjusz. — Niektóre sztuki bardzo ładne — dodał z nadzieją, że skusi Selenę do jedzenia. — Jestem już stary i nie lubię zmian. Dziś wypada dzień Wenus, ostatni dzień tygodnia. W Rzymie dla uczczenia bogini tego dnia jemy tylko rybę — rzekł z przeproszającym uśmiechem. — To pradawny obyczaj, a ja niestety stosuję się do pradawnych obyczajów.

Selena nic nie odrzekła. Zbyt ciężko jej było na sercu, by z kimkolwiek rozmawiać.

Andreas.

Gdzież on jest? Dlaczego jeszcze nie dogonił karawany? Minęły już dwa tygodnie, dwa długie tygodnie bolesnej tęsknoty, męki i niepokoju, nieustannego oczekiwania i nadziei, że ujrzy go lada chwila. Gdzie on jest?

Selena czuła, że jej serce jest chore, ale na tę chorobę nie pomoże żaden lek z jej skrzynki. Czuła się tak, jakby jej dusza została śmiertelnie zraniona, a tej rany nie uleczy żaden balsam ani żadna maść. Tylko Andreas zdołałby tego dokonać swym dotykiem, uśmiechem, miłością. W płomieniach obozowego ogniska Selena widziała jego twarz, z pewnością zjawi się wkrótce i odnajdzie ją. Musi się zjawić.

Sprawy źle się układały. Selena nie miała pieniędzy. Matka zapłaciła za miejsce w karawanie, przysługiwał im za to jeden osiołek i prawo do zaczerpnięcia wody w mijanych oazach, ale kiedy w kilka dni po wyjeździe wyczerpały się ich skromne zapasy żywności, Selena musiała płacić zawrotne ceny, chcąc kupić coś do jedzenia. Czasami udawało jej się wykorzystać swą znajomość sztuki leczenia. Pewna młoda Syryjka zaczęła przedwcześnie rodzić, Selena poradziła, by dziewczynę cały czas upijać, co powstrzyma poród. Dzbanek wina co godzinę ku zdumieniu wszystkich okazał się skuteczny — skurcze ustały. Wdzięczny małżonek dał Selenie zapas chleba i ryby na trzy dni. Ale i to już się skończyło.

Selena odwróciła się od ogniska i popatrzyła na sylwetkę śpiącej Mery. Matka czuła się coraz gorzej. Tego popołudnia, kiedy karawana zatrzymała

się na nocleg, Selena nazbierała gałęzi z pustynnych suchych krzaczków i zarzuciła na nie swą palę, by w ten sposób zapewnić Merze nieco cienia. Mera spała teraz pod tym prowizorycznym namiotem, skulona na boku, ciężko oddychając. Od dwóch dni nic nie jadła.

Selenie nagle zrobiło się zimno ze strachu.

Stracę ją — myślała z przerażeniem. — Matka umrze na tej strasznej pustyni! Andreasie, Andreasie, czy i ciebie utraciłam?

Spojrzała za siebie. Nad wiodącym przez pustynię szlakiem zapadała noc. Dziewczyna wyteżala wzrok, próbując dostrzec obraz samotnego jeźdźca, który pędzi w jej kierunku. Gdzie jest Andreas? Dlaczego nie nadjeżdża?

Selena poczuła na ramieniu dotknięcie dłoni, obejrzała się i popatrzyła w łagodne oczy starego Ignacjusza. Wiedział

chyba, co ją martwi. On też zauważył, że ze zdrowiem jej matki jest coraz gorzej.

Ignacjusz był wrażliwym, szczodrym człowiekiem. Sam uznał się za opiekuna Seleny i Mery, przyjmując je do swej małej grupki, złożonej z dwunastu niewolników i ośmiu wielbłądów. Po wielu wyprawach Ignacjusz aż nadto dobrze wiedział, na co narażone są w drodze samotne kobiety.

— Boję się, Ignacjuszu — odezwała się w końcu Selena przez ściśnięte gardło. — Księżycy ubywa. To pora, kiedy starzy i chorzy najczęściej umierają. Boję się, że matka nie dotrze do Palmiry. Chyba jest zbyt słaba, by jutro wyruszyć z karawaną. Musimy się zatrzymać i odpocząć.

Ignacjusz z powagą skinął głową. Sam wcześniej już o tym pomyślał.

— Dobrze — oznajmił, zostawiając rybę i wino. — Chyba już pora, bym porozmawiał z przewodnikiem karawany. Dopilnuję, by dał wam wielbłąda, wodę i kogoś do ochrony.

— Sądzisz, że się zgodzi? Ignacjusz uśmiechnął się, wstając.

— W tym człowieku czyta się jak w księdze.

Gdy odprowadzała wzrokiem Ignacjusza, idącego między namiotami i ogniskami, ogarnęły ją wątpliwości. Przewodnik karawany, którego widziała przelotnie parę razy, nie wyglądał na uczynnego człowieka.

Nie zdążyła się obejrzeć, gdy Ignacjusz już wrócił. Opadł na stółek i podniósł swą drewnianą skrzynkę podróżną — w czasie podróży ludzie ukrywali bogactwo i starali się wyglądać na ubogich.

— Niech będzie przeklęty ten wiek i ludzie, którzy go takim uczynili — mamrotał, wylewając parę kropli wina na ofiarę bóstwom pustyni, a następnie wychylając resztę.

— Ignacjuszu, co...

— Poprosiłem tylko, by dał wam kwit, który upoważniałby was do brania wody w oazach. W końcu zapłaciłyście za to. Umowa z przewodnikiem została zaprzysiężona na boginię Bona Fides, dlatego go obowiązuje.

— A on jej nie dotrzyma?

— Zdaje się, że nadzieja na to byłaby równie próżna, jak na znalezienie pestki w cebuli. To człowiek podły.

Selena załamała dłonie.

— Cóż ja teraz pocznę! Matki nie można ruszać! Musi odpocząć przed dalszą drogą!

— No już, już — uspokajał dziewczynę Ignacjusz, poklepując ją po ramieniu i czując się winny, że tak ją wystraszył. — Nie będzie tak źle. Od miasta dzielą was tylko dwa dni jazdy. Droga jest uczęszczana, ani przez chwilę nie będziecie same.

— Boję się!

— Nie ma się czego bać. To najbezpieczniejsze szlaki na świecie. Konni łucznicy ze straży pustynnej Palmiry stanowią siłę, z którą żaden rozbójnik nie ważyłby się zmierzyć!

Ignacjusz usiadł i przyglądał się Selenie, jej bladej twarzy, na którą padało światło płonącego ognia.

— Nie martw się, dziecino — powiedział miękko, przykrywając dłonią jej rękę. — Zostanę z wami. Zaopiekuję się tobą i twoją matką.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Choć królowa Lasha nosiła imię Bath-Szeby (oznaczające „córę Bogini”) i dzięki temu powinna być wszechmocna, w tej chwili czuła się całkowicie bezradna.

Kłęczała przy łóżku, na którym spoczywało rozpalone gorączką ciało jej syna.

Lekarze i ich pomocnicy niespokojnie krążyli po komnacie. Wypróbowali już wszystkie możliwe sposoby, żaden jednak nie zmniejszył gorączki u chłopca. Wściekłość królowej wzrastała proporcjonalnie do rosnącej temperatury ciała księcia. Lasha uniosła głowę i zmierzyła lekarzy spojrzeniem bazyliuszka.

— Gdzie jest Kazlah? — spytała w końcu. Popatrzyli po sobie.

— Jest w świątyni, pani. Uniosła brwi.

— Czy błaga Boginię o zdrowie dla mego syna?

Znów niespokojnie wymienili spojrzenia. Strach, lodowaty jak wody Eufratu, mroził krew w ich żyłach.

— Poszedł tam... w sprawie króla, miłościwa pani.

— Poślijcie po niego. Jeśli mój syn ma umrzeć, nie będzie umierał sam.

Ze znużeniem podniosła się z klęczek.

— A teraz wynoście się stąd wszyscy.

Po krótkim zamieszaniu, gdy dworacy pospiesznie opuszczali komnatę, zderzając się ze sobą w wyjściu, królowa Lasha w końcu mogła znów być sobą. Nie było łatwo bez przerwy panować nad poddanymi, okazywać wobec nich odwagę i wyniosłość. Zwłaszcza teraz, gdy jej syn był tak ciężko chory.

Odwróciła się od łóżka. Była wysoką kobietą, o prostych ramionach i królewskiej postawie, miała czarne włosy splecione w tysiąc warkoczy, warstwy jedwabnej szaty szeleściły przy każdym ruchu, a czoło, szyję i przeguby, nawet o tej godzinie, zdobiły kosztowne klejnoty.

Królowa wyszła na balkon, z którego widać było zalaną blaskiem księżycą rzekę, płynącą swym odwiecznym korytem. Spoglądając na wierzbowy gaj, królowa Lasha poczuła pokorę wobec śmierci. Tyle lat nad nią panowała, teraz śmierć miała zapanować nad nią.

Lasha kochała syna nade wszystko. Uniosła twarz ku srebrnej bogini na niebie i pomodliła się po prostu:

— Matko Istnienia, nie pozwól, by mój syn umarł...

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Selena podniosła wzrok ku srebrnemu księżycowi na czarnym niebie i wyszeptała:

— Matko Istnienia, spraw, by moja matka żyła...

Kłęczała, trzymając na kolanach głowę Mery. Niedawno dała matce parę łyków wody, które wywołały niepokojący atak kaszlu. Selena bała się poruszyć. Wkrótce po północy Mera otworzyła oczy i popatrzyła na córkę.

— Już czas — odezwała się cicho. — Nadchodzi już moja godzina.

— Nie, matko...

— Nic nie pomoże, dziecino — wyszeptała Mera oddychając z trudem. — Nadszedł czas, by powiedzieć prawdę. Dlatego proszę, wysłuchaj mnie. Słuchaj uważnie. Mam ci do powiedzenia coś ważnego, a ogromnie trudno mi mówić.

Mera próbowała zmienić pozycję, uniosła się, a jej twarz wykrzywił ból. Głęboko zaczerpnęła tchu, by wypowiedzieć to, co miała do powiedzenia, a w gardle jej zarzęziło.

— Nie będzie mi dane dotrzeć do Palmiry, córko. Osiągnęłam cel. Spełniłam swoje zadanie do końca. Przywiodłam cię z powrotem...

— Matko — wyszeptała Selena, delikatnie gładząc włosy Mery. — Nie rozumiem, co mówisz. Co to znaczy, że przywiodłaś mnie z powrotem...?

— Szesnaście lat temu... Jesteś specjalnie wybrana... Selena ściągnęła brwi. Wpatrywała się w sine wargi matki i próbowała pojąć, co kryje się za tymi słowami, próbowała pomóc matce, starając się zrozumieć je wcześniej, nim ona powie. Wybrana? — myślała. — Wybrana do czego?

— Twój ojciec... — dyszała matka. — Powiedział, że pochodzisz od bogów. Że do nich należysz.

Selena zdumiona patrzyła na Merę. Przed laty Mera powiedziała jej o rybaku, który zginął na morzu jeszcze przed urodzeniem Seleny. Potem nigdy już nie wspominała mężczyzny, po którym owdowiała. Czemu jednak zwykły rybak miałby twierdzić, że jego dziecko pochodzi od bogów?

Łzy wezbrały w oczach Mery. Przeklinała ciało, które ją zdradziło, które stało się jej wrogiem.

Powinnam była powiedzieć jej wiele dni temu, kiedy jeszcze miałam dość sił. Dlaczego? Och, dlaczego zwlekałam aż do tej chwili, by wyznać jej prawdę?

Mera przymknęła oczy. Wiedziała dlaczego.



Bo się bałam. Chciałam ją zatrzymać jeszcze na chwilę. Chciałam, by jeszcze przez parę dni była moją córką. Nie byłam w stanie znieść myśli, że mogłabym z nią być, kiedy już powiem, iż nie jestem jej matką. Że będę widziała, jak myśli o innej kobiecie, tej młodej biedaczce, którą wywlekli żołnierze w czerwonych płaszczach. Nie mogłabym spojrzeć w twarz mojej córce, bo ona już nie byłaby moja.

— Seleno. Byłaś słodyczą mojego życia. Przyszłaś do mnie, gdy byłam samotna. Myślałam o sobie. Chciałam cię mieć na własność. Ale zawsze wiedziałam, że pewnego dnia bogowie upomną się o ciebie, mają bowiem do ciebie prawo. Nazaczyli cię już przy urodzeniu i po dziś dzień nosisz ten znak. Ilekroć przeklinasz swój język, Seleno — a wiem, że tak jest — pamiętaj: to bogowie taką cię stworzyli, to znak szczególnej łaski...

Głos Mery ucichł. Oszołomiona Selena spoglądała na matkę i czekała.

Ze swojego miejsca przy ognisku Ignacjusz obserwował dwie sylwetki w prowizorycznym namiocie. Już drugi dzień podróżowali samotnie. Odkąd karawana zostawiła ich na szlaku do Palmiry, wędrowali małą gromadką, składającą się z ośmiu wielbłądów, piętnastu osób i jednego zmęczonego osiołka. Kiedy olbrzymia karawana odjechała i opadł po niej kurz, porośnięta krzakami syryjska pustynia wydawała się jeszcze większa i groźniejsza niż przedtem. Ignacjusz nocami pilnie strzegł obozowiska, teraz nosił sztylet za pasem, niewolnikom też kazał się uzbroić.

Choć dziewczyna upierała się, że jedzie za nią przyjaciel, który ich lada chwila dogoni, Ignacjusz szczerze w to wątpił. Gdyby ów przyjaciel miał jechać, z pewnością dawno już by się zjawił.

— Masz do spełnienia wielkie zadanie, Seleno. — Zdyszany głos Mery niósł się w ciszy nocy. — Jesteś wyjątkowa. Czeka cię niezwykły los, przed tobą cel, dla którego się urodziłaś, a ja cię przygotowywałam przez szesnaście lat. Teraz sama musisz go szukać. Nie mam dla ciebie odpowiedzi, Seleno. Sama musisz je znaleźć. To musi stać się twym życiowym zadaniem.

Dziewczyna ze zdumieniem potrzęsła głową.

— O czym ty mówisz, matko?

— Słuchaj mnie, córeczko, słuchaj. Musisz poznać prawdę...

Kłęcząc z pochyloną głową i patrząc, jak spieczone wargi matki formułują słowa, Selena nasłuchiwała. Usłyszała w ciszy pustyni jakiś dźwięk. Było to wycie wiatru, wiatru, który szalał nocą, trząsał drzwiami i oknami, a któremu towarzyszył tętent końskich kopyt i komendy rzymskich żołnierzy.

Mera przywołała tę noc sprzed szesnastu lat i tak obrazowo przedstawiła ją córce, iż Selenie zdawało się, że widzi przystojnego rzymskiego patrycjusza i

jego młodą żonę, mały domek na obrzeżach miasta, narodziny pierwszego dziecka, chłopca o imieniu Helios, potem, już w zagrożeniu, przyjście na świat drugiego dziecka — dziewczynki, nazwanej Seleną, wtargnięcie rzymskich żołnierzy, Merę ukrytą w skrzyni ze zbożem, a wreszcie szlachetnie urodzonego Rzymianina, który leży w rosnącej kałuży krwi i każe, by Mera zdjęła mu pierścień z palca.

— Powiedział... że pochodzisz od bogów, Seleno. Powiedział, że jesteś wybrana. Ja, samotna i bezdzietna, otrzymałam cię w darze od Bogini, a w zamian za to dotrzymałam umowy. Przywiodłam cię z powrotem do Palmiry, tak jak mi nakazała Wyrocznia, byś mogła wrócić na drogę swego przeznaczenia.

Wstrząśnięta Seleną wpatrywała się w matkę. Próbowwała ogarnąć to wszystko: niewiarygodną historię swych narodzin, rodziców, których twarzy nie potrafiła sobie wyobrazić, prorocze słowa konającego Rzymianina... Nie mieściło jej się to w głowie. Równie dobrze mogłaby próbować niebo i gwiazdy objąć ramionami.

Mera uniosła drżącą rękę.

— Nadeszła już pora, Seleno. Daj mi różę.

— Różę?

— Naszyjnik. Ten, który powiesiłam ci na szyi w dniu, kiedy po raz pierwszy włożyłaś stolę. Czas, byś zobaczyła, co kryje róża, a ja ci wyjaśnię znaczenie tej zawartości.

— Ale... Ja nie mam tej róży, mamo. Oddałam ją. Mera gwałtownie otworzyła oczy.

— Co? Oddałaś ją? Seleno, co ty mówisz?

Selena przycisnęła rękę do piersi, gdzie pod tkaniną sukni wyczuwała kształt oka w naszyjniku Andreasa.

— Ja... dałam ją Andreasowi. Przysięgliśmy sobie miłość. On dał mi swoje oko Horusa, a ja...

Z gardła Mery wyrwał się jęk, który rozdarł ciszę pustynnej nocy aż do gwiazd. Wielbłądy zaczęły ruszać się i chrząkać, Ignacjusz i jego niewolnicy poderwali z niepokojem głowy.

— Co ja zrobiłam? — krzyczała Mera, uderzając się w pierś słabą dłonią.

— Co ja najlepszego zrobiłam? Ze strachu, w swojej głupocie trzymałam cię w niewiedzy! Powinnam ci była powiedzieć już dawno temu! Co ja uczyniłam?

— Matko, błagam, uspokój się.

Mera ze szlochem opowiedziała Selenie o złotym pierścieniu, który — jak zapewnił konający Rzymianin — wszystko dziecku wyjaśni. Było na nim coś wyrzeźbione — twarz i jakiś napis w obcym języku, ale Mera nie umiała go odczytać. „Daj go jej, gdy będzie starsza”, powiedział wówczas ten człowiek. „On zaprowadzi ją do jej przeznaczenia”.

— Ale jak teraz odnajdziesz drogę bez pierścienia? — szlochała Mera. — Był tam jeszcze kosmyk włosów, włosów twego ojca i kawałek płótna, na które przyjechałam twego brata — to potężne więzy, Seleno, i wszystko co na tym świecie łączy cię z twoją rodziną. Nie ma tego! Zostałaś od nich odcięta! Co ja uczyniłam?

Oniemiała Selena przypomniawszy sobie, jak zawieszała różę na szyi Andreasa. Teraz zrozumiała, że ofiarowała mu więcej niż samą siebie, złożyła w jego dłonie swoje przeznaczenie.

— Dziecino, posłuchaj. Musisz wrócić do Antiochii. Musisz wrócić do Andreasa i odzyskać naszyjnik. Otwórz różę, córko. Popatrz na pierścień...

Selena ze zdumieniem wpatrywała się w matkę. Ma wrócić do Antiochii, do Andreasa...

— Seleno, obiecaj! — Mera ścisnęła rękę Seleny z nieoczekiwaną siłą. — Córko, Izyda jest twoją boginią. Wybrała cię do szczególnego zadania. Musisz się dowiedzieć, co to za zadanie. To twój obowiązek. Musisz się dowiedzieć, kim jesteś, musisz odnaleźć swego brata i ponownie się z nim zjednoczyć....

Głos Mery zamarł ponownie, a kiedy przymknęła oczy, wyglądała jak pogrążona we śnie. Selena, tuląc głowę matki, długo się w nią wpatrywała. W końcu wzburzone uczucia zaczęły opadać niczym nocna mgła, dziewczyna zadrżała, łzy zamgliły jej wzrok.

Nie jesteś moją prawdziwą matką? — pytała w duchu uśpioną kobietę, która leżała w jej ramionach. — Więc kto...

Selena podniosła głowę i zapatrzyła się w pustynię, w odległy horyzont, gdzie rysowały się dalekie wzgórza. Za nimi leżało miasto, w którym przyszła na świat — Palmira.

Czy ona nadal tam jest, moja prawdziwa matka? I mój brat bliźniak, Helios?

I czy Andreas odnajdzie mnie w tym mieście? Czy wyruszy w drogę, by mnie szukać? A może powinnam teraz zawrócić do Antiochii, odwrócić się od matki i brata, którzy być może są w tym obcym mieście...

Rozplakała się.

Jak to możliwe, że ta dobra kobieta nie jest jej matką? Ta słodka kobieta, która ocierała dziecięce łzy Seleny i uciszała jej dziecięce lęki, opatrywała podrapane kolana, wyjaśniała ruchy gwiazd i księżyca. Odkryła przed nią sekrety leczenia ziołami i magią. To Mera poprowadziła młodą Selenę cienistymi drogami w głąb duszy i nauczyła, jak uchwycić jej płomień.

I to właśnie ta prosta, kochająca kobieta przesiedziała tyle nocy, haftując piękną błękitną stolę, aby jej córka zaślniła pełnym blaskiem w najważniejszej godzinie swego życia.

Nie — podjęła decyzję Seleny. Jej przyszłość nie mogła być w tym odległym nieznanym mieście. Jej przeznaczeniem było leczenie, wraz z ukochanym Andreasem, w Antiochii.

Kiedy matka ponownie spróbowała przemówić, Seleny pogładziła jej gorące czoło i powiedziała przez ściśnięte gardło:

— Nie męcz się, mamo. Spij.

— Przede mną już tylko sen, córko. Chcę, żebyś mi obiecała, że będziesz robić to, czego cię nauczyłam, że pójdziesz moją drogą, będziesz szanowała prastare sztuki leczenia i nigdy nie zapomnisz o Bogini. Teraz ty odpowiadasz za siebie, Seleno, i za twoje szczególne powołanie. Obiecuj mi, córeczko...

Selena, płacząc, ujęła dłoń matki i obiecała.

— A teraz... — nakazała uspokojona Mera — przygotuj dla mnie grób.

— Nie!

— Ciało szybciej się rozkłada od promieni księżyca niż od słońca, sama cię tego uczyłam. Pospiesz się. Jest mało czasu.

Ciągle płacząc, Seleny ułożyła wygodnie głowę i ramiona Mery na palli. A gdy już miała odejść, po raz ostatni zatrzymała ją ręka matki.

— To niemądre bać się śmierci, córeczko — przemówiła Mera z czułością. — To jest jak zasypianie. Kiedy się przebudzę, będę już z Matką Istnienia. A ty i ja, drogie dziecko, będziemy znów razem, po Zmartwychwstaniu. Bogini nam to obiecała. Będę na ciebie czekać...

Kiedy Mera leżała pod rozwieszoną na gałęziach pallą Seleny, słuchając odgłosu kopania grobu w twardej ziemi, ogarnął ją wielki żal. Dlaczego nie może żyć dłużej, by dowiedzieć się, kim jest jej córka, i zobaczyć na koniec wielkie dzieło, do którego Seleny została powołana? Pierwszy raz w życiu Mera buntowała się przeciw woli Bogini.

W ostatnich chwilach życia Mera nagle otrzymała dar jasnowidzenia. Ukazała się jej wizja. Odwróciwszy głowę, spojrzała z miłością na szlochającą dziewczynę i pomyślała:

Pewnego dnia wrócisz do Antiochii i będziesz szukać swego umiłowanego Andreasa. Ale nie stanie się to tak, jak sobie wyobrażasz, lecz zupełnie, zupełnie inaczej...

Tuż przed świtem Mera wypowiedziała do córki swe ostatnie słowa:  
— Pamiętaj, by pozostać w przyjaźni z Izydą. I skonała.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Zaatakowano ich, kiedy siodłali ostatniego wielbłąda, a Ignacjusz mówił:

— Bez wątpienia w Palmirze natychmiast znajdziesz karawanę do Antiochii. A ja już dopilnuję, żeby ci było wygodnie w drodze i żeby cię nie oszukano.

W ciągu kilku chwil jasnego poranka, między położeniem ostatniego kamienia na grobie Mery a zwinięciem obozu, Selena uznała, że najlepiej będzie pojechać do Palmiry i tam poszukać karawany do Antiochii. Wyobrażała sobie zaskoczenie Andreasa, gdyby spotkali się w drodze. I wtedy świsnęła pierwsza strzała.

Pojawili się znikąd, jakby nagle wyrośli z piasku pustyni — giganci na koniach pędzących ku ich maleńkiemu obozowisku. Niewolnicy Ignacjusza rozpierzchli się i biegali w kółko z krzykiem, starsza kobieta pierwsza została trafiona strzałą w plecy, potem upadł starzec. Selena przez chwilę stała i patrzyła, a potem wyszeptała:

— Dżin! — i rzuciła się do ucieczki.

Napastnicy uformowali krąg i atakowali z zakrzywionymi, połyskującymi w porannym świetle szablami nad głową. Twarze ich były skryte pod czarnymi chustami, spod gęstych ciemnych brwi błyszcząły jedynie okrutne oczy, a z gardeł dobywał się potworny, nieludzki wrzask.

Selena gorączkowo rozglądała się za Ignacjuszem. Wielbłądy się spłoszyły, dziewczyna bała się, że zaraz ją stratują kopytami. Rzymscy niewolnicy padali wokół od ciosów zakrzywionych szabli jak zboże ścinane sierpem. W powietrzu unosiła się gęsta chmura piasku i pyłu, słysząc było ogłuszające krzyki mordowanych.

I wtedy ktoś chwycił Selenę za ramię i pociągnął w bok. To Ignacjusz, który rozpaczliwie usiłował wyprowadzić ją z ognia walki, gdzie potężne kopyta wielbłądów miażdżyły ciała zabitych niewolników.

— Rań ich konie! — krzyknął, wciskając jej do ręki nóż.

Oszołomiona Selena spojrzała na ciężkie ostrze, a w następnej sekundzie zobaczyła, jak Ignacjusz obraca się i zamierza na pędzącego wprost na niego konia. Nie trafił, a miecz przeciwnika głęboko przeciął jego ramię.

— Ignacjuszu! — krzyknęła Selena, próbując go podtrzymać.

Wtedy pojawił się drugi koń, galopujący prosto na nią jeździec nie odrywał wzroku od swej ofiary. Stała znieruchomiała, jak zahipnotyzowana. Kiedy napastnik był prawie nad nią, z uniesioną nad głową, gotową do ciosu szablą, dziewczyna odruchowo rzuciła się w przód, wbijając nóż w ciało konia aż po

rękojeść. Zwierzę rozpaczliwie zarżało i wierzgnęło, zrzucając jeźdźca. Ignacjusz z nowymi siłami skoczył na mężczyznę i poderżnął mu gardło.

Selena przestała myśleć i odczuwać cokolwiek. Nie wiedząc, co robi, i nie rozumiejąc całej grozy tego, co się działo, z głośnym szlochom obracała się w kółko i na oślep cięła, wbijała nóż. Wokół niej była tylko krew, krzyki i tumany piasku.

Wreszcie wszystko się skończyło.

Nagle zapadła cisza, w której rozlegało się jedynie ciężkie sapanie koni i chrzęst uprzęży. Dziewczyna poczuła, że jest przyparta do ciała zabitego wielbłąda, jej zakrwawiony nóż leżał obok. Opodal spostrzegła martwego Ignacjusza. Jego krew wsiąkała w piasek, tworząc ciemną plamę.

Usłyszała chrapliwy rozkaz w języku, którego nie знаła, i w chwilę potem została związana i zakneblowana. Próbowwała się opierać, gdy jeden z napastników podnosił ją i przerzucał przez grzbiet konia jak worek ziarna. Ruszyli natychmiast galopem, Selena leżała na brzuchu, bolały ją skrepowane na plecach ramiona i czuła okropne, narastające mdłości.

Oprócz Seleny ocalało sześć młodych niewolnic Ignacjusza, mężczyzn i starsze kobiety zostawiono pustynnym padlinożercom. Jeńców wieziono przez pustynię z szaleńczą prędkością, jak najdalej od antiochijskiej drogi i w górę, na strome wzgórze na północ od Palmiry. Wkrótce do jeźdźców dołączyła podobna grupa, również ze schwytanymi kobietami. Nie zatrzymując się nawet na popas, ruszyli na wschód, ku wielkiej pustyni, z dala od drogi, z dala od Palmiry.

Zanim Selenę wreszcie ogarnął miłosierny mrok, zdążyła pomyśleć o Andreasie i o tym, co będzie czuł, gdy zobaczy pobojuwisko.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Kazlah zważył w rękę sakiewkę złota i spojrzał na gościa kalkulującym wzrokiem.

— Resztę dostaniesz, jeśli będą wśród nich dziewice. Gość, cały pokryty pyłem po długiej podróży, chciwie przyglądał się mieszkowi.

— Cztery są bardzo młode, panie. Z pewnością są dziewicami. Jeśli zaś chodzi o resztę... — Wzruszył ramionami.

— Przekonam się, kiedy je zbadam. A na razie — Kazlah rzucił sakiewkę na podłogę — bierz zaliczkę. Kiedy zbadam dziewczęta, przyślę do ciebie niewolnika z resztą pieniędzy. Nie wracaj do pałacu.

Mężczyzna z podejrzliwością zmrużył oczy. Kazlah może powiedzieć, że żadna z dziewcząt nie jest dziewicą. Miał na szczęście dość przytomności umysłu, by oprócz kobiet zabrać łup, jako zabezpieczenie w razie takiej sytuacji. Kazano mu uderzyć znieńacka i jak najszybciej uciec z brankami, nim strażnicy pustynni się zorientują. Nie zdołał się jednak powstrzymać i złapał rzecz, która wydawała mu się niezwykle cennym skarbem.

— Panie — odezwał się, podnosząc woreczek z podłogi — może zainteresowałby cię towar innego rodzaju?

Kazlah zmierzył go pogardliwym spojrzeniem. Porywanie bezbronnych kobiet nie należało do najgorszych wyczynów tego mieszkańca Palmiry, słynął z handlu dziećmi, a zwłaszcza chłopcami. Kazlah z najwyższą niechęcią załatwiał z nim interesy, ale królowa Lasha nalegała, by osobiście dopilnował tej niesmacznej sprawy. Łajdak posunął się jednak zbyt daleko.

— Zawarliśmy umowę. Teraz wynoś się.

— A gdybym pokazał ci, panie, coś wyjątkowego, niezwykle ciekawego?

— Jeśli natychmiast stąd nie wyjdiesz, każę cię wyrzucić i będziesz mógł się pożegnać z resztą swoich pieniędzy.

Gość odwrócił się, otworzył drzwi i dał znak kohorcie, która czekała na zewnątrz. Potem wrócił do Kazlaha, wlokąc za sobą duży wór z niewyprawionej skóry. Nadwornego lekarza ogarnęło rozdrażnienie.

— A to co znowu?

— Zechciej, panie, spojrzeć.

Wór znalazł się na środku komnaty. Handlarz rozwiązał rzemień i ostrożnie wyciągnął kwadratową hebanową skrzynkę, inkrustowaną kością słoniową. Kazlah wbrew swojej woli poczuł narastającą ciekawość. Mężczyzna postawił skrzynkę na stole, podniósł wieko i spojrzał nadwornemu medykowi w twarz.



— To skrzynia lekarska — oznajmił ostrożnie. — Widzisz, panie? Musiała należeć do zamożnego i wykształconego lekarza.

Kazlah ogarnął spojrzeniem rząd słoiczków, zwoje świeżego papirusu, tłuczek i moździerz, maleńkie szufladki starannie oznaczone egipskimi hieroglifami, szpulę nici, igły z ości. Właściciel tej skrzynki musiał być nie tylko zamożnym i wykształconym, ale również wyjątkowo uczonym lekarzem.

— Gdzieżeś to zdobył? — spytał w końcu Kazlah.

— Na drodze z Antiochii. Trafiliśmy na starego Rzymianina z garstką niewolników. Z pewnością był to lekarz, który zamierzał otworzyć praktykę w Palmirze.

Kazlah skinął głową. W Palmirze przypadało o wiele więcej lekarzy na mieszkańca niż w jakimkolwiek innym mieście świata, nawet w Rzymie. Ten stary Rzymianin byłby zapewne jedną z wielu płotek w tym zapełnionym stawie, ale byłaby to bardzo uczona płotka.

Kazlah wyciągnął długi szpiczasty palec i dotykał nim jednego przedmiotu po drugim, jakby oszołomiony niezwykłą zawartością skrzynki: oglądał przezroczysty kamień, grudkę siarki, małą figurkę Izydy. Kazlah nie miał wątpliwości, że owa skrzynka stanowi ukoronowanie lat pracy i nauki.

Wziął jeden ze słoiczków, otworzył go i powąchał zawartość. Nie znał tej substancji. Bardzo delikatnie odstawił słoik na miejsce i w zadumie spoglądał na skrzynkę. Zapewne należała do lekarza kształconego w Egipcie, a żaden lekarz na świecie nie przewyższał wiedzą tych, którzy pobierali nauki w Aleksandrii.

Kazlah poczuł ukłucie zazdrości — uczucie, jakiego nie doznawał od lat. Zazdrości! lekarzowi, do którego należała ta skrzynka. Zazdrościł mu wiedzy, zdobytej może naprawdę w samej aleksandryjskiej Akademii. On sam nigdy nie zdobył właściwego wykształcenia. Swoją wiedzę medyczną musiał wywalczyć, wykradać, podpatrywać, będąc jeszcze człowiekiem młodym i nowym w pałacu, Kazlah przekonał się, jaką władzę posiadał nadworny lekarz: władzę nad królem i królową, równie podatnymi na ból i choroby, jak najędzniejszy wieśniak. Dlatego też wkradł się w łaski Malala, ówczesnego nadwornego lekarza, było to poniżające przedsięwzięcie i kosztowało Kazlaha utratę resztek godności. Podstawy wiedzy medycznej przejął od starego Malala, następnie uczył się metodą prób i błędów, eksperymentując na członkach dworu.

Ta skrzynka lekarska świadczyła o tym, że jej właściciel posiadał to wszystko, czego Kazlahowi brakowało. Budziła w nim zawiść.

Po krótkim namyśle nadworny lekarz odwrócił się, przeszedł w drugi koniec komnaty, sięgnął za zasłonę i wyjął drugą, mniejszą sakiewkę złota.  
— Kupię to — oznajmił, rzucając złoto na stół.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Po przebudzeniu Selena nie miała pojęcia, gdzie się znajduje. Najpierw poczuła ból, nieznośny, piekący ból w nadgarstkach, w plecach i kostkach u nóg. W miarę jak odzyskiwała przytomność, docierały do niej inne wrażenia: zobaczyła siennik pod sobą, poczuła straszliwie wyschnięte usta i gardło, wreszcie ujrzała kamienną ścianę w odległości wyciągniętego ramienia.

Jęknęła i usiadła. Podłoga zakołysała się jej przed oczami. Z powrotem opadła na siennik i długo leżała, wpatrując się w sufit, próbując zebrać rozproszone myśli.

Gdzie jest? Co się stało? I wtedy wszystko sobie przypomniała: śmierć Mery, zasadzkę, koszmarną jazdę na koniu. Usłyszawszy ciche łkanie, odwróciła głowę i ze zdumieniem zobaczyła, gdzie się znajduje.

Była to duża czysta komnata z umieszczonym wysoko oknem, przez które wpadało słońce. Na podłodze leżał kobierzec, były tam naczynia z wodą, ręczniki, a na środku, na niskim stoliku stały miseczki, zapewne z jedzeniem. Ale nie to przykuło uwagę Seleny. W drugiej części pokoju leżała na macie płacząca młoda dziewczyna.

Wtedy Selena dostrzegła inne dziewczyny w komnacie: leżały lub siedziały, jedna nawet stała oparta o ścianę, patrząc oszołomionym wzrokiem — młode kobiety w mniej lub bardziej poszarpanych szatach, płaczące, jęczące, chore.

Selena z trudem zbierała myśli, w głowie jej pulsowało, a kiedy się poruszyła, jej pierś przeszył ostry ból. Zamrugła w oszołomieniu, widząc, jak jedna z kobiet, odziana w luźną bluzę i szarawary, jakich Selena nigdy przedtem nie widziała, wstała i podeszła do płaczącej dziewczyny. Uklękła obok niej i delikatnie dotykając dłońmi mówiła coś w obcym języku. Ta, która przedtem płakała, krzyknęła z bólu i dziwnie ubrana dziewczyna odsunęła rękę. Ręka była cała we krwi.

Selena znowu spróbowała usiąść, tym razem się udało. Mocno przyciskając rękę do żeber, z trudem podeszła do rannej dziewczyny. Zobaczyła, że tamta ma głęboko przecięte ramię.

— Jest ciężko ranna — powiedziała Selena. — Musimy... Zakreśliło jej się w głowie, uniosła rękę do czoła. Kiedy zawrót głowy ustąpił, dokończyła:

— Musimy jakoś powstrzymać krwawienie. I obmyć ranę. Dziwnie odziana dziewczyna popatrzyła pytająco na Selenę. Potem jakby zrozumiałwszy, poderwała się i przyniosła miskę z wodą. Selena zauważyła,

że woda była perfumowana, a ręczniki z najdelikatniejszego płótna. Dziwne traktowanie więźniów — pomyślała i zajęła się ranną.

\* \* \*

Kiedy pojawił się nieznajomy, wszystkie młode kobiety już się pobudziły i rozmawiały ze sobą, próbując dojść, co się stało, gdzie się znajdują i co oznacza ta osobliwa cela. Seleną mogła się porozumieć z niewolnicami Ignacjusza, pozostałe towarzyszki niedoli mówiły różnymi innymi językami. Młodziutkiej dziewczynie w szarawarach, o olbrzymich, niemal za dużych w jej twarzy oczach, udało się wreszcie wyjaśnić, że pochodzi z kraju położonego daleko na wschodzie, jeszcze za rzeką Indus, a ona ma na imię Sarnia.

Kiedy do sali wszedł wysoki mężczyzna w ciemnych szatach, wszystkie dziewczęta umilkły. Za nim stało dwóch niemych strażników z mieczami. Mężczyzna zatrzymał się w drzwiach i powiódł wzrokiem po dwudziestu wystraszonych twarzach. Patrzył na nie — przemknęło Selenie przez myśl — jakby oceniał konie lub wielbłądy. Drżała w swej podartej sukni i przymknąwszy oczy, modliła się do Izydy.

Mężczyzna metodycznie przystąpił do pracy, wydając szorstkie polecenia. Początkowo strażnicy musieli przytrzymywać dziewczęta, kiedy jednak się przekonały, że jeśli się podporządkują, łatwiej im będzie znieść badanie, przestały się wyrywać. Mężczyzna mówił po grecku, językiem powszechnie znanym na wschodzie, i kiedy Seleną zrozumiała, co każe robić strażnikom, zaczęła jeszcze mocniej dygotać.

— Te dwie nie są dziewczycami — oznajmił. — Weźcie je do pomieszczeń dla niewolników. Wieczorem zabierze je handlarz. Ta jest dziewczicą. Zaprowadźcie ją do głównego eunucha królewskiego haremu.

Był jeszcze w drugim końcu pomieszczenia, ale Seleną już podciągnęła kolana pod brodę i objęła je mocno ramionami. Była dziewczicą, zabiorą ją wraz z innymi do królewskiego haremu.

— A to co? — odezwał się nagle mężczyzna, unosząc ramię szlochającej dziewczyny i ze zmarszczonymi brwiami patrząc na opatrunek z ręcznika. Rozejrzał się dookoła. — Kto to zrobił? — spytał ostro.

Nikt się nie odezwał.

I wtedy szlochająca dziewczyna mimowolnie zerknęła na Selenę. Mężczyzna zwrócił się do niej.

— Tyś to zrobiła? — spytał.

Seleną otworzyła usta, ale nie wydostał się z nich żaden dźwięk. Skinął na strażników, którzy postąpili o krok ku Selenie.

— Tak! — przemówiła nagle. — Ja to zrobiłam.

— Dlaczego?

— Bo... bo...

— Mówże, dziewczyno! Selena z trudem dobywała słów.

— Bo krwawiła.

— Na płótnie jest miód — zauważył mężczyzna, spoglądając na miseczki z kaszą, figami i miodem, pożywieniem, które miało pokrzepić branki. — Dlaczego przyłożyłaś miód na ranę?

Selena z trudem przełknęła ślinę, modląc się do Izydy, by jej pozwoliła zapanować nad językiem.

— W... w ten sposób odpędza się złego ducha zakażenia. Jego wzrok, tak zimny, że przeszywał ją dreszcz, trzymał ją jak w uchwycie. W końcu mężczyzna puścił ramię rannej i ruszył prosto do Seleny. Inne dziewczęta z przerażeniem patrzyły na nich.

— Skąd o tym wiesz? — spytał, stając nad nią. Selena skuliła się, z gardła wyrwał jej się szloch.

— Moja...

— Gadaj!

— Moja matka była mądrą — powiedziała. — Ona mnie tego nauczyła.

Mężczyzna przez moment zastanawiał się. Potem spytał, już nieco łagodniej:

— Twoja matka była mądrą? Czy była z tobą w karawanie?

Potaknęła.

— Podróżowałyście z Rzymianinem drogą z Antiochii. Czy on był lekarzem?

— Nie.

Usta Kazłaha drgnęły. Pomyślał o pięknej lekarskiej skrzynce w swej komnacie i o jej bogatej zawartości, która stanowiła dla niego tajemnicę.

— Udowodnij mi, że matka cię nauczyła, jak leczyć. Powiedz na przykład, jak byś obniżyła gorączkę u dziecka?

— Są różne sposoby: kąpiel w bardzo zimnej wodzie, nacieranie ciała wódką...

— A jeśli one zawiodą?

Selena znowu przełknęła ślinę. Ból żeber kłuł ją przy każdym oddechu. Kręciło jej się w głowie, było jej słabo, bała się, że zaraz zemdleje.

— Pozostaje jeszcze lek Hekate — wyszeptała.

— Co to jest?

— Herbata. Moja matka ją parzy. Moja matka... — Z piersi znów wyrwał się szloch.

— Mów!

Selena wybuchnęła płaczem. Jej szczupłym ciałem wstrząsał szloch.

— Moja matka nie żyje — powiedziała cicho. Schowała twarz w dłoniach, płacząc.

Kazlah patrzył na nią z góry, uśmiechając się blado. Lek Hekate.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Kazlah przeszukał skrzynkę i znalazł niebieski słoiczek z oznaczającym Hekate symbolem żaby. Najpierw wypróbował środek na przestępcy skazanym na śmierć. Kiedy najwyraźniej nic mu się nie stało po wypiciu kilku kropel gorzkiej herbaty z niebieskiego flakonika, Kazlah podał ją niewolnikowi, którego nękała pospolita letnia gorączka. Gdy gorączka ustąpiła, nadworny lekarz postanowił dać to lekarstwo królewskiemu synowi.

Pora była późna, w sypialni księcia zebrał się milczący tłum widzów. Kapłani Allat ustawili się wokół komnaty, kołysząc kadzielnicami, z których unosił się gryzący w oczy dym, brząkając tamburynami i wywołując liczne imiona Bogini. Majordomus stał w pogotowiu na czele orszaku swych pomocników, pierwszy skryba siedział ze skrzyżowanymi nogami na podłodze, z atramentem i papirusem w dłoniach, królowa Lasha zaś czuwała przy łożu syna, śledząc zdrowym okiem każdy ruch Kazlaha.

Lekarz okryty był skórą lamparta, czarne, zaczesane gładko do tyłu włosy lśniły na wąskiej czaszce. Siedział bez ruchu przy śpiącym księciu jakby pogrążony w transie. Jego oczy spoglądały nieruchomo przed siebie, chuda pierś ledwie się unosiła w oddechu.

Zza przejrzystych zasłon dobiegał krzyk nocnych ptaków. Posadzka lśniła w srebrnej poświacie gwiazd. Tuż nad wierzchołkami palm widać było jeszcze rożek księżyca Allat. A w nocnym powietrzu, które napływało i odchodziło niczym fale przypiływu, unosiła się bagienna żyzna woń Eufratu.

Pierwsze łyżeczki tajemniczego wywaru podano o zmierzchu. Chłopięca grdyka księcia poruszała się słabo, gdy odruchowo przełykał lekarstwo, a wszyscy zebrani przyglądali się temu z niepokojem. Kazlah nie miał pojęcia, ile leku powinien dać chłopcu, ale lękał się wypytywać branke, żeby nie nabrała podejrzeń i nie odmówiła odpowiedzi. Oczywiście tortury wydobyłyby tę informację, ale wtedy nie byłby pewien, że jest prawdziwa. Dziewczyna mogłaby uczynić Kazlaha mimowolnym mordercą księcia. O wiele lepiej będzie trzymać ją w zamknięciu i uzależnić całkowicie od siebie. Z czasem, o ile będzie ostrożny, wyciągnie z niej całą wiedzę, wtedy ją uśmierci, by wszelki ślad po niej zaginął, a istnienie ukrytej skrzynki lekarskiej pozostało tajemnicą Kazlaha.

Lasha siedziała sztywno wyprostowana w obłoku kadzidła. Kazlah wiedział, że jeśli tym razem zawiedzie, jeszcze przed świtem czeka go straszliwa śmierć. Ale jeśli chłopiec w cudowny sposób ozdrowieje...

W komnacie rozległo się westchnienie, tak ożywcze, jakby to sama rzeka westchnęła. Książę zdawał się wynurzać z głębi snu.

Kazlah pochylił się nad chorym i położył wąską dłoń na królewskim czole. Potem znowu sięgnął po błękitny flakonik. Nikt nie wiedział, skąd Kazlah go miał, nikt nie wiedział o skrzynce z lekami. Ani o dziewczynie, którą Kazlah trzymał w zamknięciu.

Postawił flakonik na stoliku i usiadł z powrotem. Oczy wszystkich były utkwione w twarzy młodego księcia. Tamburyny i śpiewne głosy umilkły, kadzielnice przestały się kołysać. Dworacy stali sztywno niczym posągi. W ich oczach był lęk. Jeśli chłopiec umrze, gniew królowej spadnie na nich wszystkich.

Nagle drobna sylwetka poruszyła się pod jedwabną narzutą, zatrzepotały rzęsy, potem otworzyły się oczy i książę spojrział na swoją matkę, królową.

— Mamusiu... — odezwał się.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Selena zatoneęła w oczach Andreasa. Kryła się w nich dziwna moc, moc, jakiej nie zdołałaby się oprzeć, nawet gdyby chciała. Były ciemnoszare niczym burzowe chmury, ocienione gniewnymi brwiami, które dzieliła głęboka zmarszczka, a mimo to w oczach tych była dobroć i współczucie, świadczące o wrażliwej i miłującej duszy.

Andreas przyciągnął Selenę do siebie, czuła jego twarde mięśnie, gdy trzymał ją tak mocno. Serce jej biło coraz szybciej, oddech zatrzymywał się w krtani. Uniosła ku niemu wargi, pragnąc go aż do bólu. Wtedy Andreas ją pocałował, czuła uścisk jego ramion, dotyk jego ciała.

Weź mnie — wyszeptwała. — Weź mnie teraz.

Obudził ją łoskot. Usiadła na posłaniu, mrugając powiekami. Przez chwilę nie wiedziała, co się dzieje, potem pojęła: to był tylko sen.

Spojrząwszy w umieszczone wysoko okno, zobaczyła padający deszcz i zrozumiała, że obudził ją grzmot. Drżąc z zimna, owinęła się cienkim kocem i wstała.

W celi tej przebywało przed Seleną wielu więźniów. Ktoś wydłubał w murze otwory, po których można się było wspiąć do okna i wyjrzeć przez kraty. Selena podciągnęła się do góry i zobaczyła miasto, tonące w strugach gwałtownego listopadowego deszczu. Przycisnęła czoło do zimnych metalowych prętów i wyszeptwała:

— Andreasiu, mój ukochany. Całujemy się tylko w snach.

W jej oczach malował się głęboki smutek, gdy wyglądała ze swej kamiennej wieży.

Już od dziewięćdziesięciu dni Selena codziennie przyciskała twarz do tych żelaznych krat i patrzyła na miejską bramę, na krętą ruchliwą drogę, która wiodła ku pustyni, uparcie wypatrując znajomej sylwetki na koniu. „Na pewno przyjedzie”, powtarzała sobie codziennie, ściskając pręty, aż zaczynały ją boleć ręce. Selena nie wątpiła, że Andreas będzie jechał drogą z Antiochii i dowie się o napadzie na obozowisko. A kiedy nie znajdzie jej w Palmirze, przeszuka całą pustynię. Minęły już trzy miesiące, ale przecież wiele mil dzieliło to miejsce od tamtej drogi. W końcu Andreas dotrze do tego miasta, więc Selena musi go wyglądać i być gotowa.

Dziś jednak, kiedy deszcz lał jak z cebra, trudno było cokolwiek dostrzec, tylko parę niewyraźnych sylwetek majaczyło na dworze. Selena patrzyła na ulice, które już знаła na pamięć, i w myślach po raz kolejny rozpoczęła swą drogę ku wyzwoleniu.

Nie mogła uciec ciałem, ono bowiem pozostawało zamknięte w grubych kamiennych murach. Uciekała duchem, jej myśli mknęły przez wąskie kręte uliczki, przeskakiwały mury i pędziły pustynią do Andreasa. To przynosiło jej odrobinę ulgi w tej strasznej niewoli.

Gdzie jest teraz Andreas? — zastanawiała się. — Może grzeje dłonie nad ogniskiem, które płonie właśnie tam, w tym zaułku, gdzie wiszą kolorowe zasłony?

Selena poczuła, jak deszcz wdziera się do jej duszy i gasi nadzieję, ale szybko go odepchnęła. Przywołała obraz swego płomienia duszy, skupiła wszystkie siły na podsycaniu go, by płonął jasno. Wiedziała, że nie może poddać się rozpacz, bo wtedy będzie zgubiona. Musi przeżyć. Przez wzgląd na Andreasa i przez wzgląd na Merę, której ostatnia wola napełniła Selene pragnieniem przetrwania. Jesteś wybrana...

Niewidzącym wzrokiem patrzyła na palmy daktylowe, które gięły się na wietrze, przed jej oczami pojawiały się obrazy: róża z kości słoniowej, złoty pierścień, brat bliźniak o imieniu Helios. Andreas.

Selena puściła metalowe pręty i zsunęła się na podłogę. Krążyła po maleńkiej izdebce, żeby się rozgrzać.

Została sama. Dziewczęta, jedną po drugiej, zabierano, albo do pomieszczeń dla niewolników, albo — jak Sarnię, Hinduskę, z którą Selena zdążyła się zaprzyjaźnić — do królewskiego haremu. W końcu i Selene zabrano z tamtej wygodnej komnaty i umieszczono w tej nędznej celi. Żelazne drzwi zatrzasnęły się z łoskotem, klucz przekręcono w zamku, kroki strażnika ucichły w oddali.

Mijały już trzy miesiące rozpaczliwej egzystencji w tej kamiennej wieży. Selena nie wiedziała, kto ją tu trzymał, ani gdzie jest i jaki los ją czeka. Wiedziała tylko, że nie wolno jej poddać się rozpacz, że musi przeżyć, musi uciec i znaleźć drogę powrotną do Andreasa i swego przeznaczenia.

Jedyną pociechą w tym koszmarze było ukryte pod jej suknią złote oko Horusa, którego nikt nie zauważył. Skrzynka z lekami zniknęła, oczami wyobraźni widziała ją leżącą na piasku, aż w końcu zostanie pogrzebana w jednej z pustynnych wydm. Jej skrzynka lekarska — jedyna więź z przeszłością, z matką i jej świętą sztuką leczenia. Bez niej czuła się naga, odarta z tożsamości i sensu istnienia. Ale gdy żal zaczynał brać nad nią górę, wystarczało jej dotknąć oka Horusa, by poczuć jego uzdrawiającą moc. W tym naszym życiu żył duch Andreasa.

Słyszając odgłos kroków pod drzwiami, Selena stanęła bez ruchu. Nasłuchiwała, trzęsąc się z zimna i obejmując się ramionami. Ogarnął ją strach.

Czy to znowu on?

Jej kat, człowiek, który ją torturował. Selena nigdy nie wiedziała, kiedy się zjawi. Czasem przychodził rano, czasem w środku nocy, ale zawsze zadawał jej pytania.

— Co znaczy ten symbol? — pytał na przykład, rzucając jej skrawek papirusu. Albo: — Powiedz mi, co to za proszek?

Selena wiedziała, czego szukał: jej wiedzy o leczeniu. I wiedziała, że dzięki temu żyje, że nie musi się bać jego strasznych gróźb.

— Jeśli twoje odpowiedzi mnie nie zadowolą — ostrzegł, zamykając ją po raz pierwszy w tej celi — pošlę cię do haremu, gdzie staniesz się zabawką króla, a gdy już mu się znudzisz, każdego, kto będzie miał na ciebie ochotę. Odpowiesz na wszystkie moje pytania albo wyślę cię do żołnierzy, niech się tobą zabawiają.

Bała się tego bardziej niż czegokolwiek w życiu. Serce w niej zamierało na samą myśl o tym. Być tak wykorzystaną przez mężczyzn! Przechodzić z rąk do rąk, brutalnie gwałcona, pozbawiona godności. Jak to możliwe, pytała się w duchu, by ten sam akt — zbliżenie mężczyzny i kobiety — mógł mieć dwa tak różne oblicza? Jak może z jednej strony stać się spełnieniem miłości, a zarazem być narzędziem terroru?

Selena pragnęła połączyć się z Andreasem. O niczym innym nie marzyła. Chciała przyjąć go do swego ciała, poczuć jego siłę i napiętność. Ale z tamtymi?! Ze starym królem? Z żołnierzami?

Żołądek jej się ścisnął. Kroki zatrzymały się przy drzwiach. Klucze zazgrzytały w zamku.

Należała do Andreasa. Tylko on może ją posiadać. Jak mogłaby wrócić do niego zbrukana?

Drzwi się otworzyły i nieznajomy wkroczył do celi. Przez ramię miał przerzucony gruby koc, w ręku trzymał kubek.

Selena cofnęła się o krok.

— Zimno ci? — spytał. Skinęła głową.

— Chciałabyś ten koc?

Zobaczyła, że był utkany z miękkiej wełny w czemono-złotym kolorze gorejącego płomienia. Och, owinać się nim! Znowu poczuć ciepło! Ponownie skinęła głową.

Mężczyzna podniósł kubek.

— Powiedz, co to jest.

Nie odrywając się od ściany, Selena nachyliła się i zajrzała do środka. W kubku były jakieś liście, które wydzielały zapach cytryny. Ciekawiło ją, skąd je wziął i dlaczego — skoro sam nie wie — sądzi, że są na tyle cenne, by ją pytać.

— To melisa — odparła.

— Do czego się ją stosuje?

Jego pytania zawsze ją zdumiewały. Jeśli bowiem nie wie, czym są te rośliny i do czego służą, to skąd wie, że są lecznicze?

— Melisa jest „rozweselającym” ziołem — wyjaśniła.

— Jej napar uspokaja serce.

— To wszystko?

Zadrżała i spojrzała na koc. Palce jej zdętwiały, nawet kości ją bolały z zimna.

Oto i drugie wcielenie nieznanego. Mógł nie tylko ją dręczyć, ale i dawać. Aby jej uświadomić władzę, jaką nad nią posiada, najpierw przez kilka dni ją głodził. Potem przyszedł zjedzeniem i pytaniami. A kiedy nie potrafiła mu powiedzieć, jak uleczyć niemoc króla, zabrał jej siennik i musiała spać na zimnej kamiennej posadzce. Mógł zapewnić wygodę albo zadawać cierpienie.

Selena zerknęła na dwóch strażników, którzy stali za nim, zasłaniając drzwi wiodące na korytarz, a z niego — pomyślała — ku wolności. Gdyby tylko mogła tam pobiec...

— W balsamie — odezwała się wreszcie — melisa łagodzi ból stawów i stłuczonych miejsc.

Stał, patrząc na nią z góry, z nieruchomą surową twarzą jakby wykutą z kamienia. Kiedy jednak Selena spojrzała mu w oczy, w ich chłodnych głębiach dostrzegła straszliwą samotność, z pewnością nawet mu nie przyszło na myśl, że inni mogą ją zauważyć. Żałowała go, ale również bała się. Wiedziała, że nadejdzie dzień, gdy nieznanomy nie będzie miał już więcej pytań, a wtedy stanie się dla niego bezużyteczna i spotka ją straszny los. Musi uciec daleko, zanim ten dzień nadejdzie, musi jakoś zawiadomić Andreasa.

— Proszę, powiedz mi, gdzie jestem. Co to za miasto?

Kazlah odwrócił się i wyszedł z celi, dając strażnikom znak, by zamknęły drzwi. Kiedy w korytarzu znów zapadła cisza i Selena została sama w ciemnościach, słuchając, jak pada deszcz, uświadomiła sobie, że zabrał ze sobą koc.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Królowa Lasha zamierzała być nieśmiertelna. A mówiąc ściślej, zamierzała władać w niebie jako królowa bogów.

Wiara Lashy w życie po śmierci była silna i niewzruszona jak mury jej potężnego pałacu. Wierzyła w siedem sfer nieba, sąd nad duszami i wieczną nagrodę lub potępienie oraz w panteon bóstw. Bogowie zamieszkiwali najwyższy krąg nieba, wysoko nad sklepieniem kosmosu, żyjąc w wiecznym zbytku i szczęśliwości. Królowa Lasha wiedziała, że po śmierci jako królewska osoba automatycznie zyska wstęp do jednego z wyższych kręgów nieba, ale to jej nie wystarczało. Jej ambicji nie mogło zadowolić zwykłe życie wieczne, chciała znaleźć się w najwyższych sferach elizejskiej chwały, do których przyjmą ją sami bogowie.

Podobnie jak jej matka i matka jej matki, w ciągu lat, jakie minęły od czasów, gdy Magna była jeszcze błotnistą wioską nad brzegami Eufratu, Lasha spędzała swe ziemskie bytowanie szykując się do przyszłego życia. Prace nad jej grobowcem rozpoczęły się w dniu, gdy jako dwunastoletnia dziewczyna zasiadła na tronie, i od tamtej pory nie było dnia, by nie odwiedziła miejsca swego wiecznego spoczynku.

Miało ono przewyższać wspaniałością grobowiec królowej Kleopatry, który stał w Aleksandrii i był ponoć wspanialszy niż grobowce największych faraonów. Grób Lashy stanie się czymś więcej niż domem wieczności — będzie prawdziwym pałacem, gdzie znajdzie się sala tronowa, obszerne łaźnie, liczne komnaty, a służyć jej będzie w przyszłym życiu stu niewolników, pogrzebanych żywcem w grobowcu, gdy jej ciało zostanie złożone w sarkofagu. I grób Lashy będzie nie tylko okazalszy niż grobowiec jej matki, grobowce słynnych perskich władców czy wielkiego Aleksandra, jej dom wiecznego spoczynku przyćmi je wszystkie czymś ogromnie ważnym: swym bogactwem.

Królowa Lasha znajdowała się w swojej komnacie. Całe popołudnie spędziła w grobowcu, doglądając prac kamieniarskich i rozmawiając z architektami. Teraz siedziała, głęboko pogrążona w niespokojnych myślach. W pałacu czekały na nią złe wieści z haremu. Dziewice, schwytane przed trzema miesiącami i sprowadzone do Magny, nie uleczyły niemocy jej małżonka. Mocno zacisnęła dłonie na oparciu krzesła. Nie może brać drugiego męża!

Tylko w jeden sposób mogła Lasha spełnić swe marzenie o władaniu w niebie — stając się najbogatszą kobietą wśród bogów. I tylko w jeden sposób

mogła zachować skarby, które potajemnie gromadziła w grobowcu: mając starego Zabбай za małżonka.

Jej męża nie obchodziło życie pozagrobowe ani bogowie, ten stary rozpustnik żył tylko dla jadła, wina i rozkoszy łoża. Lasha powoli i systematycznie gromadziła swą fortunę już od czasów, gdy jako obojętna dwunastolatka leżała nieruchomo nocami w ramionach świeżo poślubionego małżonka. Skłaniało go to do odwiedzania swych konkubin i zażywania z nimi przyjemności w drugiej części pałacu. Ilekroć jej armia podbijała inne królestwa i wracała ze wspaniałymi łupami, króla interesowały jedynie młode branki, kiedy wasale przybywali do Magny z daninami, nie obchodziło go złoto ani klejnoty, lecz ciała, gdy zaś ściągano podatki, które napełniały królewski skarbiec, nie zaglądał do ksiąg, ale żądał tylko tyle pieniędzy, ile mu było potrzeba na zaspokajanie zachcianek. W rezultacie wszystko trafiało do królowej Lashy, obecnie była jedną z najbogatszych kobiet świata.

Lecz świat o tym nie wiedział. Specjalnie utrzymywała to w tajemnicy. Podczas gdy inni władcy otaczali się w swych pałacach przepychem, pokazując swe bogactwo całemu światu, Lasha ukrywała swoje skarby z myślą o przyszłym życiu. Pałac był urządzony wystarczająco okazale, by wzbudzać podziw jej wrogów, przysparzać sojuszników i zadowalać króla

Zabбай, ale reszta bogactwa, które napływało do Magny, szła prosto do grobowca, gdzie niemi strażnicy pilnowali go dzień i noc w oczekiwaniu na chwilę, gdy Lasha wstąpi do siódmego kręgu nieba i oślepi bogów swymi skarbami.

Tylko w ten sposób może zapewnić sobie miejsce wśród nich, nie masz bowiem bardziej pazernych i szanujących złoto istot niż bogowie. Przyjmą ją do siebie i posadzą na tronie jako władczynię nieba, która zaćmi nawet Izydę i Isztar.

Ale na razie...

Niemoc króla Zabбай oznaczała, że trzeba się go pozbyć, bowiem król impotent oznacza dla miasta nieszczęście. Jego duchowa płodność łączyła się z płodnością jego ludu, jeśli król zawodził, upadała też Magna. A usunięcie króla Zabбай oznaczało, że trzeba by sprowadzić nowego królewskiego małżonka, który rządziłby wraz z Lashą. Taki jurny młody książę byłby niewątpliwie ambitny i z pewnością dobrałby się do skarbów w jej grobowcu.

Zacisnęła dłoń w pięść i uderzyła nią o poręcz.

Głupia kobieto! — wyrzucała sobie w duchu brak rozsądku. Przez wstręt do męża zapomniała o obowiązkach królowej. Zabбай powinien był o wiele wcześniej dać jej dziecko, tak by teraz następca tronu mógł zająć miejsce ojca

— pod czujnym okiem matki. Ale ona odwlekała to do ostatka, dopełniwszy wreszcie swego obowiązku dopiero wtedy, gdy najwyższy kapłan oznajmił jej, że taka jest wola Bogini. To jedyne zjednoczenie z mężem przyniosło owoc: syna, który jednak był jeszcze zbyt młody, lata miną, nim osiągnie męskość, potrzebną miastu.

Lasha znowu uderzyła pięścią w krzesło. Dlaczego po tylu latach niesłabnącej potencji jej męża nagle dotknęła niemoc?

— Witaj, pani.

Lasha podniosła wzrok i zobaczyła najwyższego kapłana Allat.

— Dlaczego przychodzisz mnie dziś nękać? — spytała ze znużeniem.

Najwyższy kapłan pilnował się, by nie stanąć na wprost twarzy królowej. Ilekroć Lasha udzielała posłuchania, zawsze siadała profilem, by widziano tylko jej zdrowe oko. Jeśliby kogoś przyłapano na spoglądaniu w jej twarz, a zwłaszcza na olbrzymi szmaragd, który zasłaniał ślepe oko, spotkałaby go śmierć — tak wielka była próżność królowej. Kapłan rozejrzał się po obszernej sypialni, w której płonęły liczne lampy, rozpraszające szarość deszczowego dnia. Na twarzach służebnic i dworzan, stojących w gotowości, by służyć pani, malował się niepokój.

— Przyszedłem spytać, czy poczyniono jakieś plany co do królewskiego małżonka. Lud Magny zaczyna się niepokoić. Uważają jego niemoc za zły znak.

Lasha nie odpowiedziała. Siedziała na wysokim tronie, odziana w jedwabie i klejnoty, opierając stopy na poduszce i spoglądając na mroczne cienie, które zdawały się z niej kpić.

— Przyszedłem spytać, czy zamierzasz pani wykorzystać tę ostatnią z dziewic.

Królowa drgnęła.

— O czym ty mówisz?

— O ostatniej dziewczynie. Z pewnością trzyma się ją w jakimś specjalnym celu.

Teraz Lasha popatrzyła prosto na kapłana, który dyskretnie spuścił wzrok.

— W wieży — wyjaśnił. — Jest tam młoda dziewczyna, bardzo piękna, którą otacza się szczególną troską. Nikomu nie wolno jej oglądać.

— Skąd o tym wiesz? Kapłan skromnie spuścił głowę.

— Mam wielu przyjaciół, pani. Są pośród nich ci, którzy przygotowują jedzenie dla dziewczyny, pilnują jej drzwi dniem i nocą.

I mam też wrogów — dodał w duchu — których muszę zniszczyć.

Najwyższy kapłan zazdrościł Kazlahowi jego potęgi, a ta poufna informacja, zdobyta za wysoką cenę, mogła się okazać orężem, jakiego potrzebował.

— Kto ją tam przetrzymuje? — spytała królowa.

— Kazlah, pani.

Zebranych w komnacie dworaków przeszył dreszcz.

— Przyprawdź ją do mnie — rozkazała cicho królowa Lasha.

\* \* \*

— Masz się nie odzywać, choćby nie wiem co — zapowiedział kapłan, gdy ze swymi ludźmi prowadził Selenę. — I nie wolno ci na nią patrzeć. Jeśli spojrzysz na twarz królowej, czeka cię natychmiastowa śmierć. Patrz cały czas na podłogę.

Selena mijiała w korytarzu liczną służbę królowej. Wszyscy wpatrywali się w chudą, nienaturalnie bladą dziewczynę, która szła z najwyższym kapłanem. Bosa, zwyczajnie ubrana, jej długie ciemne włosy nie były ozdobnie ułożone. Z pewnością branka, ale mimo to miała w sobie jakąś godność i spokój.

Kiedy weszli do królewskiej komnaty, Selena szerzej otworzyła oczy: nigdy jeszcze nie widziała tak wysokiego sufitu, tak ogromnych kolumn. Pchnięto ją na kolana przed tronem.

— Jak się nazywasz? — padło ostre pytanie, wypowiedziane doskonałą greką.

Selena utkwiała wzrok w marmurowej posadzce, zmagając się z opornym językiem. Nie mogła wydobyć słowa.

— Mówże, dziewczyno!

— Selena — odparła.

— Dodaj: pani — szturchnął ją kapłan.

— Selena, pani.

— Kto przetrzymuje cię w tej wieży? — spytała Lasha, pochylając się do przodu.

— Nie...

Selena przygryzła wargę. Język jej nie słuchał.

— Co z nią? — spytała Lasha. Kapłan znowu szturchnął dziewczynę.

— Mów!

Błagam, Izydo — modliła się Selena — uwolnij mój język. Jeśli to znak wybrania przez bogów, niech nie naraża mnie na niebezpieczeństwo.

— Ośmielasz się być nieposłuszna? — dobiegł ją głos Lashy.

— N... — spróbowała jeszcze raz.



— Co to za sztuczki? Mów albo każę ci wyrwać język! Selena zacisnęła powieki. Próbowwała przywołać płomień duszy, ale była zbyt przerażona. Przed oczami widziała tylko ciemność. Uniosła rękę i na piersi pod suknią poczuła oko Horusa. Usłyszała nagle łagodny głos Andreasa: „Nie myśl o tym, co mówisz, Seleno. Na tym polega cała sztuka. Musisz się skupić na czymś innym, a wtedy słowa łatwiej będą się wydobywać z twych ust”.

Wpatrując się w posadzkę, Selena dostrzegła w żyłkach marmuru urodziwą twarz Andreasa. Utkwiła w niej wzrok. Widziała go, zmusiła, żeby tam był, uśmiechał się do niej, dodawał odwagi, osłaniał swą miłością.

— N-nie wiem, k-kto mnie trzyma w tej wieży, pani.

— Jesteś tam sama?

— Tak, pani.

— Czy ktoś cię tam odwiedza?

— Jakiś mężczyzna, pani.

— I co robi w czasie tych odwiedzin?

— Zadaje mi pytania, pani.

Królowa umilkła, jakby ją zdumiała odpowiedź dziewczyny. Selena drżała, chłód marmuru ziębił jej nogi, bolały ją kolana. Nie wiedziała, czego się od niej oczekuje, co ta kobieta chciała usłyszeć.

Czyżbym powiedziała coś złego?

— Jakie pytania?

— O sztukę leczenia.

— Leczenia?

— Pyta mnie o choroby i jak się je leczy.

— A dlaczego miałby właśnie ciebie o to pytać? Selena zawahała się w obawie, że lada chwila powie coś niewłaściwego i będzie za to ukarana. W głowie zaczynało jej się kręcić.

— Bo jestem mądrą — odezwała się wreszcie. Królowa znowu umilkła, Selena szykowała się na najgorsze.

— Od jak dawna przebywasz w pałacu?

— Zostałam przywieziona w sierpniu, pani.

— Sama czy wraz z innym dziewczętami?

— Z innymi.

Lasha po raz trzeci zapadła w milczenie, a klęcząca, obolała Selena zaczęła drżeć. Co się dzieje? Dlaczego sprowadzono ją przed oblicze tej dziwnej kobiety? Mężczyzna trzymał ją w ukryciu. Dlaczego? Czy on teraz zostanie za to ukarany, a wraz z nim Selena? W głosie zadającej pytania kobiety brzmiał

gniew. Czy wyda teraz Selenę na uciechę żołnierzom, a jej ciało zostanie zbrukane, nim odnajdzie ją Andreas?

Przed oczami miała twarz Andreasa, wpatrywała się w nią z miłością, czerpiąc z niej pociechę.

— Powiadasz, że przywieziono cię w sierpniu — przemówiła ponownie kobieta. — Czy ten mężczyzna, który przychodzi i zadaje ci pytania, pytał cię kiedyś o leczenie gorączki?

— Tak, pani.

— U dziecka?

— Tak, pani.

— I jaki poradziłaś mu sposób?

— Powiedziałam, że gorączkę obniży lek Hekate.

— Jak się go podaje?

— W postaci wywaru.

Głos królowej stał się jeszcze ostrzejszy:

— Natychmiast sprowadzić Kazlaha! — rozkazała.

Selena dalej klęczała. Słyszała tupot sandałów, pospiesznie wybiegających z komnaty. Kapłan dalej stał za nią, kobieta na tronie siedziała w milczeniu. Selena traciła siły, próbowała uciec myślą daleko, w jakieś bezpieczniejsze miejsce.

Drzwi komnaty otworzyły się. Selena usłyszała głos, na którego dźwięk krew zastygła jej w żyłach. To był jego głos.

— Tak, pani — mówił głos z nocnych koszmarów — trzymałem tę dziewczynę w wieży. Dowiedziawszy się, że posiada jakąś wiedzę o leczeniu, uznałem za rozropne zatrzymać ją na jakiś czas.

— I nie dając jej królowi, dla którego była przeznaczona? Selenie serce waliło jak młotem. Więc o to chodzi! Miała od początku iść do haremu! A teraz ta kobieta dopilnuje, by ją tam natychmiast zabrano.

— Sądziłem, że król ma wystarczająco wiele dziewczic, pani. Myślałem o młodym księciu.

— Więc to lekarstwo nie było twoje?

— Nigdy tak nie twierdził, pani.

— Skąd je wzięłeś? Czy dziewczyna powiedziała ci, jak je zrobić?

Kazlah zawahał się przez chwilę, a kiedy przemówił, w jego głosie zabrzmiała niepewna nuta.

— Lek znajdował się w skrzynce z lekami, którą przywieziono wraz z brankami.

Selena poderwała głowę.

— Moja skrzynka lekarska! A więc nie zginęła na pustyni! Ty ją masz!

— Milczeć!

— Ona jest moja! Ta skrzynka jest moja! — Zerwała się na nogi. — Więc dlatego zadawałeś mi te wszystkie pytania!

— Na kolana — warknął Kazlah, chwytając dziewczynę za ramię, ale Selena się wyrwała.

— Musisz mi ją oddać! — krzyknęła. — Tylko to mi zostało na świecie.

— Uspokójcie ją — rozkazała królowa Lasha.

Selena obróciła się gwałtownie, uciekając od rąk, które chciały ją przytrzymać.

— Pani — odezwała się, patrząc prosto na królową. — Pani, musisz mnie wysłuchać. Ta skrzynka... — Urwała w pół słowa, zdumienie odebrało jej mowę.

Królowa siedziała na złotym tronie niczym bogini. Na jej ramiona spływało tysiąc czarnych warkoczyków, zakończonych złotymi paciorkami. Ręce były całkowicie pokryte ciężkimi bransoletami i naramiennikami, ramiona uginały się pod ciężarem licznych łańcuchów i naszyjników wysadzanych klejnotami, a na głowie miała olśniewającą koronę z różowych szafirów. I do tego była ubrana w jedwab! Selena nie wierzyła własnym oczom. W Antiochii funt jedwabiu kosztował tyle co funt złota, materia ta pochodziła bowiem z odległych Chin i nikomu nie przyszłoby na myśl używać jej na ubiory.

Najbardziej jednak zdumiała Selenę twarz królowej.

Nie była to ludzka twarz.

Była pomalowana na biało. Od tej oślepiającej bieli odcinały się szkarłatne jak krew wargi. Kości policzkowe posypano złocistym pyłem, wgłębienia pod nimi poczerniono. Ale Selenę jeszcze bardziej zadziwiły oczy władczyni. Prawe było obrysowane grubą czarną kreską, a górna i dolna powieka pomalowane jaskrawozieloną farbą. Za to lewe! Tam w ogóle nie było oka, tylko olbrzymi szmaragd, oprawiony w złoto i przymocowany do twarzy cienkimi złotymi sznureczkami. Oniemiała Selena nie mogła oderwać odeń wzroku.

Szorstka ręką pchnęła ją na kolana, jakiś głos szepnął jej do ucha.

— No i masz za swoje! Poderżną ci gardło za to, że ośmieliłaś się spojrzeć na królową!

— Dlaczego się tak gapisz? — spytała królowa.

— Twoje oko, pani — odparła Selena. Zbiorowe westchnienie trwogi przebiegło salę.

— O bogowie — szepnął ktoś i nad komnatą zawisła straszliwa cisza. Nawet Kazlah bał się poruszyć.

— Co z moim okiem?

Głos królowej brzmiał twardo, siedziała nieruchomo, jak wykuta z kamienia, na swym bogato rzeźbionym tronie. Jej twarz przypominała marmurową maskę, dłonie z całej siły ścisnęły poręcz tronu.

— Moja matka pochodziła z Egiptu, pani, i znała najdawniejsze sposoby leczenia. Wszyscy wiedzą, że w Egipcie wielu ludzi choruje na oczy. Moja matka znała wiele sposobów leczenia tych chorób.

Sztywna sylwetka królowej pochyliła się odrobinę, na ścianach odbił się blask tysiąca klejnotów.

— Jakich sposobów? — spytała Lasha.

— Leczenia ślepoty. Niektóre przypadki można uleczyć.

— Jak?

— Za pomocą igły.

Królowa dalej siedziała na tronie niczym nieruchomy posąg, a wszyscy czekali. Za ścianami pałacu listopadowy deszcz rozpadał się na dobre, burząc szare fale rzeki i chłoszcząc cienkie gałązki królewskich wierzb nad jej brzegami.

Selena stała z uniesioną głową, patrząc na królową. Cóż takiego zrobiła? Przecież powiedziała samą prawdę. A Mera zawsze ją uczyła, że szczerze wypowiedziane słowa prawdy nigdy nie czynią krzywdy.

Wreszcie królowa wypowiedziała dwa słowa, które poraziły jej gości i służbę jak grom.

— Uleczysz mnie. Selenie zrobiło się słabo.

— Pani! Twoja ślepotą może być innego rodzaju! Niektórych chorób nie da się uleczyć!

Ale królowa już podjęła decyzję.

— To ty ocaliłaś życie memu synowi i ty przywrócisz mi wzrok. Przyślijcie astrologa! — rozkazała ostro. — Niech odczyta znaki na niebie.

— Ależ, pani — nie ustępowała Selena — jeśli nawet igła pomoże, nie zawsze w pełni przywraca wzrok.

— Wzrok i tak posiadam — oznajmiła królowa. — W zdrowym oku. Drugie jest przesłonięte. Właśnie to wyleczysz. Zrobisz tak, bym nie musiała go już ukrywać. A teraz idź i przygotuj się.

Kiedy Selena wychodziła, Kazlah wyszeptał jej do ucha:

— No i sama zobaczysz. U mnie nic ci nie groziło, ale teraz twoja zuchwałość cię zgubi!

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

— Będzie mi potrzebny ogień ze świątyni Izydy — zwróciła się Selena do niewolnicy, którą jej przydzielono.

Niewolnica, niemowa, gestem dała do zrozumienia, że w Magnie nie ma takiej świątyni, i pokazała wiszący na jej piersi półksiężyc, symbol Allat.

— W takim razie ogień od waszego boga.

Selena zmuszała się do zachowania spokoju w czasie przygotowań. Była tak zdenerwowana, że ręce jej się trzęsły.

To był z pewnością znak od bogów! Na pewno wyrwą ją z tej straszliwej niewoli i wskażą wyjście na wolność. Odpowiedzieli na jej modlitwy. Przywrócenie komuś wzroku to wielka i cudowna rzecz. Selena nie wątpiła, że królowa sowicie jej to wynagrodzi.

Będę prosić tylko o wolność — postanowiła, obmywając dłonie i szykując igły oraz leki potrzebne do zabiegu. — Poproszę, by zaprowadzili mnie na drogę do Antiochii, a stamtąd już sama trafię do Andreasa.

Selenę przepelniała taka radość, tak już pragnęła znaleźć się daleko stąd, z dala od mężczyzny, który ją gnębił od trzech miesięcy, że z trudem mogła skupić uwagę na czekającym ją zadaniu. A powinna się skupić, jeśli bowiem chciała otrzymać w nagrodę wolność, operacja musi się udać. Selena nigdy przedtem jej nie wykonywała.

Z czułością dotykała zawartości swej skrzynki, każda rzecz była jak odzyskany wierny druh: słoiczek miodu z macierzanki, woreczek z korzeniami mniszka lekarskiego, cenne kwiaty lawendy, ususzone i przechowywane w drewnianym pudełku.

Selena teraz zdała sobie sprawę, że wszystko to po trochu przynosił jej Kazlah, nie poznawała wtedy ziól, które sama kiedyś zbierała i starannie suszyła. Liście żywokostu wszędzie są takie same, kiedy Kazlah pytał, do czego służą, wyjaśniała: „Robi się z nich maść i przykłada na rany i sińce”, nie wiedząc, że mówi o liściach, które uprawiała i zbierała.

Niewolnica wróciła z boskim ogniem ze świątyni, a Selena umieściła nad nim naczynie z wodą. Kiedy woda się zagotowała, uważnie wsypała do niej garstkę nasion kopru ze słowami:

— Święty duchu kopru, wzbudź w tym wywarze swą moc uzdrawiania.

Potem odstawiła naczynie, by wywar ostygł. Będzie jej potrzebny do przemywania oka po operacji, może bowiem odpędzić złe duchy zakażenia.

W końcu Selena sięgnęła po igłę. Nigdy przedtem jej nie używała, ale nieraz widziała, jak matka się nią posługuje. Wpatrywała się w długą cienką

igłę, która spoczywała w jej dłoni leciutka niczym skrzydło motyla, a zarazem ciężka jak mury tego pałacu, gdyż w tym kruchym pręciku z brązu kryła się moc, jaka może przywrócić wzrok albo zabić.

Selena położyła igłę obok ognia, który za kilka minut uczyni ją czystą, i zaczęła się zastanawiać, co ma robić. Jeśli jej ręka będzie pewna i zdecydowana, a zabieg się powiedzie, Selena wkrótce znajdzie się w drodze do domu. Ale jeśli popełni błąd — będzie skazana. Unosząc rękę do piersi, dotknęła oka Horusa i myślała: Oby prawdą było, że pochodzę od bogów, bowiem wtedy pokierują oni mą ręką. Nie sprowadzili mnie tutaj po to, bym umarła. Wyznaczyli mi zadania. Muszę dowiedzieć się, kim jestem. Muszę wrócić do Andreeasa. I dlatego muszę znaleźć się na drodze ku wolności.

Biorąc igłę do ręki i trzymając ją w ogniu, wyszeptwała:

— Święty duchu ognia, oczyść tę igłę i odpędź złe duchy, przynoszące chorobę i śmierć.

Selena przymknęła oczy i przywołała wszystkie swe siły, skupiając je w dłoniach. Nagle poczuła się, jakby ponownie się narodziła, jakby ten czas niewoli był snem, okresem przygotowania. Zrozumiała, że w ciągu tych trzech miesięcy nastąpiło jej duchowe wprowadzenie, którego miały z matką dokonać w górach, uświadomiła sobie, że bogowie sprowadzili ją do tego pałacu, by przygotowała się do końcowego obrzędu: miała po raz pierwszy, zupełnie sama, dokonać aktu uzdrowienia. Nikt jej teraz nie towarzyszył — ani Mera, ani Andreas. Dzięki swej skrzynce lekarskiej i wiedzy, którą zdobyła, Selena mogła przekroczyć próg samodzielności. Stać się w końcu prawdziwą mądrą.

— Nazywa się to kataraktą — popłynął gładki nosowy głos Kazłaha, gdy Selena weszła do królewskiej komnaty. — To błona przesłaniająca źrenicę oka. Zatrzymuje widzenie i czyni oko nieużytecznym.

Królowa uciszyła go niecierpliwym machnięciem dłoni. Nie dbała o widzenie, drugie oko całkowicie jej wystarczało do patrzenia. Laszę gnębiła brzydka chmura, która pojawiła się przed laty i stopniowo zasnęła jej oko, nadając mu groteskowy wygląd i budząc wstręt. Właśnie wtedy zaczęła nosić szmaragd i nikt, nawet król Zabbai, od tamtej pory nie widział tego oka. Ale teraz było obnażone, szeroko otwarte, wpatrywało się niewidzącym spojrzeniem w sufit.

Selena zbliżyła się do królowej i postawiła swą skrzynkę na stoliku obok łoża władczyni. Za nią szła niewolnica ze świętym ogniem.

— Potrzebne mi mydło i woda — powiedziała Selena.

— Po co? — warknął Kazlah.

— Do umycia rąk.

Kazlah przyglądał się jej podejrzliwie.

— To egipski zwyczaj — wyjaśniła Selena.

— Przynieś, czego żąda! — prychnęła królowa. Selena podniosła wieko skrzynki.

— Czy ktoś mógłby przynieść królowej kielich wina? Wyjęła ze skrzynki jeden z małych glinianych słoiczków i podniosła do światła, by sprawdzić, co zawiera. Był na nim wyryty znak wilczej jagody, a pod nim egipski hieroglif oznaczający zło — ostrzeżenie, że w słoiku znajduje się trucizna.

Kiedy przyniesiono wino, Selena nalała odrobinę specyfiku do małego miedzianego lejka zatkanego bawełną i uniosła go nad kielichem. Wszyscy zgromadzeni przypatrywali się w milczeniu, jak Selena trzyma lejek nad winem, pozornie nic nie robiąc. Po chwili u wylotu lejka pojawiła się kropla, która wpadła do wina. Selena stała bez ruchu, trzymając lejek nad kielichem i nie odrywając od niego wzroku. Pojawiła się i spadła druga kropla. Wreszcie trzecia.

Selena szybko wsunęła lejek do słoika z wilczą jagodą, by spłynęła tam reszta nie wykorzystanego, kosztownego narkotyku, potem wzięła kielich i delikatnie zataczała nim kręgi, by zmieszać specyfik z winem. Bezpieczne dawkowanie wywaru z wilczej jagody było jedną z pierwszych lekcji, jakich udzieliła jej matka. Używany w odpowiednich ilościach sprowadzał sen i uśmierzał ból, jedna kropla za dużo mogła otruć pacjenta.

Selena podała kielich jednej z dam dworu i powiedziała:

— Niech królowa to wypije.

Ale Kazlah wyjął jej kielich z rąk i spytał:

— Co to jest?

Selena popatrzyła na tego człowieka, który trzymał ją w celi na wieży. Już nigdy więcej nie będzie się nad nią znęcał.

— To tajemnica — oświadczyła, widząc, jak Kazlah sztywnieje z wściekłości.

— Daj mi to — odezwała się królowa, nie mogąc się doczekać początku operacji. Ta jękała ocaliła życie jej synowi. Lasha ufała jej.

Ale gdy królowa piła wino, Selenę przebiegły ciarki. Dziewczyna nagle zdała sobie sprawę, na co się waży i jakie mogą być konsekwencje tego czynu. Szykując się do zabiegu, widziała tylko drogę powrotną do Antiochii i Andreasa, ale teraz, patrząc, jak powieki królowej stają się coraz cięższe, a jej głowa opada na poduszkę, uświadomiła sobie, że zaraz przekłuje tej kobiecie oko igłą, która może ją zabić.

Jeśli mi się nie uda? — pomyślała z nagłym lękiem. — Co wtedy się ze mną stanie?

Spojrzała na Kazłaha, na jego gniewnie zaciśnięte wąskie usta. Co będzie, jeśli to jego wyznaczą do wymierzenia kary?

— Królowa zasnęła — oświadczyła dama dworu, a Selena zamknęła oczy.

Próbowała wywołać obraz swojej prawej ręki i prowadzonej w kierunku oka igły. Próbowała przypomnieć sobie, jak matka dokonywała tego zabiegu. Gdyby się nie udało, igła wyrządziłaby więcej szkody niż pożytku: mogłaby przekłuć gałkę oczną, tak że wyciekłby z niej cały płyn i paskudnie by się zapadła, mogłaby spowodować krwotok, którego nie dałoby się powstrzymać, albo co gorsza, mogłaby ześlizgnąć się zbyt głęboko i przypadkowo dotknąć wrażliwego naczynia za oczodołem, powodując natychmiastową śmierć królowej.

Selena zadrżała. Zacisnąwszy dłonie, starała się opanować. Aby operacja się powiodła, jej ręce muszą być pewne. Lecz im bardziej próbowała się uspokoić, tym silniej drżała.

— Na co czekasz? — usłyszała zza pleców głos Kazłaha. Biorąc głęboki oddech i myśląc o matce, Selena sięgnęła po igłę i podeszła do uśpionej władczyni. Z bliska dostrzegła ślady, jakie pozostawił na jej twarzy czas — bruzdy i zmarszczki, które Lasha w swej niezmiernej próżności ukrywała pod maską pudru. Selena lewą rękę położyła na chłodnym czole królowej, po czym kciukiem i palcem wskazującym bardzo delikatnie rozchyliła powieki chorego oka. Patrzyło na nią — ślepe oko. niegdyś piękne, teraz brzydko zamglone.

Usuwanie zaćmy było proste: czubkiem igły należało naciskać soczewkę, póki katarakta się nie oderwie i nie odsłoni oka. Selena nieraz widziała, jak matka to robiła, czasem nawet całkowicie przywracając wzrok niektórym pacjentom. Sztuka nie polegała na samym zabiegu, ale na pewności ręki, która prowadziła igłę. Mera miała za sobą lata doświadczenia i praktyki, Selena nigdy jeszcze nie trzymała igły, nie zdarzyło się nawet, by ją myła.

Teraz oczyściła ją najpierw w świętym ogniu Allan, by odpędzić złe duchy, potem nabrała w płuca powietrza i zbliżyła igłę do oka Lashy.

Nagle się zatrzymała. Nie, to nie pod tym kątem! Odsunąwszy się, przyglądała się bacznie zarysowi gałki ocznej, próbując znaleźć właściwy punkt do wbicia igły.

Tu — postanowiła. — Tuż obok tęczówki.

Lecz znowu się cofnęła. Tu też nie było dobrze. Czy igła powinna być skierowana od góry czy też od dołu.



Nie pamiętam! Matko!

— Czemu się wahasz? — naciskał Kazlah.

Selena postanowiła nie zwracać na niego uwagi. Znowu opuściła igłę i czubkiem dotknęła szklistej powierzchni oka.

Tutaj — powiedziała sobie. — Naciśnij bardzo delikatnie. Teraz!

Dłoń jej zadrżała i szybko ją cofnęła. Czterdzieści par oczu śledziło każdy jej ruch: na dworze deszcz szarpał gałęziami palm i wierzb, siekł wody rzeki.

Nie zrobię tego — pomyślała w panice. — Nie uda mi się!

Wtedy nieoczekiwanie przypomniała sobie inną lekcję, jakiej przed laty udzieliła jej Mera. Selena miała wtedy dziewięć lat. a matka powiedziała jej:

— Wyobraź sobie świat żyjący w tobie, córeczko. Wyobraź sobie drogę łączącą cię z wewnętrznym światem, drogę, którą wyruszasz w podróż. Jest kręta, prowadzi przez góry, przedziera się przez ciemność. Na końcu tej drogi coś jest, Seleno. Coś w głębi twojej duszy. Musisz po to sięgnąć. Sięgnij...

I zobaczyła. Niewielki błękitno-biały płomyk, ledwo załazek ognia, drżący w mroku. Wtedy zemdląca. Jej dziewięcioletnie ciało nie wytrzymało napięcia podróży w głąb siebie. Ale teraz była w stanie temu sprostać. Przywołała płomień, który płonął jasno w ciemnościach, rozprasząc lęk swym ciepłem i blaskiem.

Selena spojrzała na oko królowej. Stojąc nieruchomo i mając w duszy obraz tego płomienia, usłyszała głos matki i jeszcze innej dawnej lekcji.

— Igłę musisz wbić od góry — tłumaczyła Mera w czasie zabiegu, któremu kiedyś przyglądała się Selena. — Wprowadź ją na brzegu tęczęwki. Trzymaj ją prostopadle do powierzchni oka.

Koncentrując się na płomieniu, z jego obrazem nakładającym się na twarz królowej, Selena czubkiem igły ostrożnie dotknęła krawędzi tęczęwki i lekko nacisnęła. Powoli, prawie niedostrzegalnie, zaćma zaczęła się poruszać. Selena nie zmniejszała nacisku, obserwując płomień i widząc przezeń twarz królowej. W komnacie panowała głucha cisza. Nawet gwałtowny deszcz nieco się uspokoił, jakby bogowie chcieli zatrzymać cały świat. Na ścianach tańczyło światło stu lamp, rzucając migoczące cienie. Gdyby ktoś wszedł do sali, zobaczyłby znieruchomiały żywy obraz, dworzanie w długich szatach, wróżbici w stożkowatych kapeluszach, nieme niewolnice i strażnicy — nikt się nie ruszał, obserwując pozornie nieruchomą rękę dziewczyny.

Pokryta zaćmą soczewka oderwała się wolno od oka, a gdy igła sięgnęła głębiej, ustąpiła i z ledwo słyszalnym dźwiękiem łagodnie spłynęła.

Selena wyjęła igłę, podniosła głowę i oznajmiła:

— Gotowe.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Kiedy królowa Lasha obudziła się, ciągle oszołomiona po środku nasennym, jaki podała jej Selena, ostrożnie pomacała twarz i wyczuła, że szmaragd ponownie znajduje się na swoim miejscu. Potem poczuła znajomą silną rękę, która ujęła jej dłonie. Był to Kazlah.

— Co się stało? — spytała królowa.

— Już po wszystkim.

— Czy się udało?

— To ty musisz nam o tym powiedzieć, pani.

Lasha, wzmocniona silnym wywarem z ziół, usiadła i zażądała lustra. Zza pleców otaczających królową dworaków Selena niespokojnie patrzyła, jak zdejmują szmaragd z oka władczyni. Lasha wzięła do prawej ręki lustro z wypolerowanej miedzi, w lewej trzymała małą lampkę oliwną, której lniany knot zapewniał równe pewne światło. Przysunawszy lampkę blisko twarzy, otworzyła oczy.

Upuściła lustro i zasłoniła ramieniem twarz.

Po komnacie przebiegł niespokojny szmer.

— Co za ból! — krzyknęła, przykrywając dłonią lewe oko. — Co za straszny ból!

Selena zeszywniała. Nie powinno boleć — pomyślała przerażona. Nie było żadnej krwi, oko nie zostało uszkodzone. Przynajmniej tak jej się wydawało, kiedy je widziała. Ale upłynęła już godzina, w czasie której czekali na przebudzenie władczyni, Selena widziała, jak Kazlah kilkakrotnie pochylał się nad królową, ostentacyjnie udając, że bada oko.

— Dajcie mi lustro — rozkazała królowa, wróciwszy do siebie.

— Jaśnie pani, widać operacja się nie udała.

Lasha dalej trzymała wyciągniętą rękę. Podano jej lustro. Tym razem otworzyła oczy w naturalnym świetle komnaty i choć zamrugła powiekami, nie wypuściła lustra z dłoni. Otworzywszy oczy po raz trzeci, oświadczyła:

— Ból minął. To ostry blask lampy go spowodował. — Po czym powiedziała: — To cud. Ja widzę.

W komnacie rozległy się podniecone szepty, które królowa uciszyła.

— Za to, co zrobiłaś — zwróciła się do Seleny — niech cię bogowie błogosławią. Zbliź się, dziecko, czeka cię bowiem wspaniała nagroda.

Selenie mocniej zabiło serce.

Jutro! — pomyślała radośnie. — Poproszę, bym mogła wyjechać jutro o świcie.

— Ponieważ Allat jest miłosierna — oznajmiła królowa Lasha — a ja pragnę wyrazić ci mą wdzięczność za to, coś uczyniła, obiecuję ci bezbolesną śmierć.

Selena wpatrywała się w nią, nie rozumiejąc. Kazlah z groźną miną dał znak strażnikom przy drzwiach, a ci w jednej chwili schwytali Selenę. Jeden związał jej nogi w kostkach, a ręce na plecach, drugi wyciągnął krótki nóż i obciął długie włosy dziewczyny. Wszystko to stało się tak szybko, że Selena nie miała czasu, by nawet pomyśleć. Pchnięto ją na kolana przed królową i przyciśnięto do ust kielich z zatrutym winem.

— Masz ogromne szczęście. Zaiste ogromne szczęście — mówiła królowa, gdy Selena wpatrywała się w nią z niedowierzaniem.

Stojący obok władczyni Kazlah posłał dziewczynie spojrzenie, które wszystko wyjaśniało: Ci, którzy ośmielili się dotknąć królowej tak jak ty, muszą umrzeć.

— Czekajcie — nagle pojmując, powiedziała Selena. Ale królowa nie słuchała. Wzniósłszy ramiona w górę, odmawiała modlitwę do Bogini. W tej samej chwili dwóch niemych strażników stanęło obok Seleny. Widziała, jak jeden z nich wznosi miecz.

— Nie... — szepnęła, gdy ciężka dłoń zmusiła ją do pochylecia głowy.

Kątem oka dostrzegła na policzku kosmyk krótkich włosów, jej włosów, obciętych nedorzecznie krótko i obnażających jej szyję. Poczowała chłodny powiew. Zetną jej głowę!

— Błagam... — wyszeptała jeszcze raz i zobaczyła na lśniącej posadzce potężny cień, gdy olbrzymi miecz spadał na jej szyję. Poczawszy na karku lekki pocałunek ostrza, zakołysała się od ciosu, który nie spadł.

I wtedy usłyszała głos królowej Lashy:

— Wstań, Fortuno.

A niewolnicy uwolnili ją z więzów.

Oszołomiona patrzyła na królową, gdy strażnicy dźwigali ją z kolan. Musieli ją podtrzymywać, bo nogi się pod nią uginały.

— Selena z Antiochii nie żyje — oznajmiła królowa donośnym głosem. — Zapiszcie — nakazała dworskiemu skrybie. — Tego dnia przyszła na świat Fortuna z Magny. Zbliź się, dziecko.

Potykając się, podtrzymywana przez strażników, Selena zbliżyła się do tronu i patrzyła w oszołomieniu, jak królowa wstaje z łoża i mierzy swą nowo narodzoną poddaną dwoma, całkowicie zdrowymi oczyma.

— Nazwałam cię Fortuną, Fortuna bowiem mi cię zesłała. To imię będziesz nosić od tej pory. Selena nie żyje, ty urodziłaś się na nowo.

Coś błysnęło w dłoniach władczyni. Był to złoty naszyjnik, kapiący rubinami. Lasha zapięła go na szyi dziewczyny jako symbol „ścięcia głowy”, którego przed chwilą dokonano. Odsunęła się, wyciągnęła ramiona, a przerażona tym wszystkim Selena usłyszała królewską wolę:

— Zatrzymam cię przy sobie na zawsze. Fortuno z Magny, dziś rozpoczynasz nowe życie w moim pałacu.

# KSIEGA TRZECIA

Magna

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Ucieczka.

Selena potrafiła myśleć tylko o ucieczce.

Wyrwać się z Magny, wrócić do Andreasa, rozpocząć poszukiwania swego przeznaczenia.

Wiązało się to z ogromnym ryzykiem. Po pierwsze, groziło jej, że zostanie schwytana podczas ucieczki z pałacu. Lasha wymierzała straszliwą karę tym, którzy odważyli się ją zdradzić. Selena pamiętała biedną służkę usiłującą uciec z oficerem straży — jego wykastrowano, ją pochowano żywcem. Po drugie, za murami pałacu rozciągała się pustynia, potężna i groźna, zamieszкана tylko przez bandytów i skorpiony. Mimo to Selena gotowa była na wszystko. Nie pozwoli, by królowa i armia jej niemych strażników stanęła na drodze jej przeznaczenia. Jest wybrana przez bogów, tak powiedziała Mera, konający Rzymianin zapewnił, że Selena dokona czegoś wielkiego.

A jak tego dokonam, zamknięta w tym domu obłąkanych? — pytała w duchu, zdążając spiesznym krokiem przez korytarz w kierunku haremu. Dogłądanie wyimaginowanych chorób dogadzających sobie dworaków nie miało nic wspólnego z prawdziwym leczeniem. Selena wierzyła, że urodziła się po to, by czynić rzeczywiście dobro, że w świecie czekało na nią święte powołanie, uświadomiła to sobie, gdy Andreas otworzył przed nią nowe horyzonty. Nigdy jednak nie zrealizuje swego powołania, jeśli nie wróci do ukochanego i nie odnajdzie pierścienia, który, jak twierdziła Mera, wszystko jej wyjaśni.

Lasha była teraz z jednym ze swych kochanków, chłopcem przyprowadzonym z miasta, miała spędzić z nim sam na sam całe popołudnie. Selena zawsze korzystała z takich okazji, by wymknąć się do królewskiego haremu i odwiedzić swoją jedyną przyjaciółkę Sarnię — Hinduskę, która została schwytana wraz z nią przed dwoma laty. Tam, gdzie niewolnikom Seleny nie wolno było wchodzić, a kobiety z haremu przesypiały gorące popołudnie, w cichym i ustronnym zakątku, nad sadzawką porośniętą lotosem, one dwie rozmawiały o ucieczce.

Miesiąc po „egzekucji” Seleny, kiedy wszystkich w pałacu pochłaniały przygotowania do zimowego zrównania dnia z nocą, Selena odnalazła Sarnię. Sarnia, podobnie jak pozostałe schwytane dziewczęta, nie zdołała przywrócić królowi potencji, została więc przydzielona do haremu, gdzie nie zwracano na nią uwagi i wkrótce o niej zapomniano. Prawie natychmiast obie zaczęły planować wspólną ucieczkę, przez następne miesiące właściwie nie rozmawiały o niczym innym.

Selena obejrzała się. Szpiedzy i wrogowie kryli się wszędzie. Protekcja królowej nie gwarantowała bezpieczeństwa, zwłaszcza jeśli za największego wroga miało się człowieka dorównującego potęgą królowej, człowieka, który w każdym zakątku pałacu miał swoje oczy i uszy, zionącego żądzą zemsty za upokorzenie, jakie go spotkało, i mogącego zniszczyć Selenę kiwnięciem palca — nadwornego lekarza, Kazłaha.

Wchodząc przez furtkę do ogrodu, Selena ujrzała letnie słońce i nagle ogarnął ją żal. Przypomnił się jej ów dzień przed dwoma laty, kiedy poznała Andreasa. Zbliżały się jej szesnaste urodziny, życie stało przed nią otworem. I wtedy... Cóż się stało? Nagle odebrano jej marzenia i dziwne koleje losu doprowadziły ją tu, gdzie jest obecnie.

Co z moim ukochanym? — myślała. — Co zrobił, kiedy mnie nie odnalazł? Czy nadal jeszcze mnie szuka? Czy o mnie zapomni? Ale on nigdy mnie nie zapomni, jesteśmy ze sobą związani na wieki.

Ludzie mijający Selenę w korytarzu kłaniali się jej, okazując szacunek osobistej znachorce władczyni. Selena wyglądała jak typowa rezydentka luksusowego dworu. Podobnie jak inne kobiety, miała zasłoniętą dolną część twarzy woalem — tak silne były w Magnie wpływy arabskie. Czarne włosy, które już odrosły i sięgały poniżej ramion, zostały splecione w warkoczyki i upięte pod lawendowym welonem. Czoło zdobił sznur złotych krążków, luźna zwiewna suknia była ściągnięta w talii paskiem wysadzonym kamieniami. Na życzenie królowej Selena po raz pierwszy w życiu zaczęła malować twarz.

Zbliżając się do haremu dziewczyna zwolniła kroku, a trzech podążających za nią niewolnicy powpadali na siebie. Towarzyszyli jej wszędzie i nie odstępowali nawet na minutę, śledząc ją i donosząc królowej o każdym jej ruchu. Jeden z nich — Selena nie wiedziała który — znalazł list, jaki zamierzała przemycić z pałacu i dać człowiekowi, wybierającemu się do Antiochii, był to list do Andreasa. Niewolnik oddał go królowej. Od tamtej pory nawet w kąpielni, we śnie czy przy pracy Selena przez chwilę nie była sama.

Dwaj strażnicy otworzyli przed nią olbrzymie podwójne wrota, potem eunuchowie otworzyli drugie, mniejsze drzwi. Selena — wreszcie sama, zostawiwszy niewolników, którzy mieli na nią czekać — weszła do bogatej komnaty skąpanej w popołudniowym słońcu.

Zsunęła welon i uśmiechnęła się do eunucha, który ją powitał, młodzieńca o delikatnej urodzie i poważnych oczach. Nazywał się Dariusz i od niedawna strzegł kobiet w królewskim haremie. W ciągu kilku tygodni stał się przedmiotem pożądania wielu spragnionych miłości serc.

Dariusza sprzedano w niewolę w zbyt młodym wieku, by coś pamiętał. W zamglonych wspomnieniach widział jedynie jakiś dziedziniec, śpiewającą kobietę, zieloną rzekę za murem. W nocy nawiedzał go sen, w którym chwyciły go czyjeś ręce, zarzucały mu na głowę worek, potem była długa jazda oddalająca go od zielonej rzeki, jacyś inni chłopcy i wreszcie następował ten najgorszy koszmar: krew i ból zbyt osobliwy, by mógł być prawdziwy, wreszcie powrót do zdrowia i na koniec szokujące odkrycie okaleczenia. To wszystko wydarzyło się tak dawno, że Dariusz nie wiedział już, co było prawdą, a co snem. Pozostała mu tylko codzienna rzeczywistość: po latach przechodzenia od jednego pana do drugiego ten młody wrażliwy chłopiec znalazł się w końcu w haremie w Magnie, przed nim był tylko mroczny tunel samotnych lat.

Selena mogła jedynie współczuć eunuchowi, który — jak słusznie odgadła — cierpiał nie ze swojej winy. Nic nie mógł poradzić na to, że został obdarzony czułą naturą i wyjątkową urodą, a te nieszczęsne kobiety, którym służył, nie miały gdzie ulżyć swym namiętnościom i smutkom.

Harem fascynował Selene, a zarazem budził w niej odrazę. Uważała takie życie w klatce za nienormalne. Wiele z tych kobiet nie widziało nawet korytarza za mocno zaryglowanymi drzwiami od dnia, kiedy jeszcze jako dzieci zostały tu sprowadzone, niektóre zaś przyszły na świat w haremie i dorastały, znając jedynie skrawek nieba nad wewnętrznym ogrodem. Były tu kobiety młode i stare, piękne i zwyczajne, niemądre i inteligentne, a jedynym problemem, jaki zaprzętał ich umysły, była decyzja, który włożyć welon i jakich wonności użyć w kąpielach. Dni spędzały na plotkach, wylegiwaniu się, doglądaniu niemowląt. Nic więc dziwnego, że harem był gniazdem intryg i spisków, tworzyły się tam kliki i frakcje, zdarzały się między kobietami miłosne związki i sceny zazdrości, a pojawienie się od czasu do czasu przystojnego eunucha, takiego jak Dariusz, wywoływało wojny i nienawiści.

Młodzieniec taki, jeśli chciał, mógł wykorzystać tę sytuację. Seksualne usługi wielu eunuchom zapewniały awans. W haremie żyło wiele bogatych i

wpływowych kobiet, córek lub sióstr wschodnich władców. Dariusz należał do tych kastratów szczęśliwców, którzy mogli prowadzić życie płciowe, jako że króla Zabbaia nie obchodziło, czy jego kobiety mają kochanków czy nie, nie wolno im tylko było zająć się z innymi. Dariusz nie był jednym z tych dworskich eunuchów, których całkowicie pozbawiono narządów płciowych i kobiety nie miały z nich żadnego pożytku.

Lecz Dariusza nie interesowały intrygi pałacowe, nie dał się wciągać do spisków, nie świadczył usług seksualnych w zamian za różne korzyści, tego samego dnia bowiem gdy sprowadzono go do pałacu, zhańbionego i napiętnowanego, po raz pierwszy się zakochał.

Teraz powitał Selenę mocnym przyjacielskim uściskiem dłoni.

— Nic nam nie grozi? — spytała, niespokojnie rozglądając się dokoła.

Odpowiedział gestem, że nie, po czym wskazał Sarnię czekającą już przy sadzawce. Dariusz nieco lękał się Seleny, podobnie jak większość członków dworu. Nie mieszkał jeszcze w pałacu w czasie operacji oka królowej ani wtedy, gdy król Zabbaia został wyleczony z niemocy, ale słyszał o tym, jak ta młoda dziewczyna z Antiochii przywróciła zdrowie królewskiemu małżonkowi. Szeptano, że w żyłach Fortuny płynie krew starożytnego egipskiego czarodziejki.

Selena pomachała ręką na powitanie Samii. To właśnie Sarnia, owej pierwszej, straszliwej nocy w pałacu, pomogła opatrzyć ranę tamtej dziewczyny. Sarnia dzieliła rozpacz i ból Seleny, kiedy dziewczęta jedną po drugiej zabierano do króla. Gdy Sarnia szła tam jako jedna z ostatnich, długo się ścisnęły, szlochając. Tamte dni wspólnej niewoli związały je silnie ze sobą, Sarnia stała się pierwszą, inną niż Mera, prawdziwą przyjaciółką, jaką Selena kiedykolwiek miała.

Objęły się i Selena usiadła przy sadzawce, chcąc jak najszybciej podzielić się z Sarnią nowinami. Nie dostrzegła wyrazu twarzy przyjaciółki.

— Przyjadą za dwa tygodnie — powiedziała pośpiesznie, zerkając przez ramię. Dariusz stał na straży przy wejściu.

— Posłowie z Rzymu. Ogromny orszak. Otworzą dla nich nowe skrzydło pałacu! Pomyśl tylko — cały pałac będzie postawiony na głowie! Z pewnością znajdziemy okazję do ucieczki.

Kiedy Sarnia podniosła wzrok, Selena zobaczyła, że przyjaciółka płacze.

— Już wiem o Rzymianach — odparła pośpiesznie. Jej spojrzenie ominęło Selenę i pobiegło w stronę młodzieńca.

— Zabiorą mego najmilszego Dariusza.

Zaskoczona Selena odwróciła się i tym razem dostrzegła nieszczęśliwą minę eunucha.



— Jak to? — spytała szeptem, nachylając się ku Samii.

— Jak to możliwe?

Łzy znów wezbrały w oczach dziewczyny.

— Król zamierza podarować cesarzowi Tyberiuszowi dwadzieścia swoich kobiet. Dariusz ma im towarzyszyć.

Selena wyprostowała się, zdumiona.

— Do Rzymu? Zabiorą Dariusza do Rzymu?

Zapatrzyła się w sadzawkę, na jej powierzchni połyskiwały promienie słońca. Woda się zmarszczyła, mignęła złota rybka. Selena przypomniała sobie ów wieczór sprzed czterech miesięcy, kiedy poznała Dariusza. Sarnia potajemnie przesłała jej wieść przez eunucha, który z kolei przekazał ją strażnikowi, a on słudze. Selena przemknęła ciemnymi korytarzami, mając nadzieję, że królowa się nie obudzi i nie spyta, gdzie jest Fortuna. Przyjaciółka, mokra od mżawki, czekała na Selenę na końcu tego samego ogrodu, pod wierzbą, tuląc do siebie nieprzytomnego młodego eunucha, który poprzedniego dnia zjawił się w haremie. Próbował się powiesić na jedwabnym szalu, Sarnia znalazła go i odcięła. Selena pomogła jej przywrócić Dariusza do zdrowia.

Głęboko przywiązała się do tych dwojga młodych kochanków, uwieczonych podobnie jak ona w pałacu. Tylko Sarnia i Dariusz znali jej dzieje, wiedzieli o Andreasie i jej poszukiwaniach. Tylko oni nazywali ją Seleną, a nie Fortuną — imieniem, którego nienawidziła, dzięki temu, że znali jej sekrety i zwracali się do niej prawdziwym imieniem, Selena mogła zachować swą tożsamość i przeszłość, z której próbowała ją ograbić Lasha.

— Musi być jakiś sposób, byś mogła z nim pojechać — powiedziała Selena, ponownie czując ból swojej dawnej rany — rozłąki z ukochanym.

Ale Sarnia potrząsnęła głową.

— Nie ma sposobu. Bogowie nas opuścili.

— Przyłącz się do tych kobiet! — wyszeptała Selena.

— Pojedź razem z nimi do Rzymu.

— Ma pojechać tylko dwadzieścia. Strażnicy przeliczą, by sprawdzić, czy nie ma więcej.

— W takim razie zajmij miejsce jednej z nich. Przekup ją!

Samia jeszcze mocniej pokręciła głową.

— Seleno, sama już o tym myślałam. Pytałam, ale one wszystkie chcą jechać! Nie mam dość pieniędzy, by którąkolwiek przekupić i zająć jej miejsce. One wszystkie chcą zobaczyć Rzym!

Selena odwróciła się i znowu popatrzyła na Dariusza.

Tego dnia, gdy przyprowadzono go do pałacu, był cały posiniaczony, zmaltretowany przez strażników. Kobiety otoczyły go ze wszystkich stron, spragnione nowości, oglądając go i wymieniając między sobą uwagi na jego temat, co jeszcze bardziej pogłębiało jego hańbę. Uznał, że pora skończyć z tym żalonym życiem, i nocą wykradł się do ogrodu z jedwabnym szalem. Od tego czasu minęły cztery miesiące i Samia z Seleną ponownie nauczyły go miłości i ufności, szukania radości życia, patrzenia z nadzieją w przyszłość, jakakolwiek by była. Teraz jeśli Dariusz zostanie zabrany do Rzymu, wspólna przyszłość ich obojga będzie przekreślona.

— Mam pomysł — odezwała się nagle Selena. — Skoro nie możesz przyłączyć się do grupy kobiet, gdyż zauważyliby cię strażnicy, i skoro nie udało ci się przekupić żadnej z nich, będziesz musiała zostać. W ten sposób rozdzielią was z Dariuszem.

— Wiem o tym doskonale, Seleno.

— Więc posłuchaj. Jeśli Dariusz też zostanie, nie będziecie rozdzieleni.

— Ale... on musi jechać. Kazano mu.

— Zostanie, a ja zajmę jego miejsce. Samia wpatrywała się w nią ze zdumieniem.

— To niemożliwe!

— Czemużby nie? Jesteśmy tego samego wzrostu i podobnej budowy. W nocy, nad rzeką, wśród kobiet wsiadających na statek i żołnierzy poganiających je...

— Seleno, postradałaś zmysły — powiedziała cicho Samia, ale jej głos zdradzał zainteresowanie.

Selena mówiła nagłym szeptem. To proste — tłumaczyła. — Nikt nie zauważy, jeśli eskortujący eunuch zarzuci płaszcz na głowę. Wszystko będzie się odbywało w pośpiechu, tak jak zawsze, kiedy wysyła się kobiety z haremu. Będzie ciemno, bo mają wyruszyć o północy. A ona i Dariusz są rzeczywiście podobnego wzrostu i budowy.

— Ależ, Seleno — szeptała Samia, w której oczach zabłysła nadzieja — jakim cudem chcesz dotrzeć do Rzymu w tym przebraniu? Odkryją cię!

Selena wyprostowała się i odparła:

— Nie zamierzam jechać aż do Rzymu. Ucieknę ze statku przy pierwszej okazji. Jeśli będzie trzeba, skoczę do rzeki. Chodzi mi tylko o to, by wydostać się z pałacu.

Na koniec Samia i Dariusz przystali na jej plan. W noc wyjazdu Selena miała zostać wezwana do haremu pod pretekstem nagłego przypadku choroby. Przedtem dopilnuje, żeby w winie Lashy znalazła się solidna porcja środka

nasennego, więc nieobecność Seleny wyjdzie na jaw dopiero o świcie. A gdy dwadzieścia mieszkanek haremu wraz z niewolnikami, strażnikami i kuframi będzie się zbierać do podróży, Selena i Dariusz zamienią się rolami. Potem Dariusz ukryje się w pałacu — jednemu niewolnikowi nietrudno się w nim zgubić — i wymyśli sposób, jak wydostać się z Magny razem z Sarnią.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

— Gdzieżeś ty się podziewała? — spytała królowa Lasha. — Wzywałam cię!

— Wybacz, pani — odparła Selena, stawiając swoją skrzynkę na stole. — Potrzebowałam trochę ruchu.

Lasha poprawiła się na sofie, na której spoczywała. Jej ciało spowijał szkarłatny jedwab, twarz była posypana złocistym proszkiem.

— Masz dość ruchu. Otóż nawiedziła mnie niespodzianie moja comiesięczna słabość i mam bóle. Przyszykuj mi lekarstwo.

Zadowolona, że ma zajęcie, co pomoże jej ukryć podniecenie — plan ucieczki musiał się powieść! — Selena uniosła wieko swej skrzynki lekarskiej.

Królowa Lasha osiągnęła wiek, kiedy niebawem miał ustać jej cykl księżycowy, a teraz stał się nieregularny. Szukając lekarstwo, Selena rozglądała się po bogatej komnacie i szukała śladów młodzieńca, który został tu wcześniej sprowadzony. Nie wiedziała, co się działo potem z tymi młodzieńcami. Lasha wykorzystywała chłopca tylko raz, potem go odsyłała — z pewnością nigdy do domu, gdzie mógłby zdradzić sekrety królewskiej sypialni.

Wlewając krople leku Hekate do kielicha z winem, Selena podniosła wzrok na balkon, który znajdował się za tęczowymi kotarami. Tylko raz była w mieście, kiedy Lasha wybrała się obejrzyć plemię Beduinów w pobliskiej oazie. Do uszu Lashy dotarła wówczas wieść o tancerkach, które potrafiły leżeć na plecach i przelewać wino z jednej czary do drugiej, posługując się wyłącznie mięśniami brzucha. Ilekroć zaś Laszę naszedł kaprys, by oglądać niezwykle widoki czy zjawiska, jej orszak zawsze liczył co najmniej dwieście osób i składał się ze służących, kapłanów, niewolników, skrybów, łuczników i jeźdźców. Tamtego pamiętnego dnia Selena jechała w zasłoniętej lektyce, tuż za majestatycznym palankinem królowej i zerkała ostrożnie przez zasłony, gdy orszak przemierzał ulice Magny.

To co zobaczyła, przeraziło ją.

Po miesiącach życia w bogactwie i luksusach Selena ze zdumieniem oglądała nędzę i ludzkie nieszczęście. Szczególnie zapamiętała jedną scenę i teraz, podając królowej kielich, przywołała ją przed oczy: tłum ludzi zgromadzonych u wrót pałacu — kalecy, żebracy, dziewczynki z chudziutkimi niemowlętami w ramionach, mężczyźni bez rąk i nóg, o chorych

oczach i twarzach naznaczonych chorobą, wszyscy oni zebrali się tam w próżnej nadziei, że bliskość królowej, wcielenia Bogini, może ich uzdrowić.

Wtedy właśnie Selena dowiedziała się, że ci ludzie nie mają gdzie szukać pomocy. W Magnie nie było świątyni Eskulapa, do której człowiek może się udać i spędzić noc w jej sanktuarium z nadzieją, że bóg przyjdzie i uzdrowi go we śnie. Jedyne bogaczy stać było na utrzymanie w domu osobistego lekarza. Reszta — zarówno średnio zamożni, jak i biedacy — nie mieli do kogo pójść, gdy zachorowali.

— Śpisz? — usłyszała głos Lashy.

Selena pokręciła przecząco głową, była to odpowiedź, a równocześnie próba odpędzenia sprzed oczu straszliwego widoku. W Antiochii też martwiła się o takich ludzi, ale tam przynajmniej mogli oni udać się po pomoc do świątyni Eskulapa, do małego domku Mery czy willi Andreasa lekarza.

Mogłabym im pomóc — myślała teraz Selena, biorąc od królowej kubek i płucząc go. — Gdyby mnie stąd wypuścili, mogłabym naprawdę leczyć, a nie siedzieć tu w zamknięciu, czyniąc te moje „cuda”.

Uleczenie niemocy króla Zabbaia nie było żadnym cudem, ale tylko Selena o tym wiedziała. Nawet Kazlah, nadworny lekarz, nie dostrzegł, że problem władcy polegał po prostu na jego otyłości.

Mera powiedziała Selenie o chorobie, którą Grecy nazywali diabetes mellitus. Słowo diabetes oznaczało „przepływanie”, chorzy bowiem bardzo często oddawali mocz, a słowo mellitus — „miód”, gdyż ich mocz miał słodkawy smak. Choroba, jeśli się objawiła w dzieciństwie, oznaczała pewną śmierć, ale w późniejszym wieku często dawało się jej zaradzić w prosty sposób — przez utratę wagi. Otyłość, wyjaśniła jej Mera, z jakichś powodów często wywoływała diabetes u dorosłych, dlatego też pozbycie się nadmiaru sadła często powstrzymywało chorobę. Kiedy Selena pierwszy raz zbadała króla w obecności siedemdziesięciu pokojowców, nie miała pojęcia, co może mu dolegać. Wystarczyło jednak opisanie symptomów — ciągłe pragnienie i głód, częste oddawanie moczu — a przypomniała sobie słowa Mery. Dlatego spróbowała moczu władcy: był słodki jak miód. Król z pewnością cierpiał na cukrzycę, a ponieważ ta choroba może powodować impotencję, Selena uznała, że wyleczenie choroby rozwiąże też problem niemocy.

Królowi nakazano ścisłą dietę, tłuszcz zniknął z jego ciała, a po pół roku władca odbył pierwszy od dwóch lat udany stosunek płciowy.

Selena dokonała też innych „cudów”. Podstarzały wezyr królowej od miesięcy skarżył się na straszliwe swędzenie głowy, na co pomógł zalecony przez Selenę szampon z siarki i olejku cedrowego. Lekiem Hekate skutecznie

wyleczyła opuchnięte stawy pierwszego eunucha, powstrzymała niepokojącą letnią biegunkę księcia, karmiąc go gotowanym ryżem.

W pałacu rzadko zdarzały się prawdziwe choroby, które Selena chętnie leczyła, większość dolegliwości rodziła się z nudy i bezruchu. W pałacu królowa Lasha wyznaczyła jej rolę cudotwórczym, nie lekarza, natomiast tam, w mieście, gdzie tylu ludzi potrzebowało pomocy, Selena mogłaby naprawdę działać wiele dobrego.

Królowa nie odrywała wzroku od Seleny. Ponieważ była ogromnie próżna, od czasu operacji dodawała urody swym oczom za pomocą kropli belladony ze skrzynki Seleny, lek rozszerzał jej źrenice, przez co spojrzenie królowej nabrało osobliwego wyrazu — jakby widziała więcej niż zwykli śmiertelnicy.

Królowa przyglądała się Selenie z mieszanymi uczuciami zazdrości i niechęci. Ta zwyczajna dziewczyna posiadała ogromną moc. Moc, jakiej Lasha pragnęła dla siebie. Nie chodziło o panowanie nad życiem i śmiercią — to już leżało w mocy Lashy — lecz o panowanie nad bólem, co władczyni uważała za rzecz znacznie ważniejszą. Połowę tej wiedzy królowa już zgłębiła — wiedziała, jak wywołać ból. Ale ta urodzona w nędznej chacie dziewczyna potrafiła go uśmierzyć i to dopiero było prawdziwym cudem.

To dziecko jeszcze nie wie, jaką władzę nade mną posiada — pomyślała królowa, przypatrując się Selenie. — Może wyzwolić mnie od bólu albo mi tego odmówić. Nie zdaje sobie jeszcze sprawy, jakie męki sprawia mi ciało, w którym jestem uwięziona. Ta prostaczka, mądra a zarazem nieświadoma, nie ma pojęcia, na jakie wyżyny mogłaby ją wznieść jej siła. Ale pewnego dnia zrozumie. Kiedy będzie starsza, przekona się, jak uzależniona jestem od słabości ciała, a gdy ten dzień nadejdzie, nasze role się odwrócą. Ona będzie władczynią, ja poddaną. Ciekawam, czy przyjdzie chwila, że obróci swą siłę przeciwko mnie?

— Fortuno — rozległ się łagodny głos Lashy. — Za dwa tygodnie przyjeżdżają Rzymianie. Z pewnością słyszałaś już o tym, jako że nasze ściany mają nie tylko uszy, ale i języki.

Kiedy Rzymianie przybędą, w pałacu zapanuje chaos. Chyba nie planujesz niczego niemądrego, Fortuno? Na przykład próby ucieczki?

Królowa dostrzegła, jak dziewczyna nagle sztywnieje, i pomyślała: Więc jednak miałam rację.

— Martwię się o ciebie, dziecko — odezwała się Lasha, unosząc się z łoża w swych szkarłatno-złoty szatach. — Czasem lękam się, że męczy cię samotność. W twoich oczach dostrzegam niepokój. W końcu masz już osiemnaście lat. Jesteś nadal dziewczyną, prawda?

Przez te dwa lata Selena nauczyła się wyczuwać groźbę w tonie głosu królowej. Wiedziała, że w tym momencie w sercu władczyni kryje się jakiś podstęp. A także coś jeszcze...

Uratowałam życie jej synowi — pomyślała Selena. — Przywróciłam jej wzrok. Uleczyłam jej męża z niemocy, tak że nie musiała brać innego małżonka. I nienawidzi mnie. Nienawidzi, bo musi być mi wdzięczna. Królowa jest moją dłużniczką, a to ja muszę zapłacić!

— Przyszło mi na myśl, Fortuno, że potrzeba ci towarzystwa. Zbyt często jesteś sama.

— Nigdy nie jestem sama, o pani — odparła ostrożnie Selena. — Mam wielu niewolników.

— Miałam na myśli prawdziwe towarzystwo, Fortuno. Kogoś, z kim byłabyś naprawdę razem. Potrzebny ci mąż.

Selena odwróciła się gwałtownie.

— Nie! — wybuchnęła i natychmiast tego pożałowała. Lasha się uśmiechnęła. Niczym lekarz badający chory ząb wreszcie trafiła na to, czego szukała — na słaby punkt Seleny.

— Jesteś młoda, Fortuno. Może i posiadałaś niezgłębioną wiedzę, którą przekazała ci matka. Nie myśl, że nie jestem wdzięczna za twą pomoc i że przyjmuję ją jako coś należnego. Ale pod innymi względami jesteś jeszcze dzieckiem. To mój obowiązek... tak, święty obowiązek dopilnować, byś wiodła normalne życie. W końcu — spojrzała na Selenę — twego życia nie można nazwać normalnym. Osiemnastolatka, której nie tknął jeszcze mężczyzna!

Dotykał mnie mężczyzna — pomyślała gniewnie Selena. — Dotykał mnie jedyny mężczyzna, którego pragnę: Andreas.

— Tymczasem okazuje się — ciągnęła Lasha — że ktoś z pałacu stara się o ciebie.

Selena wpatrywała się w nią szeroko otwartymi oczyma.

— Przyszedł do mnie ktoś z mojego dworu, prosząc o twoją rękę. Pragnie cię poślubić, Fortuno.

W komnacie zapadła cisza, gdy Lasha zrobiła efektowną pauzę, a potem ciągnęła:

— I zaiste fortuna ci sprzyja, jak wskazuje imię, które ci nadałam. Nie byle kto bowiem ubiega się o twoją rękę, Fortuno. Sam nadworny lekarz, szlachetny Kazlah.

Selena musiała oprzeć się o stół.

— Nadworny lekarz będzie doskonałym mężem dla ciebie, moje dziecko — ciągnęła Lasha. — Macie wspólne zainteresowania. On rozumie twoją siłę. Moglibyście się wzajemnie od siebie uczyć, dzielić wiedzę. Kazlah jest dużo starszy i mądrzejszy. Pomyśl o tych korzyściach.

Selena odwróciła się w stronę tęczowych zasłon. Tam, przed nią, był pod balkonem mur, który odgradzał ją od wolności. Za nim płynęły wody Eufratu.

I nagle sprzed jej oczu zniknął mur i pojawił się Kazlah — wysoki chudy upiór w szafirowych szatach. Karał niewolnika, który niechcący splamił winem rąbek jego szaty. Niewolnik był muzykiem, łagodnym harfistą. Słuch cenił więcej niż życie, a Kazlah, wyciągnąwszy spośród swoich narzędzi długą igłę, przekłuł bębenki w uszach niewolnika.

Selena wpatrywała się w mur.

Mogłabym teraz pobiec, skoczyć z balkonu i spróbować popłynąć ku wolności.

Szybko opanowała ten impuls, to byłoby czyste szaleństwo.

Gdyby mnie złapali i sprowadzili tutaj, na zawsze straciłabym szansę powrotu do mego ukochanego Andreasa. Będę ostrożna. Za dwa tygodnie o północy z haremu zabiorą i zaprowadzą na statek dwadzieścia kobiet. A ja będę wśród nich...

Selena wiedziała, dlaczego Kazlah poprosił o nią.

Pomyślała o setkach wierzb, rosnących nad brzegami rzeki pod pałacem. Nadworny lekarz nie miał pojęcia, że to, czego pragnął najbardziej na całym świecie — tajemnica leku Hekate — kryje się właśnie w tych drzewach.

Zachowaniu sekretu leku Hekate Selena zawdzięczała życie. Mimo iż w pałacu było to niebezpieczne, przez dwa lata udawało jej się utrzymać tajemnicę. Nieraz musiała uzupełniać zawartość niebieskiej buteleczki, a podejrzewając, że Kazlah ma szpiegów wśród jej niewolników, którzy donieśliby mu, jak się sporządza lek Hekate, Selena zawsze żądała licznych składników, niektórych potrzebnych, w większości nie, a potem w ogrodzie zamieniała zwykłe gotowanie wywaru w skomplikowany, tajemniczy rytuał. Nikt, kto by ją obserwował, nie zdołałby powtórzyć zawilego i bezsensownego obrządku ani nie zapamiętałby, ile czego i kiedy dosypywała. Dlatego też Kazlah do tej pory nie zgłębił sekretu leku Hekate, a Selena żyła.

Poprzysięgła sobie, że Kazlah nigdy nie pozna sekretu.

— Drżysz, Fortuno — odezwała się Lasha, podchodząc do Seleny. — Czyżby aż tak cię podniecała myśl o poślubieniu Kazlaha? Ponoć jest on doświadczonym kochankiem i potrafi zaspokoić wyszukane zachcianki w małżeńskim łóżu. Słyszałam, wyobraź sobie, że Kazlah lubi używać...



— Pani — przerwała Selena, odwracając się do niej. — Nie jestem jeszcze gotowa do małżeństwa. Ani też... godna stać się małżonką nadwornego lekarza.

Lasha się uśmiechnęła.

— Cóż, może masz rację — odparła, wzdychając z satysfakcją. — Przynajmniej na razie. Może rzeczywiście lepiej zostawić cię w spokoju. Ale chyba rozumiesz, Fortuno, że gdyby przyszedł ci do głowy jakiś niemądry pomysł, na przykład żeby próbować ucieczki, to możesz być pewna: sprawa wyjdzie na jaw, nim zdołasz zrobić pierwszy krok. A wtedy nie pozostanie mi nic innego, jak spełnić prośbę Kazłaha. On bowiem potrafiłby cię krótko trzymać. Kazłah dopilnowałby, żeby nawet myśl o ucieczce już nigdy nie przyszła ci do głowy. Nauczyłby cię posłuszeństwa, Fortuno, zapewniam cię.

Selena spojrzała na królową i nagle odniosła wrażenie, że znalazła się w lodowatej wodzie. Wtedy przypomniała sobie o Samii i Dariuszu i pomyślała: Muszę uciec!

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Selena nie mogła zasnąć, ale musiała udawać, że jest wyrwana za snu, kiedy rozległo się stukanie do drzwi. Ubrawszy się szybko i chwyciwszy swą skrzynkę lekarską, poszła opustoszałym korytarzem za milczącym strażnikiem. Dopiero po kilku minutach zauważyła, że coś się nie zgadza.

— Tędy nie idzie się do haremu — zwróciła się do strażnika.

Popatrzył na nią tępo i szedł dalej. Oczywiście jak zwykle mężczyzna nie powiedział wcześniej, dokąd ją zabiera, w pałacu wszyscy strażnicy byli niemowami. Stukanie do drzwi i gest, by szła za posłańcem, wystarczał zawsze za całą rozmowę.

Zdziwiona szła za strażnikiem pustymi korytarzami, przez krużganki, pod którymi hulał wiatr, mijala puste komnaty, wreszcie zeszła po kamiennych schodach, wiodących do tej części pałacu, gdzie nigdy przedtem nie była. Z narastającym niepokojem zastanawiała się, dokąd niewolnik ją prowadzi, bo powietrze czuć tu było stęchlizną, a ściany i posadzki były szorstkie i nierówne. Kiedy w końcu strażnik się zatrzymał, Selena nie miała wątpliwości, że znajduje się daleko od środka pałacu i daleko od haremu.

Drewniane chropowate drzwi uchyliły się nieco i zdumionym oczom Seleny ukazał się dziwny widok.

Pomieszczenie było niewielkie i jasno oświetlone pochodniami zatkniętymi w ścienne otwory, umeblowanie składało się tylko ze stołu i krzesła. Podłoga pokryta piaskiem i wilgotne powietrze kazały się domyślać, że bardzo blisko znajduje się rzeka. Gdy Selena weszła do środka, słysząc odgłos zatraskiwanego rygla, jej uwagę przykuła scena na środku izby: młody mężczyzna leżał bezwładnie na krześle, z przywiązanymi doń nogami i rękami. Głowę miał odchyloną, z szeroko otwartych ust dobywało się chrapanie. Za krzesłem stał krępy staruch, Selena rozpoznała w nim jednego z pomniejszych dworskich lekarzy, z przodu zaś, nad nieprzytomnym młodzieńcem pochylał się Kazlah.

Nie zwrócił uwagi na przybycie Seleny, pochłonięty swoją pracą. Selena nie miała pojęcia, co robi nadworny lekarz. Był nachylony nad szyją śpiącego chłopca.

Selena przyglądała się wysokiej szczupłej sylwetce Kazlaha, który prawie bez ruchu stał w migotliwym świetle pochodni, panowała głęboka cisza i Selena pomyślała, że ściany muszą być tu bardzo grube. Przy drzwiach z drugiej strony izby stało dwóch strażników, poza tym nie było nikogo więcej. Po co ją tu przyprowadzono?

Wtedy pomyślała, że Dariusz z pewnością już po nią posłał i oczekuje jej lada chwila w haremie. Oczy Seleny rozszerzył lęk. Spoglądając na nadwornego lekarza, który wyprostował się i odsunął od chłopca, pomyślała z przerażeniem:

Kazlah wykrył nasz plan i dlatego mnie tu sprowadził!

Ale potem przysłała druga myśl:

Czy aby na pewno? Może to zwykły zbieg okoliczności?

— Zastanawiałaś się, Fortuno, nad naszymi pałacowymi niemowami — odezwał się ze słodyczą Kazlah, zwracając się wreszcie do dziewczyny. — Z pewnością marzyłaś, by zgłębić tę tajemnicę.

Selenę ogarnęło straszne przeczucie i poczuła nagle chłód, jakby lodowate wody rzeki wdarły się do izby. O czym on mówi? Ona zastanawiała się nad niemowami? Nigdy nie wykazywała specjalnego zainteresowania nimi.

Wzrokiem powędrowała ku śpiącemu młodzieńcowi i zobaczyła, jak pomocnik Kazlaha owija szyję chłopca grubym bandażem. Serce jej mocno zabiło. Na płótnie bandaża widać było plamy krwi.

Kazlah dał znak strażnikom, a ci odwiązali chłopca od krzesła i wywlekli nieprzytomnego z izby.

— Zbliź się, Fortuno — powiedział Kazlah rozkazującym tonem.

Selena, którą nagle ogarnął strach, stała nieruchomo. Kazlah pytająco uniósł brwi.

— Moja pani, królowa Lasha, rozgniewa się, jeśli się obudzi i zobaczy, że mnie nie ma.

— Królowa mocno śpi, Fortuno, wiesz o tym sama. Wstrzymała oddech. Izba nagle wydała jej się mniejsza, w jej kątach czały się groźne cienie.

— Zbliź się, Fortuno — powtórzył Kazlah. — Pora, byś została dopuszczona do jednego z największych sekretów Magny.

Podchodząc do niego, Selena zobaczyła, jak drzwi w głębi się otwierają i strażnicy wprowadzają kobietę. Była czarna jak hebanowa skrzynka Seleny, miała olbrzymie wystraszone oczy. Kiedy strażnicy przywiązali ją do krzesła, Kazlah oznajmił:

— Ta niewolnica pochodzi z Afryki. Nie znamy jej imienia, bo mówi jakimś prymitywnym językiem. Wkrótce już nie będzie nim mówić.

Oczy Seleny spotkały się z przerażonym wzrokiem kobiety i na moment połączył je wspólny strach. Potem kobieta została zmuszona do wypicia napoju, który podał jej drugi lekarz, wkrótce głowa opadła jej na pierś.

— Ofiara powinna być całkowicie nieprzytomna, Fortuno — wyjaśnił Kazlah, dając znak drugiemu lekarzowi, by uniósł i trzymał głowę kobiety. —

Krtań musi być zupełnie odprężona. Jeśli będzie choć odrobinę napięta, łatwo niechcący przeciąć tętnicę szyjną i stracić niewolnika. — Po jego cienkich wargach przemknął lekki uśmieszek. — Nie stać nas na takie marnotrawstwo.

Oszołomiona Selena przyglądała się Kazlahowi. Z oddali, przez drzwi i korytarze dobiegał głos nocnego strażnika, ogłaszającego północ. Pomyślała o Dariuszu, który niespokojnie jej wygląda, podczas gdy mieszkanki haremu szykują się w drogę. Ogarnęły ją najgorsze przeczucia.

— Teraz przypatruj się bacznie, Fortuno — usłyszała cichy głos nadwornego lekarza i wbrew swej woli spojrzała na jego długie smukłe palce.

Trzymał w nich srebrną strzałkę, cienką, ale z wyglądu dość twardą. Z mocno bijącym sercem patrzyła, jak Kazlah najpierw bada szyję kobiety, potem przykłada czubek strzałki z boku krtani. Przez chwilę nic się nie działo, a potem dłoń Kazlaha szybko i pewnie wbiła strzałkę w szyję kobiety i Selena zobaczyła kroplę krwi wypływającą z maleńkiej rany.

— Tu właśnie potrzeba pewnej ręki, Fortuno — mówił Kazlah, celując w krtać z drugiej strony szyi i wbijając strzałkę. — W szyi znajduje się nerw, dzięki któremu człowiek mówi. Nie wiemy, jak on działa. Kiedy jednak się go uszkodzi, jak właśnie zrobiłem, człowiek nie może już mówić. Należy jednak zachować ostrożność, z obu bowiem stron tego nerwu znajdują się duże naczynia krwionośne.

Przerażona Selena patrzyła, jak kobiecie bandażują szyję, odwiązują ją od krzesła i wywlekają z izby.

— Przyjrzyj się bacznie temu narzędziu, Fortuno — nakazał Kazlah, wyciągając rękę. — Widzisz, jak pięknie wykonany jest grot? Ta ostrość, a delikatność! Tylko Magna zna tajemnicę odbierania mowy. Barbarzyńskie plemiona robią to, odcinając niewolnikom język, ale jakież to nieprzyjemny widok! I ten obrzydliwy bełkot, który potem dobywa się z ich ust! Dzięki naszej metodzie, Fortuno, niewolnicy nie stanowią obrazy dla uszu i oczu.

Znowu ten nieprzyjemny uśmieszek.

— Otóż, Fortuno, zaiste fortuna się do ciebie uśmiechnęła, zamierzam bowiem nauczyć cię tej rzadkiej sztuki.

Patrzyła z niedowierzaniem, jak drzwi ponownie się otwierają i strażnicy wprowadzają kolejnego niewolnika, tym razem jasnowłosego olbrzyma, który wyglądał, jakby bez trudu mógł się uporać z nimi oboma, a jednak pokornie dał się im prowadzić.

— Ten jest wyjątkowy — odezwał się nadworny lekarz, gdy mężczyznę przywiązano do krzesła. — Pochodzi z doliny Renu, z Germanii, w czasie ostatnich walk został jeńcem rzymskich legionów. Nazywa się Wolf.

Wolf był wysoki i muskularny, pszeniczne włosy opadały mu na ramiona. Selena nigdy jeszcze nie widziała tak dziwnego stroju. Nosił futrzane buty i nogawice, na nagiej piersi nie miał nawet koszuli, tylko prymitywny naszyjnik. Najbardziej jednak zafrapowała Selenę jego twarz: zasłonięta gęstą brodą, naznaczona bliznami, spod jasnych brwi spoglądały niezwykle niebieskie oczy. Mężczyzna był młody, a jego postawa zdradzała dumę i zapalczywość.

— Sądziłem, że przysporzy nam kłopotów — powiedział Kazlah, czekając, aż jego pomocnik wleje do wina środek nasenny — tymczasem on okazał się wyjątkowo łatwy do okiełznania. Widzisz, Fortuno, on podobno jest księciem okrytym hańbą, gdyż przeżył bitwę, a jego współtowarzysze zginęli. Wychowano go w przekonaniu, że należy ginąć z mieczem w ręku. Dla tego barbarzyńcy życie skończyło się w chwili, gdy Rzymianie pojмали go żywcem.

Selena próbowała odwrócić wzrok, czuła, że jasnoblękitne oczy są w nią utkwione. Kiedy Kazlah wcisnął jej do ręki srebrną strzałkę, w tych chłodnych oczach pojawił się błysk.

On wie, co go czeka! — pomyślała Selena.

— Nie mogę — wyszeptała z trudem.

— Ale musisz — odparł spokojnie Kazlah. — Chodź, pokażę ci.

Podszedłszy do barbarzyńcy, poczuła odór brudu i potu, zapach miesięcy przeżytych w upokorzeniu, widziała, jak mięśnie napinają się pod pełną blizn skórą. Ale w tym człowieku nie było lęku.

— Nie spodziewasz się chyba, panie, że to zrobię!

— Musisz się nauczyć, Fortuno. Gdyby nawet parę razy ci się nie powiodło, mamy mnóstwo niewolników, na których będziesz mogła ćwiczyć. — Kazlah stał blisko, prawie jej dotykając, w jego głosie zabrzmiała chytra nuta. — Musimy sobie nawzajem pomagać w naszej szlachetnej profesji. Ja podzielę się z tobą swoimi sekretami, Fortuno, a w zamian ty nauczysz mnie swoich. Czemu się wahasz, Fortuno?

— On... — brakowało jej tchu. — Trzeba mu pozwolić najpierw na modlitwę do jego boga.

Kazlah prychnął pogardliwie.

— Jego bóg! Kolejny barbarzyński bożek!

Wskazał ramię na szyi Germanina, na którym wisiał drewniany znak w kształcie litery T.

— Odyn — rzeki Kazlah z pogardą.

Selena wpatrywała się w niebieskie oczy, cały czas w nią utkwione, z bliska dostrzegła wreszcie, że coś wyrażają.

Więc jednak się boi — pomyślała.

Nagle zapragnęła powiedzieć coś temu barbarzyńcy, pocieszyć go, uspokoić.

Kiedyś i ja byłam niema — myślała. — Mój język tkwił nieruchomo i nie mogłam mówić. A gdy już został uwolniony, lękałam się mówić. Andreas mnie wyzwolił.

Na samą myśl o tym, czego wymagał od niej Kazlah — by skazała innego człowieka na życie w tym niemy, strasznym świecie — ogarniało ją przerażenie. Kazlah przysunął się bliżej, a jego pomocnik próbował napoić niewolnika winem. Ten, ku ich zaskoczeniu, nie chciał wypić.

— Doskonale — oznajmił gniewnie Kazlah. — Skoro sobie tego życzy, niech zostanie przytomny. A teraz, Fortuno, rób, jak ci pokazałem.

Stała tuż przed barbarzyńcą, patrząc mu prosto w oczy.

Jestem tak samo przerażona, jak ty — mówiła w duchu. — Słuchaj mnie, jeśli możesz.

Unosząc strzałkę wysoko, tak by niewolnik o imieniu Wolf ją widział, przyłożyła palec do ust w uniwersalnym geście oznaczającym milczenie. Błękitne oczy wpatrywały się w nią z napięciem. Selena ściągnęła brwi, chcąc za wszelką cenę porozumieć się z mężczyzną. Mocno zacisnęła wargi i trzymała na nich palec, ale w oczach niewolnika nie pojawił się nawet cień zrozumienia.

— Znajdź tchawicę — usłyszała głos nadwornego lekarza. — Teraz poszukaj pulsu. O, tutaj, w środku. Uważaj, żebyś nie chybiła, to mała przestrzeń.

Selena pochyliła się tak nisko nad barbarzyńcą, jak tylko mogła, zbliżyła twarz do jego twarzy, a jej welon zsunął się na ramię mężczyzny. Pomocnik Kazlaha mocno ścisnął jasnowłosą głowę, a Selena palcami lewej ręki obmacała szyję Wolfa, po czym przyłożyła do niej strzałkę. Wpatrywała się w brudną bladą twarz mężczyzny i poczuła, że ma serce w gardle.

Czy odważy się spróbować?

Nie miała wyboru. Przesunawszy się nieco, by zasłonić widok Kazlahowi, Selena bardzo ostrożnie przekłuła skórę strzałką. Barbarzyńca drgnął. Kiedy pojawiła się kropla krwi, Selena wyjęła strzałkę.

— Dobrze — stwierdził Kazlah, spojrzawszy na szyję mężczyzny. — Teraz druga strona. Aby całkowicie odebrać mowę, trzeba uszkodzić oba nerwy.

Kiedy pomocnik Kazłaha przekręcił głowę barbarzyńcy w drugą stronę, odsłaniając jego szyję pod gęstą brodą, Selena zmieniła pozycję, nisko się pochyliła i przecięła skórę.

Gdy się wyprostowała, w oczach nadwornego lekarza dojrzała zaskoczenie i niechętny podziw dla jej zręczności. Selena chwyciła bandaż i szybko owinęła nim szyję niewolnika. Teraz pozostawało jej tylko modlić się, by Wolf zrozumiał jej nieme ostrzeżenie i nie wydał ich obojga, odzywając się nagle.

— Zrobiłam, o co mnie prosiłeś — powiedziała, odwracając się do Kazłaha, podczas gdy strażnicy zabierali Wolfa. — Czy mogę już odejść? Oboje narazimy się na gniew królowej, jeśli się obudzi i zobaczy, że mnie nie ma.

Kazlah się uśmiechnął.

— Oboje wiemy, że to nie nastąpi, prawda? Jeszcze jedna lekcja, Fortuno, a potem będziesz mogła pójść. — Dał znak strażnikom. — Widzisz, spisałaś się wspaniale, ale chyba nie zdajesz sobie jeszcze sprawy, jak niebezpieczny może to być zabieg. Pokażę ci więc, co się stanie, jeśli zostanie niewłaściwie wykonany.

W głowie Seleny kłębiły się niespokojne myśli. Która to godzina? Czy zdąży jeszcze dobiec do haremu i zamienić się miejscami z Dariuszem? Skąd Kazlah wiedział o środku nasennym w winie królowej?

Matko Izydo — modliła się zrozpaczona. — Wyzwól mnie z tego koszmaru!

Kiedy jednak wprowadzono następną ofiarę, zamarły w niej wszelkie modlitwy, myśli, nawet oddech. Stała jak skamieniała. Kiedy biedaka rzucono na krzesło, pojęła nagle ze zgrozą, że to jednak nie zły sen, ale rzeczywistość. Nie było ucieczki, nie było sposobu, by się od niej wyzwolić.

To był Dariusz.

— Patrz uważnie, Fortuno — odezwał się Kazlah, gdy przywiązywano Dariusza do krzesła — będzie to bowiem dla ciebie niezwykle cenna lekcja.

Eunuch wpatrywał się w Selene, kiedy pomocnik Kazłaha chwycił jego głowę i trzymał jak w imadle.

— Szkoda dla niego dobrego wina — stwierdził Kazlah, podchodząc do krzesła i sięgając po srebrną strzałkę.

Selena, jak sparaliżowana, patrzyła na wypielęgnowane palce nadwornego lekarza, które delikatnie obmacywały krtań Dariusza, potem zatrzymały się, naciągając skórę szyi.

— Widzisz, Fortuno — cicho przemówił Kazlah. — Nerw mowy leży tu, niebezpiecznie blisko dużych tętnic. Dzięki wieloletniej praktyce dokonuję tego zabiegu tysiące razy bez obawy, że popełnię fatalną omyłkę. Ty dopiero się tego uczysz i musisz dowiedzieć się, czym grozi taki błąd, zatem specjalnie go teraz popełnię.

— Nie! — krzyknęła Selena.

Kiedy próbowała wyrwać Kazlahowi strzałkę, jeden z potężnych, stojących przy drzwiach strażników rzucił się ku niej i chwycił w żelazny uścisk.

— Mówiłem ci, Fortuno — powiedział Kazlah. — To będzie dla ciebie cenna nauka.

— Nie! — krzyknęła znowu, szamocząc się ze strażnikiem. — Nie rób tego. Błagam. Zrobię wszystko, co zechcesz, wszystko! Tylko nie rób tego!

Ale strzałka trafiła w cel. Kazlah cofnął się i powiedział:

— Niektórzy, Fortuno, twierdzą, że arteriami płynie powietrze. Ale jak sama widzisz, w tej arterii łączącej serce z mózgiem płynie krew.

— Błagam... — wyszeptała, nadal próbując się wyzwolić. Widząc, jak dziewczyna słania się w ramionach strażnika,

Kazlah dał mu znak, żeby ją puścił. Ledwo jednak Selena odzyskała swobodę ruchów, skoczyła do przodu i przycisnęła rękę do krwawiącej szyi Dariusza, rozpaczliwie próbując znaleźć bandaż. Kazlah chwycił ją i odciągnął do tyłu. Dziewczyna zachwiała się i upadła na Kazlaha. Przytrzymał ją, przyciskając mocno swym twardym ciałem. Szarpała się. Ogarnęły ją mdłości.

— Zdobędę cię, obiecuję — wyszeptał jej Kazlah wprost do ucha. — A kiedy już się to stanie, będziesz mi posłuszna. Nic przede mną nie ukryjesz, jako twój mąż będę bowiem miał prawo cię ukarać i nikt nie może się do tego wtrącać. A zapewniam cię, potrafię cię ukarać na mnóstwo sposobów, jakich nawet nie zdołałabyś sobie wyobrazić.

Selena z przerażeniem patrzyła, jak Dariusz słabo porusza głową w dłoniach pomocnika Kazlaha, wkrótce jednak powieki mu opadły, stracił przytomność, aż wreszcie skonał.

— Nie myślałaś chyba, że pozwolę ci uciec? — szeptał Kazlah z ustami tuż przy jej uchu. — Twój głupi plan nigdy by się nie powiódł. Mam powiedzieć królowej, co zrobiłaś? Że uśpiłaś ją narkotykiem i spiskowałaś, żeby uciec? Jutro odbędzie się nasz wspaniały ślub. A potem zobaczysz, co znaczy prawdziwe więzienie. Albo... możemy zawrzeć układ.

Selena patrzyła na ciało martwego Dariusza i poczuła, jak i z niej uchodzi życie. Łzy płynęły jej po policzkach, kiedy mówiła ze ściśniętym gardłem:



— Popeliłeś wielki bład, panie. Nie powinieneś był tego robić. Nie powinieneś był zabijać mojego przyjaciela. Teraz nigdy już ci nie powiem tego, co chcesz wiedzieć. Możesz donieść na mnie królowej, możesz zrobić mi wszystko, co chcesz. Ale ja na zawsze zapamiętam tę noc. I przyrzekam ci, że to wspomnienie da mi tyle sił, by nigdy ci się nie poddać.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Nagle i niespodziewanie umarł we śnie król Zabbaï.

W pałacu zapanował chaos. Wieszcza Allat pościła i łączyła się w jedno z Boginią, podczas gdy kapłani palili ofiary, a mieszkańcy miasta modlili się.

W końcu Bogini objawiła swą wolę. Był pewien obrządek, pradawny i święty, który praktykowano na całym Wschodzie, rytuał starszy niż czas, stworzony jeszcze w odległych wiekach matriarchatu. Królowa, pozostawiona nagle bez małżonka i bez możliwości znalezienia od razu następcy, mogła wybrać spośród przedstawicieli najlepszych rodów męża zastępczego: młodzieńca dobrej krwi, urodziwego, słynącego z siły i odwagi, który na jedną noc stanie się mężem królowej. A następnego ranka jego krew wzbogaci i użyźni ziemię.

Znaleziono kandydata i rozpoczęto przygotowania.

Przez trzy dni kapłani i kapłanki Allat przywoływali Panią Księżycyca, błagali litościwą opiekunkę umarłych i nienarodzonych, by pobłogosławiła związek Lashy i jej męża ofiarnego. Złożyli ofiarę z miodu i owoców Kielichowi Napoju Życia, świecącemu jasno ze swego gwiazdowego królestwa, by zesłał swoje błogosławieństwo na królową Lashę i Magnę, święte miasto Księżycyca. Wszyscy mieszkańcy pałacu, od szlachetnie urodzonych po niewolników, uczestniczyli w obrządkach: rozdano księżycowe amulety, odmawiano modlitwy do Księżycyca, przypominano sobie najstarsze przesady i starannie ich przestrzegano (takie jak na przykład tabu khaibut, czyli pilnowanie, by cień człowieka nie padł na święty przedmiot). Religijny nastrój święta rozprzestrzenił się również w mieście za pałacowymi murami: uliczni handlarze sprzedawali posążki przedstawiające Boginię Księżycyca, świeżo poślubione małżonki kupowały słoiczki „gwarantowanej” rosy księżycowej, w której kąpiel zapewniała płodność, bliskie zaś już rozwiązania ciężarne piły ziołowe wywary przyspieszające poród, aby dziecko przyszło na świat pod szczęśliwym blaskiem księżycyca w pełni.

Przedsionki świątyni Allat — od małych ołtarzyków w mieście, po ozdobiony imponującą kolumnadą Dom Allat przylegający do pałacu — dzień i noc były zatłoczone wiernymi, w powietrzu unosiło się echo rytmicznie recytowanych modlitw i dym nieustannie składanych ofiar, a w głębi pałacu, w komnatach przeznaczonych wyłącznie na święty obrządek, królowa przechodziła cudowną przemianę śmiertelnej kobiety w ziemskie wcielenie Bogini.

W innej części pałacu również odbywały się przygotowania, choć odmiennego rodzaju.

Selena po raz ostatni sprawdziła zawartość swojej skrzynki lekarskiej.

Przez kilka nocy źle spała, nie mogła też jeść. Od tamtej straszliwej godziny w piwnicach pałacu Selenę trzymano w jej pokoju jak w więzieniu. Strzeżono jej dzień i noc, obserwowano każdy ruch, drzwi były zaryglowane. Jednak w mrocznej terazniejszości pojawił się płomyk nadziei. Tylko jedna osoba miała się znaleźć w komnacie ofiarnej wraz Lashą i jej księciem małżonkiem — osoba, która poderżnie gardło mężczyźnie, gdy ten już konsumuje swoje „małżeństwo” z królową.

Tą osobą, z wyboru królowej, miała być Selena.

Dziewczyna zamknęła skrzynkę i stanęła na skraju swego ogródka. Noc była gorąca, parna, pachniała przejrzalymi owocami. Ogródek tonął w nadnaturalnym blasku pełni księżyca, czarne cienie rysowały się na czystej bieli murów i sprawiały, że wszystko wyglądało niesamowicie, inaczej niż za dnia, dzisiejszej nocy ogród wydawał się tajemniczy, upiorny.

Selena zacisnęła palce na złotym oku Horusa i powiedziała w duchu:

Przysięgam na naszą miłość, Andreasie, i na ducha mego ojca, którego nie znałam, oraz na mych przodków, obym ich kiedyś odnalazła, że dziś w nocy ucieknę. To moja ostatnia szansa.

Selena ułożyła plan.

Dwa dni temu kapłani zawiedli ją do małżeńskiej alkowy, położonej głęboko pod świątynią Allat, gdzie odprawiony zostanie obrządek. Prastarą komnatę wybudowano przed setkami lat i od dawna z niej nie korzystano, teraz jednak została otwarta, rytualnie oczyszczona i wstawiono do niej święte łoże. Selenie zawiązano oczy i prowadzono przez pałac, potem przez otwartą przestrzeń, jakieś zatechłe korytarze, po schodach w dół, aż wreszcie znalazła się w świętej komnacie, gdzie Kazlah udzielił jej wskazówek.

— Będiesz stała tam, Fortuno — powiedział, wskazując jej miejsce. — Kiedy „oblubieniec” zostanie wprowadzony, oczyścisz go symbolami Bogini. Następnie królowa będzie dla niego tańczyć, potem pomożesz jej wejść do łoża i przygotujesz ją. Kiedy da ci znak, że akt został spełniony, tym oto sztyletem zabijesz fałszywego króla.

Podał Selenie długi złoty nóż, który teraz spoczywał w skrzynce — narzędzie zbrodni wśród instrumentów przywracających zdrowie.

Kiedy wracała do pałacu — znowu z opaską na oczach — przyszedł jej do głowy pomysł. Wiedziała, że prowadzono ją okreśną drogą, by nie zapamiętała trasy, tam i z powrotem tymi samymi korytarzami, w górę i w

dół, wreszcie do sekretnych drzwi, prowadzących na otwartą przestrzeń, która — jak przypuszczała Selena — była przejściem między pałacem i świątynią. W przeszłości, gdy uczestniczyła w częstych ceremoniach w świątyni, dostrzegła liczne drzwi, niewątpliwie prowadzące do gmatwaniny najróżniejszych korytarzy. Wiedziała, że jeśli ktoś wejdzie niewłaściwymi drzwiami, z pewnością zgubi się w labiryncie pod świątynią i całymi dniami będzie się błąkał w ciemnościach, może nawet nigdy nie znaleźć wyjścia. Gdyby jednak udało się oznaczyć te odpowiednie drzwi...

Tym razem ucieczka musi się udać. Selena nie potrafiła wymazać z pamięci sceny śmierci biednego Dariusza. Do tej pory przeżywała wstrząs, jakiego doznała na wieść, że następnego dnia Sarnia powiesiła się na drzewie w ogrodzie haremu.

Rozległo się pukanie do drzwi. Po Selenę przyszedli kapłani w białych szatach, o twarzach lśniących od świętych olejków. Znów zawiązali jej oczy. Selena знаła już drogę przez pałac, choć to akurat nie było jej potrzebne, skoro nie zamierzała wrócić do swej komnaty. Za to kiedy wyprowadzono ją na dwór, zwróciła uwagę, że jest to otwarta, nie osłonięta przestrzeń, czuła bowiem powiew wiatru znad rzeki. Liczyła kroki — było ich dokładnie sto — potem otworzono jakieś drzwi. Kiedy drzwi się za nią zamknęły, Selena potknęła się i upuściła swoją skrzynkę. Skrzynka upadła z hałasem, wieczko się otworzyło i cała zawartość rozsypała się po kamiennej posadzce. Kapłani zaczęli szeptać niespokojnie — z pewnością był to zły znak — nim jednak zdolali podjąć jakąś decyzję, Selena już klęczała, pospiesznie zbierając rozsypane przedmioty, a gdy chcieli jej pomóc, rozrzuciła wszystko na nowo, robiąc jeszcze większe zamieszanie: słoiczki toczyły się po posadzce, zerwane ze sznura paciorki rozsypały się, Selena mamrotała, że musi wszystko pozbierać. Niepokój kapłanów wzrastał, a dziewczyna, korzystając z zamieszania, odwróciła się do nich tyłem i wyjęła zza paska to, co wcześniej tam ukryła.

Kiedy kapłani szukali na podłodze rozsypanych leków i próbowali uporządkować bałagan w skrzynce, w zdenerwowaniu przeszkadzając sobie wzajemnie i mówiąc coraz donośniej, Selena skrzesała iskierkę na swoim kamieniu Brimo. Potem odwróciła się i dała znak, że czas iść dalej.

Ponownie prowadzona przez kapłanów Selena oddalała się od kamienia Brimo, nie zdając sobie nawet sprawy, że oto spełnia się proroctwo Wyroczeni Izydy z Antiochii, wypowiedziane przed dwu laty.

\* \* \*

Prastara komnata symbolizowała zarazem łono kobiety i świat podziemny, przypominając o podwójnej roli Bogini jako pani życia i śmierci. Bogini Lasha czekała tam teraz spowita od stóp do głów w kunsztownie udrapowane welony — siedem welonów oznaczających siedem poziomów świata podziemnego, a nad ziemią siedem sfer niebiańskich — odsłaniające tylko jej oczy.

Kiedy wprowadzono Selenę i zdjęto jej opaskę, dziewczyna przez chwilę mrugała oczami w oparach dymu kadzidła i pochodni. Początkowo sądziła, że widzi przed sobą posąg, dopiero potem zrozumiała, że na tronie siedzi Lasha, Bath-Szeba.

Selena nie traciła czasu. Ledwo kapłani wyszli i drzwi zostały zamknięte, uporządkowała zawartość skrzynki, gdyż po sakralnym tańcu należało Laszę wzmocnić napojem, a jej zastępczy mąż miał dostać środek, który jak wierzono, wzmacnia potencję. Olejek miętowy dla królowej, sproszkowane jedwabniki dla mężczyzny. Przygotowane też już było białe płótno i miska z wodą, w której Selena musiała obmyć zakrwawiony sztylet, jako że krew ofiary była święta i należało ją zachować do uroczystego pochówku.

Dźwięki grzechotek sistrum zapowiedziały przybycie małżonka ofiarnego. Kiedy rozpocznie się obrządek — wcześniej wyjaśnił Selenie Kazlah — kapłani wycofają się do świątyni, gdzie będą czekać na jego dopełnienie, o czym ma ich powiadomić Selena. Ale jeśli jej plan ma się udać, Selena nie da im znaku, gdy zaczną się niepokoić, dlaczego się nie zjawia, będzie już daleko na pustyni, na drodze do wolności.

Wygladzając suknię, odwróciła się do drzwi. Serce waliło jej jak młotem, dłonie miała mokre od potu. W komnacie panowała nieprzyjemna duchota. Drzwi cicho się otworzyły i dwóch kapłanów wprowadziło do sali mężczyznę z opaską na oczach. Kiedy ją zdjęli, dwoje bardzo błękitnych, oszołomionych oczu wpatrzyło się w Selenę.

Zdumiona Selena zobaczyła przed sobą Wolfa, księcia barbarzyńców. Stał ze związanymi rękami, z ogoloną twarzą, jego pokiereszowane ciało było umyte i namaszczone pachnidłami, ale nadal odziane w futra i skóry.

Przez ostatnie dwa tygodnie Selena widywała go w pałacu, kiedy szła pod strażą do komnat królowej albo z nich powracała. Za każdym razem Wolf milczał. Selena obawiała się, czy Kazlah nie odkrył jej podstępu — że tylko pozornie odebrała głos germańskiemu barbarzyńcy — i z powrotem nie wziął go do tego straszego lochu, by dokonać zabiegu jak należy.

Rozwiązując mu ręce i czyniąc oliwą święte znaki Bogini na ciele, próbowała unikać jego wzroku, w końcu jednak musiała spojrzeć mu w oczy i ogarnęło ją zdumienie.

Nie było w nich gorczy czy gniewu, ani też nienawiści do tych, którzy wyrządzili mu krzywdę. Wyrażały tylko smutek, poddanie i pogodzenie z losem.

Wie, że umrze — pomyślała Selena, znacząc mu czoło półksiężycem, symbolem Allat. Chciała mu wyszeptać słowa otuchy, powiedzieć o swym planie ucieczki, ale nie ośmieliła się. Kapłani wprawdzie odeszli, ale któryś z nich mógł zostać pod drzwiami i podsłuchiwać.

Zamiast tego, czyniąc ostatni święty znak na jego piersi, dotknęła drewnianego krzyża Odyna leżącego w zagłębieniu pod szyją Wolfa i spojrzała mu prosto w oczy.

Twój bóg cię nie opuści — powiedziała w duchu, a Wolf przymknął powieki.

Rozległo się ciche dźwięczenie i Selena obejrzała się. Zobaczyła królową, stojącą niczym kolumna spowita w jedwabne welony o jaskrawych barwach wiosennego ogrodu. Był to znak, że zaraz rozpocznie się taniec. Selena wycofała się na swoje miejsce pod ścianą, a Wolf tkwił nieruchomo, wpatrując się we władczynię.

Był to bardzo stary taniec, starszy niż pamięć jakiegokolwiek rasy, tak stary, że nikt nie wiedział, jaki naród go stworzył. Taniec ten znały wszystkie nacje i kultury, jego podstawowe, pierwotne przesłanie przemawiało do wszystkich. Na Wschodzie nazywano go tańcem Szalome, co w semickich językach oznacza „witaj”, taniec ów bowiem opowiadał o tym, jak Isztar, najstarsze wcielenie Bogini, zstąpiła do podziemnej krainy i stamtąd wróciła, przynosząc wyczekiwaną wiosnę i odrodzenie ziemi. Siedem welonów, zdejmowanych przez Lashę w czasie tańca, przedstawiało siedem bram, przez które przechodziła Isztar. Był to taniec uwodzicielski, pełne erotyzmu ruchy bioder i brzucha miały na celu wyzwolenie energii seksualnej, pozwalającej tancerce zjednoczyć się z Boską Siłą.

Lasha poruszała się i kołysała w płynnym rytmie, welony zsuwały się z niej jeden po drugim i spływały na podłogę. Akompaniowała sobie, uderzając w czynele i lekko klaszcząc gołymi stopami po kamiennej podłodze. Jej ciało lśniło, mięśnie prężyły się pod gładką skórą. Tańczyła dla Wolfa. Okręzała go, klękała przed nim, hipnotyzując go ramionami, które wyglądały niczym wijące się i oplatające go węże, uwodziła go swoimi biodrami i udami,

poruszającymi się jak w miłosnym akcie, jej brzuch unosił się i opadał, jakby wydawała na świat dziecko, nagie piersi drżały obietnicą życia.

Choć Lasha oczy miała szeroko otwarte, nic nie widziała, kapłani napoili ją bowiem sakralnym wywarem z grzybów. Wizje, jakie się przed nią roztaczały, nie były z tego świata, a namiętność płonąca w jej duszy przerastała pragnienia cielesne i pożądanie jasnowłosego barbarzyńcy. Lasha stanowiła jedność z Boginią, tańczyła dla Księżyca — tak samo jak przez wieki tańczyły jej poprzedniczki. Tańczyła dla Życia.

Gdy taniec dobiegi końca, Selena przez chwilę stała nieruchomo. Potem, opamiętawszy się, spieszenie pomogła królowej wejść do łóżka, namaściła jej ramiona i nogi olejkami Allat, czyniąc święte znaki na piersiach, brzuchu i udach królowej. Była całkowicie opanowana. Musiała być teraz bardzo ostrożna.

Matka nauczyła ją tej sztuczki dawno temu. Zdarzało się, że pacjentów nie dawało się uspić zwykłymi napojami i wywarem. Mężczyzn, których silne ciała nie poddawały się nawet najmocniejszym środkom nasennym, można było znieczulić w prosty, acz ryzykowny sposób, znając tajniki anatomii.

Mera pokazała Selenie, gdzie znajdują się tętnice szyjne, te same ważne naczynia, które Kazlah wskazywał jej w lochu, Mera nauczyła ją także, jak palcami wyczuć pulsujące w nich życie i jak przez równoczesne uciśnięcie obu tętnic sprawić, by nawet najmocniejszy mężczyzna zapadł w głęboki sen. Zbyt długi ucisk spowoduje śmierć, ostrzegła Mera, zbyt krótki sprawi, że sen będzie trwał tylko kilka minut. Masując królową i ocierając ją z potu, Selena wolno przysuwała dłonie do jej szyi. Zatrzymała je tam na chwilę, szukając tętna, a potem pewna, że dotyka obu tętnic, delikatnie nacisnęła obie naraz.

W oczach królowej błysnęło zdziwienie, usta rozchyliły się w niemym proteście, a potem prawie natychmiast i bez oporu jej ciało się odprężyło, a oczy zamknęły. Selena przedłużyła ucisk jeszcze przez chwilę i próbowała przypomnieć sobie słowa matki, lękając się nagle, że naciska za długo, a potem, że nie dość długo. W końcu wyprostowała się, wykonała nad śpiącą kobietą święte znaki Allat oraz Izydy i zerwała się na nogi.

Zawiesiwszy na ramieniu swoją lekarską skrzynkę, podkradła się do drzwi. Kiedy się zatrzymała, nasłuchując, z uchem przyłożonym do ściany, w Wolfie nagle wstąpiło życie. Podbiegł do drzwi, odsunął dziewczynę i przycisnął ucho do kamiennego muru. Po chwili pchnął drzwi, a gdy otworzyły się bezszelestnie, rozejrzał się po ciemnym korytarzu i dał znak Selenie, by szła za nim.

Tak jak się spodziewała, korytarz był pusty. Rozglądając się czujnie na wszystkie strony, ostrożnie wyszła z komnaty tuż za Wolfem, sprężonym i gotowym do skoku. Przez moment wsłuchiwali się w ciszę, upewniając się, że są sami, w końcu Wolf odwrócił się, chwycił pasek skrzynki Seleny, przewiesił ją sobie przez ramię i dał dziewczynie znak, by szła naprzód.

Selena patrzyła, jak Wolf zatrzaskuje za sobą ciężkie drzwi, odcinając ich od światła, i myślała: Jak długo? Jak długo będą czekać kapłani, nim uświadomią sobie, że znak nie nadejdzie? Jak długo Lasha będzie nieprzytomna, zanim przyjdzie do siebie i wyśle żołnierzy na poszukiwania?

Oni oboje podążali w nieznaną, poruszając się cicho po ciemnych tunelach korytarzy na oślep, gdyż nie było widać ani iskierki, ani przebłysku światła, była tylko, jak przewidywała Selena, groźna, pochłaniająca ich ciemność. Już wcześniej zdała sobie sprawę, że zabranie pochodni z sakralnej komnaty byłoby zbyt ryzykowne, że jej blask mógłby zaalarmować kapłanów i strażników. Ciemność stanowiła nie tylko przeszkodę, ale i osłonę — nie było jednak sensu znaczyć drogi sznurkiem, kamykami czy kawałkami kredy, nawet gdyby je miała, bo bez światła nie zobaczyłaby ich po drodze. I wtedy pomyślała o kamieniu Brimo — o siarce. W tych ciemnościach nad ciemnościami, wśród gładkich ścian, gdzie nie pomoże jej wzrok, słuch czy dotyk, pomóc jej może tylko węch, jakim wyczuje woń palącej się siarki, przypominającą odór zgniłych jaj.

Oczywiście o ile siarka nie zgasła.

Krok za krokiem, po omacku szli korytarzami, plecami i dłońmi przywierając do chłodnych gładkich murów, jakby stąpali nad przepaścią. Kiedy docierali do końca ściany, Selena zatrzymywała się i węszyła, szukając choćby śladu zapachu siarki. Każde rozwidlenie prowadziło ich w kolejną pustkę, ściany się kończyły i Selena musiała szukać następnych ścieżek. Chwytała twardą dłoń Wolfa i szła tak daleko, jak im na to pozwalało dwoje wyciągniętych ramion, potem znowu węszyła w powietrzu i szukała po omacku przeciwległej ściany.

W miarę upływających minut, które wydawały się godzinami, Selena wpadała w panikę. Przecież w tym korytarzu już byli! Kręcą się w kółko! Wracają do sakralnej komnaty! Za najbliższym rogiem czekają na nich kapłani i rozwścieczona Lasha...

Coraz częściej przystawali, Selena węszyła w powietrzu, Wolf poprawiał ciężką skrzynkę na ramieniu. Nie zamienili słowa, ramię w ramię zmagali się z ciemnościami, połączeni szczególną więzią, na którą składały się strach i czujność. Oboje czuli nad sobą straszliwy ciężar świątyni. Dawno temu, w



takim właśnie labiryncie, symbolizującym świat podziemny, Grek Tezeusz natknął się na potwora z głową byka. Jakie potwory, zastanawiała się Selena, czyhają w tych okropnych ciemnościach?

Ciemność się nie kończyła. Wydawała się nieskończona, wieczna. To rzeczywiście był podziemny świat, a tych dwoje przechodniów wpadło weń, zanim nadszedł ich czas.

Jednak po dłuższej chwili stało się coś dziwnego: zaczęli widzieć.

Pojawiło się dziwne światło znikąd, różne wizje zaczęły się im pokazywać i znikać. Selena widziała domek w ubogiej dzielnicy Antiochii, statki w porcie, Andreasa stojącego pod laurowym drzewem. Wolf widział znajomy las, połacie śniegu i żonę, rozpalającą ogień. Najpierw te wizje ich przestraszyły, potem przestali na nie zwracać uwagę, wreszcie same odeszły. Ich świat się kurczył, coraz bardziej malał, zmniejszał się do rozmiarów pałacu, labiryntu, a w końcu korytarza, którym szli. Czuli jedynie swój dotyk, ciepło drugiego człowieka i łączący ich strach.

Powietrze na końcu każdego korytarza miało taki sam zapach, bez końca trwała ta sama nicość, pozbawiona soli ziemi, słodczy nieba, oddechu lata. Była tylko bezcielesna pustka, która wydawała się z nich drwić. I ani śladu siarki. Ani śladu.

Przyjdzie nam tu skonać — pomyślała Selena z dziwną obojętnością.

Poczuła szarpnięcie. Wolf dawał jej znak. Odwróciła się i znieruchomiała.

Zapach! Okropna woń zepsutych jajek! To siarka!

Selena wdychała ją, próbując określić, skąd dochodzi, a kiedy ruszyła jednym korytarzem i zapach stał się słabszy, poszła w drugą stronę, gdzie woń się nasiliła. Dotarli w końcu do pierwszego korytarza, w którym pojawił się ślad dymu. Szli uważnie tym tropem, zawracając z korytarzy, gdzie woń słabła, i zanurzając się w ciemność gęstą od oparów.

W miarę jak odór stawał się silniejszy, ich podniecenie rosło. Posuwali się do przodu z coraz większym pośpiechem. Selena ciągnęła Wolfa za sobą tłumacząc mu, że źródło tego zapachu wskaże im wyjście. Wolf trzymał się tuż za nią. Nie rozumiał, dlaczego dziewczyna, najwyraźniej zajmująca wysoką pozycję na dworze, chce uciekać, ale ufał jej i miał nadzieję, że ona wie, co ich czeka u kresu wędrówki.

A u kresu wędrówki, za ostatnim zakrętem, na Selenę i Wolfa czekał Kazlah.

Stanęli jak wryci. Nadworny lekarz trzymał w jednej ręce pochodnię, a w drugiej kamień Brimo. Jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć. Kazlah ani się nie uśmiechnął, ani nie zmarszczył, nie okazał też zdziwienia na widok

Seleny i barbarzyńcy. Połowa jego chudej twarzy tonęła w cieniu, połowę oświetlała pochodnia, wysoka szczupła postać zdawała się wypełniać niewielki korytarz.

Selena stanęła, Wolf za nią. Czowała na plecach jego oddech. Wolf to duży mężczyzna, silny. Ale czy również szybki? Czy ma dość sprytu, by zaskoczyć Kazłaha? I kto jeszcze stał za tymi drzwiami? Drzwiami, które otwierały drogę ucieczki na wolność...

Dwoje przeciwników mierzyło się wzrokiem w wąskim kręgu światła pochodni. Kazłah nadal stał bez ruchu. Nie odezwał się, nawet nie mrugnął, tylko wpatrywał się w Selene, trzymając w dłoni grudkę tłącej się siarki.

Wtedy Selena zrozumiała. Kazłah nie zamierzał wykonać pierwszego ruchu. Za nic, nawet gdyby mieli tu tkwić w nieskończoność. Wiedziała, czego pragnął. O co będzie gra? Jaką stawkę wyznaczy?

Czowała, jak za jej plecami Wolf przestępuje z nogi na nogę. Czy powinna mu pozwolić zaatakować lekarza? Czy może mu się udać, czy też ona i Wolf postradają życie?

Kazłah nie spuszczał z niej twardego spojrzenia. Musiała podjąć decyzję. Teraz. Pomodliwszy się krótko w duchu do Izydy, odezwała się spokojnie:

— Lek Hekate robi się z kory wierzby. Trzeba ją gotować w wodzie, póki nie nabierze ciemnego koloru, a potem przechowywać w chłodnym miejscu. Dziesięć kropel dodanych do wina ukoji bóle miesięczne, dwadzieścia pomoże na spuchnięte stawy i gorączkę. Kropla spuszczone bezpośrednio na chory ząb, uśmierzy ból.

W oczach nadwornego lekarza pojawił się przelotny błysk. Selena wstrzymała oddech. Wtedy, ku jej zdumieniu, Kazłah cofnął się, odwrócił, spokojnie oddalił w głąb korytarza i zniknął za zakrętem, a światło jego pochodni stało się tylko słabą poświatą.

Selena odprowadziła go wzrokiem, potem dopadła drzwi. Zatrzymała się, nasłuchując, a kiedy z zewnątrz nie dobiegł jej żaden odgłos, pchnęła. Drzwi nie drgnęły. Zza jej pleców wysunął się Wolf i pchnął drzwi całym swoim ciężarem. Z cichym szmerem, który brzmiał jak modlitwa, granitowe drzwi uchyliły się gładko na zawiasach i do środka wpadło chłodne nocne powietrze.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Biegli bardzo długo — nawet nie wiedzieli, jak daleko uciekli — póki całkiem nie opadli z sił.

Ucieczka z pałacu okazała się zadziwiająco prosta, uwaga całego dworu była skupiona na świątyni. Ale w mieście nie było już tak łatwo. Selena i Wolf przemierzali ciemne ulice Magny tak samo jak korytarze labiryntu, przystając na rogach, nasłuchując odgłosów nocnej straży i śpiesząc dalej w zaułki. Bramy miasta były zamknięte, ale Wolfowi, z pomocą ukradzionego sznura, udało się sforsować mur, a potem przeciągnąć Selenę. Dalej czekała rozległa pustynia i czyhające na niej niebezpieczeństwa.

Przebiegali od wydmy do wydmy, zdając sobie sprawę, jak wyraźnie ich widać na piasku w jasnej poświacie księżyca. Kiedy w końcu dotarli do nagich wzgórz, dość odległych od miasta, usłyszeli z oddali dźwięk trąbek, ogłaszających alarm. Selena i Wolf stali się teraz ściganymi przestępcami, było jasne, że w Magnie nie spoczną, póki ich nie odnajdą.

Skaliste pasmo na południowy wschód od Magny składało się z nagich wzgórz i dzikich kamienistych jarów, pełnych jaskiń. Wyczerpani, zmuszając się do dalszego wysiłku, wdrapali się na urwisty płaskowyż, potem zeszli głęboką szczeliną do miejsca, gdzie przez mały otwór w skale dojrzeli niewielką grootę. Nie namyślając się długo przecisnęli się przez otwór i ciężko dysząc, potoczyli na piaszczyste dno jaskini. Wszystkie mięśnie bolały ich ze zmęczenia. Selena leżała tam, gdzie upadła, nie pragnąc niczego więcej, tylko snu. Wolf wziął ją na ręce i z wysiłkiem przeniósł w głąb jaskini, gdzie trudno by ich było dostrzec. Położył ją i osłonił swym ciałem. Zasnęli natychmiast.

Zapomniana skrzynka z lekami została tuż przy wejściu do groty.

\* \* \*

Kiedy obudził ich stukot końskich kopyt i ciche głosy żołnierzy, przez chwilę nic nie widzieli, oślepieni porannym słońcem, wpadającym przez otwór do jaskini.

Wolf natychmiast usiadł, spoglądając na wejście do groty. Kiedy Selena chciała się odezwać, położył jej rękę na ustach.

Siedzieli bez ruchu, kurcząc obolałe ciała i nasłuchując odgłosów poszukiwań. Na zewnątrz było wielu żołnierzy, wszyscy na koniach, nawoływali się cicho, sprawdzając po kolei wszystkie groty i załomy skał. Słyszając, jak nieregularny stukot kopyt zbliża się do ich kryjówki, Selena otworzyła szerzej oczy, już oswojone z blaskiem słońca, patrząc ze zdumieniem na wejście do groty.

Zasłaniała je od góry do dołu świeżo utkana pajęczyna.

Również Wolf wpatrywał się w nią, nie wierząc własnym oczom. Delikatna sieć powstała w ciągu tych kilku godzin, kiedy spali, i teraz lekko drżała w porannym wietrzyku.

W końcu żołnierze dotarli do ich grotty. Przez mgiełkę pajęczyny widać było zarys końskich nóg, rozlegał się cichy szmer rozmów. I wtedy, ku swemu zdumieniu, Selena i Wolf usłyszeli:

— Tu nie. Spójrzcie na tę pajęczynę. Od miesięcy nic nie wchodziło do tej grotty.

Selena i Wolf wstrzymali oddech, patrząc jak stojące tuż obok wejścia konie ruszają i słuchając oddalających się głosów. Długo siedzieli nieruchomo, nie wierząc swojemu szczęściu. W końcu Wolf rozprostował się i podczołgał do wejścia. Odwracając głowę na wszystkie strony, nasłuchiwał czujnym uchem wojownika, wreszcie dał znak Selenie, że żołnierze odeszli.

Zbliżyła się do niego i oboje wpatrywali się z zachwytem w pajęczą sieć.

— Bogini czuwa nad nami — odezwała się Selena. Wolf podniósł rękę i dotknął nią krzyża Odyna. Uśmiechnęła się i skinęła głową.

— Tak, może to twój bóg nas ocalił.

Selena usiadła na piętach i przypatrywała się swemu towarzyszowi. Robił wrażenie dzikiego, ledwie trochę oswojonego zwierzęcia. Zastanawiała się, jak będzie się zachowywał na wolności — na otwartej przestrzeni, bez więzów i strażników. Może powróci do swych barbarzyńskich obyczajów, zapewne ucieknie, porzucając ją na pustyni.

Selenie nie wydawał się urodziwy: miał zbyt grubo ciosane, nietutejsze rysy, mimo to było w nim coś pociągającego, zwłaszcza teraz, gdy zniknęła gęsta broda, a kwadratowe szczęki były gładko ogolone. Co to za człowiek? Z jakiej to dziwnej pochodzi krainy, gdzie mężczyźni chodzą tak zarośnięci i ubierają się w wilcze skóry? Wolf patrzył na nią, siedząc swobodnie ze skrzyżowanymi nogami i rękami opartymi na kolanach. Jasne włosy, nadal miejscami splecione, opadały na ramiona i muskały jego uda. Teraz, w świetle porannego słońca, Selena dostrzegła liczne blizny pokrywające jego nagi tors i ramiona. Wojownik. Człowiek, który żyje, by walczyć.

Odwróciła wzrok i zapatrzyła się na nagie wzgórza, rozciągające się po drugiej stronie pajęczyny.

— Cóż, chyba pora już ruszać — powiedziała z westchnieniem.

Ku jej wielkiemu zdumieniu, Wolf otworzył usta i powiedział coś w języku, którego nie znała.

— Więc możesz mówić! — krzyknęła. — Zrozumiałeś, co chciałam ci przekazać w tamtym okropnym lochu! Tak się martwiłam. Bałam się, że Kazlah zabrał cię tam jeszcze raz i że naprawdę jesteś niemy.

Wolf znowu powiedział coś w gardłowym, niezrozumiałym języku, zapewne germańskim.

— Niestety, znam tylko grecki i aramejski — odparła Selena z przeproszającym uśmiechem. — A ty zapewne mówisz wyłącznie po germańsku. No cóż, przynajmniej udało nam się razem zbiec. Ciekawam, dlaczego Kazlah nas puścił...

Wolf przerwał jednym słowem i wskazał wejście do grotty.

Selena skinęła głową.

— Chcesz wiedzieć, dokąd stąd pójdziemy? Ja mogę udać się tylko w jednym kierunku. Na zachód. Do Antiochii. Do Andreasa...

Głos jej się załamał. Zaczęło do niej docierać, czego dokonała. Uciekła z pałacu! Nareszcie wolna! Po dwóch latach jest wolna i może wracać do domu!

Znowu ujrzała swą drogę, a na końcu tej drogi — przeznaczenie. Być z Andreasem, zacząć z nim nowe życie! Uczyć się, dzielić się swym darem i leczyć tych, którzy tak bardzo tego potrzebują. I dowiedzieć się, kim jest, dlaczego przyszła na świat.

Wolf podniósł się, otrzepał z piasku i sięgnął po skrzynkę lekarską. Zrzuciwszy ją na ramię, podał rękę Selenie. Chwyciła ją i podniosła się z ziemi.

— Teraz możemy wyruszyć w drogę powrotną do swoich domów — powiedziała. — Z pewnością ją odnajdziemy. W skrzynce schowałam trochę żywności, wystarczy na kilka dni. Poza tym mam wśród leków zioła, które dodadzą nam sił na pustyni. Mam także to. — Dotknęła wiszącego na szyi sznura rubinów, ofiarowanych jej przed dwoma laty przez Lashę. — Za ten naszyjnik kupimy jedzenie, zapłacimy za nocleg, a może nawet i za miejsca w karawanie.

Kiedy Wolf rozerwał pajęczynę i wyszedł na słońce, Selena pomyślała: Jesienią będę już w domu...

# KSIEGA CZWARTA

Babilon

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Fatmę ogarniał niepokój. Przyjęcie zaczęło się o zachodzie słońca, a Umma, zielarka, jeszcze się nie zjawiała.

Fatma wiedziała, jak bardzo Umma pragnęła poznać tajemnicę wydobywania tłuszczu z owczego runa, czym właśnie zajmowały się kobiety z plemienia Fatmy i co było powodem dzisiejszego świętowania. W zamian za pokazanie jej tego sposobu, Umma podzieli się z Fatmą innymi sekretami ze swej cudownej skrzynki lekarskiej.

W takim razie, dlaczego Ummy jeszcze nie ma?

Przeprosiwszy na chwilę siostry i kuzynki, które ze śmiechem i śpiewem wygniały runo w wodzie, Fatma wyszła z namiotu i rozejrzała się dokoła. Powiodła wzrokiem po opustoszałym obozie. To niepodobne do Ummy, żeby się spóźnić czy zapomnieć.

Umma nieustannie zdumiewała Fatmę: Beduinka nie spotkała jeszcze nikogo tak pragnącego się uczyć, jak ona. Wydawało się, że dla Ummy nauka była jak jedzenie, nękał ją niezaspokojony głód wiedzy i przymus, by wszystkiego skosztować. Parę dni temu, kiedy plemię w końcu dotarło do letniego obozowiska i rozpoczęło się strzyżenie owiec, Umma wyraziła chęć poznania sztuki wydobywania tłuszczu z runa i mieszania go z łojem, co potem stanowiło główny składnik leczniczych maści i balsamów. Jako że wydobywanie tłuszczu było kobiecym zajęciem i odbywało się raz do roku, kobiety z plemienia Fatmy traktowały je jako specjalną okazję do spotkania. Zbierały się w jednym namiocie, każda ze swoim runem i naczyniem, gdzie plotkując i racząc się winem, czyściły wełnę. Ummę zaproszono, by pomogła w czyszczeniu, a potem opanowała niełatwą sztukę wydostawania tłuszczu z wody.

Ale robiło się późno. Kobiety, w wesołym nastroju, już od dawna uwijały się przy czyszczeniu wełny. Gdzie podziała się Umma?

Ona i jej dziwny jasnowłosy towarzysz żyli z plemieniem Fatmy od osiemnastu miesięcy. Od owego dnia sprzed półtora roku, kiedy znaleziono

ich — wyczerpanych z głodu, straszliwie spragnionych, blakających się po pustyni i uciekających przed żołnierzami — Umma nigdy nie przepuściła okazji poznania któregoś z pradawnych sekretów Beduinów. Dlaczegoż więc teraz jej tu nie ma?

Fatma jeszcze raz rozejrzała się po obozie.

Koczowali w dużej oazie niedaleko miasta Babilon. Wiele beduińskich rodów rozstawiło tu swoje namioty, przejeżdżały tędy karawany i samotni podróżnicy, wszyscy dzielili się wodą i daktylami, których było tu pod dostatkiem. Fatma szacowała, że znajduje się tu prawie tysiąc ludzi i dwa razy tyle zwierząt. Dym setek ognisk spowijał namioty, śmiechy i śpiewy wzbijały się w niebo. Może Umma zobaczyła w tłumie żołnierzy? Wyczuła niebezpieczeństwo i gdzieś się ukryła? A może — myślała z nadzieją Fatma — Umma wreszcie znalazła drogę ucieczki, której tak szukała?

Fatma wiedziała, że jej młoda przyjaciółka to wyjątkowa kobieta. Kobieta uporczywie dążąca do spełnienia swych marzeń — odnalezienia swego przeznaczenia i zjednoczenia z człowiekiem, z którym została tak okrutnie rozdzielona. Pewnej nocy, gdy już wszyscy spali, Umma opowiadała Fatmie swoje losy, Fatma dostrzegła wówczas płomień w oczach przyjaciółki.

— Widziałam tylu bezradnych ludzi — mówiła Umma.

— Ludzi, którym potrzeba opieki i ratunku, a którym nikt nie pomaga i którzy nie mają dokąd iść. To moje powołanie, Fatmo: zanieść im mój dar leczenia. Pracować z Andreasem...

Fatma potrząsnęła głową. Żal jej było tych dwojga. Umma i jej towarzysz z dalekich stron nie mogli zaznać chwili spokoju. Stale oglądali się przez ramię, niespokojni, wystraszeni — żyli w poczuciu nieustannego zagrożenia, szukając sposobu ucieczki. I ciągle pragnęli czegoś więcej, żyli swoimi marzeniami, rozpaczliwie chcieli wrócić do swoich bliskich i ukochanych. Cóż to za życie dla tej biednej dziewczyny? Ma prawie dwadzieścia lat, a jeszcze niezamężna!

Myśl ta zasmuciła Fatmę. Jak na ironię, plemię nadało dziewczynie imię Umma, co po arabsku znaczy „matka”, wtedy gdy ocaliła życie dziecku Fatmy.

Ze środka namiotu dobiegł gromki wybuch śmiechu. Fatma ponownie rozejrzała się.

O, Allat, oby nic złego nie przytrafiło się mojej przyjaciółce!

Co za straszliwa klątwa prześladowała Ummę i Wolfa! Kiedy osiemnaście miesięcy temu mąż Fatmy przywiódł do zagrody swoje owce, opowiedział plemieniu o królewskim dekrete. Mijali go żołnierze — mówił — i

powiedzieli, że z pałacu w Magnie uciekło daleko na północ dwoje ludzi. Za ich schwytanie wyznaczono wysoką nagrodę, za to tych, którzy udzielą im schronienia, spotka sroga kara. A potem Beduini znaleźli tych dwoje — spalonych przez słońce, głodnych i wyczerpanych, przyjęli ich do siebie i poznali ich niewiarygodne dzieje.

Biedna Umma! — pomyślała Fatma. — Narazić się na gniew strasznej królowej, a co gorsza — nie mieć rodziny ani domu!

Dla Beduinów, u których rodzina jest wszystkim, prawdziwa tragedia Ummy polegała na tym, że nie wiedziała, kim są jej rodzice. A do tego żył gdzieś jeszcze brat bliźniak! Arabskie kobiety powiadały, że męża zawsze można znaleźć, syna zawsze można urodzić, lecz brata nie zastąpi nic.

Fatma żałowała, że nic więcej nie może uczynić dla Ummy. W końcu była shaykha, mądrą rodu, i miała dużą władzę. Nigdy nie zdoła odwdzińczyć się Ummie za uratowanie jej dziecka. Osiemnaście miesięcy temu zmęczona porodem Fatma odepchnęła od siebie późnego potomka — u Beduinów czterdziestoletnia kobieta była stara — którego położna próbowała przystawić jej do piersi. Wtedy wkroczyła Umma. Wzięła słabiutki, przedwcześnie urodzone dziecko i gdy Fatma spała, przyłożyła je matce do piersi i oboje obwiązała płótnem. Następnego ranka po przebudzeniu Fatma poczuła, że jest związana, a jej pierś przyciska drobne ciało. Pokochała to dziecko mocniej niż wszystkie pozostałe.

Kobiety wzywały Fatmę, by wróciła do namiotu. Pora zbierać tłuszcz z wanienek. Siostra Fatmy zaczęła śpiewać pieśń, inne kobiety się przyłączyły, klaskając dłońmi, dzwoniąc bransoletami. W powietrzu nagle rozszedł się cudowny zapach — woń podgrzewanego olejku migdałowego, po zmieszaniu go z tłuszczem z wełny powstanie lecznicza maść.

Fatma jeszcze raz rozejrzała się za Ummą i wróciła do namiotu.

\* \* \*

Selena tkwiła w ukryciu, lękając się, że zostanie dostrzeżona.

Było już zbyt późno, by wziąć udział w czyszczeniu wełny u Fatmy, ale musiała wysłuchać tej rozmowy do końca. To mogło oznaczać ucieczkę i ocalenie dla niej i Wolfa.

Mężczyźni nie spostrzegli kobiety ukrytej za palmą daktylową, a nawet gdyby ją zobaczyli, uznaliby za jakąś Beduinę. Podróżnicy z Jerozolimy nie zwrócili uwagi na sylwetkę w czarnej szacie, odsłaniającej tylko ręce i oczy.

Za to ona była nimi bardzo zainteresowana. Wcześniej przyglądała się z daleka ich sztuczkom z węzami, jakie pokazywali przy ognisku. W pustynnych obozach zawsze kręcili się jacyś kuglarze i magicy, którzy za parę



miedziaków albo za jedzenie popisywali się swoimi sztukami. Tych dwóch potrafiło zmieniać patyki w węże i węże z powrotem w patyki, prawie niczym się nie różnili od niezliczonych wędrownych kuglarzy. Tyle że ci, jak pod słuchała Selena, nie włóczyli się gdzie popadnie, ale zmierzali do miasta Babilon w bardzo określonym celu.

Stata za drzewem, z napięciem i niepokojem przysłuchując się ich rozmowie. Słowa, jakie do niej dobiegły, przyśpieszyły bicie jej serca.

Mówili, że chcą przyłączyć się do cyrkowców, którzy płyną statkami do Armenii.

Selena zaciskała dłonie w lęku i podnieceniu. Armenia! Leżąca daleko na północy! Czy to możliwe? Czyżby wreszcie udało jej się znaleźć drogę ucieczki? Nie traciła czasu. Usłyszawszy wszystko, co chciała wiedzieć, opuściła kryjówkę i pomknęła przez obóz do namiotu, który dzieliła z Wolfem. Jeśli to, co usłyszała, okaże się prawdą, o brzasku stąd wyruszą i znów znajdą się na drodze ku swym domom.

Selenę przepęłniał niepokój. Zawędrowali tak daleko na wschód! Na horyzoncie widać było Babilon, znajdowała się teraz dalej od Antiochii niż kiedykolwiek.

Ale ona i Wolf nie mieli wyboru. Od dnia, kiedy opuścili grotę, która ocaliła ich przed żołdakami Lashy, wszystkie drogi na zachód były odcięte, tak jakby na pustyni wyrosła niewidzialna ściana, od Eufratu po Arabię. Początkowo Lasha wysyłała tylko specjalne patrole na poszukiwanie zbiegów, ale parę miesięcy później, po jej ślubie z młodym ambitnym księciem, skierowała na pustynię prawie całą swą armię.

Strzeżono wszystkich dróg, zatrzymywano i przesłuchiowano wszystkich podróżnych, przeszukiwano wszystkie karawany. Raz żołnierze zbliżyli się do plemienia Fatmy, lecz koczownicy — którzy sprowokowani potrafili walczyć jak lwy — odpędzili ich. Selena i Wolf szybko zrozumieli, że tylko ci nomadowie mogą zapewnić im bezpieczeństwo. Oni jednak zmierzali na wschód, a Selena i Wolf wraz z nimi oddalali się coraz bardziej od swych domów.

Musimy iść na zachód! — wołało przerażone serce Seleny, ilekroć zwijano namioty i ruszano w stronę wschodzącego słońca. Lecz plemię Fatmy wędrowało po odwiecznych szlakach swych przodków i nie było mowy, żeby zawróciło i poszło w przeciwnym kierunku.

Teraz zatrzymali się w pobliżu Babilonu, w oazie, gdzie pozostaną przez okres wykotów i strzyży. Nadeszła pora, by Selena i Wolf spróbowali wyrwać

się na wolność, muszą znaleźć lukę w sieci Lashy, wydostać się przez nią i wracać okrężną, bezpieczniejszą drogą do domu.

Statki wiozące sztukmistrzów, jak mówili przybysze z Jerozolimy, płyną w górę Eufratu do Armenii, która leżała daleko poza zasięgiem władzy Lashy.

Musimy spróbować!

Biegając przez obóz, Selena spojrzała na gwiazdy. Wśród nich, dzięki naukom Fatmy, mogła wypatrzeć wielką Boginię Niedźwiedzicę, czczoną przez Beduinów, świat bowiem obracał się właśnie wokół Niej. Dziś boski ogon Niedźwiedzicy wskazywał wschód, co oznaczało, że nadeszła wiosna.

Fatma nauczyła Selenę wielu rzeczy. Dumna, mądra Fatma była „matką” plemienia, w jej żyłach płynęła szlachetna krew, bowiem pochodziła od Koreszytów, narodu strzegącego ołtarza bogini Kore w Mekce. W rodzie Fatmy były niegdyś kapłanki i „wielkie matki”, które spisywały arabskie święte pisma, od imienia bogini Kore nazwane Koranem. To Fatma podzieliła się z Seleną praktyczną mądrością Beduinek, od pokoleń przekazywaną z matki na córkę. Fatma potrafiła odczytywać znaki, rzucać uroki i przewidywać pogodę. Od niej Selena dowiedziała się, że niebo pokryte barankami wróży deszcz następnego dnia, a nisko latające nietoperze oznaczają, że nadchodzi burza. Poznała też daktylowe lekarstwo na ból głowy i nauczyła się robić tampony z papirusu, przydatne w okresie miesięcznej słabości. Dzięki Fatmie ogromnie wzbogaciła się zawartość skrzynki z lekami, a także umiejętności Seleny, wszystko to weźmie ze sobą i podzieli się tym z Andreasem.

Zbliżając się do namiotu, zamyślona Selena przycisnęła dłoń do piersi, czując pod suknią krzepiący kształt oka Horusa.

Choć dzielą nas niezmierzone przestrzenie, ukochany — zwróciła się w myślach do Andreasa — nadal należymy do siebie.

Selena i Wolf mieszkali w typowym namiocie Beduinów, był długi i niski, zrobiony z kozłej wełny i podzielony na część męską i żeńską. Męska część była osłonięta od wiatru i otwarta, by okazać gościnność, jak nakazywał obyczaj, stale płonęło w niej małe ognisko, na wypadek przybycia gości. W zamkniętej, kobiecej części Selena z Wolfem przechowywali swój skromny dobytek. Tam też sypiali na oddzielnych posłaniach.

Ubrani byli również w stroje Beduinów. Wolf nosił długą szatę, na to wierzchnie okrycie, na głowę zarzucał dużą chustę, którą przewiązywał rzemieniem. Kiedy w zimowe miesiące wędrowali z Beduinami od jednego źródła wody do drugiego, Wolf zasłaniał chustą większą część twarzy, tak że tylko błękitne oczy odróżniały go od innych mężczyzn plemienia.

Ciężkie to było życie. Zdani na łaskę i niełaskę pustynnego wiatru, piasku i skorpionów, żywili się tym samym co Beduini: kwaśnym mlekiem, serem i suszonymi owocami. Ale ta liczna rodzina zapewniała im poczucie bezpieczeństwa: nocą czarne namioty braci, kuzynów i bratanków Fatmy stały jeden obok drugiego, co stwarzało uczucie wspólnoty, przyjacielskiej więzi. Choć byli cudzoziemcami i swą jasną skórą oraz wzrostem odróżniali się od drobnych, smagłych i niedożywionych Arabów, choć czcili innych bogów i mieli inne obyczaje (Arabowie nie posiadali się ze zdumienia dowiedziawszy się, że ani Wolf, ani Selena nie byli obrzezani), zostali przyjęci do plemienia.

— Mam wieści! — odezwała się Selena, wchodząc do namiotu i zdejmując z twarzy zasłonę.

Wolf spojrział na nią znad siodła wielbłąda, które właśnie naprawiał, zobaczył rozpalone policzki, błyszczące oczy. Selena mówiła bez tchu, czasem się zająknęła, co zdarzało się tylko wtedy, gdy była bardzo podniecona lub przestraszona.

— Król Armenii, jak opowiadali tamci mężczyźni, żyje w pałacu przypominającym twierdzę i choć jest ogromnie bogaty, czuje się samotny, gdyż jego królestwo leży wysoko w górach, z dala od świata. Raz do roku król wysyła ludzi, którzy mają zebrać sztukmistrzów i wesołków i przywieźć do jego pałacu. Właśnie teraz, Wolfie, w Babilonie czeka siedem statków! Zabrać się na nie mogą ci, którzy potrafią zabawić króla Armenii. Statki są dokładnie strzeżone i będą podróżować pod opieką króla, a to znaczy, że żołdakom Lashy nie będzie wolno ich przeszukiwać! Wyruszają jutro w południe! Może się tam dostaniemy? Ty pokażesz im swój cudowny myśliwski taniec niedźwiedzia, a ja wzbudzę ich zdumienie, rozpaliwszy ogień przezroczystym kamieniem. Wolf zamyślił się.

— Czy statki przepływają koło Magny? — spytał.

— Tak, statki przepłyną przez Magnę — wyjaśniła Selena — bo leży ona nad rzeką, na szlaku do Armenii. Eufrat przecina Magnę, cyrkowe statki będą przepływać w cieniu samego pałacu Lashy. Ale będzie na nich mnóstwo ludzi — zapewniła Selena.

W tłumie najróżniejszych sztukmistrzów, w zbiorowisku dziwnych i egzotycznych ludzi, nikt ich nie zauważy.

— Magna graniczy z Cylicją — ciągnęła podniecona Selena. — Żołnierzom Lashy nie wolno tam wkroczyć, gdyż jest to wrogie królestwo. Za Cylicją leży Armenia. A z Armenii już bezpieczna droga do domu!

Selena podeszła do Wolfa, usiadła obok niego i ujęła go za rękę.

— Wolf — powiedziała cicho. — Musimy spróbować. Może to znak od bogów. Wyjście na zachód, które otworzy się tylko na moment, a potem znów się zatrześnie.

Wolf nie odrywał wzroku od jej ust. Nieodmiennie fascynowały go te pełne, zmysłowe, teraz trochę spierzchnięte wargi. Gdy wiele miesięcy temu Selena z poświęceniem, dla jego własnego bezpieczeństwa, uczyła go greckiego, którym mówiono na Wschodzie, wpatrywał się wtedy w te usta jak zahipnotyzowany. Pewnego wieczoru podczas lekcji, kiedy skupiał uwagę na jej wargach wymawiających obce słowa, Wolf pomyślał nagle, co by to było, gdyby ją pocałował.

Spojrzał na jej dłonie, trzymające jego ręce i po raz kolejny zadał sobie pytanie, czy rzeczywiście jej dotknięcie ma jakąś tajemną moc czy to tylko wytwór jego wyobraźni. Wyobraźni, a także wzbierającej w sercu, bolesnej miłości.

— Tak — odparł wreszcie, spoglądając jej w oczy. Była dla niego zagadką. Czasem dziecinna, czasem zaś pełna mądrości. — Sądzę, że możemy spróbować.

— Tak — szepnęła, ściskając jego ręce.

Siedzieli przez dłuższą chwilę, patrząc sobie w oczy, połączeni tym nagłym przyływem nadziei.

Jutro! — myśleli oboje, a ich serca biły mocno tym samym rytmem.

Wtem Selena puściła jego ręce i odwróciła głowę.

W Armenii pożegnam się z tobą na zawsze... — pomyślała.

Gardło jej się ścisnęło. Niełatwo będzie się pożegnać z tym mężczyzną, z którym dzieliła osiemnaście miesięcy wygnania, który brnął u jej boku przez wrogie terytorium, który niósł ją, gdy osłabła, który dawał jej ciepło w zimne noce pod gwiazdami. Wolf wysłuchiwał opowieści o jej przeszłości, o Antiochii i Andreasie, o jej niespełnionym przeznaczeniu, i sam opowiedział o swym domu nad Renem, o żonie i synu, których tam zostawił i do których gorąco pragnął wrócić.

Selena myślała o Wolfie z ogromną czułością, uważała go za swojego opiekuna, ale równocześnie sama czuła się jego opiekunką. Jego wygląd mógł zmylić. Pod barbarzyńską powierzchownością, pod szramami i wojowniczym instynktem kryło się czułe serce człowieka, który siedział przy ognisku i robił ze słomy lalki dla córek Fatmy. A kiedy uczyła go mówić po grecku, wydawał jej się naiwnym chłopcem, gorliwie pragnącym się przypodobać. I nagle dostrzegła w nim człowieka, jakim naprawdę był: czułego ojca i męża, kochającego opiekuna i żywiciela rodziny w odległych kniejach nad Renem.

Selena wiedziała, co kieruje Wolfem: powiedział jej, że jedyną rzeczą, dla której żyje, jest żądza zemsty.

W jego pamięci wyryła się twarz człowieka, rzymskiego oficera o wąskiej twarzy i okrutnym wejrzeniu, mężczyzny, który sprowadził wojsko do puszczy po to, by wyciąć w pień pobratymców Wolfa. Nigdy nie zapomni tej twarzy, obraz jej trzymał go przy życiu przez te osiemnaście miesięcy na pustyni, krzepił słabnące siły. W oczach Wolfa zapalał się groźny błysk, ilekroć wypowiadał imię owego rzymskiego oficera: Gajusz Watyniusz.

Słyszał, że tak się zwracano do tego człowieka na białym ogierze, widział śnieg na czerwonym pióropuszu jego hełmu. Gajusz Watyniusz, który zgwałcił i torturował Fredę, żonę Wolfa, który zniszczył bory, zrównał z ziemią osadę i zabrał spętanych mężczyzn, zostawiając zhańbione, bezbronne kobiety i dzieci. Wrócić do Germanii, odnaleźć Gajusza Watyniusza — oto był cel życia Wolfa.

Odsuwając się od niego, Selena przypomniła sobie noc sprzed osiemnastu miesięcy: spali na pustyni, tuląc się do siebie w lodowatych podmuchach wiatru. Wolf nagle szarpnął się i zaczął rzucać przez sen. Głośno krzyczał, wymachiwał ramionami, aż przerażona Selena objęła go i uspokajała, póki nie oprzytomniał, a imię Gajusza Watyniusza nie zamarło na jego ustach. Wtedy Wolf się odwrócił i zaszlochał.

Wcale się nie zdziwiła, uświadomiwszy sobie, że kocha Wolfa, był bowiem dobrym, łagodnym człowiekiem. Wiedziała, iż miłość do niego nie jest zdradą miłości do Andreasa, gdyż kochała Wolfa zupełnie inaczej. Do Andreasa czuła namiętność, jakiej nigdy nie poczuje do innego mężczyzny, Andreas obudził jej duszę, jej zmysły. Należała doń duchem i nie wątpiła, że wkrótce będzie należeć i ciałem. Natomiast uczucie do Wolfa było pełnym czułości połączeniem przyjaźni z miłością, tyle razem przeszli, on się troszczył o nią, a ona o niego. Selena pragnęła go przytulać i żeby on ją przytulał. Całować delikatnie, nie tak żarliwie i namiętnie, jak Andreasa, ale by okazać mu, jak bardzo jest jej drogi, by ukoić jego rany, pocieszyć jego nieszczęśliwą duszę.

Lecz Selena wiedziała, jak bardzo Wolf był oddany swojej żonie, Fredzie. Wierzył, miał nadzieję, że ona żyje. Freda towarzyszyła mu nieustannie, często mówił o żonie i o dniu, w którym do niej powróci, dlatego Selena zdawała sobie sprawę, iż Wolf nie chce dzielić swej miłości ani swego ciała między nią a inną kobietę. Selena szanowała to i choć od dawna pragnęła się z nim kochać, ukrywała swe pożądanie.

Rozpalając piecyk z węglem drzewnym, by rozproszyć chłód wiosennej nocy, Wolf odczuwał smutek. Nad Renem jest teraz wiosna, jego lud będzie

składał doroczne ofiary w świętych gajach. Będą śpiewać i pić miód z rogów podawanych z rąk do rąk, a sagi opowiedzą o dawnych dziejach plemienia.

Jakże dawno tam nie był! Został uwięziony na tej przeklętej ziemi, wśród ludzi, którzy nie znają Odyna, Thora ani Baldra, którzy nic nie wiedzą o obyczajach i wierzeniach jego ludu, ci obcy pustynni koczownicy nie mieli pojęcia o mroźnych olbrzymach, o wilkołaku Fernirze, przykutym łańcuchem w podziemnym świecie. Nie wiedzieli również, że chmury na niebie to włosy zabitego olbrzyma Ymira, a złoto — to łzy bogini Frei. Wolf ciągle nie pojmował, jak ci ludzie sobie radzą bez świętych drzew i zmarłych kobiet, które by nad nimi czuwały, nigdzie też nie można tu było znaleźć świętej jemioly.

Dom... Serce Wolfa przepelniała tęsknota. Brakowało mu drzew, śniegu, polowania na niedźwiedzia, towarzystwa braci i krewniaków. Brakowało mu spokojnej, mądrej miłości Fredy, jego żony.

Czasami Wolfa ogarniała rozpacz. Budował wtedy z kamieni ołtarzyk i modlił się do Odyna, odtwarzając w pamięci najazd na swoją ziemię. Przed oczami stawała mu twarz Gajusza Watyniusza, odżywał znów koszmar ostatniej nocy: płomienie, krzyki, obojętne spojrzenie rzymskiego dowódcy. I czuł, jak burzy się w nim krew, jak powraca dawna zaciętość. Zemścić się na Gajuszu Watyniuszu! A potem uświadamiał sobie, że owo wygnanie to jego wyrd, a co Beduini określali mianem kismetu — jego przeznaczenie, w ten sposób Odyn podsycił jego waleczność i przygotowywał do dnia zemsty. I Wolf stanie się narzędziem jego gniewu.

Ale wtedy nadchodziła noc, siadał obok Seleny przy ognisku i przypatrywał się, jak w jej oczach tańczą płomienie. Albo leżał na pościeli nie śpiąc i słuchając jej spokojnego oddechu. Chciał wówczas znaleźć się tuż przy niej, wziąć ją w ramiona i kochać.

Wolf miał wrażenie, że spędził z Seleną całe życie — chowając się w grotach, uciekając przed strażnikami, osłaniając się wzajemnie podczas pustynnych burz, kiedy rydwan Thora grzmiał na niebie. Jakże pragnął choć przez jedną noc wyrazić swą miłość. Nie to głębokie uczucie, jakim obdarzał Fredę, ale czułość, która w nim wzbierała, ilekroć Selena się do niego uśmiechnęła albo go dotknęła, chcąc uspokoić jego udręczoną duszę. Wolf jednak wiedział o greckim lekarzu z Antiochii, z którym Selena była po słowie, i o przeznaczeniu wiążącym jej duszę i ciało z Andreasem. Był przekonany, że Selena nie chciałaby się z nim kochać. Bał się zrobić pierwszy krok, by ona nie poczuła się dotknięta i rozczarowana.

Selena zakryła się welonem, czerń zasłoniła jej piękną młodą twarz i upodobniła do innych, bezimiennych kobiet pustyni. Umma, takie imię nadali jej Arabowie. Wolf wiedział, że ona lubi, gdy ją nazywa Seleną.

— Muszę iść porozmawiać z Fatmą — odezwała się. — Powiem jej o naszym planie wyjazdu o świcie.

Po wyjściu Seleny Wolf znowu się zamyślił.

Jutro trafią na statki zdążające do Armenii, a gdy już tam się znajdą, Wolf będzie mógł wrócić do swych lasów na północy. Znowu będzie z Fredą, o ile ona jeszcze żyje, i ze swym synem, Einarem, który zapewne osiągnął już wiek męski. A potem miecz Wolfa pokosztuje krwi Gajusza Watyniusza.

Wreszcie Selena wróciła do namiotu i nadeszła pora snu. Uzgodnili, że wstaną o wschodzie słońca, pożegnają się z Fatmą i plemieniem, po czym w strojach Beduinów podążą do Babilonu.

Selena zgasiała płomień w lampie wiszącej nad ich głowami i w ubraniu wsunęła się pod derki. To samo zrobił Wolf. Ich posłania dzieliło kilka stóp, oboje wiedzieli, że starczy wyciągnąć rękę, by dotknąć drugiego. Ale żadne z nich się nie poruszyło w przekonaniu, że to drugie nie chce tego. Leżeli w ciemnościach, nie śpiąc długo w noc i myśląc o dniu, w którym nadejdzie pora ich rozstania i każde ruszy z Armenii swoją drogą.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Mając oczy i uszy szeroko otwarte, trzymali się blisko siebie, kiedy wraz z tłumem wchodzili do miasta wielką bramą Isztar, niebiesko połyskującą w porannym słońcu.

Selenie, która знаła zaledwie skrawek Antiochii, a na Magnę mogła zaledwie rzucić okiem z wieży, Babilon wydał się przerażający, Wolf zaś, który widywał wielkie miasta wyłącznie ze statków z jeńcami i z karawan wiodących niewolników, nie wierzył własnym oczom. Kiedy w nadreńskich lasach zjawili się Rzymianie i budowali swe imponujące obozy, barbarzyńcom wydawały się one dziełem bogów.

Te mury! Spoglądał z podziwem na zakończone blankami, potężne bloki kamienne z przyporami, wyrastające majestatycznie nad brzegami Eufratu. Chyba zostały postawione przez olbrzymów!

Zadarł głowę i wyteżywszy wzrok dostrzegł sylwetki łuczników w strażniczych wieżyczkach.

Selena czujnie obserwowała ulice. Babilon znajdował się daleko od Magny, znała jednak potęgę gniewu Lashy. Królowa Magny, opętana nienawiścią do dwójki zbiegów, którzy zakłócili obrządek w świątyni i zmusili ją do wzięcia nowego męża, z pewnością zarzuciła swą sieć od horyzontu po horyzont. Selena i Wolf słyszeli o rozrzutności i lekkomyślnym trybie życia nowego króla, podobno za złoto zabrane z grobowca królowej budował sobie sztuczne jeziora i paradne łodzie. Nadzieje królowej na władanie w niebie zostały pogrzebane, Selena wiedziała więc, że Lasha nie zazna spokoju i nie będzie szczenić wysiłków, póki nie odnajdzie zbiegów.

Na ulicach Babilonu nie było żołnierzy z półksiężycem, znakiem Magny na tarczach ani rzymskich żołnierzy w czerwonych płaszczach, babilońscy żołnierze nosili dziwaczny strój Partów — stożkowate czapki, załamujące się do przodu, luźne bluzy i nogawice — ponieważ Babilon leżał na zachodzie owego potężnego imperium Wschodu. Starożytne miasto Hammurabiego



rozdzielało granice państwa Partów i Rzymu. Selena dziwnie się czuła, chodząc po mieście, w którym nie dostrzegało się rzymskiej obecności.

Mimo to było tam niebezpiecznie. Selena i Wolf w swoich strojach Beduinów, z pakunkami na plecach — charakterystyczną skrzynkę Seleny owinęli w kozłą skórę — trzymali się najbardziej zatłoczonych ulic w drodze nad rzekę, gdzie, jak twierdzili wędrowcy z Jerozolimy, stoi siedem statków przy świątyni Marduka. Ilekroć zobaczyli żołnierzy, szybko chowali się w cieniu arkad albo skręcali w boczną uliczkę. Arabskie szaty i zawoje nie mogły ukryć potężnej sylwetki Wolfa, górującej nad niskimi mieszkańcami Wschodu.

Selena trzymała się blisko Wolfa, rozglądając się na wszystkie strony i modląc, by zdołali bezpiecznie dotrzeć na statek. Lasha wyznaczyła hojną nagrodę za ich głowy. Każdy, kto sprowadziłby Selenę i Wolfa do Magny, byłby do końca życia bogatym człowiekiem. Dziewczyna instynktownie uniosła rękę i dotknęła oka Horusa, ukrytego pod suknią. Równocześnie wyczuła wiszący na rzemieniu amulet, który tego ranka wcisnęła jej Fatma przy pożegnaniu. Arabowie nazywali go shamrakh, była to trzylistna koniczyna symbolizująca trzy fazy bogini Księżycy i ponoć przynosząca szczęście.

W końcu Selena i Wolf minęli kolejne arkady i znaleźli się na olbrzymim placu. Stanęli jak wryci.

— Co to może być? — szepnęła Selena.

Wolf pokręcił głową, oszołomiony.

Plac rozciągał się wokół potężnej budowli. Wieża, która na tle jasnego nieba wydawała się ciemnobrązowa, nosiła nazwę Babel, czyli „bramy boga”, na placu wokół niej były setki ludzi. Gromadzili się przy ścianach, tłoczyli przy fontannie na środku placu, na każdym wolnym jego skrawku leżeli na matach, sianie, gołej ziemi. Hałas panował tam straszny, był to chóralny głos ludzkiego cierpienia.

Selena i Wolf wolno weszli na plac, rozglądając się dokoła. Widzieli mężczyzn opartych o ściany, płaczące dzieci, młode zawołowane kobiety. Trudno było się poruszać, tylu ludzi leżało pokotem na ceglanej nawierzchni placu: kobiety i mężczyźni, młodzi i starzy, we wszystkich stadiach różnych chorób lub kalectwa. Ci, którzy byli w stanie, chwytali brzegi szat Seleny i Wolfa, inni wołali słabym głosem o pomoc. Niektórymi opiekowała się jedna albo dwie osoby. Wielu chorych było jednak zupełnie samych.

Selena patrzyła szeroko otwartymi oczami.

Ludzie mieli na szyjach lub na chorym miejscu tabliczki, na których wypisane było imię i rodzaj schorzenia. Na jednej widniał napis: „Nebo z Uruk, gangrena”, na innej: „Szimaks z Babilonu, cieśla, któremu sztywnieje ręka”. Ci, którzy nie umieli pisać, rysowali, co im dolega: serce, wrzód, opuchlizna.

Najbiedniejsi po prostu owijali czoło, ramię lub nogę skrawkiem płótna.

Kiedy Selena i Wolf dotarli do fontanny, Selena zapytała, przekrzykując hałas:

— Cóż to za miejsce?

Za plecami usłyszała czyjś głos:

— Widać jesteście obcy w Babilonie, skoro nie znacie placu Gilgamesza. Słynie on na całym świecie.

Selena obejrzała się i zobaczyła postawnego, zamożnie odzianego mężczyznę w średnim wieku, który wstawał ze stołka. Podawał jakiś napój kobiecie, leżącej obok na kocach.

— To moja żona — wyjaśnił. — Czy możecie jej pomóc?

Selena popatrzyła na wychudzoną kobietę leżącą pod wiosennym niebem, tuż obok jakiś mężczyzna dotykał ropiejącego wrzodu na nodze.

— Dlaczego przywieśliście tu swoją żonę? — zapytała. — Kim są ci wszyscy ludzie?

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

— Jest chora! Gdzież indziej mógłbym ją zaprowadzić?

— Ale dlaczego tutaj, w to straszne miejsce? Dlaczego nie zabraliście jej do lekarza?

— Szukanie lekarza to bezbożność, a my, Babilończycy, jesteśmy pobożnymi ludźmi. Iść do lekarza, to znaczy sprzeciwić się woli bogów, dlatego sprowadzamy naszych chorych na plac Gilgamesza i modlimy się, by bogowie zesłali lekarstwo. Widzisz te tabliczki?

Wskazał na swoją żonę, na jej nabrzmiałym brzuchu leżała gliniana tabliczka z napisem: „Nazywam się Nanna i moje dziecko umarło w mym łonie”.

— Przyszliśmy tu w nadziei — mówił mężczyzna — że bogowie zesłają kogoś, kto sam kiedyś cierpiał na podobną dolegliwość i będzie znał lek.

Selena ponownie rozejrzała się po placu i zobaczyła to, czego przedtem nie zauważyła: przy chorych stali lub klęczeli ludzie, mówiąc coś, gestykulując, proponując lekarstwo. Ale nie przy wszystkich.

— Czy to nie to samo co przywołanie lekarza? — spytała.

— Nie, to coś zupełnie innego — odparł mężczyzna, nieco rozdrażniony.  
— Szukanie ludzkiej pomocy wbrew wyrokowi bogów to sprzeciwianie się ich woli. Ale tutaj bogowie sami udzielają przebaczenia.

— Za co?

— Za grzechy, to oczywiste.

Selena spojrzała na nieprzytomną kobietę.

— A wasza żona? Jaki grzech popełniła? Twarz mężczyzny pociemniała.

— Widać dziecko nie było moje, skoro bogowie je zabili. Selena popatrzyła na niego zdumiona.

— Powiadacie, że popełniła grzech cudzołóstwa?

— Wypiera się tego. Ale co innego może oznaczać śmierć dziecka w jej łonie?

Selena klękła przy kobiecie i delikatnie położyła dłoń na wydatnym brzuchu. Natychmiast wyczuła, że nie ma tam życia. Kobieta miała dziwnie chłodne i suche czoło, tętno jej biło jak szalone, z trudem oddychała. Selena zbadałaby ją dokładniej, ale w tych warunkach, wśród ludzi nie mogła tego zrobić. Wstała, dostrzegła, że Wolf wygląda na zaniepokojonego, i oświadczyła:

— Chciałabym jej pomóc. Jest pewien sposób. Mężczyzna przyjrzał jej się podejrzliwie.

— Jaki?

Selena się zawahała. Trzeba by zmiażdżyć i wydobyć dziecko. Nigdy jeszcze tego sama nie robiła, raz tylko, dawno temu, widziała, jak robi to Mera.

— Możesz pomóc mojej żonie czy nie? — warknął mężczyzna.

Nim Selena zdążyła odpowiedzieć, poczuła na ramieniu dłoń Wolfa. Posłał jej ostrzegawcze spojrzenie.

— Z pewnością to nie bogowie cię przysłali — oznajmił szorstko mężczyzna, mierzając pogardliwym spojrzeniem ich szaty Beduinów i tobołki.

— Nie dotykaj mojej żony. Idź stąd. Już cię nie ma.

Wolf odciągnął próbującą protestować Selenę. Tłumaczył, że trzeba iść nad rzekę. Robiło się późno. Ale Selena nie dała się wyprowadzić z placu. Ociągała się, patrząc na ludzi wokół siebie. Widziała mężczyznę ze świeżo zranioną nogą, próbującego stapać o kuli, kobietę pochyloną nad chorym dzieckiem, kilkunastoletniego chłopca, który siedział z wyciągniętymi nogami, oparty o fontannę, już martwy.

— Wolf, to przerażające — wyszeptała.

Popatrzył na słońce. Zbliżało się do zenitu. Wkrótce południe.

— Musimy iść — powiedział, biorąc ją znów za ramię.

— Proszę... — rozległ się cichy głosik obok. Selena zobaczyła dziewczynkę, ciągnącą ją za suknię. — Pomóżcie mojej mamie.

Selena poszła za nią. Uklękła przy młodej kobiecie, która skulona na boku leżała na macie. Trzymała się za brzuch i jęczała.

— Kiedy to się stało? — spytała Selena, dotykając rozpalonego czoła chorej.

— W środku nocy — odparła dziewczynka. — Znienacka. Tatuś przyprowadził nas tu, ale musiał iść do pracy. Proszę, pomóż mojej mamie.

Selena próbowała położyć kobietę na wznak, by móc zbadać jej brzuch.

— Krwawisz? — spytała, delikatnie naciskając podbrzusze.

Kobieta krzyknęła z bólu. Tak, krwawiła, a jej miesięczna dolegliwość ustała dwa miesiące temu. Selena przysiadła na piętach i zamyśliła się głęboko. Potem poprosiła Wolfa o swą skrzynkę, dał ją niechętnie, nie spuszczać wzroku ze strażników, stojących u wylotu prowadzących na plac ulic. Wlała do kubka odrobinę wina zmieszanego z opium i podała kobiecie. Wstała.

— Nie mogę jej pomóc — powiedziała cicho, tak by tylko Wolf usłyszał. — Dziecko rośnie poza macicą. Ona wkrótce umrze, ale dzięki opium przynajmniej nie będzie tak cierpieć.

Mężczyzna, który bacznie obserwował, jak Selena zajmowała się młodą kobietą, podciągnął się na kulach i przykuśtykał do niej. Na piersi miał tabliczkę z napisem: „Podagra”. Kiedy Selena sypała do jego kubka odrobinę sproszkowanego ziemowitu jesiennego, sprawdzonego środka na podagrę, zaczepił ją inny mężczyzna, na jego uchu wisiała gliniana tabliczka z napisem: „Gruchnę”. Nim jednak zdążyła go zbadać, za ramię złapała ją otyła kobieta, prosząc o lek na bóle w stawach.

Patrząc, co się dzieje, i widząc, że Selenę z jej skrzynką zaraz opadnie cały tłum chorych, Wolf chwycił ją za rękę i odciągnął dalej. Już miał pokazać jej partyjskich żołnierzy, patrolujących otoczenie placu, gdy zatrzymał ich mężczyzna odziany w kosztowne szaty, z pierścieniami na palcach.

— Proszę, zbadaj moją żonę — odezwał się, wskazując siedzącą w fotelu matronę, otoczoną licznym gronem, zapewne rodziną. — Cierpi na bóle głowy — mówił z niepokojem — i kątem lewego oka widzi gwiazdy.

Selena wiedziała, co to znaczy: demon złożył swe jajo w mózgu kobiety. Tego Selena nie zdołałaby wyleczyć, tu potrzebny był Andreas. Andreasie!

— Seleno — spokojnie, lecz stanowczo upomniał ją Wolf, a kiedy na niego spojrzała, zauważyła, że wpatruje się w dwóch strażników, którzy najwyraźniej zaczęli się nimi interesować.

Wolf szybko zawinał skrzynkę w kozłą skórę, zarzucił ją sobie na ramię i wziął Selenę za rękę. Nie uszli daleko, gdy Selena usłyszała, jak przechodzień radzi wywar z oleandra mężczyźnie, na którego tabliczce widniał napis: „Wrzody”.

— Nie! — zaprotestowała instynktownie. — Oleander to trucizna!

Wtedy przed Seleną stanęła piękna młoda dziewczyna ubrana w strój prostytutki ze świątyni i z pośpiechem rzekła:

— Moja siostra od czterech dni rodzi. Leży tam, pod arkadą.

— Nie — uciał Wolf, widząc, że strażnicy powoli kierują się w ich stronę, nie spuszczać z nich wzroku. Ciągnąc Selenę za sobą, szepnął: — Pewno nic jej nie jest. Ale zobaczyła twoją skrzynkę i widziała, jak zajmowałaś się matką tej dziewczynki.

Selena rozejrzała się i zobaczyła, że dwóch partyjskich żołnierzy wyraźnie toruje sobie drogę w ich kierunku. Byli już obok pobożnego Babilończyka w pięknych szatach, który klęczał przy żonie z twarzą wtuloną w jej napuchnięty martwy brzuch.

— Powie im, że nie jesteśmy z Babilonu — rzeki Wolf.

— Powie, że zastanawiałaś się, jak pomóc jego żonie. A oni z pewnością o nas wiedzą i mają opis twojej skrzynki.

Zdając sobie sprawę, że Wolf ma rację, Selena chwyciła mocniej swój tobolek i przyspieszyła kroku, choć ludzie wyciągali do niej ręce ze wszystkich stron. Wolf obejrzał się przez ramię i zobaczył, że strażnicy, wypytawszy Babilończyka, ruszyli szybkim krokiem za nimi. Rozejrzał się po placu. Od wschodniej strony prowadziło doń kilka wąskich uliczek — ciemnych krętych zaułków, tonących w cieniu zasłon i balkonów. Gdyby udało im się dopaść tej płataniny uliczek i pędzić co sił w nogach, może zgubiliby strażników i dotarli na statek, gdzie już byliby bezpieczni.

Przedzierając się przez tłum siedzących i leżących ciał, Selena jeszcze żywiła nadzieję, że może się mylili, że strażnicy przypatrywali im się wyłącznie z ciekawości, a plac przemierzali w zupełnie innym celu.

Lecz Babilończyk mógł im powiedzieć, że ten mężczyzna w stroju Beduina miał dziwny akcent i oczy koloru nieba...

— Stać! — rozległ się okrzyk za nimi. Wolf i Selena obejrzelili się przez ramię.

— Ej, wy dwoje! Stać — krzyczeli strażnicy, a jeden z nich wyciągnął z kołczana strzałę.

— Tędy! — syknął Wolf. Rzucili się w głąb najbliższej uliczki.

Słyszając dalsze gniewne okrzyki, zaczęli biec. Kluczyli między straganami, fontannami, pod starymi arkadami. Za sobą słyszeli dudnienie podkutych sandałów żołnierzy, którzy również ruszyli biegiem. Na widok pędzących Beduinów ludzie usuwali się z drogi, czasem obrzucając ich wyzwiskami, czasem zachęcając do biegu. Kurczaki i dzieci czmychały im spod nóg, przewrócił się stragan z daktylami. Na zakręcie Selenie wymknął się z rąk i upadł na ziemię tobołek. Chciała po niego zawrócić, ale Wolf pociągnął ją dalej. Długa szata przeszkadzała w biegu, zebrała ją w dłonie i pędziła z odsłoniętymi nogami. Wolfowi zsunął się z głowy czarny zawój i jasne włosy rozsypały się niczym aureola. Strażnicy nadal krzyczeli, by się zatrzymali, ale Selena i Wolf biegli dalej klucząc i pochylając się, przesadzając murki, rozrzucając po drodze barylki i kosze. Jednak strażnicy, lepiej znający miasto niż dwójka uciekinierów, bardziej od nich sprawni i przyzwyczajeni do ścigania, byli coraz bliżej.

Selena wpadła za Wolfem w jakieś drzwi, gdy koło jej głowy świsnęła strzała, wbijając się w drewnianą futrynę. Wbiegli do czyjegoś ogrodu, przeraziwszy rodzinę, która właśnie zasiadała do południowego posiłku, przesadzili mur, przemknęli przez inny ogród i znaleźli się znowu w jeszcze jednej krętej uliczce. Wolf nadal ścisnął skrzynkę, ale zgubił tobołek ze swym dobytkiem. Szata Beduina płątała mu się wokół nóg, parę razy się potknął. Gdy Selena się przewróciła, pociągnął ją, nie zwalniając kroku.

Druga strzała przemknęła tuż nad ramieniem Wolfa. Trzecia musnęła welon Seleny. Kiedy wreszcie dopadli do rzeki, Wolf stanął, by rozejrzeć się po ruchliwym porcie. Widząc, jak ostatni armeński statek odbija od brzegu, mocniej chwycił Selenę za ramię i ruszył pędem.

Byli już przy trapie, kiedy Selenę trafiła strzała. Dziewczyna krzyknęła i upadła, chwytając się za udo.

— Pomóż! — wykrztusiła. — Nie pozwól, żeby mnie zabrali! Muszę... uciec...

Wolf złamał strzałę, pozostawiając grot w udzie, potem mocno objął Selenę w pasie i biegi po trapie. Strażnicy byli tuż za nimi. Statek odbijał od brzegu i w zamieszaniu nikt na pokładzie z początku nie zauważył, co się dzieje. Wolf wrzucił na pokład skrzynkę owiniętą w kozłą skórę i pomógł wejść Selenie, kiedy sam wskakiwał na pokład, jego łydkę drasnęła strzała.

Zdjęto trap i statek odbił od brzegu.

— Stać! — ryknęli strażnicy. — To rozkaz straży cesarskiej!

Widząc ich mundury i łuki gotowe do strzału, kapitan pośpiesznie kazał rzucać liny, a z nabrzeża wyciągnęły się ręce, by je chwycić i przyciągnąć statek do brzegu.

Selena i Wolf, na razie ukryci w tłumie, z przerażeniem patrzyli, jak z powrotem wyciąga się trap.

Wolf podjął błyskawiczną decyzję: zdarł z siebie czarną szatę i zaczął zdejmować suknię z Seleny. Kiedy tkanina zawadziła o tkwiący w jej udzie kikut strzały, Selena krzyknęła. Wszyscy na pokładzie odwrócili się ku nim. Gapili się na strzałę, patrzyli jak Wolf ściąga ze skrzynki z lekami koźlą skórę i wraz z ich czarnymi szatami rzuca w głąb otwartego luku. Potem chwycił Selenę na ręce i pobiegł na pokład od strony rzeki.

Cyrkowcy, którzy sami nieraz uciekali przed prawem, nagle uświadomili sobie, co się dzieje, i zasłonili zbiegów. Na pokładzie zrobiło się tłoczno. W panującym chaosie strażnicy zostali odcięci od uciekinierów. Para karłów pomogła Wolfowi opuścić Selenę do wody, kuglarz podał skrzynkę. Monstrualnie gruba kobieta z małpką na ramieniu stanęła w przejściu i zasłoniła ich przed oczami strażników.

Znalazszy się w wodzie Selena z Wolfem przywarli do burty, a hebanowa skrzynka podskakiwała między nimi na fali.

Para akrobatów, widząc rozpaczliwe położenie tych dwojga w wodzie, przewieszając się nad burtą i wzajemnie trzymając, odczepiła przywiązaną do statku małą okrągłą tratwę, która z pluskiem wpadła do wody. Wolf, podziękowawszy gestem akrobatom, przytrzymał tratwę, po czym posadził na niej Selenę wraz z jej skrzynką. W chwilę potem ze statku sfrunęła i spadła na tratwę jaskrawoczerwona, zwinięta peleryna. Wolf, zanurzony w wodzie za tratwą, z całej siły pracował nogami, by oddalić się od statku.

Marynarz z bocianiego gniazda dawał Wolfowi znaki, że sztukmistrze będą odwracać uwagę strażników tak długo, jak tylko im się uda.

Wolf z całych sił pchał tratwę, nie spuszczać wzroku ze statku, póki nie skryli się za trzcinami. Tam zatrzymał się na chwilę, by spojrzeć na Selenę, która leżała ściskając udo, i przykrył ją czerwonym płaszczem. Potem znów popłynął — byle dalej od Babilonu.

Jeszcze nim wyprowadził tratwę za załom rzeki, Wolf obejrzał się przez ramię i zobaczył, jak tłum na pokładzie wymachuje rękami, wskazując północ. Z pewnością tamci mówią strażnikom, iż on i Selena uciekli w przeciwnym kierunku. Wolf wciągnął się na tratwę i leżał wyczerpany, podczas gdy nurt rzeki niósł ich na południowy wschód.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Zapadał zmierzch, gdy Wolf uznał, że są na tyle bezpieczni, aby się zatrzymać, i przywiązał tratwę w wysokich trzcinach. Inne tratwy na rzece, oświetlone latarniami, też zawijały na noc do brzegu. Wolf z kamieni i gliny zrobił prowizoryczne palenisko i nazbierawszy patyków, rozpałił ogień za pomocą krzesiwa. W skrzynce Seleny znalazł małą glinianą lampkę, nie większą niż jego dłoń. Miała knot z płótna i była napełniona oliwą. Ją także zapalił.

Selena leżała, jęcząc cicho. Wolf już wcześniej chciał zatrzymać tratwę i obejrzeć ranę, ale dziewczyna nalegała, by się nie zatrzymywać i odpłynąć przed zmierzchem jak najdalej od Babilonu. Po tylu godzinach płynięcia z wartkim nurtem rzeki od Babilonu dzieliło ich już wiele mil, ale brzegi mogły być patrolowane przez żołnierzy. Jedynie w ciemnościach i w gęstwinie trzciny byli chwilowo bezpieczni.

Wolf przyklęknął nad udem Seleny.

Kawałek złamanej strzały sterczący w białej skórze nie wyglądał groźnie, ale Wolf wiedział, że trzeba go wyjąć, i to szybko. Ulżyło mu nieco, gdy zobaczył jasnoczerwoną krew wokół rany, „czarna krew” oznaczałaby, iż grot był zatruty. Teraz Wolf musiał zdecydować, jak go wydobyć.

Gdyby był u siebie w domu, określiłby najpierw magnesem, w którą stronę jest skierowany grot. Ale w skrzynce Seleny nie znalazł magnesu. Następnie, chcąc sprawnie wyciągnąć grot, przywiązałby ułamany koniec strzały do końskiej uzdy i spłoszył wierzchowca, by ten szarpnął łbem, albo też przywiązałby strzałę do naciągniętej gałęzi drzewa, po czym by ją puścił. Ale



tutaj, na tym bagnistym brzegu, nie było ani koni, ani drzew. Wolf nie miał wyboru — musiał wydobyć grot własnymi rękami.

Selena otworzyła oczy i dostrzegła na twarzy Wolfa niepokój. Wiedziała, o czym myśli. Można to było zrobić tylko w jeden sposób.

— Przepchnij ją — szepnęła. — Wbij strzałę do końca i wyciągnij z drugiej strony. To jedyne rozwiązanie...

Wolf położył rękę na jej czole i kazał spokojnie leżeć. Musiał pomyśleć. Ten sposób był ryzykowny, wiedział o tym. Grot mógł przeciąć nerw i na zawsze odebrać władzę w nodze. Mógł też przebić dużą tętnicę i dziewczyna szybko wykrwawiłaby się na śmierć.

Wolf zajrzał do skrzynki. W swoich lasach zbadałby ułożenie grotu twardą sosnową igłą. Tu wybrał długą sondę ze srebra. Ale najpierw uniósł głowę Seleny i dał jej do wypicia opium. Kiedy nie mogła już więcej przełknąć, ułożył ją możliwie najwygodniej na boku, przykrył czerwonym płaszczem, żeby jej było ciepło, a do ręki wcisnął malutki posążek Izydy.

Wzywając w duchu Odyna, by dał mu mądrość i siłę, pochylił się nad udem Seleny i zaczął szukać haczyków grotu. Ledwo sonda dotknęła rany, Selena krzyknęła. Wolf próbował dać jej więcej opium, ale nie mogła przełknąć. Jej oddech był płytki, urywany, twarz miała wykrzywioną z bólu.

— Szybko! — wyszeptała. — Wbij ją!

Wolf mocniej ścisnął sondę w drżącej dłoni. Tratwa kołysała się na wodzie, wokół zapadała noc, a on jeszcze raz zastanawiał się, jaką decyzję podjąć. W końcu uznawszy, że sposób Seleny jest zbyt niebezpieczny i zbyt bolesny, wyjął ze skrzynki zwinięty bandaż i wsunął go Selenie między zęby. Teraz, jeśli krzyknie, głos będzie przytłumiony.

Rozpoczął sondowanie rany. Nieraz widział, jak to się robi, kiedyś nawet sam spróbował. Ale wtedy była tam ich znachorka ze swymi ziołami i kadzidłem, była chata z drewnianych bali, ogień i łoża wysłane futrami. Były kapłanki Wielkiej Matki, które odpędzały złe duchy, i nieograniczony zapas uśmierzającego ból miodu. Tu Wolf był sam wśród zapadających ciemności, musiał działać przy świetle małej lampki, klęcząc na chybotliwej tratwie i modląc się, by patrolujący żołnierze nie usłyszeli krzyku Seleny.

Po czterokrotnym sondowaniu określił ułożenie haczyków grotu, zaznaczył je na białej skórze kroplami krwi Seleny. Potem przysiadł na piętach i przyjrzał się ranie.

Tylko w jeden sposób mógł wyjąć grot, nie rozdzierając przy tym ciała jeszcze bardziej, ale do tego potrzebne było orle pióro.

Jak gdyby wierząc, że ptak może się zjawić, Wolf powiódł wzrokiem po niebie. Kiedy wzeszły gwiazdy? Był tak zaprzątnięty Seleną, że nie zauważył, kiedy wiosenny dzień zmienił się w czarną noc. Ciszę przerywał jedynie skrzyp desek i odgłos wody, uderzającej o tratwę. Wzdłuż brzegu, w górę i w dół rzeki, schroniły się w trzcinach inne łodzie, dobiegał z nich śmiech, pojedyncze słowa, brząkanie strun.

Wolf spojrzął na Selenę. Oczy miała zamknięte. Ciężko dyszała przez bandaż trzymany w ustach. Jeszcze raz zajrzał do skrzynki i przeszukał jej zawartość. Widział dawniej, jak Selena korzystała z wielu przedmiotów, udzielając pomocy któremuś z Beduinów albo wymieniając się sekretami z Fatmą, a mimo to większość tych rzeczy stanowiła dla niego zagadkę.

Gorączkowo szukał dalej, biorąc do ręki różne przedmioty i odkładając z powrotem: przezroczysty kamień, słoiki z maściami i balsamami, igły z ości, woreczki suszonych ziół. Wyrwał trzinę i przełamał ją, ale okazała się zbyt świeża i strzępiła się. Ogarniał go coraz większy niepokój. Potrzebował czegoś okrągłego, długiego i pustego w środku, tak by nadzieją się na to końce grotu. Jeszcze raz zajrzał do skrzynki.

I wtedy zobaczył. Pod wieczkiem skrzynki było przyczepione pudełko z tabliczkami do pisania. Otworzył je i z ogromną ulgą ujrzał przeznaczone do pisania pióra. Wybrał jedno z nich, wyglądało na gęsie. Przeciął je wzdłuż skalpelem i miał już dwie długie, zaokrąglone połówki. Teraz tylko się modlił, by okazały się wystarczająco mocne.

Zanim zajął się raną, zwilżył zwitek bandaża opium i włożył go Selenie między wargi. Patrzyła na niego z przestraszeniem.

— Zaraz ją wyjmę — powiedział miękko. Słabo pokręciła głową.

— Nie zrobię tak, jak mnie prosiłaś, Seleno — rzekł stanowczo. — Nie przebiję ci nogi na wylot, ale zrobię tak, jak mnie nauczył ojciec. Będzie bolało, ale to sposób szybki i czysty.

Spojrziała mu w oczy, przez chwilę mierzyli się wzrokiem, wreszcie skinęła głową.

Wolf klęknął nad jej udem i przysunął bliżej lampkę. Koniec strzały ledwo wystawał, gdyby miał go jakoś przepchnąć, musiałby rozciąć nogę Seleny, by się do niego dostać.

Poruszał się bardzo ostrożnie, jakby się skradał do motyla siedzącego na liściu. Zanurzył w ranie czubek jednej z połówek pióra, aż wolno zniknęła pod skórą. Selena jęknęła i próbowała się wyrwać. Wolf przytrzymał jej nogę, potem podobnie jak pierwszą wsadził drugą połówkę pióra, wsuwając ją jak futerał na haczyk grotu.

Przerwał na chwilę, by otrzeć spocone czoło. Noc robiła się chłodna, ale Wolf, odziany tylko w przepaskę na biodrach, cały się spocił. Popatrzył na Selenę. Znowu zamknęła oczy, twarz miała bladą, wilgotną. Drżała pod czerwonym płaszczem, choć to tylko jej ranne udo było narażone na chłód nocy.

Przyglądał się trzem końcom sterczącym z rany Seleny: złamanej strzały i dwóch połówek dutki. Jeśli nie stracił wprawy, jeśli dobrze włożył dutki, a jego ręka będzie pewna, Selena odczuje tylko krótki ból i nie będzie dodatkowych obrażeń.

Wzywając na pomoc Odyna i jego świętego kruka, Wolf delikatnie położył ręce na chłodnym ciele Seleny, parę razy głęboko zaczerpnął tchu, następnie lewą ręką przytrzymał połówki pióra, a prawą ostrożnie chwycił końcówkę strzały.

Selenie głowa opadła do tyłu, bandaż wypadł jej z ust. Jednym szybkim szarpnięciem Wolf wyrwał strzałę. Selena krzyknęła.

Natychmiast nakrył dłonią jej usta i wziął ją w ramiona. Łkała mu na piersi, a on kołysał ją, gładził po głowie i uspokajał, że już po wszystkim, równocześnie nasłuchując i przeszukując ciemności czujnym okiem wojownika.

Nad rzeką rosła młoda zielona trawa, Wolf zebrał garść, zgniótł i przyłożył do rany Seleny, mocno zawijając bandażem. Wiedział z doświadczenia, że zielone liście zapobiegają rozkładowi ciała. Potem zanurzył w wodzie płótno i przycisnął do warg dziewczyny. Zemdlała, kiedy trzymał ją w ramionach, a teraz głęboko spała.

Strzała wraz z grotem wyszła gładko, rana lekko krwawiła, ale doświadczenie uczyło Wolfa, że mogą jeszcze pojawić się komplikacje. Rany po strzałach, ze względu na swą głębokość, były najbardziej narażone na infekcje i często dochodziło do niewidocznego zakażenia w głębi ciała. Mogła wystąpić gorączka, nawet śmiertelna, groziło też, że noga zacznie sinieć od stopy, co oznaczałoby konieczność amputacji. Wolf długo siedział przy dziewczynie, często dotykając jej czoła, nasłuchując oddechu, sprawdzając opatrunek, a gdy już księżyc zaczął zachodzić, położył się na boku przy Selenie, by spała w ciepłe jego ramion.

\* \* \*

Kiedy po pewnym czasie Wolf się obudził, jeszcze nie świtało. Kilka razy zamrugał powiekami, cały zdrętwiał. Wtedy poczuł ciężar Seleny leżącej w jego ramionach. Dotknął jej niespokojnie i z ulgą stwierdził, że bandaż jest

suchy. Selena spała głęboko, jej oddech był regularny, ale skóra nienaturalnie chłodna i wilgotna, jakby śmierć położyła już na niej swoje piętno.

Czując nowe zagrożenie, Wolf zaczął mocno rozcierać jej ramiona i próbował ogrzać ją oddechem. Selena się nie ruszała. Spała głębiej niż przypuszczał, zbyt głęboko. Ogarnęło go przerażenie.

Czyżby dal jej za dużo opium? Czyżby w pośpiechu i z niewiedzy podał jej śmiertelną dawkę? Zabił ją własnymi rękami?

Nie możesz umrzeć! — krzyczał w duchu, biorąc ją w ramiona i kołysząc. — Nie po to przebyliśmy taki szmat drogi, by rozdzieliła nas śmierć!

Łza spłynęła mu po policzku i kapnęła na jej twarz, bladą niczym marmur, niepokojąco nieruchomą.

Nie odchódź! — wołał do jej uciekającej duszy. — Nie zostawiaj mnie!

Wreszcie w rozpaczy pochylił się nad Seleną i przycisnął usta do jej warg. Były zimne, bez życia, ale nadal oddychała. A póki oddycha, jest jeszcze nadzieja.

Odynie! — wołał w myślach. — Izydo, pomóżcie nam...

Poczuwszy chłodny powiew porannego wiatru, uniósł głowę i na blednącym horyzoncie, nad trzcinami zobaczył jaśniejącą na wschodzie Wenus. Udręczony Wolf dostrzegł w niej znak nadziei.

# KSIĘGA PIĄTA

Persja

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

— Na wszystkich bogów! — zawołały akuszerki, odsuwając się od łoża księżniczki. — Dziecko wyszło na świat wraz z jej wnętrznościami! Widzicie je w środku?

Doktor Czandra stał w kącie, w zadumie gładząc gęstą brodę. Zwykle nie odbierał porodów, przyszedł tu na rozkaz króla, ponieważ ta młoda księżniczka była jedną z ulubionych małżonek władcy. Przypomniawszy sobie o tym i widząc, że oglupiałe akuszerki kręcą się wokół łoża niczym pszczoły przy rozbitej barci, doktor Czandra podszedł bliżej.

Jego czarne migdałowe oczy spojrzały bystro na noworodka, leżącego na prześcieradłach w przezroczystej powłoce. Lekarz wyciągnął brunatny palec i przebił błonę. Wylała się woda. A więc to nie wnętrzności księżniczki, ale pęcherz płodowy dziecka — szczęśliwy znak! Wszyscy odetchnęli z ulgą.

Akuszerki, radośnie pokrzykując, z powrotem przysunęły się do łoża, by kończyć swoje zabiegi.

Przywróciwszy spokój w królewskiej komnacie, doktor Czandra bez słowa skinął kobietom na pożegnanie i pospiesznie wyszedł. Obiecał królowi, że natychmiast po przyjściu na świat dziecka powiadomi astrologa, by ten mógł ułożyć horoskop.

Doktor Czandra — niski pulchny człowieczek w cytrynowożółtej jedwabnej szacie i turbanie — przemierzał korytarze pałacu w głębokiej zadumie. Co to mogło oznaczać? — myślał. Nigdy jeszcze, przez tyle lat, nie widział podobnego zjawiska. To leżało przed nim niczym różowa krewetka zamknięta w przezroczystej perle — noworodek w pęcherzu płodowym. Nigdy nie zapomni tego widoku.

Słońce dawno już zaszło i zapadła noc, ale doktor Czandra, przechodząc przez królewski park widział, jak na wierzchołkach pałacowych wież odbija się słońce, które dawno zniknęło za horyzontem. Kopuły i minarety rysowały się majestatycznie na tle nieba, zaczynały migotać gwiazdy, a mimo to owe wysmukłe, sięgające chmur wieże nadal świeciły blaskiem dnia.

Gdyby wspiąć się na te imponujące iglice, co by się zobaczyło? — dumał doktor Czandra. — Jak daleko sięgnąłby jego wzrok? Dokąd zdołałaby

dotrzeć jego dusza? Oto kolejny niezgłębiony sekret. Ten dzień był pełen niepojętych zjawisk.

Narodziny książątka w pęcherzu płodowym wcale nie były pierwszym z nich. Dzień zaczął się od zdumiewającego oświadczenia astrologa tuż po wschodzie słońca, od tej chwili doktor Czandra — operując chorych, odbierając poród księżniczki, a nawet w czasie przerw w pracy nad manuskrytem o leczeniu ran — pozostawał pod wrażeniem tych niezwykle słów.

Dotarł do obserwatorium, gdzie już na niego czekał Chińczyk, służący astrologa. Doktor Czandra nigdy nie zdołał się przyzwycząić do owego okropnego wynalazku Nimroda. Jako że astrolog nie znosił, gdy mu przeszkadzano w pracy, do jego zazdrośnie strzeżonej wieży można się było dostać jedynie w drewnianym pudle, które oderwało się od ziemi, gdy Chińczyk pokręcił korbą. Unieśli się w górę, niebezpiecznie kołysząc na wietrze. Doktor Czandra zamknął oczy i z całej siły zacisnął pięści. Wreszcie Chińczyk zabezpieczył windę, by nikt z dołu nie zdołał jej ściągnąć i nieproszony wjechać na górę (jakiż szalenciec chciałby to uczynić — pomyślał lekarz), po czym poprowadził doktora Czandrę po równie niebezpiecznej, wiszącej kładce, z której rozciągał się widok na rozległy pałac i otaczające go wzgórza, w końcu dotarli do masywnych drzwi oznaczonych mistycznymi symbolami.

Chińczyk wprowadził doktora Czandrę do okrągłej komnaty, skłonił się i bezszelestnie zniknął.

Było to niepodzielne królestwo astrologa, w którym mieszkał on od niepamiętnych lat. Ale ten duży, okrągły kamienny pokój nie był najwyższym pomieszczeniem w wieży Nimroda, jej szczyt był o pięćdziesiąt dwa stopnie wyżej, gdzie pod kopułą znajdowało się prastare obserwatorium. Właśnie tam był teraz Nimrod, wśród swoich gwiazd, wsłuchany w ich bezsłowną pieśń.

Hinduski lekarz wznosił oczy ku złotej kopule wysadzanej drogimi kamieniami, przedstawiającymi gwiazdy, i w duchu z niecierpliwością próbował ściągnąć Nimroda na ziemię. Astrolog potrafił godzinami patrzeć w gwiazdy, dla niego liczyło się wyłącznie niebo, a znał się na nim jak nikt, był bowiem Danielem z Persji, ostatnim z rodu świętych Danitów, wywodzących się z czasów Nabuchodonozora, kiedy Danielowie (od Dan-El, starożytnego bóstwa fenickiego) byli prorokami. Nimrod nie był prorokiem, ale i tak potrafił przewidzieć przyszłe wydarzenia, gdyż są one zapisane w gwiazdach. W pałacu nie podejmowano żadnej decyzji bez uprzedniej konsultacji z Nimrodem. Nie zawarto najmniejszej transakcji, nawet nie napoczynano

amfory z winem, nie upewniwszy się pierwej u Nimroda, czy gwiazdy temu sprzyjają. A astrolog rzadko się mylił, jego przepowiednie prawie zawsze się sprawdzały. Dlatego teraz doktor Czandra niespokojnie krążył po okrągłej komnacie, chciał się dowiedzieć czegoś więcej o tej niewiarygodnej przepowiedni, którą ogłosił Nimrod dzisiejszego ranka: Że ja, spędziwszy w tych murach trzydzieści sześć lat, wyruszę wreszcie w długą podróż, z której już nie powrócę!

\* \* \*

Tymczasem na górze Nimrod wznosił oczy ku niebu i poruszał bezgłośnie wargami, odmawiając swe modlitwy. Cały dzień, od wczesnego ranka, spędził mierząc i licząc, ustalając aspekty i ascendenty, określając bieguny i koniunkcje planet. Pisał i rysował, aż zużył trzy pióra, teraz u jego stóp, niczym październikowe liście, leżały zwoje welinu pokryte trygonami i sekstylami, kolumnami liczb, symbolami gwiazd i planet, czytał je ciągle na nowo, najpierw cicho, potem szeptem, w końcu na głos, jakby chciał, by uszy przekonały go o tym, czemu oczy nie chciały wierzyć. Tak niepokojące było to przesłanie.

Dlatego teraz się modlił. Modlił się o potwierdzenie, o jakiś znak, że się pomylił. Bogowie jednak nie zwracali uwagi na to, co wypowiadały usta, jedynie serce zdołałoby do nich przemówić. A serce Nimroda uparcie milczało.

Gorąco pragnął uwierzyć. Rozpaczliwie pragnął uwierzyć, tak jak już raz się stało wiele lat temu — tak wiele, że już nie pamiętał kiedy — gdy głęboko, niemal fanatycznie duszą i ciałem czcił bogów. Ale potem, sam nie wiedział kiedy, po jesieniach i zimach, które spędził na tej wysokiej wieży tak blisko kosmosu, podczas gdy brzęczący ludzki rój w pałacu poniżej zajmował się swoimi przyziemnymi sprawami, płomień wiary Nimroda w bogów zamigotał i zgasł. Nimrod zrobił to samo co wielu pobożnych (i obawiających się całkowicie odrzucić bogów) mężów przed nim: zmienił wiarę w badania naukowe. Zaczął kolekcjonować i studiować bogów, jakby to były motyle czy kamienie. Wtedy jednak odkrył coś przerażającego: im więcej o nich wiedział, tym bardziej pusta stawała się jego wiara. Póki nie nadszedł dzień... Kiedy to było? Miał wtedy pięćdziesiąt lat? Siedemdziesiąt? W ten dzień Nimrod po raz kolejny wspiał się na swoje pięćdziesiąt dwa stopnie, a każda cząsteczką jego starego znużonego ciała krzyczała: oni nie istnieją!

Jego modlitwa zamarła. Wargi przestały się ruszać. Nimrod opuścił drżące dłonie i wpatrywał się w gwiazdy, jak człowiek pierwotny w ogień, który pierwszy raz rozniecił. Tylko one się liczyły. Gwiazdy. Tylko one istniały, te

wolno obracające się kule światła, rozrzucone na czarnym sklepieniu nieba, nim jeszcze powstała ziemia. Nimrod niezachwianie wierzył, że to właśnie one rządziły losem człowieka, a nie wymyśleni bogowie. Gwiazdy i konstelacje kierowały przyptywami i odpływami śmiertelników. Nie te małe kamienne statuetki, które wystarczyło upuścić, a roztrzaskiwały się na kawałki. To gwiazdy są boskością i to właśnie je czcił astrolog Nimrod.

Dotarłszy jakiś czas potem na dół krętych schodów, oparł się o kamienny mur, łapiąc oddech. Do piersi niczym dziecko przyciskał swe zwoje i wyliczenia. Zamknął oczy i westchnął. Jego przekleństwem była umiejętność poznawania przyszłości, a to, co właśnie odkrył, sprawiło mu ogromny ból. Poprzysiągł, że nie powie swojemu staremu druhowi, co wyczytał w gwiazdach, i tak za dużo już wyznał dzisiejszego ranka. W okrągłej komnacie czeka na niego doktor Czandra, pragnący poznać bliższe szczegóły. Oczywiście będzie udawał, że przyszedł tu powiadomić go o narodzinach książątka, ale Nimrod za dobrze znał starego przyjaciela. Czandra miał zamiar dowiedzieć się czegoś więcej, a Nimrod nie miał zamiaru powiedzieć.

Westchnąwszy raz jeszcze, wyprostował się i pomyślał smutno, że gwiazdy widać żartują sobie ze starca, o którym chyba zapomniała śmierć.

Lekarz i astrolog skłonili się sobie ceremonialnie, choć od trzydziestu lat byli przyjaciółmi. Ta dwójka różniła się od siebie jak północ od południa. Pulchny lekarz o oliwkowej cerze i gęstej brodzie był zupełnym przeciwieństwem wyjątkowo wysokiego Nimroda, który wyglądał, jakby wydłużyło go nieustanne dążenie do gwiazd. Długie siwe włosy astrologa były zwinięte na czubku głowy i spięte grzebieniami z kości słoniowej, śnieżnobiałą, sięgającą do brzucha brodę zatykał za pasek. Na pozór chłodny, miał dobre serce, od dnia, w którym młody doktor Czandra przybył z Indii przed trzydziestu laty, wiele wieczorów spędzili tu na poważnych rozmowach, grze w szachy, sporach religijnych, obaj zgadzali się, że pod względem intelektualnym i duchowym przewyższają wszystkich mieszkańców Ziemi.

Doktor Czandra powiadomił astrologa o zdumiewających narodzinach książątka, a Nimrod natychmiast przystąpił do sporządzania horoskopu. Doktor Czandra przez chwilę przyglądał się astrologowi pochylonemu nad wykresami, w końcu zdał sobie sprawę, że przyjaciel jest tym zbyt pochłonięty, by można go było nagabywać teraz o wyjaśnienie zdumiewającej przepowiedni, którą wygłosił dzisiejszego ranka. Powiedział mianowicie:

— Przyjacielu, gwiazdy mówią, że do Persji przybywa czterooka istota, położy ona kres twemu długiemu pobytowi tutaj.



Cóż innego mogłoby to oznaczać — po raz tysięczny pytał sam siebie doktor Czandra — jeśli nie wyruszenie w długą podróż?

Widząc, że dziś nie ma co liczyć na bliższe wyjaśnienia tej enigmatycznej przepowiedni, doktor Czandra cicho wyszedł, a w chwilę później dało się słyszeć skrzypienie windy, którą opuszczał wieżę.

Zajrzawszy do swych pacjentów w pawilonie i zapytawszy o stan noworodka, doktor Czandra udał się w końcu do rzadko odwiedzanego bocznego skrzydła pałacu. Zastukał do drzwi i został wpuszczony do komnat żyjącej w zamknięciu księżniczki nazywanej Nieszczęsną, jedynej pacjentki, której doktor Czandra nie potrafił uleczyć i nie uleczyłby, nawet gdyby to leżało w jego mocy.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Selena otworzyła oczy i zamrugła powiekami. Odwróciła głowę i zobaczyła, że posłanie Wolfa było puste. Wtedy sobie przypomniała: znów poszedł do miasta szukać kogoś, kto by ich zabrał do Persepolis.

Poruszyła się i skrzywiła. Pierwsze chwile po przebudzeniu, gdy noga była zeszywniała, zawsze były nieprzyjemne. Zmusiła się, żeby wstać, gdyby leżała, ból by nie ustąpił. Właśnie o to po raz pierwszy posprzeczała się z Wolfem. Ledwo wylądowali na wybrzeżu Persji po przepłynięciu zatoki, Wolf znalazł gospodę i umieścił w niej Selenę, zakazując jej ruszać się gdziekolwiek, gdyż noga jeszcze się nie zagoiła, a ona sama musi odpoczywać. Ale Selena nie chciała być przykuta do łóżka i upierała się, że noga potrzebuje ruchu. W końcu Wolf wygrał. Widział przecież na własne oczy, jak bliska śmierci była Selena. Teraz obchodził się z nią jak z jajkiem.

Selena umyła się, ubrała, zjadła naszykowane przez Wolfa śniadanie, a potem wyszła na balkon, gdzie w letnim słońcu suszyły się kwiaty hizopu. Zatrzymała się, oparła o futrynę i pomasowała udo. Wolf miał rację. Jeszcze nie wydobrzała. I rzeczywiście była wtedy bardzo bliska śmierci.

Widziałam już drugi brzeg, ale coś mnie odciągnęło, nim zdążyłam postawić na nim nogę.

Jaka siła przywróciła ją do świata żywych?

Selena potrząsnęła głową, usiadła w słońcu i zajęła się hizopem. Starannie rozdzielala kwiaty, pędy i liście. Niebieskie pąki, zaparzone wraz z cieńszymi pędami dadzą środek wykrztuśny na zimowe przeziębienia. Z wąskich aromatycznych liści zrobi pachnący olejek, który Wolf na targu wymieni na jedzenie. Tak samo, jak w tym momencie próbuje wymienić przezroczysty kamień do rozpalania ognia na parę osłów i przewodnika. Oprócz leków i narzędzi z lekarskiej skrzynki Seleny, była to jedyna wartościowa rzecz, jaką posiadali.

Pozostawało jeszcze oko Horusa, które cztery lata temu ofiarował Selenie Andreas i które zawsze nosiła pod suknią. Gdyby trzeba było, je także by sprzedała, ale tylko w ostateczności.

Do tej pory Wolf ubił kilka dobrych interesów. Zaczęło się od wydobywania mułu u ujścia Eufratu. Siłę swego potężnego ciała, o wiele większego od postaci drobnych niedożywionych tubylców, wymienił na opiekę nad wracającą do zdrowia Seleną. A kiedy już mogła kuśtykać o kuli i upierała się, by ruszać w drogę i uciekać przed pościgiem jak najdalej od Babilonu, Wolf, w zamian za przewiezienie ich statkiem przez Zatokę Perską,

dał kapitanowi skuteczną maść na szkorbut, chorobę wszystkich marynarzy. Teraz zaś, w tym porcie na zachodnim wybrzeżu Persji, Wolf starał się o żywność i dach nad głową, szukając równocześnie sposobu na dotarcie do Persepolis, położonego w górach miasta, skąd — jak zapewnił ich kapitan statku — bezpiecznie wyruszą na zachód i trafią do swych domów.

Selena uniosła twarz ku gorącemu słońcu. To wschodnie słońce, myślała, świeci nad krainami i ludźmi tak jej obcymi, jakby pochodzili z księżyca. Cóż to za kaprys losu gnał ją ciągle na wschód, mimo usilnych prób powrotu za zachód! Cztery miesiące temu uciekli z Babilonu, unoszeni przez prąd rzeki na południowy wschód, aż do Zatoki Perskiej, przez którą przepłynęli statkiem do Persji. A teraz znowu skierują się na wschód.

— Persepolis to wielkie i potężne miasto — twierdził kapitan. — Ponoć nie ma rzeczy, której nie można by tam kupić. W Persepolis zarobicie pieniądze i znajdziecie bezpieczną drogę do domu.

I oto wybierają się do Persepolis — jeszcze bardziej na wschód, potem na północ, w niebezpieczne góry tej obcej krainy Persów, oddalając się od Antiochii o wiele następnych mil.

Letni upał wprowadził Selenę w zadumę. Kapitan był tak wdzięczny za ulgę, jaką przyniosła mu maść Seleny, że obiecał spełnić każde ich życzenie. Dlatego Selena wyjęła ze swej skrzynki resztkę papirusu i napisała do Andreasa list. Kapitan obiecał, że wróciwszy nad Eufrat przekaże go dowódcy statku lub przewodnikowi karawany, zdążającym do Antiochii. To była minimalna szansa, zaledwie cień szansy, ale w niej Selena pokładała nadzieję.

Andreas nie może o mnie zapomnieć. Muszę mu dać znać, że żyję. Żeby na mnie czekał.

Słyszając odgłos otwieranych drzwi, Selena obejrzała się, zobaczyła Wolfa i po raz kolejny pomyślała: Czy to właśnie on zabrał mnie od progu śmierci? Czy to właśnie jego wołanie słyszałam?

Była wtedy tak bliska rozstania się z życiem — o oddech, o uderzenie serca — ale czyjaś, nie jej własna, siła pociągnęła ją z powrotem. W czasie tego bolesnego, burzliwego powrotu, Selenę nawiedzały wizje.

Te wizje jasno i ostatecznie ukazały jej cel życia.

Teraz już wszystko rozumiem — myślała wstając, by powitać Wolfa. — Wiem, że to nie przypadek, ale przeznaczenie przywiodło mnie do Persji.

Przez te cztery lata Selena marzyła o stworzeniu takiej metody leczenia, która połączyłaby nauki jej matki i nauki Andreasa. Ale w swych gorączkowych majaczeniach nad rzeką zobaczyła obraz o wiele szerszy, obraz, jaki zdumiał ją i oszołomił. Tak wiele jeszcze musiała się nauczyć,

świat jest tak olbrzymi, niezmierny. Nagle pojęła sens swego wygnania i zrozumiała, dlaczego tędy wiedzie jej droga. Zrozumiała, że przyszła na świat po to, aby w różnych zakątkach ziemi gromadzić wiedzę o sposobach leczenia — w Magnie, wśród Beduinów, przez krótką chwilę na strasznym placu Gilgamesza — a potem zebrać ją w całość i dzielić się nią ze światem.

Gdy Selena ocknęła się wtedy na rzece i zobaczyła, w którą stronę — ciągle na wschód — niesie ich prąd, wiedziała, że to nie przypadek. Widziała rękę wiodących ją bogów.

Przygotowują mnie do wielkiego dzieła, jakie na mnie czeka. Kiedy znów połączę się z Andreasem, będę bogata w wiedzę o leczeniu, której nauczył mnie świat. I razem będziemy ją nieść tam, gdzie jest potrzebna.

Dlatego Selena uznała Persję za kolejny etap jej wtajemniczenia, musi go przejść, nim bogowie uznają, że jest już przygotowana i pozwolą jej wrócić do domu.

Przyglądała się, jak Wolf ściąga przez głowę tunikę, a potem obmywa pot z ramion i torsu. Jak zwykle nie mogła się nadziwić doskonałości jego ciała, przypominającego posąg Adonisa z rynku w Antiochii.

Włożywszy tunikę i przewiązawszy ją sznurem, Wolf odwrócił się do Seleny stojącej u wejścia na taras.

— Jak się czujesz? — spytał.

— Z dnia na dzień coraz lepiej. Dopisało ci dziś szczęście?

Wolf się zawahał. Jak odpowiedzieć na to pytanie? Miał nadzieję, że wróci do domu, na północny zachód, nim spadną śniegi, musiałyby jednak wyruszyć natychmiast, bez chwili zwłoki. Musiałyby zostawić Selenę. Dziś trafił na przewodnika, człowieka, który miał trzy osły i mógł zabrać ich do Persepolis. Tylko wówczas...

— Znalazłeś kogoś? — naciskała Selena.

Lękał się o nią. Mimo jej zapewnień nadal miał wątpliwości, czy wytrzymałaby taką podróż. Może jednak powinni jeszcze zostać tutaj, póki Selena nie nabierze sił?

— Tak — przyznał wreszcie. — Mówi, że zna dobrze drogę i może nas doprowadzić do Persepolis w dziesięć dni.

— Więc musimy natychmiast wyruszać!

Wolf przypatrywał się, jak Selena idzie kulejąc przez izbę i zbiera tobołki, które przyniósł. Były w nich zapasy na dwu-stumilową podróż przez góry Zagros: gotowane jaja, owoce, ryż, podpłomyki i solone ryby. Mieli podróżować nocą, bowiem „latem za dnia nie przemierza tej ziemi nikt z wyjątkiem szaleńców i Greków”, jak powiedział przewodnik, mając na myśli

Aleksandra Wielkiego, który przed trzystu laty właśnie tak uczynił i — skoro już o tym mowa — podbił Persję.

Wolf kupił też dwie pary solidnych sandałów, chroniące przed bezlitosnym słońcem kapelusze z szerokimi rondami oraz skórzane peleryny z kapturami, które ich osłonią podczas przeprawy przez wysokie górskie przełęcze.

Kiedy tak patrzył na Sclenę, oglądającą nabytki i zachwycającą się każdym z nich, ogarnął go smutek. Przypominał sobie ich desperacką podróż, kiedy sterował maleńką tratwą w wartkim nurcie rzeki, niespokojnie rozglądając się, czy nie ma patroli na brzegu, a równocześnie pilnując rozpalonej od gorączki Seleny. O zachodzie słońca krył się w trzcinach. Łowił parę ryb, piekł je w ognisku, a potem próbował wcisnąć choć parę kęsów między wargi Seleny. Ona jednak tylko piła wodę. Marniała mu w oczach, spalana straszną gorączką, która ani na chwilę nie ustępowała. Czasem tak gwałtownie rzucała się w malignie, że musiał ją przywiązać do tratwy, by nie wpadła do rzeki.

W ciągu tych okropnych dni i nocy Wolf prawie nie zaznał snu. Trzymał dziewczynę w ramionach, wołając ją, nie wiedząc, jak zwalczyć gorączkę, która mu ją odbierała. Zdarzały się chwile, że przeklinał Odyna i chciał już cisnąć swój drewniany krzyż w wodę, i takie, kiedy padał na kolana i modlił się z bolesną rozpaczą.

I wtedy, kiedy jego desperacja sięgnęła szczytu, a życie Seleny wydawało się słabe jak nitka pajęczyny, kiedy zaczynał szukać na brzegach rzeki miejsca na grób, tratwa dotarła do okolicy, gdzie Tygrys i Eufrat wpadają do Zatoki Perskiej, a ziemia zmienia się w rozległe moczary poprzecinane zatoczkami. Tam właśnie Wolf spotkał prostych ludzi, zamieszkujących te tereny od stuleci.

Selena nagle oderwała wzrok od zapasów i pytająco spojrzała na Wolfa.

— Czym za to zapłaciłeś? — spytała, podnosząc świeże płótno na bandażę, paczkę kory czarnego bzu, woreczek suszonych liści bazylii. — Przecież kamień by na to wszystko nie wystarczył.

Odwrócił się i wyszedł na taras.

Tamci ludzie z bagien przywrócili Selenę do życia. W osobliwych, przypominających jamy ziemiankach kobiety leczyły ją swoimi prastarymi sposobami, podczas gdy Wolf pomagał drobnym mężczyznom w łodziach, chwytając w sidła kaczki i czaple. Aż wreszcie nadszedł dzień, gdy po powrocie do chaty zobaczył, że Selena siedzi i palcami je ryż, a na jego widok uśmiecha się.

— Za co kupiłeś te wszystkie rzeczy? — spytała ponownie Selena.

Nagrzane powietrze perskiego lata drgało nad brunatnymi dachami domów w dzielnicy portowej. Wyruszą o zachodzie słońca, zapowiedział przewodnik. Za dziesięć dni dotrą do Persepolis.

Dziesięć dni...

Wolf wyciągnął rękę i chwycił poręcz tarasu. Jego potężne dłonie omal nie zmiądzły drewna. Teraz musiał zapomnieć o wspólnych miesiącach na pustyni, o Babilonie, o krótkim pobycie na moczarach. Liczyła się tylko przyszłość, liczyło się to, po co musiał żyć. By wrócić do domu. Do żony, do syna, do swego ludu potrzebującego przywódcy, który zgromadziłby rozproszone plemię i stworzył siłę, zdolną przeciwstawić się Rzymianom.

Wrócić nad Ren, gdzie znajdzie Gajusza Watyniusza i dokona zemsty, którą poprzysiągł.

— Wolf? — usłyszał za sobą głos Seleny. — Czym zapłaciłeś za te wszystkie rzeczy?

Niech ją jeszcze raz obejmę, nim się rozstaniemy. Niech skosztuję jej ust, poczuję dotyk jej ciała...

Odwrócił się gwałtownie i zerwał zawój z głowy.

Selena oniemiała. Jasne, długie, sięgające do pasa włosy Wolfa były krótko obcięte.

— Sprzedałem je — wyjaśnił. — Na targu jest człowiek, który robi peruki. Zobaczył mnie i dawał mnóstwo pieniędzy. Mówił, że jasne włosy są ogromnie modne i bardzo poszukiwane. — Wolf sięgnął za pasek i wyciągnął skórzaną sakiewkę. — Jeszcze mi zostało. Wystarczy na podróż do Persepolis i opłacenie tam kogoś, kto wskaże nam dalszą drogę.

Selena wyciągała rękę, by dotknąć jego włosów, ale Wolf odsunął się ze słowami:

— Odrośną.

Przyglądała się, jak krzątał się po pokoju, zbierając rzeczy, pakując je w tobołki i chciała mu coś jeszcze powiedzieć. Ale nie było już nic do powiedzenia. W Persepolis ich drogi rozejdą się na zawsze. Wspólna podróż Wolfa i Seleny dobiegnie końca, o czym zresztą wiadomo było od dawna.

Ale teraz była dość silna i pewna siebie, by znieść to rozstanie. Odzyskawszy wówczas przytomność po chorobie, odkryła w sobie nową, dziwną odwagę, tak jakby w czasie gorączki jej dusza żywiła się ciałem i podczas gdy ono marniało, duch nabierał mocy i pewności.

Podczas zmagania ze śmiercią nawiedzały ją sny, a te sny ukazywały szersze horyzonty, wlewały do jej duszy nowe pragnienia. Budziła się wtedy, nie mogąc się doczekać, kiedy wyruszą, zatrzymywała ją słabość ciała. Ale teraz,

po tygodniach spędzonych na moczarach i dniach na pokładzie statku, Selena nabrała sił i chciała jak najprędzej iść w drogę. Na zachodzie czekało na nią jej powołanie.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

— Pomocy! — krzyczała dziewczyna, biegnąc. — Ratunku! Pomocy!

Pędziła przez jeden z licznych ogrodów pałacu rozkoszy, po trawniku tak zielonym, gładkim i otoczonym tysiącem letnich kwiatów, że przypominał kobierzec, z jakich słynęła Persja. Dziewczyna biegła, jakby od tego zależało jej życie, co pewien czas oglądając się z przerażeniem za siebie.

Gonił ją mężczyzna. Dziewczyna, zobaczywszy, że wynurza się on z dębowego zagajnika i kieruje w jej stronę, znów głośno krzyknęła i jeszcze bardziej przyspieszyła. Była jednak drobną dziewczuszką o krótkich nogach, podczas gdy napastnik był wysoki i miał długie nogi. Odległość między nimi szybko się zmniejszała.

Przypatrywała się temu ze swego zacisznego tarasu, nie zauważona, księżniczka Rani — Nieszczęsna.

Uciekając przed napastnikiem, dziewczyna kluczyła między krzewami, przeskakiwała rabaty kwiatowe, mknęła po krętych alejkach. Jej jaskrawo pomarańczowe pantalony były wilgotne od wodnego pyłu fontann i łopotały niczym proporce. W długiej, również pomarańczowej tunice urwał się guzik, obnażając od góry piersi.

— Ratunku! — krzyknęła jeszcze raz.

Na próżno. Ogród ze wszystkich stron otaczał mur, nie było wyjścia. Nie było też wokół żywej duszy, z wyjątkiem księżniczki Rani, ukrytej za pnącą winoroślą i obserwującej całą scenę w milczeniu.

W końcu zdesperowana dziewczyna skoczyła w kępę kwitnących krzewów mirtu i tam padła na ziemię, ciężko dysząc.

Mężczyzna zatrzymał się w miejscu i rozejrzał dokoła. Oparł dłonie na biodrach i przeszukiwał otoczenie wzrokiem. Kiedy na chwilę zwrócił twarz w stronę księżniczki, zauważyła, że był bardzo urodziwy.

Musiał być też szlachetnie urodzony, uznała księżniczka, sądząc po wielkości szmaragdu na jego turbanie. Młody smagły szlachcic o szerokich barach i prostych plecach, które opinał jedwabny kaftan gołębiej barwy. Nawet stąd, ze swojego zakątka, Rani mogła odgadnąć jego zamiary. Ciekawe — pomyślała — czy dziewczyna zdaje sobie sprawę, że schronienia szuka, jak na ironię, w krzewie mirtu, który jest poświęcony Wenus, rzymskiej bogini miłości?

Mężczyzna czekał. Wkrótce dziewczyna już dłużej nie mogła wytrzymać w ukryciu i wyskoczyła z krzaków. Mężczyźnie wystarczyło wyciągnąć rękę, by ją złapać. Ale schwycił tylko jej welon. Zasłaniając twarz dłońmi, dziewczyna



krzyknęła i popędziła trawnikiem. Mężczyzna ruszył za nią z zaciętym wyrazem twarzy.

Księżniczka Rani usłyszała, jak Miko, jej stara służąca, wchodzi i staje obok. Miko nie odezwała się, tylko też obserwowała tych dwoje na trawniku.

W końcu mężczyzna złapał dziewczynę. Chwycił ją, objął wpół, unieruchomił uściskiem i mocno pocałował w usta.

Miko cmoknęła z niezadowoleniem.

Potem para ze śmiechem upadła na trawę. Dziewczyna otoczyła ramionami kark mężczyzny, podczas gdy on przygniatał ją swoim ciężarem. Kiedy w upalnym powietrzu rozległy się podniecone piski dziewczyny, księżniczka Rani wreszcie odwróciła wzrok.

Miko dyskretnie zaciągnęła zasłonę, mówiąc:

— Dlaczego zawsze patrzysz? Przynosi ci to tylko ból i smutek, a jednak patrzysz.

— Cieszy mnie — odparła bez przekonania księżniczka — gdy widzę, jak inni radują się tym, czego ja nigdy nie zaznam.

Miko popatrzyła znacząco na swoją panią. Księżniczka wiedziała, co stara służąca sobie myśli: że wcale tak nie musiało się stać.

Ale się stało — tłumaczyła sobie w duchu Rani. — Robię to dla doktora Czandry.

Kiedy ucichły piski szczęśliwej pary, w parku znowu zapanował spokój. Księżniczka Rani odchyliła głowę i zapatrzyła się w niebo. Myślała o tym, co robiło tych dwoje na dole, a czego ona nigdy nie doświadczyła i nie doświadczy. Ogarnęła ją melancholia.

Kochanie się. Jak to jest? Księżniczce Rani wydawało się, że cały świat się tym zajmuje. Wszyscy się kochali, nawet stara Miko miała kiedyś męża, a w tym pałacu rozkoszy miłość i pogoń za miłością stanowiły podstawowy sposób spędzania czasu.

Dawno temu podjęłam decyzję — myślała ze stoicyzmem Rani. — I wytrwam w niej. I będę dalej za to płacić.

Oderwała myśl od tych pustych rozważań i skupiła się na tajemniczej przepowiedni, którą dziś rano usłyszała z ust astrologa.

Już wkrótce dobiegnie końca pobyt doktora Czandry w tych murach — oświadczył Nimrod ku zdumieniu słuchaczy. Nikt, a już najmniej sam lekarz, nie spodziewał się, że po trzydziestu latach służby w pałacu przyjdzie mu odejść, stanie się to za sprawą czterookiej istoty.

Dobiegnie końca, ale jak? — zastanawiała się Rani. Jest niejeden sposób, w jaki człowiek może zakończyć pobyt: może wyjechać, może umrzeć.

Który z nich czeka doktora Czandrę? I kim lub czym jest owa czterooka istota?

Księżniczka przymknęła oczy. Na jej tarasie panował spokój i cisza. Do tego odległego zakątka pałacu rozkoszy, położonego wysoko w górach Persji, nie docierała muzyka ani śmiechy, które nieustannie unosiły się nad kopułami i wieżami jak niewidzialny namiot. Księżniczka Rani na własne życzenie wycofała się z głównego nurtu pałacowego życia, by nie przypominać sobie własnego nieszczęścia, a innym nie psuć radości swoim widokiem. Rani wiedziała, że nazywano ją Nieszczęsną. Zaczęto szeptać to imię prawie trzydzieści lat temu, kiedy wszyscy lekarze stwierdzili, że nie mogą jej wyleczyć.

I tak, choć wiodła ciche życie w otoczeniu tylko kilku niewolników i domowych zwierząt, a jedyną jej rozrywką było oglądanie od czasu do czasu młodych kochanków w parku, Rani wołała je od życia wśród ludzi. Tu jest bezpieczna. Tu bezpieczne są jej sekrety.

A przynajmniej były do tej pory. Do chwili zdumiewającej i niepokojącej przepowiedni astrologa, iż doktor Czandra wkrótce opuści pałac.

Czy to możliwe? — myślała księżniczka z biciem serca. — Po tylu latach...? Ilu już? Trzydziestu — czyli od dnia, kiedy w moje osiemnaste urodziny doktor Czandra niespodziewanie pojawił się w tych murach. Ma teraz odejść?

A co wtedy będzie ze mną?

Księżniczkę Rani, miłą, delikatną kobietę, zwykle bardzo spokojną i pogodną, która żyła przykuta do łoża, ponieważ od pasa w dół była sparaliżowana, po raz pierwszy od lat ogarnął strach.

Nimrod w swojej wysokiej wieży też niepokoił się o doktora Czandrę.

Gwiazdy przepowiadały przyszłość i nigdy nie kłamały, ale nie zawsze objawiały całą prawdę. Nimrod z gniewem bębnił pięścią w stół, gdzie leżały porozrzucane wykresy i przyrządy pomiarowe. Kiedy i w jaki sposób doktor Czandra opuści ten pałac? I kim jest owa czterooka istota, której przybycie zapowiadały gwiazdy?

Astrolog cisnął pióro, odepchnął przyrządy i zapatrzył się w zapisane zwoje.

Czyli nadszedł ten dzień, nieprawdaż? Dzień, w którym musi opuścić wieżę. Było bowiem jasne, że Nimrod nie znajdzie już tu więcej odpowiedzi, gwiazdy objawiły wszystko, co miały objawić. Dalszych wyjaśnień musi szukać gdzie indziej. Już nie w tej wieży, której Nimrod — podobnie jak księżniczka swoich apartamentów — nie opuszczał od lat.

Potrzebował jagnięcia. Doskonałego, nieskalanego jagnięcia w odpowiednim wieku i odpowiedniej maści. Nikomu w pałacu nie można powierzyć tego zadania. Sprawa jest zbyt poważna. Nimrod będzie musiał opuścić wieżę i sam znaleźć idealne jagnię. Następnie zbadać je i w jagnięcej wątrobie wyczytać przyszłość doktora Czandry.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Wyruszyli o zmierzchu, widząc jeszcze zachodzące słońce. Zmierzali pradawnym królewskim traktem, założonym setki lat temu przez Cyrusa, pierwszego władcę Persji.

Plaski teren od wybrzeża stopniowo wznosił się i zmieniał w łagodne pagórki, za którymi ukazały się podróżnikom strome stoki gór Zagros. W miarę jak droga pięła się wzwyż, powietrze stawało się rozrzedzone i chłodniejsze. Dziesiątego dnia podróży dotarli do słynnych Perskich Wrót, gdzie przed trzystu laty wielki „Liksander” stoczył bitwę, przewodnik wyjaśnił Wolfowi i Selenie, że znajdowali się teraz o milę i pół nad poziomem morza.

Wysiłek wspinaczki wcale nie nadwreżył sił Seleny, przeciwnie, dziewczyna czuła przyływ energii. Tutaj, na górze, gwiazdy wydawały się jaśniejsze, bliższe ziemi, duży i pulchny, okrągły księżyc zalewał srebrzystą poświatą dębowe zagajniki, przejrzyste i świeże powietrze uderzało do głowy. Selenie było coraz lżej na sercu. Kiedy przechodzili za przewodnikiem i jego osiami przez oświetloną blaskiem księżycy przełęcz, ogarniało ją coraz większe podniecenie i nadzieja. Podróż wkrótce dobiegnie końca. Jeszcze jedno wzniesienie, a zobaczą starożytne miasto Persepolis, skąd już za kilka dni — nie wątpiła w to — wyruszą w drogę na zachód, do domu.

Wiedziała, jak wygląda Persepolis, w czasie podróży przez Zatokę Perską kapitan statku dokładnie je Selenie opisał.

— Rozciąga się tam otoczona górami równina — opowiadał — która jest jak ogród pełen drzew, kwiatów i trawy. Przecinają go kanały i strumienie, żyją tam ptaki służące do polowań i oswojone gazy. To prawdziwy ogród Edenu, w którym wille bogaczy lśnią w promieniach słońca. Odbierze wam dech w piersiach!

Wreszcie wspięli się na szczyt i cała trójka zatrzymała się, patrząc na rozciągającą się pod nimi przestrzeń. Z tej wysokości trudno było dokładnie zobaczyć całą zasnuwającą się mrokiem dolinę, ale Selena potrafiła sobie wyobrazić potężny pałac zbudowany z cedru i kamienia, o lśniących, barwnie pomalowanych ścianach, obwieszonych milionem złotych ozdób.

Selena była jak odurzona. To miasto stanowiło kolejny krok w drodze ku jej przeznaczeniu. To bogowie przywiedli ją do Persepolis.

Zeszli już po wschodnim stoku góry i posuwali się drogą przez równinę. Była północ, księżyc świecił wysoko na niebie, droga tonęła w niesamowitej

poświacie. Idąc tym królewskim traktem, Selena poczuła dziwny chłód, który zaczął przenikać jej ciało.

Nad doliną wisiała osobliwa cisza, jakby niewidzialna ręka jakiegoś boga osłoniła szczelnie to miejsce między jednym pasmem gór a drugim, oddzielając je od reszty świata. Stukot oślich kopyt po bruku odbijał się echem. Selena z Wolfem zaczęli się rozglądać, najpierw ze zdziwieniem, potem z przestachem. Szli przez stary drewniany most nad rzeką Pulwar, a przewodnik rozprawiał, jakby niczego dziwnego nie zauważył. Mówił o „Liksandrze”, Aleksandrze Wielkim, który przed wielu laty podbił tę ziemię i podpalił miasto, by pokazać Persom swą potęgę i władzę, a potem przypatrywał się, jak Persepolis płonie niczym pochodnia, co z pewnością było widać aż na krańcach ziemi.

Wstrząśnięta Selena patrzyła na sterty kamieni, popękane ściany, przewrócone kolumny, będące niegdyś pałacem Dariusza Wielkiego. Nie było ogrodów, drzew ani kwiatów, nawet trawy — tylko płaska naga ziemia, wypalona do szczytu, jak miejsce wyklęte przez bogów.

Dotarli do Bramy Kserksesa i przewodnik dalej snuł swoją opowieść, podczas gdy jego towarzysze szli w milczeniu. Nie ma złotych ozdób, nie ma malowanych, kolorowych kolumn ani ścian z cedru! Kapitan mówił o czymś, co przeczytał w księgach! Nigdy nie był w Persepolis!

— Och, Wolf — szepnęła Selena. — To martwe miasto. Nikogo tu nie ma.

Wolf patrzył na szczyt kilku ocalałych kolumn, które w lodowatym powietrzu zdawały się dźwigać gwiaździsty baldachim nieba, i zastanawiał się, jacy bogowie zbudowali to miejsce i dlaczego pozwolili, by uległo zniszczeniu.

— Wolf — powiedziała rozczarowana Selena — przyjechaliśmy do martwego miasta. Tu nic nie ma. Dlaczego bogowie przywiedli mnie na to cmentarzysko? Teraz będziemy musieli dalej ruszać w drogę, do innego miasta. A ja już jestem tak znużona wędrówką...

Kiedy Selena oparta się o Wolfa, objął ją ramieniem i spojrzał znacząco na przewodnika. Mężczyzna wycofał się z osłami w ruiny, pokazując, gdzie rozbije obóz. Pozostawił zwiedzających — bo za takich ich miał — samym sobie. Do Persepolis jeździli tylko ci, którzy chcieli zwiedzić ruiny.

Selena z Wolfem stali bez ruchu niczym kamienne posągi wśród gruzów, obejmując się i wzajemnie ogrzewając swym ciepłem. Byli tacy zmęczeni, przybyli z tak daleka po to tylko, by przekonać się, że trzeba im ruszać dalej, do innego miasta, szukać innej drogi.

Wyczerpani, z początku stali objęci bez ruchu, wzajemnie się wspierając, w pewnym momencie Wolf zaczął gładzić włosy Seleny, a ona — wodzić dłońmi po jego plecach.

Szukała ust Wolfa, a on szukał jej warg. Połączyli się w czułym, delikatnym, pełnym słodczy pocałunku. Nie było w nim pośpiechu, wielkiej namiętności. Tulili się z czułością, która niczym balsam koła ich znużone dusze. Byli tak daleko od domu, teraz szukali go w sobie.

Mieli wrażenie, że ziemia sama się unosi, przyciągając ich ku sobie, a gwiazdy tańczą nad kolumnami. Selena i Wolf długo w noc kochali się wolno, niespiesznie, na ten krótki czas zapominając o swojej samotności, tęsknocie i rozpaczy.

Na wschodzie, nad szczytami pojawiło się słońce i jego blask natychmiast zalał dolinę. Chłodny wietrzyk, który wkrótce miał zmienić się w suche gorące powiewy, muskał ich włosy, kiedy szli przez ruiny.

Wszędzie widzieli zwęglone kolumny i warstwę popiołu — wspomnienie po potężnych cedrowych krokwiach, które runęły w czasie straszliwego pożaru wzniesionego przez Aleksandra. Na ścianach z ciemnego wapienia, tak pracownie zdobionych przez najlepszych kamieniarzy, widniały sztywne wizerunki dawno zapomnianych ludzi, teraz jedynych mieszkańców tego pustkowiecia.

Zjawił się przewodnik z osłami. Powiedział, że muszą znaleźć schronienie, bo wkrótce upał stanie się nie do zniesienia. Mierzył wzrokiem Selenę. We włosach miała piasek, usta obrzmiały. Pers wzruszył ramionami. Nie ich pierwszych do Persepolis przygnała cielesna żądza. W tych ruinach było coś, co podniecało kochanków. Któż to zdoła wyjaśnić?

Kiedy przewodnik ruszył w kierunku drogi, którą wczoraj przybyli, z zamiarem powrotu tą samą trasą na wybrzeże, Wolf i Selena zażądali, by iść w inną stronę. Tamta droga do domu nie była dobrą drogą, gdyż mogli ich schwytać żołnierze Lashy. Czy nie można by ruszyć na północ? — spytali. Czy nie dałoby się dotrzeć do Armenii szlakiem, który z północnej Persji prowadził na zachód? Przewodnik podrapał się po głowie i odparł:

— Ten szlak prowadzi do starego pałacu rozkoszy na północy. A stamtąd — tak mi powiadano — wiedzie droga na zachód, prosto do Europy.

Wolf i Selena słyszeli już o pałacu rozkoszy i wiedzieli, że znajdował się on na końcu bezpiecznej, równej drogi. Lepiej zaryzykować i pójść tam, uznali, niż natknąć się na żołdaków Lashy.

Przewodnik nie zgodził się ich tam zaprowadzić ani sprzedać im swoich osłów, więc Wolf i Selena pożegnali go i samotnie ruszyli przez opustoszałą dolinę.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Od pałacu rozkoszy dzielił ich dzień drogi, kiedy wydarzył się ten wypadek.

Słońce wznosiło się coraz wyżej, zeszli z drogi w poszukiwaniu cienistego miejsca, w którym mogliby przespać upały. Drogę zostawili daleko za sobą i już ją stracili z oczu zmierzając do dębowego zagajnika, kiedy zza skałek wybiegł siwowłosy człowiek.

Selena i Wolf stanęli zdumieni i patrzyli, jak mężczyzna pędzi w ich stronę, nawet ich nie zauważył, ponieważ wzrok utkwiał w jagnięciu, które uparcie gonił. Kapelusz zsunął mu się z głowy, a długie siwe włosy powiewały na wietrze. Selena parsknęła śmiechem. Ale Wolf chwycił ją za ramię i pokazał jej cień na ziemi, szybko zmierzający w kierunku starca.

Selena z przerażeniem podniosła wzrok i zobaczyła spadającego z nieba ptaka, który zaatakował mężczyznę. Oszołomieni, stali przez chwilę jak wryci, potem, słysząc krzyk starca, popędzili w jego stronę.

Kłęcząc wydając rozpaczliwe okrzyki, gdy po twarzy i ramionach biły go olbrzymie skrzydła, a groźne szpony wbijały się w jego czaszkę. Czerwone strużki krwi spływały mu z głowy. Mężczyzna upadł na plecy, oganiając się rękami i nogami. Wolf w ułamku sekundy znalazł się przy nim, chwytając potężnymi dłońmi sokoła. Ptak przez moment walczył, potem wyrwał się, rozpostarł ogromne skrzydła i pofrunął do góry.

Selena w jednej chwili znalazła się przy rannym. Straszliwie krwawił.

Wolf zdążył już otworzyć skrzynkę Seleny. Dziewczyna szybko tamowała krwawienie, obmyła ranę, a potem ją zszyła. Kiedy już założyła opatrunek i chciała spytać Wolfa, co dalej robić z nieprzytomnym starcem, oczom jej ukazał się zdumiewający widok. Wolf, ujrawszy go w tej samej chwili, wolno się wyprostował.

Musiało być tam ponad sto osób w tej fantastycznej karawanie, wszyscy, odziani niczym królowie, jechali na grzbietach słoni pomalowanych w barwne wzory. Poruszali się wolno, majestatycznie, a towarzyszyło im dźwięczenie setek dzwonek. Pochód zmierzał w kierunku Wolfa i Seleny i wreszcie zatrzymał się obok nich.

Jeden z jeźdźców bez słowa zeskoczył z wierzchowca i podbiegł do nieprzytomnego starca. Klęknął przy nim, potem odwrócił się i wykrzyknął coś w języku, którego Selena nie rozumiała.



Czterech mężczyzn przyniosło lektykę. Selena przyglądała się, jak ostrożnie przenoszą rannego i wsadzają go na grzbiet słonia, okrytego niebieskim i złotym aksamitem.

Przewodnik kawalkady — wysoki, śniady, przystojny mężczyzna, dosiadający pomalowanego na żółto słonia — z nie odgadniętym wyrazem twarzy spoglądał na Wolfa i Selenę. Dziewczyna ze zdumieniem zobaczyła, że na jego wyciągniętym ramieniu siedział ten sam sokół, który zaatakował starca. Pióra i szpony ptaka były zakrwawione, a głowa nakryta małym skórzanym kapturkiem.

Teraz szczęści żołnierzy podbiegło do Seleny i Wolfa. Kazano im wsiąść na konia — Selenie z tyłu, za Wolfem.

\* \* \*

Położony w górach pałac rozkoszy cesarza Partów był tak olbrzymi, że w porównaniu z nim pałac w Magnie mógł wydawać się zwykłą stajnią. Znajdowało się w nim mnóstwo komnat, powiadano, że gdyby ktoś codziennie zwiedzał po jednej, jeszcze po dziesięciu latach nie obejrzałby nawet połowy pałacu.

Kawalkada dotarła na miejsce, przekroczywszy most nad wyschniętym korytem rzeki. Upał był tak nieznośny, że na ulicach widziano piekące się węże i jaszczurki. A kiedy Selena zobaczyła pałac, pomyślała: Czy właśnie to miejsce widziałam w swoich wizjach?

Alabastrowe ściany lśniły w promieniach słońca.

Czy ta wizja była przesłaniem od bogów, dających mi znać, że znajdę się tu w jakimś celu? I że spotkam tu coś, co o kolejny krok przybliży mnie do mego przeznaczenia?

Kawalkada minęła siedem wysokich niczym wieże bram, w końcu znalazła się na obszernym, rozprażonym od słońca placu. Natychmiast zjawiły się roje służby z drabinami i stołkami. Zapanował taki chaos, że Selena i Wolf zastanawiali się, czy nie zapomną o nich w tym rozgardiaszu. Ale gdy zsiadali z konia, zostali błyskawicznie otoczeni przez kohortę Partów. Strażnicy poprowadzili ich przez dziedziniec do inkrustowanych złotem drzwi.

Przemierzyli chyba całe mile korytarzy, zadziwiająco chłodnych po morderczym upale perskiego lata, mijali ludzi ubranych w kolorowe kaftany i spodnie, w turbanach zdobionych piórami i klejnotami. Wolf przypatrywał im się ze zdziwieniem, a i oni ciekawie spoglądali na jasnowłosego olbrzyma, odzianego w skórzane nogawice. A kiedy prowadzono ich przez ogród z sadzawką na środku, Wolf stanął jak wryty, a na jego twarzy odmalowało się zdumienie. Na wodzie kołysały się łabędzie, pierwsze, jakie widział od czasu,

gdy znalazł się w niewoli. Widok ten wzbudził ból w jego sercu, łabędzie stanowiły wcielenie Walkirii, córek Odyńa.

Na koniec Wolfa i Selenę wprowadzono ceremonialnie do wygodnie urządzonej komnaty, z wyjściem do osobnego ogrodu. Strażnicy odeszli i zaryglowali drzwi.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Zjawił się jakiś mężczyzna w brązowych jedwabiach i złotym turbanie. Przedstawił się jako doktor Singh.

— Dlaczego uwięziliście nas? — spytał Wolf. — Nie zrobiliśmy nic złego.

Doktor Singh, nieco onieśmielony wzrostem barbarzyńcy, cofnął się o krok.

— Zapewniam was, że nie jesteście tu więźniem, lecz wielce poważanym gościem!

— Zaryglowaliście drzwi.

— Dla waszego bezpieczeństwa.

— Jak się czuje ranny? — spytała Seleną.

Lekarz zerknął na nią, zdziwiony, że się w ogóle odzywa, po czym zwrócił się do Wolfa.

— Musicie zrozumieć, panie, że to wysoce delikatna, wyjątkowo trudna sytuacja. Jedynie braminowi wolno dotknąć potomka Daniela, jednak ocaliliście mu życie. Ponieważ nie wiedzieliśmy, co z wami począć, postanowiliśmy poczekać i zobaczyć, jak się będzie czuł Daniel. Odzyskał już przytomność i chce was, panie, widzieć.

— Więc wraca do zdrowia? — ponowiła pytanie Seleną.

Doktor Singh znów spojrział zaskoczony i ponownie ją zignorował, zwracając się tylko do Wolfa:

— Starzec, którego uratowaliście, panie, to nasz astrolog. Jego nagły zgon byłby dla naszego narodu prawdziwą tragedią. Teraz jednak... — Doktor Singh cofnął się nieco i wyciągnął ramię — ...raczycie pójść ze mną.

— Dokąd nas zabieracie? — spytał Wolf.

— Do astrologa. Chce zobaczyć człowieka, który ocalił mu życie.

Kiedy Seleną ruszyła za Wolfem, doktor Singh powiedział:

— Wasza kobieta nie. Ona tu zostaje.

— Ale to ona uratowała życie temu starcowi, nie ja. Doktor Singh wysoko podniósł brwi.

— Jak to? Raczycie, panie, żartować?

— To ona zna się na leczeniu. Lekarz głośno wciągnął powietrze.

— I... ona dotknęła astrologa?

— Musiałam, gdyż... — zaczęła Seleną, ale lekarz uciszył ją gestem.

— To nie do pomyślenia — powiedział oburzony. — Nie spodziewałem się. Muszę się dowiedzieć, co robić.

I wybiegł z komnaty.

Gdy po pewnym czasie wrócił, powiedział:

— Kobieta może iść.

Poprowadzono ich labiryntem korytarzy, aż w końcu dotarli do miejsca, które doktor Singh nazwał po prostu pawilonem.

Selena patrzyła w zadziwieniu. Pawilon był obszernym pomieszczeniem z rzędem łóżek pod ścianą, po przeciwnej stronie znajdowało się wyjście na szeroki taras, skąd wpadał orzeźwiający wietrzyk. Wszystkie łóżka były zajęte, przechodząc obok nich Selena stwierdziła, że każdy chory cierpiał na inną dolegliwość. Na ścianach wisiały girlandy kwiatów, a przy każdym łóżku stał potężny miecz, w powietrzu unosił się zapach kadzidła.

Selena nie posiadała się ze zdumienia. Pacjenci leżeli na białych prześcieradłach, ich głowy spoczywały na białych poduszkach, białe narzuty okrywały ich ciała. Na małych stolikach między łóżkami stały miski, leżały płótna i kadzidelka. Nad chorymi pochylali się pielęgniarze — myli ich, zmieniali opatrunki, karmili, cały czas śmiejąc się i żartując. Niektórzy nawet śpiewali, a jeden stał na podwyższeniu w środku sali i opowiadał jakąś zapewne zabawną historię, gdyż wywoływała ona wybuchy śmiechu i oklaski.

Gdy podeszli do ostatniego łóżka, Selena rozpoznała starca z obandażowaną głową. Doktor Singh przedstawił go jako Nimroda, nadwornego astrologa. Obok łóżka siedziały trzy piękne kobiety, śpiewając i klaszcząc rytmicznie w dłonie. Gdy Nimrodowi zaczęły opadać powieki, jedna z nich schyliła się i wymierzyła mu policzek. Starzec natychmiast otworzył oczy.

— Co one robią? — spytała Selena, kiedy stanęli w nogach łóżka.

Doktor Singh prychnął z niesmakiem.

— Nie dają mu zasnąć. Skoro znasz się na leczeniu, powinnaś wiedzieć, że pacjent nie powinien spać w ciągu dnia.

Nie zwracając uwagi na pogardliwy ton i na wyjątkową niedorzeczność jego wypowiedzi, Selena spytała:

— Jak nazywacie to miejsce?

— Pawilonem.

— Ale... czym ono właściwie jest?

Doktor Singh ściągnął brwi. Rozmawiali z Seleną po grecku, ale nie przychodziło mu na myśl żadne greckie słowo, którym mógłby określić to miejsce, poda! więc nazwę sanskrycką: chikisaka.

— Jest to miejsce, gdzie doglądamy naszych chorych. Jak je nazywacie w waszym kraju?

Selena również zmarszczyła brwi. Ona też nie mogła znaleźć greckiego odpowiednika. I zaraz uświadomiła sobie, dlaczego — ponieważ tam, na zachodzie, z wyjątkiem świątyn Eskulapa, takich miejsc nie było. Ona w każdym razie o nich nigdy nie słyszała.

— Nie mamy czegoś takiego — przyznała. Jego twarz wyrażała pogardę.

Skąd oni się wzięli? — pomyślał. — Po co astrolog na takich marnuje czas?

Doktor Singh odwrócił się i przysunął do łóżka, przy którym dalej śpiewały kobiety. Nachylił się nad astrologiem i rozmawiał z nim po persku, a Selena rozglądała się znów po tym niezwykłym pomieszczeniu. Tym razem dostrzegła niskiego pulchnego mężczyznę, który stał w narożniku i bacznie się jej przyglądał. Był ubrany w jedwabie o kolorze brzoskwini, na głowie miał turkusowy turban. Znad gęstej czarnej brody spoglądały podejrzliwe oczy.

— Możesz podejść do Daniela — oświadczył sucho doktor Singh. — Ale tylko na chwilę.

Selena zbliżyła się do łóżka i popatrzyła na szarą twarz. Powinni dać mu zasnąć — myślała z troską, żalując, że nie może wyprosić śpiewaczek.

— Witaj — powiedziała łagodnie. — Nazywam się Selena. Spojrzenie wyblakłych oczu chwilę błędziło w powietrzu, a potem spoczęło na twarzy Seleny.

— Uratowałeś mi życie? — spytał chrapliwie Nimrod.

— Ja i mój przyjaciel — odparła, wskazując Wolfa. — Odpędził sokoła. Ja opatrzyłam rany.

Nimrod westchnął.

— Przekłete ptaszysko wzięło moją głowę za zajaca. To moja wina. Nie powinienem był wyruszać z Mudrą na polowanie z sokołem.

Mówił z wysiłkiem i Selena widziała, jak bardzo jest wyczerpany. Wyciągnęła rękę, by dotknąć jego czoła, ale doktor Singh zawołał:

— Stój!

Spojrzała na niego.

— Nie wolno ci dotykać Daniela.

— Ale muszę sprawdzić, czy nie ma gorączki. Nie podoba mi się jego wygląd. Pozwólcie mi obejrzeć ranę.

— Nie wolno ci go dotykać.

— Przecież już raz go dotykałam!

— Nie jesteś tu mile widziana. Twoja obecność zakłóca pogodny nastrój. Idź stąd.

Zdumiona Seleną wpatrywała się w lekarza. Spojrzawszy nad jego ramieniem zauważyła, że tamten brodaty mężczyzna nadal się jej przygląda.

— Ależ to...

— Idź! — warknął doktor Singh, dając znak strażnikom. Selenę i Wolfa wyprowadzono z pawilonu. Dziewczyna obejrzała się i zobaczyła, że doktor Singh naradza się z tamtym człowiekiem, który ją obserwował z kąta.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Spoczywając na sofie, wsparta o jedwabne poduszki, księżniczka Rani z nieskrywaną ciekawością przyglądała się dwójce gości o tak niezwykłym wyglądzie. Dziewczyna miała białą jak mleko cerę, kontrastującą z kruczoczarnymi włosami. I była taka wysoka! Gdyby Rani mogła stanąć, zapewne sięgałaby jej zaledwie do ramienia. A towarzysz dziewczyny! Czy to możliwe, by człowiekowi rosły włosy koloru słomy? Rani słyszała opowieści o takich ludziach, ale nie sądziła, że pozna kiedyś jednego z nich.

— Mówiono mi, że ocaliliście życie naszemu nadwornemu astrologowi — odezwała się miłym głosem. — Swoim czynem zaskarbiliście sobie wdzięczność moją, wszystkich mieszkańców pałacu, a z pewnością również bogów. Spocznicie, proszę.

Komnata przypominała Selenie apartamenty Lashy w Magnie, lecz pomieszczenia tej księżniczki o niebo przewyższały najwspanialsze bogactwa Magny. Marmurowa posadzka była inkrustowana złotem, dreptały po niej jakieś dziwne ptaki — ogromne, turkusowe, ciągnące za sobą długie ogony z barwnych piór. Jeden z ptaków był biały, gdy rozpostarł ogon jak wspaniały wachlarz, Selena westchnęła z zachwytu.

— Przybyliście z daleka — powiedziała Rani z uśmiechem. — Co was przywiodło do Persji?

Selena oderwała wzrok od pawy i przyjrzała się księżniczce. Podobnie jak większość mieszkańców tego pałacu była niska, pulchna i śniada, ale nie widać było po niej tej pychy, z którą tamci się obnosili. Selenę ciekawiły jej nogi, ukryte pod satynową narzutą, chciałyby widzieć, jak się ruszają.

— Przybyliśmy tu w poszukiwaniu drogi do domu. Los przywiódł nas w odległe od niego strony.

Rani pokiwała głową. Ona to rozumiała. Nigdy nie zapomni, jak przed trzydziestu sześciu laty los pokrzyżował jej własną drogę i spletał okrutnego figla, którego nigdy mu nie wybaczy.

— Doktor Czandra opowiedział mi, że dziś rano byliście w pawilonie. Mówił, że chciałaś dotknąć astrologa. Czy ty, kobieta, nie wiesz, iż nie wolno ci tego robić? Nimrod należy do kasty braminów.

Selena wróciła myślą do wydarzeń poranka. Kim był doktor Czandra? Wtedy przypomniawszy sobie niskiego brodatego mężczyznę, który krytycznym wzrokiem przyglądał jej się z rogu sali.

— Proszę mnie nie winić za moją niewiedzę, wasza wysokość — odparła. — W moim kraju nie mamy takich zakazów. Przepraszam, jeśli kogokolwiek

obraziliśmy. Ja i mój przyjaciel pragniemy jedynie iść dalej. O ile nam wiadomo, jest stąd droga na zachód...

— Doktor Czandra powiedział mi, że opatrzyłaś ranę Nimroda jak prawdziwy lekarz. Twierdzisz też ponoć, że znasz się na leczeniu. Czy to prawda?

— Nieco się znam.

Księżniczka przyjrzała się jej z namysłem.

— Czy tam, skąd pochodzisz, kobiety mogą leczyć?

— Oczywiście — zapewniła Selena, trochę zaskoczona pytaniem.

Rani ze zdumieniem pokręciła głową.

— Tak mało wiem o świecie poza tymi murami. I nigdy nie przyjmuję gości. Wszelkie wieści docierają do mnie przez doktora Czandrę, mego jedyne przyjaciele, a także osobistego lekarza.

Kiedy Selena odruchowo spojrzała na satynową narzutę, przykrywającą nieruchome nogi, Rani wyjaśniła:

— Jestem sparaliżowana od trzydziestu sześciu lat.

— Przepraszam.

Migdałowe, ocienione firanką czarnych rzęs oczy Rani napotkały spojrzenie Seleny, patrzyły na siebie przez chwilę i dziewczynie wydało się, że nawiązało się między nimi jakieś porozumienie. Być może Rani przez chwilę pomyślała, czyby nie dopuścić Seleny do swych tajemnic. Ale po chwili odwróciła wzrok.

— Ciekawisz mnie — podjęła. — W tej części świata kobietom nie wolno uczyć się medycyny. Nie uczy się nas też czytania i pisanie. Potrafisz czytać i pisać?

— Tak.

Rani westchnęła.

— Jakiż to musi być wspaniały kraj, który daje kobietom tyle swobody!

Klasnęła w dłonie, zadźwięczały złote bransoletki. Prawie natychmiast zjawiała się niewolnica z tacą, postawiła ją przed gośćmi, wlepiając zdumione spojrzenie w Wolfa.

— Jakże się różnisz od nas! — odezwała się Rani, gdy niewolnica odeszła. Gestem zaprosiła, by nalali sobie wina i skosztowali łakoci. — Nim zajdzie słońce, ludzie będą się tłoczyć wokół ciebie, żeby cię obejrzeć. Tak samo było, kiedy przyjechali Rzymianie.

— Rzymianie? — powtórzyła Selena. — Tak daleko na wschodzie?

— Och, znajdujemy się w potężnym imperium Partów, ale rzymski orzeł jest łakomy i pragnie wyciągnąć swe śmiercionośne skrzydło nad Persją. Nie



dalej jak trzy miesiące temu odwiedzili pałac rzymscy posłowie. Nazywali to misją pokojową. Dyplomatyczną! A przysłali tu jednego ze swych wojskowych dowódców! O, to był bezwzględny człowiek, ten Gajusz Watyniusz.

Wolf nagle się wyprostował.

— Gajusz Watyniusz? Rani spojrzała na niego.

— Słyszałeś o nim?

— Gajusz Watyniusz tu był? — spytała Selena. — Czy to mógł być ten sam człowiek? — zwróciła się do Wolfa.

— Dowodzi armią reńską — rzekła Rani. Wolf skoczył na równe nogi.

— Kiedy wyjechał? W którą stronę ruszył?

— Uspokój się, przyjacielu. W pałacu znajdziesz ludzi, którzy powiedzą ci wszystko, czego zechcesz się dowiedzieć. Ja osobiście nie widziałam Rzymian. O ich wizycie dowiedziałam się od doktora Czandry. Ale wiem na pewno, że dowódca wyjechał trzy miesiące temu i że miał wrócić nad Ren.

Selena podniosła wzrok na Wolfa. Zobaczyła jego zaciśnięte pięści, płomień w błękitnych oczach i serce zabiło jej mocniej.

— Teraz już widzę — mówiła z namysłem księżniczka, spoglądając innym okiem na gości — że nie przez przypadek trafiliście do Persji. Bogowie przywiedli was tu nie bez powodu.

Zmrużyła oczy i pomyślała:

Czy to możliwe, by jedno z was było tym, kogo zapowiedziały gwiazdy i kto przyczyni się do końca pobytu doktora Czandry w pałacu?

— Chciałabym, żebyś odwiedziła mnie jeszcze, nim opuścisz Persję — zwróciła się księżniczka do Seleny. — Chciałabym usłyszeć, jak w twojej ojczyźnie kobiety uczą się sztuki leczenia.

Ale Selena nie odrywała wzroku od Wolfa.

— Spiesz nam się, wasza wysokość. Nie możemy tu długo zabawić.

— Czy ty też wracasz nad Ren? Selena spojrzała w oczy Rani.

— Ja muszę wrócić do swego domu w Syrii — powiedziała z żalem — wypełnić swe powołanie.

— Powołanie?

Selena pokrótce opowiedziała, jak otarła się o śmierć na Eufracie, o wizjach, które nawiedzały ją w malignie. Niełatwo było wytłumaczyć komuś innemu, jak odżywały w nich wydarzenia z przeszłości, wypadki, o których zapomniiała albo uznała za nieważne, a które ukazały się jej rozgorączkowanym oczom w nowym świetle, z nową siłą, nabierając nowego znaczenia. Handlarz kobiercami z Damaszku, który omal nie skonał na ulicy,

tłum chorych i kalek u bram pałacu w Magnie, straszliwy plac Gilgamesza w Babilonie. Każdą z tych scen

Seleną widziała w najdrobniejszych szczegółach, ale teraz przeżywała je inaczej.

— Wcześniej nie rozumiałam — mówiła żarliwie do księżniczki. — Przedtem po prostu korzystałam z umiejętności przekazanych mi przez matkę. Kiedy jednak ponownie przeżywałam te chwile w snach, zobaczyłam w sobie coś innego, nowego. Kobieta, która mnie wychowała, nie była moją matką. Mój ojciec zmarł tej nocy, kiedy przyszłam na świat, wcześniej powiedział, że przede mną jest przeznaczenie, którego muszę szukać. W malignie doznałam prawdziwego objawienia: nagle pojęłam, iż moje powołanie do leczenia i szukanie tożsamości to nie są dwie osobne sprawy. One jakoś się ze sobą wiążą! Zrozumiałam: leczenie i moja tożsamość są w pewnym sensie nierozdzielne, nie mogą bez siebie istnieć. Bogowie objawili mi w sposób, którego nie zdołam wyrazić słowami, że powołanie i to, kim jestem, połączy się, by spełnić owo wielkie dzieło, do którego zostałam wybrana.

Rani patrzyła na Selenę w zamyśleniu.

— To tak — mówiła powoli — jakby leczenie nie brało się z wiedzy, którą posiadasz, ale wypływało z ciebie, z głębi twojej duszy. Jakbyś urodziła się po to, by leczyć.

— Tak — powiedziała Seleną.

— Jakby leczenie nie było tylko twoim zajęciem, ale tobą. Jakby w leczeniu wyrażało się twoje jestestwo i bez niego nie mogłabyś istnieć.

Seleną nie odrywała wzroku od księżniczki. Rani uśmiechnęła się.

— A czy wiesz, co jest tym wielkim celem, który bogowie postawili przed tobą?

— Sądzę — odparła cicho Seleną — że mam z najdalszych zakątków świata zebrać to, co skutecznie leczy, i zanieść tam, gdzie najbardziej się przyda.

— A kiedy to się stanie?

— Nie wiem.

— Zatem musisz wracać do swej ojczyzny i czynić to, co masz czynić. Zazdroszczę ci.

W ostatnich słowach zabrzmiał cień smutku. Seleną znów rozejrzała się po komnacie, popatrzyła na jedwabne kotary, złote lampy i pawie, w końcu wróciła spojrzeniem do drobnej kobiety, przykutej do łóżka.

— Czy mogłabym zbadać nogi waszej wysokości? — spytała Seleną. — Wiem, że wielu przede mną to robiło, ale być może...

— Zbadaj. Ale mnie nic nie pomoże.

Wolf oddalił się i stanął u wyjścia do ogrodu. Chciał popatrzeć na drzewa i trawę, ale widział tylko twarz, która wyryła się w jego pamięci, twarz Gajusza Watyniusza. Selena podwinęła satynową narzutę i odsłoniła drobne brunatne stopy Rani.

— Przyszłam na świat w jednym z najszlachetniejszych rodów Indii — mówiła Rani, przyglądając się Selenie pochylonej nad jej stopami. — Miałam dwanaście lat, kiedy ojciec zaręczył mnie z księciem Persji. Przywieziono mnie tu z doliny Gangesu, bym wyszła za mężczyznę, którego nigdy nie widziałam na oczy, i stała się jedną z jego licznych żon, bym po kres swoich dni żyła wśród obcych na obcym dworze. W wigilię ślubu zapadłam na gorączkę. Trzymała mnie wiele dni, a gdy wróciłam do siebie, okazało się, że w moich nogach nie ma już życia.

— Czy wasza wysokość to czuje? — spytała Selena, szczypiąc lekko stopę Rani.

— Nie, nic nie czuję. Księżę nie zgodził się wziąć mnie za małżonkę, a ojciec nie chciał przyjąć mnie z powrotem, zostałam więc tutaj, w zapomnieniu. Przez sześć lat byłam straszliwie samotna. Moim jedynym przyjacielem był Nimrod, który nauczył mnie czytać i pisać, żebym miała choć odrobinę rozrywki. I wtedy, gdy skończyłam osiemnaście lat, zjawił się doktor Czandra. Przybył z moich rodzinnych stron, z doliny Gangesu.

Selena uniosła prawą stopę Rani i pociągnęła palcem po gołej podeszwie. Palce się podkurczyły. Wzięła lewą nogę i zrobiła to samo. Teraz też palce się podkurczyły. Selena ściągnęła brwi zaskoczona i przykryła nogi księżniczki.

— Widzisz? — odezwała się Rani. — To uszkodzenie kręgosłupa. Nieuleczalne. Dziękuję jednak, że chciałaś mi pomóc. Czy przyjdiesz jeszcze mnie odwiedzić, nim opuścisz Persję?

Na korytarzu, kiedy prowadzono ich z powrotem, Selena odezwała się cicho do Wolfa:

— Dzieje się tu coś dziwnego. Księżniczka Rani ma zupełnie zdrowe nogi. Powinna móc chodzić.

Potem Selena pomyślała o doktorze Czandrze, zastanawiając się, na czym polega jego tajemnicza władza nad księżniczką.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Selena była zachwycona, gdy pozwolono jej wrócić do pawilonu. Nie tylko pozwolono, wręcz zachęcono do ponownych wizyt. A Selena czyniła to z ochotą — tak wiele mogła się tam nauczyć!

Gdy Wolf przez długie godziny ślęczał nad mapami i rozmawiał z ludźmi, którzy znali północne szlaki na zachód, Selena spędzała dni w chikisace, miejscu, gdzie doglądano chorych. Powiedziano jej, że nie tylko w pałacu rozkoszy znajduje się tak osobliwy przybytek, podobne można było znaleźć w całej Persji i w Indiach. Ustanowił je, wyjaśniono jej, łaskawy Budda, który nakazywał swoim wyznawcom troszczyć się o chorych i niedołączonych.

Selena dowiedziała się, że łóżka ustawiano tak, by chorzy leżeli twarzami na wschód i mogli żyć w zgodzie z duchami zamieszkującymi tę część nieba, dowiedziała się też, iż miecz umieszczony przy łóżku miał przekonać złe duchy o woli powrotu do zdrowia chorego. Girlandy kwiatów stanowiły dowód pogody ducha pacjenta i jego niechęci do poddania się chorobie, śmiech zaś i śpiewy miały zniechęcić złe duchy do odbierania życia chorym.

Większość tych praktyk budziła sprzeciw w umyśle Seleny, ale wiele z nich wywarło na niej jak najlepsze wrażenie: łóżka zamiast posłań na podłodze, zatrudnianie specjalnie szkolonych pielęgniarzy do opieki nad chorymi, gromadzenie chorych w jednym miejscu, by lekarze skuteczniej mogli wykorzystywać swe umiejętności. Tego nigdzie na zachodzie nie stosowano, nawet w świątyniach — lecznicach Eskulapa.

Nauczyła się też kilku nowych, egzotycznych metod leczenia, niektórych zgoła zaskakujących.

Pewnego popołudnia obserwowała, jak doktor Czandra zamyka cięte rany za pomocą dużych mrówek i chrząszczy. Pozwolił Selenie się przyglądać, a nawet udzielił wyjaśnień.

— Kiedy chrząszcz zaciśnie szczęki, łącząc krawędzie rany, szybko wykręć go, a zobaczysz, że szczęki w jego głowie pozostaną zaciśnięte. Wyjmuje się je, kiedy rana się zagoi.

Doktor Czandra miał dziwny głos, mówiąc, nigdy nie patrzył wprost na Selenę, ale zagadkowo zerkał na nią z ukosa. Nie sposób było odgadnąć, co myśli. Ogromna broda zasłaniała mu prawie całą twarz i spadała na pierś. Selena często przyłapywała go, gdy się jej przypatrywał, a wtedy — nim szybko odwrócił wzrok — próbowała odczytać, co kryje się w jego oczach. Nieufność? Ciekawość? Zazdrość?

Doktor Czandra był jedynym przyjacielem księżniczki Rani i jej jedynym gościem. Selena zaczęła się zastanawiać, co robili wieczorami i dlaczego nigdy się nie zjawiał w czasie wizyt Seleny. Czyżby był kochankiem księżniczki? Czy miał za złe Selenie, iż wtargnęła w ich prywatne życie? I czy, podobnie jak Selena, zauważył, że pod względem fizycznym nogi Rani są zupełnie zdrowe?

I czy to nie on był powodem niesprawności księżniczki?

Mimo to Selena przyznawała, iż jest doskonałym lekarzem, i próbowała się od niego jak najwięcej nauczyć.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

— Na placu Gilgamesza w Babilonie — opowiadała księżniczce Rani Selena, kiedy pewnego wieczoru popijały napar z mięty — zbierają się wszyscy chorzy i kalecy, podobnie jak w waszych chikisakach. Ale na tym podobieństwo się kończy. Nie ma żadnej organizacji, pomoc jest przypadkowa, często może nawet zaszkodzić. Wielu ludziom nikt nie pomaga, umierają tam, gdzie padli. A w naszej świątyni Eskulapa w Syrii, jeśli ktoś zapłaci kapłanowi grosz, może spędzić w niej noc. Jeśli bóg przyjdzie do tego człowieka we śnie, będzie on uleczony, jeśli nie — musi odejść. Bóg może przyjść pod postacią lekarza albo kapłana, ale pomoc jest bardzo przypadkowa, zależy od nastroju i umiejętności lekarza, wiąże się z ogromnym ryzykiem. Pacjenci często wychodzą ze świątyni w gorszym stanie, niż do niej przyszli.

— A więc pochwalasz nasze metody?

— Sam pomysł chikisaki — tak. W Antiochii moja matka musiała chodzić po całym mieście, by odwiedzać chorych. Wielu z nich żyło samotnie i nikt się o nich nie troszczył, nawet tych, którzy mieli dość pieniędzy, doglądali ludzie zupełnie do tego nieprzygotowani. Nie mamy takich pielęgniarzy, jak wasi w pawilonie. W tamtych gorączkowych majakach widziałam obszerne miejsce, przypominające świątynię albo pałac. Usłyszałam głos, a może to były moje własne gorączkowe myśli? To były słowa: „alabastrowe mury lśniące w promieniach słońca”.

— Co to znaczy?

— Początkowo sądziłam, że zobaczyłam przyszłość, że widzę pałac, w którym pewnego dnia się znajdę. Gdy przyprowadzono mnie tu, do tego pałacu, po tym jak pomogłam Nimrodowi, pomyślałam: może właśnie to widziałam? Ale chyba nie. Mogła to nie być wizja prawdziwego miejsca, ale idea. A kiedy obejrzałam pawilon i dowiedziałam się o waszych chikisakach, zrozumiałam: pewnego dnia wybuduję w Antiochii swoją chikisakę, w której chorzy i ranni znajdą pomoc i opiekę. To miejsce będzie taką gospodą, gospodą dla chorych i kalekich w ich drodze do zdrowia.

Rani westchnęła. Jakież ambicje miała ta młoda kobieta! I jakaż była szczęśliwa, mogąc do nich dążyć! Zupełnie inaczej wyglądałoby moje życie — pomyślała z zazdrością — gdybym przyszła na świat w jej świecie, nie w moim.

Rozległ się grzmot i obie kobiety spojrzały na taras. Zaczął kropić październikowy deszcz. Odstawiwszy filiżankę, Selena wstała i podeszła do jedwabnych zasłon.

— Kiedy wyruszacie? — usłyszała za plecami głos księżniczki.

— Jutro.

— Czyli znaleźliście dobrą trasę?

Selena nie odwróciła się, jakby mówiła do deszczu:

— Przyłączamy się z Wolfem do karawany niejakiego Gupty. On bardzo dobrze zna drogę przez Armenię i opłacił haracz górskim rozbójnikom. Obiecuje, że bezpiecznie dotrzemy do Morza Czarnego.

— A stamtąd?

Selena jeszcze przez chwilę wpatrywała się w deszcz, potem odwróciła się do księżniczki.

— Na wybrzeżu Kapadocji Wolf poszuka statku płynącego przez morze do Dunaju. Ja zaś skieruję się na południe, na drogę przez Cylicję. Dotrę do Antiochii, nim nadejdzie wiosna...

Obie kobiety długo na siebie patrzyły.

— Będzie mi ciebie brakować — powiedziała Rani.

— Mnie ciebie też...

Księżniczka musiała odwrócić wzrok. Przemknęło jej przez myśl, by spróbować nakłonić Selenę do pozostania nieco dłużej w Persji, wiedziała jednak o Andreasie, o róży z kości słoniowej, stanowiącej klucz do tożsamości Seleny, wiedziała o przysiędze, jaką Selena złożyła konającej kobiecie — że będzie szukała swego przeznaczenia. Wspaniała, obiecująca przyszłość roztaczała się przed Seleną, przyszłość, której Rani nie miała prawa jej pozbawiać. Rani właściwie nie rozumiała, co to jest przyszłość: teraz nie było przed nią przyszłości, w ogóle nigdy nie miała żadnej przyszłości. Gdy przyszła na świat jako dziewczynka, jej życie już było wytyczone: miała wyjść za mąż, urodzić dzieci, pozostać bez wykształcenia i wiedzy.

Kiedyś, dawno temu, Rani przeklinała swój los. Ale czas złagodził gorycz, nauczyła się być zadowolona z tego, co ma. Choć pozbawiona męża i dzieci była istotą bezużyteczną, nawet godną pogardy w tej części świata, ale jednak żyła, mogła czytać, rozmawiać z wykształconymi ludźmi. Pojawienie się Seleny na nowo roznieciło dawny gniew i żal. Przykuta do łóżka, zamknięta w tych paru komnatach, Rani znów zaczęła przeklinać społeczeństwo, w którym się urodziła.

Myślała też: Myliłam się. Selena nie jest tą, którą przepowiedziały gwiazdy, tą, która zabierze doktora Czandrę...

Obie kobiety umilkły. Księżniczka leżała na sofie, Selena patrzyła na padający deszcz, niby były blisko, ale myślami znajdowały się bardzo daleko od siebie. Podczas gdy Rani opłakiwała w duchu wyjazd nowej przyjaciółki, Selena zmagła się ze straszną decyzją, którą musiała podjąć.

Nie mogę wyjechać z Wolfem — myślała z rozpaczą. — Jeszcze wczoraj mogłabym ruszyć z nim do Armenii. Dziś jednak wszystko się zmieniło.

Selena odwróciła się. Patrzyła na Rani, zastanawiając się, czy może zdradzić swój sekret księżniczce, poprosić ją o radę. Przez te kilka tygodni Selena nauczyła się cenić spokojną siłę charakteru i mądrość Rani. Być niewolnicą chorego ciała i żyć w tych komnatach przez tyle lat! Tylko kobieta o wielkiej sile ducha potrafiłaby mimo to zachować godność i prawość.

Jak to jest? — zastanawiała się Selena, patrząc na pochyloną głowę Rani, małą okrągłą głowę z siwiejącymi włosami upiętymi na karku. — Życ w tych komnatach od trzydziestu lat i być odwiedzaną tylko przez jednego człowieka, doktora Czandrę?

Doktor Czandra...

Znowu powróciła natrętna myśl o tym tajemniczym małym człowieczku. Choć był cichy i trzymał się z boku, myśli Seleny nieustannie krążyły wokół niego niczym ćmy wokół płomienia.

Czemu jego osoba tak jej nie dawała spokoju? W ciągu tych kilku tygodni odezwał się do Seleny zaledwie kilka razy. Zapewne było poniżej jego godności rozmawiać z kobietą taką jak ona: niskiego rodu, z obcego kraju. A jednak Selena wiedziała, że się nią interesował. Ilekroć weszła do pawilonu, już tam był, stał z boku i obserwował ją. I prawie co wieczór, kiedy Selena odwiedzała księżniczkę, Rani pytała o to, co Selena tego dnia robiła z pacjentem, a co doktor Czandra zauważył i o czym jej opowiedział.

Jak chociażby tego ranka, gdy Selena pomogła Nimrodowi swoim „dotykem”.

Chociaż rana na głowie dobrze się goiła, długotrwałe leżenie w łóżku sprawiło, że w płucach astrologa zbierał się płyn. Wysiłki lekarzy i pielęgniarzy nie odnosiły skutku. Astrolog coraz bardziej niepokojąco kasłał, krztusił się i rzeził. Ponieważ leki nie pomagały, Selena zaproponowała, by spróbować jej „dotyku”, uprzedzając, że choć nie zawsze on pomaga, nigdy jeszcze nie zaszkodził.

I tak stanęła nad łóżkiem astrologa, wyciągnęła ramiona, przywołała obraz płomienia i wodziła dłońmi wzdłuż ciała chorego. „Dotyk” podziałał



uspokajająco na Nimroda. Jego oddech stał się lżejszy i mniej świszczący, po paru dniach płuca się oczyściły i Nimrod wracał do zdrowia.

Doktor Czandra przyglądał się, jak Selena stosuje swój „dotyk”, i tego samego wieczoru Rani pytała ją o to.

Selena zauważyła, że Rani bardzo interesuje się leczeniem. Posiadała też zadziwiająco rozległą wiedzę z tej dziedziny.

Pewnego popołudnia Selena zobaczyła, że do pawilonu sprowadzono owcę i ustawiono ją przy łóżku chorego. Pacjent dmuchnął w nozdrza owcy, po czym zwierzę zabrano. Wieczorem Selena spytała o to księżniczkę, a ta odparła:

— To sposób stosowany przy wyjątkowo trudnych diagnozach. Owcę zabrano potem do świątyni, zarżnięto i zbadano wątrobę, by sprawdzić, co dolega choremu.

— Wiele wiesz o medycynie — powiedziała tamtego wieczoru Selena, na co księżniczka odparła, odwracając wzrok:

— Mój jedyny przyjaciel jest lekarzem.

Teraz, kiedy Selena cofnęła się do komnaty i podeszła do Rani, księżniczka spytała:

— Wyruszenie z Wolfem mimo deszczowej pogody?

— Musimy, jeśli chcemy zdążyć przed śniegami. Selena podniosła filiżankę, chwilę trzymała ją przy ustach, po czym odstawiła.

— Rani, mam kłopot — powiedziała.

— Jaki?

— Spodziewam się dziecka — powiedziała cicho Selena.

Rani popatrzyła na nią zaskoczona, potem chwyciła dłonie Seleny.

— Bogowie cię pobłogosławili, moja droga! To nie powód do smutku!

— Ależ tak! Nie rozumiesz? Nie mogę jechać z Wolfem! Nie mogę teraz ruszać w podróż!

Uśmiech zniknął z twarzy Rani, na jej czole pojawiła się zmarszczka.

— No tak. Oczywiście. I co Wolf na to? Odłoży wyjazd?

— Nie powiedziałam mu jeszcze.

— Dlaczego?

— Bo jeśli mu powiem, że jestem w ciąży, zostanie. Nie pojedzie z Gupta.

— Zatem wyruszą oboje, kiedy dziecko się urodzi. Selena potrząsnęła głową.

— To będzie męcząca droga. Dziecko byłoby tylko kłopotem. Musielibyśmy poczekać w Persji, aż podrośnie na tyle, by wytrzymać ciężką podróż. A zresztą, co potem? Dokąd byśmy pojechali? Cóż by to była za

rodzina? Wolf ma własną rodzinę w Germanii, żonę i syna, do których musi wrócić. Ja zaś muszę wrócić do Antiochii i Andreasa. Jak byśmy żyli, my dwoje i dziecko? To nie miało się stać, Rani. Ja i Wolf nie byliśmy sobie przeznaczeni, by zawsze żyć razem.

Łzy w oczach przyjaciółki sprawiły ból księżniczce.

— Wobec tego nie możesz mu powiedzieć — odparła miękko. — Dla dobra was obojga. Musisz znaleźć jakiś pretekst, by tu zostać. Musisz nalegać, by wyruszył sam.

— Jakże mogłabym mu nie powiedzieć — wyszeptała Selena. — Nie mogę trzymać tego w tajemnicy. Wolf ma prawo wiedzieć!

Twarz Rani spochmurniała, gdy pomyślała: Tajemnice. Ja swoją straszną tajemnicę dźwigam od trzydziestu sześciu lat i tylko jedna osoba ją zna. Nimrod. Nimrod wie...

— Byłabym samolubna, gdybym powiedziała Wolfowi o dziecku — mówiła Selena. — Bo wiem, że wtedy zostałby ze mną. Gdyby wiedział o dziecku, nie opuściłby Persji. A on musi wracać teraz do swych ludzi, którzy go potrzebują. Ja zaś muszę wrócić do Syrii i odszukać Andreasa. Kocham Wolfa, Rani, ale to Andreasowi przyrzekłam duszę i ciało. To są dwaj różni mężczyźni i każdego z nich kocham inaczej. Wolf był ze mną na wygnaniu, uratowałam jego życie, a on uratował moje. To, co nas łączy, jest czymś specjalnym, wyjątkowym. Ale dążymy ku różnym przeznaczeniom. Och, Rani — westchnęła Selena — co mam począć?

Ale księżniczka nie od razu odpowiedziała. Ze zdumieniem wpatrywała się w Selenę, nagle coś pojawiwszy. Wreszcie przemówiła, ale z jej ust dobył się tylko szept:

— Na bogów, więc to jednak ty... Selena spojrzała na nią.

— Ty będziesz końcem doktora Czandry — mówiła pospiesznie Rani. — Seleno, co zrobisz po urodzeniu dziecka? Dokąd pojedziesz?

— Do Antiochii. Kiedy już dziecko będzie na tyle silne. I południowym szlakiem. Żołnierze Lashy nie będą szukali samotnej kobiety z niemowlęciem...

— Zabierz mnie ze sobą!

— Zabrać cię...?

— Weź mnie na zachód, Seleno! Pomóż mi uciec z tego więzienia! Chcę zobaczyć świat. Chcę zobaczyć twój świat! Seleno, posłuchaj. — Rani mówiła z pośpiechem, twarz płonęła jej podnieceniem. — Nimrod powiedział mi, że w pałacu zjawi się czterooka istota, która położy kres pobytowi doktora

Czandry w pałacu. Ty jesteś tą osobą, Seleno. Ty i dziecko w twym łonie macie razem czworo oczu.

Selena czuła się oszołomiona.

— Ale co ja mam uczynić doktorowi?

— Zamierzasz stąd wyjechać, prawda? Jeśli pojedę z tobą, pobyt doktora Czandry zakończy się i proroctwo się spełni.

— Nie rozumiem.

Rani klasnęła w dłonie i zjawiła się Miko, stara służąca. Księżniczka powiedziała coś do niej po persku. Na twarzy Miko pojawiło się zdziwienie. Potem Rani zwróciła się do Seleny:

— Zdradzę ci tajemnicę, o której nie wie nikt, z wyjątkiem moich niewolnic i Nimroda.

Zaskoczona Selena patrzyła, jak stara Miko wraca, niosąc w ręku tobolek. Położywszy go obok księżniczki, wycofała się, na jej twarzy malowała się podejrzliwość. Selena drgnęła, widząc jak Rani nagle odrzuca narzutę i opuszcza nogi na podłogę.

— Tutaj — powiedziała, chwytając tkaninę osłaniającą tobolek. — Tutaj jest doktor Czandra.

Ku jeszcze większemu zdumieniu Seleny Rani odrzuciła tkaninę i odkryła leżące na wierzchu, znane Selenie z pawilonu: cytrynowy kaftan i turban oraz ogromną czarną brodę.

— Spójrz — powiedziała Rani, przykładając brodę do twarzy. — Teraz już rozumiesz?

Selena szeroko otworzyła oczy.

— Ty? — spytała. — To ty jesteś doktorem Czandra? Rani wstała z sofy, rzuciła na nią sztuczną brodę i podeszła do zasłon.

— Chciałam leczyć, od kiedy tylko pamiętam — zaczęła swoją opowieść, patrząc na cicho padający deszcz. — Już jako dziecko zajmowałam się chorymi zwierzętami. Nie mogłam pogodzić się z niesprawiedliwością świata, w którym się uważa, iż kobieta nie jest godna, by leczyć.

— Byłam upartym dzieckiem. Okropnie kłóciłam się z ojcem. Chciałam pojechać do którejś z wielkich szkół medycznych w Madrasie czy Peszawarze. Równie dobrze mogłabym żądać gwiazdki z nieba! Kiedy ojciec oznajmił, że zostanę wysłana do Persji, gdzie wyjdę za mąż za księcia, zamknęłam się w mojej komnacie i próbowałam zagłodzić na śmierć. Miałam dwanaście lat i wiedziałam, czego chcę w życiu.

Rani odwróciła się i uśmiechnęła do Seleny:

— Ślubu z grubym księciem i rodzenia mu dzieci nie było w moich planach.

Selena słuchała z zapartym tchem. Kiedy Rani przyznała się, iż przez ostatnie trzydzieści lat prowadziła podwójne życie, wiele elementów układanki zaczęło do siebie pasować: to, że Rani wie tyle o medycynie, że zna w najdrobniejszych szczegółach poczynania Seleny w pawilonie, że Selena nigdy nie spotkała doktora Czandry w komnatach księżniczki i że doktor Czandra tak rzadko się do niej odzywał.

— Dopilnowałam, żeby nikt nie widział moich obu wcieleń — wyjaśniła Rani. — Ci, którzy pracują z doktorem Czandra, nigdy nie spotkali księżniczki. Oprócz Nimroda, od trzydziestu lat ty i Wolf jesteście pierwszymi ludźmi, którzy widzieli mnie i jako księżniczkę, i jako mężczyznę.

Wtedy Selena wyznała, jak zagadkowy wydał jej się „paraliż” księżniczki, i opowiedziała o sposobie, którego nauczył ją Andreas.

— Jeśli połaskocze się podeszwę zdrowej nogi, palce odruchowo się skurczą. Gdy noga jest sparaliżowana — nie. Twoje palce się skurczyły. Było to dla mnie zagadką.

Selena wstała i podeszła do Rani stojącej u wyjścia na taras.

— Co się stało, kiedy cię tu przywieziono? — spytała.

— Początkowo chciałam uciec — odparła księżniczka, drobną śniadą ręką dotykając zasłony. — Sądziłam, że uda mi się przebrać za chłopca i podróżować po świecie. Byłam bardzo niespokojnym duchem... — Westchnęła. — Ale zamknięto mnie w komnacie aż do wigilii zaślubin. W ostatecznej rozpaczy wymyśliłam „gorączkę” i udawałam, że nie mogę chodzić. Wiedziałam, że wtedy żaden mężczyzna nie będzie mnie chciał.

Odwróciła się do Seleny.

— Tu, w Persji, nie wiemy o tym twoim odruchu podeszwy. Gdyby było inaczej, moje oszustwo zapewne wyszłoby na jaw dawno temu. Znosiłam szczypania i kłucia lekarzy, w końcu zostawiono mnie w spokoju, a potem zapomniano. Księżę poślubił inną, a ja stałam się Nieszczęsną.

Cichemu głosowi Rani wtórował szelest deszczu na liściach i trawie. Księżniczka opowiadała o pierwszych sześciu latach samotności, o tym, jak zaprzyjaźniła się z astrologiem, który przyszedł ustalić jej horoskop, jak nauczyła się czytać i pisać, i wreszcie o tym, jak w wieku osiemnastu lat wymyśliła sposób na swobodne poruszanie się po pałacu.

— Nimrod mi pomógł. Przyniósł mi męskie szaty i sztuczną brodę, po czym przedstawił mnie w pawilonie jako doktora Czandrę. Trzymałam się na

uboczu, przyglądając się, mało mówiąc i ucząc się. Zamierzałam opuścić pałac jako doktor Czandra i udać się do wielkich miast, by osiąść wiedzę. Ale... jakoś nigdy się na to nie zdobyłam.

A potem stopniowo polubiła swoje podwójne życie w pałacu: za dnia była szanowanym lekarzem i cieszyła się przywilejami mężczyzny, nocą stawała się rozpieszczoną księżniczką.

— Niewolnice odprawiały gości, mówiąc, że śpię w ciągu dnia. Ale w gruncie rzeczy nie pamiętano o mnie. Rzadko ktoś mnie odwiedzał. To była wymarzona sytuacja. Mogłam czytać, uczyć się, czego tylko chciałam. Miałam to, co dla kobiet zakazane: książki, chorych w pawilonie, gwiazdy nad obserwatorium Nimroda. Jediną ceną, jaką musiałam za to wszystko zapłacić, było... życie kobiety. Dawno temu zdałam sobie sprawę, iż z chwilą rozpoczęcia podwójnego życia na zawsze odbieram sobie możliwość zakochania się, bycia kochaną, poznania, czym jest męska opieka, posiadania dzieci. Gdyby odkryto, że przebrałam się za mężczyznę, zostałabym ukarana, skazana na śmierć. Dlatego...

Westchnęła smutno.

— Kiedy wydawało mi się, że się zakochałam, kiedy jeden z lekarzy przypadł mi do serca, odwróciłam się od niego. Oczywiście nikt o tym nie wiedział. A już najmniej ten przystojny młody lekarz, w którym zakochałam się wtedy, dawno temu. Jakiś czas potem opuścił pałac...

— Dlaczego nigdy nie wyjechałaś? — spytała miękko Selena.

Rani odwróciła się i popatrzyła na Selenę.

— Po cóż bym miała wyjeżdżać? Po pewnym czasie wydało mi się to tak cudownym życiem — z wyjątkiem tego, co musiałam poświęcić i o czym wspominałam — że świat zewnętrzny przestał mnie pociągać. Ale teraz znów mnie wzywa, Seleno, i to dzięki tobie! Uświadomiłam sobie, że tu już niczego więcej się nie nauczę i że nadszedł czas, bym zobaczyła świat. Kiedy Nimrod powiedział o tym, co przepowiadają gwiazdy, ogarnął mnie strach. Czy to oznacza wyjazd? — zastanawiałam się w duchu. Jeśli tak, to dokąd? A może to oznacza śmierć? Wtedy zjawiłaś się ty.

Wyciągnęła rękę i dotknęła ramienia Seleny.

— Przypomniłaś mi o dawno zapomnianych pragnieniach mego dzieciństwa. By obejrzeć świat.

Jej brązowe oczy zwilgotniały.

— Seleno — szepnęła Rani błagalnie — tyle chcę zobaczyć, tyle chcę zrobić. Tak wiele mogę się nauczyć, tak wiele mogę ofiarować. Mam już czterdzieści osiem lat, pora rozpocząć życie. Seleno, weź mnie ze sobą.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Selena i Wolf spierali się przez całą noc, a teraz się żegnali.

W końcu Wolf ustąpił. Selena oznajmiła, że chce zostać w Persji i wiosną jechać na południe. Ale on musi ruszać, Gajusz Watyniusz wrócił nad Ren, a Wolf zbyt długo już był poza domem.

— Musisz słuchać wiatru, który szarpie twą duszą — powiedziała — a ja muszę iść tam, gdzie prowadzi moje przeznaczenie.

Spierali się, potem płakali, a teraz, kiedy brzask złocił się na wschodzie, trzymali się po raz ostatni w ramionach.

Tuląc się do Wolfa, Selena myślała: To nie tylko początek nowego dnia, ale i nowego życia.

— Napisz list do Andreeasa — nalegała wcześniej Rani.

— Wyślemy go przez królewskiego kuriera. Każę mu odnaleźć Andreeasa w Antiochii. Na wiosnę, Seleno, dostaniesz odpowiedź.

I tak oto Selena płakała w objęciach Wolfa, czując, jak ich dwa wspólnie spędzone lata zaczynają się rozplýwać. Przywierając do niego, czując jego fizyczną obecność, wiedziała, że wkrótce Wolf stanie się tylko wspomnieniem.

Najmilszy towarzyszu mego wygnania — szeptała w myśli — pozostaniesz ze mną na zawsze. W moim sercu i w dziecku, które noszę...

# KSIEGA SZÓSTA

Jerozolima

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Dziewczynę wleczono ulicami na sznurze. Ręce miała skrępowane na plecach. Za nią szedł rozgniewany tłum, zbierając po drodze kamienie. Uświadomiwszy sobie nagle, co zaraz się stanie, Selena zatrzymała się i rozejrzała wokoło. Gdzie one się podziały?

Z narastającym niepokojem wodziła wzrokiem po zatłoczonej ulicy, szukając dwóch znajomych głów: małej siwej głowy Rani obok brązowych loków Ulryki. Od chwili przybycia do Jerozolimy nieraz już je rozdzielono i Selenę ogarniał coraz większy lęk. Nie podobało jej się to hałaśliwe zatłoczone miasto, a zmienne nastroje jego mieszkańców budziły w niej obawę.

— Rani! — krzyknęła, wypatrzywszy je wreszcie. — Ulryko! Tu jestem!

Ale rozdzielił je tłum idący za związaną dziewczyną. Selena pokazała gestem swoim towarzyszkom, żeby zostały na miejscu, spróbowały się schować w jakiejś bramie, lecz ku swemu przerażeniu zobaczyła, jak porwała je fala ludzi.

Nie! — pomyślała. — Ulryka nie może tego zobaczyć!

Selena, Rani i Ulryka były częścią ogromnego tłumy, wylewającego się z bramy od strony Damaszku. W Jerozolimie panował taki tłok z powodu wiosennych uroczystości. Za murami miasta Judea pławiła się w przepięknych kolorach wiosny. Kwitły tulipany, złociste szafrany i czerwone jak krew anemony, w sadach wieśniacy przycinali drzewa, zakwitła winorośl, a na drzewach figowych pojawiły się zielone owoce. Za to w murach miasta wszędzie było pełno pielgrzymów: na ulicach, w gospodach, oberżach. Rozpalały się namiętności, ludzie łatwo wybuchali gniewem.

Cóż takiego zrobiła ta dziewczyna — zastanawiała się Selena — że ją włoką ulicami?

Próbowała przedrzeć się przez tłum do Rani i córki, ale gniewny motłoch nie ustępował. Nagle ku jej zdumieniu ktoś wcisnął jej do ręki kamień.

— Rani! — krzyknęła ponownie, tłum dotarł do końca ulicy i wysypał się na mały placzyk, omal nie przewróciwszy Seleny. Najpierw zniknęła jej z oczu głowa Rani, potem Ulryki.

Ludzie z wykrzywionymi wściekłością twarzami zapełnili mały, zalany słońcem placyk. Związaną dziewczynę zawleczono pod mur.

— Nie — szepnęła Selena, próbując się przecisnąć przez zbity tłum.

Gdy jej skrzynka z lekami o mało nie uwięzła w tłoku z tyłu za nią, przeciągnęła ją przed siebie i mocno przycisnęła do piersi. Twarze, ramiona, wymachujące ręce zasłaniały jej widok. Nigdzie nie widziała Rani, Ulryka też zniknęła. Z przodu, w pustym kręgu wokół związanej dziewczyny, ktoś przemawiał do tłumu. Padały słowa: „ladacznica”, „grzesznica”, „zdrajczyni”, a tłum odpowiadał wrzaskiem. Ogarnięta nagłym strachem Selena podwoiła wysiłki — byle się przedrzeć, byle oszczędzić córce widoku tego, co tu ma nastąpić. Ale ludzie — mężczyźni, kobiety, nawet dzieci — tak się tłoczyli, że Selena nie mogła się ruszyć.

Wbrew woli obróciła się w tamtą stronę i między ludźmi zobaczyła dziewczynę stojącą ze spuszczoną głową.

To jeszcze dziecko — pomyślała Selena.

Mężczyzna przemawiający do tłumu wykrzykiwał słowa potępienia, które ledwie docierały do Seleny. Mówił coś o „prawie” i „pismach”. A potem Selena z przerażeniem zobaczyła, jak ten człowiek opuszcza pusty krąg i przyłącza się do tłumu.

Kiedy pofrunął pierwszy kamień, Selena patrzyła szeroko otwartymi oczami, nie mogąc się ruszyć, ściśnięta wśród gawiedzi. Kamień ominął dziewczynę, stojącą ze zwieszoną głową, z rękami związanymi na plecach. Drugi trafił ją w ramię. Nie uchyliła się, nie próbowała bronić.

Kiedy posypały się następne kamienie, z czego większość mijała lub tylko muskała dziewczynę, Selenę mimo ciepła wiosennego dnia ogarnął straszliwy chłód. Widziała, jak stojąca z brzegu drobna staruszka z siwymi, wymykającymi się spod chusty włosami rzuca kamień, który uderzył dziewczynę prosto w twarz. W oczach staruszki płonął ogień, twarz wykrzywił grymas, jaki mógł wyrażać równie dobrze ból i radość.

Kamienie padały coraz gęściej. Dziewczyna osunęła się na kolana. Na jej czole pojawiła się strużka krwi.

— Ladacznica! — ryczał tłum. — Zdrajczyni!

Wtem, kiedy Selena już myślała, że dojdzie do najgorszego, że dziewczynę ugodzi ten ostatni, morderczy kamień, z bocznej uliczki wypadło dwóch rzymskich żołnierzy. Czerwone płaszcze łopotwały, obnażone miecze lśniły w słońcu. Biegli pod gradem kamieni, zasłaniając się tarczami i przywołując ludzi do porządku. Ich obecność jeszcze bardziej rozjuszyła tłum, który



ruszył, jakby chciał żołnierzy pochwycić, ale na widok obnażonych mieczy cofnął się.

Selena gorączkowo rozglądała się za Rani i Ulryką. Motłoch kipiał nienawiścią. Jeden z żołnierzy osunął się na dziewczynę, zasłaniając ją własnym ciałem. Selena zobaczyła, że ramię żołnierza jest głęboko rozcięte ostrym kamieniem. Jego towarzysz usiłował samotnie walczyć z tłumem.

I nagle wszędzie pojawiły się czerwone płaszcze, miecze i tarcze. Ludzie zaczęli krzyczeć i uciekać w panice. Potrącana Selena próbowała utrzymać się na nogach wypatrując Rani i Ulryki. Popchnięto ją na ścianę, obok niej mężczyźni i kobiety pędzili niczym stado dzikich zwierząt.

Rzymianie torowali sobie drogę mieczami, jakby wycinali drogę w dżungli, w końcu placyk opustoszał i zapadła nad nim niesamowita cisza.

— Ulryka! — krzyknęła Selena, widząc Rani i dziecko wychodzące z jakiejś bramy.

— Mamusia!

Dziewczynka podbiegła z rozwianymi włosami do Seleny i objęła ją ramionami. Rani podeszła wolniej, kulała.

— Nic ci się nie stało? — spytała Selena, odsuwając dziecko.

— Nic, mamusiu.

Policzki dziewczynki płonęły, w bladobłękitnych, szeroko otwartych oczach błyszczało podniecenie. Selena odetchnęła z ulgą, dziecko niczego nie zobaczyło, nic nie zrozumiało.

Odwróciwszy się do Rani, Selena zobaczyła, że przyjaciółka nie kieruje się ku niej, ale przechodzi przez plac do miejsca, gdzie szlochając histerycznie dziewczynę uwalniano z więzów. Kiedy rozcięto jej sznury na rękach, rzuciła się do żołnierza, leżącego bez przytomności na bruku. Selena, trzymając mocno Ulrykę za rękę, podeszła bliżej i zobaczyła, że to ten sam, który osłonił dziewczynę własnym ciałem. Spadł mu hełm, na głowie widać było głęboką ranę.

— Cicho, cicho, panienko — mówił jeden z przybyłych żołnierzy, siwowłosa weteran, próbując odciągnąć dziewczynę od nieprzytomnego kolegi.

— Nie żyje! — krzyknęła. — Korneliusz nie żyje! Rani już klęczała przy rannym i badała go.

— Nie, on żyje — orzekła. Mówiła po aramejsku, z wyraźnym obcym akcentem. — Ale potrzebuje natychmiastowej pomocy.

— Zajmiemy się tym — oświadczył uprzejmie weteran, dając znak pozostałym dwóm żołnierzom, by podeszli i zabrali kolegę.

— Możemy mu pomóc — powiedziała Selena, klękając przy roztrzęsionej dziewczynie i próbując ją uspokoić.

— Nie, nie trzeba. Proszę się nie kłopotać. Postawimy Korneliusza na nogi. No, wy dwaj, do roboty.

Kiedy szlochająca dziewczyna chciała ruszyć za żołnierzami, weteran delikatnie ją odsunął, a Selena i Rani wzięły pod ręce i zaprowadziły do małej fontanny w głębi bocznej uliczki. Obmyły i opatrzyły jej rany, a gdy dziewczyna w końcu przestała szlochać, dowiedziały się, że ma na imię Elżbieta, a ranny żołnierz, Korneliusz, był jej ukochanym.

— Ale się dowiedzieli o tym — mówiła z żalem, szarpiąc palcami pokrwawioną suknię. — Nie mieli prawa mnie kamienować. Źle mnie osądzili. To nie jest zapisane w prawie. Nie zrobiłam nic złego. Ale oni nienawidzą Rzymian i dlatego uważają mnie za zdrajczynię.

Odprowadziły ją do domu, który znajdował się niedaleko placu, a kiedy zatrzymały się przed drzwiami, zaprosiła je do środka.

— Okazałyście mi dobroć. I chciałyście pomóc Korneliuszowi.

Ale Selena, spojrzawszy na chylące się ku zachodowi słońce, powiedziała:

— Dziękujemy, ale przed zmrokiem musimy znaleźć nocleg. Właśnie przybyliśmy do Jerozolimy.

— Och, ależ nigdzie nic nie znajdziecie! — zawołała Elżbieta. — W czasie Paschy nigdy nie ma miejsc w gospodach. A z pewnością nie dla was trzech. Proszę, zostańcie u mnie, miejsca mam wiele, a będzie to dla mnie prawdziwy zaszczyt.

Selena nie mogła odmówić. Robiło się późno, Ulryce chciało się spać, a Rani bolała stopa, na którą ktoś nadepnął w tłumie.

Dzisiejszego ranka dotarły do Bramy Damasceńskiej i zostawiły swoje rzeczy pod opieką ludzi z karawany, odpoczywającej przed dalszą podróżą do Cezarei. Elżbieta opłaciła dwóch chłopców z sąsiedztwa, żeby po nie poszli.

Gdy Selena szykowała prostą kolację, złożoną z chleba, sera i oliwek, Rani obejrzała rany Elżbiety, a potem przyłożyła na nie pleśń z chleba i obandażowała. Dała jej też do wypicia uspokajający wywar z kwiatów czerwonej koniczyny. Ulryka, przyzwyczajona do obcych mieszkań i noclegów pod cudzym dachem, usiadła w kącie przy dużym warsztacie tkackim i bawiła się lalką.

Podczas kolacji Elżbieta zaczęła płakać. Rani otoczyła ją ramieniem, a Selena spytała:

— Masz jakąś przyjaciółkę, po którą mogłybyśmy posłać? Gwałtowny ton odpowiedzi zaskoczył obie kobiety:

— O tak, mam przyjaciółki! Od śmierci matki mieszkam tu sama, ale ten dom należy do mnie i tkactwem nieźle zarabiam na życie. Nie brak mi przyjaciółek! Rebeka z naprzeciwka, Rachel, która mieszka trochę dalej, żona rabina... — Twarz Elżbiety poczerwieniała z gniewu. — Ale... Przecież to jedna z nich na mnie doniosła! Jedna z nich powiedziała o Korneliuszu!

Znowu zalała się łzami, płakała dłuższą chwilę, a potem odezwała się cicho:

— Nie jesteśmy kochankami. Ten, kto zdradził moją tajemnicę, kłamał. Spotkałam Korneliusza na targowisku. Wydał mi się taki przystojny. Zaczęłam się za nim oglądać, a on za mną. Wkrótce potem zaczęliśmy się spotykać za murami miasta. Zawsze uważaliśmy, by nikt nas nie zobaczył. Ale któraś z moich niby-przyjaciółek musiała nas wypatrzeć, bo wkrótce wszystkie zaczęły mnie ostrzegać, bym się z nim nie widywała. Nie jesteśmy kochankami! Nawet się nie pocałowaliśmy! Ale oni mają brudne myśli. Przyjaciółki przestały mnie znać. Powiadają, że Rzymianie to nasi wrogowie, zaborcy. Mówią, że przyjaźniąc się z Korneliuszem, zdradzam swój naród.

Elżbieta otarła oczy.

— Dlaczego miłość przynosi tyle bólu?

Selenę nagle coś ścisnęło w gardle. Odłożyła chleb i wpatrzyła się w szorstki blat stołu.

Dlaczego miłość przynosi tyle bólu?

Poczuła w sercu ukłucie na myśl o Andreasie.

W końcu wróciła wtedy do Antiochii...

Elżbieta była ciekawa, kim są jej goście. Spojrzała na Ulrykę, śliczną dziewczynkę o oczach przywodzących na myśl letnie niebo, i pomyślała, że to dziwnie spokojne i zamyślane dziecko.

— Masz śliczną córkę — zwróciła się do Seleny, a na jej twarzy malowało się pytanie, które Selena słyszała wielokrotnie w czasie ostatnich siedmiu lat, od kiedy opuściła Persję.

— Ojciec Ulryki zmarł przed jej przyjściem na świat. Mówiła to już tyle razy, że czasem niemal w to wierzyła.

Prawdy o tym, jak Wolf opuścił Persję ponad dziewięć lat temu, nie wiedząc o jej ciąży, nie wyznała nikomu, nawet Ulryce.

Te tylekroć wypowiedane słowa wyzwoliły wspomnienia. W drodze do Jerozolimy zatrzymały się na jakiś czas w Petrze i pewnego dnia Ulryka przybiegła z płaczem, ponieważ jakiś dzieciak z sąsiedztwa nazwał ją bękartem.

— On mówi, że bękart nie ma ojca — szlochała — i że ja jestem bękartem, bo nie mam ojca.

Selena przytuliła córkę.

— Nie słuchaj, co mówią inni, Ulryko, bo oni nie wiedzą. Ty masz ojca, ale on umarł i teraz jest z Boginią.

Siedząca przy stole i szykująca lekarstwa Rani zerknęła na Selenę spod oka. Kiedy powiesz jej prawdę? — mówiło jej spojrzenie.

Kiedy Ulryka była malutka i zaczęła zadawać pytania, Selena przekazała jej wszystko, co wiedziała o narodzie Wolfa. Ulryka wiedziała o Drzewie Świata, o Ładzie Mroźnych Olbrzymów i o Odynie mieszkającym w Środku Ziemi. Wiedziała też, że imię otrzymała po swej germańskiej babce, mądrej plemienia, Ulryce, imię to oznacza „potęgę wilka”. Dziewczynka wiedziała również, że jej ojciec był księciem swego ludu.

Tylko tę część prawdy wyznała Selena córce.

— Jak wytłumaczę dziecku, dlaczego ojciec nie jest z nią? — mówiła do Rani tamtej nocy w Petrze. — Jak mam jej powiedzieć, że odjechał do innego kraju? Ze ma inną rodzinę? Jak zrozumie, że nie mogłam mu o niej powiedzieć? Znienawidziłaby mnie, bo pozwoliłam mu odejść, i nie pojmie, dlaczego musiałam to zrobić. Lepiej mówić, że ojciec nie żyje. Przynajmniej na razie. Kiedy będzie starsza, powiem jej prawdę.

— A kiedy to nastąpi? — spytała Rani, nie do końca przekonana, czy Selena ma rację.

A kiedy to nastąpi? — zadawała sobie pytanie Selena, pomagając Elżbiecie zbierać talerze i sprzątać ze stołu. Z pewnością jeszcze nie teraz. Ulryka ma dopiero dziewięć lat. Powiem jej prawdę w czasie uroczystości przywdziania stoli, kiedy skończy szesnaście lat.

Lecz Ulryka nieustannie pytała o ojca, ostatnio stało się to niemal jej obsesją.

Selena zaczęła się więc zastanawiać, czy jednak nie powinna była wyznać prawdy już dawniej, tamtego wieczoru w Petrze, może nawet zrobić to dziś, teraz, w domu Elżbiety. Ulryka bowiem zaczęła utożsamiać ojca z bogiem. W swoim dziecięcym umyśle uczyniła z niego kogoś na kształt herosa. Nigdy nie miała dość opowieści o jego przygodach. Może — zastanawiała się Selena — gdyby Ulryka знаła prawdę, Wolf stałby się dla niej człowiekiem z krwi i kości i nie traktowałaby go z taką czcią.

I znienawidziłaby mnie za to, że pozwoliłam mu odejść...

Wsluchując się w ciszę uśpionej Jerozolimy, zastanawiała się, czy Wolf dotarł do swoich lasów, czy odnalazł żonę i rodzinę, czy w końcu stanął twarzą w twarz z Gajuszem Watyniuszem i dokonał na nim zemsty.

— Skąd przybywacie? — spytała Elżbieta, stawiając na stole czarki z winem.

— Teraz jedziemy z Palmiry — odparła Selena, rozkoszując się winem i spokojem domku Elżbiety po długiej podróży przez pustynię. — Ale w ogóle to z.,. Persji.

— Z Persji! — wykrzyknęła Elżbieta. — Toż to na drugim końcu świata!

Tak, rzeczywiście — pomyślała Selena. — Wiele mil stąd, o całe życie stąd.

Minęło już prawie dziesięć lat od czasu, kiedy stanęła na perskiej ziemi po ucieczce rzeką z Babilonu.

Dwa lata temu, po tak długim czasie marzeń i tęsknoty, pokładania nadziei i opierania na tym wszystkich planów, Selena w końcu wróciła do Antiochii...

— Przybyłyście do Jerozolimy obchodzić Święty Tydzień? — spytała Elżbieta.

— Nie — odparła cicho Selena. — Jerozolima to tylko krótki przystanek w naszej podróży. Wędrujemy od siedmiu lat.

— I dokąd zmierzacie?

— Do Egiptu.

— A cóż takiego jest w Egipcie?

Na twarzy Seleny pojawił się wyraz zadumy. Rzeczywiście, cóż takiego jest w Egipcie?

— Szukam rodziny — powiedziała wreszcie. — Urodziłam się w Palmirze, ale moi rodzice pochodzą z Aleksandrii. Mam nadzieję, że trafię tam na ich ślad.

I odnajdę Andreasa — dodała w duchu.

Przed siedmioma miesiącami, w sierpniu, Selena i Rani dotarły do Palmiry, prawie dokładnie trzynaście lat po napadzie na karawanę i uwięzieniu Seleny w pałacu w Magnie. Wypytywała w Palmirze i dopisało jej szczęście: znalazła człowieka, który przypomniał sobie Rzymianina z ciężarną żoną i ową wietrzną noc sprzed wielu lat.

Pamiętał ją, w gospodzie jego ojca bowiem zatrzymała się tamta karawana z Aleksandrii, z którą przybył szlachetnie urodzony Rzymianin i jego zaczynająca rodzić żona. Gospodarz skierował małżeństwo do chaty mądrej na skraju miasta i dał im dwa osły ze swej stajni. Kiedy Selena i Rani zdziwiły

się, że mężczyzna tak dobrze pamiętał owo, w końcu drobne, wydarzenie sprzed tylu lat, wyjaśnił:

— Wkrótce po tym, jak Rzymianin z żoną oddalili się, do gospody wpadli żołnierze, pytając, dokąd tamci pojechali. Ojciec powiedział im o mądrej, a jeden z żołnierzy chwycił mnie i kazał zaprowadzić się do jej domu. Byłem jeszcze chłopcem, do tego wystraszonym. Zaprowadziłem ich do domu mądrej, potem stanąłem przy oknie i widziałem, co zrobili. Z zimną krwią zamordowali Rzymianina i wywlekli młodą matkę z noworodkiem. Właśnie dlatego tak dobrze pamiętam ową noc.

I matka, i dziecko żyli, kiedy żołnierze ich zabrali, zapewnił Palmirczyk. Nie wiedział jednak, co się stało z mądrą.

— Chyba nie spocznę — mówiła Selena do zasłuchanej Elżbiety siedzącej przy lampie — póki się nie dowiem, co się stało z moją matką i bratem bliźniakiem. Muszę wiedzieć, czy żyją czy też umarli. I z jakiego rodu pochodzę, czyja krew płynie w moich żyłach. Podobno rodzice byli szlachetnie urodzeni...

— I nie wiesz nic więcej? — spytała Elżbieta. — Nie masz niczego, co by ci pomogło odnaleźć rodzinę?

— Niegdyś miałam coś takiego — odparła cicho Selena — ale dałam to pewnej osobie...

Selena i Rani zostały w Persji jeszcze dwa lata po przyjściu na świat Ulryki, po pierwsze dlatego, że panowała tam epidemia i nie można było opuścić kraju, a po drugie dlatego, że czekały na królewskiego posłańca z odpowiedzią od Andreeasa.

Posłaniec wrócił do Persji wiosną, opowiadał, że przeszukał całą Antiochię i nie znalazł lekarza o imieniu Andreas ani nikogo, kto by go znał. Oddał Selenie jej nierozpieczętowany list.

Elżbieta była zaintrygowana swoimi gośćmi. Obie wyglądały tak jak inne kobiety w podróży. Miały na sobie długie lniane suknie i płaszcze z kapturami zakrywającymi włosy i twarze. Jak wszyscy podróżnicy, każda miała przy pasie bukłak, pusty, ale obciążony kamieniem, by bez trudu tonał w studni, gdy trzeba będzie wyciągnąć wodę. Obie też nosiły przy pasie małe sztylety, Elżbieta podejrzewała, że gdzieś muszą mieć ukryte sakiewki ze złotem. Ale na tym kończyło się ich podobieństwo do przeciętnych podróżniczek.

Gospodyni nie zdołała powściągnąć ciekawości.

— Jak to się dzieje, że możecie podróżować tak swobodnie? — spytała.

— Umiemy leczyć — wyjaśniła Rani. — Możemy zarabiać na podróż.

Fakt, że była ogromnie bogata, Rani trzymała w tajemnicy. Opuszczając pałac, zabrała swój majątek, nosiły go ze sobą zaszyty w ubraniach i ukryty w bukłakach, rzekomo przeznaczonych na wodę.

— Leczyście! To dlatego mogłyście mi pomóc, dlatego macie przy sobie te cudowne leki! — W oczach Elżbiety pojawiła się zazdrość. — Możecie podróżować, gdzie chcecie, wiedząc, że wszędzie będziecie mile widziane.

Tak — pomyślała Selena — wszędzie...

Nie zazna bowiem spokoju, nigdzie nie osiadzie na stałe, póki nie odnajdzie Andreasa.

Z Antiochii Selena i Rani udały się do Palmiry, łudząc się, że może jednak Andreas został tam przed trzynastu laty, gdy poszukiwał Seleny. A kiedy i tam go nie znalazły, Selena wiedziała, dokąd musi się teraz udać: do Aleksandrii, gdzie znajduje się szkoła medyków, w której przed łąty kształcił się Andréas, być może znowu tam wrócił.

I znów Selena przekonała się, że prowadzi ją ręka bogów. To nie przypadek sprawił, iż obydwie cele jej poszukiwań — własna tożsamość i Andréas — mogły znajdować się w tym samym mieście. Z każdym nowym dniem, z każdą przebytą milą, Selena nabierała coraz większej pewności, że jej wizje w malignie przed dziesięciu laty przepowiedziały prawdę, a jej tożsamość i powołanie do leczenia ściśle się ze sobą wiążą w jakiś jeszcze niepojęty dla niej sposób.

Z pewnością jej wędrówka wkrótce już dobiegnie końca! Z pewnością bogowie widzą zasób wiedzy, jaką Selena niesie ze sobą, wiedzy zebranej w czasie tej dziwnej odysei!

Wyruszając z Persji, Selena i Rani zamierzały udać się prosto do Antiochii, ale podróż ich opóźniały niezliczone przeszkody — to powódź w jednym mieście, kwarantanna w drugim, to wojna przygraniczna, która zamknęła wszystkie drogi, to zapalenie płuc Ulryki — tak, że ich droga na zachód trwała aż siedem długich lat. Ale Selena i Rani nie zmarnowały tego czasu. W każdym mieście, w każdej oazie rozmawiały z tamtejszymi zielarzami, medykami, plemiennymi szamanami, dowiadywały się coraz to nowych rzeczy, zachowując przy sobie wartościowe, odrzucając bezużyteczne. Odwiedziły plac Gilgamesza w Babilonie i uczyły się od krążących po nim lekarzy, w Palmirze rozmawiały z kapłanami Eskulapa, wreszcie, zaledwie kilka dni temu, kiedy opuściły Petrę i wędrowały zachodnim wybrzeżem Morza Martwego, spędziły noc w klasztorze i odwiedziły małą czystą infirmerie, gdzie mnisi doglądali swoich chorych braci.

Selena uważała, że teraz już na pewno jest gotowa. Bogowie przecież widzą, iż nadszedł czas, by rozpoczęła życie i pracę z Andreasem.

— Musisz odpocząć — przerwała ciszę Rani, zwracając się do Elżbiety. — Twoje ciało przeżyło wstrząs. Musisz spać, musisz wracać do zdrowia.



## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Selena utykała, wspinając się po schodach na piętro domku Elżbiety. Bolało ją udo, stara rana od strzały często dawała się jej we znaki po ciężkim dniu.

W izdebce unosił się silny zapach owczego runa, które Elżbieta tu trzymała, potem przedła z niego wełnę na tkaniny. Ulryka już spała na macie między workami z runem, skulona na boku, przykryta kocem. Selena zdjęła sandały i usiadła przy dziecku, myśląc:

Wkrótce, maleńka, nasza wędrowniczka dobiegnie końca. Będziesz mieszkała w domu i żyła tak, jak wszystkie małe dziewczynki. Już wkrótce, już wkrótce...

Go prawda Ulryka nigdy się nie skarżyła. Ta jakby stworzona do wędrowniczki dziewięciolatka uważała za normalne spędzanie całych miesięcy w drodze i w coraz to nowych miejscach. Nigdy też nie buntowała się przeciw temu niezwykłemu trybowi życia. Tak po prostu żyła jej mama i ciocia Rani. Ulryka nigdy nie zazdrościła innym dziewczynkom, dzieciom spotykanym w obcych miastach, które mieszkały w swoich domach i od lat miały tych samych przyjaciół. Co więcej, Ulryka mogła uważać się za dziecko szczęścia, bo dzięki obecności cioci Rani miała jakby dwie matki.

To było cudowne życie dla małej dziewczynki, ciągle działo się coś nowego, coś podniecającego. A ludzie zawsze dawali jej upominki, zwłaszcza wtedy, kiedy Selena lub Rani kogoś wyleczyły. Poza tym Ulryka nie mogła narzekać, że mama i Rani się nią nie zajmują, gdyż uczyły ją różnych rzeczy — jak zbierać zioła, do czego ich używać. A ilekroć się bała — na przykład w czasie burzy — Selena i Rani chętnie wpuszczały ją do swych łóżek.

Doprawdy, dziewczynka miała wspaniałe życie, pełne miłości, poczucia bezpieczeństwa, a także przygód. A mimo to Ulryka co noc płakała w poduszkę, o czym Selena i Rani nie miały pojęcia.

Selena wyciągnęła rękę i po ciemku, z przyzwyczajenia dotknęła czoła córeczki. Dzieci są takie delikatne, tak łatwo zapadają na choroby. Ten okropny kaszel, który złapał Ulrykę w Antiochii, a potem rozwinął się w zapalenie płuc, tak przeraził Selene, że stała się teraz przesadnie troskliwa i choć od tej pory minęły już dwa lata, nieustannie obserwowała małą, czy nie ma choćby najmniejszych objawów choroby.

Czoło Ulryki było ciepłe i suche. Selena westchnęła i otoczyła ramieniem silne krzepkie ciało. Choć dziewczynka miała zaledwie pięć lat, dorównywała wzrostem Rani, gdy dorośnie, z pewnością będzie wyższa od

Seleny, która przecież była wysoką kobietą. Odziedziczyła wzrost po Wolfie, miała też jego oczy i mocno zarysowane kości policzkowe, jakie zaczęły się teraz uwydatniać. Ludzie często przyglądali się Ulryce, jej włosy miały niespotykany kolor, przywodzący na myśl barwę pustyni o zachodzie słońca, oczy zaś były jasno-błękitne, niemal bezbarwne. Selena przypuszczała, że Ulryka wyrośnie na urodziwą, może nawet piękną kobietę.

Czy była kiedyś równie szczęśliwa matka? — często zadawała sobie pytanie Selena. — Matka, obdarzona równie spokojnym, pogodnym dzieckiem?

Chyba nie — odpowiedziała sobie teraz, tuląc córkę, lecz nie zdając sobie sprawy, że wesołość dziewczynki była tylko pozorem, ukrywającym ból. Selena i Rani, coraz bardziej zajęte swą medyczną działalnością, nie spostrzegły, jak to uśmiechnięte, radosne dziecko powoli się od nich odsuwa, a dziecinne serce zaczyna przepelniać dziwny smutek.

Ulryka stawiała się smutną, poważną, zagubioną dziewczynką.

\* \* \*

Złożywszy schludnie ubranie i umieściwszy je w nogach posłania, Rani wyjęła statuetkę Dhanwantari, hinduskiego boga lekarzy, i postawiła ją na podłodze u wezłowania. Dhanwantari przemierzył z nią długą drogę z Persji i jego uzdrawiająca moc nadal była silna.

Widząc, że Selena położyła się obok Ulryki i zamknęła oczy, Rani zdmuchnęła płomień lampy i wsunęła się pod koc.

Wiedziała, że sen długo nie nadejdzie. Nie dlatego, że nie była zmęczona — była wszak wyczerpana — ale dlatego, że od ponad dwudziestu lat Rani miała zwyczaj rozmyślać przed zaśnięciem.

Teraz medytowała, skupiając myśl na latarni morskiej, która świeciła na horyzoncie — przywołując, zapraszając. A więc wreszcie zobaczy ją — tę wspaniałą akademię w Aleksandrii!

Rani już całkiem posiwiiała i nieco wolniej chodziła, ale mimo swych pięćdziesięciu siedmiu lat — wielce zaawansowanego wieku — zachowała dobry wzrok i bystrość umysłu, a jej ręce były równie zręczne jak dawniej. To wizja akademii aleksandryjskiej pomagała jej zachować młodość. Myślała o nauce i badaniach, jakie tam prowadzono. Była to większa uczelnia niż te w Madrasie czy Peszawarze, do których dawno temu pragnęła się udać i błagała ojca, by ją tam puścił.

Od owego dnia przed siedmiu laty, kiedy opuściła pałac rozkoszy, księżniczka Rani ani razu nie obejrzała się wstecz. Teraz jednak już było można i należało się obejrzeć — mijało właśnie równo siedem lat od dnia, w

którym ona, Selena i dwuletnia Ulryka przekroczyły wrota pałacu i wyruszyły w drogę ku wolności.

Rani z rozczeniem wspominała pożegnanie z Nimrodem, jedynym przyjacielem, jakiego miała przez trzydzieści sześć lat. Płakał i po raz pierwszy ją pocałował — był to jedyny pocałunek mężczyzny, jaki poznała Rani. A potem dał jej w pożegnalnym podarunku swój najcenniejszy skarb: magiczny kamień.

Był to turkus wielkości plasterka cytryny i miał cudowną moc — przynosił szczęście swojemu właścicielowi, zmieniał wtedy swą zieloną barwę na kolor lazurowy. Z jednej strony widoczny był niewyraźny wzór, który na pierwszy rzut oka przypominał dwa węże oplatające się wokół drzewa — powszechnie znany symbol lekarzy i uzdrowicieli. Jednak przypatrzwszy się dokładniej, można było dostrzec w nim sylwetkę kobiety wyciągającej ramiona.

I czyż nie przyniósł mi szczęścia? — pytała się w duchu Rani, leżąc w ciemnościach cichej jerozolimskiej nocy. — Oto wyrwałam się ze swego więzienia i zobaczyłam nareszcie świat. Wszystkie moje marzenia się spełniły. Gdyby tylko...

Tak. Gdyby tylko jeszcze spełniły się marzenia jej przyjaciółki, życie zaiste stałoby się doskonałe. Ale Selena podążała za umykającym marzeniem, które zdaniem Rani może nigdy się nie spełnić.

Rani pragnęła, by przyjaciółka przestała szukać Andreasa i by jej niespokojna dusza wreszcie znalazła ukojenie. Selena nie zazna bowiem szczęścia i spokoju, póki będzie ją zwodzić wspomnienie Andreasa. I jeszcze to obsesyjne szukanie swej tożsamości, które — jak na ironię losu — wiąże się z Andreasem. Andreas miał różę z kości słoniowej, zawierającą w sobie spuściznę po rodzicach Seleny.

Zapadając w sen Rani pomyślała: Może w Aleksandrii Selena dotrze wreszcie do kresu podróży? A Aleksandria leży tuż za horyzontem, w Egipcie.

\* \* \*

Selena nie spała, leżała w ciemnościach, wsłuchana w ciszę najświętszej nocy Jerozolimy. Wspominała Antiochię i straszliwy wstrząs, który tam przeżyła.

Jakąż nadzieję wzbudził w niej widok miasta! Jak szaleńczo biło jej serce, kiedy szła w górę znajomymi ulicami do miejsca, gdzie upadł handlarz kobiercami. Z jakim pośpiechem wbiegła w pobliską ulicę, przy której znajdowała się willa Andreasa. I wtedy...

Stała przed zupełnie innym domem i słuchała tych niewiarygodnych słów: że willa dawno temu spłonęła i nic nie wiadomo o jej poprzednich mieszkańcach.

To ją zupełnie zdruzgotało. Wcześniej czepiała się nadziei, że królewski posłaniec się pomylił albo nie chciało mu się szukać adresu podanego na liście, że zaszło jakieś okropne nieporozumienie i Andreas nadal mieszka w swym domu, czekając na powrót Seleny.

Z ciężkim sercem zaprowadziła Rani i córkę do ubogiej dzielnicy Antiochii, do domu, w którym dorastała. Chciała go pokazać Ulryce. Stojąc na wprost podwórka Selena niemal widziała dwa duchy: Merę i młodą Selene, pracujące w słonecznym blasku. Zdumiało ją, że dom był aż tak mały.

Z Antiochii wyjechała smutna i załamana. Co chciała tam znaleźć? Młodość? Marzenie? Czyżby się spodziewała, że odnajdzie przeszłość taką, jaką zachowała w pamięci, kiedy w jej życiu zaszło tyle zmian?

Przeszłość jest przeszłością i nic jej nie przywróci — myślała, zastanawiając się, jak Ulryka będzie kiedyś wspominać swoje dzieciństwo — tę osobliwą wędrówkę.

Wróciła pamięcią do nocy, kiedy Ulryka przyszła na świat, chłodnej i deszczowej marcowej nocy przed dziewięciu laty. Zgodnie z perskim obyczajem, porodu doglądał kapłan Zaratustry, który sam przyjął dziecko. W chwili kiedy je odbierał, Selena przeżyła coś niezwykłego.

W szczytowym momencie skurczu, kiedy czuła, że jej ciało coś rozsadza i zaraz rozerwie, znów miała wizję. Oto nie leżała już na łóżku w perskim pałacu, ale na posłaniu w zwyczajnej chatce. Gliniane ściany drżały w porywach wyjącego wiatru. Czuła delikatny dotyk Mery, widziała w cieniu piękną twarz Rzymianina, patrzącego na nią z miłością i niepokojem. Było to tak, jakby Selena doświadczała swoich narodzin i stała się własną matką w owej chatce na obrzeżach Palmiry.

Jak to było możliwe? — rozważała wiele razy Selena. Czy to twór jej wyobraźni, wywołany przez bóle porodowe? Czy też rzeczywiście jest jakaś łączność, duchowa więź, istniejąca w innym wymiarze i przekazywana z pokolenia na pokolenie, odwieczna pamięć pogrzebana w podświadomości, która powraca czasem w sytuacjach takich jak ta? Czy matka Seleny, wydając na świat bliźnięta, widziała poród swojej matki? A jeśli tak — to w jakim domu, w jakim mieście, w którym roku?

Selena często przyglądała się Ulryce, szukając w tej nieukształtowanej jeszcze buzi cienia podobieństwa do Mery, choć wiedziała, że to niemożliwe, że w żyłach dziewczynki nie płynie ani jedna kropla krwi tej dobrej kobiety.

Ale krew tamtej babki... Kim była? Rzymianką? Egipcjanką? Jak się nazywała?

Ciszę spokojnej nocy zakłócił jakiś odgłos, wrywając Selenę z zadumy. Uniosła głowę i nasłuchiwała. Ktoś płakał na dole. Pewnie Elżbieta.

Rzuciwszy okiem na Rani i na Ulrykę, obie pogrążone w głębokim śnie, jakim śpią starsi ludzie i dzieci, Selena wysunęła się spod koca i cichutko zeszła na dół.

Elżbieta siedziała na środku pokoju, szlochając, jakby miało jej pęknąć serce. Na bandażu owijającym jej ramię Selena dostrzegła rosnącą plamę świeżej krwi. Wzięła skrzynkę, która stała na stole, i usiadła przy Elżbiecie na dywaniku.

— Otworzyłaś sobie ranę — przemówiła spokojnie. — Pozwól, że ci ją opatrzę.

Lecz Elżbieta dalej płakała, szloch wstrząsał jej szczupłym ciałem. To był tak rozpaczliwy płacz, że w oczach Seleny błysnęły łzy współczucia.

— Pomogę ci — powiedziała, odsuwając dłonie Elżbiety od twarzy.

— Nie chcę go stracić! — krzyknęła Elżbieta. — Kocham go!

Selena rozwinęła bandaż, przyjrzała się ranie i wyjęła ze skrzynki słoiczek. Znajdował się w nim łagodzący balsam, który Selena przyrządzała z brzoźowego soku. Robiąc opatrunek z dodatkiem zapobiegającej zakażeniu pleśni, Selena słuchała, jak Elżbieta wypłakuje cały swój ból i rozpacz.

— Odeślą go. Nie posłuchał rozkazów. Rzymskim żołnierzom nie wolno wtrącać się do zwyczajów miejscowych ludzi.

— Ale ci ludzie robili coś strasznego, Elżbieto.

— Nasze prawo na to zezwala. A Rzymianom nie wolno się wtrącać, kiedy nasi wymierzają sprawiedliwość swoim. Ukarzą go, wyślą w jakieś zakazane strony, może do Germanii!

Elżbieta zasłoniła twarz dłońmi i znowu zaczęła płakać.

Selena wyciągnęła rękę i dotknęła ramienia dziewczyny, roniąc łzy nad tą parą kochanków rozdzielonych przez okrutny i niesprawiedliwy los.

Tak samo jak mnie rozdzielono z Andreasem — pomyślała, zaciskając dłoń na oku Horusa, od trzynastu lat nie zdjęła go z szyi. Pomyślała też o róży z kości słoniowej, którą zawiesiła wtedy na szyi Andreeasa. — Czy nosisz mnie tam jeszcze?

— Elżbieto — odezwała się cicho — największa na świecie jest miłość. W niej kryje się najpotężniejsza siła, która może czynić cuda. Miłość tworzy życie, Elżbieto. Ona też leczy rany, dodaje odwagi, przychodzi z pomocą. Jeśli dość mocno kochasz Korneliusza, nigdy go nie stracisz. Ale musisz go

naprawdę kochać. Całym sercem i duszą, całym swoim jestestwem. Bez reszty mu się oddać, a w zamian przyjąć go całego, nie ma bowiem nic piękniejszego i bardziej wiecznego niżli miłość.

Gorzki szloch Elżbiety stopniowo się uspokajał. Po chwili już tylko cicho płakała, a wreszcie kilka razy głęboko odetchnęła i otarła oczy.

— On nie nadaje się na żołnierza — powiedziała spokojnie. — Korneliusz jest łagodnym człowiekiem. To marzyciel. Poeta. Nie spotkałam jeszcze kogoś takiego jak on. A kiedy się poznaliśmy, to było jak... jakbyśmy od zawsze się kochali. Czy rozumiesz to, Seleno?

— Tak.

— Nic nie poradzimy, że nasze narody są wrogami, że jego rodacy uciskają mój naród. Pragniemy tylko żyć razem w pokoju i szczęściu. Niczego więcej nie chcemy.

Selena wstała i podeszła do bukłaka z kozłej skóry, który wisiał w rogu. Napełniwszy kubek wodą, dodała kilka kropli olejku miętowego, potem z powrotem usiadła obok Elżbiety.

— Wypij — powiedziała. — To pomoże ci zasnąć.

— Jesteś bardzo dobra — odezwała się Elżbieta, kiedy wypila wodę. — Nie wiem, co bym poczęła, gdybyście mi, ty i twoja przyjaciółka, nie pomogły. Jakże się wam odwdzięczę?

Selena uśmiechnęła się.

— Chciałabym dostać trochę runa.

— Runa?

— Przydaje się do leczenia chorób skóry. Potrzebuję tylko troszeczkę. Sądzę też — dodała uspokajającym tonem — że nie powinnaś się martwić o Korneliusza. Wojsko się o niego zatroszczy.

— Tak... Pewnie zabiorą go do valetudinarium.

— Valetudinarium? Co to jest?

Elżbieta przygryzła wargę, szukając aramejskiego słowa, ale nie znalazła.

— Tak to nazywają Rzymianie. To miejsce, gdzie zabierają chorych i rannych. Nauczyłam się trochę łaciny od Korneliusza. Vale oznacza zdrowie.

— A gdzie znajduje się to miejsce, w którym przywraca się zdrowie?

— W warowni Antonia.

Selena zamyśliła się. Nigdy nie słyszała o valetudinarium. O ile wiedziała, jedynymi miejscami u Rzymian, gdzie leczono chorych, były świątynie Eskulapa.

— Valetudinarium należy do wojska — wyjaśniała dalej Elżbieta. — Przyjmuje się tam tylko żołnierzy. Korneliusz mówił mi o tym, kiedy jego

przyjaciel, Flawiusz, został ranny. Opowiadał, że w każdej twierdzy przygranicznej jest coś takiego. Nawet i w Germanii.

— Czy nie możesz pójść tam i odwiedzić Korneliusza? — spytała Selena, próbując sobie wyobrazić dom przeznaczony do opieki nad chorymi i rannymi, prowadzony przez wojskowych medyków.

— Nie, do Antonii wpuszcza się tylko żołnierzy.

— A co z jego przyjacielem, tym drugim żołnierzem, który przyszedł ci z pomocą?

— Flawiuszem?

— Nie przekaże ci wieści o stanie Korneliusza?

— Flawiusz nie wie, gdzie mieszkam. Ale... Seleno, on patroluje ulicę przy świątyni. Mogę go poszukać! — Elżbieta chwyciła Selene za rękę. — Pójdiesz ze mną? Boję się wyjść sama.

— Pójdę.

Twarz Elżbiety rozjaśnił pełen nadziei uśmiech.

— Jutro? Z samego rana?

— Tak wcześnie, jak zechcesz. A teraz musisz się przespać.

\* \* \*

Kiedy Selena wróciła na swoje posłanie obok Ulryki, prawie natychmiast zasnęła i nie usłyszała, jak jej córka kręci się niespokojnie.

Ulryka przez sen podniosła rękę do piersi i zacisnęła palce na drewnianym krzyżyku, krzyżu Odyna, który prawie dziesięć lat temu Wolf ofiarował Selenie. Dręczył ją jakiś sen. Dziewczynka odwróciła głowę, jej ciało drgnęło.

I wyszeptała przez sen:

— Tatusiu!

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Dotarły do trivium, zbiegu trzech ulic, który w całym Imperium Rzymskim służył za miejsce spotkań i gdzie ludzie spędzali czas na towarzyskich pogawędkach. Właśnie tu, w cieniu warowni, spotkały Flawiusza.

Był to młodziutki chłopak z meszkiem na policzkach i w za dużej zbroi na szczupłym ciele. Tłum, który przelewał się przez bramę wiodącą do wspaniałej, nowej świątyni Heroda, nie zwracał uwagi na trzy kobiety i małą dziewczynkę, stojące w towarzystwie rzymskiego żołnierza.

Flawiusz najpierw powiedział im, że ranny w głowę Korneliusz nadal był nieprzytomny. Elżbieta zaczęła płakać.

— Czy nie ma sposobu, byśmy mogły go zobaczyć? — spytała Selena, mierząc wzrokiem potężne mury górujące nad wąską uliczką.

— Musiałybyście być chorym żołnierzem, żeby się dostać do infirmerii — rzekł Flawiusz. Wskazał wschodnią część warowni, gdzie znajdowało się valetudinarium. — Sama infirmeria nie jest strzeżona, ale twierdza tak. Widzicie, czasy są niepewne. Ostatnio dochodziło do buntów i zamieszek. Szczególnie tam.

Ruchem głowy wskazał na okolice świątyni, gdzie mieściły się kantory.

— Nie możemy ani na chwilę spuszczać oka z tłumu. W Jerozolimie jest sporo podżegaczy, którzy tylko czekają na okazję, żeby zbuntować ludzi przeciwko nam.

Selena przyjrzała się dokładnie murom, tak potężnym i groźnym, jak mury Babilonu, które przed dziesięciu laty przytłoczyły ją swoim ogromem.

— Co to za wejście? — spytała, wskazując ręką.

— To wejście dla cywilów. Ale żeby dostać się do środka, trzeba być umówionym z jakimś urzędnikiem. I tylko za dnia.

Selena popatrzyła na płaczącą Elżbietę i powiedziała:

— Przecież musi być jakieś inne wejście.

Posłała Flawiuszowi prośące spojrzenie. Był bardzo młody, poważny i zapewne rycerski, sądząc z tego, jak dzielnie rzucił się wtedy na ratunek obrzucanej kamieniami Elżbiecie.

— Gdyby udało nam się tam wejść choć na chwilę, żeby go zobaczyć. Byłybyśmy tak wdzięczne.

Selena dobrze go oceniła. Nic nie powstrzymałoby Flawiusza, który w swej zbroi czuł się niezwykle ważny, od przyjścia z pomocą tym damom.

— Jest pewien sposób — odezwał się cicho, zerkając przez ramię. — Ale to dość ryzykowne...



\* \* \*

Rani była zadowolona, że może zostać z Ulryką w domu, gdy Elżbieta z Seleną wybrały się na tę niebezpieczną eskapadę. Jej zamiłowanie do przygód kończyło się tam, gdzie zaczynało się szaleństwo — a za to właśnie uważała pomysł przyjaciółki. Nic jednak nie zdołało utrzymać Elżbiety z dala od jej pierwszej namiętej miłości, a Seleną upierała się, że musi zobaczyć rzymską infirmerie.

Czegóż więcej mogą nas nauczyć Rzymianie? — myślała sobie Rani, kiedy obie kobiety wyruszyły w tych okropnych przebraniach. — Wątpię, by Rzymianie wymyślili coś lepszego niż nasze chikisaki.

Ale zachowała te myśli dla siebie, gdyż wiedziała, że nie zdoła przemówić tej dwójce do rozsądku. Życzyła im powodzenia i poleciła je opiece bogów, kiedy wychodziły z domu w ciemną noc.

O północy Seleną z Elżbietą dotarły pod mury w północnej części miasta i czekały, dygocząc z zimna w swych płaszczach. Mimo że Jerozolima była tak rozległa i licznie zamieszкана, nocą, pod gwiazdami, panowała tu dziwna cisza, Selenie wydawało się to niezwykle, lecz przypomniała sobie, że Żydzi obchodzili teraz swoje największe święto i wszyscy, zarówno mieszkańcy Jerozolimy, jak i pielgrzymi, zachowywali stosowną powagę.

Przywarły do ściany, osłaniającej je przed podmuchami ostrego marcowego wiatru, Seleną i Elżbieta rozglądały się po ciemnej ulicy, czekając, aż przyjdą tamte.

Wydawało się, że minęły godziny, nim pojawiła się pierwsza kobieta, a kiedy nadeszły następne, rozmawiając cicho między sobą i gromadząc się przy wejściu dla cywilów, Seleną i Elżbieta dołączyły do nich.

Nikt nie zwrócił uwagi na nowo przybyłe. Seleną i Elżbieta dobrze się spisały: umalowane, obwieszane biżuterią, w jaskrawych szatach wybranych spośród zasobów Elżbiety, rzeczywiście wyglądały na prostytutki. Flawiusz powiedział im o zwyczaju wpuszczania do fortecy prostytutek o północy. Odwiedzały baraki, cele więzienne i znikwały przed wschodem słońca. Oczywiście było to wbrew przepisom, ale wszyscy dyskretnie przymykali na to oko.

Wysoka kobieta o zdumiewająco jasnych włosach została wyznaczona na strażniczkę, która miała pilnować wejścia. Z drugiej strony do drzwi podszedł legionista, otworzył je i wpuścił kobiety.

— Będę na was czekał — umówił się z nimi Flawiusz tego ranka. — Kiedy tylko wejdziecie, powiem, że przyszłyście do mnie i zabiorę was do infirmerii.

Elżbieta szczykała zębami, idąc wraz z prostytutkami przez bramę, którą zaryglowano za nimi. Weszły w przedsionek Salomona, dalej za kolumnami znajdowała się opustoszała, tonąca w świetle księżyca świątynia, na balustradzie widniały ostrzeżenia w czterech językach, by nieobrzezani nie przestępowali tego progu pod groźbą kary śmierci.

Selena rozejrzała się po oświetlonym pochodniami krużganku. Flawiusza nigdzie nie było.

Legionista poprowadził kobiety po schodach z lewej strony. Selena i Elżbieta przez moment się zawahały, nie wiedząc, co robić.

— Gdzie on jest? — szepnęła Elżbieta, w jej szeroko otwartych oczach malował się lęk i podniecenie.

Selena pomyślała chwilę, potem wzięła przyjaciółkę pod ramię i szybko ruszyła za idącą po schodach grupką. Na górze wyszły na obszerny dziedziniec, pusty i cichy. Kamienne płyty wygładzone były tysiącami obutych w sandały stóp. Po przeciwnej stronie dziedzińca Selena dostrzegła podwyższenie, a na nim podobne do tronu krzesło, zrozumiała, że to tu sądzi się i skazuje więźniów.

Z bijącym sercem rozglądała się za Flawiuszem. Gdzież on jest? Dlaczego się nie zjawił?

Uświadomiła sobie z przerażeniem, że legionista prowadzi je w stronę jasno oświetlonych baraków, z których dobiegał śmiech żołnierzy.

Spróbowały z Elżbietą zostać w tyle. Tymczasem z baraków wyszło kilku mężczyzn, stali przy drzwiach, przywołując dziewczęta do siebie. Kobiety roześmiały się, pomachały im rękami i przyspieszyły kroku. Cztery oddzieliły się od reszty i zniknęły pod arkadami.

Idąc powoli za grupą kobiet, Selena rozglądała się po dziedzińcu i próbowała wypatrzeć valetudinarium. Flawiusz powiedział, że mieści się przy wschodniej ścianie. Tymczasem one właśnie szły wzdłuż wschodniej ściany i nie widziały nic, co by przypominało infirmerie.

— Seleno... — zaczęła Elżbieta, kiedy zbliżyły się do baraków.

Kilku niecierpliwych żołnierzy wyszło stamtąd w stronę kobiet, by wybrać sobie partnerki. Ich grupka coraz szybciej topniała. Kiedy jakiś olbrzym ruszył w stronę Seleny, powiedziała: „Tędy!” i wciągnęła Elżbietę pod pobliską arkadę. Słyszac za sobą krzyki, wpadły do wąskiego przejścia, zanurzając się w nieprzeniknionej ciemności. Posuwały się po omacku mrocznym korytarzem, wreszcie się zatrzymały, przywarły do ściany i nasłuchiwały, wstrzymując oddech. Wokół panowała głucha cisza. Z dziedzińca nie dobiegały już żadne odgłosy.

— Seleno — szepnęła Elżbieta, drżąc tak, że aż dźwięczały blaszki jej naszyjnika. — Boję się.

— Cicho... Poszli do baraków. Zapomnieli o nas.

— A jeśli jeszcze tam są i czekają?

— Nie czekają. Teraz posłuchaj. Na pewno jesteśmy blisko infirmerii. Znajdziemy ją.

— Ale jak?

Selena próbowała zebrać myśli. Wróciła pamięcią do poranka, kiedy stali na trivium. Flawiusz wtedy wskazał w górę. Czyli infirmeria powinna być właśnie tutaj. Jak to możliwe?

— Gdzie jesteśmy? — szepnęła Elżbieta.

— Nie wiem...

Selena stanęła tyłem do ściany, odsunęła się od niej i wyciągnęła rękę. Zrobiła kilka kroków, potem jeszcze kilka, aż dotknęła przeciwległej ściany. Zdziwiła się. Korytarz był tu szerszy. Dotykała kamiennego muru dłońmi, szukała na oślep, wreszcie coś znalazła.

— Elżbieto! — zawołała cicho. — Wzięłaś może krzesiwo?

Wyjęła pochodnię z otworu w murze, podczas gdy Elżbieta krzesiwem tarła o hubkę. Po chwili miały już światło. Na widok miejsca, w którym się znajdowały, Selena zdziwiła się jeszcze bardziej. Korytarz znacznie się rozszerzył, a kamienny bruk zastąpiły posadzki. Znacznie dalej, na końcu korytarza dostrzegła drewniane ławki ustawione przy ścianie obok dużych podwójnych drzwi.

Elżbieta ostrożnie stąpała tuż za Seleną, a kiedy dotarły do drzwi, obie wpatrzyły się w nie szeroko otwartymi oczami. W drewnie były wyryte dwa węże oplatające laskę, a u jej szczytu dwa rozpostarte skrzydła. Symbol Eskulapa, boga-lekarza.

Selena westchnęła.

— Trafiłyśmy.

Strażnik, który im otworzył, ziewając i przeciągając się, wcale nie był zaskoczony widokiem dwóch prostytutek, tylko zły, że nie został wcześniej uprzedzony i nie dostał swojej łapówki, zażądał jej teraz, a Selena wręczyła mu srebrną monetę. Zerknąwszy na pieniądz, powiedział znudzonym tonem:

— Żebyście mi tylko się stąd wyniosły, nim przyjdą lekarze — i powrócił do gry w kości.

Selena z Elżbietą przez moment stanęły niepewnie w drzwiach. Przed nimi rozciągał się długi, jasno oświetlony korytarz z drzwiami po obu stronach. Dobiegały zza nich dziwne odgłosy: przytłumione śmiechy, jakieś ciche

rozmowy, dźwięk fletni, ale także, nieoczekiwanie, jęki. W końcu korytarza stały dwa marmurowe posągi: jeden przedstawiał boga lekarzy, Eskulapa ze skrzydlatą laską oplecioną przez węże, drugi — rzymskiego cesarza, Klaudiusza.

Selena ruszyła korytarzem, Elżbieta tuż za nią. Szły wolno, spoglądając przez otwarte drzwi na prawo i lewo. Znajdowały się za nimi niewielkie pomieszczenia, w każdym stały cztery łóżka, wszystkie zajęte. Większość pacjentów spała, ale niektórzy siedzieli, rozmawiając, przeklinając, żartując, grając w kości — mężczyźni z obandażowanymi rękami i nogami, w krótkich koszulach, ze szczudłami.

Elżbieta skuliła się pod płaszczem i odruchowo zasłoniła twarz. Ale Selena zaglądała do każdej sali śmiało i z ciekawością, starając się jak najwięcej zapamiętać.

Ci czterej — myślała — mają rany nóg, a ta czwórka złamania rąk.

Z rosnącym zainteresowaniem stwierdziła, że pacjentów podzielono na grupy, zależnie od ich dolegliwości. Nigdy przedtem się z tą praktyką nie spotkała, ale natychmiast dostrzegła jej dobre strony.

— Hola! — rozległ się gniewny głos.

Obejrzały się i zobaczyły siwowłosego mężczyznę, który wyjrzał ze swej izby. Trzymał się framugi i skakał na jednej nodze, druga kończyła mu się tuż pod kolaniem.

— Kogo szukacie? — spytał.

Elżbieta próbowała odpowiedzieć, ale odebrało jej mowę. Wyřęczyła ją Selena:

— Korneliusza. Powiedziano nam...

— Tędy — ruchem kciuka pokazał żołnierz. — U tych z rozbitymi łbami.

Zza jego pleców rozległ się głośny wybuch śmiechu.

Minęły jeszcze troje otwartych drzwi, aż w końcu trafiły do niedużego pomieszczenia, gdzie na pryczach spało czterech mężczyzn z obandażowanymi głowami.

— Korneliusz! — zapominając o lęku i wstydzie zawołała Elżbieta i podbiegła do łóżka rannego.

Selena weszła za nią, notując sobie w pamięci każdy szczegół: odległości między łózkami, woskowe tabliczki wiszące nad głową każdego chorego, stolik pod przeciwległą ścianą, a na nim miski z wodą, opatrunki, narzędzia lekarskie.

Sprawność — to było słowo, które od razu nasunęło się na myśl Selenie. Valetudinarium piątego legionu było prowadzone w sposób prosty,

praktyczny i sprawny. Selena natychmiast dostrzegła, jak można niektóre z tych pomysłów wykorzystać w ich wspólnym, jej i Rani, planie.

Podeszła do łóżka Korneliusza, przyklękła, łagodnie odsunęła od niego szlochającą Elżbietę i schyliwszy się, dotknęła jego skóry, sprawdziła tętno, zbadała źrenice.

— Za to się wam teraz płaci, dziewczęta?

Elżbieta głośno wciągnęła powietrze, a Selena gwałtownie się odwróciła. W drzwiach stał wysoki i szczupły mężczyzna, był krótko ostrzyżony, na sobie miał długą białą szatę.

On jest taki, jak ta cała izba chorych — pomyślała Selena, wolno się podnosząc — skromny i surowy.

Był także bardzo przystojny, co stwierdziła, gdy szedł w jej kierunku.

— Kim jesteście? — spytał. — Co robicie z tym człowiekiem?

Wyraz jego twarzy uprzytomnił Selenie, jak one obie wyglądają: uróżowane policzki i usta, błękitne cienie nad oczami, świecące kolczyki, czerwone suknie. Spojrzenie mężczyzny wprowadziło ją w niezwykle zażenowanie.

Wyjaśniła, dlaczego i jak się tu znalazły, uważając, by nie wspomnieć o Flawiuszu. Nieznajomy mierzył ją przenikliwym spojrzeniem. Szybko zorientował się, że Selena różni się całkiem od kobiet, które zazwyczaj przychodziły tu nocą. Zauważył jej pewny ton i budzący zaufanie sposób bycia. Powiedział, że jej wierzy, bo rzeczywiście jej uwierzył.

— Nazywam się Magnus, jestem lekarzem, doglądam nocą pacjentów — rzekł. — Jak mogę wam pomóc?

\* \* \*

— Każdy pomiar tętna — opowiadała Selena Rani następnego ranka przy śniadaniu — zapisuje się na woskowej tabliczce, która wisi nad łóżkiem, i kiedy bada się tętno jakiś czas potem, można porównać wynik z tym wcześniejszym i stwierdzić, czy nastąpiła zmiana. Rzymianie uważają, że zmiana tętna oznacza zmianę stanu pacjenta.

— Genialne! — zawołała Rani, żałując, że nie poszła z przyjaciółką do valetudinarium.

Siedziały przy stole, między nimi leżał rozwinięty papirus, na którym Selena naszkicowała plan izby chorych.

— Operują tylko rano — tłumaczyła — kiedy jest chłód i najlepsze światło. Chorych po operacji trzyma się w pomieszczeniu obok, a nie zabiera od razu do ich izby.

— Dlaczego? — spytała Rani.

— W razie gdyby otworzyła się rana albo nastąpiły jakieś komplikacje, choremu można od razu pomóc.

Ulryka siedziała w kącie z lalką na kolanach, w milczeniu przyglądając się matce i ciotce. Obie kobiety pochylały się nad stołem, rysując coś. Robiły wrażenie bardzo zadowolonych i ogromnie czymś podekscytowanych.

Wtem Ulryka usłyszała w ogrodzie czyjś śpiew. Odwróciła głowę, by posłuchać. To Elżbieta zbierała wiosenne kwiaty dla Korneliusza.

Ubiegłej nocy, kiedy zobaczyła jego piękne kędziory pod opatrunkiem i bladą twarz pogrążoną w głębokim śnie, zapłakała. A wtedy — cóż za cud! — zjawił się lekarz i wyjaśnił, że Korneliusz po południu odzyskał przytomność, zjadł kolację, a teraz śpi tak mocno, bo dostał lekarstwo na sen. A co jeszcze cudowniejsze — lekarz powiedział, że Korneliusz pytał o jakąś Elżbietę wtedy, gdy odzyskał przytomność po przyniesieniu z placu, na którym chciano ją ukamienować.

Nie wierzyła swojemu szczęściu. Selena to chyba czarodziejka, skoro udało jej się tak omotać rzymskiego lekarza. Nie tylko pozwolił! im zostać, nie tylko oprowadził Selenę po całym valetudinarium i odpowiedział! na jej wszystkie pytania, ale także dał Elżbiecie specjalne pozwolenie, by mogła codziennie w południe odwiedzać Korneliusza. Właśnie się tam wybierała, miała tylko jeszcze zebrać kwiaty, przyszykować koszyk z jedzeniem i wziąć nowiutki płaszcz, który kupiła dla Korneliusza na targu.

Ulryka przyglądała się Elżbiecie dużymi zamyślonymi oczami, zastanawiając się, czemuż to nagle wszyscy są tacy szczęśliwi i dlaczego się z nią nie dzielą tą radością. Cóż — pomyślała, wstając z podłogi i przytulając lalkę — widać znowu zapomniały, jak im się to czasem zdarzało. Podeszła więc do stołu i pociągnęła matkę za rękaw.

— Co, kochanie? — spytała Selena, nie odwracając się, tylko dalej rysując na papirusie.

— Mamusiu — odezwała się dziewczynka.

— Mama jest teraz zajęta — powiedziała Rani. — Idź się pobawić do ogrodu.

— Mamusiu — powtórzyła Ulryka.

— Chwileczkę, kochanie. Popatrz tutaj, Rani. — Pokazała coś na szkicu. — Tutaj jest szafa, w której trzyma się opatrunki i leki. Zamiast trzymać je na stolikach przy łóżkach...

Ulryka dała spokój. Znała ten pełen napięcia i skupienia wyraz twarzy matki, stanowiący jakby niewidzialną barierę, przez którą Ulryka nie mogła

się przedostać. Odwróciła się więc i wyszła do ogrodu. Zresztą tam i tak było przyjemniej.

— Magnus udzielił mi też rady w sprawie pieniędzy.

— Selena odłożyła pióro. — Kiedy powiedziałam, że płyniemy do Aleksandrii, zasugerował, byśmy zostawiły pieniądze u bankiera w Jerozolimie. Załogi statków znane są ze złodziejstwa. Choćbyśmy jak najlepiej schowały pieniądze, wątpliwe, czy udałoby nam się dowieźć je do Egiptu. W Jerozolimie są bankierzy, którzy mają powiązania z bankami w Aleksandrii i mogliby wystawić list kredytowy...

Ustały, że jeszcze tego popołudnia Rani pójdzie do miasta i powierzy pieniądze oraz kosztowności jakiemuś szanowanemu bankierowi z Jerozolimy, a za dwa dni, kiedy skończy się święty tydzień, wyruszą na zachód do portu Jaffa, gdzie opłacą podróż statkiem do Aleksandrii.

Selena i Rani wymieniły uśmiechy. Przyszłość wydawała się taka bliska.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Drewniane łyżki z kuchni Elżbiety świetnie się nadawały na sosny, a rowek wyżłobiony w ziemi i napełniony wodą doskonale udawał rzekę. Rzekę Ren. Ulryka nigdy nie widziała śniegu, ale ponieważ matka go jej kiedyś opisała, pomyślała sobie, że białe runo podkradzione z worków na górze i rozrzucone dokoła będzie wyglądało zupełnie jak śnieg w jej „lesie”.

Było późne popołudnie i Ulryka siedziała w ogrodzie, oddając się swojej ulubionej zabawie w „Germanię”.

— Tu jest rzeka — mówiła na głos, poprawiając brzegi i dolewając jeszcze wody. — A tu rosną drzewa. — Wyprostowała wetknięte w ziemię łyżki. — A to Ulryka — dodała, ustawiając lalkę w środku miniaturowego krajobrazu. — Ulryka jest księżniczką i ostrzega wszystkich o nadejściu mroźnych olbrzymów. Kto ocali lud? — wykrzyknęła cienkim głosikiem. — O! — zawołała. — Patrzcie! Nadchodzi Wolf, piękny książe.

Ulryka nie miała lalki, która przedstawiałaby bohatera, ale potrafiła go sobie wyobrazić. Podążając z lalką i niewidzialnym księciem przez krainę fantazji, Ulryka gawędziła, śmiała się i była o wiele bardziej ożywiona, niż zdarzało się to jej w realnym świecie.

— A potem wszyscy żyli długo i szczęśliwie — oznajmiła w końcu, po czym głęboko westchnęła i położyła się na plecach, patrząc na niebo.

Po raz kolejny Wolf uratował sytuację. Nie było rzeczy, której by nie podołał, i Ulryka była dumna z takiego ojca.

Wiedziała, że bardzo ją kochał, ponieważ zawsze był przy niej. To była wielka tajemnica Ulryki. Matka mówiła, że Wolf mieszka u Bogini, ale Ulryka wiedziała lepiej. Dawno temu przyszedł do niej we śnie i obiecał zostać przy niej tak długo, jak tylko będzie jej potrzebny.

A Ulryka często potrzebowała swego ojca. Ciocia Rani i mama zawsze były takie zajęte, nieraz zostawiały ją pod opieką obcych, tak jak dziś z Elżbietą. Czowała się wtedy okropnie samotna i było jej smutno, ale wkrótce pojawiał się duch Wolfa, który z nią rozmawiał, dodawał otuchy.

Był tu teraz, w tym małym ogródku w Jerozolimie.

Ulryce kleiły się oczy w popołudniowym słońcu, kiedy nagle przestraszył ją cień, jaki przemknął nad jej twarzą. Otworzyła oczy i usiadła.

— Och! — zawołała.

Na okalającym ogród murze siedział kruk i patrzył na Ulrykę swym złotym okiem. Ulryka zamarła w bezruchu. Kruk był świętym ptakiem ludu ojca, co więcej, matka mówiła, że ojciec szczególnie go sobie upodobał.



— Witaj — odezwała się nieśmiało. — Witaj, kruku. Ptak przechylił łebek, zerknął na nią drugim okiem. Potem rozpostarł skrzydła i odfrunął.

— Poczekaj — zawołała Ulryka, zrywając się na nogi. — Czeka, nie odchodź.

Winorośl oplatająca mur była na tyle mocna, że wytrzymała ciężar dziewięcioletniej dziewczynki. Ulryka w mgnieniu oka przesadziła mur i pobiegła ulicą za czarną sylwetką ptaka, rysującą się na tle błękitnego nieba.

\* \* \*

Aleksandria!

To była już tylko kwestia dni. Selena biegła ulicą, jakby dało się w ten sposób przyspieszyć czas. Miała ukryte w pasku trzy kupione od agenta bilety na statek. Miała również dowód opłaty za karawanę, wyruszającą w drogę nie za dwa dni, ale już dziś wieczorem! Już dziś czeka je podróż do Jaffy, gdzie wsiądą na statek zmierzający do Aleksandrii. Za tydzień Selena zobaczy miasto, z którego przybyli jej rodzice, miasto znane Andreasowi z jego młodości.

Skręcając w uliczkę, gdzie mieszkała Elżbieta, pomyślała z nadzieją, że Rani wróciła już od bankiera. Nie mają czasu do stracenia, bo dziś wieczorem ich karawana wyrusza do Jaffy nad morze. Muszą szybko się spakować i pożegnać z Elżbietą.

Aleksandria!

Selena czuła ją prawie w zasięgu ręki.

Elżbieta siedziała przy warsztacie i tkala jeden ze swych pięknych, słynnych w okolicy szali. Selena zaczęła się rozglądać za Ulryką, ale nigdzie jej nie znalazła.

— Była w ogrodzie — powiedziała Elżbieta, zrywając się na nogi. — Nie przechodziła tędy, zobaczyłabym ją. A nie ma innego wyjścia.

— W takim razie musiała przejść przez mur.

— Po co miałyby to robić? Selenie nagle zrobiło się zimno.

— Za domem jest uliczka. Dokąd prowadzi?

— W tamtą stronę to ślepy zaułek, ale tędy — wskazała — idzie się do miasta.

Selena ruszyła do drzwi.

— Idę jej poszukać. Proszę, zostań w domu, może wróci?

\* \* \*

Kruk droczył się z Ulryką. Odlatywał kawałek, potem przysiadał na arkadach lub okiennicach, przechylał łebek, a gdy już się zbliżała, nagle

znowu odtruwał. Ulryka nie wiedziała, dokąd kruk ją prowadzi, ale nie bała się. Ojciec był z nią, u jej boku.

Kruk w końcu dotarł do końca małej uliczki, na chwilę przysiadł na wystającym okapie, a gdy Ulryka stanęła tuż przed nim, poderwał się i zniknął nad dachami.

Rozczarowana, odprowadziła go wzrokiem. Zwróciła się do ojca — który pozwalał się zobaczyć tylko jej, nikomu innemu — by zapytać go, co ma teraz zrobić, i wtedy okazało się, że nie jest sama w alejce. Ktoś za nią szedł. Uśmiechnęła się i powiedziała:

— Witaj, piesku.

Pies zatrzymał się i patrzył na nią. Miał ugięte łapy i nastroszoną sierść.

Ulryka powtórzyła:

— Witaj, piesku — i wyciągnęła rękę.

Zwierzę przysunęło się bliżej. I wtedy zobaczyła coś dziwnego na jego pysku. To była piana.

\* \* \*

Rani była zadowolona z tego, co zdziałała po południu. Poszła na ulicę bankierów w pobliżu pałacu Hasmoneuszy i znalazła tam człowieka, cieszącego się doskonałą opinią. Uczciwie zważył jej złoto i srebro, za klejnoty wyznaczył dobrą cenę. Następnie całą majątność Rani złożono w skarbcu, a ona otrzymała w zamian list kredytowy.

Rzeczywiście, chirurg Magnus podsunął im doskonały pomysł, Rani szła teraz lekkim krokiem i czuła się tak swobodnie, jak nigdy w ciągu tych siedmiu lat podróży. Skończyła się nieustanna troska o złoto, srebro i klejnoty, skończył się lęk przed bandytami i bezustanne myślenie o tym, co obciążało ich szaty. Majątek Rani znalazł się w dobrych rękach. Zostanie zainwestowany przez bankiera i przyniesie zysk, a Rani i Selena będą mogły w każdej chwili podjąć go w wyznaczonym kantorze w Aleksandrii.

Zaiste, roztropny to sposób rozporządzenia swoimi pieniędzmi! W dole listu bankier przyłożył pieczęć, która teraz wisiała na szyi Rani: bryłka agatu z wrytym skomplikowanym rysunkiem. Nie było w cesarstwie dwóch identycznych pieczęci. Ilekroć Rani lub Selena będą chciały podjąć pieniądze, będą musiały pokazać list i odcisnąć pieczęć w glinie. Oba odbicia zostaną starannie porównane, czy rzeczywiście są identyczne, by w ten sposób zapobiec kradzieży lub fałszerstwu.

— Pamiętajcie tylko, żeby nie trzymać listu i pieczęci razem — ostrzegł bankier. — Jedno bez drugiego nie ma wartości, jeśli więc złodziej zabierze wam tylko list albo tylko pieczęć, nie będzie mógł podjąć pieniędzy z banku.

Zaraz po przyjściu do domu Rani da Selenie pieczęć, a sama zachowa list, który teraz niosła za paskiem, zwinięty w rulon i schowany w drewnianej rurce.

Rani szła szybkim krokiem, ale jej myśli bieły w przyszłość jeszcze prędzej. Było tyle do zrobienia. Muszą się zaopatrzyć w żywność na drogę, maty do spania, grube płaszcze chroniące od zimna na morzu. Rani zostawiła sobie kilka monet, wiedziała, że Selena też ma trochę pieniędzy. To powinno wystarczyć na zakupy, a potem — już w Aleksandrii — na nocleg w gospodzie. Tam zaś będą mogły już czerpać ze swego dużego kapitału, złożonego w banku.

Gdy dotarła do domu, zobaczyła stojącą w progu Elżbietę, która załamywała dłonie.

— Ulryka zniknęła — powiedziała. — Selena poszła jej szukać.

Rani zmarszczyła brwi. To niepodobne do tego dziecka. Spojrzała na dachy i zobaczyła, że nie ma już na nich słońca. Wieczór nadchodził szybko. Wkrótce ze świątyni rozlegnie się szofar i rozpocznie się paschalny szabas. Już teraz w Jerozolimie robiło się cicho i pusto, ludzie szykowali się do obchodzenia świętej nocy.

— Ja też pójdę poszukać — odezwała się do Elżbiety. — Ty czekaj. Może Ulryka trafi tu z powrotem.

Rani, idąc w przeciwną stronę niż Selena, zanurzyła się w gąszcz wąskich uliczek i drózek za domem Elżbiety. Nie uszła daleko, gdy zobaczyła przed sobą kilka spichlerzy, zaryglowanych przed nadchodzącą nocą. Zapadał zmrok. Rani mijała ciemne przedsionki, zamknięte drzwi. W pewnej chwili usłyszała jakiś odgłos. Z oddali, nad dachami dobiegał cichnący szum miasta, ale tu, bardzo blisko rozległ się wyraźniejszy dźwięk. Z nagłym lękiem Rani uświadomiła sobie, że dobrze go zna.

To było niskie, groźne warczenie psa.

Rani poruszała się ostrożnie. Szła wzdłuż kamiennych ścian i co chwila zatrzymywała się, rozglądając na prawo i lewo. W miarę jak się posuwała naprzód, czuła ogarniający ją chłód. Z przeraźliwą ostrością widziała to, co zaraz jej się ukaże.

Kiedy dotarła do końca ulicy, ściemniło się tak, że prawie nic nie było widać, ale i tak dostrzegła stojącego w alejce psa z pianą na pysku, a dalej, pod murem — Ulrykę, nieruchomą jak posąg i wpatrzoną w zwierzę.

Rani podniosła rękę do piersi, jakby chciała stłumić głośnie łomotanie serca, otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale gardło miała suche. Oblizwała wargi, przełknęła ślinę i w końcu odezwała się tak spokojnie, jak tylko mogła:

— Ulryko, to ja, Rani. Nie bój się.

— Nie boję się — usłyszała głos dziecka.

— Ulryko, rób teraz, co ci mówię. Nie wykonuj żadnych gwałtownych ruchów. Rozejrzyj się powoli i zobacz, czy nie ma tam jakiegoś wyjścia.

— Nie ma.

Rani zamknęła oczy. To był ślepy zaułek. Wyjść stąd można było tylko obok psa.

— Ulryko — powiedziała możliwie najspokojniej. — Ten pies jest chory. Nie wie, co robi. Musimy bardzo na niego uważać. Rozumiesz?

— Tak.

— Musisz stać zupełnie nieruchomo, Ulryko. I nie patrz mu w oczy. On tego nie lubi. Odwróć wzrok.

Rani próbowała coś wymyślić. Jeśli pójdzie po pomoc, może być za późno. Jeśli zacznie wołać, licząc, że jakiś przechodzień ją usłyszy, może sprowokować psa do ataku. Co robić? co robić?

Z przerażeniem dostrzegła, że pies zaczyna wolno zbliżać się do Ulryki. Czołgał się po ziemi, warcząc, jego ciałem wstrząsał dreszcz bólu. Rani widziała dawniej wściekłe psy i wiedziała, jak agresywne bywają w ostatnim stadium choroby. Pies chciał teraz jednego: zaatakować i rozerwać na strzępy każdego, kto stanie mu na drodze.

Wielki Sziwo — modliła się w duchu Rani — pomóż mi.

Selena bez tchu wpadła do domu.

— Wróciła?

Elżbieta była wystraszona.

— Nie! Rani poszła jej szukać, ale już dawno temu! Selena próbowała zapanować nad rosnącą paniką. Było już prawie ciemno, gdzie jest Ulryka?

— Będziemy potrzebować pomocy.

— Tak. Rabbi...

— Szybko!

\* \* \*

Rani zrozumiała, że jest tylko jedno wyjście: musi jakoś odwrócić uwagę psa od Ulryki.

Poszukała wokół siebie na ziemi i znalazła ostry ciężki kamień. Ważyła go w dłoni. Gdyby udało jej się trafić w łeb psa i ogłuszyć go...

A jeśli kamień upadnie obok i spłoszy psa, który rzuci się na Ulrykę?

Muszę zrobić coś, żeby się odwrócił i ruszył w tę stronę.

Rani zacisnęła palce na kamieniu. Było już prawie zupełnie ciemno. Pies czołgał się w stronę Ulryki.

Jestem już stara — pomyślała Rani. — Jakim cudem uda mi się prześcignąć psa? On powinien przejść tędy, a ja muszę stać właśnie w tym miejscu, by rzucić kamień.

— Stój teraz całkiem bez ruchu, Ulryko — powiedziała przez zaciśnięte gardło. — Teraz rzucę kamieniem i odstraszę psa. Rozumiesz?

Ulryka, która doszła aż tu w pogoni za krukiem i w której żyłach płynęła krew jej ojca wojownika, odparła mężnie:

— Tak, ciociu Rani.

Widziałam świat — myślała Rani, podnosząc rękę. — Niczego nie żałuję... Cisnęła kamieniem.

\* \* \*

Krzyki dziecka słyhać było z daleka, tak że kiedy Selena dotarła do zaułka, wokół ciała Rani zebrał się już spory tłumek.

Ulryka ze szlochem rzuciła się matce w ramiona, wstrząśnięta zaś Selena patrzyła na ziemię.

Rani i pies leżeli razem. Śmierć dopadła ich jednocześnie. Suknia Rani była zakrwawiona i poszarpana. Sznurek na szyi został zerwany, pieczęć z agatu zniknęła. Pasek leżał osobno na kamiennych płytach. Nie było już przy nim zwiniętego w rulon listu kredytowego.

# KSIEGA SIÓDMA

Aleksandria

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

— Jeśli macie do czynienia z ciężką raną, a brak wam odpowiednich leków — dobiegał spokojny głos z kręgu stojących kobiet — możecie przyjąć starą zasadę, że najpierw należy zastosować coś szczypiącego, potem zaś łagodzącego. A użyć można właściwie wszystkiego, co jest pod ręką.

Matka Mercja, alma mater świątyni, słuchała, jak siostra Peregrina udziela instrukcji w czasie porannego obchodu w izbie chorych. Kobiety zebrane wokół łóżka, przy którym stała siostra Peregrina, były nowicjuszkami, uczącymi się opieki nad chorymi. Te młode, oddane swej misji, poważne dziewczyny nosiły długie białe szaty, a na piersiach miały krzyże Izydy. Były bardzo oddane siostrze Peregrinie, która przed trzema laty przybyła do Aleksandrii z Jerozolimy.

Dzisiejszego ranka siostra Peregrina pokazywała, jak należy opatrywać rany. Za przykład służyła pacjentka — ofiara napadu, przyniesiona nocą do świątyni. Trzy lata temu, przed zjawieniem się siostry Peregriny, kobiecie udzielono by zaledwie drobnej pomocy albo nie udzielono jej wcale. Dziś jednak mała izba chorych przy wielkiej świątyni Izydy w Aleksandrii była znana w całym Egipcie.

Matka Mercja uśmiechnęła się z dumą. Jakże rozrosło się ich zgromadzenie dzięki siostrze Peregrinie! Jak bogate dary napływały od wdzięcznych pacjentów! I jak zadowolona musi być Bogini, widząc poświęcenie tych młodych kobiet! Przyglądały się teraz siostrze Peregrinie, demonstrującej hinduski sposób bandażowania, zwany svastika, co w sanskrycie oznaczało „krzyż”.

Matka Mercja nie mogła się nadziwić wiedzy siostry Peregriny. Wprowadziła ona dość osobliwe, acz skuteczne metody leczenia, na przykład zszywanie ran chrząszczami czy nakładanie pleśni na rany. A choć kapłanki Izydy od dawna już znały sekretny lek Hekate, wykorzystywały go tylko w przypadkach bólu głowy lub skurczów. Siostra Peregrina pokazała im, że wierzbowy napar jest również skuteczny przy gorączce i obrzękach. Nawet naj słynniejsi lekarze z pobliskiej akademii medycyny, zwani terapeutami, przychodzili tutaj posłuchać i popatrzeć.

Nie przez przypadek — matka Mercja była tego pewna — siostra Peregrina zjawiała się w świątyni przed trzema laty, zgłaszając się do pracy w służbie bogini Izydy. Sama Bogini ją tu przywiodła. Alma mater wierzyła, że stanowiło to część boskiego planu, na własne oczy widziała tego dowody. W pomieszczeniu, niegdyś służącym za skład, stały teraz rzędy łóżek, przez okna wpadało morskie powietrze i słońce, rzucając swój blask na śpiące kobiety, pielęgniarki w białych sukniach, kołyszące się na wietrze kwiaty w doniczkach. Prawdziwe schronienie dla chorych! Jakże różniło się od tych zatłoczonych izdebek, w których dawniej siostry i kapłanki udzielały schronienia przychodzącym po pomoc chorym i rannym!

Matka Mercja czule spjrzała na siostrę Peregrinę. Traktowała ją jak córkę, której nigdy nie miała. Była to dobra kobieta, ta wędrowniczka, co przemierzywszy tyle świata dotarła tu ze Wschodu. Dlatego właśnie Mercja nazwała ją Peregrina, imię to oznaczało podróżniczkę. Ale równocześnie Peregrina była bardzo zamkniętą w sobie i milczącą osobą, a jej życie prywatne okrywała tajemnica.

Kiedy przed trzema laty siostra Peregrina zjawiała się wraz z córką w świątyni z zamiarem poświęcenia się służbie Bogini, matka Mercja, dostrzegając szczerą jej intencję, udzieliła matce i dziecku schronienia. Po kilku miesiącach, gdy już lepiej się poznały, po długich wieczorach spędzonych na spokojnych rozmowach i niezwykłych opowieściach siostry Peregriny o Babilonie i Persji, matka Mercja sądziła, że młoda kobieta wkrótce otworzy swe serce i zacznie mówić o sobie. Duchowa matka świątyni była wrażliwą i współczującą kobietą, której spokojny sposób bycia zachęcał do zwierzeń. Ludzie dobrze czuli się w jej obecności, chętnie mówili o tym, co leżało im na sercu, szukając ulgi i oczyszczenia. Jednak ze strony Peregriny nigdy nie doszło do zwierzeń, choć Mercja domyślała się, że nosi ona w sercu jakiś ciężar i pomogłoby jej, gdyby go zrzuciła.

Po trzech latach pobytu pod kolumnami świątyni Izydy, wspólnej pracy, modlitwy i wieczornych dyskusji, siostra Peregrina ciągle strzegła sekretów swego serca. Dziwiło to matkę Mercję, że Peregrina po tak długim czasie nadal jest zamknięta w sobie i nie chce pozbyć się swego brzemienia. Matka Mercja bardzo mało wiedziała o Peregrinie. Jak i dlaczego przyjechała z Jerozolimy do Aleksandrii bez grosza przy duszy, oddając się w służbę Izydy? Skąd pochodziła, zanim znalazła się w Persji? Mercja nie знаła nawet historii jej dziecka, Ulryki. Kiedy trzy lata temu nadawała nowo przybyłej siostrze imię, nie zdawała sobie sprawy, jak trafnie je przez przypadek dobrała, Peregrina oznacza bowiem nie tylko „podróżniczkę” ale i „obcą”.

— Matko Mercjo — odezwał się głos za jej plecami. To wołała młoda dziewczyna niedawno przyjęta do świątyni. — Macie gościa. Czeka na zewnątrz.

— Dziękuję, dziecko. Za chwilę tam przyjdę.

Przed odejściem matka Mercja zatrzymała się jeszcze, by spojrzeć na siostrę Peregrinę, która prowadziła nowicjuszek do kolejnego łóżka. Kiedy Peregrina odwróciła się twarzą do słuchaczek, Mercja ściągnęła brwi. Znowu to samo. Przelotne, powracające wrażenie, że tę twarz widziała już wcześniej.

Kiedy trzy lata temu alma mater po raz pierwszy ujrzała Peregrinę, pomyślała: Skądś znam tę kobietę.

W chwilę potem uświadomiła sobie, że nie, że wcale jej nie zna. Przez następne trzy lata zdarzały się momenty, kiedy wyraz twarzy Peregriny, pochylenie głowy wywoływały u matki Mercji to drażniące, nieuchwytnie wspomnienie.

Co było w siostrze Peregrinie tak dziwnie znajomego? A może przypomina ona kogoś, kogo matka Mercja kiedyś знаła?

— Andreas! — zawołała zaskoczona, wyciągając ręce. — Jak dobrze znowu cię widzieć! Ile to czasu upłynęło? Trzy, cztery lata?

Podszedł do niej z uśmiechem, ujmując jej dłonie.

— Jak to się dzieje, matko, że ilekroć cię widzę, jesteś coraz młodsza i piękniejsza?

Roześmiała się.

— Powiedz mi, Andreasie, przyjechałeś do Aleksandrii na dobre czy znowu przemkniesz przez nią jak pustylny wicher?

— Obawiam się, że to tylko krótki pobyt. Mam parę dni na odwiedzenie przyjaciół, a potem ruszam do Brytanii.

— Do Brytanii? Słyszałam o tym dzikim kraju! Domyślam się, że jedziesz tam w sprawach cezara?

— A jakież inne sprawy można tam mieć? Zaczęli spacerować po ogrodzie.

— Dobrze wyglądasz, Andreasie. Widać służy ci pobyt w Rzymie.

Andreas, o wiele wyższy niż alma mater, pochylił się i uśmiechnął do starszej kobiety. W jego srebrnych włosach odbił się słoneczny blask.

— I tak, i nie. Kocham Rzym, a zarazem nienawidzę.

— A jakież są najnowsze wieści? Proszę, opowiedz.

Andreas się uśmiechnął. Był teraz zupełnie innym człowiekiem niż ten dawniejszy, gniewny i poważny trzydziestoletni mężczyzna z Antiochii. Siedemnaście lat obijania się po świecie i poznawania ludzkich słabostek



uczyniło go bardziej tolerancyjnym i mniej surowym. Wprowadzie bruzda między brwiami nie zniknęła, lecz pogłębiła się i była stale obecna, jednak Andreas częściej się teraz uśmiechał, a w kącikach oczu widać było zmarszczki świadczące o poczuciu humoru, które wiele wybacza.

— A ty, matko? Co u ciebie słyhać? Słyszałem, że ostatnio konkurujesz z akademią? Podobno podkradasz jej pacjentów?

— Powtarzasz za Diostenesem, tym starym krokodylem! Tylko on mówi o pacjentach, jakby to był towar, o który trzeba walczyć. Nie, Andreasie, nasze skromne przytulisko dla chorych niczym szkole medycznej nie zagraża. Poza tym nie przeprowadzamy operacji.

Doszli do drzwi pomieszczenia dla chorych i zatrzymali się, by zajrzeć do środka. Rzędy łóżek, jasność i uderzająca czystość zrobiły na Andreasie wrażenie.

— Jak to się udało osiągnąć? — spytał, przyglądając się grupie nowicjuszek w głębi sali.

— To był cud, Andreasie. Naprawdę. Trzy lata temu u naszych drzwi zjawiała się mądra z Persji prosząc, by pozwolono jej pracować w służbie Izydy. Teraz dogląda tego wszystkiego i szkoli pielęgniarce dla innych świątyn nad Nilem.

— Pochodzi z Persji, powiadasz?

— Mówiła, że bardzo dużo podróżowała. Była nawet w Babilonie.

Andreas przyjrzał się słuchaczkom stojącym wokół łóżka. Ich nauczycielka, odwrócona do niego tyłem, pochylała się nad chorym. Obserwował, jak gestem przywołuje jedną z dziewcząt i podaje jej bandaż. Był lekko zaintrygowany.

Gdy ją tak obserwował, jego zainteresowanie wzrosło.

— Jak ona się nazywa? — spytał.

— Siostra Peregrina. Mieszka ze swą córką przy świątyni. Przyglądał jej się jeszcze przez chwilę, po czym rzekł:

— W pewnym momencie... przypomniała mi kogoś, kogo kiedyś znałem. Dawno temu, w Antiochii.

Matka Mercja uniosła brwi. Więc inni czuli to samo! Może to jej twarz, może rysy Peregriny wydawały się znajome każdemu, kto na nią spojrzał. Zdarzają się tacy ludzie. To by wszystko wyjaśniało.

— Zjesz ze mną kolację któregoś dnia, póki jeszcze jesteś w Aleksandrii, Andreasie? — spytała, gdy ruszyli od drzwi.

— Och, nie mogę obiecać. Statek wypływa za kilka dni, a muszę odwiedzić jeszcze wiele osób.

— W takim razie teraz napij się ze mną wina. Andreas odwrócił się tyłem do izby chorych, zdając matce Mercji sprawozdanie o najnowszych wyczynach cesarzowej Messaliny. Tymczasem w głębi sali siostra Peregrina z zamkniętymi oczami stała nieruchomo niczym posąg, wyciągając dłonie nad chorym. Pokazywała nowicjuszkom „dotyk”, ale Andreas tego nie widział.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

Ulryka znów to zrobiła.

Wymknęła się z klasy i pobięła do portu, gdzie znajdowała się wielka Biblioteka. I kolejny raz, bez niczyjej wiedzy zabrała książkę. Gdyby bibliotekarze ją złapali, gdyby nauczyciel zauważył, że uciekła, gdyby matka się o wszystkim dowiedziała... Cóż, Ulryka zdawała sobie sprawę, że ukarano by ją. Ale nie przejmowała się tym. To była nowa książka i musiała ją mieć. Poza tym nie robiła nic złego. Odda ją pod koniec tygodnia i nikt nawet nie zauważy.

To była jedna z tych cudownych nowych ksiąg — kwadratowe pergaminowe stronice, zszyte z jednego brzegu. O ileż wygodniejsze od zwojów zapisanych tylko po jednej stronie, które cały czas musiało się trzymać obiema rękami.

Był to wojenny pamiętnik, jeden z wielu, jakie powstały podczas ostatnich wojen, a został spisany przez dowódcę armii walczącej nad Renem, Gajusza Watyniusza.

Ulryka czytała potajemnie w swoim pokoju, przy świetle małej lampki. Pochłaniała każde słowo w książce tak, jak inne dziewczynki rzucały się na zakazane słodycze. Była nienasycona, im więcej czytała, tym większy był jej głód. Chciała się dowiedzieć wszystkiego o swoim narodzie, o plemieniu, z jakiego się wywodziła.

Kiedy jednak dotarła do miejsca, w którym Watyniusz opisuje „barbarzyńców z północy”, nazywając ich zwierzętami, bezdusznymi i bezmyślnymi bestiami, odepchnęła książkę i usiadła na łóżku.

To była taka sama książka, jak wiele innych, dawniej już przeczytanych: pełna rzymskiej pogardy i uprzedzeń. Ów dowódca Watyniusz nie jest lepszy od Juliusza Cezara, którego Ulryka nienawidziła z całego serca. To Cezar jako pierwszy podbił Germanów i zrobił z nich niewolników. Jego posągi można było spotkać w całej Aleksandrii, po swej tragicznej śmierci stał się bogiem. Ale Ulryka gardziła tym pierwszym wrogiem swego ludu i przy każdej okazji przeklinała go w duchu.

Wstała z ciężkim sercem i podeszła do okna, wychodzącego na mały ogródek. Czowała zapach morza i jego wilgotny pieścizotliwy zew, ale nie mogła zobaczyć. Dusila się w tym pokoju, potężna świątynia z krużgankami, w których odbijało się echo, ze swymi sanktuariami, celami śpiących sióstr przygniatała ją niczym olbrzymi grobowiec. Ulryka nie miała czym oddychać

w tę letnią noc. Chciała widzieć wokół siebie drzewa, a nad głową niebo, chciała biegać, chciała być wolna.

Ten niepokój zaczął ją nękać niedawno, pojawił się wraz z jej pierwszą miesięczną słabością — sześć miesięcy temu, gdy skończyła dwanaście lat. Dawniej była milczącą, skrytą dziewczynką, która żyła w zamkniętym świecie własnej wyobraźni i której wystarczało duchowe towarzystwo ojca. Ale potem wszystko się zmieniło i Ulryka miała wrażenie, że płonie w niej ogień. Paliło się w niej cały czas, nawet w chłodne wiosenne noce i kiedy na północnoafrykańskim wybrzeżu szalały letnie burze. Pałała chęcią wyrwania się, działania.

Towarzystwo duchów przestało jej wystarczać.

\* \* \*

Selena wyszła z kąpieli, wytarła się, owinęła wilgotne włosy białą chustą i włożyła świeżą suknię. Poprawiła dwa naszyjniki na piersi.

Na jednym z nich zawieszona była kula Horusa, które siedemnaście lat temu dostała w grocie Dafne, na drugim turkus Rani — pożegnalny podarunek od Nimroda sprzed dziesięciu lat. Dotykając go, Selena znowu poczuła w duszy ukłucie bólu.

Wychodząc ze swego małego mieszkania, Selena zatrzymała się, by posypać pyłem święty ogień Izydy, dzień i noc płonący u jej drzwi. Nigdy nie zapominała o Bogini. Trzy lata temu znalazła się na krawędzi — bezdomna, głodna, samotna kobieta z dzieckiem. Aleksandria — klejnot Morza Śródziemnego, to cudowne miasto z białego wapienia i alabastru, które pewien historyk opisał jako „tak oślepiająco piękne, że chodząc w południe ulicami, trzeba osłaniać oczy, by nie stracić wzroku” — zawiodła ją. Aleksandria ją zdradziła.

Selena dotarła tu z resztkami pieniędzy, wcześniej bezskutecznie szukała w Jerozolimie bankiera, któremu Rani powierzyła swój majątek. Wkrótce znalazła się bez grosza. Bogaci, rozpieszczeni mieszkańcy Aleksandrii nie potrzebowali prostej zielarki, mieli wszak tylu wytwornych, wykształconych lekarzy pod ręką.

A potem, gdy nie znalazła w akademii Andreasa, a poszukiwanie dowodów, że kiedyś mieszkali tu jej rodzice, okazało się bezowocne, Selena doznała objawienia. „Pochodzi od bogów”, powiedział niegdyś jej ojciec. A ostatnie słowa konającej Mery brzmiały. „Pozostań w przyjaźni z Izydą”. Już wiedziała, co musi zrobić. Jej los spoczywał w rękach bogów. Bez róży, bez Andreasa nie mogła dążyć do spełnienia największego ze swych marzeń.

Musi poświęcić się służbie bogom i modlić, by naznaczyli godzinę, w której dozna objawienia.

\* \* \*

Selena zastała córkę siedzącą przy oknie i wpatrzoną w mrok nocy.

Zatrzymała się, spojrzała na Ulrykę. Jakże ostatnio wyrosła! Już była wyższa od niektórych sióstr ze świątyni. Jej ciało nabierało kształtów, tu i ówdzie pojawiły się krągłości, coraz mocniejsze stawały się ramiona i nogi. Włosy jej pojaśniały, oczy były bardziej niebieskie. Zupełnie — pomyślała Selena z drżeniem — jakby germańska krew po trochu brała górę nad tą drugą, romańską połową.

Oddała się ode mnie — nagle uświadomiła sobie Selena.

Ulryka była taka poważna. Dlaczego nigdy się nie uśmiechała? Co się kryło za tym smutnym spojrzeniem? Czy to była śmierć Rani? A może, usiłowała sobie przypomnieć Selena, Ulryka zawsze taka była?

Nie mogę jej stracić — myślała, wchodząc do pokoju.

— Jest wszystkim, co mam.

— Rikki — odezwała się cicho.

Dziewczynka odwróciła się, jej spojrzenie było zbyt dojrzałe, jak na tak młodą dziewczynę.

To przecież jeszcze dziecko — buntowała się w duchu Selena. — Powinna być rozchichotaną trzpiotką, jak inne dziewczynki w jej wieku.

Ale Ulryka trzymała się z dala od rówieśnic, nie miała przyjaciółek, a Selena nigdy nie wiedziała, o czym córka myśli.

Selena spojrzała na łóżko i Ulryka zerwała się na nogi. Próbowwała zasłonić książkę przed matką, ale było już za późno.

— Co czytasz? — spytała Selena, sięgając po książkę.

— Znowu poszłaś do biblioteki, prawda? Ulryka skinęła głową.

Selena odłożyła książkę nie patrząc na nią i usiadła na skraju łóżka.

— Czy to dobra książka? — spytała, wskazując Ulryce miejsce obok siebie.

Ulryka zawahała się.

— Nie — odparła, siadając koło matki. — Pełno w niej kłamstw.

Selena westchnęła. Już od jakiegoś czasu zdawała sobie sprawę, że jej własny zasób wiedzy nie może zaspokoić potrzeb Ulryki. Dawniej dziewczynka chciwie pochłaniała najdrobniejsze informacje o Wolfie i jego rodakach, jakich Selena mogła jej udzielić. Teraz szukała innych źródeł dla zaspokojenia swej obsesyjnej ciekawości.

Właściwie od bardzo dawna nie rozmawiały o ojcu Ulryki. Selena nie pamiętała już, kiedy ostatni raz wspomniały jego imię. Czyżby jeszcze w Jerozolimie? Czy to możliwe, że śmierć Rani zerwała ostatnią nić porozumienia między matką i córką? Selena poczuła niepokój.

Powinnam teraz o nim powiedzieć — postanowiła. — Teraz Ulryce bardziej niż kiedykolwiek potrzebna jest prawda.

Ale bała się uczynić ten krok. Dlatego zdobyła się jedynie na słowa:

— Twój ojciec był wspaniałym człowiekiem, Rikki. Żałuję, że go nie znałaś.

Na chwilę w pokoju zapadła cisza, w oczach Ulryki pojawiły się łzy. Widząc je, Selena przygarnęła córkę i uściśniły się po raz pierwszy od owego dnia, gdy przywarły do siebie nad ciałem Rani, leżącym na końcu tamtej okropnej ulicy.

— Rikki — powiedziała cicho Selena. — Tak mi przykro. Tak bardzo mi przykro.

— Mamusiu — szlochała córka.

Ale nie powiedziały nic więcej. Bariera nie zniknęła, zbyt wielki ból i odległość dzieliły matkę i córkę.

Na cóż by się teraz zdała prawda? — myślała Selena, gładząc Ulrykę po głowie. Powiedzieć jej, że ojciec nie umarł w Persji, że wyruszył do Germanii, nie wiedząc o ciąży Seleny, być może w tej chwili jest w swych lasach, nawet nie domyślając się, że ma córkę, która rozpaczliwie za nim tęskni. — Nie mogę jej powiedzieć, nie mogę...

— Zajrzyj dziś ze mną do chorych, Rikki — odezwała się Selena, odsuwając się i odgarniając włosy z twarzy dziewczynki. — Pomóż mi przy nich.

Ulryka przez chwilę wpatrywała się w matkę, niemal ze zdziwieniem. A potem pojawiło się inne, mroczne spojrzenie, jakby Ulryka poczuła się zdradzona. Dziewczynka wstała i wróciła do okna.

— Chyba... chyba nie, mammo. Chce mi się spać. Selena popatrzyła na córkę.

Gdzie pobłądziłam? Jaki głupi błąd teraz popełniłam? Ta słodka chwila bliskości, dzielenia się bólem, zniknęła jak zdmuchnięty płomyk.

— Dobrze — odparła, wstając i kierując się do drzwi. — Ale pamiętaj, że nie wolno ci wymykać się samej do biblioteki, Ulryko. Port to niebezpieczne miejsce dla dziewczynek. Zrozumiałaś?

— Tak, mammo.

— Jutro razem się tam wybierzemy, zgoda? Poprosimy bibliotekarza o najlepszą książkę o Germanii, jaką ma. Co ty na to?

— Dobrze — powiedziała Ulryka i dalej wpatrywała się w mrok.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

— Sześć nowych ochotniczek! — zawołała matka Mercja, napełniając puchary winem. — Tylko pomyśl, Peregrino. Nasze zgromadzenie jest teraz liczniejsze niż kiedykolwiek w dziejach świątyni. I to wszystko dzięki tobie!

Selena patrzyła w głęboką czerwień wina i poczuła, że ogarnia ją smutek. Jakże Rani by się cieszyła! Jak zupełnie inaczej wszystko by się ułożyło, gdyby Rani żyła! Tak pragnęła zobaczyć akademię. Może kupiłaby dom tu, w Aleksandrii, gdzie zamieszkałyby we trójkę, może nawet chodziłyby regularnie do szkoły i uczyły się u najlepszych medyków? No i gdyby były pieniądze, Selena mogłaby dalej szukać kogoś, kto wiedziałby coś o jej rodzinie. Ale bez domu i bez grosza przy duszy Selena musiała szukać pomocy w świątyni.

Raz już niewiele brakowało, a zwierzyłaby się matce Mercji i poprosiła o radę, lecz alma mater była nader niezyciową osobą. Prawie sześćdziesiąt lat temu jako młoda dziewczyna przekroczyła próg tej świątyni i od tamtej pory jej nie opuściła. Kontakt ze światem utrzymywała dzięki rzadkim gościom, którzy przynosili jej wieści. Matka Mercja była najwyższą kapłanką Izydy, a jej myśli koncentrowały się na mistycznych zagadnieniach. W żaden sposób nie zdołałaby pomóc Selenie w poszukiwaniach, a Selena nie chciała tej dobrej kobiecie zaprzętać głowy swoimi chyba niemożliwymi do rozwikłania problemami.

Nie powiedziała też matce Mercji o Andreasie. Wypytywała w szkole, a tam ludzie albo kręcili przecząco głowami, albo mówili: „O tak! Andreas! Ten niski, z Galii!” W końcu zamknęła się w sobie ze swą zgryzotą. Wkrótce po stracie Rani straciła na nowo Andreeasa. A tak wierzyła, że tu go znajdzie! To było za wiele jak na jedno serce. Dlatego swe największe marzenie Selena skryła głęboko. Na razie służyła Bogini, wykorzystując wiedzę i umiejętności, zdobyte w czasie wędrówek po świecie.

— Wiele młodych kobiet chętnie przyłączyłoby się do zgromadzenia służebnic Izydy — mówiła Mercja — ale niektóre odstrasza myśl, że miałyby spędzać życie na tak nudnych zajęciach, jak sporządzanie kadzidła czy przepisywanie świętych pism. Dlatego nie przychodzą. Teraz jednak możemy im zaproponować coś, co do nich przemawia: opiekę nad chorymi. Przecież w sercu każdej kobiety tkwi naturalne pragnienie przychodzenia z pomocą chorym i słabym. O tak, teraz nawet muszę niektórym odmawiać — uśmiechnęła się Mercja. — A ty jesteś taką wspaniałą nauczycielką, Peregrino!



— Nie jest to tylko moja zasługa, matko. Mam bardzo dobre uczennice. Lękam się jedynie, że w swym zapale mogą bardziej zaszkodzić niż pomóc. I dlatego pierwszą rzeczą, jakiej je uczę, jest zasada: po pierwsze nie szkodzić.

— Doprawdy, to ciekawe — stwierdziła matka Mercja, kosztując wina. — Mój stary przyjaciel, Andreas, bardzo często powtarza właśnie...

— Andreas? Znasz kogoś o imieniu Andreas?

— Ależ tak. Poznaliśmy się przed laty, gdy jeszcze się uczył w akademii. Rzadko go widuję, bo wiele podróżuje. Ale ilekroć przyjeżdża do Aleksandrii...

— Matko Mercjo — odezwała się ostrożnie Selena, odstawiając wino — znałam kiedyś lekarza o imieniu Andreas. Wiele lat temu, w Antiochii.

— Cóż za zbieg okoliczności! Kiedy był tu któregoś dnia, wspomniał, że przypominasz mu kogoś, kogo znał niegdyś w Antiochii.

Selena znieruchomiała.

— Był tutaj? W świątyni? Widział mnie? Matka Mercja popatrzyła pytająco na Selenę.

— To ten sam mężczyzna?

— Gdzie on teraz jest? Muszę wiedzieć.

— Kiedy przyjeżdża do Aleksandrii, zwykle zatrzymuje się w akademii. Wątpię jednak, czy jeszcze tam jest. Chyba dziś miał odpłynąć do Brytanii.

— Wybacz, matko — przeprosiła Selena, spieszenie ruszając do drzwi. — To ogromnie pilne.

— Peregrino, poczekaj! Ale jej już nie było.

\* \* \*

Szerokie ulice Aleksandrii były wieczorem pełne ludzi — jedni wyszli zaczerpnąć powietrza, inni spieszyli do któregoś z licznych teatrów czy muzeów lub spacerowali, szukając ochłody w słynnych parkach i przy fontannach. Tylko parę osób odwróciło głowę za idącą spieszenie młodą kobietą w białej sukni i chuście służebnicy Izydy. Jej sandały uderzały o bruk w rytm szaleńczego bicia serca. Andreas, Andreas...

Akademia mieściła się przy bulwarze, nad wielkim łukiem zatoki, który kończył się w Faros, gdzie stała ogromna latarnia morska, uznawana za jeden z siedmiu cudów świata. Akademia była masywnym gmachem z białego marmuru i alabastru, w jego kolumnadach płonęły pochodnie.

Selena pędziła po trawnikach, mijała grupki młodych studentów w białych tunikach i togach, wbiegała po niekończących się schodach. Kiedy wreszcie dotarła do potężnych dwuskrzydłowych drzwi, przy których z obu stron stały posągi bogów-lekarzy, Selena zwolniła, próbując złapać oddech.

Biorąc pod uwagę liczbę budynków, dziedzińców oraz mieszkających tam nauczycieli, uczniów i pacjentów, akademia wydawała się dziwnie cicha. Wchodząc do rotundy, Selena poczuła się jak w miejscu kultu. I w pewnym sensie rzeczywiście tak było, stały tam bowiem posągi bóstw: Eskulapa, greckiego boga-lekarza, oraz jego dwóch córek Higie i Panacei, Thota, pradawnego egipskiego boga medycyny, w niszy znalazł się nawet stary Hipokrates z wiecznie płonąca lampką u stóp.

Selena podeszła do dozorczy zamiatającego podłogę. Spytała, gdzie ma szukać gościa, który zatrzymał się tu na jakiś czas, a on skierował ją do dormitoriów, znajdujących się w dalszej części akademii.

Nie mogła się powstrzymać i znowu zaczęła biec. „Wątpię czy tam jeszcze jest”, powiedziała matka Mercja. „Chyba dziś miał odpłynąć do Brytanii”.

Selena miała wrażenie, że serce zaraz rozerwie jej pierś.

Andreasie! — krzyczała w duchu. — Bądź tu. Błagam, bądź tutaj...

Dormitoriów pilnował sympatyczny stary Grek, którego najwyraźniej rozbawiło pojawienie się zdyszanej kobiety. Jego brązowe oczka błysnęły, gdy przechylił głowę i powiedział:

— A tak, Andreas. Mieszka w pokojach gościnnych. Przyjaciel, hę?

— Proszę, zaprowadźcie mnie do niego. Poprowadził ją krętą ścieżką przez ogród, aż dotarli do schodów. Grek gadał bez przerwy, ale Selena go nie słuchała. Patrzyła przed siebie, wykręcając palce, serce waliło jej jak młotem. Wreszcie znaleźli się w korytarzu. Selena słyszała za drzwiami przytłumione męskie głosy, muzykę, śmiech.

— Mieszkają tu odwiedzający nas wykładowcy — mówił odźwierny — i dawni studenci, którzy pragną zobaczyć znów starą uczelnię. Jest tu nawet kilku bogatych pacjentów, ale oni nie chcą, by wiadano o ich pobycie. Na przykład niedawno, wiosną, żona gubernatora wracała u nas do zdrowia po specjalnej operacji...

— Który pokój zajmuje Andreas? — spytała Selena. Drżała i z trudem łapała oddech.

— Właśnie ten — powiedział Grek, zatrzymując się pod zamkniętymi drzwiami.

Zapukał. Nikt się nie odezwał. Zapukał jeszcze raz.

Zza innych drzwi dobiegały przeróżne odgłosy, ale za tymi panowała głucha cisza.

— Może śpi — powiedziała Selena.

Mężczyzna popatrzył na nią spod oka i nacisnął klamkę. Pokój był pusty.

— Wyjechał — rzekł odźwierny.

Selena odepchnęła go i weszła do środka. Zobaczyła puste łóżko, szafkę, stolik i krzesło.

— Szukacie Andreasa?

Selena odwróciła się gwałtownie. W drzwiach stał mężczyzna, wycierając włosy ręcznikiem.

— Wiecie, gdzie on jest? — spytała Selena.

— Wszedł parę godzin temu. Mówił, że musi zdążyć na statek.

— Na jaki statek? Powiedział, jak się nazywa? Zmierzył ją wzrokiem i wymienił znaczące spojrzenia z odźwiernym.

— Powiedział tylko, że płynie do Brytanii. Nie wiem, jakim statkiem.

Gdy biegła korytarzem, mężczyźni popatrzyli za nią wymieniając uwagi, a ich śmiech odbił się echem wśród upalnej nocy.

\* \* \*

Selena ostatni raz była w porcie trzy i pół roku temu, kiedy wraz z Ulryką zeszły na ląd, ściskając zawiniątka ze swym skromnym dobytkiem i resztką pieniędzy. Port oszołomił ją wtedy i oszałamiał teraz, przezwyciężyła jednak lęk przed tłumem ludzi, lasem masztów, marynarzami i tragarzami, którzy ją zaczepiali, gdy się między nimi przepychała.

Dobiegła do nabrzeży i wypytywała o każdy statek po kolei. Próbowwała się czegoś dowiedzieć od marynarzy nie znających greckiego, pytała grubiańskich kapitanów i agentów, którzy nie mieli czasu. Na olinowaniu i na burtach statków wisieli mężczyźni, dokonujący koniecznych napraw. Jedne statki rozładowywano, inne ładowano, rozciągano olbrzymie żagle, by je zreperować, w klatkach miały się zwierzęta, niezadowoleni pasażerowie próbowali się targować o cenę biletu. Selena zatrzymywała, kogo się dało, pytając o statek do Brytanii, odpowiadano jej, że ten w głębi akurat odbija, że właśnie się spóźniła, że w ciągu najbliższych kilku tygodni nie będzie żadnego statku do Brytanii. Biegąc po niezliczonych fałszywych tropach, powoli traciła nadzieję, a na sercu było jej coraz ciężej.

Andreas już odpłynął. Spóźniła się.

\* \* \*

Szła przez dziedziniec świątyni, kiedy podbiegła postulantka.

— Matka Mercja chce się z tobą natychmiast widzieć, siostrze Peregrino — powiedziała. — Wysłała dziewczęta, by cię odszukały w mieście.

Selena spojrzała w stronę mieszkania matki Mercji. Matka Mercja. Selena wypadła od niej wtedy bez słowa wyjaśnienia, a tu już minęła północ. Była wyczerpana, zrozpaczona i za wszelką cenę chciała zostać sama. Wiedziała jednak, że musi się wytłumaczyć i przeprosić matkę Mercję.

Z ciężkim sercem szła za postulantką. Co ja teraz pocznę? — myślała.

Tylko minut zabrakło, by odzyskać Andreasa. Teraz wiedziała, gdzie jest, wiedziała, że żyje i że nadal ucieka na morze. Co powinna zrobić?

Wyruszyć najbliższym statkiem do Brytanii?

Postulantką otworzyła przed Seleną drzwi, a potem zamknęła je dyskretnie, zostawiając swą nauczycielkę sam na sam z matką Mercją i jej gościem.

Selena stanęła jak wryta, nie wierząc własnym oczom.

— A oto — odezwała się matka Mercja, wstając z krzesła — i nasza siostra Peregrina. Patrzył na nią Andreas.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

— Próbowałam cię zatrzymać, Peregrino — zwróciła się do Seleny matka Mercja. — Wiedziałam, że mój posłaniec będzie szybszy i łatwiej odnajdzie Andreasa. I widzisz? — Uśmiechnęła się. — Miałam rację.

— Andreas...

Wpatrywał się w nią z niedowierzaniem.

— Seleno! — powiedział. Nagle zniknęła Aleksandria, nie była już trzydziestotrzyletnią kobietą, ale szesnastolatką z Antiochii w swojej pierwszej dorosłej sukni. Stała na dachu z Andreasem, za nim rozciągało się rozgwieżdżone niebo. Przysunął się blisko, ujął dłońmi jej twarz i mówił cicho, z żarem, nie spuszczać z niej gorącego spojrzenia ciemnoniebieskich oczu: „Leczysz innych, Seleno, możesz i siebie uzdrowić”.

Och, Andreasie! Chciało jej się płakać. Ileż lat i przebytych dróg dzieli mnie od tamtego dnia! Tyle widziałam, tak wiele się nauczyłam. Tyle imion nosiłam: Fortuna, Umma, Peregrina. A przecież pozostałam Seleną, ową dziewczyną sprzed wielu lat!

Pragnęła do niego podbiec, marzyła, by otworzył ramiona, przytulił ją do siebie, sprawił, by zniknęły lata i niezmierzone drogi, by powiedział, że to nic nie zmienia, że się nie liczy. Tymczasem on stał, wpatrując się w nią z osłupieniem.

— Byłem w portowej tawernie — odezwał się niepewnym głosem. — Siedziałem z kapitanem mojego statku, czekając na wypłynięcie, kiedy zjawił się posłaniec ze świątyni Izydy. Nie miałem pojęcia, jaka to pilna sprawa mnie tam oczekuje, ale skoro to matka Mercja wzywała, nie mogłem odmówić. A kiedy przyszedłem, powiedziała mi o siostrze Peregrinie, której się wydawało, że mnie zna.

Umilkł. Znowu patrzył na nią, jakby nie wierzył własnym oczom.

— Seleno... To już tyle lat.

Mimo swoich czterdziestu siedmiu lat Andreas wydał się Selenie jeszcze przystojniejszy niż dawniej. Włosy miał siwe, ale broda pozostała ciemnobrązowa, oczy były łagodniejsze, a wargi już nie tak surowo zaciśnięte.

— Myślałam o tobie — powiedziała.

— Ja o tobie też.

Znowu umilkli, wpatrując się w siebie, sycąc wzajemnie oczy swoim widokiem. Matka Mercja, początkowo zakłopotana, teraz zrozumiała wszystko i dumiała nad niepojętymi wyrokami Bogini.

— Zostawię was samych — odezwała się w końcu. — Z pewnością macie sobie wiele do powiedzenia.

— Kiedy cię zobaczyłem, jak stoisz przy chorym — powiedział Andreas po wyjściu Mercji — pomyślałem, że to możesz być ty. Ale matka Mercja powiedziała, że nazywasz się Peregrina.

— Nosiałam wiele imion — odparła cicho Selena. — Pięć lat temu pojechałam do Antiochii, Andreasie. Ale twojego domu już nie było.

— Podobno spłonął.

— Wyjechałeś z Antiochii.

— Ty też.

Nie odrywał od niej wzroku.

— Tyle razy widziałem cię we wspomnieniach, Seleno, we snach, że teraz boję się wierzyć własnym oczom. Matka Mercja opowiedziała mi o twojej pracy tutaj. Powiedziała, jak tu przybyłaś, że wraz z córką mieszkasz z siostrami. Dziwne jest to życie, że znowu nas połączyło...

Selena zatętniała w jego oczach. Siedemnaście lat marzyła o tej chwili, tak często ją sobie wyobrażała i stała się ona tak nieodłączną częścią jej marzeń, że czasem uważała ją za rzeczywistość. Ale teraz się nie myliła, widziała go, słyszała jego głos i wiedziała, że to jawa, nie sen. Nagle zabrakło jej słów.

— Czy zostałeś nauczycielem, Andreasie? — spytała. — Podręcznik, który zamierzałeś napisać...

Twarz mu pociemniała, w jego głosie zabrzmiała gorycz, gdy odparł:

— Pływałem po morzach i oceanach. Nie skończyłem książki.

— A teraz?

— Teraz jestem w służbie cesarza Klaudiusza.

Selena poczuła, że coś się zmieniło. W powietrzu wisiało napięcie. Coś było nie tak. Zakręciło jej się w głowie.

Andreasie! — pragnęła zawołać. — Bogowie w końcu nas połączyli. Wreszcie możemy rozpocząć nasze dzieło!

Ale nie wiedzieć czemu, nie mogła tego wypowiedzieć na głos.

Andreasie! — krzychało jej serce. — Dlaczego mnie nie odszukałeś? Dlaczego nie pojechałeś za mną drogą do Palmiry?

I nagle pojęła: nie chciała usłyszeć odpowiedzi. Uderzyło ją to jak grom, oto uświadomiła sobie to, czemu przez siedemnaście lat próbowała zaprzeczać: brutalną prawdę, że Andreas jej nie szukał.

Dwa tygodnie spędziłyśmy w drodze do Palmiry — pomyślała z nagłym bólem i gniewem. — A trzy dni siedziałam sama przy konającej matce.

Powinieneś był wtedy przyjechać, Andreasie. Powinieneś był przyjechać. Ale się nie zjawiłeś.

Odwróciła się.

— Dlaczego — spytała bez tchu — płyniesz do Brytanii?

— Klaudiusz po mnie przysłał. Jest w Brytanii, a tamtejszy klimat mu nie służy. Nie cieszy się dobrym zdrowiem.

Głos Andreasa brzmiał twardo, ale jego serce szlochało. Nie były to słowa, które chciał powiedzieć, lecz wspomnienie cierpienia, gniewu i goryczy sprzed siedemnastu lat zamknęło mu usta. Spytała o podręcznik. Mógł jej wytłumaczyć, że rozpląnął się wraz z głupim marzeniem o rozpoczęciu życia od nowa po odpokutowaniu dawnych win.

Teraz wszystko było inaczej. Miłość, która kiedyś ich łączyła, wtedy umarła.

Selena ją zabiła, zostawiając w bramie wiadomość, przekazaną mu przez Zoe: że wychodzi za męża za innego, za mieszkańca Tyru.

I oto, stojąc przed nią, wpatrując się w nią, walczył z pragnieniem, by wziąć ją w ramiona, przypominał sobie, jak wówczas, nie uwierzywszy Zoe, poszedł następnego ranka do domu Seleny i zobaczył, że jest pusty. Wcześniej wyruszyły w góry, tłumaczył sobie. Za dwa dni wrócą. Widział siebie, jak raz po raz chodzi do tej chatki w ubogiej dzielnicy, jaki był zagubiony, nic nie rozumiał, głupio wierzył, czekał, aż wreszcie — gdy upłynęły dni, tygodnie, miesiące, a Selena nie wróciła — uświadomił sobie, że to prawda, że po raz drugi zakochał się ślepo i że Selena opuściła go, tak samo jak przed nią Hestia.

A jeśli nawet w sercu Andreasa tliła się choć iskierka nadziei, jeśli w czasie tej długiej samotnej wyprawy do Chin marzył, by Selena się odnalazła, a Zoe okazała się kłamczynią, wszystko to zgasło, gdy dowiedział się od matki Mercji, że Selena ma dziecko. Czyli Zoe jednak powiedziała prawdę.

Selena spuściła wzrok. Wszystko poszło źle. Byli sobie zupełnie obcy. Gdzie się podziały jej marzenia? Ich cudowne marzenia, by wspólnie pracować, uczyć, leczyć. Chciała zapłakać nad tym, co straciła, nad zdruzgotanym marzeniem i wreszcie, co najdziwniejsze — nad chłopcem, który ruszył statkiem na poszukiwanie jantaru i pozwolił zabić swą duszę.

— Dlaczego przyjechałaś do Aleksandrii? — spytał nagle Andreas zduszonym głosem.

Selena podniosła wzrok i zobaczyła ciemne gniewne oczy. By cię odnaleźć — chciała odpowiedzieć.

— Szukać rodziny — odparła. — Powiedziano mi, że moi rodzice stąd pochodzą.

— Twoi rodzice?

— Mera nie była moją prawdziwą matką.

Andreas wyglądał na zaskoczonego. Wtedy Selena sobie przypomniała: zaczęła szukać swej tożsamości na drodze do Palmiry. Andreas nic o tym nie wie. Przez te wszystkie lata nie zdawał sobie sprawy, jak bezcenna jest róża z kości słoniowej.

— Czy... — zaczęła, nagle strwożona.

Może ją sprzedał? Albo zgubił? Czy jedyny klucz do mej tożsamości i przeznaczenia nie zniknął na zawsze?

— Pamiętasz różę z kości słoniowej, którą ci ofiarowałam w Dafne? Masz ją jeszcze?

Coś przemknęło po jego twarzy, za szybko, by Selena mogła to odczytać, był to wyraz rozczarowania, jakby się spodziewał, jakby miał nadzieję, że Selena powie coś innego.

— Tak — odparł w końcu.

Przeszedł przez pokój, postawił skórzaną torbę podróżną na stole i rozwiązał rzemienie. Sięgnął do środka. Potem odwrócił się i wyciągnął rękę: na otwartej dłoni spoczywała róża z kości słoniowej.

Selena nie odrywała od niej wzroku. Małeńka, biała, doskonała róża. Każdy płatek starannie wyrzeźbiony. Leżała na jego opalanej twardej dłoni.

To mnie trzyma w dłoni — pomyślała, podchodząc ku niemu. — Ale nie zdaje sobie z tego sprawy... Wreszcie jest. Po tylu latach. Tajemnica mojej tożsamości i przeznaczenia.

Ogarnął ją lek.

Ktoś zapukał i do środka zajrzała matka Mercja.

— Mogę się do was przyłączyć? — spytała. Zauważyła, że Andreas podaje coś siostrze Peregrinie, a ona waha się, czy to wziąć. Mercję zdziwiła pochmurna mina Andreasa. A kiedy spojrzała na Peregrinę, zobaczyła sztywno wyprostowaną sylwetkę kogoś, kto usiłuje zapanować nad sobą.

Nie do wiary — pomyślała Mercja, wchodząc do pokoju. — Przysięgłabym, że jeszcze parę minut temu, kiedy pierwszy raz na siebie spojrzeli, w ich oczach była miłość.

— Co to jest, Peregrino? — spytała matka Mercja, stając obok Seleny i Andreasa.

— Moja matka ofiarowała mi to, kiedy skończyłam szesnaście lat. Ale ja oddałam to Andreasowi. — Selena bardzo ostrożnie wzięła różę i położyła na



dłoni, patrząc na nią w zadumie. — Matka, kobieta, która mnie wychowywała, powiedziała, że w tej róży znajduje się coś, co wskaże mi, kim byli moi prawdziwi rodzice.

Mercja wyglądała na zdziwioną.

— W tej róży? Selena potaknęła.

— Nie otworzysz jej?

Selena zawahała się. Co tam znajdzie? A jeśli po tylu latach poszukiwań okaże się, że zawartość róży nic jej nie powie? Że prosta, wierząca w cuda Mera dała się omamić fantazjom konającego Rzymianina?

Próbowała otworzyć różę, ale gliniana pieczęć nie chciała się złamać.

— Daj — powiedział Andreas. — Ja spróbuję.

Silne palce oderwały pieczęć i Andreas wysypał na dłoń Seleny zawartość róży: skrawek płótna, kosmyk włosów, złoty pierścień. Matka Mercja, rozpoznawszy potęgę tych znaków, instynktownie się przeżegnała.

Ich uwagę zwrócił przede wszystkim pierścień. Delikatnie odłożywszy pozostałe rzeczy na stół, Selena przysunęła go do światła.

— Jest tu jakiś napis — powiedziała — ale nie mogę go odczytać. To łacińskie litery.

Matka Mercja przyjrzała się uważniej i zobaczyła, że pierścień to złota moneta wprawiona w obrączkę, na monecie wyryty był profil mężczyzny, a wokół krawędzi łacińskie wyrazy, których Mercja również nie umiała odczytać.

Andreas wziął pierścień i popatrzył nań, wysoko unosząc brwi. Wokół wyrytej głowy biegł napis: caesar\*perper-tuo\*dict.

— Co to znaczy? — spytała Selena.

— To stara moneta — odparł Andreas — wybita przed wielu laty, kiedy Juliusz Cezar mianował się dożywotnim dyktatorem. Był pierwszym Rzymianinem, który kazał odbić na monecie swój wizerunek.

— A więc to jest on? — zapytała Selena, zabierając pierścień. — Juliusz Cezar?

— Tak. A napis znaczy: Cezar, wieczny dyktator. Monetę wybito dla upamiętnienia wydarzenia, które, o ile się nie mylę, miało miejsce jakieś siedemdziesiąt lat temu.

Selena spojrzała na Andreasa.

— Co to znaczy? — zastanawiała się. — Dlaczego ojciec nazwał to moim przeznaczeniem? Dlaczego powiedział, że pochodzę od bogów?

Matka Mercja głośno wciągnęła powietrze.

— Twój ojciec tak powiedział? — wyszeptała.

— W którym roku się urodziłaś? — spytał Andreas.

— Niecałe trzydzieści trzy lata temu. Jeśli rozumiesz, co to znaczy, Andreasio, powiedz!

— Trzydzieści trzy lata temu — powtórzył z namysłem. — Zmarł wtedy cesarz August i jego miejsce zajął Tyberiusz. Ale nie odbyło się to gładko. Spiskowano, próbując nie dopuścić Tyberiusza do władzy. Niektórzy pragnęli przywrócenia republiki, jak to było za Juliusza Cezara. Uważali, że władza nad Rzymem powinna przejść w ręce potomków w prostej linii człowieka, który stworzył republikę: Juliusza Cezara. W końcu August był jedynie wnukiem siostry Cezara. Po śmierci Augusta panowało ogromne wzburzenie, zanim Tyberiusz nie opanował sytuacji i nie przejął ostatecznie władzy.

— Ale co to ma wspólnego ze mną?

— Ludzi usuwano z drogi, Seleno. Tyberiusz eliminował każdego, kto mógł stanowić zagrożenie, kto miałby podstawy, by rościć pretensje do władzy.

Selena wstrzymała oddech.

— Masz na myśli... mojego ojca?

— Nie wiem co prawda, jak to możliwe — odparł, marszcząc brwi. — Powszechnie wiadomo, że Juliusz Cezar zmarł bezpotomnie.

Andreas odwrócił się do matki Mercji i zobaczył, że ta przygląda się Selenie dziwnym wzrokiem.

— Chyba znam odpowiedź — odezwała się nagle kapłanka. — Chodźcie ze mną.

Matka Mercja poprowadziła ich mrocznym korytarzem, a potem przez krużganki do tej części świątyni, w której Seleno nigdy przedtem nie była. Ściany pokrywały prastare malowidła przedstawiające bogów: niewyraźne sylwetki ludzi z głowami zwierząt. Liczne kolumny były całe pokryte hieroglifami. Na murach widać było pleśń, odpadający tynk, powietrze pachniało stęchlizną. Seleno uprzytomniła sobie, że znajduje się w najstarszej części świątyni. Te mury wzniesiono przed setkami, może nawet tysiącami lat, stały już, zanim Aleksander przeznaczył tę ziemię pod swoje nowe miasto. Było to największe sanktuarium świątyni.

Mercja wprowadziła Selenę do komnaty dusznej od kadzidła. Zostały tam zgarbioną ze starości kapłankę, która z nabożeństwem doglądała świętych ognii, płonących wokół komnaty. Matka Mercja poleciła jej, by odeszła, potem zbliżyła się wraz z Seleną do posągu, górującego nad pomieszczeniem. Stosunkowo nowy, odbijał wyraźnie od starych ścian i widać było, że został tu

postawiony całkiem niedawno. Matka Mercja wskazała na piedestał. Widniał na nim grecki napis, który Selena potrafiła przeczytać: thea neotera.

— Nowa Bogini... — powtórzyła w zadumie Selena. Potem uniosła wzrok ku twarzy bogini i znieruchomiała. Patrzyła na oblicze, które ogromnie przypominało jej własną twarz.

— Kleopatra — rzekła nabożnie matka Mercja. — Ostatnia królowa Egiptu. Ostatnie ziemskie wcielenie Izydy. Teraz już wiem, dlaczego pomyślałam, że skądś cię znam, Peregrino. Widzisz, jaka jesteś do niej podobna? Ponoć miała niezwykle białą cerę przy kruczoczarnych włosach. Tak jak ty, Peregrino.

Oniemiała Selena stała bez ruchu. Nie mogła oderwać wzroku od tej białej twarzy, stała nieruchomo, jakby sama — podobnie jak ten posąg — została wyrzeźbiona z marmuru.

Matka Mercja zwróciła się do Andreasa, który siedł za nimi, a teraz stał za ich plecami w cieniu.

— Mówiłeś, Andreasie, że Juliusz Cezar umarł bezpotomnie. To nieprawda. Miał syna, Cezariona, ze swoją egipską małżonką, Kleopatrą.

Głos Andreasa odbił się echem w prastarej komnacie:

— Przecież chłopiec został zabity. Kiedy znaleziono ciała Antoniusza i Kleopatry, którzy zginęli z własnej ręki, August rozkazał zabić dwójkę ich dzieci i Cezariona.

Matka Mercja patrzyła na Andreasa, jej małe mądre oczy wyrażały więcej niż jakiegokolwiek słowa.

— Byłam wtedy małym dzieckiem i pamiętam przybycie Rzymian. Pamiętam, jak naszą ostatnią królową złożono w grobie. Pamiętam, że jej dzieci zostały zabite. Ale krążyły też inne pogłoski, Andreasie. Powiadano, że zamiast Cezariona zabito niewolnika, że grupka spiskowców, nadal lojalnych wobec Juliusza Cezara, ocaliła księcia i wychowywała go w bezpiecznym miejscu, przygotowując do dnia, kiedy upomni się o należne mu dziedzictwo w Rzymie. Właśnie dlatego August kazał go zabić, Cezarion mógł bowiem podważyć prawo Augusta do przejęcia władzy cesarskiej. Ale książę uciekł.

Andreas wyszedł z cienia.

— A Tyberiusz mógł się o tym dowiedzieć. Jego szpiedzy mogli mu donieść, że Cezarion żyje. Być może wtedy wysłał żołnierzy. Ci zjawili się w Aleksandrii, zmuszając Cezariona i jego żonę do ucieczki. Lecz żołnierze dopadli ich w Palmirze...

Selena wpatrywała się w piękną boginię.

— Czy to możliwe? — szepnęła. — Czyżby ona była moją babką?

— Jej pełne imię brzmiało Kleopatra Selena — powiedziała matka Mercja.  
— A jej brat nazywał się Ptolemeusz Helios.

Selenie nagle zrobiło się bardzo gorąco. Dym znad lamp wirował wokół jej głowy, otaczał ją i przygniatał ciężki zapach kadzideł. Nie mogła oddychać. Dusiła się. Zachwiała się na nogach. I wtedy poczuła, jak obejmuje ją w talii silne ramię. Oparła się o Andreasa.

Kiedy wrócili do komnat matki Mercji, Selena pokręciła głową i wyszeptała:

— Nie mogę w to uwierzyć.

— Ale pierścień to potwierdza — odparła alma mater.

— A także twoje imię. Jak i uderzające podobieństwo do królowej.

— Kobieta, która mnie odbierała, opowiadała, że matka wyszeptała mi do ucha moje tajemne imię. — Głos Seleny płynął z bardzo daleka. — Jakie imię wyszeptała, matko Mercjo?

Alma mater patrzyła na Selenę. Nie wypowiedziane imię zawisło w powietrzu.

— Czy nazywam się Kleopatra Selena? A mój brat Ptolemeusz Helios? — Selena wodziła wzrokiem od Mercji do Andreasa. — To dlaczego żołdacy zabili tylko mojego ojca, a matkę i brata zabrali żywych? Czy mój brat nie stanowił zagrożenia dla Tyberiusza?

— Nie wiem, dlaczego ich nie zabito — odrzekł Andreas.

— Niewątpliwie stanowili zagrożenie. Oczy Seleny rozszerzyły się.

— W takim razie... czy ja? — szepnęła. — Czy ja teraz stanowię zagrożenie dla rządzących w Rzymie?

Usiedli, wsłuchując się w cichy oddech upalnej letniej nocy. Za murami świątyni Aleksandria zapadła w sen, słona pieszczota Morza Śródziemnego kołysała palmami i marszczyła powierzchnię wody zalaną światłem księżyca.

— Więc to miała na myśli moja matka — przemówiła wreszcie Selena. — Konając na pustyni w pobliżu Palmiry, powiedziała mi, że Izyda jest moją boginią. Że się mną szczególnie opiekuje.

— Twoja babka była Izydą — odparła z naciskiem matka Mercja. — Kleopatrze za życia czciły miliony wyznawców. Twój dziadek zaś, Juliusz Cezar, pochodził od Wenus. Obie boginie cię teraz strzegą, Seleno. W twoich żyłach płynie królewska i boska krew.

\* \* \*

Stali na dziedzińcu. Otaczała ich parna letnia noc. Świt był niedaleko. Wkrótce nad wierzchołkami palm wzejdzie Wenus.

Selena czuła się jak ogłuszona. Wiedziała, że dzisiejszej nocy stała się kimś innym, niż była rano, że świat nie był już tym samym światem.

Andreas zaś...

— Co zamierzasz teraz zrobić? — spytał cicho.

— Nie wiem. Wcześniej myślałam... że odkrycie, kim właściwie jestem i po co się urodziłam, nastąpi inaczej. Wyobrażałam sobie tę chwilę rozmaicie. Ale nie tak.

Andreas stał tuż obok niej, czuła ciepło jego oddechu na twarzy. Ale nie dotykał jej, nie wyciągnął ręki, nie objął, tak jak tego pragnął.

Powiedz choć słowo, Seleno — wołało jego serce — a wypowiem posłuszeństwo cesarzowi i zostanę tu z tobą! Ukryjemy się daleko, w górze Nilu, gdzie nikt nas nie znajdzie, i będziemy żyć w miłości i w spokoju. Zapomnę o przeszłości, o cierpieniu i siedemnastu latach gniewu. Tylko powiedz jedno słowo, Seleno...

Stała blisko niego. Wiedziała, że wystarczy mały ruch, by się dotknęli.

Poproś, bym z tobą wyjechała, Andreasie — myślała.

— Powiedz słowo, a porzucę Aleksandrię, bogów, przeznaczenie i pójdę za tobą.

— Masz wielki dar, Seleno — odezwał się cicho. — Marnujesz się w tym mieście, gdzie pełno lekarzy. Narodziłaś się do ważniejszych rzeczy. Chorzy przy świątyni poradzą już sobie bez ciebie, wychowałaś uczennice, które cię zastąpią. Nie ma rzeczy na tym świecie, jakiej nie potrafiłabyś zrobić.

Mówił cicho, ale z żarem. Pod jego spojrzeniem czuła się tak, jakby ją trzymał w ramionach.

— Wiele lat temu marzyłaś, Seleno, o stworzeniu niedościgłej sztuki leczenia i stosowaniu jej tam, gdzie jest najbardziej potrzebna. Masz już wystarczającą wiedzę i umiejętności. Jesteś wyjątkowa. Zanieś te dary tam, gdzie są największe potrzeby.

— Czyli gdzie, Andreasie? Dokąd mam pojechać?

— Do Rzymu.

— Do Rzymu?!

— Ludzie potrzebują tam kogoś takiego jak ty, Seleno. Potrzebne są im twoje umiejętności i mądrość. Tu, w Aleksandrii, giniesz jak brylant wśród tysięcy pereł. Ale Rzym, Seleno, Rzym cię potrzebuje.

Rzym — myślała. W głowie jej wirowało. — Miasto moich przodków. Miasto, które uczyniło mego dziadka bogiem. A potem zjawiała się myśl:

Czy są tam? Moja matka i brat? Czy zabrano ich do Rzymu i pozostawiono przy życiu? Czy żyją do dziś?

— Zawsze czułam, Andreasie — odezwała się cicho — że leczenie i moja tożsamość jakoś się ze sobą wiążą. Ale nadal nie wiem w jaki sposób. Czy w Rzymie znajdę odpowiedź?

— Być może.

— A czy ty wrócisz do Rzymu, Andreasie? — wyszeptała.

— Kiedy już spotkasz się z cezarem w Brytanii, czy wrócisz do Rzymu?

— Muszę tam wrócić, Seleno. Tam mam dom. Tam są moi przyjaciele. Wrócę do Rzymu, kiedy tylko Klaudiusz mi na to pozwoli. I znowu się spotkamy, ty i ja...

## ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY

Selena z Ulryką płynęły jednym z tych solidnych statków przewożących zboże, które regularnie przemierzały Morze Śródziemne z Egiptu do Rzymu. Nazywał się „Izyda”. Był to imponujący statek z wygiętą rufą, zakończoną połączoną głową gęsi, przewoził tysiąc ton ziarna i ponad sześciuset pasażerów, a do Rzymu, płynąc pod wiejący z północy wiatr, docierał po siedmiu tygodniach.

Liczne przeszkody opóźniały wyjazd. Po pierwsze, każdy, kto chciał wyjechać z Aleksandrii, musiał otrzymać zgodę gubernatora, a ten właśnie wyruszył na inspekcję aż do pierwszej katarakty na Nilu. Następnie wynikła sprawa opłaty za podróż, jej wysokość Selena uznała za oburzającą: od mężczyzn brano dziesięć drachm, ale za Ulrykę zażądano trzydzieści, a za nią samą aż sto. Nic nie można było na to poradzić, przepis ten miał zniechęcać kobiety do podróżowania. Matka Mercja podjęła na ten cel pieniądze ze skarbca świątyni. Potem trzeba było znaleźć statek, co wymagało chodzenia tam i z powrotem po nabrzeżu i wypytywania, który statek dokąd płynie i czy znajdzie się jeszcze miejsce dla dwóch pasażerek. Wreszcie wyłoniła się kwestia znaków.

Wszyscy marynarze są przesądni, ale chyba żaden z nich nie dorównywał kapitanowi „Izydy”. Ofiara z byka złożona Posejdonowi w dniu wypłynięcia nie udała się, więc kapitan przełożył termin. Następnego dnia na olinowaniu siedziała i krakała wrona. Na trzeci dzień cieśla okrętowy opowiedział, że śniły mu się czarne kozy. Czwartego dnia po pierwotnym terminie w ogóle nie brano pod uwagę, jako że wypadwał wtedy dwudziesty czwarty sierpnia, powszechnie uważany za dzień pechowy. Selena z Ulryką codziennie przychodziły do portu ze swymi tobołkami. Towarzyszyła im matka Mercja i razem oczekiwały wołania herolda, oznajmującego, że ich statek wyrusza, gdyż statki nigdy nie wypływały według ustalonego rozkładu. Za każdym razem wracały do świątyni, zaniepokojone i rozdrażnione.

W końcu nadeszła chwila, kiedy wiatry sprzyjały, dzień nie był pechowy i nie pojawiły się żadne złe znaki. Ulryka i Selena stały na pokładzie i machały tak długo, aż ląd i Aleksandria powoli zniknęły im sprzed oczu.

Spały na pokładzie, za zasłoną oddzielającą kobiety od mężczyzn, skulone pod kocami, trzymając między sobą swój dobytek. Dni spędzały w cieniu dużego kwadratowego żagla. Tam jadły, naprawiały ubrania i rozmawiały z pasażerami. Nigdy nie siedziały beczynn timer. Kiedy po statku rozeszła się

wieść, że płynie z nimi mądra, Selena nieustannie musiała rozdawać korzeń imbiru na chorobę morską i maść na nieuniknione dolegliwości dziąseł.

Ulryka spędzała czas obserwując sternika albo słuchając rozmów marynarzy, kiedy naciągali liny, czy wylewali brudy z zęzy, czasem rozmawiała z cieślą, który robi! zapasowe wiosła i trzpień do cum. A kiedy już napatrzyła się na tę pływającą twierdzą przypominającą małe samowystarczalne miasteczko, godzinami wpatrywała się w morze wielkimi poważnymi oczami i myślała o tym, jak przed wielu laty jej ojciec przemierzał te same wody, ale jako skuty łańcuchami niewolnik.

Podróż upłynęła gładko i bez przygód, mimo to wszyscy pasażerowie okrzykami ulgi powitali widok portu w Ostii. Powszechnie lękano się podróży morskich i na pokładzie „Izydy” nie było osoby, która przez te siedem tygodni zapomniałaby zawiesić na szyi tradycyjny złoty pieniążek. Ten praktykowany od pokoleń obyczaj gwarantował, że w razie gdyby statek zatonął, ciało zostanie pochowane przez tego, kto je znajdzie.

Kiedy „Izyda” zbliżała się do brzegu, Selena stanęła przy relingu, wiatr wiał jej prosto w twarz.

Kolejna nieznana ziemia — myślała. — Nowi ludzie, nowe obyczaje. Co mnie czeka w Rzymie?

I jakie imię będę tu nosiła?

Selena czuła w głębi serca, że to już ostatni nieznany ląd, do którego przybija, wkrótce skończą się jej wędrówki.

Tu wreszcie bogowie objawią mi swoją wolę. Moja tożsamość w końcu połączy się z moim powołaniem — ale jak, w jaki sposób, tego jeszcze nie wiem.

Pomyślała o Merze, skromnej kobiecie skromnego rodu, która zsunęła pierścień Juliusza Cezara z dłoni konającego księcia. Niespodziewanie też przypomniała sobie starego Ignacjusza, jak na pustyni walczył w jej obronie z rozbójnikami i dał jej cudowny przezroczysty kamień rozniecający w zimne noce ogień w obcych stronach. Myślami wróciła nawet do Kazłaha, którego ulubionym „lekiem” był napój ze sproszkowanych szmaragdów i rubinów w winie, jaki tylko szkodził pacjentom. Ciekawe, co zrobił z tajemnicą leku Hekate? Czy w końcu użył go jako broni przeciwko królowej? Fatma, mądra z pustyni, podzieliła się z Seleną tajemną wiedzą swoich przodków, to wszystko teraz znalazło się z Seleną w Rzymie. No i mądrość Rani, która tak wiele poświęciła dla możliwości leczenia: zrezygnowała z małżeństwa, dzieci, wyparła się nawet swej kobiecości, by pracować w zamkniętym świecie mężczyzn.



Selena myślała też o swojej córce, tej niezwyklej pamiętce jej miłości do Wolfa.

W Rzymie będziemy pracować wspólnie — postanowiła. — Przekażę jej całą swą wiedzę, by to, co wiem, nie przepadło wraz z moją śmiercią.

W końcu pomyślała o Andreasie.

Jej miłość do niego sięgała nieba, rozciągającego się nad Morzem Śródziemnym, była głębsza niż szmaragdowa toń pod tym statkiem. A mimo to straciła go, coś sprawiło, że ich marzenie umarło. Ale może w Rzymie, kiedy on wróci z Brytanii, może wtedy, jeśli bogowie pozwolą...

Może moje życie do tej pory to był tylko czas przygotowania — myślała podniecona, patrząc na coraz bliższy, ruchliwy port. — Bogowie przygotowali mnie i teraz już jestem gotowa.

## ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY PIERWSZY

— Rzym to niebezpieczne miasto, Seleno — ostrzegał ją Andreas. — Zwłaszcza dla samotnej kobiety. Udaj się do Pauliny. To moja stara przyjaciółka i chętnie ci pomoże.

Minęło dziewięć tygodni od chwili, gdy mówił te słowa podczas pożegnania u wrót świątyni. Seleno wyobrażała sobie, że dom pani Pauliny jest skromny i niewielki, a ona sama przypomina matkę Mercję. Dlatego willa na Eskwilinie oraz jej mieszkanka zadziwiły Selenę.

Był to ich pierwszy dzień w Rzymie, błękitno-złoty jesienny dzień. Seleno z Ulryką poszły od razu na wzgórze Eskwilin. Ulica, przy której mieszkała pani Paulina, niczym się nie wyróżniała, po obu stronach biegły mury, poprzecinane otworami bram, zasłaniające wspaniałe wille bogaczy przed oczami ciekawskich. Kiedy Selenę i Ulrykę wpuszczono za jedną z tych bram, wydawało im się, że znalazły się w jakimś rajskim ogrodzie, pełnym kwiatów, drzew i fontann. Wprowadzono je do atrium, za którym także był ogród, otoczony z czterech stron krużgankami. Seleno nigdy przedtem nie widziała tak wielkiego domu i teraz zastanawiała się, kim może być kobieta, która w nim mieszka.

— Paulina jest wdową — wyjaśniał Selenie Andreas. — Przyjaźniłem się z jej mężem, Waleriuszem. Ona teraz mieszka sama w tym domu, który zostawił jej mąż. Jest bardzo samotna. Wiem, że ucieszy się z waszego towarzystwa.

W jednym z wychodzących na ogród pomieszczeń rozlegały się dźwięki muzyki i śmiech, właśnie wyszła stamtąd kobieta. Przeszła przez ogród i wkroczyła do atrium. Poruszała się z gracją i pewnością siebie osoby z wyższych sfer.

Paulina Waleria była smukłą kobietą średniego wzrostu, o oczach koloru topazu i starannie ufryzowanych brązowych włosach. Cerę miała jasną i delikatną, jakby unikała słońca, wyglądała na jakieś czterdzieści lat i była o wiele młodsza, niż Seleno się spodziewała.

Paulina jednym spojrzeniem objęła Selenę — jej prostą lnianą suknię i sandały egipskiej wieśniaczki. Przez dłuższą chwilę zatrzymała wzrok na Ulryce — Selenie wydało się, że dostrzega w jej oczach błysk niechęci — a potem zwróciła się do nich po łacinie:

— Jestem Paulina Waleria. Pragnęłyście się ze mną widzieć?

— Ja i moja córka dopiero co przybyliśmy do Rzymu. Przyjaźnię się z Andreasem lekarzem i to on poradził nam, byśmy się do ciebie, pani, udały — odparła Selena po grecku.

W topazowych oczach zapaliło się światełko.

— Rozumiem. Witajcie w Rzymie. Jesteście tu po raz pierwszy?

— Tak. Przybyliśmy prosto z Aleksandrii i nie znamy miasta. Nie znamy też tu nikogo oprócz Andreeasa.

— Tak, Andreas. Co u niego słyhać?

— Popłynął do Brytanii.

— Wiem. Trzy miesiące temu pożegnałam go w Ostii. Czy bezpiecznie wyruszył do Brytanii?

— Wypłynął z Aleksandrii przy dobrej pogodzie. Paulina umilkła, a potem spytała.

— Gdzie się zatrzymałyście?

Kiedy Selena powiedziała jej o gospodzie w pobliżu Forum, w której spędziły noc po przybyciu z Ostii, pani Paulina uśmiechnęła się chłodno i rzekła:

— W takim razie musicie zatrzymać się u mnie. Gospody są takie drogie, a do tego niebezpieczne, nie sądzisz? Skoro jesteście przyjaciółkami Andreeasa, to i moimi. Wyślę chłopca, żeby przyniósł wasze rzeczy.

Przywołała niewolnika, by odprowadził nowych gości do ich pokoi. Zanim wyszła z atrium, dodała jeszcze:

— Możecie tu zostać tak długo, jak chcecie. To oczywiste. — Spojrzawszy znów na Ulrykę, spytała: — Ile lat ma twoja córka?

— W marcu skończy trzynaście.

Paulina zamyśliła się i po chwili powiedziała:

— To duży dom, dziecko łatwo mogłoby się w nim zgubić. A ogrody na tyłach też są dość rozległe. Jestem pewna, że nie chcesz, żeby zabłądziła. Niech więc się nie oddala od waszych pokoi.

Idąc za niewolnikiem przez ogród, minęły wejście do pomieszczenia, skąd dobiegały dźwięki muzyki. Selena usłyszała rozmowę:

— Nie pojmuję, czemu Amelia wzięła sobie męża z niższych sfer.

— Bo jest przystojny i bogaty. Rozległ się śmiech.

— No tak — odezwał się kobiecy głos — ale ta jego rodzina! Z pokolenia na pokolenie wszyscy robili sery. Może i mają od niedawna pieniądze, za to nazwisko — żadne. Sądzę, że Amelia sama się poniżyła, wystawiła na pośmiewisko. A oto i Paulina. Spytaj, co ona myśli o biednej Amelii.

Kiedy jednak Paulina weszła do pokoju, śmiechy umilkły. Selena usłyszała szepty i wyobraziła sobie, jak ciekawe oczy gości odprowadzają je wzrokiem przez otwarte drzwi.

Idąc z matką przez ogród, Ulryka rozglądała się na prawo i lewo, zdumiona, że to wszystko należy do jednej tylko osoby. Potem zauważyła chłopca — dwa, trzy lata starszego niż ona — grabiącego suche liście na ścieżce. Nie mogła oderwać od niego wzroku. Miał jasne włosy, błękitne oczy i był bardzo wysoki. Podniósł głowę i znieruchomiał z grabiami w rękę, wpatrując się w dziewczynę.

\* \* \*

Selena i Ulryka, przyzwyczajone do podróży i zmian otoczenia, szybko zadomowiły się w willi Waleriuszów. Ulryka rzadko się odzywała, odkąd przyplłynęły do Ostii — właściwie niewiele mówiła od owego wieczoru, gdy matka weszła do jej pokoju w Aleksandrii, oznajmiając, że opuszczają miasto.

Teraz umyła twarz, rozebrała się, odmówiła po cichu modlitwy i bezszelestnie wsunęła się do czystej pościeli.

Myślała o chłopcu z ogrodu.

W sąsiednim pokoju Selena długo nie mogła zasnąć. Choć ciało było wyczerpane, sen nie nadchodził, a w umyśle rodziły się pytania. Czyżby Rzym okazał się wreszcie jej domem? Nabierała coraz większej pewności, że tak. Czują to. Tu znajdowała się jej rodzina, potężni władcy cesarstwa, mężczyźni i kobiety, łączą ją z nimi więzy krwi i wspólni przodkowie. Tutaj też był dom Andreasa, do którego przecież kiedyś wróci on z Brytanii. Co jeszcze Rzym miał jej ofiarować? Lekarska skrzynka Seleny stała w nogach łóżka, teraz już podniszczona w podróżach, odrapana i poobijana, ale gotowa, pełna leków zgromadzonych podczas wieloletnich dalekich wędrówek.

— Jesteś potrzebna mieszkańcom Rzymu — mówił Andreas. — Nie ma tam miejsc opieki nad chorymi, takich jakie widziałas w innych miastach, ani oddziałów przy świątyniach, podobnych do tego, który stworzyłaś w Aleksandrii. Chorzy nie mają gdzie szukać ulgi w cierpieniach. W Rzymie odnajdziesz swoje przeznaczenie.

Selenę w końcu zaczęła ogarniać senność. Pomyślała jeszcze o Paulinie. Kim była dla Andreasa, a on dla niej?

Selena oddychała coraz wolniej i głębiej. Przed oczami miała twarz Andreasa, poczuła dawny ból, nową falę znajomej tęsknoty, a nade wszystko miłość.

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI

— Ci ludzie to nasza rodzina, Rikki — oznajmiła Selena z dumą w głosie. — Nasi krewni. Płynię w nas ta sama krew.

Stały u stóp Palatynu, patrząc na tarasy, portyki i kępy cyprysów, otaczających wille i pałace rzymskiej arystokracji. Selena po raz kolejny próbowała wyjaśnić skomplikowane więzy pokrewieństwa, by Ulryka lepiej to wszystko zrozumiała.

— Pierwszy cesarz, August — mówiła, powtarzając to, czego dowiedziała się od Andreeasa owej nocy w pokojach matki Mercji — był wnukiem siostry Juliusza Cezara. Jego siostra, Oktawia, wyszła za mąż za Marka Antoniusza i miała z nim córkę, Antonię. Antonia poślubiła Druzusa i miała dwóch synów: Germanika i Klaudiusza. Tenże właśnie Klaudiusz jest teraz cesarzem Rzymu. I choć łączy nas odległe pokrewieństwo, Rikki, nie zmienia to faktu, że jest naszym kuzynem.

Potem odwiedziły ładną, okrągłą świątynię boskiego Juliusza, gdzie czczono go jako boga.

— Widzisz, jaką czią otaczają Rzymianie twego pradziadka? To jego krew włada Cesarstwem, Rikki. A ludzie, którzy teraz rządzą Imperium, z dynastii julijsko-klaudyjskiej, roszczą sobie pretensje do władzy na podstawie tej jednej kropelki jego krwi. Twoja zaś krew, córeczko, nie ma domieszek, pochodzisz bezpośrednio od boskiego Juliusza. Jego syn był twoim dziadkiem.

A skoro — dodała w duchu — Juliusz Cezar był potomkiem bogini Wenus, od niej też pochodzi moja córka.

Ulryka słuchała bez słowa. Poważnym spojrzeniem błękitnych oczu mierzyła ogromny posąg człowieka, którego nienawidziła, którego wstydziła się nazywać pradziadkiem. On pierwszy najechał Germanię i ze współplemieńców jej ojca uczynił niewolników.

Ci tutaj nie są jej rodakami, to nie jest jej miasto. Ulryka odruchowo odwróciła się od posagu Juliusza Cezara i spojrzała na północ. Patrzyła w tamtą stronę zdecydowanym, pewnym wzrokiem.

\* \* \*

Początkowo Selena błądziła w rozległym mieście, ale codziennie tak długo po nim chodziła, aż zaczynała ją boleć stara rana w nodze, zapamiętywała ulice i miejsca, gdzie stały niezliczone pomniki, rozmawiała z ludźmi — i wreszcie oswoiła się z Rzymem.

Nie rozstawiała się ze swoją skrzynką i często zatrzymywała się, by komuś pomóc. Andreas mówił prawdę: chorzy i ranni nie mieli tu gdzie szukać pomocy. Rzym wydawał się Selenie groźnym miejscem, na ulicach panowało bezprawie, a mieszkańcy miasta, stłoczeni w dusznych, niezdrowych norach przypominali dzikusów. Chodząc wąskimi uliczkami, do których nigdy nie zaglądało słońce, Selena stopniowo zaczynała sobie uświadamiać, że istnieją dwa Rzymy. Jeden to ten ciemny, zatłoczony Rzym, gdzie tysiące bezrobotnych — przed którymi nie było nic, oprócz krótkiego ciężkiego życia — wygrzewało się beczynn timer w słońcu, pijąc darmowe piwo i narzekając. Drugi to był Rzym za wysokimi murami i zamkniętymi bramami, gdzie w malowniczych willach mieszkali bogacze tacy jak Paulina, ludzie żyjący jakby w innym wymiarze, mała garstka, która rządziła światem, ale nie była jego częścią.

Selena szybko nauczyła się wracać do domu przed zachodem słońca. Kiedy dzień się kończył, a w mieście wolno już było poruszać się pojazdom kołowym, pojawiała się jeszcze jedna grupa społeczna — niebezpieczna, gotowa na wszystko. Selena od razu zrozumiała, dlaczego w oknach domów tkwią metalowe kraty, a drzwi są zamykane na potężne zamki. W nocy panoszyło się w Rzymie przestępstwo.

Z czasem Selena dowiedziała się więcej o swojej gospodyni, wbrew temu, co mówił Andreas, Paulina nigdy nie była sama.

W willi zawsze było pełno gości, przebywających z dłuższą lub krótszą wizytą. Na parterze odbywały się hałaśliwe przyjęcia, wieczory z filozofami i poetami, kiedyś nawet zjawiała się trupa mimów i w ogrodzie do późnej nocy rozbrzmiewała muzyka i oklaski. O zachodzie słońca niewolnicy Pauliny krążyli po domu, zapalając pochodnie i lampy, wkrótce potem zjawiali się goście ze swoimi eskortami i willa napełniała się śmiechem. Seleny i Ulryki nigdy nie zapraszano, ale mogły słuchać odgłosów zabawy ze swoich sypialni na piętrze, Selena czasem widziała, jak jej córka klęczy na balkonie i zerka na dół przez balustradę.

Selena rzadko widywała swą gospodynię, mijały dni, nim mignęła jej sylwetka Pauliny, przechodzącej przez perystyl. Od chwili przybycia Seleny i Ulryki obie kobiety wymieniły zaledwie kilka słów.

Selena nie czuła się dotknięta, że nie uczestniczy w zabawach, miała swoją pracę. Codziennie o świcie wychodziła — bez Ulryki, która wołała zostać w domu — i wracała o zachodzie słońca, zmęczona, utykająca, z uszczuplonymi zapasami w skrzynce. Wieczorami zwijała bandaże, ostrzyła skalpele,

segregowała zioła kupione na Forum. Potem już tylko brała kąpiel i wcześniej się kładła do łóżka.

Była gotowa. Nie wątpiła już, że jej przeznaczenie czekało na nią w tym mieście — za rogiem, na następnej ulicy, miała nadzieję, że je rozpozna.

## ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY TRZECI

Ulryka gwałtownie podniosła głowę. Mignęły jej jasne włosy, ktoś schował się za oknem. Znowu ją śledzi ten chłopiec z ogrodu.

Odłożyła książkę, wstała z łóżka i na palcach przeszła przez pokój.

To już piąty raz w tym tygodniu przyłapała go na podglądaniu. A ile razy szpiegował ją, gdy tego nie widziała? Czasem, idąc przez ogród, czuła na sobie jego spojrzenie, a raz, kiedy wychodziła z matką w stronę bramy, zauważyła, jak chował się w krzakach.

Cichutko podeszła do drzwi i wyjrzała. Korytarz był pusty. Niżej, w ogrodzie, niewolnicy zapalali pochodnie przed wieczornym przyjęciem. Ulryka ściągnęła brwi. Tak ją pochłonęła lektura, że straciła rachubę czasu. Słońce już prawie zaszło, a matka jeszcze nie wróciła.

Ulryka wyszła z pokoju i rozejrzała się na prawo i lewo. Po przeciwnej stronie otworzyły się drzwi, ukazało się w nich dwoje najnowszych gości Pauliny: senator z żoną. Ulryka odprowadziła ich wzrokiem. Ludzie, którzy zjawiali się w tym domu, zawsze byli pięknie odziani, mężczyźni byli eleganccy i przystojni, kobiety miały ekstrawaganckie fryzury ze spiętrzonych loczków. Rozmawiali w specyficzny sposób, posługując się nienaganną greką, nawet śmiali się inaczej: uprzejmie, niezbyt głośno. Ulrykę fascynowali goście Pauliny, a zarazem ich nienawidziła.

Kiedy senator z żoną zeszli do ogrodu, Ulryka kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Obejrzała się na tyle szybko, że zdążyła zobaczyć, jak chłopiec daje nura w drzwi.

— Zaczekaj — powiedziała. — Nie uciekaj.

Pobiegła korytarzem do zamkniętych drzwi. Zawahała się chwilę, potem położyła rękę na klamce i otworzyła. Była to sypialnia, podobna do jej pokoju, przygotowana dla gości na nocleg.

— Proszę cię, wyjdź — odezwała się Ulryka, wchodząc do środka. Przystanęła i nasłuchiwała. Słyszeć było tylko głosy gości z dołu. Zawołała jeszcze raz, tym razem nie po grecku, lecz po aramejsku. — Czy rozumiesz mnie? Proszę, nie bój się. Chcę z tobą porozmawiać.

Weszła głębiej do pokoju. Kiedy zobaczyła, że zasłony w oknach się poruszają, choć nie było wiatru, powtórzyła łagodnie:

— Jestem twoją przyjaciółką. Nie jestem jedną z nich. Proszę cię, wyjdź.

Nie odrywała wzroku od zasłony. Zobaczyła, że jej brzeg znów się zakółsał.



— Nigdzie się nie ruszam — oświadczyła zdecydowanie. — Będę tu czekać, dopóki nie wyjdiesz.

\* \* \*

Selena wybiegła z domu nad rzeką, zaniepokojona, że zrobiło się już tak późno. Jakaś kobieta błagała, by przyszła zbadać jej dziecko, które stało się apatyczne i nie chciało jeść. Selena spędziła przy niemowlęciu więcej czasu, niż przypuszczała, i teraz znalazła się w podejrzanej dzielnicy nad rzeką w chwili, gdy słońce znikало za wzgórzami.

Chwyciła mocniej swoją skrzynkę, skręciła w pierwszą lepszą uliczkę, byle dalej od Tybru, i spiesznym krokiem zmierzała w stronę Eskwilinu.

Wtem drogę zastąpił jej tłum, który wynurzył się zza zakrętu. Ludzie byli rozgniewani, krzyczeli: „Chleba i igrzysk!” Selena wiedziała, co to znaczy. Widziała już w Rzymie niejednego taki spontaniczny wybuch niezadowolenia. Tłum zwykle składał się z bezrobotnych, znużonych, rozdrażnionych mężczyzn, którym wystarczył najmniejszy pretekst, by wpadli we wściekłość. Zazwyczaj przyczyny te były błahe, dziś jednak powodem była nieobecność Klaudiusza w Rzymie, brak publicznych rozrywek oraz darmowej żywności.

Selena schroniła się pod jakimś okapem, a tłum przewalał się obok niej, wygrażając pięściami, przeklinając mieszkańców Palatynu. Selena rozumiała ich, liczba bezrobotnych w Rzymie była zastraszająco wielka, a znaczna ich część utrzymywała się z zapomóg udzielanych przez rządzących. W ten sposób powstała klasa ludzi niewykształconych, niepracujących, skorych do buntu. To była ich dzisiejsza rozrywka: iść przez miasto i prowokować żołnierzy, którzy właśnie zjawili się na końcu ulicy, jutro całą falą zaleją Circus Maximus, Wielki Cyrk i będą oglądać igrzyska, pochłaniając darmowe piwo i jedzenie.

Kiedy tłum zatrzymał się na skrzyżowaniu na wprost ustawionych w szeregu żołnierzy, zjawili się jeźdźcy na koniach. Do siodeł mieli przytroczone kosze, z których błyskawicznie wyjmowali i rzucali w tłum żywe węże. Motłoch natychmiast się rozproszył. Ludzie biegali z krzykiem tam i z powrotem. Za chwilę było po wszystkim i tylko żołnierze zbierali węże na opustoszałej ulicy.

Wyszedłszy spod okapu, Selena zobaczyła jakiegoś człowieka, który tak jak ona odsunął się od ściany, po czym chwycił się za bok, zachwiał i upadł na ziemię. Żołnierze nie zwrócili na mężczyznę uwagi, ale Selena podbiegła do niego. Miał poniżej żeber ranę. Po pobieżnym badaniu Selena stwierdziła, że nie jest w stanie mu pomóc: zbyt mocno krwawił. Należałoby założyć opaskę, zaszyć ranę i położyć rannego, by się nie ruszał.

Selena podniosła głowę, chcąc zawołać któregoś z żołnierzy, ale okazało się, że została sama z rannym, a na ulicy zrobiło się ciemno i cicho. Wtedy przypomniała sobie o wyspie na środku rzeki, gdzie znajdowała się świątynia Eskulapa, most, który na nią prowadził, był niedaleko. Z trudem dźwignęła ledwie przytomnego mężczyznę. Zarzuciła sobie jego ramię na barki i prowadziła go wolno ulicą w stronę rzeki, oddalając się od wzgórza Eskwilin.

Stary kamienny most łączył lewy brzeg Tybru z wyspą o wydłużonym kształcie. Zaczynał się niedaleko wejścia do teatru Marcellusa, wokół którego kłębił się tłum ludzi, kupujących bilety na wieczorny występ. Selena przeciągnęła rannego przez zbiegowisko i dotarli na most.

Stłoczone na wyspie budynki, rysujące się wyraźnie na tle zachodu, były z pewnością przedsionkiem świątyni Eskulapa. Jeszcze nie zdążyła jej zwiedzić, ale przypuszczała, że wygląda ona jak wszystkie inne świątynie Eskulapa w Imperium i że mężczyzna znajdzie tam pomoc. Kiedy jednak dotarła do końca mostu, a tam, nie mając już siły, położyła nieprzytomnego na ziemi, oszołomił ją widok, jaki ukazał się jej zdumionym oczom.

\* \* \*

W końcu zasłony się poruszyły i ukazała się jasnowłosa głowa. Dwoje czujnych błękitnych oczu bacznie przypatrywało się Ulryce. Chłopiec poruszał się sztywno, gotów do ucieczki.

— Proszę, nie bój się mnie — odezwała się Ulryka, zastanawiając się, czemu chłopiec jest tak lękliwy. Wyciągnęła rękę. — Jestem twoją przyjaciółką.

Wyszedł zza zasłony, ale trzymał się z daleka, mierząc Ulrykę wzrokiem. Teraz Ulryka zrozumiała powód jego lęku: na ramionach widać było świeże ślady po chłóście, na nadgarstkach, gdzie więzy musiały rozedrzeć ciało, zostały blizny. Chłopiec od niedawna był niewolnikiem i jeszcze nie udało się go złamać.

— Nie rozumiesz mnie? — spytała, przechodząc na grecki.

Nie — uświadomiła sobie z przykrością, tak krótko był w niewoli, że jeszcze nie nauczył się języka swoich panów.

Przypatrywała mu się uważnie. Chłopiec był wysoki, tak jak ona, miał długie nogi i ręce. Choć chudy jak tyka, jego barki i twarde bicepsy ramion zapowiadały, że wyrośnie na silnego mężczyznę. Twarz, zdaniem Ulryki, miał piękną. Duże, szeroko rozstawione oczy, ładny zarys szczęki, nos długi i prosty. W gruncie rzeczy chłopiec wcale się nie bał, był tylko nieufny, jak nieoswojone dzikie zwierzę.

— Nazywam się Ulryka — powiedziała, wskazując na siebie. — A ty kim jesteś?

Patrzył na nią.

— Ulryka — powtórzyła, uderzając się w pierś. — Nazywam się Ulryka.

Podeszła kilka kroków, ale zatrzymała się, widząc w jego oczach napięcie. Wskazała na niego palcem i wzrokiem zadała pytanie.

— Eryk — rzekł w końcu. Uśmiechnęła się.

— Witaj, Eryku — powiedziała.

Napięcie nie ustąpiło, mimo to podeszła jeszcze bliżej, a kiedy znalazła się tuż kolo chłopca, spojrzała na amulet, wiszący na jego piersi. Uniosła brwi. Był to krzyż Odyna.

Ulryka sięgnęła po ramię, który nosiła na szyi, i wyciągnęła swój amulet. Na jego widok Eryk szerzej otworzył oczy.

— Odyn — powiedział z niedowierzaniem.

— Tak, Odyn. Ojciec przed śmiercią dał go mojej matce. Ponownie bacznie się przyjrzał jej jasnym włosom i błękitnym oczom, wreszcie posłał jej nieśmiały uśmiech.

— No nareszcie! — ucieszyła się Ulryka. — Posłuchaj: nauczę cię mojej mowy, a ty mnie swojej i będziemy przyjaciółmi, bo pochodzimy z tego samego narodu.

Kiedy wyciągnęła rękę, którą Eryk nieśmiało ujął, Ulryka poczuła dziwny dreszcz. Zapomniała, że jest już późno, że zapadła noc, i że matka jeszcze nie wróciła do domu.

\* \* \*

Paulina odprowadziła ostatnich gości do bramy, ucałowała ich na dobranoc i zawróciła w stronę domu. Ni stąd, ni zowąd zerwał się gorący wiatr, szeleszcząc wśród uschłych liści, wzbijając kurz. Paulina szczelniej owinęła pallą nagie ramiona i szybkim krokiem szła przez ogród.

Minęła atrium i skierowała się w stronę schodów, prowadzących do jej komnat, po czym nagle się zatrzymała. Ktoś siedział w ogrodzie w perystylu. Podeszła bliżej i zobaczyła, że to ta dziewczynka, Ulryka, siedzi samotnie na ławce. W świetle księżycy jej twarz wydawała się niezwykle blada.

— Co ty tu robisz? — spytała Paulina.

— Czekam na mamę. Paulina uniosła brwi.

— Jeszcze nie wróciła?

Ulryka zacisnęła wargi i pokręciła głową. Dochodziła północ. Nie pamiętała już, jak długo tu tkwiła. Minęło wiele godzin, od kiedy nadzorca brutalnie odpędził Eryka i kazał mu iść do pomieszczeń niewolników. Nie

tknąwszy nawet kolacji, którą jak zwykle przyniesiono jej do pokoju, Ulryka wyszła do ogrodu i czekała.

Paulina się zawahała. Nagle zapragnęła usiąść przy dziewczynce i jakoś ją pocieszyć, ale zapanowała nad tym impulsem.

— Wiesz, dokąd dziś poszła? — spytała.

I znowu Ulryka potrząsnęła głową, próbując powstrzymać łzy.

To dziecko boi się płakać — pomyślała Paulina. — Nie chce okazać strachu.

I znowu wróciło pragnienie, by pocieszyć dziewczynkę, ale Paulina miała silną wolę. Wiedziała, że jeśli się człowiek postara, może zapanować nad uczuciami.

— Chyba powinnam wysłać kogoś, żeby jej poszukał — oznajmiła sucho. — Któregoś z niewolników.

Ulryka podniosła wzrok.

— Och, naprawdę?

Paulina odwróciła spojrzenie od tych młodych jasnych oczu i pożałowała swej chwili słabości. Nie powinna była pozwolić im tu zamieszkać. Gdyby nie Andreas...

Brama się otworzyła i w chwilę później w ogrodzie zjawiała się Selena.

— Mamo! — zawołała Ulryka, zrywając się z ławki i biegnąc do niej.

Selena objęła córkę.

— Rikki! Przykro mi, że się niepokoiłaś. Nie miałam jak cię zawiadomić.

Selena spojrzała na Paulinę, która stała jak posąg w poświęconym księżycu. Na jej twarzy malował się wyraz niezadowolenia i coś jeszcze... czyżby ból?

— Gdzie byłaś, mamo? — spytała Ulryka, wysuwając się z objęć Seleny.

— Poszłam do świątyni Eskulapa.

— Eskulapa! — zawołała Paulina. — Jesteś chora?

— Nie, pani, byłam...

— Jeśli jesteś chora, możesz skorzystać z pomocy mojego domowego medyka. Nie musisz chodzić na tę okropną wyspę.

I nim Selena zdołała cokolwiek powiedzieć, gospodyni oznajmiła:

— Jest już późno. Twojej córce było słabo ze strachu. Selena i Ulryka poszły na górę, obejmując się ramionami.

— Och, mamo, nawet nie wiesz, jak się martwiłam!

— Przepraszam, Rikki — odparła Selena, rozcierając bolącą nogę i stawiając skrzynkę na stole. Suknię miała poplamioną, włosy wymykały się spod białej chusty, ale jej twarz promieniała. — Coś cudownego wydarzyło się dzisiejszej nocy, Rikki.

Podczas gdy córka szykowała jej gorącą wodę do mycia, Selena opowiadała o rannym mężczyźnie, o tym, jak zabrała go do świątyni na wyspie i co tam zobaczyła.

— Nie wierzyłam własnym oczom, Rikki! Na tej maleńkiej wyspie leżały setki ludzi. Zajmowali każdy wolny skrawek powierzchni. I cóż to za nieszczęśnicy! Jest ich o wiele za dużo, by ta garstka braci i kapłanów mogła się nimi zająć. Najwyższy kapłan, niejaki Herodas, powiedział, że lekarze z miasta przestali pomagać w świątyni z powodu przytłaczającej liczby chorych. Bracia muszą sobie radzić sami.

— Byłam przerażona. Ci wszyscy mężczyźni i kobiety to porzuceni niewolnicy, Rikki. Jak się okazuje, w tym okropnym mieście wywozi się do świątyni Eskulapa i tam zostawia chorych, rannych i zbyt starych, nie nadających się już do pracy niewolników. Kapłani nie dają sobie rady. Świątynia stała się strasznym miejscem. W tych okropnych warunkach, przy takiej liczbie chorych, z dala od świątyni trzymają się ci, którzy w normalnej sytuacji przyszliby szukać pomocy u Eskulapa. Dlatego skarbiec świątyni świeci pustkami i przez to braciom jest jeszcze trudniej zapewnić opiekę bezdomnym niewolnikom. Warunki są coraz gorsze, a wyspa staje się coraz bardziej zakazanym miejscem.

Selena wzięła Ulrykę za rękę i pociągnęła na łóżko obok siebie.

— Słuchaj, Rikki! — powiedziała. — Stało się! Wreszcie nadeszła ta chwila! Wiem, po co się urodziłam!

Ulryka wpatrywała się w matkę, w jej zarumienione policzki, promienne oczy. Nigdy przedtem takiej jej nie widziała i oszołomił ją żar, z jakim mówiła matka.

— Kiedy tylko zobaczyłam tę wyspę — ciągnęła Selena — zrozumiałam. Wszystko stało się dla mnie jasne. Zobaczyłam coś więcej, Rikki. Dostrzegłam kres mojej długiej drogi, sens wszystkiego, co mnie spotkało. Andreas miał rację, Rikki! Moje powołanie znajduje się tutaj, w Rzymie!

Uścisk dłoni Seleny był tak silny, że zaczął sprawiać Ulryce ból. Z rąk matki promieniowała ogromna energia. Ulrykę ogarnęło wzruszenie.

Jakież to piękne — pomyślała. — Jak to cudownie mieć taką pewność, wiedzieć, gdzie się przynależy.

— Co zamierzasz zrobić, mamó? — spytała podniecona, dając się ponieść wizji Seleny.

— Będę pracować na wyspie, Rikki. Można z powrotem uczynić z niej przytułek dla chorych, którym powinna być. Dlatego właśnie zostałam tu sprowadzona, do tego byłam przygotowywana. Wszystkie umiejętności i całą

wiedzę, zdobytą podczas moich wędrówek, zabiorę na tę straszną wyspę, o której zapomnieli bogowie.

Selena puściła dłonie Ulryki i impulsywnie objęła córkę.

— Będziemy pracować razem — powiedziała. — Nauczę cię wszystkiego, co sama wiem. Przekażę to tobie, córeczko, by to marzenie nigdy nie umarło.

## ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY CZWARTY

Początkowo bracia i kapłani byli zdziwieni, widząc codziennie Selenę na stopniach świątyni, potem zaczęli się jej podejrzliwie przyglądać, aż wreszcie — uwierzywszy w jej dobre zamiary — nie wiedzieli, jak jej dziękować.

— Kiedyś przychodziło i pracowało tu wielu lekarzy — wyjaśniał Selenie Herodas. — Niektórzy tylko raz w miesiącu, inni częściej, poświęcając swą służbę bogu. Były to czasy, kiedy szcyciliśmy się naszą świątynią, a bóg dokonywał w niej cudów. Ale potem zaczęto tu znosić niewolników i... sama widzisz. — Bezradnie machnął ręką.

Wnętrze świątyni niczym się nie różniło od innych przybytków Eskulapa: długa bazylika, na której końcu znajdował się ogromny posąg boga, siedzącego na tronie ze swą oplecioną węzami laską w dłoni. Reszta powierzchni była pusta, przeznaczona dla pielgrzymów, by mogli się tam położyć z nadzieją, że bóg uleczy ich we śnie. Nazywało się to incubano, incubus albo kapłan uosabiający boga nawiedzał chorego we śnie i przepisywał leki, dietę lub kurację. Na ścianach wisiały dziękczynne wota od wyleczonych ludzi: kamienne i gliniane wizerunki uzdrowionych części ciała. Selena zauważyła jednak, że są zakurzone i w większości bardzo stare. Tylko nieliczne wyglądały na stosunkowo nowe — między innymi rzeźba przedstawiająca kobiecą głowę, która oznaczała, że pacjentka została uleczona z bólu głowy. Selena rozumiała, dlaczego tak mało jest nowych figurek: porzuceni niewolnicy zajmowali całą powierzchnię świątyni i brak było miejsca dla pielgrzymów. Kapłani i bracia krążyli wśród chorych, rozdzielając żywność i wodę, ale ścisk był tak wielki, że tylko z trudem można się było poruszać.

— Ludzie, którzy nie chcą mieć kłopotu z chorymi niewolnikami — wyjaśniał Herodas — albo nie mają pożytku ze starych, przyprowadzają ich tutaj i porzucają jak śmiecie. Prawo na to zezwala. A ci nieboracy leżą tu i umierają. Nic na to nie poradzimy, przez to wszystko ludzie z miasta trzymają się od nas z daleka. Wydaje mi się, że odwracają się od boga.

Herodas — człowiek już stary, drobny i kruchy, o siwych włosach i trzęsących się dłoniach — był strażnikiem świątyni w czasie panowania czterech cesarzy i ubolewał nad postępującym zepsuciem obyczajów.

— Czy Klaudiusz nie może nic pomóc? — spytała Selena, kiedy przechodzili przez dziedziniec świątyni, na którym również leżeli ludzie: mężczyźni, kobiety, straszliwie zagłodzone dzieci.

— Klaudiusz nie widzi nic przez tę wiedźmę, swoją żonę Messaline, a do tego zaślepia go żądza podbicia Brytanii. Mówi, żebym się modlił i składał ofiary.

Selena zamyśliła się, na koniec rzekła:

— Ja wam pomogę.

Herodas popatrzył na nią ze smutkiem. Nie była pierwszą idealistką, która zjawiała się w świątyni ze szlachetnymi intencjami. Był całkowicie pewien, że ta młoda kobieta ze swą cudowną skrzynką i umiejętnościami wkrótce straci zapal i odejdzie, tak jak inni.



## ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY PIĄTY

Paulina po raz ostatni spojrzała na naszyjnik w szkatułce, doszła do wniosku, że dokonała idealnego wyboru, po czym zatrzasnęła wieczko i wręczyła szkatułkę czekającemu posłańcowi. Naszyjnik z rzadkich pereł, wydobytych z Morza Czerwonego, stanowił dar dla cesarzowej. Messalina wprawdzie nic nie obchodziła Pauliny, ale warto było zaskarbić sobie łaskę tej wszechwładnej kobiety.

Kiedy posłaniec odszedł z darem do pałacu cesarskiego, gdzie pod nieobecność męża, Klaudiusza, Messalina urządzała kolejne huczne przyjęcie, Paulina popatrzyła na pozostałe dary, rozłożone na stole.

Rozpoczęły się saturnalia, pięciodniowe grudniowe święto, kiedy Rzym czcił doroczne zimowe narodziny bogów. Domy ozdabiano gałązkami pinii, wymieniano podarunki, składano wizyty przyjacielom. Dzisiejszego wieczoru Paulina spodziewała się odwiedzin ośmiu osób i w całej willi unosił się zapach pieczonego prosięcia oraz pawia.

Przed wyjściem z atrium Paulina na chwilę przymknęła oczy i wsłuchiwała się w odgłosy miasta dobiegające zza wysokich murów. Dziś było jej ciężko na sercu. Będzie musiała zdobyć się na wysiłek, by okazywać przy gościach wesołość.

Moje pierwsze saturnalia bez Waleriusza...

Pod powieki napłynęły łzy, lecz Paulina zapanowała nad sobą. W jej żyłach płynęła szlachetna krew, pochodziła z jednego z najstarszych patrycjuszowskich rodów w Rzymie i wychowywano ją według zasad dawnej rzymskiej gravitas — godności i sposobu bycia odróżniającego arystokrację od reszty świata. Nikt nie może zobaczyć, że się rozkleiła. Waleriusz nie pochwałaby takiego zachowania.

Paulina otworzyła oczy i zmusiła się, by po raz ostatni sprawdzić podarunki: tom poezji dla Maksymusa, inkrustowany złotem talerz dla Junony, lira ze skorupy żółwia dla żony Decjusza. Wszystko starannie ułożone, owinięte w barwne tkaniny i oznaczone imieniem.

Ale wśród prezentów nie było zabawek...

Paulina chwyciła krawędź stołu, by nie poddać się grożącemu załamaniu. Potem opuściła atrium i poszła na górę do swoich pokoi. By skrócić czas oczekiwania na gości, zamierzała wziąć długą gorącą kąpiel i zastanowić się, co zrobić z dwójką nieproszonych gości, która zamieszkała pod jej dachem.

Andreas nie powinien jej tego robić. Nie miała wyboru, musiała przyjąć do siebie Selenę i Ulrykę. Nawet przysłał z Brytanii list z podziękowaniem,

pewien, że postąpiła tak, jak prosił. Teraz zaś Paulina musiała wymyślić taktowny sposób pozbycia się z domu tej kobiety i jej córki.

Zwłaszcza córki.

Coś trzeba będzie z tym zrobić i to szybko. Są u niej od ponad dwóch miesięcy. To stawało się nie do zniesienia. Gdyby chodziło tylko o matkę, wszystko byłoby w porządku — Selena była cicha, niekłopotliwa, co rano o świcie gdzieś wychodziła, wracała o zachodzie słońca i potem już nie pokazywała się.

Ale to dziecko!

Ulryka przesiadywała w ogrodzie, lubiła rozmawiać z niewolnikami. Z niektórymi nawet się zaprzyjaźniła. Jej głos ciągle było słyhać w całej willi i Paulina nigdy nie wiedziała, kiedy natknie się na dziewczynkę — raz nawet zastała ją w bibliotece, szperającą między zwojami. Paulina przymknęła oczy.

Śmiech Ulryki, jej obecność sprawiały jej tyle bólu...

Niedługo będzie miała trzynaście lat — pomyślała Paulina. — Waleria skończyłaby je w tym miesiącu.

Z zadumy wyrwała ją niewolnica, która przyszła oznajmić przybycie pierwszych gości, Maksymusa z żoną, Junoną.

Paulina otworzyła oczy. Maksymus z Junoną mieszkali na uboczu, w willi koło Pompei.

Oczywiście! Oto odpowiedź!

Paulina poczuła prawdziwą ulgę — w końcu znalazła rozwiązanie problemu.

Maksymus i Junona od dawna ją namawiali, żeby przyjechała na wakacje do ich willi nad brzegiem morza. A więc dziś zaskoczy ich, przyjmując zaproszenie. Pod koniec tygodnia wyruszy do Pompei, a dom — to oczywiście — trzeba będzie zamknąć na czas jej wakacji. Selena z Ulryką będą musiały poszukać sobie innego mieszkania.

\* \* \*

Selena siadła na łóżku i z niepokojem zajrzała do skrzynki. Była prawie pusta.

Wstała i podeszła do balustrady, która otaczała całe piętro budynku, widać stąd było ogród w perystylu. Aż tutaj dobiegały nęcące zapachy uczy, dźwięki muzyki i śmiech przyjaciół Pauliny. Przyjęcie trwało już od wielu godzin i nic nie wskazywało, by zbliżało się do końca.

Selena odwróciła się.

Jak Ulryka może spać przy takim hałasie? — dziwiła się w duchu.

Wcześniej zajrzała do sąsiedniej sypialni i w mroku zobaczyła sylwetkę śpiącej dziewczynki. Cicho zamknęła drzwi. Po co ją budzić? Te saturnalia ich nie dotyczyły. Nie mogły się obdarować prezentami, nie miały pieniędzy, by kupić cokolwiek.

Ani — zasepiła się, spoglądając ponownie na swą skrzynkę — by kupić leki.

Jak mogła do tego dopuścić? Jak mogła być tak naiwna, by wierzyć w cud, który rozwiąże problemy? Najwyższy kapłan ostrzegł ją, że bóg przestał słuchać ich modlitw. Przez te dwa miesiące pracy na wyspie, próbując wyleczyć przynajmniej niektórych niewolników, Selena nie wątpiła, że pomoc nadejdzie. Tymczasem zaś skarbiec świątyni był pusty, podobnie jak jej sakiewka.

Selena nie wspominała Ulryce o tych nowych kłopotach. Po co martwić dziecko? A zresztą, jak to wyjaśnić?

Jak mam wytłumaczyć swoją niemądrą nadzieję, że bóg się o nas zatroszczy, jak powiedzieć, że wydałam ostatnie pieniądze na leki dla chorych. A teraz nawet i te leki się skończyły.

Właściwie prawie się skończyły.

Selena znowu usiadła na łóżku i brała po kolei słoiki do ręki. Wiele było pustych, kilka do połowy opróżnionych, zaledwie jeden czy dwa pełne. Za parę dni i one zostaną zużyte.

I co wtedy?

Selena potarła oczy. Próbowwała coś wymyślić, znaleźć rozwiązanie. Skąd weźmie pieniądze na nowe leki? Wiedziała, że zarobiłaby trochę, lecząc w mieście. Ale do tego potrzebowałyby leków. A na ich zakup potrzebowała pieniędzy!

Selena była wdzięczna losowi przynajmniej za jedno: dzięki hojności Pauliny, ona i Ulryka miały dach nad głową i posiłki, na które mogły liczyć. No i najwyraźniej czas ich pobytu tutaj nie był ograniczony.

Zostaniemy tak długo, jak będzie nam to potrzebne — pomyślała, przywołując w pamięci słowa Pauliny.

Myśląc o tym, spoglądając na śliczną sypialnię i zdając sobie sprawę, że ona i Ulryka mają ogromne szczęście, Selena nieco się rozpogodziła.

To co najważniejsze — jedzenie i dach nad głową — miały zapewnione.

\* \* \*

Tymczasem w jadalni Maksymus mówił:

— Biedny stary Klaudiusz. Powiadają, że kiedy jego wuj Tyberiusz był cesarzem, Klaudiusz błagał go o jakieś stanowisko. Więc dostał tytuł konsula.

Kiedy jednak Klaudiusz chciał również pełnić obowiązki konsula, stary Tyberiusz odparł ponoć: „Płacę ci te pieniądze, żebyś miał co przepuszczać na upominki w saturnalia”.

Wszyscy się roześmiali, a Junona dodała:

— Teraz on jest cesarzem i przepuszcza pieniądze w Brytanii.

— Ciekawam, na co? — spytała Paulina, delikatnie obmywając dłonie w złotej miseczce. — Czegóż on szuka w Brytanii?

— Może tam nie słyszy, jak Rzym się z niego śmieje za plecami.

Paulina pokręciła głową.

— Wydaje mi się, że Klaudiusz to przyzwoity człowiek i ma naprawdę dobre chęci — powiedziała.

— Phi! Wiadomo, że został cesarzem, bo lepszego kandydata nie było. Znaleźli go za zasłoną, kiedy zabito Kaligulę. Pretorianie wybrali go cesarzem, Klaudiusz bowiem był jedynym żyjącym dorosłym mężczyzną z rodu julijsko-klaudyjskiego. Nikogo innego nie było.

— Mimo to — mówiła Paulina — nadal uważam, że stał się ofiarą. Klaudiusza kupiono.

— I nikt nie musi pytać, kto to zrobił! — zawołała Junona.

— Czy on naprawdę nie widzi tego, co robi Messalina? — zapytał ktoś inny. — Czy naprawdę nie zdaje sobie sprawy, jakich niegodziwości dopuszcza się ta jego żona?

— Klaudiuszowi za bardzo przesłaniają wzrok niegodziwości, w które on sam jest wplątany — odparł Maksymus, wkładając do ust potężny kawał miodowego placka i popijając go winem.

Junona spoczywająca na sofie z drugiej strony stołu, między Paulina a sławnym poetą, Nemeziszem, z niepokojem obserwowała męża. Maksymus nie wyglądał dziś najlepiej.

— Jeśli masz na myśli Agrypinę — odezwała się Paulina — to ja nie wierzę w plotki.

— Owszem, mam — stwierdził Maksymus.

Umościł wygodniej swe potężne cielsko na sofie i otarł pot z czoła, po czym wrzucił do ust garść prażonych orzechów i oznajmił:

— Zapewniam cię, że odwiedza ją w łóżku.

— Własną bratanicę? — spytał poeta.

— Nie znasz Agrypiny — powiedział ktoś cicho, tak by nie usłyszeli służący ani muzycy. — To niebezpieczna kobieta. Myśli tylko o jednym: by na tronie cesarza zasiadł jej syn, Neron. I aby to osiągnąć, nie cofnie się przed niczym, nawet jeśli to oznacza kazirodztwo z własnym stryjem.

— Przecież jest Brytanik, syn Klaudiusza. On odziedziczy po ojcu tron — wtrąciła Junona, myśląc równocześnie, że mąż źle wygląda.

— O ile tego dożyje — powiedział z zadyszką Maksymus. Oddychał z coraz większym trudem.

Nemezis, poeta, który przybył z Aten, spytał:

— Czy rzeczywiście Messalina jest tak okropna, jak powiadają? Czy te wszystkie historie są prawdziwe?

Maksymus znów otarł twarz, mimo chłodu grudniowej nocy mocno się pocił.

— W tych historiach nie ma nawet połowy tego, co ona wyprawia! — oświadczył, sięgając po następną porcję grzybów. — Wiem z całą pewnością, że trzydziestu mężczyzn miało ją w ciągu jednej nocy.

— Oburzające! — zawołał ktoś ze śmiechem. Maksymus nagle próbował wstać.

— Czy Klaudiusz może w ogóle być pewny, że Brytanik jest jego synem? — spytał któryś z gości. — Jeśli Messalina jest tak rozpustna, jak twierdzą...

Junona głośno krzyknęła. Maksymus upadł na podłogę.

Paulina zerwała się. Widząc, że Maksymus leży na plecach, z trudem chwytając powietrze i krzywiąc się z bólu, posłała służącego po domowego medyka.

Junona uklękła przy mężu i ujęła jego twarz w dłonie.

— Co się stało, mój drogi? Co ci jest?

— Boli... — wyszeptał z trudem.

— To pewnie żołądek — stwierdził któryś z gości. — Przejadł się.

— Sprowokujcie wymioty — poradził Nemezis. — To przyniesie mu ulgę.

Paulina z przerażeniem wpatrywała się w Maksymusa. Usta mu siniały.

— Dusi się! — krzyknęła Junona.

— Powiadam wam, opróżnijcie mu żołądek! Nemezis przypadł do mężczyzny i próbował rozchylić mu usta.

— Poczekajmy na lekarza — zatrzymała go Paulina. Ale za chwilę wrócił niewolnik, mówiąc, że medyk wyszedł na całą noc.

— Dajcie mi piórko — ponaglał Nemezis. — Szybko. Paulina skinieniem głowy dała znak niewolnikowi, który wybiegł z komnaty.

— Wszystko przez to jedzenie — stwierdziła jedna z kobiet, załamując dłonie. — Wiecie, że z przejedzenia można umrzeć?

— Uspokój się — warknęła Paulina. — Decjuszu, zabierz stąd swoją żonę.

Stan Maksymusa pogarszał się. Twarz mu okropnie posiniała, ubranie przesiąkło potem. A co dziwne, zauważyła Paulina, nie chwycił się za brzuch, a za pierś.

Kiedy niewolnik wrócił z piórkiem, Nemezis wziął je i chciał włożyć Maksymusowi do gardła.

— Poczekajcie!

Wszyscy podnieśli głowy: do pokoju weszła młoda kobieta.

— Selena! — zawołała Paulina ze zdziwieniem.

— Nie prowokujcie wymiotów — powiedziała Selena, klękając naprzeciwko Nemezisa. Wyjęła mu piórko z ręki i odrzuciła.

— Posłuchaj...

— Zabijecie go, jeśli sprowokujecie wymioty — rzekła. Pochyliła się nad Maksymusem, sprawdziła tętno na szyi i przegubach rąk, uniosła mu powieki, a potem przyłożyła ucho do jego piersi.

— To serce — stwierdziła, prostując się. Junona podniosła rękę do ust.

Selena sięgnęła po skrzynkę, którą zaraz po przyjściu postawiła przy głowie mężczyzny. Kiedy wcześniej usłyszała, że coś się dzieje i że nie ma pod ręką medyka, chwyciła ją bez namysłu i zbiegła na dół.

Oby tylko — modliła się gorączkowo w duchu — oby tylko wystarczyło...

Wysypała na dłoń trochę proszku, popatrzyła, obliczyła w myśli, jaka dawka będzie potrzebna dla potężnego ciała Maksymusa, po czym wsypała lek do najbliższego stojącego kielicha z winem.

— Pomóżcie mi go posadzić — powiedziała, spoglądając na otaczające ją twarze.

— Co mu dajesz? — spytał Nemezis, który stał nad nią.

— Naparstnicę. Uspokoi serce i zmniejszy ból.

— Powiadam ci, to nie serce — zwrócił się do Pauliny Nemezis. — A naparstnica jest trująca. Nawet dziecko to wie.

Inni również spojrzeli na Paulinę.

— Wszyscy widzieliśmy, ile zjadł — dodał ktoś.

— Proszę! — odezwała się Selena.

Próbowała dźwignąć Maksymusa i posadzić, ale był za ciężki.

— To naprawdę serce. Zbadajcie mu puls, jeśli nie wierzycie!

Nemezis spojrział na nią pogardliwie.

— Puls przenosi powietrze. Nie ma żadnego związku z sercem.

— To nieprawda!

— Zróbcie coś! — krzyknęła Junona.

Paulina wahała się przez chwilę. Potem odwróciła się do niewolnika i rozkazała:

— Pomóż jej go posadzić.

Nemezis odwrócił się na pięcie i wyszedł. Wszyscy zaczęli się tłoczyć wokół chorego, chcąc lepiej widzieć, ale Selena poprosiła:

— Odsuńcie się, proszę. Potrzebuje powietrza.

Kiedy Maksymus znalazł się w pozycji siedzącej, Selena zaczęła dawać mu po łyku wina, aż opróżnił cały puchar. Niewolnicy przenieśli go na sofę.

— Podłóżcie mu poduszki pod plecy — poradziła Selena. — Tak będzie mu łatwiej oddychać.

Ujęła palcami jego nadgarstek i poczuła, że puls tętni jak szalony. Czasem naparstnica działała natychmiast, czasem nieco wolniej, a czasami w ogóle nie.

Nikt się nie ruszał. Wszystkie oczy wlepione były w Maksymusa. Jęczał i z trudem chwycił powietrze. Minęło długie dziesięć minut. Patrząc na unoszącą się i opadającą pierś mężczyzny, Selena w duchu modliła się do Izydy. A potem, przypomniawszy sobie o swoich rzymskich przodkach, także do Wenus, od której pochodzili.

Powiat grudniowy wiatr, poruszając gałązkami pinii i kołysząc lampami na łańcuchach, wszyscy stali i patrzyli w milczeniu. Selena spojrzała na paznokcie mężczyzny: były sine. Potem obejrzała łokcie — były spuchnięte. Czyli chore serce Maksymusa — o ile przeżyje atak — da się leczyć.

W willi na wzgórzu Eskwilin zapanował osobliwy spokój, podobnie jak w całym mieście, którego mieszkańcy chowali się za zaryglowanymi drzwiami i kratami w oknach. Tylko ta grupka, stojąca w jadalni u Pauliny Walerii, nie myślała o śnie. Obserwowano Maksymusa.

Po pewnym czasie puls chorego nieco się uspokoił. Zebrani zobaczyli, że Maksymus lżej oddycha, a jego twarz nabiera koloru. Wszyscy odetchnęli z ulgą, odprężeni, rozsiedli się na sofach.

— Będzie potrzebował wiele spokoju — odezwała się Selena, gdy niewolnicy zaczęli przenosić drzemiącego Maksymusa do sypialni — ale nie widzę powodów, żeby nie miał żyć jeszcze przez długie lata. Dolegliwość serca, na którą cierpi, wymaga jedynie regularnego, codziennego przyjmowania naparstnicy.

\* \* \*

— Nie wiem, jak ci dziękować — powiedziała Paulina. — Maksymus to jeden z moich najstarszych, najmilszych przyjaciół. Gdyby umarł... — Zacisnęła drżące dłonie.

Paulina siedziała z Seleną w małym pokoju przy atrium. Ogień w piecyku rozpraszał chłód grudniowej nocy. Obie kobiety piły grzane wino z miodem. Reszta gości spała na górze, Junona czuwała przy mężu.

— Dzisiejszej nocy Maksymus o mało nie umarł — ciągnęła. — Widziałam na jego twarzy cień śmierci, a dobrze go znam. Jak ci się odwdzięczę za ocalenie mu życia?

— Datkiem na rzecz świątyni Eskulapa na wyspie.

— Tak, złożę ofiarę.

— Braciom i kapłanom bardziej przydadzą się pieniądze.

— Co tylko zechcesz. Ale tobie, Seleno, jak mam się tobie odwdzięczyć?

— Dałaś mi aż nadto, ofiarowując mnie i mojej córce dach nad głową.

— To nic takiego. — Paulina odwróciła wzrok.

— Ależ tak. Widzisz... Nie mamy ani grosza. Nie zostało nam dosłownie nic.

Paulina spojrzała na Selenę, zaskoczona.

— Ale przecież... — zaczęła. — W takim razie dokąd chodzisz codziennie? Wyglądasz, jakbyś ciężko pracowała.

Kiedy Selena wyjaśniła jej, co robi, Paulina szeroko otworzyła oczy.

— Nie miałam pojęcia — powiedziała. — W ogóle nie wiedziałam, że znasz się na leczeniu. Andreas nawet słowem nie wspomniał o tym w liście.

Selena popatrzyła na Paulinę ze zdumieniem.

— Dostałaś list od Andreeasa?

— Nie dalej, jak w ubiegłym tygodniu. Selena poczuła ukłucie bólu.

Andreas wie, że tu jestem, a mimo to nie napisał do mnie ani słowa.

A właściwie dlaczego miałby pisać? — pomyślała. Nie miała do niego już żadnych praw. Oddał jej różę z kości słoniowej.

— Co słyhać u Andreeasa? — zapytała. — Dobrze się czuje?

— Skarzy się na wilgoć i chłód Brytanii.

A kiedy wraca do Rzymu? — chciała krzyknąć Selena, ale nie odezwała się. Andreas napisał do Pauliny, nie do niej. To, co zawierał list, nie było przeznaczone dla niej.

— Czy mogę spytać — zagadnęła uprzejmie Paulina — skąd znasz Andreeasa?

Selena pomyślała o swoich szesnastych urodzinach, o uroczystości przywdziania stoli, o Andreeasie. Ogarnęła ją melancholia. Choć praca na wyspie wypełniała jej całe dnie, a myśli zajęte były dalszymi planami, gdzieś głęboko w sercu pozostawała nietknięta pusta przestrzeń, miejsce dla nieodwzajemnionej i niespełnionej miłości. I choć co wieczór, zmęczona po



ciężkiej pracy, Selena mocno zasypiała, w jej snach pełno było Andreasa i budziła się, zawsze spragniona jego dotyku.

— Poznałam Andreasa przed wielu laty — odparła cicho.

— W Antiochii, w Syrii.

Wyskubane brwi Pauliny uniosły się wysoko.

— A więc jesteście przyjaciółmi od dawna.

— Nasza przyjaźń dość dziwnie się układała. Przed laty spotkaliśmy się na krótko, potem rozstali, a ostatniego lata, dość przypadkowo, ponownie spotkaliśmy się w Aleksandrii.

— Rozumiem. Ale jesteś młoda. Byłaś chyba... dzieckiem, kiedy poznałaś Andreasa?

— Miałam szesnaście lat. Uczył mnie sztuki leczenia, podobnie jak Mera, która mnie wychowała.

— A więc — stwierdziła z podziwem Paulina — jesteś femina medica.

Widząc zdziwioną minę Seleny, wyjaśniła:

— Tak właśnie nazywamy po łacinie nasze lekarki. Wśród swoich znajomych mam sporo feminae medicae, choć najczęściej są to obstetrices, czyli akuszerki. Gdzie się uczyłaś?

Selena pokrótce opisała Paulinie swoje życie, zaczynając od dzieciństwa pod opieką Mery, kończąc na świątyni Izydy w Aleksandrii. Wiele jednak pominęła: królową Laszę, Wolfa, Rani, odkrycie, że płynie w niej krew Juliusza Cezara. A także to, że z Andreasem łączyła ją miłość.

Słuchając Seleny, Paulina przyglądała się jej w zamyśleniu. A kiedy Selena zaczęła opowiadać o przerażających warunkach, jakie panują na wyspie, i o ciężkim położeniu kapłanów Eskulapa, a także o swojej niezachwianej wierze w to, że bogowie sprowadzili ją tam w określonym celu, Paulinę ogarnął nagły smutek. Ach, mieć takie ambicje! — myślała.

— Mieć życie przed sobą! Ja kiedyś też miałam w oczach płomień nadziei i wizję przyszłości, tak jak ona teraz. Ale tamto światło zgasło dawno temu.

— Zazdrość ci — odezwała się.

Selena zdziwiła się. Jak to możliwe? Pani Paulina miała wszystko: ten piękny dom, najwyższą pozycję społeczną, licznych przyjaciół, życie pełne zabaw i uciechy.

— Wcześniej wyszłam za mąż — podjęła Paulina, jakby czytała jej w myślach. — Spędziłam z mężem całe życie. Zmarł w ubiegłym roku. Jeszcze się nie oswoiłam z samotnością.

Za każdym razem, wymawiając imię męża, Paulina dodawała cicho: „Oby jego dusza spoczywała w spokoju”, wedle starego obyczaju, który miał

powstrzymać zmarłego od powrotu. Rzymianie, jak zauważyła Selena, byli ogromnie przesądni, wierzyli, że wypowiedzenie imienia zmarłego budziło jego ducha, lecz po dodaniu tego starego zaklęcia niespokojna dusza pozostawała w grobie.

— Dawniej lubiłam spokojne wieczory — ciągnęła Paulina — kiedy siedziałam przy robótce albo pisałam listy, wiedząc, że mój mąż jest obok. Teraz jednak lękam się nocy. Godziny w ciemności wydają się takie długie, tak bardzo przypominają śmierć...

— Na co umarł twój mąż? — spytała łagodnie Selena.

— Umierał długo i ciężko. Powoli zżerał go cancer.

— Paulina użyła łacińskiego słowa oznaczającego raka. Chorobę nazwano tak, ponieważ często rozrasta się w kształt raka i jest nie do pokonania, jak jego skorupa. — Przychodzili tu ciągle nowi lekarze i żaden nie mógł mu pomóc. Pod koniec Waleriusz błagał, by dać mu odejść. Wtedy Andreas pomógł mu uczynić to bez bólu...

— Tak mi przykro — powiedziała Selena.

Paulina podniosła na nią załzawione oczy o barwie topazu.

— Teraz noce spędzam z przyjaciółmi. Nie potrafię znieść samotności.

— Nie mieliście dzieci?

— Mieliliśmy córkę. Nazywała się Waleria. Zmarła pięć lat temu.

Ból Pauliny przypominał ostry, tkwiący w piersi kamień. Był tam dzień i noc, nieustannie dawał o sobie znać i nic nie potrafiło go usunąć. Ani przyjęcia, goście i muzyka, ani kolacje i płonące, rozpraszające mrok nocy pochodnie, ani błyskotliwe umysły i greccy poeci — nic nie zdołało ruszyć tego ostrego kamienia z jej piersi, przepchnąć do żołądka, gdzie wreszcie by się rozpuścił.

Albowiem nic nie mogło się równać ze śmiercią dziecka. Siedmioletnia Waleria leżała tu z żałośnie ogoloną głową na poduszce, uśmiechając się, by pocieszyć i uspokoić rodziców przed tą jej straszną podróżą, w którą miała niebawem wyruszyć. Paulina widziała nie tylko małą umierającą dziewczynkę. Widziała młodą kobietę, na jaką Waleria mogłaby wyrosnąć, dwudziestolatkę, matkę, którą nigdy nie zostanie. Z tej poduszki uśmiechały się do niej kolejne twarze, przezroczyście, nakładające się jedna na drugą i Paulina patrzyła, jak wszystkie umierają.

Otarła łzę i powiedziała:

— Chcieliśmy mieć jeszcze dzieci, ale z jakichś powodów nie mogłam zająć w ciążę. A tak bardzo pragnęłam mieć dzieci, tak bardzo... — Paulina potrzebowała chwili, by nad sobą zapanować. Płócienną chusteczką osuszyła

ły i podjęła pewniejszym głosem: — Leżąc na łożu śmierci, Waleriusz kazał mi obiecać, że ponownie wyjdę za mąż. Tyle że ja mam już czterdzieści lat, Seleno. Jestem za stara, by rodzić dzieci.

— Mogłabyś zaadoptować dziecko. Paulina pokręciła głową.

— Waleriusz chciał to zrobić. Chodziło o syna jego dalekich krewnych. Rodzice zginęli pod gruzami teatru, który nagle się zawalił. Waleriusz chciał wziąć chłopca, ale ja nie miałam dość sił. Niedawno umarła moja mała córeczka. A ja chciałam, by moje następne dziecko — przycisnęła dłoń do piersi — wyszło stąd.

Selena wsłuchiwała się w trzaskanie ognia, dumając nad dziwnymi kolejami ludzkich losów. Przypominała sobie Fatmę, która dawno temu na pustyni początkowo odrzuciła swe rodzone dziecko. Selenie udało się pomóc Beduince. Jak mogłaby pomóc Paulinie?

I wtedy, ni stąd, ni zowąd, przypomniła sobie coś, czego była świadkiem w Persji. Rani wytłumaczyła jej wtedy, że na Wschodzie nie było to niczym niezwykłym: bezdzietne kobiety przystawiały osieroczone niemowlęta do piersi, które zaczynały wytwarzać pokarm.

Już miała powiedzieć Paulinie o tym dziwnym, acz prawdziwym — wszak widziała to na własne oczy — zjawisku, gdy ciszę nocy przerwały krzyki w korytarzu i tupot biegnących stóp.

Do komnaty nagle wpadła Ulryka.

— Powiedzieli, że jesteś tutaj — powiedziała do matki, łapiąc oddech.

Selena zerwała się na nogi.

— Rikki!

Za dziewczyną wbiegł mężczyzna i chwycił ją za ramię.

— Znowu cię przyłapałem — warknął. Zauważywszy Paulinę, swoją panią, poczerwieniał i wymamrotał: — Kręci się przy niewolnikach, pani.

— Rikki — zwróciła się do dziewczynki Selena — myślałam, że jesteś w łóżku.

Ulryka także się zarumieniła, ale nie był to rumieniec wstydu. W jej oczach było wyzwanie.

— Widziałaś poduszki pod kocami. Mnie tam nie było. Selenie zabrakło słów. Czy to możliwe, by ta dzikuska była jej córką?

— Wiele tam dokonałam — ciągnęła Ulryka, wyrywając ramię z uścisku mężczyzny.

— Jeszcze jak — stwierdził.

— Łukaszu — odezwała się Paulina, wstając — o co tu w ogóle chodzi?

— Zaprzyjaźniła się z jednym z niewolników, pani. Wiecznie do niego przychodzi i gadają o jakichś głupotach. Mówiłem jej, żeby trzymała się z daleka.

Zaskoczona Selena wpatrywała się w córkę. Ulryka wyglądała, jakby lada chwila miała wybuchnąć płaczem, ale nie uroniła ani jednej łzy. Selena zdała sobie sprawę, że Ulryka nigdy nie płacze, właściwie uświadomiła sobie z konsternacją, że Ulryka nie płakała od lat, od czasu, gdy była małym dzieckiem, zdarzyło się to tylko dwa razy: owej nocy po śmierci Rani i tamtego wieczoru w Aleksandrii, kiedy przez chwilę trzymały się w objęciach.

— To mój przyjaciel — oburzyła się dziewczynka. — Uczę go greckiego. Selena zwróciła się do Pauliny.

— Proszę o wybaczenie. Nie wiedziałam, że coś takiego się dzieje — powiedziała.

Ale Paulina łagodnie zapytała Ulrykę:

— Co to za chłopiec?

Ulryka posłała jej wojownicze spojrzenie i milczała.

— To Eryk — odparł zarządca. — Jeden z tych nowych, z Germanii.

— Dlaczego uczysz go mówić po grecku? — ciągnęła Paulina tym samym łagodnym tonem.

— Bo on nikogo nie rozumie — wyrzuciła z siebie drżącymi wargami Ulryka.

— Doskonale rozumie — warknął Łukasz. — Jest uparty. Udaje głupiego. Trzeba mu dać porządnego szturchańca, żeby zrobił, co mu się każe.

Ulryka obróciła się na pięcie.

— To nieprawda! On nie rozumie! A ty go chłoszczesz! Cały czas go bijesz i znęcasz się nad nim. — Popatrzyła błagalnie na Paulinę. — Biją go, żeby zrozumiał. Tak nie można.

Selena nie odrywała wzroku od córki. Po policzkach Ulryki płynęły łzy. Płacze nad jakimś obcym chłopcem, niewolnikiem?

Paulina spojrzała na nadzorcę.

— Czy to prawda? Spuścił głowę.

— Więcej z nim kłopotów, niż jest wart. Lepiej się go pozbyć.

— Ja o tym decyduję — odparła ostro Paulina. — U mnie nie wolno znęcać się nad niewolnikami. Już raz cię ostrzegałam. — Jej wzrok złagodniał, gdy zwróciła się do Ulryki. — Nie musisz się martwić o tego chłopca. Jest młody. Wkrótce nauczy się naszego języka.

— Ale on mnie też uczy. Uczy mnie swojej mowy.

— A co to za mowa, Ulryko?

Dziewczyna rzuciła okiem na matkę i odpowiedziała spokojnie:

— Mowa mego ojca.

Selena przyłożyła rękę do czoła.

— Ulryko — odezwała się zmęczonym głosem — postąpiłaś źle. Pani Paulina nie życzy sobie, żebyś chodziła po całym domu. Od tej pory masz...

— Ale Eryk jest z Germanii, mamó. Nie lubi Juliusza Cezara. I ja też!

— Nie widzę w tym nic złego — odparła Paulina z uśmiechem, nie dostrzegając zaskoczony miny Seleny. — Jeśli chcesz i jeśli mama ci na to pozwoli, możesz odwiedzać Eryka, kiedy już wypełni on swe codzienne obowiązki.

Zwróciła się do Łukasza:

— Mogą się spotykać w sadzie i ktoś ma im towarzyszyć. Ale nie ty.

Ulryka wpatrywała się w tę Rzymiankę, której od tak dawna nienawidziła.

— Och, dziękuję! — zawołała. — Obiecuję, że już teraz będę grzeczna.

— Wyznam, Seleno — powiedziała Paulina, kiedy znowu zostały same — że obecność twojej córki sprawia mi nieco bólu. Stale przypomina mi o mojej biednej Walerii, oby jej dusza spoczywała w spokoju.

Teraz Selena musiała się uporać z własnym bólem: nigdy nie zapomni wyrazu twarzy Ulryki, gdy ta wyrzekała się swego pradziadka.

— Dopilnuję, żeby przestała kręcić się po domu — powiedziała.

— Ależ skąd! Jestem niemądra. Zbyt słabo bronię się przed swym cierpieniem. Ulryka może chodzić, gdzie chce. To śliczne dziecko.

Przeszły przez atrium do ogrodu, gdzie z zimowego nieba spoglądały na nie chłodne, obojętne gwiazdy.

— Nigdy nie zdołam ci się odwdziżyć, Seleno — rzekła Paulina, otulając się pallą — za uratowanie życia memu przyjacielowi. Rano wyślę dziękczynną ofiarę kapłanom Eskulapa. Jeśli zaś chodzi o ciebie — w jej oczach błysnęły łzy wzruszenia — ty i Ulryka możecie zostać u mnie, jak długo zechcecie, i niech nawet nie przyjdzie wam do głowy myśl, by się wyprowadzać.

Selena uśmiechnęła się. Dzisiejszego wieczoru zdarzył się cud. Choć ze skrzynki zniknęły prawie wszystkie leki, zostało dość naparstnicy, by uratować Maksymusowi życie. Więc jednak bóg zatroszczył się o nie.

## ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY SZÓSTY

Selenie wystarczyło jedno spojrzenie, by stwierdzić, że dziewczyna umrze.

— Ułóż ją jak najwygodniej — zwróciła się do pobożnego brata, który zajmował się małą izbą dla chorych. — Muszę się pomodlić.

Selena zamierzała prosić boga o siłę i pewność ręki, a nie, jak sądził braciszek, o pomoc w podjęciu decyzji. Decyzję już podjęła, gdy tylko dziewczyna zjawiała się na schodach świątyni, konająca na skutek przedłużającego się porodu. Nie ulegało wątpliwości, co należy zrobić: prawo wyraźnie o tym mówiło. Zapisane przed wiekami Lex Caesare głosiło, że jeśli kobieta w odmiennym stanie umrze, należy natychmiast wydobyć z jej łona żywe dziecko. Ta biedaczka, którego imienia nikt nie znał, z pewnością umrze, ale dziecko w niej żyło i trzeba mu było dać szansę przeżycia.

Selenę ogarnął strach. Nigdy przedtem nie dokonywała cesarskiego cięcia.

Zmęczonym krokiem szła ścieżką, wiodącą z przybudówki do świątyni. Ponieważ porodu nie wolno było przyjmować w samej świątyni, gdyż to zbezczeszczyłoby świętość miejsca, bracia szybko przenieśli półprzytomną dziewczynę do jednej z wędzarni, którą Selena zamieniła na salę chorych. Właśnie tam, w półmroku pod niskim daszkiem, w towarzystwie gruchających nad głową gołębi, Selena będzie próbowała wydobyć żywe dziecko z łona zmarłej matki.

W świątyni było teraz już nieco czyściej — Herodasa stać było na zatrudnienie pomocników, utrzymujących porządek w domu boga, ale nadal panował tam tłok, a kapłani i bracia nie mogli poradzić sobie z tak wielką liczbą porzucanych na wyspie niewolników. Nie była to wszak świątynia Izydy z dobrze zaopatrzonym skarbcem, w której siostry wywodziły się ze szlacheckich rodów, lecz stara zaniedbana świątynia Eskulapa, gdzie było zbyt wielu pacjentów, a zbyt mało opiekujących się nimi braci.

Nadzieje, którymi Selena żyła od grudnia, kiedy to Paulina i Junona wspomogły świątynię szczodrymi datkami, nie spełniły się.

Pieniądze przydały się, to prawda, ale wystarczyło kilka miesięcy, by Selena przekonała się, że okazują się one bezużyteczne, jeśli nie ma ludzi do pracy. Świątynia potrzebowała zarówno siły ludzkich mięśni, jak i oddanych serc. Problem leżał w tym, że wyspa stała się miejscem, gdzie nikt nie chciał przyjść. Zdołano zatrudnić zaledwie kilku ludzi do sprząwania, gotowania strawy i prania. Lęk przed chorymi, obawa przed złym powietrzem wokół świątyni i złymi duchami choroby trzymały chętnych z daleka.

Selena ich nie winiła. Te lęki były uzasadnione. Czemu jednak nie wyciągnięto żadnej nauczki z przeszłości? Rzymscy urzędnicy odpowiedzialni za zdrowie doskonale znali dobrodziejstwa czystości i higieny: w mieście istniała kanalizacja, były spłukiwane toalety, rynsztoki na ulicach. Osuszono nawet nadrzeczne bagna, by położyć kres nawracającym epidemiom malarii, powszechnie bowiem wiadano, że malarię — od łacińskiego „złe powietrze” — wywoływały wyziewy stojącej wody. Bagna osuszono, zasypano ziemią i zabudowano, wtedy — tak jak się spodziewano — malaria zniknęła. Dodatkową korzyścią było pozbycie się uciążliwych komarów, żyjących na moczarach.

Dlaczego więc — myślała z żalem Selena, składając Eskulapowi wiosenne kwiaty w ofierze — Rzymianie z równą determinacją nie zajęli się tą nieszczęsną wyspą? Dlaczego nie uporządkowali jej i nie przywrócili świątyni dawnej świetności?

Bo — odparła w duchu z goryczą — trudno spodziewać się współczucia od kogoś, kto żyje w zgniliźnie moralnej.

Wbrew woli powróciło straszliwe wspomnienie z niedawnej przeszłości — święta starożytnej bogini roku Anny Perenny, kiedy to na arenie Wielkiego Cyрку urządzano specjalne igrzyska.

Całe miasto zjawilo się, by uczcić boginię, i Selena postanowiła zrobić sobie i Ulryce prawdziwe święto. Przyłączyły się do tłumu ludzi ciągnących pod arkadami Wielkiego Cyрку, zachwycając się wspaniałą konstrukcją, największą tego rodzaju na świecie, o odbywających się tu wyścigach zaprzęgów słyszano nawet w Persji.

Selena i Ulryka, które nigdy przedtem nie były w cyрку, wspięły się na górę, usiadły pod płóciennym dachem i przyglądały się otoczeniu szeroko otwartymi oczami. Wokół nich kłębił się hałaśliwy tłum, podniecenie udzielało się wszystkim. Miały ze sobą koszyk z jajkami, serem i chlebem, a także rozcieńczone wodą wino. Ulryka, po raz pierwszy od niepamiętnych czasów, śmiała się głośno. Obie, podobnie jak tysiące zgromadzonych widzów, nie mogły usiedzieć spokojnie na miejscu.

Wreszcie rozległy się fanfary, po czym wśród ryku tłumu na arenę wniesiono bogów i boginie. Dalej szli kapłani, dygnitarze, aktorzy, a na koniec — cesarz i cesarzowa, których pojawienie się pobudziło widzów do jeszcze głośniejszych krzyków. Igrzyska rozpoczęli jeźdźcy — każdy z nich stał okrakiem na dwóch rumakach — pędzący po arenie (nazwanej tak od łacińskiego słowa oznaczającego piasek, którym była wysypana podłoga). To było cudowne widowisko, Selena i Ulryka klaskały i śmiały się. Następnie

zjawili się akrobaci i żonglerzy w pięknych kostiumach, wesołkowie biegali tam i z powrotem po piasku.

Kolejne fanfary obwieściły drugą część przedstawienia i na scenę wkroczyło dwóch mężczyzn w hełmach i przepaskach na biodrach, z mieczami i tarczami w dłoniach. Tłum szalał. Widząc podniecenie otaczających je ludzi, Selena pomyślała, że ci dwaj mężczyźni są widać sławni, choć ona nigdy o nich nie słyszała. Pieniądze szybko zmieniały właścicieli, wśród widzów robiono zakłady. Wyglądało na to, że wyższy mężczyzna jest faworytem i Selena usłyszała, jak ktoś mówi o jego rekordzie — stu wygranych walkach.

Gdy rozpoczęło się starcie, tłum jeszcze bardziej oszalał. Szczękały miecze, lśniły napięte mięśnie. Selena z Ulryka przyglądały się walce najpierw z ciekawością, potem z narastającym przerażeniem.

Ryk tłumu stał się ogłuszający, gdy jeden z gladiatorów — ten wyższy, faworyt — upadł na ziemię, a przeciwnik natychmiast postawił na nim stopę. Zwycięzca podniósł wzrok ku łożu cesarza, gdzie westalki skierowały w dół kciuki, i oto Selena i Ulryka z przerażeniem ujrzały, jak gladiator przeszywa mieczem ciało przeciwnika. Potem z głowy ofiary zdarł hełm, odsłaniając przystojną twarz i długie jasne włosy Germanina.

Selena i Ulryka patrzyły oniemiałe, jak zwycięzca odbiera nagrodę w złocie, ciało pokonanego wywleczono z areny.

Widownia cyrku szalała, tysiące żądnych krwi ludzi wrzeszczało, wznosiło okrzyki, tupało, sprzedawcy roznosili jedzenie i upominki, wypłacano wygrane. Selena i Ulryka jeszcze nie otrząsnęły się z szoku, gdy rozpoczęło się następne widowisko: podniesiono żelazną kratę i na arenę wypchnięto sto, może więcej jakichś nieszczęsnych istot w łańcuchach, bladych, oślepionych przez słońce. Byli wśród nich mężczyźni, kobiety i dzieci. Po przeciwległej stronie podniesiono inne żelazne kraty i na arenę wypadło kilka wygłodzonych tygrysów. Gdy motłoch zaczął krzyczeć:

— Żydzi! Śmierć Żydom! — Selena chwyciła Ulrykę za rękę i razem z nią wybiegła z cyrku.

Teraz już wiedziała, dlaczego nikt nie chciał pomóc jej wyspie. Jak można szukać litości w sercach takich ludzi? Ludzi, którzy porzucali chorych, jakby to były śmiecie.

— Za nic się z tym nie uporamy — powiedział Herodas — póki nie położy się kresu takim praktykom. Problem naszej wyspy polega na tym, że jest za dużo ludzi. Gdyby tylko cesarz zechciał nas wysłuchać...



Cesarz to chciwy, samolubny człowiek — myślała Selena, stojąc przed posągiem Eskulapa.

Trzy razy próbowała dostać się do cesarza. Trzy razy jej odmówiono. Nawet wpływy Pauliny nie pomogły. Cesarz co prawda wrócił do Rzymu, ale zbyt pochłaniały go własne rozrywki, by chciał słuchać o problemach swego ludu.

Klaudiusz wrócił do Rzymu...

Wobec tego gdzie jest Andreas?

Paulina dowiadywała się u swych przyjaciół z cesarskiego pałacu, ale nikt najwyraźniej nie wiedział, co się stało z Andreasem.

Wiem, gdzie jest — pomyślała Selena. — Znalazł statek płynący na koniec świata...

Pokręciła głową. Przyszła przecież do Eskulapa, by prosić o pomoc w przeprowadzeniu cesarskiego cięcia, a nie po to, by roztrząsać u jego stóp swoje osobiste sprawy. Musi się skupić na tym, co ma do zrobienia tu i teraz. Herodas powiedział jej: „To tak, jakbyś chciała miotłą powstrzymać przyływ oceanu”. Z jej planu stworzenia na wyspie schronienia dla chorych i rannych mieszkańców Rzymu nic nie wyszło, ludzie nadal nie mieli gdzie się udać.

— Wielki Eskulapie — szeptała Selena wśród dymu kadzideł i chybotliwych cieni — ojciec uzdrowicielu, kieruj dziś moim skalpelem. Udziel mi mądrości i siły, bym zdołała uratować to dziecko.

— Matko Wenus, której jestem oddaną córką, okaż miłosierdzie tej biednej dziewczynie, spraw, by odeszła z tego świata bez bólu, i daj mi to dziecko.

Na koniec Selena zwróciła się do ducha boskiego Juliusza, jej dziadka — i jej tajemnicy.

Przybywając pół roku temu do Rzymu, Selena spodziewała się, że połączy się ze swą rodziną z Palatynu, ale później, gdy usłyszała, jak są podstępni i chciwi, te nadzieje prysły. Rzeczywiście, tak jak ostrzegął ją Andreas, rodzina cesarska to niebezpieczni ludzie. Cały Rzym szeptał o knowaniach Messaliny, zmierzających do osadzenia na tronie jej syna, Brytanika. Cesarzowa nie cofnęłaby się przed niczym, byle osiągnąć swój cel, i już zdążyła tego dowieść, krążyły plotki o tajemniczych zgonach, dziwnych zaginięciach ludzi, którzy w ten lub inny sposób stanęli na drodze Messalinie.

Każdy dzień przynosił nowe wieści z Palatynu i ostrożność Seleny rosła. Członkowie rodziny cesarskiej gryzli się ze sobą jak psy, jedyna prawdziwa wnuczka Juliusza Cezara nie będzie przez nich mile widziana. Dla własnego bezpieczeństwa Selena postanowiła nie wchodzić im w drogę, co więcej, musi

trzymać się na uboczu ze względu na Ulrykę. Prawnuczka Juliusza Cezara mogłaby już wydać na świat dziecko — następcę tronu.

Ostatnią, pełną największej czci modlitwę Selena skierowała do Bogini, matki żyjących. Selena modliła się za duszę tej młodej dziewczyny, tak wczesnie odchodzącej ze świata żywych. Prosiła też Boginię, jak to miała w zwyczaju, o opiekę nad matką i bratem — żywymi czy umarłymi.

\* \* \*

— Myślę, ciociu Paulino, że będę chciała mieć mnóstwo dzieci.

Ulryka siedziała w zalanym słońcem ogrodzie, wśród różnobarwnych wiosennych kwiatów, przyglądając się, jak Paulina zrywa peonie i żółte irysy. Ostatnio spędzały tu prawie każde popołudnie. Ulryka siadała pod drzewem granatu, a Paulina krążyła między krzewami, wyglądając jak jeden z tych uroczych marmurowych posągów, zdobiących jej ogród. Od tamtej grudniowej nocy szlachetnie urodzona dama i trzynastolatka stały się przyjaciółkami. Po pewnym czasie Paulina zaczęła nie tylko tolerować obecność Ulryki, ale ją polubiła, a Ulryka traktowała teraz Paulinę jak drugą matkę, tak było kiedyś z Rani.

— Mieć tylko jedno dziecko — ciągnęła Ulryka — to prawie okrucieństwo. Bałabym się, że takie dziecko czułoby się samotne. Dlatego postanowiłam mieć wiele dzieci, żeby było im różnie. Albo — buzia Ulryki spoważniała — nie będę miała żadnego.

Paulina, przypomniawszy sobie, że ma zerwać dla Seleny kilka owoców granatu, potrzebnych do sporządzania pewnych leków, podeszła do drzewa.

— Najpierw musisz znaleźć sobie męża — powiedziała z uśmiechem.

— O tak. Ale będę bardzo wybredna. To musi być ktoś wyjątkowy.

Jak ja to dobrze znam — pomyślała ze smutkiem Paulina.

— Waleriusz wydał mi się wyjątkowy, kiedy się poznaliśmy. Och, znowu być młodą jak Ulryka i mieć jeszcze te cudowne sprawy przed sobą! Wszystko to już poza mną. Oczywiście mogłabym wyjść za męża, ale nie byłabym w porządku wobec męża, nie dając mu dzieci.

Paulina westchnęła i popatrzyła na wysokie przejrzyste niebo.

Gdybym mogła mieć dzieci — myślała dalej — chciałabym wyjść za kogoś takiego jak Andreas. Może nawet i za samego Andreama...

— Tak — mówiła Ulryka, marszcząc zabawnie buzię — nie mogę wyjść za byle kogo. W moich żyłach płynie królewska krew. Mój ojciec był księciem.

Paulina popatrzyła na brązowe włosy dziewczynki. Niepokoiła się o Ulrykę. To dziecko miało w sobie jakąś dzikość, nieustępliwość. Często zapadała w milczenie, a wtedy jej oczy stawały się smutne i zadumane.

Zdaniem Pauliny, była o wiele za poważna. No i to przywiązanie do tego młodego niewolnika, Eryka! Jak pilnie uczyła się języka Germanów, jak często mówiła o swym zmarłym ojcu! Tak jakby czuła się zagubiona i szukała sobie jakiegoś miejsca w świecie.

— No i oczywiście — ciągnęła Ulryka — nie można zapominać o rodzinie ze strony matki. Sądzę, że i to będę musiała wziąć pod uwagę. Ja co prawda nie jestem zadowolona, że moim pradziadkiem był Juliusz Cezar, ale innym to się wydaje ważne i może być ważne dla mojego męża.

Paulina uśmiechnęła się z roztargnieniem, wrzucając do koszyka dojrzały owoc. Potem znieruchomiała, sięgając ręką do gałęzi, i spojrzała na dziewczynkę.

— Co mówiłaś, Ulryko? O Juliuszu Cezarze?

— Był moim pradziadkiem.

Ulryka wyjęła z koszyka granat i zaczęła obierać owoc z twardej skórki.

— Dlaczego to mówisz?

— Bo to prawda. Jego syn był moim dziadkiem. A więc on jest moim pradziadkiem, nieprawdaż?

Paulina opuściła ręce.

— Jego syn?

— On też był księciem. Księżę Cezarion. Był ojcem mamy.

Paulina chwilę przyglądała się dziewczynce, potem spytała:

— Ulryko, zmyśliłaś to sobie?

— O nie. Alma mater z Aleksandrii powiedziała o tym mamie. Powiedziała, że królowa Kleopatra była babką mamy i że księcia Cezariona ukryto, a zamiast niego zabito niewolnika. Ale jednak żołnierze go potem zabili w Palmirze, tej samej nocy, kiedy mama się urodziła.

Paulina usiadła na ławce obok Ulryki.

— To niewiarygodne. Twoja mama nigdy mi o tym nie wspominała.

— Trzyma to w tajemnicy. Ale na szyi nosi pierścień Juliusza Cezara. On podbił Galię, wiesz, i Germanię. Nie chcę, żeby był moim pradziadkiem, ale...

— Ulryko — powiedziała Paulina, biorąc ją za rękę — czy ktoś jeszcze o tym wie?

— Tylko matka Mercja. No i ten mężczyzna, który przyszedł do świątyni, Andreas.

Paulina spojrzała w duże szczerze oczy, błękitne jak kwietniowe niebo, i wiedziała, że dziewczynka nie kłamie.

— Ulryko — mówiła z naciskiem — posłuchaj mnie uważnie. Twoja mama ma rację. To musi pozostać tajemnicą. Nigdy o tym nikomu nie mów, Ulryko. Obiecuj mi, że nie powiesz.

A gdy dziewczynka złożyła uroczystą obietnicę, mocno ścisnęła jej rękę. Gdyby choć słowo o tym dotarło do Messaliny...

\* \* \*

— Jest na progu śmierci — odezwał się cicho pobożny brat.

Nie było potrzeby oczyszczania narzędzi w ogniu, bo dziewczyna będzie martwa i już nie zagrażą jej złe duchy zakażenia. Selenie wydawało się jednak w pewnym sensie nieuczciwe krojenie ciała dziewczyny brudnymi narzędziami, więc przygotowała wszystko tak samo, jak do każdej operacji — i narzędzia, i siebie.

Z sanktuarium świątyni przyniesiono specjalne lampy — święte płomienie Panacei i Higiei. Wniesiono również czyniącego dobro Apollina, jego sylwetka z laską, wokół której oplótł się wąż, rysowała się wyraźnie w półmroku. Na drzwiach i w oknach zawieszono poświęcone zioła, na ścianach widniały tajemne znaki Izydy i Minerwy. Bracia wzywali wszelkich możliwych bogów, by przyszli z pomocą Selenie, podejmującej się tak ciężkiego zadania.

Wierzyli w nią ci kapłani i słudzy Eskulapa. Przewidywania Herodasa się nie sprawdziły, Selena ich nie zawiodła. Minęło już wiele miesięcy, a ona nie straciła ducha i nie poddała się. Co więcej, pracowała ciężiej niż kiedykolwiek. Niestety jej nieugiętość i energia też nie wystarczały.

Selena przedstawiła im świetne plany. Zamierzała podzielić przedsionki świątyni na różne oddziały, w zależności od rodzajów schorzenia, jakie kiedyś widziała w rzymskim valetudinarium. Sienniki chciała zastąpić łózkami, jak to czyni się w Persji, a także przeszkolić grupę pielęgniarzy, jak to robią Hindusi. Próbowwała wykorzystać bieżącą wodę do spłukiwania nieczystości, miała zamiar zgromadzić zapas świeżych opatrunków i oczyszczać wszystkie narzędzia w świętym ogniu. Kiedy jednak na ziemi wokół świątyni leżą tłumy chorych i konających, kiedy w powietrzu brzęczą roje much, a smród z wyspy dociera do miasta odstraszać ludzi, którzy być może przysliby tu z pomocą, kiedy nie ma już miejsca na grzebanie kolejnych zmarłych ani pomieszczeń, by można oddzielić niemowlęta od konających starców, kiedy brak spokojnego kąta dla tych, którzy tego potrzebują, a słonecznego światła dla innych... Jedna kobieta z jej wspaniałymi planami to trochę za mało.

Ale jeśli pomoc Seleny bywała skuteczna, jeśli czasem coś jej się udawało, to właśnie w takich chwilach, jak ta. Rodząca dziewczyna przywlokła się na

wyspę w nadziei, że Eskulap jej pomoże, a teraz Selena przynajmniej dziecku da szansę. Jeśli cała ta wyspa to infernus ciemności — pomyślał brat — to chociaż tutaj tli się światełko.

Selena i brat siedzieli po obu stronach nieprzytomnej dziewczyny. Ani na moment nie spuszczała wzroku z wolno unoszącej się i opadającej piersi. W chwili gdy biedaczka umrze, Selena użyje skalpela. Ale nie wcześniej, żeby nie kroić ciała żyjącej kobiety. Lecz i nie za późno, bo dziecko mogłoby umrzeć w łonie matki.

Dokładnie w momencie, gdy dziewczyna wyda ostatnie tchnienie...

Brat położył rękę na ciepłej piersi dziewczyny. Nie poczuł tętna.

— Stało się — powiedział cicho.

Selena wzięła skalpel, wezwała na pomoc wszystkich znanych jej bogów i boginie, a potem zaczęła.

## ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY SIÓDMY

Selena wiedziała, że podejmuje ogromne ryzyko. Uświadomiła sobie, że nie zna Pauliny na tyle dobrze, by przewidzieć jej reakcję, w końcu ich przyjaźń nie była jeszcze tak zażyła, by Selena mogła sobie pozwalać na krok, jaki właśnie zamierzała uczynić.

Nie miała jednak wyboru. Przecież nie może skazać tego dziecka na śmierć.

Jeszcze w grudniu, gdy wypoczęty i zdrowy Maksymus opuścił willę, Paulina nalegała, by Selena przeniosła się do najlepszych pokoi gościnnych. Znajdowały się one na tyłach willi, z dala od hałaśliwej ulicy, a okna wychodziły na wzgórze porośnięte drzewami owocowymi. Właśnie tam teraz zdążyła Selena, tuląc do piersi zawiniątko. W jadalni przy ogrodzie odbywało się ciche przyjęcie: jakiś filozof czytał swoje najnowsze dzieła. Po odejściu gości Selena zaprosi Paulinę do siebie.

Najmilsza Matko Istnienia — modliła się, nie zauważona mijając jadalnię i wchodząc na górę — spraw, by serce Pauliny zmiękło na widok tego bezbronного dziecka. Oby drzemiąca w jej sercu miłość matczyna przebudziła się.

Właśnie na to liczyła Selena: że jedno spojrzenie na tego maleńkiego noworodka wyzwoli wrodzony instynkt macierzyński — instynkt, który Paulina od pięciu lat usiłowała w sobie stłumić.

A jeśli nie...

Wtedy dziecko będzie moje i wychowam go jak własnego syna.

Ale to Paulina go potrzebowała, Paulina, która czasem tęsknie spoglądała na Ulrykę i pragnęła własnego dziecka, Paulina, której życie było puste i która z powodu swojej bezpłodności nie chciała po raz drugi wyjść za mąż. Całkiem możliwe, liczyła Selena, że dzięki temu maleństwu Paulina dałaby sobie drugą szansę.

Choć miała już czterdzieści lat, co Rzymianie uważali za poważny wiek, nie zmieniało to faktu, że była urodziwą, wykształconą, czarującą kobietą, z sercem pełnym miłości, której nie miała komu dać. Te cnoty były dostrzegane przez rzymskich arystokratów wolnego stanu, Paulinę nieustannie otaczali wielbiciele. Ilekroć jednak zanosilo się na to, iż znajomość może stać się zbyt zażyła, Paulina zamykała się w sobie i odtrącała przyjaźń.

To dziecko mogłoby odmienić jej życie — myślała z podnieceniem Selena, kładąc niemowlę na łóżku wśród poduszek.

Potem spojrzała na nie. Śliczny maleńki chłopczyk o okrągłej główce i ciemnych włoskach. I zdrowy. Jego młoda mama z pewnością dobrze się odżywiła w czasie ciąży. Selena zauważyła też u niej inne zastanawiające rzeczy: kosztowną suknię, delikatne dłonie i stopy — z pewnością nie była niewolnicą ani wieśniaczką, możliwe nawet, że pochodziła z wysokiego rodu. Dlaczego nie rodziła dziecka w domu?

Kiedy już wyszli ostatni goście, Selena posłała do Pauliny niewolnika, prosząc, by pani przysłała na górę. Wkrótce zjawiała się Paulina w jednej ze swych najelegantszych stoli, z płonącymi policzkami po wesoło spędzonym wieczorze. Selena poprosiła ją, by usiadła, i opowiedziała o bezimiennej dziewczynie i cesarskim cięciu.

Skończywszy, odwróciła się od Pauliny, która zastanawiała się, po co Selena jej o tym opowiada, i podniosła zawiniątko ze śpiącym dzieckiem.

— Przyniosłam go ze sobą — powiedziała Selena, odwracając się. — Zatrzymałam niemowlę.

Paulina milczała. Nie odrywała wzroku od twarzy Seleny, jakby nie chciała przyjąć do wiadomości tego, co trzymała w ramionach przyjaciółka.

— Jest taki śliczny, tak pięknie zbudowany, krzepki. Nie mogłam dopuścić, by umarł. — Selena klęknęła przed Paulina i odsłoniła buźkę dziecka. — Widzisz, jaki z niego przystojny mężczyzna!

Paulina zerknęła na dziecko.

— Rzeczywiście — przyznała.

— Proszę.

Selena podała jej dziecko. Ale Paulina nie wykonała żadnego ruchu.

— Będziesz potrzebowała dla niego mamki. Rozejrzę się za kimś.

— To dziecko nie jest dla mnie — odparła cicho Selena. — Przyniosłam je dla ciebie.

— Co? — szepnęła Paulina. — Co powiedziałaś?

— Tylko weź je na ręce... Paulina zerwała się na nogi.

— Chyba oszalałaś!

— Weź go, Paulino. Przytul do siebie.

— Czyś ty postradała zmysły? Sądziłaś, że ja go wezmę?

— Potrzebny mu dom.

— Ale nie mój! — Paulina zrobiła kilka kroków, potem gwałtownie odwróciła się do Seleny. — Nie spodziewałam się tego po tobie, Seleno. Sądziłaś, że wezmę tego... tego...

— Bezdomnego noworodka! — Selena wstała, trzymając mocno niemowlę. — Spójrz na niego, Paulino! To maleńkie dziecko!

— Dziecko z rynsztoka. Dziecko, którego nikt nie chciał.  
— Ja chciałam.  
— To go sobie zatrzymaj.  
— Ale Paulino...  
— Dlaczego to zrobiłaś, Seleno? — Paulina zaczęła dygotać. — Jak możesz być tak okrutna?  
— Nie mogłam go po prostu porzucić, Paulino.  
— A dlaczego? W Rzymie roi się od niechcianych dzieci. Skąd ta nagła troska o to jedno?  
Miała rację. Dlaczego Seleno troszczy się właśnie o nie, skoro widziała tak wiele dzieci skazanych na śmierć: małych dziewczynek, kalek, bękartów?  
— Bo dałam mu życie — powiedziała cicho. — Wydałam go na świat.  
— W takim razie ty go sobie zatrzymaj. Ty bądź mu matką.  
— Ale dlaczego nie zgadzasz się go wziąć, Paulino? Wyjaśnij mi, bo nie rozumiem.  
— Już ci mówiłam. Nie chcę dziecka, którego wyrzekła się własna matka.  
— Ona się go nie wyrzekła, Paulino. Ona umarła.  
— Chcę, żeby moje dziecko wyszło stąd. — Otoczyła ramionami swą talię.  
— Ale stąd już nie wyjdzie żadne dziecko.  
— W takim razie nie będę miała żadnego. Odwróciła się do wyjścia.  
— Paulino! Posłuchaj! — Seleno pobiegła za nią. — Posłuchaj. Sama możesz je wykarmić. Możesz je przystawić do piersi i dać mu życie. Czy to nie jest prawie tak samo, jakbyś wydała je na świat?  
Paulina sięgnęła do klamki.  
— Teraz już wiem, że oszalałaś.  
— Paulino, posłuchaj! Wiesz, co widziałam na Wschodzie? Kobiety, które nigdy nie były brzemienne, karmią noworodki. To jest możliwe, Paulino.  
— Masz mnie za głupią?  
Seleno chwyciła ją za rękę. Dziecko, leżące w jej ramionach, znajdowało się między nimi.  
— To prawda. Widziałam to na własne oczy. Kiedy dziecko ssie pierś, w pewnym momencie zjawia się pokarm. Widziałam to, Paulino.  
Paulina zawahała się przez moment, w jej oczach coś błysnęło. Potem wyrwała się i wyszła.

\* \* \*

Ulryka stała z rękami na biodrach, patrząc na dziecko i zastanawiając się, co w nim takiego znowu cudownego. Matka mówiła, że jest śliczny. Ulryka uważała, że wygląda dość śmiesznie. I żadnego z niego pożytku.



Westchnęła i odwróciła się od łóżka. Kwietniowa noc była pełna cudownych zapachów, dziewczynce wydawało się, że w ogrodzie Pauliny kwitną wszystkie kwiaty świata. Wyszła na balkon i popatrzyła na ciemny sad, rosnący na stoku wzgórza. Ciepłe powietrze kusiło ją.

Po tamtej grudniowej nocy, kiedy Maksymus miał atak serca, a greckiego medyka nie było w domu, Paulina sprzedała go i poprosiła Selenę, by od tej pory ona sprawowała pieczę nad zdrowiem jej samej oraz jej licznej służby. Dlatego teraz Selena musiała pójść do pomieszczeń niewolników, gdzie ktoś zapadł na gorączkę, a Ulryce kazała pilnować dziecka. Ulryka nie miała nic przeciwko temu — w końcu chłopczyk był taki bezbronny. Właściwie nie było przy nim wiele roboty, ciągle tylko spał. Jej samej trudno było usiedzieć w miejscu.

— Twój nowy brat — powiedziała jej Selena pewnego dnia.

Ulryka nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Matka wydawała się zmartwiona. W takim razie po co go przynosiła? Nawet nie miał jeszcze imienia. Jak, u licha, zamierzają na niego wołać?

Znajomy dźwięk z sadu wyrwał Ulrykę z zamyślenia. To gwizdał Eryk, co oznaczało, że jest wolny i czeka na nią.

Eryk. Ulryce mocniej zabiło serce.

Spojrzała na łóżko. Dziecko nadal spało.

Znowu popatrzyła na sad. Zobaczyła machającą rękę.

Przygryzła wargę, przez chwilę się wahała, potem pomachała Erykowi i pobiegła na dół. Dzieciak na pewno będzie spał godzinami. Nikt nie zauważy, że jej nie ma.

\* \* \*

— Zróbcie z tym coś! — warknęła Paulina rozdrażniona jak rzadko. — Niechże ktoś je uspokoi!

Dziecko płakało już prawie od godziny. Jego żałosne kwilenie słyszeć było w całym domu, żadnej z niewolnic, które Paulina wysłała, nie udało się go uciszyć.

Z pasją krążyła po pokoju. To jedna ze sztuczek Seleny, mówiła sobie. Podstęp, by ją zmiękczyć. Ale ona się nie ugnie, nie przyjmie dziecka.

— Gdzież ona jest? — spytała Paulina, kiedy niewolnica wróciła.

— U niewolników ktoś ma gorączkę — odparła pobladła kobieta. — Pani Selena powiada, że nie może wyjść stamtąd. Powiada, że zostawiła przy dziecku córkę. Że jest przygotowane mleko dla niego.

— A dziewczyna tam jest?

Przestraszona sługa pokręciła przecząco głową. Jeszcze nie widziała swej pani tak rozgniewanej.

Wreszcie Paulina wzięta palę, zarzuciła ją na ramiona i wybiegła z pokoju. W sypialni Seleny zastała cztery kobiety, które za wszelką cenę próbowały uciszyć wrzeszczące dziecko — podawały je sobie z rąk do rąk, kołysały, podrzucały, zabawiały.

— Zostawcie go — rozkazała Paulina. Pospiesznie ułożyły niemowlę między poduszkami na łóżku i z ulgą czmychnęły z pokoju.

Paulina drżącymi dłońmi zatkała uszy. Tego krzyku nie sposób wytrzymać. To był wrzask, rozpaczliwe zwracanie na siebie uwagi. Waleria też się tak zachowywała, kiedy miała zaledwie kilka dni...

Paulina sztywnym krokiem podeszła do łóżka i spojrzała na dziecko. Maleńkie stopki i rączki wymachiwały w powietrzu, buzia była wykrzywiona i czerwona. Paulina wstrząsnął dreszcz. Wiedziała, co nastąpi, jeśli zrobi ten pierwszy krok.

Rozejrzała się. Smoczek leżał na stole, Selena zrobiła go z luźno tkanego płótna. Sądząc po jego opłakanym stanie, niewolnice bezskutecznie próbowały wcisnąć go dziecku do ust.

— Niezdary — mruknęła pod nosem Paulina, sięgając po szmatkę. A potem pomyślała: Potrzebuje czegoś twardszego, czegoś, co będzie mógł uchwycić usteczkami.

Od wrzasku rozbolały ją uszy. Paulina znowu podeszła do łóżka i spojrzała na maleństwo z litością i niechęcią zarazem. Selena powinna była dać mu umrzeć. To cesarskie cięcie było głupotą. Paulina pokręciła głową. Selena potrafiła być czasem zupełnie bezmyślna. Nigdy nie zastanawia się nad konsekwencjami.

— Cicho, cicho — usłyszała swój głos. Jej ramiona, niemal wbrew woli, wyciągnęły się po dziecko.

Tym razem dokładnie przyjrzała się niemowlęciu. Zdziwiła się, że jest taki mały. Zdążyła już zapomnieć, jak maleńkie są noworodki.

— Cicho, cicho — powtórzyła i przytuliła go do siebie. Płacz ustał. — No widzisz — powiedziała.

Zaczęła kraść z nim po pokoju, czując w ramionach jego ciężar i ciepło, które przenikało przez kocyk, wyczuwała kształty jego delikatnych kostek i ciała, patrzyła na buzię, jeszcze zmarszczoną po niedawnej podróży na świat, na oczy, małe okrągłe guziczki, jeszcze nieco mętne i szukające czegoś.

To przypominało...

Dawno pogrzebane uczucia i wspomnienia wróciły potężną falą.

— Nie można cię zostawiać samego — mruknęła. — Cóż Selenia sobie myśli, żeby cię zostawiać pod opieką tej nieodpowiedzialnej Ulryki?

Paulina sięgnęła po butelkę i usiadła na krześle. Ale tak jak przypuszczała, smoczek nie nadawał się do niczego. Zdjęła szmatkę, zanurzyła mały palec w osłodzonym mleku i włożyła go dziecku do buzi. Natychmiast zaczęło ssać.

Zaczęła robić to samo raz za razem.

— Będziemy musieli wymyślić jakiś lepszy sposób — powiedziała, kołyszając dziecko.

Ale mały na razie uspokoił się. Będzie potrzebował więcej pożywienia, i to lepszego niż z butelki.

— Powiem Selenie, że musi nająć mamkę — stwierdziła z roztargnieniem, kołyszając niemowlę, jej mały palec wędrował między butelką a usteczkami dziecka.

Usiadła wygodniej w krześle i poczuła w ciele znajome ciepło, rozkoszne rozleniwienie, którego doświadczyła zaledwie kilka razy w życiu. Nuciała starą kołysankę, którą lubiła Waleria.

Dziecko odwróciło głowę. Znowu zaczęło płakać.

— Cicho, cicho — mówiła łagodnie Paulina. Rozpięła suknię i zsunęła tkaninę. Mała główka instynktownie się odwróciła, usteczka zaczęły szukać.

W chwili gdy chwyciły sutek, Paulina poczuła w piersi znajome ukłucie ostrego kamienia żalu, który tkwił tam od sześciu lat. I oto kamień zaczął się rozpuszczać, tak jak wierzyła, że pewnego dnia się stanie.

— Będziesz miał na imię Waleriusz — odezwała się — i będziesz małym patrycjuszem...

## ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY ÓSMY

Władanie Imperium Rzymskim opierało się na ciekawym paradoksie: choć rodzina cesarska sprawowała władzę absolutną i przed nikim nie odpowiadała, potrzebowała zgody ludu, by móc dalej rządzić. A lud Rzymu niewiele obchodziły pałacowe intrygi i nieustanne spiskowanie w walce o władzę, ród julijsko-klaudyjski mógł sobie rządzić światem dopóty, dopóki zapewniał ludziom darmowe jedzenie i igrzyska.

Dlatego właśnie dzisiejszego popołudnia odbywały się na rzece uroczystości ku czci boga Tybru, który dawał Rzymowi wodę i życie. Były to najwspanialsze igrzyska, jakie Klaudiusz urządził w czasie swojego siedmioletniego panowania. Cała ludność Rzymu przyszła je oglądać.

Widzowie szczelnie zapełnili brzegi rzeki. Dla dygnitarzy i faworytów rodziny cesarskiej zbudowano prowizoryczne loże, a najznamienitsi — Cecyliusze, Emiliusze i Antoniusze — zajęli honorowe miejsca przy samym cesarskim podejściu, tuż nad rzeką. Właśnie tam siedziały Selena i Paulina, równie podniecone jak tysiące innych widzów, stojących lub siedzących nad rzeką jak okiem sięgnąć i niecierpliwie oczekujących rozpoczęcia procesji bogów.

Niewolnicy obsługiwali Selenę i Paulinę, które podobnie jak inni, zamierzały tego październikowego popołudnia spożyć posiłek na dworze. W ich koszyku był pieczony drób, chleb, oliwki, ser i dzban zimnego wina. Selena cieszyła się, że tu przyszła. Lato, któremu towarzyszył straszliwy upał i gorączki, okazało się wyjątkowo ciężkie dla mieszkańców wyspy na Tybrze. Liczba zgonów drastycznie wzrosła, a na schodach świątyni porzucano jeszcze więcej niewolników. Datki pieniężne Pauliny niewiele zmieniły. Nikt nie chciał przyjść do pracy na wyspie. A wysiłki Seleny, zmierzające do uzyskania audiencji u imperatora, okazały się bezowocne. Zaczynała się zastanawiać, czy Herodas nie miał racji mówiąc, że Eskulap ostatecznie opuścił swój święty przybytek.

Selena zdziwiła się, gdy Paulina przyjęła zaproszenie cesarza do wzięcia udziału w uroczystościach. Przez ostatnie pół roku jej czas był tak wypełniony opieką nad Waleriuszem, że na razie porzuciła życie towarzyskie. Ale Paulina wyjaśniła jej, dlaczego chce być na uroczystości: może zjawić się tam Andreas.

Sześć miesięcy temu, kiedy Selena przyniosła do domu dziecko, Paulina wyznała jej:

— Nie chciałam powtórnie wyjść za męża, bo nie byłoby to z mojej strony uczciwe: nie mogłabym dać mężowi dziedzica. Ale teraz mam dziecko, syna, którego mogę mu ofiarować. Teraz chcę wyjść za męża, Seleno. I wyznam ci mój sekret: zawsze miałam słabość do Andreasa.

Andreas i mąż Pauliny, Waleriusz, byli od lat dobrymi przyjaciółmi, poznali się, gdy Andreas przybył do Rzymu i znalazł się na dworze jako jeden z osobistych lekarzy Kaliguli. Paulina często spędzała z obydwojma mężczyznami wieczory, jeździła z nimi nad morze, chodziła na przyjęcia i zabawy. Ona i Andreas lubili się i dobrze do siebie pasowali. On co prawda nigdy nie był żonaty, ale Paulina liczyła na to, że dziś, kiedy już skończył czterdzieści osiem lat i nie miał dziedzica, może zechcieć założyć rodzinę.

— Odczekałam rok od śmierci mego męża, tak jak nakazuje prawo — powiedziała wtedy Paulina. — Teraz mogę wyjść za męża. A któż byłby lepszym kandydatem, jak nie Andreas?

Rzeczywiście, któż? — pytała w duchu Seleno, obserwując to, co działo się na cesarskiej platformie. Zebrała się tam już cała rodzina, ale kilka miejsc pozostało wolnych. Statek Andreasa miał przybyć do Ostii w ostatnich dniach, czy on sam dziś się tu zjawi?

Dziecko poruszyło się w ramionach matki, zaczęło kwilić. Paulina rozpięła suknię i już po chwili mały Waleriusz ssał pierś, skromnie osłoniętą pallą.

Seleny nigdy nie przestała zdumiewać magia i potęga matczynej piersi. Beduinka Fatma odrzucała dziecko, dopóki nie spędziło nocy, przywiązane do jej piersi. U Pauliny zaś, podobnie jak u kobiet, które Seleno widziała na Wschodzie, po kilku dniach prób, gdy dziecko przystawiano na zmianę do jej pusty i do pełnej piersi mamki, w końcu pojawił się pokarm, była teraz tak przywiązana do tego niemowlęcia, jakby rzeczywiście wyszło ono z jej własnego ciała. Mleko było cienkie i było go mało, wystarczało jednak na stworzenie więzi między matką a dzieckiem. Waleriusza nadal trzeba było dokarmiać, ale chwile spędzone przy piersi Pauliny służyły nie tyle zaspokojeniu głodu, ile umacnianiu miłości.

Paulina i Seleno wymyśliły historię, która wyjaśniała pojawienie się dziecka: mały Waleriusz był synem dalekiego krewnego z wielce godnego i starożytnego rodu, jego rodzice zmarli podczas epidemii. Paulina wydała mnóstwo pieniędzy, by otrzymać fałszywe dokumenty, ale teraz chłopiec oficjalnie nosił dumne i arystokratyczne imię Waleriuszy.

Seleno wystawiła twarz na podmuch wiatru, niosącego ze sobą rozliczne zapachy: od dymu ognisk rozpalonych przez widzów na brzegach rzeki po ciężkie perfumy otaczających Selenę szlachetnych dam. Wcześniej, po

przybyciu na miejsce, Paulina przedstawiła Selenę Kornelii Scypion z rodu wielkiego Scypiona Afrykańskiego, a także Marcji Tullii, prawnuczce Cyclerona.

— Selena — powtórzyła z namysłem Kornelia. — Cóż za niezwykle imię! Z jakiego rodu pochodzisz?

— Selena jest terapeutą — szybko wtrąciła Paulina. — Uczyła się w Aleksandrii. Słyszałyście o ataku serca, jaki Maksymus miał w grudniu?

— Oczywiście, że słyszałyśmy!

— To Selena ocaliła mu życie. Teraz mieszka u mnie. Sprzedałam swojego domowego medyka i Selena zajęła jego miejsce.

— Ach, ci Grecy! — zawołała Marcja Tullia. — Przecenia się ich, powiadam wam. Zresztą teraz w ogóle trudno o dobrego niewolnika.

Pochyliła się i wyszeptwała coś Paulinie do ucha. Selena usłyszała cichą odpowiedź Pauliny:

— Nie, Selena nie jest moją niewolnicą. Jest wolno urodzoną obywatelką rzymską.

Selena musiała pogodzić się z faktem, że w Rzymie nazwisko było wszystkim. Drzewo genealogiczne przedkładano nad charakter, starożytność rodu nad osiągnięcia. Ci ludzie — patrycjusze, którzy siedzieli obok niej, spożywając posiłek i czekając na rozpoczęcie uroczystości, pochodzili z najstarszych rodów rzymskich i nie dopuszczali byle kogo do swego ściśle zamkniętego kręgu.

— ...miał strasznego pecha — mówił mąż Kornelii do swojego sąsiada. — Zresztą wszak to Agrypa, nie mogliśmy dopuścić, żeby sprzedał dom Syryjczykowi! Och, oczywiście, kupiec miał pieniądze, ale za to pochodzenie — żadne...

Za plecami Seleny rozmawiały dwie kobiety.

— I oczywiście, kiedy się przekonała, że skłamał, że w jego żyłach nie płynie ani kropla krwi Grakchusa, cóż, nie miała wyjścia i musiała się z nim rozwieść. Choć bardzo ciężko to przeżyła. Twierdzi, że go kocha.

Marcja Tullia wybuchnęła głośnym śmiechem, aż Selena się obejrzała.

— Aktor! — mówiła dama. — Jakaż głupia była, żeby się zakochać w aktorze! Ma szczęście, że ojciec tylko ją wypędził.

— Ich oboje powinno się zabić — oświadczyła Kornelia z surową miną. — Jej ojciec miałby prawo to zrobić.

Widząc zdumienie Seleny, Paulina pochyliła się do niej i wyjaśniła:

— Potomkom senatorów, nawet jeśli to są prawnuki, prawo zabrania poślubiać aktorów albo kogoś, kogo ojciec lub matka byli aktorami.

Paulina odsunęła Waleriusza od piersi, dyskretnie zapięła suknię i podała dziecko niewolnicy. Właśnie poprawiała palę, kiedy spojrzała za Selenę i zawołała:

— O! Jest Andreas!

Zmierzał w ich stronę. W jego białej todze i srebrzystych włosach odbijały się promienie zachodzącego słońca. Co chwila zatrzymywali go ludzie, którzy ściskali mu ręce, witając go po długiej nieobecności w Rzymie. Selena miała więc czas, by zapanować nad sobą, uciszyć szaleńcze bicie serca.

Wydawało jej się, że minęły wieki, zanim do nich dotarł. Spotkała jego wzrok dużo wcześniej i teraz patrzyła mu w oczy, gdy nadchodził — ten elegancko odziany, wytworny, dystyngowany Andreas z Antiochii, z jej wspomnień, Andreas jej serca.

— Witaj, Seleno — powiedział z uśmiechem.

Spojrzała na niego.

— Witaj, Andreasie.

— No — odezwał się mąż Kornelii, podnosząc się z miejsca. — Więc wreszcie wróciłeś do Rzymu?

Mężczyźni podali sobie ręce.

— Jak tam było w Hiszpanii? — spytała Marcja Tullia.

— Chyba okropnie o tej porze roku.

Selena odwróciła wzrok. Hiszpania. Był w Hiszpanii.

— W jakież to zakazane miejsce teraz cię poniesie, Andreasie? — powiedziała Paulina.

Podszedł, ujął jej rękę.

— Dobrze wyglądasz, Paulino — powiedział ciepło.

— Jak sobie radzisz?

Selena rozumiała niepokój w jego głosie i pytający wzrok, gdy Paulina odpowiadała:

— Dobrze, Andreasie. Dziękuję za listy.

— Podobno masz syna.

— Mógłby być synem Waleriusza, tak jest do niego podobny.

— Czy długo będziesz w Rzymie? — wtrąciła Marcja Tullia.

— Tak — odparł, wypuszczając rękę Pauliny. Odwrócił się i popatrzył na Selenę. — Wróciłem na dobre.

Umilkł.

— A ty, Seleno — spytał, podchodząc do niej z uśmiechem. — Jak ci się powodzi?

— Dziękuję, że mnie skierowałaś do Pauliny. Bez jej dobrego serca i pomocy byłby to dla mnie trudny rok. Moja córka i ja czujemy się dobrze.

Przez jego twarz przemknął cień, ale po chwili Andreas znowu się uśmiechnął.

— Kiedy wróciłeś do Rzymu? — spytała Paulina.

— Mój statek przybił do portu dziś rano... — zaczął Andreas, ale znowu ktoś się z nim witał, ściskając mu dłoń i prowadząc ze sobą dalej.

Selena zapatrzyła się w fale rzeki. Wiatr powiał mocniej, aż zadrżała z chłodu. Obejrząwszy się przez ramię, zobaczyła

Andreasa otoczonego ludźmi — był ośrodkiem zainteresowania. Nie powinna więc być zaskoczona, widząc go na cesarskim podejściu. Mimo to była. Andreas zasiadł po prawicy władcy.

Selena popatrzyła na cesarską rodzinę. Z bliska Klaudiusz nie wydawał się jej tak odrażający, jak opisywali go przeciwnicy. Utykał i miał przykurcz szyi, ale nie był wcale okropnie brzydki, ani nie wydał się Selenie szczególnie podły. Nagle zauważyła, że miejsce obok niego nie było zajęte. Gdzież mogła być cesarzowa?

Dźwięk fanfar zwrócił uwagę wszystkich na rzekę. Z jej dolnego biegu słyhać było ryk widzów, witających początek procesji bogów. W oddali rozlegało się spokojne, równe bicie werbli. Tłum ucichł, wszyscy utkwili wzrok w zakolu rzeki. Po chwili wyłonił się dziób majestatycznej barki. Hortator wybijał na werblach rytm wiosłarzom pod pokładem. Kiedy wreszcie cała barka wyłoniła się zza zakrętu, tysiąc łuczników, sprytnie ukrytych w tłumie na brzegach rzeki, wysłało w niebo strzały z kolorowymi wstęgami i piórami. Niebo na chwilę przesłonił baldachim z wielobarwnych wstęg. Tłum wydał głośny ryk.

Na wspaniałej barce siedział bóg Tyber, w którego postać wcielił się aktor z długimi włosami i z brodą. W jednej ręce trzymał wiosło, symbol żeglarzy, którzy pływali po jego wodach, w drugiej zaś róg obfitości, symbol swej płodności. Stał na łożu wśród sztucznych fal. I oto trysnęły strugi wody, rozpryskując się poza pokład, i Tybra otoczyły nagie nimfy wodne, które rzucały widzom na brzegach pełne garście jadła. Ludzi ogarnął szal, parli do przodu, wpychając stojących na brzegu do wody.

Potem pojawiła się mniejsza barka, ale na niej wieziono jedynie zamkniętą w klatce wilczycę, zawsze obecną na Kapitolu jako symbol założycieli Rzymu. Razem z nią w klatce umieszczono dwoje niemowląt, przedstawiających Romulusa i Remusa, ale nie ssaly one wilczycy, jak nakazywał scenariusz: jedno wrzeszczało wniebogłosy, drugie leżało bez



ruchu. Widać było, że wilczycę napojono jakimś środkiem odurzającym, żeby nie rzuciła się na dzieci, bo ilekroć próbowała wstać, potykała się i padała. Nie tak to sobie wyobrażali organizatorzy pochodu, ale tłum i tak krzyczał z zachwytu.

Ponownie zabrzmiały fanfary i z za zakrętu rzeki wynurzyła się bardzo dziwna łódź. Spiętrzono na niej mnóstwo kamieni, tak że wyglądały jak góra: na szczycie stał nagi mężczyzna z przypiętymi do ramion olbrzymimi pierzastymi skrzydłami. Tłum natychmiast go rozpoznał.

— Ikar! — krzyczeli. — Ikar!

Mężczyzna — z całą pewnością nie ochotnik, a niewolnik zmuszony do odegrania tej roli — stał na swej wieży, trzęsąc się i bojąc spojrzeć w dół.

— Leć, Ikarze! — wrzeszczał tłum. — Fruń! Fruń!

Niewątpliwie miał skoczyć, kiedy barka zbliży się do cesarskiego podium, ale był zbyt przerażony, by się ruszyć. Dlatego sternik, ukryty za „górami”, wdrapał się na stertę kamieni i popchnął niewolnika od tyłu. Ikar wpadł do wody, ciężkie skrzydła wciągnęły go w głębinę. Tłum wył z zachwytu.

Selena odwróciła wzrok. Ludzie, z którymi siedziała, nie szaleli jak motłoch, skinieniem głowy okazywali uznanie i dalej jedli, rozmawiając między sobą.

Zerknęła przez ramię i zobaczyła, że Andreas patrzy na nią.

Następna barka była pięknym wytworem artystycznej fantazji. Z pokładu wyrastał sztuczny las: drzewa, krzewy, znajdował się tam nawet wodospad. A na środku tego leśnego ustronia stał samotny biały koń, spokojnie skubiąc trawę. Podobnie jak Ikar, miał przyczepione skrzydła, w których odbijał się miedziany blask zachodzącego słońca.

Pegaz przepłynął spokojnie między nagle uciszonym tłumem. Scena ta była tak prosta i nieskalana, że wszyscy umilkli.

Wkrótce jednak znowu podniosła się wrzawa, kiedy zjawiła się kolejna barka, a na niej dwoje pięknych młodych ludzi, jedno na srebrnym, drugie na złotym rydwanie. To była Selena, bogini księżyca, i jej brat Helios — słońce, kierujący olśniewającym rydwanem, na głowie błyskały mu języki ognia. Selena była cała srebrzysta, uosabiała niebiańskie światło księżyca, miała srebrną szatę, a ramiona obsypane srebrnym pyłem.

Znalazłszy się na wysokości cesarskiego podestu, Słońce i Księżyc pokłoniły się Klaudiuszowi. Cały Rzym wiwatował.

— Całkiem oryginalne — odezwała się Kornelia ze Scypionów. — Trzeba to przyznać staremu łajdakowi. To o niebo przewyższa jego normalne igrzyska.

— Klaudiusz kupił sobie lud na jeszcze jeden rok — dodała Marcja Tullia.

Na następnym statku płynął Laokoon, nieszczęsny stary kapłan, który złamał ślub czystości i w ten sposób przyczynił się do upadku Troi. Mityczny Laokoon został uduszony przez dwa olbrzymie węże, ten Laokoon — niewolnik, siedzący na małej tratwie ciągniętej przez łódź — zmagał się z potężnym pytonem, który najwyraźniej zamierzał go zabić.

Okrzyki w dole rzeki oznajmiły widzom przy cesarskim podium, że zbliża się jakiś szczególnie imponujący statek, po chwili zza zakrętu wypłynęła barka, na której rozgrywała się dramatyczna scena.

Dwoje ludzi — aktor i aktorka — stali nieruchomo jak posągi. Dziewczyna była bardzo ładna, jej długie włosy spływały na nagie ciało, stała z uniesionymi rękami i nogą cofniętą za siebie, jakby biegła. Mężczyzna, który ją „gonił”, był również piękny i nagi, trzymał wyciągnięte ramiona, jakby pragnął pochwycić dziewczynę. Tłum oklaskiwał znakomicie pokazaną przemianę dziewczyny w drzewo: z jej palców wyrastały liście, ramiona były pokryte korą, a z włosów wyłaniały się gałązki laurowe. Wszyscy wiedzieli, kto to: Dafne, która zmieniła się w laur, by uciec przed żądzą Apollina.

Selena ponownie spojrzała na Andreasa. Ich oczy się spotkały. Czy on też wspominał ten dzień sprzed wielu lat, w grocie Dafne?

Przeplęły kolejne łodzie i barki, wiozące bogów i boginie, bohaterów i bohaterki mitów, postacie historyczne, każda następna bardziej pomysłowa i fantazyjna od poprzedniej. Można tam było nawet zobaczyć wulkan zionący ogniem czy rydwan pociągnięty w górę przez łabędzie.

Dzień ustąpił miejsca nocy, wzdłuż brzegów zapłonęły tysiące pochodni, odbijając się w wodzie Tybru. Wśród gwaru świętującego tłumu słychać było dźwięki harf i fletni. Rozdawano chleb i kiełbaski, a także bilety na jutrzejsze wyścigi rydwanów. Noc była chłodna, za to atmosfera w tłumie gorąca.

— Klaudiusz! — krzyczeli, gdy pojawiała się kolejna łódź czy tratwa.

Byli pijani, byli szczęśliwi i kochali swego imperatora. Przynajmniej dzisiaj.

Selena raz po raz zerknęła na Andreasa. On też często spoglądał w jej stronę i wtedy przez dłuższą chwilę patrzyli na siebie. Kilka razy jednak widziała, jak gawędzi i śmieje się z Agrypiną, piękną bratanicą Klaudiusza.

W końcu dano znak i tłum umilkł. Nad całą rzeką zawisła cisza, słychać było tylko trzask płonących pochodni i odgłos uderzającej o brzegi wody.

Na zakręcie pojawiła się potężna barka, największa ze wszystkich, jakie do tej pory płynęły. Była pomalowana na złoto, a po jej obu stronach w zgodnym rytmie unosiło się i opadało sto złocistych wiosł. Złote burty migotały i lśniły

w świetle pochodni, a refleksy zamieniły wodę w płynne złoto. Widzowie patrzyli, jak prąd wolno niesie barkę wzdłuż rzeki. Nocny wiatr rozwiewał ich włosy, szarpał togami, tarosił flagi i pióropusze. Nikt się nie ruszał, nikt się nie odzywał.

Barkę podzielono na dwa plany, każdy inny, łączyły się na środku, wzajemnie przenikając. Pierwsza część przedstawiała morze: były tam skały, fale i skaczące delfiny. Z wody wynurzała się ogromna biała muszla, a po jej obu stronach stali dwaj chłopcy, muszla była od nich dwa razy większa. Gdy barka podpłynęła bliżej, widzowie rozpoznali w chłopcach siedmioletniego Brytanika, syna Klaudiusza, i jedenastoletniego Nerona, syna Agrypiny. Na biodrach mieli przepaski, a u ramion — małe skrzydełka.

Drugą połowę barki — jak się po chwili okazało — zmieniono w malowniczy gaj, pełen róż, mirtów, łabędzi, gołębi. Barka płynęła cicho, a kiedy zbliżyła się do cesarskiego podestu, tłum zaczął się niecierpliwie wiercić. Oprócz chłopców nie było na pokładzie nikogo.

Barka nagle się zatrzymała, unieruchomiona przez niewidoczne kotwice, stała w blasku pochodni jak milcząca tajemnica.

Kiedy w tłumie zaczęły się odzywać pomruki i szepty — czyżby coś się zepsuto? — chłopcy odsunęli się od muszli i stanęli na dziobie barki. Tłum znowu umilkł. W chłodnym powietrzu nocy rozległ się nowy dźwięk — był to stłumiony skrzyp, jakby obracały się koła zębate. Wszystkim zapało dech, gdy zobaczyli, że gigantyczna muszla się otwiera.

Jedna część muszli opuszczała się w dół niczym most zwodzony, a gdy odsłoniło się wnętrze, tłum zobaczył, co się w nim kryło. Ludzie szaleli. Dwieście tysięcy gardeł ryczało z zachwytem, kiedy w muszli pojawiła się Wenus, ulubiona bogini Rzymian.

Na falach sztucznego morza stała upozowana piękna młoda kobieta o skórze białej jak poświata księżycy i złotych włosach spływających na nagie piersi. W świetle pochodni widać było pogodny wyraz jej twarzy. Uroda dziewczyny zapierała dech w piersiach.

— To Messalina — odezwali się ludzie. — To cesarzowa!

Zafascynowana Selena wpatrywała się w dwudziestodwuletnią cesarzową. Wiedziała, że Messalina miała czternaście lat, gdy poślubiła Klaudiusza, wówczas czterdziestoosmioletniego, i że pochodziła ze szlacheckich rodów Domicjuszów i Messali. Pogłoski o jej rozwiązłości i okrucieństwie — z tego co wiedziała Selena — były wyłącznie plotkami i wymysłami.

— Wiem z całą pewnością, że to prawda — usłyszała Selena czyjś głos. — Messalina wkłada jasną perukę i co noc idzie do najgorszych portowych burdeli, oddając się za darmo. Powiadają, że jest nienasycona.

Selena patrzyła na piękną cesarzową, o której mówiono, że zabija kochanków, gdy jej się znudzą, która — o czym cały Rzym wiedział — z zazdrości skazała na śmierć kilka arystokratek. Przypomniawszy sobie, że Messalina jest prawnuczką Oktawii, a babka tej ostatniej była siostrą Juliusza Cezara, Selena pomyślała: jesteśmy spokrewnione.

Postawszy majestatycznie w muszli na tyle długo, by wszyscy zdążyli się przyjrzeć „narodzinom” Wenus, Messalina zeszła ze swego piedestału i zaczęła odgrywać pantomimę. Gdzieś pod pokładem muzyk grał na fletni i na tle muzyki rozwijała się opowieść. Na zadrzewionej części barki pojawił się nagle młody mężczyzna, tłum natychmiast go rozpoznał: to był Silius, ponoć najbardziej urodziwy i ambitny mężczyzna w Rzymie — kochanek Messaliny.

Podczas gdy beztroski „Adonis” na swojej części barki udawał, że nie wie, co za chwilę nastąpi, Wenus grała własną rolę, bawiąc się ze swoimi synami: Erosem i Anterosem. Kiedy Eros — Brytanik, syn Messaliny, wyjął mały łuk i strzałę, wszyscy wiedzieli, co się zaraz stanie. To był ulubiony mit mieszkańców Rzymu: jak Eros przypadkowo przeszył pierś Wenus strzałą i jak Wenus spostrzegła Adonisa, nim rana się zagoiła. Wiedziano również, jak skończy się ta historia: Adonis zginie rozszarpany przez odyńca, a z jego rozlanej krwi wyrośnie nowy kwiat, czerwony anemon.

Ale dramatu nie odegrano do końca. Wenus upozowała się wdzięcznie, a Eros wyciągnął łuk i strzałę. Próbując zachować równowagę na kołyszącej się barce, młody Brytanik cofnął się o krok i ku zdumieniu wszystkich, wpadł do wody.

Na chwilę wszystkim odebrało mowę, potem tłum wybuchnął śmiechem. Chłopiec rozpaczliwie machał rękami, a jego skrzydła zabawnie rozłożyły się na wodzie.

Wtedy rozległ się krzyk Messaliny:

— On nie umie pływać!

Kilku mężczyzn natychmiast skoczyło do wody. Zrobiło się zamieszanie, każdy bowiem chciał dostąpić zaszczytu uratowania następcy tronu. Ale przy słabym świetle, wśród płaczących się lin, trwało to dość długo i kiedy wreszcie wyciągnięto chłopca na brzeg, był nieprzytomny i nie oddychał.

— Zróbcie coś! — krzyczała Messalina.

Mężczyźni podnieśli chłopca za nogi i zaczęli nim kołysać.

Andreas zerwał się z krzesła i zeskokczył z podestu. Gdy przebiegał obok, Selena widziała, jak niebezpiecznie blisko ziemi kołysze się głowa Brytanika. Ze swego miejsca wcześniej dostrzegła też coś, czego nie zauważył nikt inny: to Neron zepchnął z pokładu Brytanika.

Andreas dotarł na brzeg i odebrał Brytanika mężczyznom. Położywszy go na plecach, zaczął rytmicznie poruszać bezwładnymi ramionami chłopca.

Rzymianie patrzyli na to w głuchym milczeniu. Drżąca Messalina stała w ramionach Siliusa. Klaudiusz, który został na podeście, robił wrażenie całkiem oszołomionego. Wszyscy widzieli, jak woda wylewa się z ust Brytanika, ale chłopiec nadal nie oddychał.

— Nie żyje! — wyszeptała z niedowierzaniem Paulina.

Selena zerwała się i podbiegła do nieprzytomnego. Nie mówiąc ani słowa do Andreeasa, przyklękła przy Brytaniku, ujęła jego głowę w ręce i zaczęła mu wdmuchiwać powietrze do ust.

Andreas odsunął się, zaskoczony. Wszyscy spoglądali ze zdumieniem. Selena przez chwilę wdmuchiwała chłopcu powietrze do płuc, potem przerywała i patrzyła na jego pierś, która jednak nadal nie unosiła się ani nie opadała. Selena pochyliła się nad Brytanikiem i przycisnęła ucho do jego klatki piersiowej, usłyszała słabe bicie serca. Ponownie zaczęła rytmicznie wdmuchiwać powietrze do ust chłopca, przerywając od czasu do czasu, by sprawdzić, czy jeszcze sam nie oddycha. Noc zdawała się ciągnąć w nieskończoność, minuty wydawały się godzinami.

Selenę zaczynała ogarniać rozpacz. Kiedy jednak ponownie przyłożyła ucho do serca Brytanika, usłyszała szybkie urywane bicie, takie jak tętno jej własnego serca. Czuła na sobie tysiące oczu i wzrok obserwującego ją Andreeasa.

Żyj! — krzyczała w myślach, wdmuchując chłopcu powietrze do ust. — Musisz żyć!

I wtedy zobaczyła płomień, przyszedł sam, nie wzywała go. Jej płomień duszy, wynurzający się nagle z samej głębi jej jestestwa, palący się tak jasno jak pochodnie wokół niej. Zobaczywszy go, poczuła jego ciepło, jego siłę. Sięgnęła w głąb siebie i skierowała płomień do płuc, potem do ust. Oczy miała zamknięte, ciało odprężone. Otoczyła ustami wargi Brytanika, jakby go całowała, i tchnęła swój płomień duszy do jego ciała.

Ożyj — szeptał jej umysł. — Pochłoń mnie i oddychaj nowym życiem.

Kiedy pod zamkniętymi powiekami zobaczyła, jak płomień się wydłuża i przez jej usta przepływa do ust chłopca, łącząc się z mniejszym, słabszym ognikiem, wiedziała, że Brytanik będzie żył.

W końcu, gdy tłum zaczął się niecierpliwie wiercić, a Andreas położył jej rękę na ramieniu, Selena się wyprostowała. Brytanik zakaszał.

Rozległy się grzmiące okrzyki, gdy chłopca odniesiono, a Selenę poprowadzono przed oblicze cesarza.

Klaudiusz długo musiał trzymać rękę w górze, nim tłum się wreszcie uciszył. W końcu przemówił drżącym głosem:

— Ocaliłaś życie mojemu synowi i dziedzicowi Rzymu. Teraz, stojąc tak blisko cesarza, Selena zauważyła na twarzy władcy bruzdy, jakie pozostawił czas i choroba. Był zaledwie o kilka lat starszy od Andreasa, a wyglądał na stuletniego starca. Poza tym był wyraźnie wstrząśnięty.

— Jak się nazywasz? — spytał.

— Selena, mój władco. Kąciki ust Klaudiusza drgnęły.

— Nie nazywaj mnie władcą — powiedział cicho. — To za bardzo pachnie monarchią. Wystarczy, że będziesz mnie nazywać cezarem. — Głośniej dodał: — Dzisiejszego wieczoru dokonałaś cudu. To znak od bogów.

Tłum zaczął wiwatować.

Klaudiusz poczekał, aż tumult się uspokoi, i oznajmił:

— Nie ma dość wielkiej nagrody za twój czyn.

Selena usłyszała w jego głosie drzenie, zobaczyła łzy w jego oczach. Niewiele brakowało, a Klaudiusz straciłby swego jedyne go syna.

— Powiedz, czego żadasz? Przekonasz się, jak Rzym potrafi się odwdzięczać swoim bohaterom.

— Dziękuję, cesarze — odparła Selena. — Nie proszę o nic dla siebie, ale proszę, by boski cesarz zechciał wziąć pod swoją szczególną opiekę wyspę na Tybrze.

— O co ci chodzi? Wyspę? Dlaczego?

Opisała panujące tam warunki, przepracowanych kapłanów i braci, tłumy porzuconych niewolników.

— Skąd o tym wszystkim wiesz? — spytał cesarz, gdy skończyła.

— Bo tam pracuję, cesarze. Leczę.

Selena spojrzała na Andreasa, który stał za władcą i uśmiechał się do niej.

— Leczysz! — powtórzył Klaudiusz. — To dlatego zdołałaś przywrócić mego syna do życia. Twojemu życzeniu stanie się zadość, Seleno. Wyspa znajdzie się pod szczególną opieką cesarza. Moi urzędnicy zjawią się tam jutro i zobaczą, co należałoby zrobić. Kto jak kto, ale ja, jak sama widzisz, nie mogę sobie pozwolić na obrażanie boga lekarzy.

Selena uśmiechnęła się do niego.

— Dzięki ci, cesarze.

— Selena, powiadasz? To twoje całe imię? Z jakiego rodu pochodzisz?  
Zawahala się.

— Moje pełne imię brzmi: Kleopatra Selena. — Kleopatra Selena! Jak to?

— Otrzymałam imię po mojej babce, ostatniej królowej Egiptu.

Zebrani przed nią na podeście członkowie cesarskiej rodziny i najwyżsi dygnitarze Imperium wpatrywali się w Selenę ze zdumieniem. Z tyłu patrzyły na nią z oczekiwaniem setki twarzy z nabrzeży, balkonów, z dachów. W ciszy słyhać było tylko łopotanie proporców i syk pochodni.

— Nie sądziłem, że pozostał po niej jakiś potomek — odezwał się Klaudiusz. — A z jakiego rodu pochodził twój dziad?

Selena zsunęła przez głowę naszyjnik, zdjęła złoty pierścień i podała go Klaudiuszowi. Przysunął go do oczu i przyjrzał się z bliska.

— Hm...? Ten pierścień należał do boskiego Juliusza. Albo jest bardzo podobny. — Spojrzał na Selenę. — Co to znaczy?

— Moim dziadkiem był Juliusz Cezar.

Niczym kamień rzucony w wodę i pozostawiający po sobie coraz szersze kręgi, tak i te zdumiewające, powtarzane szeptem słowa niosły się przez tłum, od tych, którzy stali najbliżej i je dosłyszeli, aż do znajdujących się daleko w dole rzeki.

— Mówię prawdę, cesarze — odezwała się głośno Selena. — Moim ojcem był Cezarion, syn Kleopatry i Juliusza Cezara. Nie zabito go z rozkazu boga Augusta, ale ocalono i ukryto. Zamiast niego został zabity niewolnik. W roku śmierci Augusta Tyberiusz wysłał żołnierzy, by zabili Cezariona, uciekł on wraz z żoną z Aleksandrii do Palmiry, gdzie przyszłam na świat.

Klaudiusz przez chwilę patrzył na nią z uwagą, po czym zaczął powoli mówić:

— Mój wuj, Tyberiusz, miał wielu wrogów. Nie był pewny tronu. Wiem, że twierdził, jakoby słyshał o istnieniu Cezariona, jedyne go żyjącego potomka Juliusza Cezara, wiem też, iż obawiając się konkurenta do tronu, wysłał żołnierzy, by go zabili. Nigdy jednak nie dostarczono żadnego dowodu, że zabity mężczyzna był Cezarionem.

— Oto ten dowód, cesarze. — Selena wskazała pierścień. — Mój ojciec dał go przed śmiercią położnej, która mnie odebrała, i powiedział, że to moje dziedzictwo.

Klaudiusz przyglądał się jej z powątpiewaniem.

— Kiedy to było? W jakim miesiącu?

— To było w sierpniu, pierwszego roku panowania Tyberiusza.

Klaudiusz skinął głową. Był historykiem i badaczem, w głowie miał wszystkie daty i wydarzenia.

— Czas się zgadza, tak jak mówiłaś. Ale mogłaś podrobić ten pierścień.

— Mogłam, ale nie uczyniłam tego.

— To jeszcze nie dowód. Masz jakiś inny? Umilkła.

— Nie, cesarze.

— Czy ktoś może potwierdzić twoje słowa?

— Ja, cesarze.

Wszystkie głowy obróciły się ku Andreasowi, który wystąpił naprzód.

— Mówi prawdę. Byłem w Aleksandrii, kiedy Selena dowiedziała się o swym pochodzeniu — powiedział. — To było zaledwie rok temu. Przedtem nie wiedziała nawet, kim byli jej rodzice.

— A jaki dowód znajduje się w Aleksandrii? — zapytał Klaudiusz.

— Jej podobieństwo do królowej Kleopatry. Jest uderzające.

Klaudiusz bacznie przyjrzał się Selenie, tymczasem daleko wśród tłumu narastał jakiś hałas. Początkowo przypominał ciche mruczenie, lecz stawał się coraz głośniejszy, wzbijając się ku niebu, unosząc na fali wymachujących ramion, aż wreszcie krzyk ten dotarł do cesarskiego podium. Tłum, z uniesionymi w górę pięściami, skandował rytmicznie:

— Ju-liusz Ce-zar! Ju-liusz Ce-zar!

Selena odwróciła się i zdumionym wzrokiem ogarnęła tłum. Wzdłuż rzeki, w świetle pochodni i ognisk, tysiące Rzymian wznosiło ręce i wołało:

— Ju-liusz Ce-zar!

— Wygląda na to — oświadczył sucho Klaudiusz — że Rzym wierzy twoim słowom.

Z zaciśniętymi wargami przyglądał się falującemu tłumowi. Nie wierzył w opowieść Seleny, ale motłoch najwyraźniej był innego zdania. Widząc, że ludzie są skłonni wielbić Selene, Klaudiusz natychmiast dostrzegł, jakie korzyści przyniesie pojawienie się nowej bohaterki. Jeśli ją obejmie, będzie to kolejny krok na drodze do zapewnienia sobie poparcia ze strony ludu. Dlatego cesarz położył dłoń na ramieniu Seleny, odwrócił ją twarzą do tłumu i zawołał donośnym czystym głosem:

— Zobaczmy, jak Rzym wita wnuczkę Juliusza Cezara! A jej do ucha szepnął:

— Będiesz siedziała przy mnie do końca uroczystości. Po zakończeniu obchodów przyjdź do pałacu. Tylko ty możesz tknąć mojego syna.

\* \* \*



Brytanik szybko wrócił do siebie, mimo iż otarł się o śmierć, a po kąpieli i gorącej kolacji posłusznie udał się do łóżka. W komnacie powoli pustoszało, najpierw wyszli Klaudiusz i Messalina, potem Agrypina ze swoim nadętym synem, cesarscy lekarze, dworacy i niewolnicy, w końcu została tylko Selena, chłopiec i Andreas, który stał z założonymi rękami, opierając się o kolumnę.

Była już ciemna noc, sypialnię rozjaśniało łagodne światło lamp, wiszących pod sufitem. Selena siadła przy łóżku, wpatrując się w twarz śpiącego chłopca.

— Skąd wiedziałaś, jak to zrobić? — spytał Andreas, gdy w korytarzu ucichły już ostatnie kroki. — Nigdy przedtem czegoś takiego nie widziałem.

— Nauczyłam się tego w Persji — odparła, dotykając czoła Brytanika. — Jeśli chodzi o wiedzę medyczną, Hindusi znacznie nas przewyższają pod pewnymi względami.

— Ludzie nazywają cię boginią.

— Ludzie potrzebują kogoś, kogo mogliby wielbić. Jutro znajdą kogoś innego.

Andreas oderwał się od kolumny i zaczął krążyć po wytwornej komnacie.

— Byłem mile zaskoczony, widząc cię dziś na uroczystościach — powiedział. — Myślałem, że się z tobą rozminąłem.

— Rozminąłeś? — powtórzyła, odwracając się do niego. — Co masz na myśli?

— Dziś po południu byłem u Pauliny, ale ciebie tam nie znalazłem.

Selena wpatrywała się w niego, oczarowana jego magnetyczną siłą.

— Kochasz Paulinę? — usłyszała swój głos. Uniósł brwi.

— Tak, kocham ją. Ale jako przyjaciel.

— Przyjechałeś do Rzymu dziś rano i od razu udałeś się do jej domu.

— By spotkać ciebie. Popatrzyła na niego zdumiona.

— Nie wierzę.

— Po powrocie spytaj służącego, który stał w bramie. Kiedy mój statek dobił do portu, myślałem tylko o jednym: żeby cię zobaczyć.

— Dlaczego do mnie nie napisałeś?

— Próbowałem — odparł cicho. — Wiele razy. Selena mocno zacisnęła dłoń.

— Dlaczego pojechałeś do Hiszpanii, zamiast wracać prosto do Rzymu?

— Klaudiusz mnie posiał. Chciał zbadać pewną sprawę, a tylko mnie ufał. Nie miałem wyboru.

Selena czuła, że w powietrzu narasta jakieś napięcie. To emanowało z Andreasa. Emanowało z niej.

Daj pokój — mówił rozum. — Jesteście już sobie obcy. Zbyt wiele się wydarzyło. Nie otwieraj starych ran. To boli.

Ale nie mogła nic poradzić. Jego ciemnoniebieskie oczy były tak zniewalające. Przeszłość zbyt mocno rządziła terażniejszością.

— Andreasie — odezwała się cicho. — Chcę cię o coś zapytać. Pewnie nie powinnam. Lepiej dać temu pokój i zapomnieć. Po tylu latach...

Przysunął się bliżej.

— O co chodzi? — Czy ty... Spojrzała na swoje splecione palce. Jeśli powie, że nie, jeśli powie, że nie...

— Czy ty w ogóle pojechałeś do Palmiry, Andreasie? Wyglądał na zaskoczonego.

— Do Palmiry?

Selena żałowała, że zapytała. Bezpieczniej było nie znać prawdy.

— Po co miałbym jechać do Palmiry? Selena znowu dotknęła czoła Brytanika.

— Owszem, wyjechałem z Antiochii — ciągnął Andreas. — Żeby cię odszukać. Ale nie w Palmirze. Pojechałem do Tyru.

Selena obejrzała się gwałtownie.

— Po co miałbym jechać do Palmiry? — powtórzył. Podniosła się i spojrzała mu w oczy.

— Zostawiłam dla ciebie w domu wiadomość. Nie dostałeś jej?

— Owszem, dostałem. Ale jaki to ma związek z Palmirą?

— Tabliczka — powiedziała. — Napisałam wszystko na tabliczce.

Andreas zmarszczył brwi.

— Jaka tabliczka? Dziewczyna, która odebrała wiadomość, powiedziała, że jedziesz do Tyru.

— Do Tym?!

— Zeby wyjść za mąż.

Selena wyglądała jak rażona gromem.

— Za mąż! A ty... uwierzyłeś?

— Taką wiadomość mi zostawiłaś!

— To nieprawda! Powiedziałam dziewczynie, by ci przekazała, że matka zabiera mnie do Palmiry. Chciałam, żebyś po mnie przyjechał. Napisałam ci to wszystko na tabliczce.

— Nie dostałem żadnej tabliczki. Dziewczyna powiedziała, że mówiłaś jej o zamiarze poślubienia kogoś innego.

— Andreasie! To było kłamstwo!

— Czemu miałyby kłamać?

— Musiała być w tobie zakochana.

Andreas próbował sobie przypomnieć dziewczynę, która się nim zajęła w porcie, tę dziewczynę o smutnych oczach, krążącą po domu niczym widmo. Umarła jeszcze tamtego lata, na chorobę szpiku kostnego — skutek lat nędzy, cierpienia i niedożywienia. Malachus ją kochał, przypominał sobie teraz Andreas.

Wyciągnął rękę i dotknął ramienia Seleny.

— Twierdzisz, że to kłamstwo, a jednak wyszłaś za mąż!

— Nie, nigdy.

— A twoja córka?

— Ja i jej ojciec nigdy nie byliśmy małżeństwem! To był ktoś, kogo poznałam dużo później, nim opuściłam Antiochię, on...

Andreas nagle zamknął jej usta pocałunkiem. Objął ramionami jego szyję. Schował twarz w jej włosach i szeptał:

— Szukałem cię. Pojechałem do Tyru, do Cezarei. Żyłem tylko myślą, by cię odnaleźć, Seleno. Ból, że odeszłaś ode mnie, był niczym w porównaniu z cierpieniem na myśl, że cię nie ma. Pomyślałem, że jeśli cię odnajdę, będę o ciebie walczył, że z powrotem cię zdobędę. Nie miałem pojęcia, gdzie zniknęłaś.

— Przez te wszystkie straszliwe miesiące w pałacu Lashy — szlochała, całując jego oczy. — I na pustyni, uciekając, ukrywając się, płynąc rzeką. I w Persji... Zawsze miałam przed oczami twoją twarz. Modliłam się, byś mnie kiedyś odnalazł.

— W końcu cię znalazłem i już nie pozwolę ci odejść. Nigdy nikogo nie kochałem tak, jak ciebie, Seleno. Nauczyłaś mnie znowu marzyć. Przywróciłaś mi nadzieję, wiarę i szacunek do siebie samego. Ale gdy zniknęłaś, marzenia i nadzieja umarły. Wróciłem na morze...

— Możemy znowu marzyć, Andreasie! Razem! Możemy zacząć od tego miejsca, w którym los nas rozłączył, w grocie. Napiszesz swoje księgi, będziesz uczył, a ja...

Znowu się całowali i trzymali w ramionach, by ukoić ból tych bezpowrotnie utraconych lat. Potem Andreas zaprowadził Selenę do swoich pokoi w pałacu.

# KSIEGA ÓSMA

Rzym

## ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Oto on: Domus Julia. Dom Juliuszów — sanktuarium dla chorych.

Cesarzowa Agrypina uchyliła zasłonę swej lektyki na tyle, by widzieć, samej nie będąc widzianą. Zatrzymała się na lewym brzegu Tybru, by przyrzeć się, jak postępują prace na wyspie, gdzie stawiano Domus Julia. Myślała teraz:

Ta kobieta miała czelność nadać temu swojemu wymysłowi imię najstarszego, najgodniejszego rodu rzymskiego i ten idiota, Klaudiusz, na to przystał.

Agrypina mocniej ścisnęła zasłonę. Wiedziała, do czego Julia Selena zmierza, przyjęła to imię, gdyż odpowiadało jej ambicjom. Julią Selena nazwał ją lud Rzymu pięć i pół roku temu, podczas święta nad brzegami Tybru. Jakąż pokorną odgrywała Julia Selena, ocaliwszy życie Brytanikowi! Jak skromnie przyjmowała hołdy motłochu! Ale Agrypina знаła prawdę. Wiedziała, że Julia Selena postawiła sobie równie ambitny cel co ona: decydowanie o tym, kto obejmie tron Imperium Rzymskiego.

Od ponad czterech lat Agrypina była żoną Klaudiusza. Po egzekucji Messaliny skazanej za bigamię wkrótce po uroczystościach nad rzeką, Agrypina dążyła tylko do jednego: by stać się matką cesarza. Ta zżerająca ją obsesja sprawiła, że poślubiła własnego stryja, została ogłoszona jego małżonką. Potem udało jej się namówić Klaudiusza, by oficjalnie zaadoptował jej syna, Nerona, dzięki czemu chłopak, starszy od Brytanika, stał się bezpośrednim następcą cesarza. Każdy, kto mógłby stanowić choć minimalne zagrożenie dla planów Agrypiny, był usuwany z drogi. Postanowiła dopilnować, by jej syn stał się jedynym legalnym potomkiem dynastii julijsko-klaudyjskiej, by po śmierci Klaudiusza nie było innych kandydatów, a lud musiał wybrać Nerona.

Teraz zaś wyglądało, że pojawiła się nowa przeszkoda!

Agrypina przyglądała się pracom na wyspie jak kot wodzący wzrokiem za myszą. Ekipy robotników i kamieniarzy, kreślarze, rzemieślnicy i architekci, wszyscy oni kręcili się po zbudowanym do połowy Domu Juliuszów niczym

pszczoły w ulu. Bezmyślne robotnice — pomyślała Agrypina — usługujące swej królowej. A gdzież to się podziewa „jej wysokość” dziś rano?

Agrypina szerzej uchyliła zasłonkę i rozejrzała się po wyspie.

Na jej południowym krańcu stała starożytna skromna świątynia Eskulapa. Otaczały ją ogrody i małe budynki: składziki i wędzarnie, które Selena przerobiła na zastępcze izby dla chorych. Nad wyspą zaś dominowała sylwetka częściowo już wzniesionego Domu, strzeliste granitowe kolumny i marmurowe arkady stanowiły zapowiedź przyszłej wspaniałości i splendoru, jakim Domus Julia zaćmi największe budowle Rzymu — teatr Marcellusa, świątynię Agrypy — i stanie się najpiękniejszym, najszlachetniejszym gmachem w Imperium Rzymskim.

Dom dla chorych!

Agrypina dała znak tragarzom, by przybliżyli się do brzegu rzeki. Miała nadzieję, że zauważy Julię Selenę i na własne oczy przekona się, czy jej informatorzy powiedzieli prawdę.

Z tego dogodnego punktu cesarzowa widziała ogrodowe ścieżki, suche fontanny i krzewy, pogrążone w zimowym śnie. Wkrótce wyspa przebudzi się do życia i będzie wyglądała niczym rzucony na starą szarą rzekę wieniec z boskiego czoła, rozjaśniając Rzym kwiatami i zielenią. To wszystko przez Julię Selenę. Odkąd Agrypina sięgała pamięcią, wyspa na Tybrze tylko raziała wzrok. W ciągu tych pięciu i pół roku Julii Selenie udało się ją zmienić w prawdziwy raj.

Stało się to dzięki dekretowi Klaudiusza, wydanemu po tamtych uroczystościach nad rzeką, w którym ogłaszał, że każdy porzucony na wyspie niewolnik, jeśli zostanie wyleczony, stanie się wolnym człowiekiem.

Na skutki nie trzeba było długo czekać, tak jak było do przewidzenia — nikt nie odważył się obrazić cesarza i jego najnowszego projektu. Ludzie nagle zaczęli poważać starą wyspę. Liczni właściciele niewolników dostrzegli, jakie straty ponoszą porzucając niewolników na wyspie, gdy ci potem wracają do zdrowia i stają się wyzwolencami.

Niemal z dnia na dzień skończyło się masowe porzucanie niewolników na wyspie. A gdy bracia Eskulapa zajęli się tymi, którzy trafili tam wcześniej, wyleczyli ich i wypuścili jako wolnych ludzi, zrobiło się luźniej. Wkrótce nie było już widać chorych leżących na ziemi, opustoszały przybudówki i wyspa zaczęła się odradzać. Napływały pieniądze od bogatych dobroczyńców, pragnących się przypodobać cesarzowi. Naprawiono ściany i dachy, posadzono rośliny, założono fontanny. Znow zaczęli się pojawiać pielgrzymi,

a wraz z nimi lekarze z miasta. Wszyscy stwierdzali, że bóg wrócił na wyspę i że to wnuczka boskiego Juliusza sprowadziła go tu z powrotem.

Rzymianie byli pobożni i przesądni, szanowali prastare obyczaje, lękali się bogów i okazywali cześć swoim przodkom. Wszystko to przyczyniło się do nadzwyczajnej popularności Julii Seleny. Zawsze skorzy do kreowania bohaterów, Rzymianie postawili Julię Selenę na najwyższym piedestale nie tylko ze względu na jej pochodzenie — które podobnie jak niegdyś Juliusza Cezara, wywodziło ją bezpośrednio od Wenus — ale także ze względu na jej skandaliczne „dobre uczynki”.

Agrypina tak mocno szarpnęła zasłonkę, że omal jej nie rozdarła.

Dlaczego ludzie nie poznali się na oszustwie Julii Seleny? Schronienie dla chorych, rzeczywiście! Gdzież by mogli siedzieć tyle, ile trzeba, i gdzież by opiekowali się nimi wyszkoleni pielęgniarze? Na całym świecie nie masz takiego miejsca! Agrypina wiedziała, że to oszustwo, ta święta wyspa i budzący obrzydzenie Domus, wznoszący się do chmur, to chwyt, za pomocą którego Julia Selena chce sobie kupić serca ludzi.

Po to, żeby jej syn, a nie mój został następnym cesarzem...

W końcu ją zobaczyła. Ubrana jak zwykle w swą białą, płócienną stolę, z osłoniętą głową, wyszła z jednego z kamiennych małych budynekczków, niosąc znaną hebanową skrzynkę na ramieniu, i ruszyła ścieżką w stronę budowy na północnej części wyspy. Tuż za nią dreptał jej „cień”, wiecznie przy niej obecny półgłówek imieniem Pindar, który pewnego dnia zjawił się na wyspie i odtąd nieustannie towarzyszył Julii Selenie.

Agrypina zmrużyła oczy. Przyglądała się Julii Selenie zbliżającej się do Domu, zobaczyła, jak wszyscy przerywają pracę i wołają do niej — z wysokich murów, z głębi budynku. Kapryśny marcowy wiatr, wiejący z zachodu, nagle zmienił kierunek i powiał od północy. Trwało to tylko chwilę, ale wystarczyło, by palla Julii Seleny rozwiała się, odsłaniając zaokrągloną od niedawna figurę.

Agrypina puściła zasłonkę. Zobaczyła to, co chciała zobaczyć. Jej informatorzy mówili prawdę. Julia Selena jest brzemienna.

Gdy tragarze na rozkaz cesarzowej ruszyli znad rzeki, umysł Agrypiny zaczął intensywnie pracować. Przez te pięć i pół roku Julia Selena nie stanowiła dla niej zagrożenia, teraz jednak stała się niebezpieczna i Agrypina będzie musiała przejść do czynów.

Ani dziecko Julii Seleny, ani Dom Juliuszów nie mogą przetrwać.

## ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY

Ilekcroć Ulryka odwiedzała Paulinę, powtarzała sobie, że nie szuka Eryka.

A gdy już się natknęli na siebie i ich oczy się spotykały, nie zwracała uwagi na gwałtowne bicie serca. Ulryka mogła przyznawać, że siedem lat temu, jako dwunastolatka, żywiła względem niego siostrzane uczucia, ale przecież teraz nie jest w nim zakochana. To było nie do pomyślenia.

Ulryka często zaglądała do Pauliny, zwłaszcza że mieszkała niedaleko, również na Eskwilinie, razem z matką i swym ojczymem Andreasem. Przychodziła, bo bardzo lubiła małego Waleriusza. Uczyła go, bawiła się z nim. Byli sobie nawzajem potrzebni. Tego popołudnia Paulina wydawała wielkie przyjęcie i Ulryka właśnie szukała chłopczyka.

Znalazła go w perystylu, gdzie czekał na pierwszych gości. Ulryka zakradła się od tyłu, złapała go i podniosła wysoko do góry. Waleriusz pisał i machał nogami.

— Ufff, braciszku — powiedziała Ulryka, stawiając go na ziemi. — Robisz się za ciężki na takie zabawy. Masz już sześć lat, jesteś prawie dorosły.

Kiedy chciała się wyprostować, Waleriusz objął ją mocno za szyję i nie puszczał.

— Nie zostawiaj mnie, Rikki — poprosił.

Uklękła przy nim, odgarnęła mu włosy z czoła. Waleriusz miał słodką buzię o pulchnych policzkach i zmartwionej minie.

Dlaczego zawsze jest taki wystraszony? — zastanawiała się w duchu Ulryka.

Paulina była dobrą matką, ale miała wiele zajęć i nie zawsze dostrzegała potrzeby chłopczyka. Ulryka je znała. Sama spędziła dzieciństwo, płacząc się pod nogami dorosłych.

— Nie chcesz, żebym poszła na przyjęcie? — spytała.

— Och, nie chodzi o przyjęcie. Ja tylko nie chcę, żebyś wyszła za Druzusa.

Ulryka spochmurniała. W takich chwilach można by ich wziąć za rodzeństwo: na poważnych twarzach obojga pojawiły się dokładnie takie same zmarszczki. Ale Ulryka szybko uśmiechnęła się i zapewniła:

— Nieważne za kogo wyjdę, braciszku. Zawsze będziesz mógł mnie odwiedzać.

— Ale nie będę z tobą mieszkać.

— Ale przecież i teraz ze mną nie mieszkasz. Waleriusz wydał wargi. To było co innego. Rikki mieszkała tuż obok i odwiedzała go prawie codziennie.

Czuł, że gdyby wyszła za męża, wszystko by się zmieniło, choć nie był pewien jak.

— Będiesz miała swojego własnego chłopczyka i o mnie zapomnisz.

— Och, braciszku! — Wzięła go w ramiona i mocno przytuliła. — Jakie ponure myśli krążą ci po główce!

Ale nie zaprzeczyła. Niezależnie od tego, kogo ostatecznie poślubi, wyprowadzi się i pewnie będzie miała dzieci. Nagle ogarnęła ją złość na Paulinę. Nie powinna mówić takich rzeczy przy chłopcu. Ulryka w ogóle nie myślała o małżeństwie z Druzusem. To, podobnie jak absurdalne przypuszczenie, że zakochała się w Eryku, było nie do pomyślenia.

Prowadząc chłopca z ogrodu do dziecinnego pokoju, myślała o Druzusie.

Druzus był bardzo przystojnym, bogatym synem rycerza i pragnął zostać senatorem. W przeciwieństwie do innych starających się o Ulrykę, był jeszcze młody, miał zaledwie dwadzieścia trzy lata. Mimo to, podobnie jak innym poważnym kandydatom na męża, Druzusowi nie przeszkadzało, że Ulryka skończyła już dziewiętnaście lat i wedle zwyczaju od dawna powinna być mężatką. Nie zwracali uwagi na jej wiek, małżeństwo z nią wiązało się bowiem z innymi korzyściami: Ulryka była piękna, posażna i po matce miała znakomitych przodków. Stanowiła właściwie jedną z najlepszych partii w Rzymie.

Jak ma jednak wyjaśnić matce i Paulinie, że nie jest gotowa do małżeństwa, że rozsadza ją nieopisana energia i niepokój, jakiego nie potrafiła nazwać. W dniu dwunastych urodzin, tam w Aleksandrii, zapłonął w jej duszy dziwny żar, który palił się w jakimś celu.

Ale co to za cel? — pytała się w duchu, oddając Waleriusza pod opiekę niańki.

Ulryka czuła w sobie powołanie, lecz nie wiedziała, do czego. Została zrodzona do działania, ale jeszcze nie usłyszała sygnału. Uwielbiała pracę na wyspie, dzieliła zainteresowanie matki medycyną i leczeniem. A mimo to w Rzymie dusiła się tak samo, jak kiedyś w Aleksandrii, Rzym też był zbyt ciasny, by pomieścić jej nienazwane dążenie. A do czego dążyła? Może do tego, by pójść w ślady matki i podróżować po świecie ze skrzynką pełną leków?

Być może pewnego dnia objawi mi się to — myślała Ulryka, zachęcając Waleriusza do zjedzenia posiłku. — Tak jak kiedyś objawiło się mamie. I może nastąpi to już niedługo...



Słyszając, że pierwsi goście zbierają się na dole, podniosła wzrok na okno, za którym widać było sad rosnący na wzgórzu. Świeciło kwietniowe słońce i Ulryka poczuła w sercu ból.

Myślała o Eryku.

Przypominała sobie te pierwsze dni, kiedy zamieszkała jako gość w domu Pauliny, jak wymykali się z Erykiem do sadu, by się tam uczyć nawzajem swoich języków. Oboje byli wtedy onieśmieleni i niepewni siebie, Ulryka — nie oswojona jeszcze z Rzymem, Eryk — z niewolą. Pod drzewami pomarańczy i cytryn cicho powtarzali za sobą greckie i germańskie słowa. Ulryka patykiem rysowała na piasku litery, ucząc Eryka czytać wyrazy w jego języku. Potem zapanowała między nimi przyjacielska swoboda, kiedy lekcje im się znudziły, bawili się w sadzie: Eryk przekomarzał się z nią i ciągnął ją za warkocze, Ulryka żartowała z jego łamiącego się z powodu mutacji głosu i z meszku rosnącego nad górną wargą. Ganiłi się i obrzucali zgniłymi owocami. To były szczęśliwe dni bez problemów.

Aż do tamtego lata, gdy skończyła piętnaście, a Eryk siedemnaście lat. Grali w fanty. Ulryka porwała sandał Eryka, a on gonił ją między drzewami. Złapał ją, szamotali się ze śmiechem. Ulryka potknęła się i upadła na plecy. Chwilę się zmagali i wtedy Eryk impulsywnie dotknął jej ust swoimi wargami. Zaskoczona Ulryka odepchnęła go. Powiedziała, że zachowuje się obrzydliwie i nazwała go barbarzyńcą.

Eryk się obraził. Nie chciał z nią rozmawiać po germańsku, nazwał ją dzieckiem i powiedział, żeby go zostawiła w spokoju.

Przez następne tygodnie Ulryka czuła się nieszczęśliwa. Nie rozumiała swoich uczuć, nie wiedziała, dlaczego zareagowała w ten sposób i powiedziała takie okrutne słowa. Zaczęły ją nękać dziwne, niepokojące sny o miłości cielesnej, a ilekroć przychodziła do Pauliny, rozglądała się za Erykiem.

No i w końcu nadeszła ta okropna noc jej siedemnastych urodzin przed dwoma laty.

— Rikki — odezwał się Waleriusz, ciągnąc ją za suknię. Uporał się już z jajkami i chlebem.

Uśmiechnęła się do jego poważnej buzi.

— Obiecuj, że będziesz grzeczny, braciszku — powiedziała. — Słuchaj niani, połóż się teraz i zdrzemnij, to później przyniosę ci coś dobrego.

Schodząc na dół, do gości Pauliny, Ulryka powtarzała sobie, że jej niepokój to skutek niespokojnego dzieciństwa. Lata podróży, poznawania nowych miejsc, mieszkania w namiotach i w gospodach, brak

miejsca, jakie mogłaby nazwać swoim domem, z pewnością zostawiły na niej piętno. To wtedy w jej serce padło owo ziarno, które wykiełkowało i było przyczyną tego, że nie wiedziała, co z nią będzie dalej.

Przez otwartą bramę Ulryka dojrzała na ulicy trzy zatrzymujące się konie. A potem zobaczyła, że przytrzymuje je Eryk — w cienkiej tunice, z włosami złościście lśniącymi w słońcu.

To tu, u Pauliny odbyło się przed dwoma laty urodzinowe przyjęcie Ulryki. Byli goście, kuglarze, mimowie, upominki. Ulryka cały dzień ukradkiem rozglądała się za Erykiem w nadziei, że się zjawi. Ale się nie pokazał i Ulryka pomyślała: obraził się. To do niego podobne. I wtedy wmówiła sobie, że właściwie to w ogóle nie chciała go widzieć, że z pewnością przyniosłby jej tylko wstyd swym zachowaniem.

W nocy jakieś hałasy w ogrodzie postawiły cały dom na nogi. Łukasz, nadzorca niewolników, ciągnął Eryka. Na plecach chłopca widać było świeże ślady bata, twarz miał posiniaczoną, ręce skute. Łukasz wyjaśnił Paulinie, że chłopca złapano w górach, gdy uciekał konno w stronę wybrzeża.

Próba ucieczki stanowiła poważne przestępstwo, niewolnik bowiem, oddalając się z domu pana, kradł jego własność. A ponieważ Eryk zabrał również konia ze stajni, dopuścił się podwójnego przestępstwa. Łukasz radził, by dla przykładu ukarać go śmiercią.

Wtedy wtrąciła się Ulryka. Błagała Paulinę, by okazała miłosierdzie. Paulina wahała się. W społeczeństwie, gdzie niewolników było więcej niż wolnych, panowie musieli ich trzymać twardą ręką. W ludzkiej pamięci na zawsze pozostało krwawe powstanie Spartakusa sprzed wielu lat. Ponieważ Ulryka tak rozpaczliwie błagała i były to właśnie jej urodziny, Paulina w końcu ustąpiła, z zastrzeżeniem, że następny występki zostanie bezwzględnie ukarany.

Kiedy wszyscy już się położyli, a Eryka uwolniono z łańcuchów, Ulryka podeszła do niego z uśmiechem, spodziewając się podziękowań. Ale on tylko zmierzył ją wściekłym spojrzeniem, zły, że się wtrącała, i oddalił się.

Od tamtej pory rzadko rozmawiali. W czasie przypadkowych spotkań Ulryka traktowała go z chłodną obojętnością, a w błękitnych oczach Eryka płonęła uraza.

Gdzież jemu do mnie — upominała się teraz w duchu, czując, że jej zdradzieckie ciało tęskni za nim. — Jak mogłabym kochać takiego brutala?

— Ciociu Paulino — odezwała się, podchodząc do Pauliny w perystylu. — Położyłam Waleriusza na popołudniową drzemkę.

— Dziękuję ci, kochanie — odparła Paulina, ściskając rękę Ulryki. — Czasem mam wrażenie, że on ciebie uważa za swą matkę, nie mnie.

— Ciociu, wiesz przecież, że matki nigdy się nie docenia.

— A przypomniawszy sobie o Rani, dodała: — Za to ciotki — zawsze! Roześmiały się.

— A skoro o matkach mowa — spytała Ulryka — czy moja już przyszła?

Paulina pokręciła głową.

— Nie dziwi cię to, prawda?

— W ciągu ubiegłego roku mama ani razu nie przyszła punktualnie. Jest zaprzątnięta Domem bez reszty.

— To godne zazdrości — powiedziała cicho Paulina.

— Domus jest spełnieniem jej życiowych marzeń. A gdy budowa zostanie ukończona i zaczną tam przyjmować chorych, ona i Andreas rozpoczną wielkie dzieło.

— Wolalabym, żeby więcej odpoczywała, zwłaszcza teraz, gdy spodziewa się dziecka.

— To prawda — zgodziła się Paulina.

Cieszyła się ze względu na Selenę, to dziecko było tak gorąco oczekiwane. Andreas nie posiadał się ze szczęścia. Paulina już dawno otrząsnęła się po chwilowym rozczarowaniu, jakie ją ogarnęło na wieść o planowanym małżeństwie Andreeasa i Seleny. Widziała, że ci dwoje należą do siebie, że tak naprawdę Andreas należał do Seleny na długo przedtem, nim poznał Paulinę. Pogodziła się z tym, uznała, że wystarczą jej wspomnienia zmarłego męża i szczęśliwych, wspólnie z nim spędzonych lat, a całą miłość i uwagę skupiła na dziecku, które było darem od Seleny. Paulina potrafiła zrezygnować ze swego zamiaru poślubienia Andreeasa i życzyła przyjacielom szczęścia.

W tej samej chwili pojawili się trzej mężczyźni na koniach. Sądząc po ich wyglądzie i zachowaniu, byli ważnymi osobistościami.

Patrząc, jak zeskakują z wierzchowców, Ulryka przyglądała się również Erykowi, którego obowiązkiem było doglądanie koni. Jego twarz miała zacięty, tak dobrze jej znany wyraz, wiedziała, że w głębi jego serca kipi lodowata nienawiść. Eryk nienawidził najeźdźców swego kraju. Przez siedem lat nie udało się go do końca złamać i na jego plecy do tej pory spadały razy bicia.

Odźwierny w ogrodzie oznajmiał nazwiska nadchodzących gości. Okazało się, że ci trzej mężczyźni, którzy teraz pojawili się w bramie, byli wojskowymi. Jeden był znanym centurionem, drugi słynnym trybunem.

Trzeci — wodzem, zdobywcą Germanii, nazywał się Gajusz Watyniusz.

## ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY PIERWSZY

— Niestety nie jestem w stanie ci pomóc — powiedziała Selena, skończywszy badać młodą kobietę. — Nie znam powodu twojej bezpłodności i nie mogę ci zalecić na nią żadnego leku.

Pacjentka była dwudziestopięcioletnią mężatką z wyższych klas, nadal bezdzietną po dziewięciu latach małżeństwa i jedną z wielu bezpłodnych kobiet, które szukały u Seleny porady.

Po jej wyjściu Selena podeszła do małego okienka i wyjrzała, głęboko wciągając ożywcze kwietniowe powietrze. Całą zimę okna były szczelnie zamknięte dla ochrony przed chłodem. Zgodnie ze starą rzymską tradycją, w pomieszczeniach stale palono chleb, by zagłuszyć zapach stęchlizny. Ale wreszcie nadeszła wiosna, wyspa tonęła w kwiatach, a świeży powiew znad rzeki wpadał do izb.

Selena położyła ręce na brzuchu, zdumiewając się cudem, rozwijającym się w jej łonie.

Po wydarzeniach nocy nad rzeką sprzed pięciu i pół roku, Selenę natychmiast przyjęto do najbardziej elitarnych kręgów. Szybko przekonała się, że dolegliwości rzymskiej arystokracji niczym się nie różnią od dolegliwości bogaczy w innych miastach. Z jednym zagadkowym wyjątkiem, który nie dawał jej spokoju: wśród wyższych klas w Rzymie panowała tajemnicza bezpłodność.

Kiedy Selena zaczęła się obracać wśród rzymskiej szlachty, zauważyła, iż wiele małżeństw nie miało dzieci, sądziła jednak, że była to kwestia ich wyboru. Wtedy jednak niespodziewanie zaczęły szukać u niej pomocy kobiety, które chciały zająć w ciążę.

Selena radziła się Andreasa, ale on też nie potrafił tego wyjaśnić. Co najdziwniejsze, owej tajemniczej niepłodności nie spotykało się w niższych klasach społecznych. Wśród ludu rodziny były liczne, a niechciane dzieci podrzucano na stopnie świątyni. Wyglądało na to, że tylko mieszkańców rezydencji na wzgórzach uparcie prześladowała niemożność poczęcia.

Początkowo Selena traktowała to jako interesujące zjawisko, ale wkrótce ten problem zaczął dotyczyć i jej. Po ślubie, który odbył się w październiku przed ponad pięcioma laty, Andreas i Selena starali się mieć dziecko, ale przez pięć lat — bezskutecznie. Selena zaczęła się obawiać, że i ona została zakażona, że ta nieznaną plagą prześladowaną bogate mieszkanki Rzymu dotknęła teraz i jej. Miała wszak dowód swej płodności — Ulrykę.

Stało się to powodem jej ogromnego niepokoju. Wreszcie w styczniu Selena poczuła w swym ciele znajome sygnały.

Owo cudownie poczęte dziecko było właściwie ważniejsze dla Andreasa niż dla niej. Wiedziała, jak bardzo pragnął własnego dziecka. Nigdy nie powiedział tego na głos, ale dostrzegała to w jego oczach za każdym razem, gdy się kochali, i co miesiąc, gdy przecząco kręciła głową. Skończył już pięćdziesiąt cztery lata i nadal nie miał dziedzica. A teraz było to tak ważne dla niego, by mieć komu przekazać wilę na wzgórzu, zgromadzony przez niego i Selenę majątek, ogromną encyklopedię medyczną, którą właśnie kończył... Część tego oczywiście mogłaby odziedziczyć Ulryka, ale gdyby Andreas miał syna...

Wraz z przyjściem na świat tego dziecka — myślała Selena, zatrzymując wzrok na konstrukcji Domu, wznoszącej się nad dachami — moja więź z Andreasem będzie już całkowita. Staniemy się prawdziwą rodziną.

Selenę niezbyt obchodziła jej druga rodzina, ta mieszkająca w pałacu cesarskim. A jeśli chodzi o rodzinę, którą tak dawno utraciła — matkę i brata bliźniaka — Selena w końcu pogodziła się z myślą o ich śmierci. „Z Palmiry nigdy nie dostarczono żadnego dowodu”, powiedział Klaudiusz owej pamiętnej nocy nad rzeką. Mogło to tylko oznaczać, że młoda matka Seleny i jej brat nie przeżyli podróży do Rzymu.

Selena próbowała zobaczyć na zegarze słonecznym, która jest godzina. Musi iść do Pauliny. Wkrótce zaczną się zbierać goście. Nie potrafiła jednak oderwać się od widoku białego szkieletu Domu, rysującego się na tle błękitnego wiosennego nieba.

Jej dusza radowała się, oglądając powolne narodziny tej cudownej konstrukcji — ostatecznego urzeczywistnienia jej dążeń.

Domus Julia budowano dokładnie według wskazówek Seleny, miał on być idealnym schronieniem dla chorych i siedzibą szkoły, szerzącej wiedzę medyczną. Ludzie, którzy teraz pracowali przy jego budowie, lekarze, którzy potem będą w nim leczyć, uczniowie, którzy się tu zjawiają, i tysiąc pacjentów, którzy zajmą jego łóżka, nie będą świadomi, że jest w nim trochę z perskiej chikisaki, rzymskiego valetudinarium, palestyńskiej infirmerii oraz akademii z Aleksandrii. W Domu będą specjalne pomieszczenia, kaplice wszystkich bogów, a także sala chirurgiczna z kopułą, przez którą będzie wpadać słońce. Andreas zaprojektował sale wykładowe, małe prosektorium i sypialnie dla uczniów. Teraz zakładano rury, doprowadzające świeżą wodę i odprowadzające ścieki. Dom budowano z myślą o tym, by był funkcjonalny, ale także, by radował oczy, Selena bowiem uważała, że pogoda ducha pomaga

leczyć ciało. Gdy budowla zostanie już ukończona, główną jej częścią będzie biała rotunda, największa, jaką do tej pory zbudowano. Ten pomnik zdrowia, lśnią w promieniach słońca, będzie widoczny z daleka. Na całym świecie nie znajdzie się druga taka budowla jak Domus Julia i Seleną nie wątpiła, że będzie ona stała wiecznie.

W końcu udało jej się połączyć swoją tożsamość z leczeniem, oto miała przed sobą dowód: Domus Julia, Dom Juliuszów. Tylko jako wnuczka Juliusza Cezara mogła zrealizować swoje marzenie. Właśnie to widziała w swoich majaczeniach nad Eufratem: alabastrowe ściany jaśniejące w promieniach słońca. Dom też spełniał marzenia, które ona z Andreasem odważyli się wyznać sobie wtedy w grocie Dafne: marzenia o wspólnej pracy dla dobra innych.

Kiedy Seleną odwracała się od okna, dojrzała kątem oka sylwetkę Pindara, idącego szybko ścieżką. Miał zmartwioną minę.

Pindar tak wrósł w krajobraz wyspy — mieszkał tu, doglądał ogrodów — że właściwie przestano go zauważać. Tak samo Seleną przestała dostrzegać swój wierny „cień”, przywykła do niego.

Nikt właściwie nie wiedział, kiedy Pindar zaczął przychodzić na wyspę. Po prostu pewnego dnia zjawił się, zamiatając ścieżkę. Imał się przeróżnych zajęć: czyścił fontanny z wodorostów, przycinał żywopłoty, w końcu Seleną spytała, kim jest ten człowiek. Okazało się, że nikt nie wie.

Pindar zapewne miał około trzydziestu lat, ale wyglądał na chłopca. Pewnie dlatego — myślała Seleną — że tunika zawsze tak wisi na jego długiej i chudej postaci. Nigdy nie układała się jak należy, wepchnięta byle jak za pasek, stale zwisał z niej jakiś odpruty rąbek. Sandały miał wiecznie źle zawiązane, a włosy ciągle mu opadały na czoło, jak u chłopaka. Twarz też miał dziwną: choć dorosła, brakowało na niej zmarszczek i wyrazu dojrzałego mężczyzny, uśmiech Pindara budził sympatię.

Pindar wydawał się dość nieszkodliwy, nie odzywał się, nie prosił o nic, tylko krzątał się przy świątyni, więc pozwolono mu zostać. Kiedyś zjawił się jakiś mężczyzna, by go zabrać. Nazywał się Rufus i był jego ojcem.

— On krzywdy nie robi — wyjaśniał Rufus Selenie, gdy Pindar opierał się, nie chcąc opuścić wyspy. — Już taki jest. Jak raz coś sobie wbije do głowy, nie ma na niego rady. Nie wiem, co ma teraz na myśli. Zabierałem go stąd już chyba ze sto razy, a on ciągle wraca.

Rufus zbliżał się do sześćdziesiątki, był dużym barczystym mężczyzną ze śladami blizn na twarzy i siwiejącą brodą. Miał na sobie tunikę z samodziału,

czuć go było cebulą. Selena zdała sobie sprawę, że ci osobliwi ludzie, ojciec i syn — jeden niewykształcony, drugi upośledzony — są ubodzy.

— Może zostać — postanowiła. — Jest tu przydatny.

— Jeśli mu pozwolicie, będzie tu spał — odparł Rufus, nie kryjąc ulgi. — Widzicie, jestem folusznikiem i pracuję cały dzień. Pindara trzeba pilnować. Ludzie mu dokuczają i w ogóle, bo jest przygłupi.

— Nikt tu nie będzie mu dokuczał, ja tego dopilnuję.

I tak oto ten dziwny mężczyzna-chłopiec został. Zawsze kręcił się w pobliżu Seleny, pilnie zajęty jakąś pracą. Uśmiechał się do każdego, kto przechodził.

Dziś za idącym spiesznie Pindarem Selena zauważyła psa. Ta historia z psem powiedziała Selenie wszystko o Pindarze.

Na wyspie kręciło się sporo psów, biegały, stróżowały, polowały na szczury i króliki, a żywiły się resztkami. Było też to wychudzone psisko z kwadratowym łbem, przypominające starego niedźwiedzia, spod zmatowiałej sierści sterczały mu żebra. Wszyscy uważali, że jest chory i wkrótce zdechnie.

I zdechłby, ale nie wskutek choroby.

To Pindar zajął mu do pyska, zobaczył połamane, starte ze starości zęby i natychmiast zrozumiał, że biedne psisko po prostu nie może pogryźć tego, co mu rzucają, wśród obfitości jadła pies konał z głodu. Pindar wziął więc chleb, nakruszył do tłustego sosu, wymieszał i karmił psa z ręki. Było to żmudne i czasochłonne zajęcie, ale Pindar robił to do dziś, choć już od pół roku zwierzę było w dobrej formie. Teraz pies w podskokach biegł za swoim panem. Byli nierozłączni: Pindar i jego pies. Wszyscy wołali nań Fido, co po łacinie oznacza „wierny” i jest często spotykanym w Rzymie imieniem dla psa.

Dostrzegłszy w oknie Selenę, Pindar zaczął wymachiwać rękami. Rzadko bywał tak zdenerwowany, więc Selena domyśliła się, że coś jest nie w porządku. A kiedy zarzucała na ramiona palłę, intuicja powiedziała jej, co się stało. Przeszedł ją dreszcz.

Zbliżywszy się do placu budowy, zobaczyła, że nikt nie pracuje. Robotnicy wyszli z pozbawionego jeszcze dachu budynku i teraz stali kołem na zewnątrz, nerwowo przestępując z nogi na nogę.

— O co chodzi? — zwróciła się Selena do Gallusa, majstra.

Gallus był roslym mężczyzną o potężnych barach i mięśniach gladiatora, ale przy Selenie zachowywał się potulnie.

— Znowu to samo, pani — powiedział.

Selena zacisnęła wargi. To już czwarty raz w ciągu trzech tygodni! Kto się waży na takie postęпки?

— Gdzie to jest? — spytała. Wskazał na główny budynek.

— W środku. Ludzie nie chcą z powrotem tam wejść. Niektórzy już rzucili pracę i uciekli z wyspy. Twierdzą, że całe to dzieło jest przeklęte.

Selena spojrzała na niego groźnie. Ostrzegała Gallusa, by nie mówił takich rzeczy w obecności robotników.

Uniósłszy skraj sukni, przeszła do budynku, omijając rozrzucone narzędzia i gruz. Wszędzie leżała cieniutka warstwa pyłu z kararyjskiego marmuru, którym kamieniarze zaczęli wyklądać ściany. Pył pokrywał rusztowania, sprzęty rzemieślników, nawet stół architekta. Selena skierowała się na środek budynku, gdzie za kilka miesięcy miał stanąć posąg Wenus, umieszczony dokładnie w centrum rotundy. Marmurowe w zamyśle posadzki na razie były zasypane gruzem.

Selena zatrzymała się gwałtownie. Przycisnęła rękę do ust i szybko odwróciła wzrok, walcząc z mdłościami, potem poszła z powrotem do wyjścia.

— Skąd się to wzięło? — spytała majstra.

— Któryś z robotników znalazł to w jednej ze ścian. Mówił, że tynk był jeszcze mokry. Musiano to zrobić nocą.

Selena przymknęła oczy, próbując pozbyć się wspomnienia tej ohydy, którą przed chwilą zobaczyła.

— A gdzie się podziewali strażnicy?

— Twierdzą, że czuwali, pani. I wszystkie latarnie się paliły. Potroiliśmy straże od...

Od ubiegłego tygodnia, gdy na jednym z filarów znaleziono powieszzonego czarnego kozła.

Selenie nie mieściło się to w głowie. Tych czynów musiał dopuszczać się ktoś stąd: może należał do którejś z ekip robotników, a może był jednym z licznych kreślarzy i nadzorców. Przy budowie Domu pracowało trzystu ludzi, mógł to być każdy z nich.

— Zabierz to stamtąd — powiedziała. — Spal. Ale majster się nie ruszył.

— Powiedziałam, że macie to stamtąd zabrać.

— Daruj, pani — odparł Gallus — ale tu dzieje się coś niedobrego. To robota demonów. Co będzie ze mną, jeśli tego dotknę?

— Och, Gallusie, to tylko... — Nie mogła się zmusić, by wypowiedzieć to na głos. — Nie rozumiesz, że ktoś próbuje wstrzymać prace nad Domem? — dodała spokojniej. — Ktoś próbuje nas przestraszyć. Nie możemy do tego dopuścić. Ta ta rzecz w środku to tylko przedmiot.

— To czarna magia.



Selena zobaczyła, że mężczyźni zaczynają poruszać się niespokojnie.

— Ja się tego nie boję — rzekła i odwróciła się, by wejść do środka.

Pindar położył jej dłoń na ramieniu i spojrzał na nią z troską. Chciał wejść zamiast niej, lecz ona odparła:

— Nie, Pindarze, ja to zrobię. Muszę im pokazać, że się nie boję.

Znalazła dwa patyki, jakoś udało jej się podnieść nimi to paskudztwo. Kiedy wyszła na słońce, trzymając to z dala od siebie, mężczyźni odsunęli się, czyniąc znaki chroniące przed urokiem. Selena szybko podbiegła na brzeg i wrzuciła do wody patyki wraz z tym, co znajdowało się między nimi.

Wróciwszy, osłoniła się pallą, próbując ukryć drżenie.

— Już po wszystkim — powiedziała. — Nie ma się czego bać.

— To zły urok — odparł Gallus. — Ktoś rzucił zły czar na tę budowlę, jeszcze zawali się na nas.

— Wszyscy wracajcie do pracy! Mężczyźni spoglądali po sobie.

— Powiedziałam: wracajcie do pracy.

Selena widziała, jak ich wzrok kieruje się ku Gallusowi, czekając na znak, i jak ten waha się, ogarnięty strachem. Dlatego wspięła się po zasypanych gruzem stopniach Domu i chwyciła do ręki wielki młot. Uniosła go nad głową i krzyknęła:

— W takim razie sama będę pracować! Nie dopuszczę, by znieważano boskiego Juliusza!

Kilkunastu mężczyzn podbiegło do niej i wyjęło jej z rąk ciężkie narzędzie, przypominając o jej odmiennym stanie i zapewniając o swej czci dla boskiego Juliusza i jego wnuczki. Potem, niczym skarcone dzieci, ociągając się wrócili do pracy.

— Następnym razem będę musiała wezwać kapłanów, żeby odczynili zły urok. Tylko w ten sposób uda mi się zmusić robotników do dalszej pracy.

— Czyja to może być sprawka? — spytała Ulryka, która spacerowała z matką po ogrodzie, trzymając ją pod rękę.

Selena pokręciła głową. Patrzyła na jasno oświetloną jadalnię, gdzie siedzieli goście Pauliny, ale ich nie widziała. Przed oczami nadal miała obrzydliwą rzecz, jaką tego popołudnia wyrzuciła do rzeki, i zastanawiała się, jakie okropieństwo zobaczy jutro.

Natknęły się na trzech mężczyzn, którzy wyglądali na wojskowych, stali w ogrodzie i rozprawiali o bitewnej strategii. Przerwali rozmowę, by się przedstawić. Selena spojrzała z zaskoczeniem, gdy swoje imię wymienił wódz Watyniusz. Przyglądała mu się przez chwilę. Ku jej zdziwieniu był niezwykle przystojny.

— Wódz Watyniusz? Czy słyszałam o was, panie? Trybun zaśmiał się, białe zęby błysnęły w opalonej twarzy.

— Jeśli nie, pani, to Gajusz będzie zdruzgotany! Załamie się, jeśli się okaże, że jest w Rzymie piękna kobieta, która o nim nie słyszała.

Selena nie zwróciła uwagi na trybuna, wpatrywała się w Gajusza Watyniusza. Głęboko osadzone oczy, duży prosty nos. Wyraz twarzy miał surowy, zachowanie zdradzało pewność siebie. Na jego ustach igrał lekki uśmieszek.

— Czy jesteś może, panie — usłyszała swój głos Selena — tym Gajuszem Watyniuszem, który przed laty walczył nad Renem?

Uśmiechnął się szerzej.

— Więc jednak o mnie słyszałaś, pani — odparł spokojnie.

Selena przymknęła oczy.

Wolfie! — wołała w duszy. — Co się stało? Czyżbyś nie dotarł do Germanii? Och, Wolfie! Więc nie dokonałeś swej zemsty...

Tymczasem Gajusz Watyniusz spojrział na Ulrykę. Przypatrywał się jej leniwie, mierząc ją wzrokiem od góry do dołu. W chwilę potem niewolnik obwieścił, że podano do stołu, i mężczyźni, przeprosiwszy Selenę i Ulrykę, skierowali się do wnętrza.

— Mamo — spytała Ulryka, widząc bladą twarz Seleny — dobrze się czujesz?

— Tak, dobrze.

— Myślisz o Domu.

— Nie.

Selenie brakowało tchu. Ulryka spojrzała na trzech wojskowych wchodzących do jadalni.

— Sprawili ci przykrość? Może to ten Gajusz Watyniusz? Selena zmusiła się do uśmiechu.

— Nic mi nie jest, Ulryko. Naprawdę. Wejdziemy do środka?

— Kim jest Gajusz Watyniusz?

Selena nie patrzyła córce w oczy, gdy odpowiadała:

— Kiedyś dowodził rzymskimi legionami nad Renem. To było dawno temu, jeszcze przed twoim przyjściem na świat.

W jadalni znajdowały się cztery stoły, każdy z trzech stron otoczony sofami. Gości rozsadzono wedle ściśle określonego protokołu: honorowym gościom przysługiwały miejsca po lewej stronie każdej sofy. Czwarty bok stołu był otwarty, by niewolnicy mogli swobodnie podawać jedzenie i napoje.

Zbliżały się już do jadalni, kiedy za plecami Ulryki wyrósł Andreas. Objął w pasie pasierbicę i mruknął jej do ucha:

— Widzę, że Paulina zaprosiła na dziś Gadeuszy. Ulryka parsknęła śmiechem. Tak między sobą nazywali gadatliwą parę: Maksymusa i Junonę. Ulryka ścisnęła ramię Andreeasa i posłała mu porozumiewawcze spojrzenie. Kochała swojego ojczyma. Początkowo uważała go za intruza, ale potem, w czasie uroczystych zaślubin w Ostii, kiedy matka stała w swoim płomiennym welonie, a Andreas wsuwał żelazną obrączkę na środkowy palec jej lewej ręki, Ulrykę tak wzruszyła miłość, którą dostrzegła w jego oczach, że przekonała się do niego.

Andreas był dobrym człowiekiem, łagodnym i miłym w obejściu. A do tego — niezwykle utalentowanym. Jego encyklopedia liczyła już prawie czterdzieści tomów i zapowiadała się na najpełniejsze medyczne dzieło, jakie kiedykolwiek napisano. Ulryka często pomagała Andreasowi, kiedy pracował w ogrodzie ich rezydencji na wzgórzach. Pisała pod jego dyktando albo przeglądała tekst, sugerując poprawki, Andreas zawsze uważnie jej słuchał i szanował jej rady.

— A ci trzej to kto? — spytał, ruchem głowy wskazując wojskowych w czerwonozłotych szatach, którzy najwyraźniej czuli się tu, jak u siebie w domu.

— Wojskowi — odparła Ulryka i poszła zająć miejsce przy trzecim stole.

Honorowe miejsce przy nim przypadło Gajuszowi Watyniuszowi. Selena, pełniąca rolę gospodyni, spoczywała po jego lewej ręce, Ulryka — naprzeciw matki. Między nimi posadzono Maksymusa i Junonę, centuriona oraz podstarzałą wdowę, panią Aurelię.

Na stole królował pieczony bażant ozdobiony piórami, wokół niego rozstawiono rozmaite dania, goście sięgali po nie palcami. Trzydzieści sześć osób rozprawiało hałaśliwie między sobą, niemal zagłuszając solowy występ muzyka, grającego na fletni w rogu komnaty, po której bezszelestnie i sprawnie uwijało się czterdziestu niewolników.

Ulryka nie mogła oderwać oczu od Gajusza Watyniusza.

— Powiadam wam, kłopotów tam się narobiło co niemiara — mówił do współbiesiadników. — Za rządów Tyberiusza podpisaliśmy z barbarzyńcami traktaty pokojowe, a ci teraz je łamią. Wiecie przecież, że Kaligula zamierzał przekroczyć Ren i podbić „wolną” Germanię. Gdyby zrealizował swój plan, ja teraz nie musiałbym znów tam wracać. A wcale mi się nie chce.

Kiedy zauważył, że Ulryka się w niego wpatruje, umilkł i teraz on bacznie się jej przyjrzał. Potrafił docenić jej niezwykłą urodę — jasnobrązowe włosy i

błękitne oczy. Spojrzał na jej lewą rękę i stwierdził, że Ulryka nie jest mężatką, zdziwiło go to, bo w jej wieku już dawno powinna być zamężna.

Posłał jej swój najbardziej czarujący uśmiech.

— Zanudzam cię wojskowymi opowieściami.

— Ależ skąd, komendancie — zapewniła Ulryka. — Zawsze się interesowałam krainą nad Renem.

Przesunął wzrok na jej piersi i zatrzymał go tam chwilę.

— Może zechciałabyś poszukać czegoś na ten temat w mojej bibliotece?

— Dlaczego ci Germanie się nie uspokoją i nie przyjmą dobrodziejstw cywilizacji? — odezwała się pani Aurelia.

— Przecież świat tyle nam zawdzięcza. Nasze akwedukty! Nasze drogi!

Ulryka spojrzała na Selenę, zaniepokojona bladością matki. Selena nic nie jadła, wina też nie tknęła.

— Przez dłuższy czas byli spokojni — wyjaśnił Watyniusz — ale teraz, zdaje się, podburza ich jakiś buntownik.

— Kto to? — spytał Maksymus.

— Nie wiemy, kim jest ani jak się nazywa. Nigdy go nie widzieliśmy. Pojawił się nie wiadomo skąd, zupełnie zniecka, a teraz prowadzi germańskie plemiona do walki. Uderzają, gdy najmniej się tego spodziewamy, a potem znikają w borach. Patrole wysyłane na poszukiwanie ich obozowisk nigdy nie wracają. Sytuacja się pogarsza, więc Pomponiusz Sekundus, rządca Germanii, wezwał mnie, bym tam powrócił i objął dowództwo nad legionami.

Gajusz Watyniusz upił łyk wina, poczekał, aż niewolnik obetrze mu wargi, po czym dodał z butą:

— Odnajdę tego przywódcę rebelii, a kiedy już go będę miał, jego egzekucja stanie się ostrzeżeniem dla innych, którym mogłaby przyjść do głowy myśl o buncie. Zamierzam raz na zawsze położyć kres tym wyczynom.

— A dlaczego jesteś tak pewny, że uda ci się tym razem? — spytała Ulryka.

— Ponieważ mam plan — oznajmił. — Nie bez powodu cesarz wyznaczył mnie na dowódcę reńskich legionów. Jestem urodzonym strategiem. A ta kampania wymaga mistrzowskiej strategii.

Ulryka patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Ten arogancki łajdak zamierza wrócić na ziemię jej ojca i raz na zawsze ją podbić!

Uśmiechnęła się do niego i powiedziała:

— Czytałam, że barbarzyńcy są nadzwyczaj sprytni, Watyniuszu. W jaki sposób myślisz zapewnić sobie ostateczne zwycięstwo?

Posiał jej znaczący uśmiech, którego trudno było nie zrozumieć, a potem odparł:

— Mój plan nie może zawieść. A to dlatego, że opiera się na działaniu przez zaskoczenie.

Ulryka zmusiła się do zachowania obojętnego spokoju, jakby ta kwestia interesowała ją tylko teoretycznie.

— Sądziłam, że do tej pory barbarzyńcy zdołali poznać strategiczne metody legionów — powiedziała, sięgając po oliwkę. — Nawet te polegające na zaskoczeniu.

— Mój plan jest inny.

— Jak to?

Zaśmiał się i pokręcił głową.

— Nie rozumiałabyś. Te sprawy lepiej zostawić mężczyznom.

Jednak Ulryka nalegała, zalotnie się uśmiechając:

— Czytałam pamiętniki mego pradziada, opisujące jego podboje — powiedziała, delikatnie przypominając mu, że jej pradiadkiem był wielki wódz Juliusz Cezar. — Rozmowy o wojnach wcale mnie nie nudzą.

— Ale mnie nudzą — oświadczyła Aurelia, a następnie zwróciła się do Seleny: — Moja droga Julio Seleno, jak idą prace nad twoją budową?

Selena zamrużyła powiekami, myślami była daleko stąd.

— Słucham?

— Twoja nowa budowa. Domus. Czy wszystko idzie dobrze? Przyznam, że trudno mi sobie wyobrazić, jak będzie wyglądał Dom. Zapowiada się na taki okazały gmach! Po co wypełniać go chorymi? Poza tym wydaje mi się, że o chorych najlepiej dba się w domu, w rodzinie.

— Wielu ludzi nie ma domów ani rodzin. Weź chociażby siebie, Aurelio. Jesteś wdową. Mieszkasz samotnie, prawda?

— Tak, ale mam wśród niewolników lekarza.

To nie byt argument dla Seleny. Wielu tak zwanych lekarzy-niewolników nie miało właściwego przygotowania i potrafiło najwyżej jako tako zabandażować ranę. Lecz Aurelia tego nie zrozumie, podobnie jak większość mieszkańców Rzymu nie rozumiała, co Selena i Andreas mieli zamiar stworzyć na wyspie. Nigdzie bowiem na świecie nie istniało coś takiego jak Domus. Ale Selena wiedziała, że gdy tylko otworzą się jego podwoje zarówno dla chorych, jak i dla pragnących studiować, ludzie szybko docenią znaczenie Domu.

— Watyniuszu — odezwała się Ulryka, ponownie zwracając na siebie jego uwagę — czy w swojej kampanii przeciwko barbarzyńcom zamierzasz wykorzystać maszyny wojenne?

Popatrzył na nią przez chwilę. Mile go polectało widoczne zainteresowanie Ulryki jego planem, poza tym zrobiło na nim pewne wrażenie, że potrafi ona coś z tego pojąć.

— Właśnie tego będą się barbarzyńcy spodziewać — odparł. — Ja jednak zamierzam zaatakować inaczej. Tym razem ogień wypalę ogniem.

Rzuciła mu pytające spojrzenie.

— Widzisz — wyjaśnił Gajusz Watyniusz — aby raz na zawsze podbić barbarzyńców, trzeba będzie ich całkowicie zaskoczyć. Będą się spodziewać machin wojennych i właśnie to przeciwko nim zastosuję.

Ulryka szerzej otworzyła oczy.

— Podstęp? Skinął głową.

— Cesarz dał mi całkowicie wolną rękę w tej kampanii. Mogę ściągnąć tylu legionistów, ilu zażądam, i tyle machin, ile uznam za potrzebne. Właśnie to zobaczą barbarzyńcy. Katapulty, ruchome wieże, oddziały konne i piesze. Wszystko świetnie zorganizowane, rzymskie w każdym calu. Nie zobaczą jednak — ciągnął, łyknąwszy wina — oddziałów partyzanckich, wyszkolonych i dowodzonych przez samych barbarzyńców, które będą rozmieszczone na ich tyłach w lasach.

Ulryka wpatrywała się w Gajusza Watyniusza. Ogień wypalaj ogniem, powiedział. Obróci sposób walki jej rodaków przeciwko nim samym. Gdy będą się szykować do walki z wystawionymi przez Rzymian maszynami i kawalerią, zostaną zaatakowani od tyłu.

Odwróciła wzrok. Popatrzyła na swoje dłonie, w końcach palców czuła pulsowanie. Pomyślała: To będzie rzeź...

## ROZDZIAŁ SZEŚCÍDZIESIĄTY DRUGI

Zrobiło się chłodno. Ulryka, ubrana tylko w koszulę nocną, narzuciła przed wyjściem wełniany płaszcz na ramiona.

Było ciemno i cicho. Goście Pauliny już dawno wyszli i cały dom spał. Maksymus i Junona, którzy mieszkali daleko, nocowali w pokoju obok sypialni Ulryki, a rodzice, na prośbę Pauliny zgodziwszy się zostać na noc, mieli spać o trzy pokoje dalej. Dziewczyna na palcach podeszła do ich drzwi i zastukała.

Otworzyła jej Selena, całkowicie ubrana i wcale nie zdziwiona nocną wizytą córki.

— Spodziewałam się, że przyjdiesz — powiedziała, zamykając za Ulryka drzwi.

W palenisku płonął ogień, obok stały dwa krzesła z podnóżkami. Selena usiadła na jednym, drugie wskazała Ulryce.

— Andreas śpi. Możemy porozmawiać.

Przez jakiś czas obie siedziały w milczeniu, wpatrując się w płonący węgiel drzewny. W końcu Selena przerwała ciszę.

— Chcesz się dowiedzieć prawdy o Gajuszu Watyniuszu — powiedziała cicho.

— Jego widok sprawił ci ból, mamó. To było widoczne przez cały wieczór. I wyszłaś wcześniej. Powiedz mi, co on miał wspólnego z moim ojcem? Czy to on...?

Selena odwróciła się i spojrzała na córkę.

— To Gajusz Watyniusz doszczętnie spalił osadę twego ojca i to on zabrał go do niewoli zakutego w kajdany. Przez te lata, gdy byliśmy razem, twój ojciec często mówił o powrocie do Germanii i o zemście, jakiej dokona na Gajuszu Watyniuszu.

— Rozumiem — szepnęła Ulryka. — Ojciec zginął, zanim udało mu się dopełnić ślubowania i zabić tego człowieka. Człowieka, z którym dopiero co jadłam wieczerzę.

— Ulryko. — Selena wzięła córkę za rękę. — To już przeszłość. To wydarzyło się wiele lat temu. Daj temu pokój. Wyrzuć to z pamięci.

— Czuję się, jakbym zdradziła ojca.

— Przecież nie zdradziłaś! — Selena zerknęła na zamknięte drzwi do sypialni i podjęła ciszej: — Nie wiedziałaś, kim jest Gajusz Watyniusz. Poza tym to była walka twego ojca, nie twoja.

Czuając na dłoni uścisk ręki matki, uścisk tak mocny, że aż bolesny, Ulryka spojrzała Selenie w oczy.

— Jest jeszcze coś — powiedziała. — Coś, czego mi nie wyznałaś. O co chodzi?

Selena cofnęła rękę i odwróciła wzrok.

— Czy jest jeszcze coś? — nie ustępowała Ulryka. Selena skinęła głową.

— Powiedz.

Selena znowu spojrzała córce w oczy. W jej oczach pojawił się ból.

— To jest coś, o czym powinnam ci była powiedzieć dawno temu — odezwała się zduszonym głosem. — Chciałam. Uważałam, że nie uda mi się tego wyjaśnić, kiedy byłaś mała, ale zawsze sądziłam... że powiem ci, kiedy będziesz starsza. Rani stale nalegała, żebym to zrobiła. Ale za każdym razem wydawało mi się, że to jeszcze nie ten moment.

Selena splotła palce.

— Ulryko, powiedziałaś mi, że twój ojciec zginął na łowach, jeszcze przed twoim przyjściem na świat. To było kłamstwo. Wyjechał z Persji. Wrócił do Germanii.

Ulryka zmarszczyła brwi.

— Nie umarł? Wrócił do Germanii?

— Bo ja nalegałam. Byliśmy wtedy w Persji od niedawna, gdy usłyszeliśmy, że Gajusz Watyniusz był tam przed nami. Powiedziano nam, że wybierał się do Germanii. Ponaglałam twego ojca, by jak najszybciej podążył za nim, a ja miałam zostać jeszcze w Persji.

— I wyjechał? Wiedząc, że jesteś brzemienna?

— Nie wiedział, że byłam brzemienna. Nie powiedziałam mu.

— Dlaczego?

— Bo wiedziałam, że wtedy zostałby ze mną, a kiedy dziecko już by się urodziło, nigdy by nie wrócił do Germanii. Nie miałam prawa wtrącać się w jego życie.

— Nie miałaś prawa?! Byłaś jego żoną! Selena pokręciła głową.

— Nie. Nigdy nie byliśmy małżeństwem. Zdumiona Ulryka wpatrywała się w matkę.

— On już miał żonę — ciągnęła Selena, unikając wzroku córki. — W Germanii miał żonę i syna. Och, Ulryko, twojemu ojcu i mnie nie było pisane wspólne życie! Jego przeznaczenie czekało nań nad Renem, a ja szukałam Andreasa. Nasze drogi musiały się rozdzielić.

— Wyjechał z Persji — mówiła wolno Ulryka — nie wiedząc, że spodziewasz się dziecka. Nie wiedział o mnie.



— Nie.

Oszołomienie ogarnęło Ulrykę.

— I nadal o mnie nie wie! Mój ojciec nie wie, że istnieję!

— On z pewnością już nie żyje, Ulryko.

— Skąd wiesz?

— Bo gdyby dotarł do Germanii, odnalazłby Gajusza Watyniusza i dokonał na nim pomsty.

W oczach Ulryki pojawiło się przerażenie.

— A Gajusz Watyniusz żyje. Jadłam dziś z nim przy jednym stole...

Selena próbowała ująć córkę za rękę, ale Ulryka ją odepchnęła.

— Nie miałaś prawa ukrywać tego przede mną! — zawołała. — Te wszystkie lata były kłamstwem!

— To dla twojego dobra, Ulryko. Jako dziecko nie zdołałabyś tego pojąć. Miałabyś do mnie żal, że pozwoliłam mu odejść. Nie rozumiałabyś, dlaczego tak postąpiłam.

— Teraz mam do ciebie żal, matko. Od dawna już nie jestem dzieckiem. Powinnaś mi była powiedzieć dawno temu, a nie dopuścić, bym dowiedziała się wszystkiego w ten sposób.

Ulryka wstała.

— Pozbawiłaś mnie ojca, a potem pozwalałaś mi dorastać w przekonaniu, że czczę zmarłego. A dziś, matko, dziś siedziałaś patrząc, jak rozmawiam z tym potworem.

— Ulryko...

Ale ona już zniknęła za drzwiami.

Ulryka leżała wpatrzona w sufit, słuchając dobiegającego z oddali turkotu kół na ulicy. Głowa jej pulsowała. Najpierw płakała, potem zaczęła myśleć. I teraz, leżąc na wznak, topiąc wzrok w ciemności, bezskutecznie próbowała rozwikłać swoje uczucia. Był tam ból i rozczarowanie, a także świadomość, że została zdradzona. Ale równocześnie było też współczucie dla matki, tej młodej kobiety w Persji, która choć brzemienna, wysyła ukochanego mężczyznę daleko od siebie, tylko ze względu na niego. Podziw dla ofiary, jaką poniosła Selena, i siły, z jaką dla dobra dziecka strzegła tajemnicy przez te wszystkie lata, mieszał się z gniewem, że matka wcześniej nie wyznała jej prawdy. Myślała o ojcu, który z pewnością jeszcze musiał żyć, kiedy ona przyzywała go, będąc dzieckiem. Może żył jeszcze wtedy, gdy w Jerozolimie szła za krukiem, lecz nie wiedział, że ma córkę na drugim końcu świata.

Gdy Ulryka zapadła w krótką drzemkę, miała sen. Śniło jej się, że wstała z łóżka, podeszła do okna i wyskoczyła na dwór, lądując bosymi nogami na

śniegu. Wokół niej rosły wysokie sosny, chmury przysłaniały okrągłą tarczę księżyca. Zobaczyła ślady — odciski wielkich łap w śniegu, prowadzące w głąb lasu. Ulryka ruszyła po śladach. Na jej ramiona padało chłodne światło księżyca. Po chwili zobaczyła dużego kudłatego wilka o złotych ślepiach. Usiadła na śniegu, a wilk podszedł i położył się przy niej, kładąc łeb na jej kolanach. Noc była czysta, tak czysta jak spojrzenie utkwionych w nią wilczych ślepi. Czuła równe bicie serca pod jego żebrami. Złote oczy mrugnęły i zdawały się mówić: Tu jest ufność, tu jest miłość, tu jest dom.

Ulryka obudziła się zdziwiona, że leży w łóżku, i przez chwilę nie wiedziała, skąd się wziął w powietrzu zapach wiosennych kwiatów. Podeszła do okna i wyjrzała. Na ziemi było białe, zbocze wzgórza wyglądało jak zasypane śniegiem. I wtedy Ulryka zdała sobie sprawę, że to różowe i pomarańczowe płatki kwitnących drzew owocowych, które padały jak śnieg i w świetle księżyca wydawały się białe. Popatrzyła między drzewa i dostrzegła, że ktoś tam się porusza.

To był Eryk.

Na palcach przemknęła przez perystyl i tylnymi drzwiami wyszła do sadu. Jej stopy przez siedem lat chodziły tą ścieżką, choć teraz już nie tak często jak wtedy, gdy jej uczucia do Eryka były proste i nieskomplikowane.

Podeszła do miejsca, gdzie siedział. Widziała przed sobą jego plecy, mocne i muskularne. Na głowie miał cienką złotą przepaskę, jasne kędziory sięgały ramion. Był piękny.

Ulryka pomyślała, że jeśli jej miłość do niego jeszcze choć trochę wzrośnie, serce jej chyba pęknie.

— Eryku — przemówiła.

Zerwał się i odwrócił do niej. Stali twarzą w twarz w blasku księżyca.

I oto nagle znalazła się w jego ramionach. Od dotyku jego muskularnego ciała zawirowało jej w głowie. Czuła jego usta na swoich, ciepło jego języka. Próbowwała dłońmi ogarnąć go całego. Eryk scałowywał łzy z jej policzków, ustami uciszał jej szloch. Szeptał coś do niej w swoim języku. Zanurzyła palce w jego złocistych kędziorach.

Płatki kwiatów służyły jej za posłanie, gdy przyjęła na siebie ciężar ciała Eryka. Dojrzała księżyc między gałęziami drzew. Czuła, jak ból się oddala. Złość, gniew, poczucie zdrady ustępowały przed siłą namiętności Eryka.

— Uciekniemy razem — szepnęła. — Ukryjemy się gdzieś. Kocham cię. Kocham.

Eryk nic nie odpowiedział. Wiedział już, co musi zrobić. Nie będą razem uciekać i ukrywać się gdzieś, by potem narazić się na schwytanie,

upokorzenie i karę dla obojga. To było coś, czego musi dokonać sam. By okazać, że jest jej wart.

A potem wróci z honorem i zabierze ją tam, gdzie jej ojczyzna, ojczyzna ich obojga. Na północ.

## ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY TRZECI

Rufus maszerował przez most zdecydowanym krokiem żołnierza, który otrzymał rozkazy.

Dotarły do niego pogłoski o tym, co się dzieje w Domu, o obrzydliwych próbach odstraszenia robotników. Zapłonął gniewem. Rufus nie będzie siedział beczynn timer, pozwalając, by ktoś straszył panią Selenę. Trzeba położyć temu kres, a Rufus potrafił to uczynić.

Wyspa spała spokojnie w księżycowej poświacie. Robiła wrażenie zasypanej śniegiem, ale po chwili okazywało się, że to tysiące różowych i pomarańczowych płatków opadły na ziemię i w blasku księżycy wydawały się białe. Przy wejściu do świątyni płonęły pochodnie, poza tym nie było widać śladu życia. Nie dotyczyło to placu budowy na drugim końcu wyspy: tam płonęły liczne ogniska, wokół których siedzieli mężczyźni z pałkami u boku.

Rufus zdecydowanym krokiem podążał w stronę Domu. Nigdy nie zdoła się odwdziżyć pani Selenie za to, co zrobiła dla niego i jego syna Pindara. Biedny chłopiec od lat był tak źle traktowany przez otoczenie, stanowiąc dla dorosłych obiekt okrutnych żartów i niewybrednych kawałów, dzieci zaś obrzucały go zgniłymi jajkami i owocami. Pindar był niezbyt rozgarnięty, to wszystko. Wcale nie przynosił nieszczęścia, jak gadali ludzie.

Pindar nic nie mógł poradzić na to, że był nierozgarnięty. To przez to, że tak wcześnie po urodzeniu stracił matkę. Bogowie świadkiem, Rufus robił co w jego mocy, by biedaczkę uratować, ale cóż mógł poradzić: wywleczono ją zaraz po porodzie na lodowaty wiatr pustyni.

Jednogłośnie się wtedy zgodzili — Rufus i inni żołnierze, że nie wolno zabijać młodej matki i jej dzieciątka. Zabili Rzymianina, to wystarczy. Jak mogły staremu Tyberiuszowi zaszkodzić te dwie nieszczęsne istoty? Wysłani wówczas do Palmiry żołnierze w sekrecie postanowili: oszczędzą dziewczynę i dziecko. Rufus zaś zachował w tajemnicy jeszcze coś, czego nie wiedział nikt inny, tylko on zobaczył, jak położna z drugim noworodkiem chowa się w skrzyni na ziarno.

To była paskudna robota, tak wpadać i zabijać Rzymianina. Oczywiście nie wiedzieli, dlaczego to robią, po prostu spełniali rozkazy nowego cesarza, Tyberiusza. Mimo to istniały pewne nieprzekraczalne granice nawet dla tych gruboskórnych legionistów wysłanych na drugi koniec świata, do jakiejś Palmiry. Dlatego oszczędzili matkę i dziecko.

Ale matka nie dojechała żywa do obozu, zmarła w drodze i tam ją pogrzebali. Chłopczyk jednak wyżył i doczekał chwili, gdy przystawiła go

sobie do piersi młoda żona Rufusa, która właśnie urodziła dziecko i miała dość pokarmu dla dwojga.

Idąc w stronę Domu, majestatycznie rysującego się na tle rozgwieżdżonego kwietniowego nieba, Rufus przywoływał te słodkie, a zarazem gorzkie wspomnienia z odległych lat. Biedna Lawinia, taka młoda, taka delikatna, nie nadawała się na żonę żołnierza i nie zniosła surowych warunków obozowego życia. I ona, i ich dziecko zmarli na gorączkę połogową, która tamtego lata zabrała w Palmirze tak wiele młodych matek i niemowląt. Ale znajdek przeżył. Rufus widział w tym rękę bogów: utraconego syna zastąpili mu drugim. Dlatego nie znając jego prawdziwego imienia, nazwał go Pindarem i postanowił wychować jak własne dziecko.

Doprawdy dziwne, jak Pindar przywiązał się do pani Seleny. Po latach bolesnych doświadczeń nauczył się trzymać z dala od ludzi, starając się jak najmniej zwracać na siebie uwagę. Tymczasem pewnego dnia, kiedy Rufus z synem krążyli po Forum, oglądając stragany z sandałami, Pindar nagle wyrwał się spod opieki ojca i ruszył za przechodzącą tamtędy obcą kobietą. Zniknęła w tłumie, a Rufus znalazł Pindara przy stopniach Curii, syn był rozgorączkowany i rozkojarzony.

A potem, po wielu dniach, Pindar jakoś odnalazł swoją panią na tej wyspie. Od tamtej pory nic go nie mogło zatrzymać w domu.

Cóż — myślał teraz Rufus, szukając wśród robotników nadzorcy — ponoć zwierzęta mają ten specjalny zmysł, który pozwala im wyczuć ludzi z dobrym sercem i potem się ich trzymają. Może Pindar w swym upośledzeniu był obdarzony takim psim instynktem. Bo Pindar właśnie tak trzymał się pani Seleny, jak Fido Pindara.

No i jeszcze to podobieństwo. Coś niewiarygodnego. Może inni go nie dostrzegali, ale Rufus natychmiast zauważył podobieństwo rysów twarzy pani Seleny i Pindara. To także mogło wyjaśniać, dlaczego chłopiec tak się do niej przywiązał. Widział twarz, której mógł zaufać.

Rufus zatrzymał się i rozejrzał po otoczeniu. Kręciło się tam wielu strażników pełniących nocną służbę, ale żaden, jak zauważył, nie siedział w środku nie wykończonego budynku. Wydało mu się to nadzwyczaj dziwne. Czyż nie powinni sprawować straży wewnątrz, gdzie znowu może znaleźć się coś paskudnego?

\* \* \*

Selenie brakowało tchu, gdy w ten rzeński chłodny poranek dobiegła na plac budowy. Była zmęczona, pod oczami miała sine kręgi. Po rozmowie z Ulryką nie spała całą noc, a teraz martwiła się.

Zamierzała dziś z samego rana pójść do pokoju Ulryki i porozmawiać z córką, może nawet spędzić z nią cały dzień i wyjaśnić wszystko. Ale oto z wyspy przybiegł posłaniec z wieścią, że stało się coś złego, więc Selena natychmiast wybiegła z domu.

Ludzie stali dookoła, drapiąc się po głowach i spoglądając po sobie.

— Co znowu tym razem? — spytała Selena, podchodząc. Mordechaj, egipski architekt, zbliżył się z niepewną miną.

— Ludzie są gotowi do pracy, pani. Ale nigdzie nie można znaleźć majstra.

— Gallusa? — spytała Selena, rozglądając się dokoła.

Mężczyźni stali w grupkach: kamieniarze, tynkarze, murarze. Twarze mieli zapuchnięte od snu, niektórzy kończyli śniadanie.

— Czy ktoś go szukał? — spytała Selena.

— Wysłaliśmy ludzi do miasta. Nie było go tam, gdzie zazwyczaj bywa. Jego żona mówiła, że nie wrócił wczoraj do domu.

Selena zmarszczyła brwi. Czy to kolejny paskudny chwyt, który ma powstrzymać budowę Domu? Już miała posłać człowieka, by się dowiedział w cechu budowniczych, czy nie mają jakiegoś majstra na zastępstwo, kiedy z wnętrza Domu dobiegł krzyk.

Wszyscy się obejrzel i zobaczyli wybiegającego ze środka Rufusa.

— Pani! — wołał. — Chodźcie zobaczyć! Przeszył ją dreszcz.

Tylko nie to — pomyślała.

Nie chcąc okazać przed robotnikami lęku, poszła za Rufusem do środka, szykując się na najgorsze.

— Spójrzcie, pani — powiedział, pokazując ręką w górę. A tam, wśród prowizorycznych krokwi i belek rysujących się na tle porannego nieba, krążył biały gołąb.

Selena patrzyła nań ze zdumieniem. Ptak przelatywał z belki na belkę, krążył między rusztowaniami, nie wzbijając się ku niebu ani nie wylatując na otwartą przestrzeń. Nad rotundą jeszcze nie było kopuły, budynek nie miał dachu. A mimo to gołąb nie odfruwiał!

I wtedy Selena dostrzegła w jego dziobku coś zielonego: była to gałązka mirtu.

— To znak, pani! — zawołał głośno Rufus, tak że słyszano go na zewnątrz. — Znak od bogów.

Mężczyźni jeden po drugim wspinali się po schodach i zaglądali do środka w strachu przed tym, co zobaczą. Kiedy jednak dostrzegali trzepocącego skrzydłami gołębia, wchodzili i z zadziwieniem patrzyli na ptaka.

— To znak od Wenus — odezwał się Egipcjanin Mordechaj, mirt był bowiem świętym krzewem bogini.

— A więc i od Cezara! — krzyknął ktoś inny.

I już po chwili wszyscy odważnie wkraczali do Domu, rozmawiając i kiwając głowami.

Wkrótce ogromna otwarta rotunda rozbrzmiewała głosami ludzi. Rufus przysunął się do Seleny i odezwał cicho:

— Gallus odszedł, pani. Już nie wróci. Spojrzała na niego.

— Jak to? Dokąd odszedł?

Rufus milczał, a Selena znalazła odpowiedź. Kiedy ponownie popatrzyła na gołębia, tym razem uważnie, zobaczyła to, czego nie dostrzegli inni: że gałązka mirtu została przyczepiona do dzióbka ptaka, a on sam był uwiązany na cieniutkim sznurku, przymocowanym do środkowej belki sklepienia.

Selena nagle zrozumiała. Ogarnął ją podziw. Odwróciła się do Rufusa i powiedziała:

— Zaiste, sam boski Juliusz zsyła nam ten oto znak. Mówi w ten sposób, że praca nad Domem musi posuwać się naprzód. A ja tymczasem zostałam bez majstra.

— Już idę do cechu, pani.

— A może — odparła, zatrzymując go — ty byś się podjął tej pracy, Rufusie?

— Ja? Ależ pani, jestem tylko starym żołnierzem. I folusznikiem, jeśli uda mi się znaleźć robotę.

— Płacimy dobrze, będziesz jadł mięso trzy razy w tygodniu.

Pobrużdżoną twarz Rufusa rozjaśnił uśmiech.

— Obraziłbym was, gdybym przynajmniej nie spróbował. Kiedy szła ścieżką do świątyni, praca już została wznowiona, a nad Tybrem rozlegał się dźwięk młotów i dłut.

\* \* \*

Był to mały jednoizbowy budynek z kamienia, niegdyś przechowywano tu wino i wędzone mięso. Selena przerobiła go na swój pokój do pracy, gdzie trzymała różne dokumenty i przyjmowała interesantów. Teraz czekała tam na nią Ulryka.

Na twarzy dziewczyny też było znać nieprzespaną noc. Stała sztywno przed matką, jak obca osoba.

— Przyszłam, bo chcę, żebyś mi powiedziała wszystko.

— Wszystko o czym?

— Chcę wiedzieć o wszystkim, co Gajusz Watyniusz zrobił rodakom mego ojca.

— O co ci chodzi?

— Ojciec ci powiedział, wiem, że tak. Teraz ja chcę się tego dowiedzieć.

— Ulryko, to było tak dawno temu.

— Chcę wiedzieć, co się stało. To moje prawo. Moje dziedzictwo. Chcę to usłyszeć dokładnie tak, jak on ci to opowiedział.

Selena pochyliła głowę.

— To było straszne, co ten człowiek robił. Sama walka w lesie była okropna, ale oprócz tego bezcześcił ciała, znieważał ołtarze świętego drzewa... I torturował.

— Mów dalej.

— Po co, Ulryko? — zawołała Selena. — Dlaczego musisz wiedzieć?

— Bo chcę widzieć to, co widział mój ojciec, chcę poczuć w sercu to, co on czuł. Gdyby został z nami w Persji, sam by mi o tym opowiedział. Dorastałabym, znając jego ból. Teraz ty musisz mi przekazać te sprawy.

Selena wpatrywała się w córkę. W końcu powiedziała:

— Gwałcono kobiety. Żonę twojego ojca zabrano do namiotu Gajusza Watyniusza. Byli tam inni mężczyźni. Twojemu ojcu kazano na to patrzeć.

Ulryka miała kamienną twarz.

— Mówiłaś, że do niej wrócił. Więc przeżyła.

— Kiedy go zabierano, była ledwie żywa.

— A jego syn?

— Wolf mówił, że Einara torturowano. To było dziecko, mały chłopczyk. On też wtedy jeszcze żył.

Wiosenny wietrzyk, który powiał przez okno, przynosił zza rzeki odgłosy ruchliwego portu. Słysząc też było stukanie miotów na budowie Domu. Domus Julia — marzenie Seleny po tylu latach pięło się w górę.

— Brat — odezwała się Ulryka. — Mam brata o imieniu Einar. Ile miał wtedy lat? Czy ojciec ci mówił?

Selena szukała w pamięci.

— Chyba wspominał, że miał dziesięć lat. Ulryko, dlaczego nie zostawisz tego w spokoju? To było tak dawno temu.

— Bo mój ojciec żyje. Selena szeroko otworzyła oczy.

— Czemu tak sądzisz?

— To ten przywódca powstania, o którym wczoraj mówił Gajusz Watyniusz. To mój ojciec kieruje rebeliami.

— Chyba w to nie wierzysz, Ulryko! Minęło już dziewiętnaście lat!



Ulryka przeszła obok matki i stanęła przy oknie. Miała wrażenie, że przez tę noc przybyło jej wiele lat. Wiedziała, że już nic nie będzie takie jak dawniej. Poznała też już cel swego życia, zrozumiała, skąd się brał jej niepokój, dlaczego nigdy nie mogłaby zaznać szczęścia w Rzymie. Tuż przed świtem, leżąc w ramionach Eryka, Ulryka zobaczyła przed sobą przyszłość równie jasno i wyraźnie, jak teraz widziała konstrukcję Domu Juliuszów. Wiedziała, co musi zrobić. Jeśli to nie jej ojciec jest przywódcą powstania, to musi być nim jej brat, Einar. Ale nigdy się o tym nie dowie, jeśli tam nie pojedzie i sama tego nie sprawdzi.

— Wyjeżdżam, matko — przemówiła wreszcie, odwracając się do Seleny.  
— Opuzczam Rzym.

— Opuzczasz Rzym?! Jak to? Dokąd jedziesz?

— Do Germanii. Selena uniosła rękę do ust.

— Wyruszam szukać ojca.

— Ulryko, nie!

— On mnie potrzebuje, matko. Teraz o tym wiem. Uświadomiłam to sobie w tej samej chwili, kiedy zrozumiałam, że to na pewno on kieruje powstaniem, które Gajusz Watyniusz zamierza zdławić. Muszę ich ostrzec, powiedzieć o jego planie. Gajusza Watyniusza spotka prawdziwa niespodzianka, gdy moi rodacy będą przygotowani na jego atak. A ja pomogę im w walce. Przyda im się moja wiedza medyczna.

— Proszę — wyszeptała Selena. — Proszę, nie odjeżdżaj.

Ulryka przez moment się wahała. Po jej twarzy przemknął cień niepokoju, zadrżała, ale już po chwili odzyskała panowanie nad sobą. Próg został przekroczony, teraz nie miała odwrotu.

Przy drzwiach obejrzała się i powiedziała cicho:

— Mówiłaś, że wasze drogi musiały się rozejść, że zawsze wiedzieliśmy o nieuniknionym rozstaniu z ojcem. Teraz i ja muszę odejść, matko, przed każdą z nas jest bowiem inne przeznaczenie. Żegnaj. Niechaj bogowie — twoi i moi — cię strzegą.

Selena otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć, ale zamiast tego podeszła do córki i bez słowa wzięła ją w ramiona. Ulryka mocno uścisnęła matkę, a siła tego pożegnalnego uścisku wyjaśniła to, czego nie zdołały uczynić słowa.

Selena odsunęła się i zdjęła przez głowę naszyjnik, próbując go wcisnąć córce do ręki.

— Nie, mamó. To jesteś TY — odparła Ulryka. Wskazała pierścień Juliusza Cezara. — Daj to mojemu braciszкови albo siostrzyczce, daj dziecku, które teraz nosisz w łonie. Ono wyrośnie na Rzymianina, będzie

dumne ze swego Pradziada. Moje serce wzywa mnie do lasów północy. Tu mnie nic nie trzyma. W drodze do ojca będzie mnie prowadził Odyn.

Z gardła Seleny wyrwał się szloch.

— To tak daleko, Rikki! I tak tam niebezpiecznie! Twój dom jest tutaj, w Rzymie, ze mną.

Ale Ulryka potrząsnęła głową.

— Mamo, ty najlepiej powinnaś zrozumieć, dlaczego muszę odejść. Ty sama przez całe życie szukałaś swej tożsamości i swego przeznaczenia. Teraz nadeszła pora, bym ja odnalazła swoje.

Selena patrzyła, jak drzwi zamykają się za córką, potem opadła na krzesło. Przez ułamek sekundy chciała się zerwać i zatrzymać Ulrykę. Chciała ją zachować przy sobie, u swego boku, tak jak to było przez ostatnie dziewiętnaście lat. Ale wtedy przypomniała sobie o czymś: wiele lat temu Mera próbowała odwrócić los Seleny, biorąc go we własne ręce. W gwiazdach Seleny było zapisane, że ma żyć z Andreasem, lecz Mera nie potrafiła tego przyjąć. I dlatego poplątała ścieżki Seleny, by dostosować je do własnej wizji.

Tę samą pokusę miała teraz Selena — powstrzymać Ulrykę przed ruszeniem wybraną przez nią drogą. Ale nie wolno jej było tego zrobić. Dwadzieścia dwa lata temu Mera nie potrafiła dać córce swobody. Selena w ten kwietniowy poranek musi się na to zdobyć.

## ROZDZIAŁ SZEŚCÍDZIESIĄTY CZWARTY

Pośpiech był konieczny. Wczorajszej nocy Gajusz Watyniusz powiedział, że wyrusza do Germanii za pięć dni, biorąc ze sobą legion złożony z sześćdziesięciu centurii — sześciu tysięcy ludzi. Ulryka musi przed nim dotrzeć nad Ren.

Najpierw wstąpiła do Forum, gdzie na ruchliwym targowisku znajdowały się setki małych sklepików i straganów. Tam kazała rzemieślnikowi wyrzeźbić drewnianą kopię krzyża Odyna, który nosiła na piersi, i zawinęła ją w kawałek płótna. Potem wpadła do ich domu na Eskwilinie. Andreas siedział u siebie, pracując nad medyczną encyklopedią. Ulryka zwalczyła pokusę, by pójść i pożegnać się z nim, bo nie było na to czasu, on zrozumie.

Szybko spakowała swoje rzeczy na podróż: odzież z najmocniejszych tkanin, zapasową parę sandałów, przybory toaletowe, pieniądze, drugi płaszcz. Potem z zapasów matki zabrała trochę rzeczy: słoiczki z lekarstwami, woreczki ziół, lek Hekate, pudełko z zieloną pleśnią, bandaże, skalpele, igły. Ze szkatułki matki wyjęła turkus, który kiedyś należał do Rani, i zawiesiła go na szyi razem z krzyżem Odyna, pamiątce po ojcu. W końcu poszła na palcach do biblioteki i zabrała dwie książki: „Materia medica” Pedaniusa Dioskoridesa oraz „De Medicina” Celsusa.

Pauliny nie zastała w domu, więc nie musiała tłumaczyć powodów swojej wizyty. Pobiegła prosto do pomieszczeń niewolników.

Eryka nie było.

Chciała mu powiedzieć, żeby się przygotował. Ale nie znalazła go ani w domu, ani w sadzie, ani w ogrodach. Od świtu nikt go nie widział.

Wtedy zrozumiała: Eryk uciekł.

Nie wspomniał jej o tym ani słowem. Wyruszył sam. I wiedziała dlaczego. Stąd ta zacięta twarz, kiedy się kochali, i pełne zamyślenia milczenie, które potem zachował. Cały czas zamierzał uciec, ale nie przyznał jej się do tego.

Dla mnie — pomyślała. — Zrobił to dla mnie.

Ulryka domyślała się, dokąd uciekł — na północ, do swoich. Znajdzie go, nie wątpiła w to. W Germanii odnajdzie ojca, brata i ukochanego.

Na końcu Ulryka pobiegła do dziecinnego pokoju, odesłała nianię, chcąc zostać na chwilę sama z Waleriuszem.

— Braciszku — powiedziała, klękając przy nim. — Przyszłam ofiarować ci prezent.

— Wczoraj wieczorem wcale do mnie nie przyszedłeś, Rikki — poskarżył się chłopiec. — Czekałem i czekałem, ale ty wcale nie przyszedłeś.

— Przepraszam, Waleriuszku. Nie czułam się dobrze. Pamiętam, że obiecałam ci coś pysznego, ale czy to nie lepsza niespodzianka?

Oczy zrobiły mu się okrągłe z zachwytu, kiedy rozwinęła szmatkę.

— Taki sam jak twój! — zawołał, sięgając po krzyż. Ulryka zawiesiła mu na szyi krzyż w kształcie litery T, a potem rzekła uroczyście:

— To wyjątkowy prezent, braciszku. On naprawdę jest taki jak mój, on sprawi, że będziemy sobie bardzo bliscy niezależnie od tego, jak daleko od siebie rzuci nas los. Ten krzyż zawsze będzie nas łączyć.

Roześmiał się, podziwiając swój nowy naszyjnik.

— Nigdy nie będziemy osobno, Rikki. Przecież mieszkasz tuż obok!

Powstrzymała łzy.

— Posłuchaj, braciszku. Spójrz na mnie i posłuchaj. Ten krzyż jest bardzo ważny. Musisz go zawsze trzymać przy sobie. A gdybyś kiedykolwiek mnie potrzebował, wtedy...

Głos jej się załamał.

— Dlaczego jesteś smutna, Rikki? Chwyła go w objęcia i mocno uścisnęła.

— Posłuchaj, Waleriuszu! Musisz mi coś obiecać. Obiecaj mi, że gdybyś kiedykolwiek mnie potrzebował, bez względu na to gdzie i kiedy, wyślij do mnie ten krzyż, a ja wrócę, nawet z bardzo daleka.

— Ale gdzie ty będziesz, Rikki? — spytał z twarzą wtuloną w jej włosy.

— Dam ci znać, kiedy tylko będę mogła, braciszku. Jeśli nie, spytaj ciocię Selenę. Krzyż znajdzie drogę do mnie, Waleriuszu, a ja wtedy od razu do ciebie przybędę, gdziekolwiek byś był. Obiecuję.

Wyczuwając powagę chwili, chłopczyk oświadczył:

— A gdybyś ty kiedykolwiek mnie potrzebowała, Rikki, przyślij mi swój krzyż, a ja przybędę do ciebie.

Ulryka odsunęła się, popatrzyła na dziecinną, zawsze zalęknioną twarzyczkę i po raz pierwszy dostrzegła w niej zapowiedź mężczyzny, na jakiego wyrośnie Waleriusz: przystojnego i odważnego.

— Tak — odparła, pełna podziwu. — Jeśli kiedykolwiek będę cię potrzebować, braciszku, przyślę ci mój krzyż jako znak.

Wybiegła z pokoju, nim zdążył zobaczyć łzy w jej oczach. Wzięła swój tobolek, który wcześniej zostawiła w ogrodzie, sprawdziła położenie słońca, a potem ruszyła w dół Eskwilinu, kierując się na drogę do Ostii. Na nogach miała solidne buty, za paskiem schowała dość pieniędzy, by dotrzeć tam, gdzie chciała. Na lewym ramieniu niosła swoją skrzynkę z lekami.

Ulryka szła spiesznie, wiedząc, że są z nią bogowie.

## ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY PIĄTY

— Nazywają cię Marcella?

— Tak.

— I jesteś akuszerką na wyspie?

— Tak.

Cesarzowa Agrypina dała znak niewolnikom, by wyszli i zamknęli za sobą drzwi. Marcella nagle znalazła się sam na sam z cesarzową, nie wiedząc, dlaczego wezwano ją do cesarskiego pałacu. Niespokojnie przestępowała z nogi na nogę.

— Powiadano mi — odezwała się Agrypina, siadając naprzeciw stojącej Marcelli — że to ty masz odbierać dziecko Julii Seleny. Czy to prawda?

— Tak, pani. Prosiła mnie o to. Od trzydziestu lat odbieram dzieci.

— Kiedy dziecko ma przyjść na świat?

— Za dwa tygodnie.

— Chcę, żebyś coś zrobiła.

Marcelle ogarniał coraz większy niepokój. Słyszała opowieści o tej strasznej kobiecie, okropne historie o tym, jak ludzie nagle ginęli, a inni byli niewinnie skazywani na śmierć nie wiedząc nawet, o co ich oskarżano. Była więc przerażona, kiedy wezwano ją do cesarskiego pałacu.

Agrypina wzięła ze stołu małą sakiewkę i podała ją Marcelli. Zaskoczona Marcella przyjęła ją.

— Kiedy rozpocznie się poród — powiedziała Agrypina — każesz wszystkim wyjść. Masz dopilnować, by w chwili kiedy dziecko przyjdzie na świat, w komnacie była tylko Julia Selena i ty. Zrozumiałaś?

Akuszerka skinęła głową.

— Jeśli urodzi się chłopiec, udusisz go i powiesz Julii Selenie, że przyszedł na świat martwy.

Marcella głośno wciągnęła powietrze.

— Ależ, pani! Nie mogę tego zrobić!

Agrypina zmierzyła ją spojrzeniem zielonych oczu, spojrzeniem, które sprawiało, że ludzie zginali przed nią kolana.

— Żadnych sprzeciwów. Masz to zrobić.

— Ależ, pani... — zaczęła Marcella i umilkła.

Nagle wszystko pojęła. Chłopiec, w którym ludzie będą widzieli potomka ich ukochanego Juliusza Cezara, może ambitnej Agrypinie pokrzyżować plany dotyczące jej syna, Nerona. Marcella rzuciła na stół sakiewkę ze złotem, dumnie wyprostowała swą pulchną postać i oświadczyła:

— Nie zrobię tego. Agrypina westchnęła.

— Miałam nadzieję, że nie będziesz mi sprawiać kłopotów. Mówiono mi, że jesteś mądrą kobietą. Widzę jednak, że nie.

Cesarzowa klasnęła w dłonie i do komnaty wszedł niewolnik. Zostawił na stole kilka zwojów i cicho zniknął. Marcella spojrzała na zwoje i poczuła nagły chłód.

— Wiesz, co to jest? Pokręciła przecząco głową.

— To świadectwa ludzi, którzy na boginię Bona Fides przysięgają, że byli świadkami twoich aktów zdrady.

— Zdrady?!

— A więc zaprzeczasz?

— Oczywiście, że tak. Do głowy nie przyszła mi nawet myśl o zdradzie.

— Niestety, nie możesz tego udowodnić. Czy jesteś gotowa stanąć przed sądem i odpowiadać na zarzuty?

— Tak. Moi przyjaciele poświadczą moją lojalność wobec Rzymu i cesarza.

Wypiełgnowane brwi Agrypiny uniosły się do góry. Marcellę ogarnęło przerażenie. Znowu spojrzała na zwoje. Kto je podpisał? Kto ją zdradził? Kogo cesarzowa zmusiła do krzywoprzysięstwa, tak samo jak ją teraz zmuszała do morderstwa?

— Widzisz? — powiedziała Agrypina. — Nie miałabyś szans przed sądem. A jak ci wiadomo, zdradę karze się śmiercią.

Marcella nie odrywała wzroku od zwojów.

— Wracając do rzeczy — odezwała się Agrypina, wstając i podchodząc do akuszerki. — To złoto stanowi jedynie połowę zapłaty. Jeśli uczynisz to, co ci powiedziałam, dostaniesz drugą połowę. A także te zwoje, z którymi zrobisz, co zechcesz.

Marcella zebrała się na odwagę.

— Nie wierzę — przemówiła. — W tych zwojach nic nie ma.

— Och, możesz się przekonać w każdej chwili! Proszę, zajrzyj.

Marcella drżącą ręką wzięła jeden ze zwojów i rozwiązała sznurek. Przeczytała oskarżenie, pod spodem był podpis piekarza, który od lat był jej sąsiadem. Potem przeczytała następne. Wszyscy oskarżali ją o zdradzieckie występowanie przeciw Rzymowi, Senatowi i rodzinie cesarskiej.

Cesarzowa patrzyła, jak zmienia się twarz akuszerki. Niedawno w podobny sposób wydłużała się mina Gallusowi. Gallus był człowiekiem Agrypiny na wyspie: zajmował kluczowe stanowisko głównego majstra. Przez jakiś czas nieźle sobie radził, omal nie udało mu się powstrzymać prac. Jeszcze parę

„złych znaków”, a nikt w całym cesarstwie nie odważyłby się nawet spojrzeć na budowę. Ale ktoś zdemaskował Gallusa. Jakiś sprzymierzeniec Julii Seleny wyszedł go i złapał na gorącym uczynku. Nad budową zjawił się gołąb — jakoby zesłany przez Wenus — błogosławiąc Dom, dwa dni później znaleziono w rzece pozbawione głowy ciało Gallusa.

Agrypina musiała poszukać innych sposobów, żaden jednak nie okazał się skuteczny. Popularność Julii Seleny była jej tarczą, a ponadto ta kobieta cieszyła się przyjaźnią Klaudiusza. Lubi! ją, interesował się budową Domu. Agrypina jeszcze nie posiadała większej władzy niż mąż, musiała działać ostrożnie. Co prawda budowa Domu zbliżała się do końca, ale było jeszcze dość czasu. Sprawa dziecka stała się bardziej nagląca.

— No i jak? — zwróciła się do Marcelli.

Marcella upuściła na stół ostatni zwój i ze spuszczoną głową odparła:

— Zrobię, jak nakazujesz, pani.

Upał przygniatał miasto niczym ciężki koc. Najłżejszy powiew nie poruszał gałęziami drzew ani porościami. Nawet rzeka wydawała się ospała. W cyrku prawie bez przerwy odbywały się igrzyska, gdyż lato było w Rzymie wyjątkowo zapalnym okresem, a upał prowokował ludzi do buntów i rebelii.

Dziś rozrywkę dla ludu stanowiła rzeź ku czci boga Augusta, którego imieniem nazwano ten miesiąc, poprzedzający go lipiec nosił imię boskiego Juliusza. Na arenie miała się rozegrać wielka bitwa morska. Dwie pozorowane floty na sztucznym morzu składały się z uzbrojonych w katapulty statków, których załogi miały walczyć do ostatniej kropli krwi. Z tego też powodu ulice Rzymu były prawie puste, gdy Selena i Pindar wolno szli przez Via Sacra.

Andreas prosił Selenę, by nie wychodziła z domu, ale ona się uparła. Dziś miały dokładnie cztery miesiące od wyjazdu Ulryki, a do tej pory nie było od niej żadnej wieści, ani słowa. Dlatego Selena po raz kolejny szła do świątyni boskiego Juliusza, by złożyć dziadkowi ofiarę i prosić o opiekę nad Ulryka.

Towarzyszył jej Pindar. Był niespokojny, czujnie rozglądał się dookoła i często chwycił ją za łokieć. Niósł jej skrzynkę. Selena była już w bardzo zaawansowanej ciąży, z trudem szła, często musiała się zatrzymać, by złapać oddech. Dziecko wczoraj się obróciło. Teraz leżało nisko w jej brzuchu, z główką w zagłębieniu miednicy.

Świątynię boskiego Juliusza otaczał prostokąt trawnika z żywopłotami i fontannami. Sam budynek był niewielki, okrągły, otoczony kolumnami. Nie było żadnych przybudówek, kapłani mieszkali gdzie indziej. W środku stał

jedynie posąg Juliusza Cezara, u jego stóp płonął znicz. Kapłanów dziś nie było, wszyscy znajdowali się w swych łóżach w cyrku.

Selena z ulgą weszła w przyjemny chłód świątyni. Dotknęła ręką dołu pleców i pomyślała, że chyba jednak powinna była posłuchać Andreasa. Chciał, by wzięła lektykę. Ale jej wydawało się, że to blisko, a rano było jeszcze dość chłodno.

Zapatrzyła się w zamyśloną twarz swojego przodka, zastanawiając się, czy rzeczywiście jest obecny w tej małej świątyni. I co myśli o niej, swojej wnuczce.

— Boski Juliuszu — odezwała się cicho, kładąc kwiaty u jego stóp — proszę, strzeż Ulryki, swojej prawnuczki. Wyrzekła się ciebie, ale jest młoda. Musi odnaleźć swoje miejsce w świecie, tak samo jak ja musiałam odnaleźć swoje. Pewnego dnia do ciebie powróci.

Selena czuła się ociężała, ale była zadowolona. Wszystko szło zgodnie z planem. Od kwietnia, kiedy Rufus przejął nadzór nad budową, prace nad Domem od razu szybciej ruszyły. Kopoła, wszystkie ściany, kolumny i arkady były już skończone. Teraz robotnicy zajmowali się drobniejszymi elementami — klamkami w drzwiach, kratami okiennymi. Szacowano, że za jakieś dwa miesiące Domus Julia będzie mógł przyjąć pierwszych pacjentów i pierwszych uczniów.

Selena zamknęła oczy. Miała wrażenie, że stoi na zakręcie. Tyle drogi już za nią, a jednak ciągle jeszcze więcej ma jej do przebycia. Wkrótce ona i Andreas rozpoczną wspólną pracę.

Poczuła nagły skurcz, po nim ciepłą wilgoć między nogami, a w chwilę potem ból w krzyżu.

Jeszcze za wcześnie — myślała, gdy skurcz ogarnął całe jej wnętrze.

— Pindarze. Muszę usiąść. Pomóż mi. Sprawdź, czy nie ma... — Przeszył ją kolejny, mocniejszy skurcz.

Pindar wziął ją pod rękę i zaprowadził w głąb świątyni, gdzie za posągiem Juliusza znajdowała się duża kamienna skrzynia, w której kapłani trzymali szaty i kadzidła. Selena osunęła się na nią i chwyciła za brzuch. Nie zdążyła wciągnąć powietrza, gdy nadszedł kolejny skurcz, silniejszy niż poprzednie, ściskając ją niczym obręcz.

— Sprowadź Marcelłę — szepnęła bez tchu. — Pójdę do domu.

Pindar pokręcił głową.

— Idź! — powiedziała, popychając go. — Jest dość czasu. Nic mi się nie stanie. Będę szła powoli. Pospiesz się, Pindarze!



Zawahał się przez ułamek sekundy, potem obrócił się na pięcie i wybiegł ze świątyni. Selena widziała, jak jego sylwetka przez chwilę zasłania wejście. Promienie sierpniowego słońca utworzyły wokół niego oślepiającą aureolę, to optyczne złudzenie sprawiło, że przez chwilę wyglądał jak wizerunek boga Heliosa. Potem Pindar zniknął. Selena usłyszała jeszcze, jak zbiegał po schodach. Została sama.

Następny skurcz sprawił, że zwinęła się z bólu. Skulona, obiema rękami chwyciła brzeg sukni. Ciało pokryło się zimnym potem, choć płonęło z bólu, a kolejny skurcz był niczym język ognia. Przez chwilę Selena nie widziała nic, oślepia. Była ślepa, głucha, czuła jedynie straszliwy, przenikliwy ból.

Nie tak było z Ulryka — odezwała się w jej mózgu resztką świadomości. — Coś jest nie w porządku.

Próbowała wstać. Zalała ją fala bólu. Selena opadła na kolana, potem położyła się na boku. Zaczęła dyszeć. Zimna wilgotna suknia przylepiła się do ciała. Czekwała. Następny ból wydawał się mieć źródło w jej sercu, potem płomień wystrzelił w dół niczym spadająca gwiazda, a w końcu eksplodował w podbrzuszu.

Krzyknęła.

Chwilę leżała, głęboko oddychając, próbując odzyskać panowanie nad ciałem, zebrać siły przed kolejnym atakiem. Ból był nie do zniesienia.

— Ratunku — szepnęła, choć wydawało jej się, że krzyczy na cały głos.

Ono mnie zabija. Umrę.

Selena czuła, jak odpływa ze świątyni. Widziała oddalające się od niej marmurowe stopy pomnika dziadka, potem wpadła w ciemny tunel, gdzie czekały na nią tylko płonące obręcze bólu.

Posadzka była twarda i zimna, ale Selenę spalał czarny ogień. Minuty ciągnęły się niczym godziny, a te rozciągały się w dni, miesiące, w nieskończoność. Selenie wydawało się, że leży tam od wieków. Pindar stał się tylko odległym wspomnieniem.

Wtedy zobaczyła biegnące ku niej stopy. Boski Juliusz zmienił zdanie, wrócił jej na pomoc? Ale to był tylko Pindar, który bełkotał jak dziecko, że bał się iść aż na wyspę po Marcellę. Nie mógł zostawić swojej pani samej. Płakał, próbował ją podnieść.

Selenę ogarnęło przerażenie. Nie było go tylko minutę.

— Coś jest nie tak — wyszeptała.

Ujął ją swymi dużymi dłońmi pod ramiona i zaciągnął z powrotem za posąg, a Selena ze zdumieniem uświadomiła sobie, że widocznie czołgała się po posadzce.

Dokąd? — zastanawiała się w duchu.

Widziała, jak Pindar wyłamuje zamek z kamiennej skrzyni i podnosi wieko. Przez nową falę bólu dotarła do Seleny myśl: Nie powinien tego robić! To świętokradztwo.

I w tej samej chwili uprzytomniła sobie, dlaczego się czołgała. Chciała wydostać się ze świątyni, gdyż poród zbezczeszczyłoby to święte miejsce.

Ale dlaczego? — myślała, czując, jak kolejna fala bólu nadchodzi, osiąga punkt szczytowy i zalewa całe ciało. — Przecież to cud życia, sami bogowie go wymyślili.

Przerwy między skurczami, kiedy Selena mogła oddychać i myśleć przytomniej, stawały się coraz krótsze, aż czuła już tylko ciągłą, nieprzerwaną falę bólu.

W końcu ona sama stała się bólem, ponieważ zapanował nad nią i zaniósł w jakieś mroczne miejsce poza czasem i istnieniem.

Pindar tymczasem coś robił: wyciągał szkarłatne szaty i złote pasy.

— Nie wolno... — powiedziała.

Szlochał, był przerażony, ale mimo to trwał przy niej, próbując pomóc. Poduszka pod głowę, poduszka pod plecy. Selena spojrzała na kopułę wieńczącą świątynię dziadka i poczuła na nogach ciepłe letnie powietrze, gdy Pindar podciągnął jej suknię.

Przypominała sobie, jak rodziła Ulrykę, jak to wtedy było. Ale wówczas było zupełnie inaczej. Miała obszerne miękkie łoże, Rani poiła ją ciepłym winem, a u jej boku stał stary kapłan Zaratustry, który odebrał już tysiące dzieci. Ulryka po prostu wyszła z jej łona na świat.

Taka właśnie jest Ulryka — pomyślała Selena, chcąc oderwać się od swego udreżonego ciała. — Gdziekolwiek teraz jest: czy walczy u boku ojca, czy po prostu czeka, aż spadnie śnieg, ona zawsze będzie sięgać po życie.

Przeszył ją kolejny ból, inny, umiejscowiony niżej, przenikliwy jak ostrze noża. Przeraził ją. Wtedy na czole poczuła delikatny dotyk ręki Pindara jak niespodziewany, kojący balsam.

Jestem za stara — myślała Selena. — Ulryka urodziła się dziewiętnaście lat temu, kiedy byłam jeszcze młoda... Moje ciało stwardniało, nie chce się otworzyć. Umieram...

— Zatrzymam je — wyszeptała. — Nie wypchnę go. Zatrzymam to dziecko w moim łonie i będę je tam nosić po kres swoich dni.

Selena krzyknęła.

Gołębie poderwały się z belek, chwilę krążyły, obijały się o ściany i z powrotem usiadły. Selena krzyknęła znowu.

Coś naprawdę było niedobrze. Czowała to, a Pindar to widział. Zmagala się z tym. Próbowal jej powiedziec, zeby nie walczyła. Staral się ją uspokoic, uciszyc. Niezrecznie probowal ją sklonic, by się položyla i pozwolila samemu cialu uporać się z tym, bo walka tylko wszystko pogarsza.

Ale ból zmuszal ją do walki, a walka jeszcze bardziej wzmagala ból. Selena z przerazeniem i strachem uświadomila sobie, że rzeczywiscie się zabije, ale nic nie mogła na to poradzić. Ból, ból...

I nagle otoczyły ją kochające ramiona, do uszu dotarl uspokajający szept.

— Już dobrze — powiedziala do tego wiernego prostaczka, który obejmowal ją i plakal na jej ramieniu.

Pindar kołosal ją jak dziecko i Selena pomyslala, że to najmilsza rzecz na świecie. Jej umysl chcial krzyczec wraz z ciałem, tymczasem zrodzila się w nim myśl: On wie, czego potrzebuje, wie lepiej niż Marcella... Potrzebuje kogoś, kto zatroszczyłby się o mnie, a nie tylko o moje łono. Ktoś, kto podzielilby mój ból, przecial go na polowe, zabral.

I nagle go zobaczyla.

Swój płomień duszy.

Do tej pory tylko raz zjawił się bez przywołania i oto znów sam pojawil się niespodziewanie, płonąc jasno jak kometa, był to tak upragniony widok, że Selena wybiegła mu naprzeciw i objęła go, tak jak Pindar ją obejmowal.

Nagle uświadomila sobie, że to wcale nie jest płomień jej duszy. Należal do kogoś innego. Był chłodniejszy, mlodszy, słodki. Zrozumiala, że to płomień Pindara. Drzał i tańczył, kiedy go trzymala.

Selena zaczęła plakac, potem śmiać się, wreszcie powiedziala:

— Już.

Jeszcze jedno, ostatnie pchnięcie bólu i cały jego ogień wypłynął z niej.

## ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY SZÓSTY

Towarzyszyły jej duchy.

Selena czuła ich obecność w łagodnym powietrzu wczesnej jesieni. Duchy, które zebrały się, by ją prowadzić, by dzielić z nią chwilę triumfu, gdy w to październikowe popołudnie krążyła po pustym Domu.

Robotnicy skończyli swoją pracę przed tygodniem. Potem zjawili się sprzątacze, którzy czyścili i polerowali wszystko, póki cały Dom nie zaczął błyszczeć. Pachniało tu olejem drzewnym i pszczelim woskiem, świeżym łożem i ziołami, marmurowe posadzki lśniły niczym morska tafla, białych sufitów jeszcze nie okopcił dym lamp. Domus Julia — świeży i młody, był gotów do swych wielkich zadań.

Pindar szedł za Seleną, która dokonywała ostatniej inspekcji. Niósł Juliusza, jej trzymiesięcznego syna. Patrzył, jak jego pani wolno wchodzi do olbrzymiej rotundy, stanowiącej główną część budynku, jak zadziera głowę i rozgląda się z wyrazem zachwytu na twarzy, jakby widziała Domus po raz pierwszy. Szedł za nią przez wszystkie pomieszczenia: sale z łózkami dla chorych, magazyny, salę gimnastyczną i bibliotekę, sale wykładowe Andreasa. Pindar nie potrafił sobie wyobrazić tego, co miała przed oczami Selena: pacjentów, pielęgniarzy, lekarzy i nauczycieli. Nie potrafił sobie wyobrazić życia, które zacznie się tu za dwa dni, wypełniając puste komnaty ruchem i hałasem. Jedynie Selena to widziała, równie wyraźnie, jak przez ostatnie dziewiętnaście lat, od kiedy w Persji po raz pierwszy zobaczyła doktora Czandrę i jego pawilon.

To właśnie wtedy, podczas owych wieczorów w komnatach księżniczki Rani, zaczął naprawdę powstawać Dom Juliuszów. I teraz Selena czuła przy sobie obecność tej starej mądrej przyjaciółki, która pojawiła się, by pogratulować Selenie, ale też by się z nią trochę posprzeczać.

— Pacjentów trzeba zabawiać, żeby nie zasnęli — twierdziła wielokrotnie w rozmowach z Seleną.

— Pacjenci potrzebują snu — upierała się Selena.

To był jeden z punktów, co do których nigdy nie zdołały się pogodzić, ale Selena wygrała. Nad wejściem do Domu wypisano słowa: sen jest lekarzem bólu. Miały przypominać pracownikom i gościom, by cicho stąpali po marmurowych posadzkach.

Selena nie wątpiła, że wielu gości przyjdzie obejrzyć Domus. Już od miesięcy Rzymianie płonęli z ciekawości, patrząc na budynek wznoszący się na północnej części wyspy. Przybytek dla chorych? Nie świątynia, w której za

grosik można spędzić noc, ale miejsce, gdzie można się spodziewać opieki, takiej jak w domu rodzinnym? Rzymianie nie słyszeli nigdy o czymś takim, nie potrafili sobie tego wyobrazić, nie wiedzieli, jak to będzie funkcjonować. Małe prowizoryczne izby chorych na wyspie, do których przyjmowano pacjentów podczas projektowania i budowy Domu, były niczym w porównaniu z samym Domem.

Jutro, w czasie uroczystego otwarcia Domu Juliuszów, obywatele będą mogli wejść, obejrzyć wszystkie wnętrza i na własne oczy przekonać się, jakie tajemnice kryją się pod tą białą kopułą.

Selena zatrzymała się w bibliotece. Półki od podłogi do sufitu wypełnione były zwojami i księgami. Można tu było znaleźć starożytne magiczne formuły z Egiptu, traktat naukowy z odległych Chin, kompendium ludowej medycyny z Brytanii. A także prawdziwy klejnot tych zbiorów — ogromną encyklopedię medyczną Andreasa, pięćdziesiąt tomów ukończonych na czas przed jutrzejszą uroczystością otwarcia. Andreas pracował nad tym dziełem długo i ciężko, zawierało ono całą wiedzę o medycynie, zebraną przez Rzymian i Greków: od ziół po chirurgię, od botaniki po anatomię. Za kilka dni, po zakończeniu uroczystości, dzieło zostanie stąd zabrane i skopiowane, tak by mogli z niego korzystać lekarze i studenci we wszystkich miastach świata.

Selena obejrzała się i zobaczyła, że Pindar usypia Juliusza, kołysząc go w ramionach i coś po swojemu mamrocząc.

Mimowolnie zmarszczyła brwi. Od tamtego przerażającego wypadku z Marcella parę dni po przyjściu na świat Juliusza, kiedy dziecko nagle zachorowało i posiniało, Pindar nie spuszczał oka z niemowlęcia. Następnego zaś dnia znaleziono w wannie martwą Marcellę z podciętymi żyłami. W pożegnalnym liście prosiła o wybaczenie...

Czyżby pogłoski były prawdziwe? Czy Agrypinę rzeczywiście rozwścieczyły narodziny syna Seleny? Czy naprawdę oświadczyła, że poród w kaplicy boskiego Juliusza był zaplanowany? Że Selena chciała w ten sposób potwierdzić przynależność dziecka do dynastii julijsko-klaudyjskiej? Rzeczywiście był to pomyślny znak, Selena nie zaprzeczała. Kapłani postanowili nie przywiązywać wagi do prastarego przesądu, uznającego, że poród bezcześci świątynię, i oznajmili, że narodziny dziecka w świątyni boskiego Juliusza to dobry omen. Ale przecież Selena tego nie zaplanowała!

Gdyby nie Pindar, umarłaby tam, u stóp posągu swego dziadka.

Dziwne, jak bliski stał jej się Pindar od tamtej pory. Nawiązała się między nimi przedziwna więź, nie potrafiła jej nazwać. Pindar odebrał jej dziecko, tulił ją w krytycznych chwilach i dlatego myślała o nim z ogromną czułością,

jak o serdecznym przyjacielu lub krewnym. A jednak... było coś jeszcze, coś, czego nie zdołała dotąd dokładnie określić.

Selena potrząsnęła głową. Tyle myśli zaprzętało dziś jej umysł! Drżała niczym panna młoda, czuła się, jakby znów miała szesnaście lat.

Handlarza kobiercami zabrano by właśnie w takie miejsce — pomyślała, przypominając sobie, jak to było, kiedy rzeczywiście miała szesnaście lat. Wtedy, w Antiochii, była taka bezradna i zagubiona, gdyby nie Andreas, tamten człowiek by umarł. W Rzymie coś takiego się nie przytrafi — zapewniała się w duchu. — Bo teraz istnieje Domus Julia.

Razem z nią szła też Mera. Selena czuła jej zdumienie, oszołomienie wobec tak ogromnego medycznego przedsięwzięcia. Duch Mery aprobował to, choć Selena wyczuwała cień wątpliwości, jakby ta staroświecka kobieta mówiła: Czy to się uda? Czy świat jest na to przygotowany?

Jedynym duchem, którego obecności Selena nie czuła, był duch Wolfa. Czy to znaczy, że on jeszcze żyje? Czyżby rzeczywiście przewodził rebelii w germańskich borach? Czy Ulryka go znalazła? Czy się nareszcie spotkali i walczą ramię w ramię?

Selena splotła ręce. Jutro wszystko się zacznie. Jutrzejszy dzień wyznaczy kres jej długiej odysei. Jutro nastąpi zmierzch starej ery i wезде słońce nowej epoki, jak to zostało przepowiedziane. Jutro...

— Seleno! Obejrzała się. Wbiegł Andreas.

— Paulina! — zawołał bez tchu. — Aresztowali ją!

\* \* \*

Pospieszyli do więzienia na Kapitolu, zostawiając na wyspie Pindara z dzieckiem, i wkrótce ku swemu przerażeniu dowiedzieli się, że Paulina nie została zatrzymana w miejskim więzieniu, lecz wtrącona do lochów Wielkiego Cyrku.

— Wielcy bogowie, czemuż to? — spytał Andreas. Urzędnik sprawdził w spisie i wzruszył ramionami.

— Została oskarżona o zdradę.

— O zdradę?!

— Dlaczego akurat w cyrku? — pytała Selena, chwytając Andreasa za ramię.

Mężczyzna przerzucił kilka woskowych tabliczek z nazwiskami osób wyznaczonych do egzekucji i oświadczył:

— Ma umrzeć razem z Żydami. Selenie zrobiło się słabo.

Pojawiła się nowa sekta Żydów, nazywających siebie Nazarejczykami, którzy nie zgadzali się oddawać cesarzowi boskiej czci, co uznawano za akt

zdrady. Już wcześniej, dla przykładu, zostali wydani na pastwę dzikich psów i niedźwiedzi na arenie cyrku. Jutro miało się odbyć widowisko, w którym Klaudiusz szczególnie gustował: zdrajcy zostaną powieszani na krzyżach, oblani smołą i spaleni żywcem na arenie.

— Wszak pani Paulina nie została osądzona! — zawołał Andreas.

Urzędnik spojrział na niego z miną, mówiącą wyraźnie: takich się nie sądzi.

— Ale dlaczego? — nalegała Selena. — Paulina nie należy do nich! Klaudiusz o tym wie.

— To nie cesarz wydał rozkaz aresztowania — odparł mężczyzna. — Została wzięta z rozkazu pani Agrypiny.

Kiedy z powrotem znaleźli się na ruchliwej ulicy, Selena powiedziała:

— Andreasie, nic nie rozumiem. Czemu Agrypina każe aresztować Paulinę wiedząc, że te zarzuty są fałszywe?

Andreas zmrużył oczy, patrząc na zachodzące słońce.

— Idź uspokoić Paulinę — odparł. — Powiedz, że dopilnujemy, by ją natychmiast zwolniono.

— Dokąd idziesz?

— Do Klaudiusza. Podejrzewam, że on nic o tym nie wie. Wyda rozkaz uwolnienia Pauliny.

Selena przepychała się przez zatłoczone Forum, chcąc dostać się do cyrku od południowej strony, a gdy już tam dotarła, musiała prośbą i groźbą przekonywać kolejnych strażników, nim wreszcie pozwolono jej zobaczyć się z Paulina.

Przyjaciółka znajdowała się w celi sama, siedziała wyprostowana, z dłońmi na kolanach. Słyszając kroki na kamiennej posadzce korytarza, odwróciła się do kraty w drzwiach i zobaczyła twarz Seleny. Podniosła się godnie, jakby witała gościa u siebie w domu.

— Paulino — odezwała się Selena, ściskając kraty. — Właśnie otrzymaliśmy wiadomość. Andreas poszedł do cesarza.

Paulina podeszła bliżej i Selena ujrzała bladą, wstrząśniętą twarz. Ale także znajomą rzymską gravitas, ową wrodzoną patrycjuszowską godność, która odróżniała panią Paulinę od innych, płaczących i przeklinających więźniów.

— To stało się tak szybko — rzekła spokojnie Paulina. Trzymała się prosto, głowę miała dumnie uniesioną. — Do willi wkroczyli pretorianie, pokazali rozkaz aresztowania i zabrali mnie. Zdążyłam tylko powiedzieć niewolnikowi, żeby was zawiadomił.

Selena spojrziała w topazowe oczy Pauliny i pod błyskiem odwagi dostrzegła w nich lęk.

— Ale dlaczego? — spytała. — Kto cię oskarżył?

— Tego nie wiem. Zabrano mnie przed oblicze cesarzowej, a ona pokazała mi jakieś zwoje, jak twierdziła, były to zeznania świadków mej zdrady.

— Fałszywe! Paulina zacisnęła wargi.

— Agrypina niewątpliwie przekupiła albo zastraszyła moich przyjaciół, by złożyli fałszywe zeznania. Nie przyznano mi nawet prawa do procesu. Mam... umrzeć jutro. Na arenie.

Selena z niedowierzaniem patrzyła na przyjaciółkę. To nie może być prawda. To tylko koszmarny sen, z którego zaraz się obudzi w białym, czystym i pełnym słońca Domu. Te wszystkie odgłosy — szlochy, błagania dobiegające zza drzwi innych cel — również jej się śniły.

— Ale czy powiedziała dlaczego? Musiała czegoś od ciebie chcieć, Paulino, skoro cię sprowadziła do siebie. Co mówiła?

Po raz pierwszy Paulina przestała panować nad twarzą. Zniżyła głos, by móc go lepiej kontrolować:

— Zażądała jednej rzeczy.

— Czego?

— Żebym cię namówiła do odwołania twierdzenia, iż w twoich żyłach płynie krew Juliusza Cezara.

W celi było tylko jedno maleńkie okienko tuż pod sufitem, przez które wpadało światło gasnącego słońca. W powietrzu unosił się dziwny zapach, jakiś swąd spalenizny, a z oddali dobiegały krzyki, że gdzieś się pali.

Selena patrzyła, jak miedziana poświata zachodzącego słońca powoli znika z kamiennej podłogi, jakby ją odpychała fala przyływu, wdychała słabą woń dymu, słuchała nawoływań Cohortes Vigiliumi, rzymskiej straży pożarnej. W wyobraźni ujrzała ich wiadra, skórzane węże i nieskuteczne pompy ręczne. Wielokrotnie już widziała w akcji tych dzielnych ochotników, zmagających się z ogniem z zapalem większym, niż gdyby stawiali czoła wrogiej armii, pożar bowiem stanowił największe zagrożenie dla miasta i budził w Rzymie największy strach.

Co się pali tym razem? — pomyślała Selena.

— Rozumiem — odezwała się w końcu cicho i nagle rzeczywiście zrozumiała.

Po tych kilku słowach Pauliny wszystko stało się jasne. Złe znaki w Domu, niewytłumaczalna choroba dziecka w czasie, gdy doglądała go Marcella, niezrozumiałe samobójstwo Marcelli. Tym wszystkim kierowała ręka cesarzowej. Chciała zniweczyć wyimaginowany plan Seleny. Plan, mający rzekomo pozbawić jej syna tronu.



Nie odważy się zaatakować mnie samej — pomyślała Selena — ale może mnie zranić poprzez rodzinę i przyjaciół.

— A jak mam tego dokonać? — zapytała.

— Publicznie — powiedziała cicho Paulina. — Masz oświadczyć, że to wszystko kłamstwo. Że nie jesteś wnuczką Juliusza Cezara. I masz wobec wszystkich oddać Agrypinie pierścień.

— I potem cię uwolni? Paulina nie odpowiedziała.

— W takim razie muszę to zrobić. To z mojego powodu grozi ci straszliwa śmierć. Ja jestem za to odpowiedzialna. I ja muszę cię stąd wydobyć.

Paulina przycisnęła twarz do kraty i powiedziała:

— To jeszcze nie wszystko...

— Nie wszystko? A co jeszcze mam uczynić?!

— Agrypina żąda, byś publicznie ogłosiła, że twoje leczenie opiera się na czarnej magii.

Selena nie odrywała wzroku od przyjaciółki.

— A Domus nazwała miejscem, w którym mieszkają złe duchy.

W oczach Seleny pojawiła się zgroza. Jak mogło do tego dojść? Od tamtej chatki w ubogiej dzielnicy Antiochii — do tego? Zaprzec się przodka, o którym wiem od niedawna, to jeszcze możliwe. Ale wyprzec się mego świętego powołania, splugawić marzenie, które dzielę z Andreasem?!

Selena spojrzała na okienko w ścianie. Światło dnia zniknęło. Nad Rzymem zapadła noc. W powietrzu coraz mocniej czuć było dym. Coraz głośniejsze też rozlegały się głosy innych więźniów: krzyczeli, by ich wypuścić. Oni też czuli dym i ogarnęła ich panika.

— Nie zdobędę się na to — powiedziała Selena. — Andreas poszedł do Klaudiusza...

Urwała, uświadomiwszy sobie nagle, że Andreasa nie ma już bardzo długo.

— Seleno — powiedziała Paulina — musisz uciekać z Rzymu. Potęga Agrypiny rośnie z dnia na dzień i nadejdzie chwila, gdy lud nie będzie mógł cię ocalić. Znam tę kobietę. Podburzy ich przeciwko tobie. Ludzie są zmienni, Seleno. Pójdą za każdą nową gwiazdą. Dzisiaj ty nią jesteś, ale już jutro mogą cię zdeptać. Uciekaj z Rzymu, Seleno. Zabierz dziecko i uciekaj.

Selena wpatrywała się w przyjaciółkę szeroko otwartymi oczami.

— Ale... Domus! On jest celem mojego życia! Jak mogę go zostawić?

— Myślisz, że Agrypina dopuści, by on się ostał? Znajdzie sposób, by go zniszczyć, a wraz z nim ciebie i tych, których kochasz.

— Przecież gotowa jestem wyrzec się swego pochodzenia! To na pewno wystarczy! Jeśli jej udowodnię, że nie zamierzam stawać jej synowi na drodze do władzy, Agrypina zostawi nas w spokoju.

Jednak nie — uświadomiła sobie Selena, jeszcze zanim skończyła mówić te słowa. Zdała sobie sprawę, że jeśli wyprze się swego pochodzenia, nic już nie ochroni jej ani jej syna. Sama, z własnej woli zwróci przeciwko sobie motłoch i odda się w ręce Agrypiny.

Paulina wyciągnęła dłoń i przez kraty chwyciła Selenę za przegub.

— Uciekaj — szepnęła nagle. — Jeszcze tej nocy, od razu. Zabierz Andreasa, dziecko i uciekaj jak najdalej, w bezpieczne miejsce.

— Nie zostawię cię, Paulino!

— I weź mojego syna, Seleno. Zabierz ze sobą Waleriusza. Kiedy umrę, nie będzie bezpieczny. Wychowaj go jako swoje dziecko.

Tymczasem inni więźniowie walili w drzwi, wrzeszcząc, by ich wypuszczono. Paulina i Selena spojrzały w okienko. Pojawił się w nim blask, jakby drugi zachód słońca, a swąd spalenizny stawał się coraz silniejszy.

Przez żelazne wrota wszedł strażnik i ryknął:

— Pożar jest daleko! Nie spalicie się! Uspokójcie się! Kiedy cofnął się za drzwi, zostawiając je uchylone, Selena usłyszała ponad wrzawą inny głos: to był Andreas, który kłócił się ze strażnikiem. Selena wyjrzała i zobaczyła, że mężczyzna marszczy czoło, patrząc na skrawek papieru.

— Znasz pieczęć cesarza — mówił Andreas. — Oto ona. Natychmiast wypuszczaj panią Paulinę albo spotka cię surowa kara.

Podczas gdy strażnik w zakłopotaniu drapał się po głowie — tę kobietę w końcu kazała uwięzić Agrypina — Andreas posłał Selenie ostrzegawcze spojrzenie. Schowała się za drzwiami.

W końcu tamten ustąpił.

— Niech będzie. Co prawda rozkaz powinna wydać cesarzowa, ale...

Gdy tylko otworzył drzwi, Paulina wybiegła z celi i wszyscy troje ruszyli spieszonym krokiem do wyjścia, ale nie na tyle szybko, by ściągnąć na siebie uwagę. Kiedy wyszli w pełną dymu noc, Andreas powiedział:

— Musimy natychmiast opuścić Rzym. Klaudiusz nie żyje.

— Co?!

— Kiedy przyszedłem do niego w sprawie Pauliny, jadł właśnie wieczerzę. Był pijany i upierał się, bym przy nim usiadł.

Agrypina wmusiła w niego drugą porcję grzybów, których przedtem nie skosztował sługa. I po tych grzybach umarł. Ale to nie wszystko. — Wziął

Selenę pod rękę i mocno przytrzymał jej ramię. — Agrypina twierdzi, że to ja go otrujęm. Kazała mnie aresztować.

— Nie!

— Udało mi się niepostrzeżenie uciec z pałacu, ale Agrypina ma teraz pełnię władzy. Będzie rządzić w imieniu Nerona, póki ten nie dorośnie. Dziś w nocy musimy wyjechać z Rzymu.

— Mój syn... — odezwała się Paulina.

— Umówiłem się z kapitanem statku, który wypływa dziś wieczorem. To nasza jedyna szansa. Wszystkie drogi z miasta będą strzeżone. Statek odbija za godzinę.

— Andreasie — powiedziała Selena. — Idź z Paulina do jej domu. Weźcie Waleriusza i... pieniądze. Andreasie, będą nam potrzebne pieniądze. Ja pójdę na wyspę po Juliusza. Musimy zabrać też trochę rzeczy: żywność, leki. Będę musiała zostawić Herodasowi wskazówki dotyczące Domu. Spotkamy się w porcie.

Rozstali się na ciemnej ulicy: Andreas z Paulina ruszyli do swych domów na Eskwilinie, Selena pospieszyła na wyspę.

Gdy jednak dotarła nad rzekę, stanęła jak wryta, szeroko otwierając oczy.

Domus płonął.

Uwijali się przy nim strażacy, ale ich wysiłki na nic się nie zdawały. Domus był za duży, wyspa zbyt ciasna, by mogli prowadzić akcję. Na obu brzegach rzeki zaczęli się gromadzić ludzie, patrząc na strzelające wysoko w niebo płomienie. Biegając, Selena usłyszała, jak ktoś mówi:

— Tu nigdy nie wiodło się dobrze. Pamiętajcie, co tam się działo w kwietniu? Wiedziałem, że to się nie uda. No bo kto to słyszał o czymś takim? Dom dla chorych...

Nie, nie, nie — waliło jej serce w rytm stóp biegnących po kamiennym moście.

Żar ognia sięgał aż na kraniec wyspy. Chorzy i kapłani wybiegli ze świątyni, wielu wskoczyło do rzeki, inni biegli mostem, przepychając się i tratując tych, którzy upadli. Huk ognia był ogłuszający, tak jakby na wyspie ryczał rozgniewany, płonący lew, a z jego paszczy wraz z rykiem dobywał się ognisty oddech, sięgając pod niebo.

Tłum odpychał Selenę do tyłu. Dwa razy padała i podnosiła się. Przed nią rozciągał się groźny, zapierający dech widok: płonący Domus niczym rozżarzone wschodzące słońce rozjaśnia! nocne niebo na mile dokoła, a deszcz iskier i popiołów spadał na miasto.

Selena czuła, jak rozpalone powietrze wdziera się jej do płuc. Zmoczyła w fontannie pallę i zarzuciła ją na głowę. Zasłoniwszy usta mokrą tkaniną, przepychała się w stronę Domu.

Gdzie jest Pindar z dzieckiem?

Najpierw znalazła Rufusa: leżał przygnieciony kamiennym blokiem. Głowę miał rozbitą, w otwartych oczach odbijały się złociste płomienie.

Kiedy przy nim uklękła, stary weteran resztkami sił wyszeptał:

— Zaopiekuj się moim chłopcem. Teraz ty zastąpisz mu rodzinę.

I skonał.

Wielu ludzi zostało uwięzionych pod gruzami. Selena ujrzała człowieka, który biegł, płonąc jak pochodnia, a potem wpadł do wody.

Jak zahipnotyzowana wpatrywała się w pożogę. Wejście do Domu przypominało ognistą paszczę. Pomyślała o tym, co było wewnątrz — o książkach, lekach.

Encyklopedia Andreasa.

Jej skrzynka z lekami.

Musiała się odwrócić. W budynku co chwila następowała! wybuch, gdy nagromadzone w świeżych murach gazy nagrzewały się i eksplodowały. Teraz nawet strażacy opuszczali wyspę. Za to przybywało ludzi na brzegach rzeki. Krzyczeli, wiwatowali, podawali z rąk do rąk dzbany z winem. Jakby oglądali widowisko, jakby to była zabawa.

Selena pobiegła na tył budynku, gdzie ogień był trochę słabszy.

— Pindar! — krzyknęła.

Okna błyszcząły niczym ślepiec demona. Z drzwi waliły kłęby dymu.

— Pindar! Gdzie jesteś!

Iskra spadła na jej suknię, która zaczęła się palić. Selena szybko zdusiła ogień. Po kolejnym wybuchu na jej głowę posypał się popiół. Zasłoniła twarz ramieniem.

Dziecko! Gdzie jest dziecko?

— Pindar! — krzyczała rozpaczliwie, ale jej głos ginał w piekielnym ryku ognia.

Wtedy jakiś człowiek, jeden z pobożnych braci, chwycił ją za ramię i próbował odciągnąć.

— Widziałeś Pindara i dziecko? — zawołała Selena.

— Byli w środku, kiedy wybuchł pożar, pani! Nie wyszli ze środka! Odejdźcie stąd, pani!

— Pindar! Juliusz!

Wyrywała się bratu, aż wreszcie puścił ją i uciekł, zasłaniając głowę przed spadającymi szczątkami Domu.

Obiegła cały budynek, szukając jakiegoś wejścia, ale wszystko płonęło.

— Pindar... — szlochała, potykając się i padając na ziemię. Wróciła do głównego wejścia, gdzie języki ognia lizały kolumny masywnego portyku. Żar stanowił ścianę nie do przebycia, jego potężne fale odpychały Selenę do tyłu. Wtem nad jej głową rozległ się huk. Kamienne nadproże z napisem: sen jest lekarzem bólu rozpadło się i na ziemię posypał się grad odłamków marmuru.

Selena spojrzała w górę. Zasłoniła się rękami. Za późno. Odłamek wielkości pięści trafił ją w głowę, upadła na wypaloną trawę, pogrążając się w mroku.

\* \* \*

Andreas z Paulina biegli krętymi ulicami na Eskwilin, oglądając się przez ramię, żeby zobaczyć, co to się pali. Ale za każdym razem widok zasłaniały im budynki, mury ogrodów, wysokie cyprysy. W sierpniu często wybuchały pożary, prawie nie było dnia, by w powietrzu nie unosił się swąd dymu, a z rozgrzanego nieba nie spadał deszcz popiołu. Kiedy jednak dotarli do swojej ulicy na szczycie wzgórza, wreszcie zobaczyli. I zamarli.

— To wyspa! — wyszeptała Paulina.

— Tam jest Selena! — Andreas odwrócił się do Pauliny i powiedział: — Posłuchaj. Statek nazywa się Bellerofon, kapitanem jest niejaki Naso. Zabierz Waleriusza i biegnij tam natychmiast.

— Ale...

— Szybko, Paulino! Masz jakiegoś niewolnika, któremu możesz zaufać? Brakowało jej tchu.

— Tak...

— Zabierz wszystkie wartościowe rzeczy, które zdołasz udźwignąć: kosztowności, pieniądze. I spiesz się!

— Pójdę z tobą, Andreasie.

— Nie! Wracam po Selenę i dziecko. Spotkamy się na statku. Pospiesz się, Paulino. Naso odbija od brzegu, gdy zacznie się odpływ.

— Na pewno na ciebie poczeka! — krzyknęła.

— Powiedziałem mu, żeby nie czekał. Kiedy ty i Waleriusz znajdziecie się na pokładzie, będzie mu groziło takie samo niebezpieczeństwo, jak nam. Jeśli nie zdążymy z Seleną na czas, musicie płynąć, Paulino! A my jakoś spróbujemy się wydostać z miasta. Biegnij!

Andreas popatrzył, jak Paulina wbiega do ogrodu, potem odwrócił się i popędził z powrotem tam, skąd właśnie przyszedł.

I stanął jak wryty. Zza zakrętu wyłonili się strażnicy cesarzowej. Andreas schował się pod arkadą. Rozejrzał się po ciemnej ulicy. Przed sobą widział pomarańczową lunę na tle granatowego rozgwieźdzonego nieba. Dym pożaru docierał aż na wzgórze, szczypiąc Andreasa w oczy, aż zaczęły łzawić.

Kiedy Andreas zobaczył, że dwóch strażników zatrzymuje się przy bramie Pauliny, wysunął się z ukrycia i chyłkiem przebiegł wzdłuż muru do miejsca, gdzie wąska alejka między dwoma willami prowadziła do następnej ulicy. Pobiegł nią, aż zobaczył nisko zwisające nad murem gałęzie drzewa. Podciągnął się na nich i przesadził mur.

Znalazł się w ogrodzie na tyłach willi Pauliny, niedaleko pomieszczeń niewolników. Słyszał z daleka, jak strażnicy po drugiej stronie domu wyłamują bramę.

Wpadła na niego Paulina, wybiegająca z domu z rozspanym Waleriuszem na rękę. Andreas wziął od niej chłopca i szybko poprowadził do miejsca, gdzie przed chwilą sam przeskoczył przez mur.

— Moi niewolnicy! — zawołała Paulina. — Agrypina wymorduje ich wszystkich.

— Wchodź! — powiedział Andreas do Waleriusza, pomagając chłopcu wspiąć się na drzewo. — Na górę, a potem zeskakuj. Poczekaj przy murze i pomóż matce zejść. Jesteś już mężczyzną, Waleriuszu, musisz się nią opiekować.

Sześciolatek natychmiast oprzytomniał i wdrapał się na drzewo zręcznie jak małpka.

Upewniwszy się, że Paulina bezpiecznie weszła na drzewo, Andreas zawołał:

— Pamiętaj: Bellerofon. Pospieszcie się!

Potem odwrócił się i pobiegł do pomieszczeń niewolników. Przerażeni ludzie zbili się w gromadkę.

— Ruszajcie! — krzyknął. — Uciekajcie! Ale oni nawet nie drgnęli.

— Uciekajcie! — krzyknął jeszcze raz. Sparaliżowani lękiem, wpatrywali się w niego jak otumanione zwierzęta.

Andreas usłyszał trzask wyłamanej bramy, potem tupot sandałów w ogrodzie i krzyki żołnierzy. Odwrócił się i popędził do muru. Wdrapał się na drzewo i zeskoczył na drugą stronę w tej samej chwili, gdy żołnierze wpadli do ogrodu na tyłach domu.

\* \* \*

Kiedy Selena oprzytomniała, trawa wokół niej stała już w płomieniach. Krztusiła się od dymu, oczy szczypały i łzawiły. Próbowwała zasłonić twarz, ale podmuch zerwał jej pallę z głowy. Z trudem dźwignęła się na nogi i rozejrzała w oszołomieniu.

— Pomocy! — krzyknęła.

I wtedy spojrzała w górę. Gigantyczny marmurowy posąg Wenus niebezpiecznie kołysał się na swym wysokim piedestale.

— Ratunku! — wrzasnęła na całe gardło.

Andreas usłyszał ją, biegnąc mostem. Zobaczył ją w kręgu ognia, zauważył też, że posąg Wenus zaczyna pękać nad głową Seleny.

— Pomocy! — krzyczała Selena.

Andreas spostrzegł na jakimś krzaku tokę, którą ktoś w popłochu zostawił. Zanurzył ją w sadzawce i popędził z nią prosto w krąg płomieni. Zarzuciwszy sobie na głowę ociekającą wodą tokę, rzucił się w ogień, chwycił Selenę za ramię, drugim końcem mokrej szaty osłonił jej głowę i pobiegł razem z nią z powrotem.

W tym samym momencie posąg runął na miejsce, gdzie przed chwilą leżała Selena.

Byli już przy moście, gdy Selena nagle się zatrzymała.

— Dziecko! — krzyknęła. — Musimy znaleźć dziecko! Andreas popatrzył dokoła. Wszystkie budynki stały w ogniu. Cała wyspa była ruiną.

— To nic nie pomoże, Seleno! — krzyknął. — Musimy ratować siebie!

Złapał ją mocno i szlochającą pociągnął za sobą na most, a potem dalej.

\* \* \*

Biegli ciemnymi, pełnymi dymu ulicami, kaszląc, nawzajem się podtrzymując. Po lewej stronie stał w upiornej mgłę dymu groźny Wielki Cyrk, jego łuki i kolumny oświetlała luna pożaru.

Selena co chwila się potykała, ale Andreas mocno ją trzymał, obejmując w pasie ramieniem. Wiedział, że strażnicy, nie zastawszy ich w domu, skierują się prosto na wyspę. I lada chwila zaczną szukać ich w całym mieście.

Oby najpierw przeszukali drogi wiodące za miasto — modlił się w duchu Andreas.

Ale wiedział, że ta modlitwa nic nie da. Było już za późno. Naso do tej pory z pewnością odpłynął.

Zwarta zabudowa nagle się skończyła. Doszli do parku, gdzie pośrodku stała mała okrągła świątynia boskiego Juliusza. Przebiegając obok usłyszeli szczekanie psa. Obejrzel się i zobaczyli, jak ze świątyni wybiega, kulejąc, Fido. A za nim — Pindar z dzieckiem.

— Pindar! — krzyknęła Selena, biegnąc ku niemu.

Chwyliła Juliusza w ramiona, płacząc ze szczęścia, i wysłuchiwała zająkliwej opowieści Pindara o tym, jak to pies pierwszy, jeszcze przed ludźmi, wyczuł ogień i ostrzegł go szczekaniem.

I wtedy na ramieniu Pindara dostrzegła skrzynkę — jej skrzynkę z lekami, którą zdążył złapać, uciekając. Uściskała go, całując zalane łzami policzki.

— Chodźcie — odezwał się Andreas — musimy się spieszyć.

Port był zupełnie pusty. Wszyscy popędzili nad rzekę przypatrywać się wspaniałemu widowisku, ale ku ogromnej uldze Andreasa, Bellerofon nadal stał na kotwicy.

Kiedy z pośpiechem wspięli się na pokład, Naso wymamrotał, że „jest za stary, żeby trząść się przed jakąś szaloną cesarzową”, a potem głośno rozkazał, by podnieść kotwicę.

Selena i Paulina podbiegły do siebie i objęły się mocno. Fido rzucił się w podskokach do Waleriusza i zaczął go lizać po twarzy. Andreas zaś stał przy burcie, wpatrzony w oddalający się port.

\* \* \*

Parę godzin później, tuż przed świtem, znaleźli się wreszcie na pełnym morzu.

Statek był solidny, z jednym wielkim żaglem i dzielną załogą. Wiózł wino do Mauretanii na odległym wybrzeżu północnej Afryki i był jednym z ostatnich statków przemierzających Morze Śródziemne przed nadejściem zimy, która uniemożliwi żeglugę. Naso zapewnił uciekinierów, że teraz na łonie Posejdona nic im nie grozi.

Choć wszyscy stali na rufie, spoglądając na łunę pożaru nad Rzymem, Selena z dzieckiem w ramionach została sama na dziobie i patrzyła przed siebie. Juliusza łaskotał naszyjnik Seleny, wisiały na nim jej dawne amulety: pierścień przodka i róża z kości słoniowej, odpieczętowana i zawierająca teraz pasmo włosów Cezariona oraz kawałek płótna, na które urodził się jej dotąd nie odnaleziony brat.

W końcu podszedł do niej Andreas, a potem i Pindar. Paulina zostawiła Waleriusza na pokładzie tam, gdzie zasnął, opierając głowę o Fido jak o poduszkę, i przyłączyła się do przyjaciół.

Wstrząśnięci, zmęczeni, w podartych ubraniach w milczeniu patrzyli przed siebie w wygwieżdżoną ciemność i bezkresne czarne morze. Słuchali, jak skrzypią deski pokładu, i myśleli o tym, co zostawiają za sobą.



Paulina zaczęła cicho płakać, Pindar objął ją niezręcznie ramieniem. Andreas poszukał dłoni Seleny, by dodać jej sił i od niej sił zaczerpnąć. Widok płonącego Domu na zawsze zostanie w ich pamięci.

Za nimi budził się dzień, pierwsze światło brzasku pojawiło się na wodzie.

— Nie możemy tracić ducha — przemówiła w końcu Selena zdławionym głosem. — Cieszymy się, że uszliśmy z życiem i jesteśmy razem. Pojedziemy tam, gdzie Agrypina nas nie znajdzie. Poszukamy sobie nowego domu, miejsca, gdzie będziemy mogli zacząć od nowa... — Głos się jej załamał. — Gdzie nasze dzieci będą dorastać w pokoju, wolne od strachu.

Głęboko zaczerpnęła tchu.

— Zbudujemy inny dom dla chorych, taki, który wytrzyma próbę czasu. Bo po to się urodziliśmy.

Selena wsparła się o Andreeasa i uświadomiła sobie, że to jeszcze jeden początek w jej życiu, które tyle razy zaczynała od nowa.

Byłam Fortuną z Magny — pomyślała — Fortuną szczęścia i powodzenia. Byłam Ummą — matką, Peregriną — obcą i podróżniczką, Kleopatram Seleną — wnuczką władców, i Julią Seleną, córką bogów. A oto w końcu jestem tym, kim byłam na samym początku — Seleną, mądrą.

Choć nie otrząsnęła się z bólu po stracie Domu, wiedziała, że jej marzenie nie zginęło wraz ze spalonym budynkiem. Zakończyła swą długą podróż i odnalazła to, czego szukała: swoje korzenie i swoją tożsamość. Zbudowała też miejsce, gdzie leczono by chorych, dokąd mogliby przychodzić po pomoc.

Stała na pokładzie otoczona rodziną, ludźmi, których kochała, i patrzyła, jak znika Wenus o świcie nowego dnia.

## OD AUTORKI

W kulturze starożytnego Zachodu nie znano słowa oznaczającego „szpital”. Pierwsza taka instytucja, o której wiemy, została założona w 394 roku w Rzymie przez chrześcijańską filantropkę Fabiolę. Obecnie na wyspie, na fundamentach starożytnej świątyni Eskulapa, stoi nowoczesny szpital prowadzony przez braci zakonnych.

Cesarz Klaudiusz rzeczywiście ustanowił prawo nadające wolność niewolnikom, którzy uciekli na wyspę albo zostali na niej porzuceni. A jego żonę Agrypinę, później zamordowaną przez własnego syna Nerona, upamiętnia miasto nad Renem, nazwane ku jej czci Colonia Agrippina, obecnie znane jako Kolonia w Niemczech.

Powstało wiele teorii próbujących wyjaśnić nieplodność wśród wyższych klas Rzymu z okresu cesarstwa, która przyczyniła się do znacznego spadku liczby wolnych obywateli i uważana jest za jeden z powodów późniejszego upadku Imperium Rzymskiego. Współcześni historycy udowodnili, że rzymska arystokracja mogła ulegać zatruciom ołowiem, który dostawał się do ich organizmów z wody płynącej ołowianymi rurami, z ołowianych kubków i garnków, z zawierających ołów kosmetyków oraz z wina gotowanego w garnkach o ołowianych brzegach. Niższe klasy nie korzystały z takich luksusów, lecz używały wolnych od ołowiu naczyń glinianych.

Chroniczne zatrucie ołowiem powoduje bezpłodność u mężczyzn, a u kobiet prowadzi do poronień lub wydawania na świat martwego potomstwa.

\* \* \*

Wiele ludowych sposobów i leków, o których jest mowa w „Płomieniu duszy”, pochodzi ze starożytności, współczesna wiedza wyjaśnia, dlaczego okazywały się one skuteczne:

— przykładanie zielonych liści na otwarte rany zapobiegało gangrenie, ponieważ znajdujący się w liściach chlorofil zabija bakterie, które ją wywołują,

— runo jest bardzo starym środkiem na choroby skóry, zawiera lanolinę, składnik większości współczesnych kremów kosmetycznych,

— pleśń, jako środek zapobiegający zakażeniu, jest od stuleci znana w medycynie ludowej, jej gatunek, który rozwija się na chlebie lub wykorzystywany jest do produkcji serów, zawiera bakterie penicyliny,

— lek Hekate stosowany jest do dziś, otrzymuje się go z kory wierzbowej zawierającej kwas salicylowy, jest powszechnie znany pod nazwą aspiryny.